

JUDITH GOULD

GRECKA WILLA

PRZEŁOŻYŁA BEATA DŁUGAJCZYK

scandalous

Urania

1. Jedna z Muz.

2. Przydomek bogini Afrodyty, opisujący ją jako „niebiańską”, duchową, w odróżnieniu od Afrodyty Pandemos, miłości ziemskiej; tak jak to występuje w „Symposium” Platona.

Przewodnik oksfordzki po literaturze klasycznej

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Coconut Grove, Miami, Floryda

W środę o świcie Tracey wyłączyła stojący przy łóżku budzik dokładnie dwadzieścia minut przedtem, zanim zdążył wybuchnąć przenikliwym, wwiercającym się w uszy jazgotem. Wskoczyła z łóżka, odrzucając na bok kołdrę. To zdumiewające, ale nie czuła ani odrobiny zdenerwowania, choć przecież dzisiaj ważyła się jej przyszłość. To właśnie dzisiaj miała się dowiedzieć, czy marzenie, któremu poświęciła trzy ostatnie lata życia, ma szansę się urzeczywistnić.

A jeśli przeciwnie - jeśli dowie się, że praca trzech długich lat poszła na marne? Taki werdykt oznaczałby odłożenie niedokończonego maszynopisu na półkę i rozpoczęcie wszystkiego od nowa; szkic kolejnej książki, mozolne układanie intrygi, kilka lat wyteżonej pracy, zanim ją napisze.

Tracey Sullivan, urodzona optymistka, nie brała pod uwagę możliwości innego rozwiązania niż pozytywne. Przecież spodobała im się moja powieść, przekonywała samą siebie. Przecież rozważają możliwość jej wydania.

Podobnie ujął to Mark Varney, jej agent.

„Jestem przekonany, że ją opublikują”.

Tracey wyprostowała długie, smukłe nogi i z lubością wciągnęła w płuca słonawe powietrze. Zerknęła w stojące na toalecie lustro. Popielatoblond włosy, skłębione i potargane, sterczały na podobieństwo fryzury punka, oliwkowozielone oczy tryskały humorem.

Podeszła do okna i podniosła żaluzje. Przy każdym poruszeniu dłoni ogromny, sześciokaradowy brylant zaręczynowego pierścionka odbijał refleksy promieni słonecznych, układających się na przemian z paskami cienia w prążkowany wzór.

Za oknem rozciągał się gąszcz palm, bananowców, przyciętych w szpalery fikusów, obsypanej kwieciami wisterii i rozwichrzonych krzewów bugenwilli. Poranne niebo było lekko przymglone, ale bez jednej chmurki, powietrze ciężkie i pełne wilgoci, jak zawsze w sierpniu w tym odosobnionym zakątku Coconut Grove. Ta prawdziwa oaza zieleni jednocześnie znajdowała się tak blisko cywilizacji, by człowiek mógł w pełni korzystać ze wszystkich upajających uroków supermodnych terenów South Beach, gdzie jak rok długi paradowały stada modelek i różnych sław, a z nadejściem zimy elity finansjery z całego świata celebrowały słynne, całonocne przyjęcia.

Niczym na dany z ukrycia znak, powietrze zaczęło drgać od latynoskiej muzyki słynnego didżeja, remiksującego rytmy tanga z gwałtownymi uderzeniami disco. Tracey mocniej wychyliła się z okna. Smukły cadillac '57 z otwieranym dachem, pełen nastolatków wracających do domu po nocnej imprezie, pędził obsadzoną dwoma rzędami drzew ulicą niczym miętowozielony, lśniący chromem, śródlądowy jacht; sześć par ramion unosiło się ku niebu, przecinając powietrze w rytm muzyki.

Gdzie, jak nie w Miami?

Wielobarwne dzikie papugi, potomstwo dawno zbiegłych z klatek domowych ulubieńców, zaskrzeczały w zaroślach; samotna biegaczka w nieskazitelnie białym t - shircie, szortach, okularach przeciwsłonecznych i tenisówkach biegła poboczem drogi, porwana latynoskim rytmem, docierającym do niej przez słuchawki walkmana.

Tracey odwróciła się od okna i pomyślała o nadchodzącym dniu. Od dawna miała już wypracowany ustalony harmonogram zajęć i dzisiejszego ranka zamierzała przestrzegać go równie metodycznie, jak każdego innego.

Po pierwsze: wstać równo ze świtem.

Po drugie: wąskim korytarzykiem niewielkiego, podniszczonego domku przejść do kuchni i włączyć ekspres do kawy, napełniony poprzedniego wieczoru.

Po trzecie: pobudzić ciało i umysł do działania lodowatym prysznicem.

Po czwarte: nalać do kubka mocnej, gorącej, parującej kawy Cubano.

Po piąte: włożyć biały, obszerny, męski t - shirt, usiąść za biurkiem i spiąć włosy, wtykając w nie - niczym japońskie pałeczki - kilka ołówków. Włączyć komputer i popijając mocną kawę, świeżym okiem ocenić tekst napisany poprzedniego wieczoru.

Dyscyplina, połączona z niewzruszoną wiarą we własny talent, kazały Tracey przeznaczać dwie pierwsze i dwie ostatnie godziny każdego dnia na pracę nad powieścią.

Już dawno postanowiła zostać uznaną pisarką. Mówiąc szczerze, więcej niż uznaną. Marzeniem Tracey było stać się gwiazdą pierwszej wielkości, dorównać takim sławom jak Danielle Steel, Jackie Collins i Anne Rice.

Właśnie tak.

Oczywiście w pełni zdawała sobie sprawę z tego, ile przeciwności ją czeka, zanim osiągnie szczyt. Szanse były równie znikome, jak szanse młodego, początkującego aktora na zostanie gwiazdorem. Kogoś innego niż Tracey podobna perspektywa mogłaby tylko zniechęcić, lecz jej - wprost przeciwnie - dodawała bodźca do bardziej wytężonej pracy.

W końcu gdyby nikt nie odważył się spróbować, nie mielibyśmy sławnych pisarzy!

Odkąd powzięła to postanowienie, dwie pierwsze godziny każdego dnia nieodmiennie spędzała przy komputerze. Później nadchodził czas szykowania się do pracy w WMAI - TV niewielkiej, lokalnej stacji telewizyjnej, obsługującej obszar wielkiego Miami i całego okręgu Metro - Dada. Była to jedna z pomniejszych stacyjek, ale Tracey pracowała w telewizji!

- Cześć, tato! - powiedziała z ożywieniem.

Zbiegła na dół wąską, wyłożoną chodnikiem klatką schodową, wpadła do kuchni, prawdziwego reliktu lat czterdziestych, i hałaśliwie cmoknęła ojca w czubek łysiejącej głowy. Okupował swoje zwykłe miejsce pod oknem, przy stole z białej, nakrapianej złotymi cętkami formiki, antyku, który stał w tym miejscu przez czas niemal dwa razy dłuższy, niż Tracey żyła na świecie.

- Cześć, słoneczko. - Ojciec podniósł oczy znad krzyżówki w „Miami Herald” i dobrodusznie uśmiechnął się do córki. - Wyglądasz promiennie dzisiejszego ranka - dorzucił, spoglądając na nią znad okularów do czytania a la Benjamin Franklin.

- Co to znaczy, dzisiejszego ranka? - oburzyła się Tracey. - Ja zawsze wyglądam promiennie, nieprawdaż? - Ujęła się pod boki, starając się przybrać groźną minę.

- Prawdaż. Wyłożyłaś mi to jasno i dobitnie.

Tracey usiadła i nalała sobie następny kubek mocnej kawy. Upiwszy łyk, bezwiednie otarła wargi wierzchem dłoni, rozmazując fioletową pomadkę Viola Mist po starannie nałożonym różu w odcieniu dojrzałej śliwki. Ojciec zachichotał.

- A cóż cię tak rozbawiło? - zainteresowała się Tracey.

- Moja dziewczynka, wyszykowana do pracy, nieskazitelnie uczesana i odstawiona. I co robi? Rujnuje sobie makijaż, upodabiając się do Pocahontas na wojennej ścieżce.

- Och! - wykrzyknęła Tracey z przestachem i zerwała się na równe nogi.

- Nic się nie stało. Wystarczy kilka minut, żebyś doprowadziła się do porządku.

- Kilka minut? - Zerknęła na zegar w chromowanej oprawie, pracowicie tykający na ścianie nad potężną niczym buick, białą, emaliowaną i chromowaną kuchenką, kolejnym doskonale zachowanym reliktem lat czterdziestych. - Spóźnię się - jęknęła.

Porwała torebkę i ruszyła do łazienki, by ocenić zniszczenia. Zapaliła światło i wzdrygnęła się odruchowo. Poniżej nosa twarz w lustrze wyglądała groteskowo, niczym buzia dziecka, które dla zabawy usmarowało się pomadką, albo oblicze z portretu Karla Appla.

W pośpiechu otworzyła torebkę. Nadal była zajęta poprawianiem makijażu, kiedy usłyszała wołanie ojca:

- Co to jest: opierają się na mostku? Siedem liter.

- Właśnie przez nie patrzysz - odpowiedziała bez namysłu, starając się nie poruszać wargami, gdy wychylona w stronę lustra, starannie nakładała na usta nową warstwę szminki.

- Okulary, pasuje! - wykrzyknął Tom Sullivan. - Jesteś prawdziwym geniuszem. Co ja bym robił bez ciebie?

- Nigdy nie rozwiązałyś do końca żadnej z krzyżówek, to pewne - odrzekła zgryźliwie. - Zupełnie nie pojmuję, czemu tak się nimi katujesz.

Kliknęła zamykana nasadka; Tracey wrzuciła szminkę do torebki, jednocześnie obdarzając swoje odbicie ostatnim, pięciosekundowym spojrzeniem, które każda kobieta opanowała do perfekcji. Zwykle oceniała się bardzo krytycznie, dziś jednak była w pełni zadowolona z wybranego stroju. Miała na sobie t - shirt, do tego turkusowy sweterek z wykładanym golfem i podwiniętymi rękawami, czarną spódniczkę mini, niewiele większą od znaczka pocztowego, czarne rajstopy i modne, masywne, lśniące, czarne buty. Podróbka Prądy z Trzeciego Świata, kupiona na ulicznym straganie, ale co tam. Kto mógłby sobie pozwolić na autentyk?

Z pewnością nie ona. Nie z jej pensją. Przysięgła sobie jednak, że kiedy dostanie czek za swój literacki debiut, pierwszą rzeczą, jaką zrobi, to zaszaleje i kupi sobie prawdziwe, markowe buty.

Wybiegając pospiesznie z łazienki, obrzuciła zegar pełnym obawy spojrzeniem.

- Tato, wychodzę - oznajmiła, pochylając się i składając głośny pocałunek na nieogolonym policzku ojca. - Obiadem się nie przejmuj, dziś moja kolej gotować, pamiętasz?

- Zaczekaj chwilę! - zawołał za nią. - Tragicznie niestosowny przymiotnik w tysiąc dziewięćset dwunastym roku? Trzynaście liter.

Tracey już zdążyła otworzyć drzwi wejściowe i drugie, z siatki.

- Niezatapialny - rzuciła przez ramię. Zbiegła po trzeszczących schodkach, zonglując kluczykami.

Jej samochód stał zaparkowany na wprost wejścia, po drugiej stronie oplecionego bugenwillą treliazu, osłaniającego dom od głównej drogi. Stary chevy corvairs, z niegdyś białą, obecnie upstrzoną licznymi plamami rdzy, a w kilku miejscach nawet całkiem przeżartą karoserią, był jednym z naprawdę już niewielu modeli tej marki, jeżdżącym jeszcze po drogach. Na liczniku miał ponad dwieście osiemdziesiąt tysięcy kilometrów i z trudem tylko można było go uznać za środek lokomocji.

Zaraz za nim stał zaparkowany stary oldsmobile ciera z 1976 roku, należący do ojca. Pod działaniem słońca Florydy czarna, dawniej lśniąca karoseria z czasem zmatowiała i

zszarzała. Ale jak długo koła się kręciły, staruszek nie zamierzał przechodzić w stan spoczynku, zresztą biorąc pod uwagę jego wiek, trzymał się zdumiewająco dobrze.

Krzyżując palce, Tracey odmówiła cichą modlitwę do boga motoryzacji, żeby oba auta pociągnęły jeszcze trochę.

Rok albo dwa. To wszystko, o co proszę.

Odsuwając na bok palmowe liście o ostrych jak brzytwa krawędziach, obesła samochód, by zająć miejsce za kierownicą. Zerknęła na dom, który nazywała swoim. Podobnie jak oba samochody lata świetności miał już za sobą. Niegdyś parterowy bungalow, później rozbudowany w głąb wąziutkiej posesji, miał trójkątny szczyt i zapadający się ganek od ulicy. Stanowił swego rodzaju anachronizm, zwłaszcza obecnie, kiedy wszystkie inne domy w dzielnicy dawno już wyburzono, a sąsiedzi czy ich spadkobiercy posprzedawali działki firmom budowlanym.

W przeciwieństwie do wielkich, zmodernizowanych hoteli w stylu art déco i budynków mieszkalnych na South Beach ten odcinek Coconut Grove od lat czterdziestych miał niską zabudowę. Rzędy bungalowów tłoczyły się jeden za drugim na długich działkach, tak wąskich, że kiedy człowiek wychylił się przez boczne okno, mógł niemal uścisnąć rękę sąsiadowi.

Już nie, przemknęło jej przez myśl.

Stare budynki pozniakały, został tylko ten jeden, samotny domek ojca. Ponieważ tata był krnąbrnym, upartym samotnikiem, który miał w nosie modne trendy i odmówił sprzedaży działki. Gdyby nie on, budowa drogiego, strzeżonego osiedla już dawno zostałaby ukończona.

Tracey przypomniała sobie oglądane kiedyś projekty. Na miejscu dawnych bungalowów miały stanąć okazałe budynki w typie McMansions - prawdziwe zamki ozdobione sztukateriami, z niezliczoną ilością szczytów i szczyków. Starannie zaplanowane osiedle wyeksmitowałoby stare dęby i bananowce, by zastąpić je miniaturowymi, starannie przyszyżonymi trawniczkami przed każdym z budynków, potwornych molochów, kosztujących po kilka milionów dolarów albo i więcej, nie lepszych od drapaczy chmur, ze wszystkich stron napierających na oazę zieleni i spokoju przy Coconut Grove.

Tego dnia, kiedy ojciec otrzymał pierwszą ofertę sprzedaży, miły, cichy i uступliwy człowiek, którego znała i kochała, objawił drugą stronę swojej natury. Gdzieś zniknął Tom Sullivan o łagodnym obejściu i gołęmbim sercu. Teraz był jak z żelaza, zimny i niewzruszony.

- Do diabła, ponad połowę mojego życia spędziłem pod tym dachem i nikt mnie stąd nie wykurzy. Nieważne, jak grubym plikiem banknotów pomachają mi przed nosem. Nigdy nie będzie dość gruby.

Mineły dwa lata, a Tom Sullivan nie zmienił zdania. Nawet kiedy położono przed nim ćwierć miliona dolarów. Nawet kiedy podwyższono ofertę do pół miliona, a potem do siedmuset pięćdziesięciu tysięcy. Ostatnio z całkowitym spokojem odrzucił propozycję miliona dolarów - już po zapłaceniu podatku. To właśnie wtedy jego adwokat postanowił umyć ręce od całej sprawy. „Jest pan nie tylko nierozsądny - powiedział do swego klienta. - Jest pan szalony. Nie mogę reprezentować faceta, któremu odbiło”.

Spiesząc do pracy i wyciskając ze starych cylindrów tyle, ile tylko zdołała, Tracey rozmyślała o uporze ojca. Dokładnie dwie minuty przed czasem corvair dowiózł ją do stacji telewizyjnej. Skręciła za budynek, na parking dla pracowników i ustawiła samochód na wolnym miejscu. Przecięła do połowy wypełniony plac, niemal nie zwracając uwagi na potężny śmigłowiec należący do WMAI, helikopter Bell JetRanger, obficie upstrzony logo stacji, stojący idealnie w centrum ogromnej litery H, wymalowanej w środku jeszcze większego, wytyczonego żółtą farbą koła, za wysokim przeciwhuraganowym ogrodzeniem. Stukając niskimi obcasami po oznaczonym olejem betonie, zbliżyła się do bocznego wejścia. No już. Jeszcze tylko pięć betonowych stopni, barierka przy podejździe dla niepełnosprawnych i czerwona tablica z białymi literami, ogłaszająca: „Tylko dla personelu. Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”.

Wejście wcale nie prezentowało się okazale. Stacja WMAI zajmowała różowawy, prostokątny, trzypiętrowy budynek, wyróżniający się przede wszystkim nieobecnością szkła. Tylko nieliczne okna rozjaśniały surowe, niemal forteczne ściany. Właściwie nie było w tym nic dziwnego. Stacji telewizyjnych nie projektowano tak, by wypełniały je światło i powietrze. Budynki przede wszystkim miały być funkcjonalne i dźwiękoszczelne. A także bezpieczne od huraganów i zamieszek ulicznych, zarówno w dzień, jak i w nocy. Kiedy Tracey zbliżyła się do wejścia, usłyszała monotony poszum dobiegający z płaskiego dachu, zwieńczonego potężnym zestawem urządzeń klimatyzacyjnych, toczących nieustanną walkę z południowym żarem Florydy i wilgotnością powietrza. Przystanęła przy wzmocnionych, stalowych drzwiach, dodatkowo oflankowanych kamerami, pogrzebała w torebce i wydobyła przypominający kartę kredytową plastikowy prostokąt z paskiem magnetycznym. Wetknęła go w szczelinę, podobną do tych w budkach telefonicznych, wstukała sześciocyfrowy kod i drzwi zamruczały posłusznie. Pchnęła je mocno, w jednej chwili opuszczając strefę żaru i parności i wkraczając w rejon arktycznego zimna. Drzwi zatrzasnęły się za nią automatycznie.

- Cześć, Brad - rzuciła, zatrzymując się przy stanowisku obok wejścia. - Już wróciłeś z Balearów? Jak ci tam było? Zgubiłeś koszulę?

- Tracey! - wykrzyknął umundurowany pracownik ochrony, zupełnie jakby nie dostrzegł jej nadejścia na jednym z tuzina monitorów wmontowanych w konsolę przed nim. Za jego plecami policyjny skaner piszczał i buczał jednostajnie. Emerytowany gliniarz, Brad Noble, lubił trzymać rękę na pulsie i wiedzieć, co się dzieje w dawnym miejscu pracy.

- I co tam słyhać? - zapytał teraz.

Tracey musiała się roześmiać. Było powszechnie wiadomo, że Bradowi udało się wyłapać na swoim skanerze niejedną rewelację przeoczoną przez urządzenia najnowszej generacji na górze.

- Co słyhać? Może raczej ty mi powiesz - powiedziała, nieśmiało wskazując podbródkiem monitor. - To ty miałeś służbę od północy.

Brad wzruszył masywnymi ramionami i obojętnie machnął ręką, demonstrując obrzydzenie dla wszystkich przestępców, a już zwłaszcza dla tych, którym zachciało się pogwałcić prawo ubiegłej nocy.

- To, co zwykle, cisza i spokój, poza jakąś drobną strzelaniną i porachunkami gangów narkotykowych. Żadnego pożaru lasu czy statku wycieczkowego, żadnego zastrzelenia turysty czy rozbicia samolotu pasażerskiego nad Everglades. Nic, nie było nawet awaryjnego lądowania na lotnisku. Jak ci się to podoba? To ma być środek upalnego lata?

- Znasz to powiedzenie, że brak wiadomości to dobre wiadomości?

- Nie w twoim fachu. Wspomnisz moje słowa. - Brad pokiwał głową. - Jeśli nic się nie wydarzy, wieczorne newsy na gwałt będą potrzebowały jakiegoś wypełniacza i szefostwo na pewno wyśle ciebie, żebyś upolowała coś interesującego dla gawiedzi.

Nie zniechęciło jej to, wręcz przeciwnie. Podobnie jak większość asystentów, Tracey nie była jeszcze znudzona tym, co robi. Podniecała ją perspektywa otrzymania jakiegoś pilnego reporterskiego zadania. Zawsze to lepsze niż siedzieć za biurkiem.

Pokiwała Bradowi ręką i pomaszerowała dalej, przez betonowy hol, kierując się ku klatce schodowej, usytuowanej obok szybu wind. Wbiegła na drugie piętro, przeskakując po dwa stopnie naraz, i otworzyła przeciwpożarowe drzwi do pokoju newsów. Tu znajdowało się centrum - bijące serce stacji - gdzie rodziły się historie, a potem umierały bądź z całą premedytacją pozbawiano je życia. Tracey ruszyła środkowym przejściem, wyłożonym chodnikiem. Na lewo mijała rzędy ekranów telewizyjnych, ustawionych za szklaną przegrodą aż po sufit i migoczących jasnością. Przy klawiaturach pracowali technicy emitujący ogłoszenia i lokalne reklamy podczas komercyjnych przerw w sitcomach. Pomieszczenie było ogromne; gdyby nie betonowe wsporniki, podtrzymujące umieszczony na wysokości ponad czterech metrów dźwiękochłonny strop, śmiało mogłoby pomieścić samolot pasażerski.

Otaczał je przeszklony balkon z podwójnymi szybami dla wytlumienia hałasu, skąd można było zobaczyć studio nadawcze na parterze. Widok niebieskiego, tapicerowanego podium, na którym niczym ołtarz stała lśniąca, półokrągła konsola, skierowana wprost na potężne kamery, nigdy nie przestawał poruszać Tracey.

Szeregowi pracownicy nie mieli osobnych pokoi. Po prostu całe wnętrze podzielono na rzędy sześciobocznych boksów, z których każdy mieścił sześć wydzielonych kabin. Mijając piąty rząd, Tracey skręciła w wąskie, boczne przejście. Jeszcze tylko jeden boks dzielił ją od jej stanowiska, kiedy śliczna, młoda kobieta, siedząca na obrotowym krześle, niespodziewanie zajęła jej drogę.

- Aha, myślałaś, że uda ci się przemknąć niepostrzeżenie, *amiga*? - powiedziała do Tracey z żartobliwym wyrzutem. Miała lśniące, czarne oczy, oliwkową cerę i leciuteńki akcent potwierdzający dumne, hiszpańskie dziedzictwo.

- Maribel! - wykrzyknęła Tracey, uradowana widokiem najlepszej przyjaciółki. To właśnie Maribel Pinales w dniu, w którym Tracey rozpoczęła pracę, oprowadzała ją po gmachu. Wystarczyło jedno spojrzenie, by zadzierzgnęła się między nimi nić sympatii. Niebawem były dla siebie niczym siostry.

- Wprost nie mogę uwierzyć - powiedziała Tracey. - Przenieśli cię z powrotem na dzienną zmianę?

Maribel się roześmiała.

- Nie mieli wyboru. Ktoś przecież musi pilnować, żebyś nie opóźniała tempa.

Tracey zmrużyła swoje niesamowite, oliwkowozielone oczy, udając, że się gniewa.

- Ja? Sullivan z krwi i kości? Kolejny dowód na to, jaka jesteś bezczelna. Wykorzystałaś pierwszy lepszy pretekst, żeby się wykręcić od nocnej zmiany. - Uśmiechnęła się. - Ledwo ci ją wlepili, a zaczęłaś się odgrażać, że to zrobisz, pamiętasz?

- Czy pamiętam? - Maribel westchnęła. - *Por Dios!* Nie pamiętam nawet, czy dziś rano wypiałam dwie kawy czy trzy.

- W porządku. - Tracey złapała oparcie obrotowego krzesła przyjaciółki i popchnęła je łagodnie - niczym fotel inwalidzki - w stronę zajmowanego przez Maribel boksu. - Pogadamy później. Teraz muszę zabrać się do pracy.

Maribel okręciła się z siedzeniem.

- A co byś powiedziała na wspólną kolację? Tracey zmarszczyła czoło.

- To zależy...

- Od czego? - Przyjaciółka uniosła brwi pytająco.

Tracey poruszyła palcami wyciągniętej ręki, aż sześciokaratowy brylant na jej palcu roziskrzył się światłem.

- No tak, od tego. - Maribel westchnęła ciężko i przewróciła oczami. - Nie wiem, jak ty to robisz. Komu innemu udałoby się upolować narzeczonego, którego nazwisko znajduje się w pierwszej połowie listy czterystu najbogatszych Forbesa? A twoja biedna siostra z *barrio* skazana jest na pierwszego lepszego starego *chico*, jaki się napatoczy. Cholerna niesprawiedliwość.

- Stary *chico*, akurat - roześmiała się Tracey. - Z twoim wyglądem Miss Universum! Popraw mnie, jeśli się mylę. Czy to nie ty byłaś w pierwszej piątce finalistek konkursu Miss Florydy dwa lata temu? Czy to nie ty odrzuciłaś co najmniej cztery propozycje małżeństwa? - Urwała znacząco. - No?

- Pięć - poprawiła ją Maribel, wyciągając do góry otwartą dłoń. - Odrzuciłam pięć propozycji małżeństwa, nie cztery.

- Zgadza się, ale cholernie bogaci byli tylko czterej - uściśliła Tracey.

- Jasne, za to cała piątka szpetna niczym stare trolle, mówiąc oględnie. A ten twój Brian! - Maribel z westchnieniem okręciła się w krześle, jej ogromne, czarne oczy zabłysły. - Marzenie! Młody, bogaty i w dodatku przystojny. Mógłby zostać modelem albo aktorem filmowym. Nie dla ciebie stary, szpetny tłścioch.

- Pamiętaj, że po przeciwnej stronie ogrodzenia murawa zawsze wydaje się bardziej zielona - powiedziała ze śmiechem Tracey. - Dopiero kiedy przejdiesz na drugą stronę, widzisz, że to ta sama, pożółkła trawa. Poza tym jestem gotowa się założyć, że teraz też poluje na ciebie ze dwóch albo i trzech przystojniaków.

- Cóż... - rzuciła Maribel z figlarnym błyskiem w oku.

- Aha, tak właśnie myślałam. Opowiesz mi o nim?

- Później, zgoda? Teraz muszę zabierać się do pracy.

- Jasne - odrzekła Tracey. - Zobaczymy się potem. - Skierowała się w stronę sąsiedniego boksu, kiedy Maribel złapała ją za ramię.

- Jeszcze coś ci powiem, zanim utkniesz za biurkiem. - Rozejrzała się dookoła i konspiracyjnie zniżyła głos. - Odkryłam butik wszech czasów. Absolutnie doskonały!

- Co? - ożywiła się Tracey. - Gadaj. - Pogroziła przyjaciółce palcem. - Tylko niczego przede mną nie ukrywaj.

- Czy ja kiedykolwiek coś przed tobą ukrywałam? - Maribel zrobiła minę pełną urazy.

- W każdym razie mają tam podróbki Gucciego, Prądy i D&B. Otwarty jest tylko w

weekendy. Mówię ci, można się zabić dla tych ciuchów. Tak świetnie wykończone, że nawet sprzedawca ze sklepu firmowego by się nie zorientował.

Cała uwaga Tracey była teraz skupiona na przyjaciółce. Oprócz wielu wspólnych cech charakteru obie dziewczyny łączył także podobny gust w kwestii ubrań. Niestety, tak się pechowo składało, że to, co im się podobało, było stanowczo za drogie jak na ich kieszenie. Do czasu zamążpójścia Tracey mogła sobie tylko pomarzyć o markowych ciuchach. Maribel podobnie. Stąd też ich nieustanne polowania na dobre podróbki.

- Świetnie - powiedziała uszczęśliwiona Tracey. - No to jesteśmy umówione. Tylko nie waż się tam iść beze mnie.

- A co z...? - Maribel wskazała znacząco na zaręczynowy pierścionek Tracey. - Co z Panem Bogaczem?

- Brian Rutherford Biggs III to duży chłopiec - oświadczyła Tracey wyniośle. - Spędzi w moim towarzystwie piątkowy wieczór oraz całą niedzielę i to będzie musiało mu wystarczyć. Obiecuję ci, że bez względu na to, co przyniesie reszta tygodnia, w sobotę idziemy na zakupy. Postanowione.

- Umowa stoi - potwierdziła Maribel.

- Ale powiedz mi jedno - rzuciła jeszcze Tracey. - Nie sądzisz, że ktoś może nas uznać za płytkie i próżne czy wręcz uzależnione od zakupów?

- Mam nadzieję, że nie - odrzekła Maribel. - A ty pomyśl, że w piątek jest wypłata.

- Którą - podchwyciła Tracey - natychmiast przepuścimy co do grosza.

Maribel wróciła do pracy, a Tracey pospieszyła do swojego boksu, wyposażonego w komputer, telefon, kilka segregatorów i wieszak na okrycie. Umocowana na jednej ze ścianek działowych korkowa tablica miała charakter bardziej osobisty, zawierała kalendarz z kotami, kilka amatorskich fotek Tracey i Briana i ulubionych zdjęć ojca.

Można wierzyć Maribel, że ten butik jest niezrównany, pomyślała Tracey, opadając na siedzenie obrotowego krzesła, czerwonej, ergonomicznej, futurystycznej konstrukcji na pięciu nogach. Nie zdążyła jeszcze dobrze się usadowić, kiedy zadzwonił telefon.

- Pokój newsów, Sullivan - odezwała się oficjalnym tonem. Miękki i łagodny głos po drugiej stronie wprowadził ją w przyjemny nastrój.

- Musi mi pani pomóc. Cierpię na ostry zespół odstawienia Sullivana.

- Brian! - Roześmiała się. - Przecież widzieliśmy się wczoraj.

- Naprawdę? Mnie się wydaje, że to było wieki temu.

- Słuchaj, co mówię.

- Chciałbym ci wierzyć. Co powiesz na skromną kolację we dwoje? Romantyczne miejsce, nic wyszukanego. Żadnych gości przy sąsiednich stolikach, żadnego szefa sali, kelnerów, pomocników kelnerów. Tylko ty, ja, świece, światło księżycy i szampan. - W głosie Briana brzmiały tysiące obietnic.

Tracey westchnęła.

- Brzmi to jak propozycja nie do odrzucenia - powiedziała bezradnie.

- Świetnie. Pamiętaj, nic wyszukanego. Przyjadę po ciebie o siódmej.

- Ale...

- Żadnych ale - zaprotestował, posyłając jej całusa w słuchawkę. Chciała go zapytać, co miał na myśli, mówiąc „nic wyszukanego”, ale przerwał połączenie.

scandalous

ROZDZIAŁ DRUGI

Po powrocie z pracy Tracey w szaleńczym pośpiechu zaczęła przygotowywać obiad. Ojca posadziła do oglądania telewizji.

- Potrafię sam przyrządzić sobie jedzenie - usiłował protestować. - W końcu jestem dorosły i, do cholery, umiem sobie radzić. A ty wyluzuj i zacznij się szykować. Przecież wybierasz się na superrandkę, moja ty młoda i piękna.

- Po pierwsze, to żadna superrandka, tylko zwyczajna kolacja. Po drugie, mam zamiar odgrzać ci coś w mikrofalówce i tyle - rzuciła niezbyt grzecznie Tracey, tak naprawdę czując wyrzuty sumienia, że wychodzi z Brianem i zostawia ojca samego.

Rozgrzała mrożoną lazanię, przypiekła chleb czosnkowy i ustawiła jedzenie na tacy, razem z butelką schłodzonego budewisera. Kiedy brała prysznic, jej włosy pod wpływem pary skręciły się w prawdziwie hollywoodzkie loki. Ledwo skończyła się ubierać, Brian już dawał sygnał klaksonem. Zdecydowała się na zestaw swobodny i sportowy, a zarazem na tyle elegancki, by móc się w nim pokazać niemal wszędzie.

- No, no! - zagwizdał ojciec, kiedy przyszła mu się zaprezentować. - Moja śliczna dziewczynka. Zwalisz wszystkich z nóg.

- To ty tak uważasz. Oboje wiemy, że nie jesteś obiektywny. - Zabrała telefon komórkowy, upewniła się, że jest włączony, i wrzuciła do torebki. Mark, jej agent, nie dzwonił, ale ciągle istniała szansa, że jeszcze się odezwie. Różnica czasu wynosiła trzy godziny, poza tym często miał zwyczaj pracować do późna w noc, tak że niejednokrotnie zdarzało się, że telefonował o dziesiątej wieczorem czasu Miami.

- Skoro mi nie wierzysz, zapytaj lustra - poradził ojciec.

Poszła za jego radą. Z oliwkowozielonymi oczami, popielatymi włosami i lekką opalenizną wyglądała niczym reklama Florydy. Podkreślał to jej dzisiejszy strój; bawełniany top w kolorze akwamaryny, pomarańczowe spodnie i purpurowe, skórkowe sandały na obcasie, z paskiem wiązonym wokół kostki. Na wypadek gdyby miejsce, do którego mieli pójść, okazało się bardziej wytworne, narzuciła na ramiona purpurowy szal z fantazyjnie poskręcanej przędzy, wyszperany swego czasu w jednym ze sklepów z używaną odzieżą. Do tego torebka - miniaturowy kwadracik ozdobiony cekinami, z akwamarynowym paskiem z rafii na ramię.

Całkiem odpowiednio, uznała. Bez względu na to, co szykuje Brian. Nigdy nie było wiadomo, z czym wyskoczy; tego jednego zdążyła się już nauczyć. Równie dobrze mogli

wsiąść w wodolot i zjeść obiad w Bimini albo też odwiedzać po kolei każdy klub w South Beach i w każdym tańczyć do upadłego. Mógł też zaskoczyć ją kompletnie i wybrać jeden lokal - na przykład B.E.D. albo Oxygen Longue - na drinka, kolację i taneczne szaleństwo.

Brian uwielbiał zaskakiwać.

To jedna z cech, które lubiła w nim najbardziej.

Równie nieprzewidywalny bywał, jeśli chodzi o samochody. Jako prawdziwy ich entuzjasta, zgromadził całą kolekcję klasycznych modeli i marek. Dzisiejszego wieczoru przyjechał corvetta 1959, której z pewnością mógłby mu pozazdrościć każdy miłośnik samochodów: z chromowaną, przypominającą szczękę rekina kratownicą osłaniającą wylot powietrza, opływową, lśniącą karoserią w kolorze rzymskiej purpury i białymi panelami bocznymi. Do tego nieskazitelnie biała tapicerka, chromowane kołpaki i potężne, owalne podwójne reflektory.

Auto, zwłaszcza z odsuniętym dachem, budziło powszechny podziw.

Gdy tylko Tracey ukazała się na ganku, Brian wyskoczył z wozu. Nawet nie otwierał drzwi, tylko dał susa nad nimi, po czym obszedł kabriolet dookoła, żeby otworzyć drzwi po stronie pasażera.

Prawdziwy dżentelmen jak za dawnych czasów, przemknęło jej przez myśl. Ciekawe, czy w rękę też mnie pocałuje? - zaczęła się zastanawiać.

Jej rozważania nie trwały długo. Ledwo się zbliżyła, gdy Brian - zupełnie jakby uznał, że do diabła z manierami - puścił klamkę i szeroko otworzył ramiona.

Wpadła prosto w jego objęcia. Przytuliła policzek do piersi narzeczonego i mocno wciągnęła powietrze. Brian zawsze pięknie pachniał - czystością i schludnością. Nie był to zapach wody kolońskiej, tylko mydła, mężczyzny i świeżych ubrań.

Poprzez łagodne pomrukiwania silnika corvetty słyszała, jak jego serce mocno wali, przez materiał spodni czuła narastające zgrubienie, napierające na jej udo. Chwyając Briana za ramiona, odchyliła głowę do tyłu, wpatrując się w jego topazowe oczy. Było tuż przed zachodem słońca i złotawe światło, przefiltrowane przez gąszcz splątanych gałęzi, kładło się na jego skórze, podkreślając każdy rys przystojnej, męskiej twarzy. Brian rozchylił wargi, pozdrawiając ją bez słów.

- Brian?

Czy wymówiła jego imię? Westchnęła? Pomyślała tylko? Nie była pewna, ale bez względu na to, co zrobiła, nie potrzebował dalszej zachęty. Pochylił się nad nią, jedną ręką mocniej objął ją w talii, a drugą przytrzymał z tyłu.

Ich usta się spotkały.

W uszach Tracey rozległ się huczący dźwięk niczym pomruk odległej Niagary.

Usta Briana, ciepłe i miękkie, pieściły jej wargi. Potem jego język wśliznął się pomiędzy nie i zaczął badać - początkowo łagodnie - słodkie, delikatne, wilgotne wnętrze.

Szum Niagary w uszach Tracey narastał. Brian całował ją coraz żarliwiej, od jego gorących warg całe jej ciało zdawało się płonąć. Odnosiła wrażenie, że ogarnęła ich gwałtowna burza, odgradzając oboje od reszty świata. Nigdy nie będę miała go dosyć, pomyślała.

Nie mogąc już dłużej zapanować nad sobą, przyłgnęła do niego mocno biodrami.

- Och - jęknął Brian, przerywając pocałunek. Potrząsnął lekko głową, jakby chcąc pozbierać rozproszone myśli. - Zwolnijmy. Przecież zachowujemy się jak para napalonych nastolatków.

Niechętnie wysunęła się z jego objęć.

- Ja tylko... wyrażałam swoje uczucia, mówiąc ci „cześć” - mruknęła.

- Cześć. - Wybuchnął gromkim śmiechem. - No, no. Po takim „cześć” mam ochotę wyjechać na trochę, żeby potem usłyszeć, jak mówisz: „witaj w domu”.

- Chyba zabrzmiałyby jakoś podobnie - wymamrotała ochryple.

Brian sprawiał wrażenie lekko rozczarowanego, ale kiedy Tracey uniosła dłoń z wielkim, migocącym kamieniem na palcu, pokiwał głową z aprobatą.

Odpowiedziała mu uśmiechem. Doskonale pamiętała tamten wieczór, kiedy poprosił ją o rękę. Jedli kolację w Red Fish Grill w Coral Gables, siedząc przy stoliku pod palmami, których pnie zdobiły sznury białych światełek. Na krawędziach tarasu pozapalano wielkie reflektory, ale dziennego światła nadal wystarczało, by poprzez gąszcz zieleni dostrzec morze i niebo, ciągnące się hen, w nieskończoność.

Między przystawką a daniem głównym Brian wyciągnął z kieszeni niewielkie, czerwone pudełeczko z tłoczonym złotym napisem „Cartier”, wyjął z niego pierścionek i włożył jej na palec.

Oczywiście pierścionek pasował idealnie. Ale czyż wszystko, co wybierał, nie było doskonałe?

- Wiesz - odezwała się łagodnie - nawet jeśli nie jesteśmy małżeństwem, i tak należę do ciebie. Jeden dzień z dala od ciebie boli równie mocno, jak cały tydzień albo miesiąc.

- Co za romantyzm. - Brian przesunął palcem po jej policzku. Odstąpił o krok do tyłu i przytrzymał otwarte drzwi corvetty. - Księżno, do usług - powiedział, naśladując Gavina MacLeoda. Wyciągnął rękę. - Pani pozwoli.

Podjęła zabawę i władcym gestem wyciągnęła dłoń. Brian delikatnie musnął ją ustami, po czym pomógł Tracey wsiąść do samochodu i energicznie zatrzasnął drzwi.

Usiadła na białym, skórzanym fotelu i zapięła pas, przyglądając się jednocześnie, jak Brian obchodzi auto dookoła i zajmuje miejsce za kierownicą.

Przypomniała sobie słowa Maribel, że Brian Rutherford Biggs III to dar Boga dla kobiet. Tak, przyjaciółka miała rację. Brian był niezwykle atrakcyjny, miał porywający profil, orli nos i pięknie sklepione czoło. Gęste, lśniące, czarne włosy nosił zaczesane do tyłu. Otaczała go aura bogactwa i pewności siebie. Nic dziwnego, skoro jego przeznaczeniem było przejąć rozległe interesy rodzinne.

Ale Brian był nie tylko wysokim, opalonym, przystojnym brunetem. Emanowała z niego męskość.

Otworzywszy drzwi po swojej stronie, opadł na siedzenie i odwrócił się do Tracey, rzucając jej jedno ze swoich zniewalających spojrzeń.

- Dokąd jedziemy? - spytała, otulając ramiona szalem.

- Zobaczysz.

- Ale chyba nie do twoich rodziców! - zawołała przerażona. Szczerze mówiąc, intrygowało ją, dlaczego Brian jeszcze jej im nie przedstawił, z drugiej jednak strony wcale nie było jej spieszo ich poznać. - Brian, proszę, jeśli tak, musisz mi powiedzieć. Powinnam była ubrać się bardziej odpowiednio.

- Kochanie, przestań. Wyglądasz olśniewająco. A co się tyczy moich rodziców, nie musisz się nimi przejmować na razie.

- Co to znaczy: na razie? Uśmiechnął się uspokajająco.

- Żartowałem. Zresztą tata akurat skończył ubijać jakiś interes w Szanghaju i tak go to ucieszyło, że postanowił urządzić sobie tygodniowy urlop. Nie wrócił do domu, tylko namówił matkę, żeby poleciała do niego na Mauritius. Zamierzają zostać tam tydzień albo i dłużej. Drugi miesiąc miodowy.

- Chwała Najwyższemu - mruknęła Tracey.

- Na litość boską, przecież to tylko moi rodzice. Nie rozumiem, dlaczego perspektywa spotkania z nimi tak cię przeraża.

- Nie przeraża mnie. - Tracey się roześmiała. - No dobrze, przeraża, ale przecież kiedyś powinnam ich poznać. Nie chcę tylko zrobić niekorzystnego wrażenia, i to wszystko. Tak więc obiecaj mi, że gdy nadejdzie ten czas, uprzedzisz mnie odpowiednio wcześniej.

- Żebyś mogła włożyć perły - zażartował. Prychnęła.

- Tak się składa, że nie mam pereł - odparła. - A poza tym nie wiem, czy zauważyłeś, że nie jestem typem kobiety, która nosi kostiumy i naszyjniki z pereł.

- I dzięki Bogu. - Brian zajrzał jej głęboko w oczy. - Jak sądzisz, czym mnie tak ujęłaś przy pierwszym spotkaniu? - Pochylił się i pogładził ją po policzku. - Ostatnia rzecz, jakiej pragnę, to kolejna debiutantka. Chryste, mam ich po dziurki w nosie po kres swoich dni.

Tracey odetchnęła z ulgą.

- W takim razie dokąd jedziemy, skoro nie do twoich rodziców?

- Mówiłem, że zobaczysz. - Z przekornym uśmiechem zerknął w tylne lusterko, wrzucił pierwszy bieg i przycisnął pedał gazu.

Na Grobli MacArthura Brian skierował lśniąca chromem paszczę corvetty w dół, pierwszym zjazdem za zatoką Biscayne. Zaraz za South Beach ostro skręcił w prawo w Alton Road, a potem jeszcze raz w prawo przy Miami Beach Marina.

Zwolniwszy, zręcznie wyminął cały rząd pojazdów, czekających na parkingowych, którzy dwoili się i troili, żeby obsłużyć wszystkich chętnych, skuszonych perspektywą kolacji z owoców morza. Z typowym dla siebie lekceważeniem wszelkich przepisów postawił samochód na pustym miejscu tuż za znakiem zakazu parkowania. Tracey miała co do tego sprzeczne odczucia. Wpojone przez ojca zasady kazały jej się denerwować na myśl o ewentualnych kłopotach, a buntowniczy charakter aprobował sposób, w jaki Brian łamał przepisy. Ona też chciałaby umieć postępować równie beztrąsko.

- No, jesteśmy na miejscu - oznajmił Brian. Wyłączył silnik i zaczął zasuwać dach.

Z chwilą kiedy ustał gwizdzący w uszach wiatr i umilkł szum motoru, zapanowała niezwykła wręcz cisza, w której dochodzące spod maski odgłosy stygnącego silnika brzmiały absurdalnie głośno. Brian zamknął samochód, opasał ramieniem talię Tracey i poprowadził dziewczynę w kierunku jachtów. Od betonowego nabrzeża niczym rozcapierzone palce odchodziły keje, niektóre proste, inne w kształcie litery L. Po obu stronach każdej z nich stały przycumowane jachty, od sześciometrowych łupinek po ogromne, śnieżnobiałe potwory mające i ponad dwadzieścia metrów długości.

Tracey popatrzyła na Briana.

- Przecież mówiłeś, że jacht twoich rodziców jest za duży, by mógł tutaj cumować.

- Właśnie. - Brian zrobił zabawną minę. - Do tego ma stałą, czternastoosobową załogę, tak że tyle na nim prywatności co podczas koktajl party.

Tracey pokiwała głową. W głębi duszy marzyła o obejrzeniu owego pływającego pałacu, jednak wołała się z tym zbyt nie ujawniać. Jeszcze się napatrzę, powiedziała sobie w myślach. Brian ruszył jedną z kei, mijając łodzie o tak dziwacznych nazwach jak „Furtka”,

„Panienska”, „Zabawna Nancy”, „Sprytny dekownik” i „Dla Maksa”. Przystanął przy samym końcu kei, z podziwem wpatrując się we wspaniałą jacht wyścigowy o pięknej, aerodynamicznej sylwetce i wychylonym do tyłu maszcie radarowym. Rufa wydawała się zaprojektowana z myślą o przyjemnościach przebywania na świeżym powietrzu, począwszy od nart wodnych przymocowanych ukośnie nad opuszczaną hydraulicznie platformą do pływania, po miękkie leżaki do opalania po obu stronach wręgu, od tapicerowanej ławy w kształcie litery L i opuszczanego stolika, aż po sterówkę z fotelami i ergonomicznym kołem sterowym. Kokpit wypełniony monitorami komputerowymi przypominał centrum dowodzenia na statku kosmicznym. Przednią część nieskazitelnego, lśniącego kadłuba przerywały cztery podłużne, obramowane chromem podłużne bulaje, przedni pokład nad nimi miał wbudowane cztery dodatkowe leżaki.

Brian wypuścił Tracey z objęć, wsunął ręce do kieszeni i zaczął spacerować po kei, od dziobu po rufę i na powrót. Kiedy już przemierzył tę przestrzeń kilkakrotnie, przystanął i zapytał, nie patrząc na dziewczynę, zupełnie jakby nie mógł oderwać wzroku od jachtu.

- I jak? Co o nim sądzisz?

Cóż mogła sądzić o tej łodzi? Błyskawicznie przyszły jej do głowy rozmaite określenia, typu: „motor z tapicerką” albo „parkiet do tańca”, postanowiła jednak sprawdzić wodę, zanim do niej wskoczy.

- Ja... tak... co sądzę? No... czy to twój jacht?

- Tak. - Brian rozpromienił się niczym dumny ojciec nowo narodzonego dziecka. - Dzisiaj go odebrałem. Podoba ci się?

Wskazał ręką nazwę: ogromne, czarne litery, obramowane złotem zapraszały: WSTĄP NA POKŁAD.

A poniżej, mniejsze:

Miami Beach

Wstąp na pokład.

Podwójne znaczenie tej nazwy nie uszło jej uwagi. Święty Boże, pomyślała, wzdychając w duchu. Co te maszyny robią z mężczyzn? Czy każda rzecz z podrasowanym silnikiem musi od razu zmienić rozsądnego faceta w nadętego głupka?

- No - naciskał Brian. - Podoba ci się? Wybrała najprostsze z możliwych rozwiązań.

- A co w niej mogłoby mi się nie podobać? - odrzekła, unikając bezpośredniej odpowiedzi.

Brian kompletnie tego nie zauważył. Uśmiechając się szeroko, mierzył jacht pełnym zachwytu spojrzeniem, w taki sposób, w jaki mógłby spoglądać na wyjątkowo zgrabną dziewczynę na plaży.

- Tak, masz rację - powiedział powoli. - Co w niej mogłoby ci się nie podobać?

Oderwał wzrok od lśniącego kadłuba i popatrzył na Tracey. Natychmiast poczuła, że cała się rozplywa. Mniejsza o łódź, liczył się tylko on.

Głos Briana był równie czuły jak jego spojrzenie.

- A co byś powiedziała na rozbicie butelki szampana i prawdziwy chrzest?

Tracey wciąż widziała tylko jego oczy.

- Nigdy jeszcze nie chrzciliam łodzi. Nie jestem pewna, czy odważyłabym się rozbić butelkę o dziób. Ani o jakąkolwiek część burty. Bałabym się, że coś uszkodzę.

Na myśl o takiej możliwości Brian zamrugał niespokojnie.

" - Masz rację. To dziecko nie ma żadnej skazy. Powiem ci, jak zrobimy. Odkorkuję butelkę, a ty dopełnisz ceremoniału. Wylejesz szampan na burtę bez rozbijania butelki, zgoda?

- Zgoda. - Tracey się uśmiechnęła.

- A potem - mruknął, muskając jej szyję - potem odbijemy i pozeglujemy w głąb zatoki w nasz maleńki, dziewiczy rejs.

Poczuła, że świat kurczy się nagle do nich dwojga.

- A potem? - zapytała zduszonym głosem.

Brian uśmiechnął się, przyciągając ją bliżej. Czowała swoje piersi mocno przyciśnięte do jego twardego torsu, czowała mocne bicie jego serca.

- A potem sprawimy jej prawdziwy chrzest - wyszeptał.

Brian rzucił kotwicę po zewnętrznej stronie oznaczonego bojami kanału. Słońce zachodziło i niebo okryło się purpurą. Wyłączył silnik, tak że słyszeli teraz leciutkie uderzenia fal o burtę. Zapalili napędzane generatorem światła pozycyjne, aby jacht był widoczny dla każdej zbliżającej się łodzi.

Tracey ułożyła się na jednym z leżaków na rufie i wyciągnęła przed siebie długie nogi. Czując w płucach słone, morskie powietrze, przypatrywała się odległej panoramie Miami, widocznej poniżej grobli rysującej się czarną wstążką na tle pociemniałego nieba.

- Z tego miejsca - mruknęła leniwie - światła miasta wyglądają niczym migoczące diamenty.

- Nie zapomnij też o migoczących szafirach, rubinach, szmaragdach i granatach - dodał Brian, leżący obok z głową wspartą o jej biodro.

- Zastanawiam się, jaki kamień odpowiadałby temu budynkowi w kolorze fuksji, o tam, na prawo. - Wskazała palcem. - Ametyst chyba nie.

Brian podniósł głowę, odwrócił się i popatrzył w tamtą stronę, po czym powrócił do poprzedniej, wygodnej pozycji. Wzruszył ramionami.

- Pojęcia nie mam. Podałem ci już nazwy wszystkich kamieni szlachetnych, jakie znam. Jeśli cię to naprawdę interesuje, możesz zapytać moją matkę. Jest ekspertem gemmologiem. Podejrzewam, że z ciebie w krótkim czasie też zrobi specjalistkę od tych rzeczy.

- Nie przerażaj mnie. Jestem kompletnym laikiem, jeśli chodzi o kamienie szlachetne.

- Wcale nie mam zamiaru cię przerażać. Zresztą wiem, że szybko się nauczysz. Zanim się spostrzeżesz, już będziesz biegła z lupą w torebce, zupełnie jak mama. Szkło powiększające jest dla niej równie niezbędne, co karta American Express. Bez niego nie ruszy się z domu.

- Nie mów. Na wypadek gdyby miała się natknąć na jakiś interesujący okaz w oknie wystawowym u jubilera?

- Tak.

Święty Boże, jęknęła w duchu Tracey.

Podobnego bogactwa nie potrafiła sobie nawet wyobrazić. A przecież kiedy po ślubie z Brianem sama znajdzie się w tym świecie, bez wątplenia będą od niej oczekiwać, że pójdzie za przykładem matki Briana i jej przyjaciółek, które jadały w najlepszych restauracjach, hojnie wypisywały czeki na cele dobroczynne, znały na wylot wszystkie domy aukcyjne, zajmujące się sprzedażą dzieł sztuki i rzemiosła artystycznego, i potrafiły nie tylko odróżnić styl Ludwika XV od Ludwika XVI, ale także od pierwszego rzutu oka określić wartość każdego arcydzieła, uczestniczyły również w pokazach mody, zamawiając całe kolekcje strojów, i przy każdej okazji wpadały do Paryża.

Była to dość oszałamiająca perspektywa i Tracey poczuła nagle przyływ paniki na myśl o konieczności dopasowania się do tak obcego jej świata. Dla dodania sobie odwagi sięgnęła po kieliszek szampana, stojący na specjalnej podstawce, wychyliła jego zawartość i westchnęła z zadowoleniem, momentalnie zapominając o czekających ją w przyszłości obowiązkach pani Brianowej Rutherfordowej Biggsowej Trzeciej. Starannie odstawiła kieliszek na miejsce.

- Ten Dom Perignon jest wyśmienity - powiedziała. Brian się roześmiał.

- Dom Perignon jest zawsze wyśmienity. - Popatrzył na nią z dumą. - Głodna?

- Jeszcze nie. Czuję się świetnie, aczkolwiek muszę przyznać, że odrobinę kręci mi się w głowie. - Jej uśmiech był ledwo widoczny w blednym świetle dnia. - Kto by tam myślał o jedzeniu? To wszystko należy teraz do mnie. - Leniwym gestem uniosła rękę, pokazując olśniewającą panoramę. - Ten widok, ta łódź i ty.

- W takim razie zaspokoimy głód zupełnie innego rodzaju - wymruczał Brian.

Obrócił się na bok i przycisnął twarz do jej ud. Zastygł w tej pozycji, nie wykonując najmniejszego nawet ruchu. Po prostu leżał. I nie musiał robić nic więcej. Każdy jego oddech sprawiał, że Tracey ogarniały coraz mocniejsze fale gorąca.

Jęknęła cicho. Oczy jej przymknęły się same. Całkowicie poddała się łagodnemu kołysaniu jachtu, podczas gdy ciepło bijące od warg Briana wywoływało w niej rozkoszne dreszcze.

Ale ta łagodna pieśczość nie mogła trwać w nieskończoność. Raz wzniecony ogień rozszerzał się w sposób niekontrolowany i głupotą byłoby przypuszczać, że da się opanować. Jej ciało wrywało się do niego. Jeśli nie będzie miała go zaraz, za chwilę, oszaleje. Tymczasem Brian nadal leżał nieporuszony, coraz bardziej rozpalając Tracey swoim oddechem, zupełnie jakby sprawdzał stopień jej opanowania i samokontroli.

Poczuła, że dłużej już nie wytrzyma. Osunęła się na leżaku zupełnie płasko na wznak.

- Brian - jęknęła - albo przestań, albo zrób coś.

Wyciągnął ręce, ujął jej dłonie i splótł ze swoimi. Ze wszystkich sił starała się uwolnić, ale kapitulacja była nieunikniona. Poddała się z westchnieniem. Jej piersi zafalowały gwałtownie.

- Powoli, kochanie - powiedział Brian, spoglądając w lśniące oczy Tracey. - Nie ma powodu do pośpiechu. Nie słyszałaś, że najwspanialsze rzeczy spotykają tych, którzy potrafią czekać?

Podniosła wzrok prosto na niego.

- Czekanie jest torturą.

- Skoro tak - wyszeptał - mamy przed sobą całą noc.

Pochylił się, żeby ją pocałować. Zadrżała w radosnym oczekiwaniu, jednak Brian zatrzymał się w pół drogi do jej ust i spojrzał w oczy. Oddanie, jakie w nich dostrzegł, rozpalilo w nim ogień pożądania, nie mógł już dłużej się z nią droczyć. Musiał ją mieć i to szybko. Opadł na bok. Wsunął ręce pod wycięty top i zaczął gładzić jej piersi, podczas gdy jego język napawał się słodyczą ust.

Tracey jęknęła i dreszcz rozkoszy przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa, gdy Brian zaczął pieścić jej sutki. Przyłgnęła doń, a Brian westchnął głośno, kiedy pogładziła wypukłą twardość pod jego spodniami.

- Chodź, rozbierzmy się - wyszeptał. - Nikt nas tutaj nie zobaczy, a jeśli nawet, to co z tego.

Pomagała mu, kiedy ściągał jej przez głowę akwamarynowy top i zsuwał z bioder spodnie. Ujął w palce jej jedwabne majteczki, a kiedy je zdejmował i odrzucał na bok, jego oczy z nieskrywaniem pożądaniem wpatrywały się w jej nagość. Sandałki na obcasie Tracey zdjęła już przy wchodzeniu na pokład, nie chcąc skalać jego idealnej bieli. Brian dźwignął się, pośpiesznie zrzucając z siebie ubranie, które spoczęło na stercie jej rzeczy. Stał wyprostowany i z błyskiem w oczach przypatrywał się pięknemu ciału dziewczyny. Odpowiedziała mu gorącym spojrzeniem, czerpiąc rozkosz z widoku jego męskości i wyraźnej dumy, z jaką ją prezentował.

W okamgnieniu opadł na kolana, nakrywając ustami jej wargi z nowo rozbudzonym pożądaniem. Powędrował ustami ku jej piersiom, muskając je czubkiem języka. Tracey pogładziła go palcami, a wtedy całe ciało Briana zdrząło z rozkoszy. Wydał z siebie jęk, sięgnął po jej dłoń i ucałował żarliwie. Wszedł w nią, najpierw powoli i łagodnie, urzeczony zachwytem i fascynacją, malującą się w jej oczach.

Jęknęła z rozkoszy, ogarnięta coraz silniejszym pragnieniem, a kiedy nie potrafił już dłużej zapanować nad sobą i wtargnął w nią mocno, krzyknęła cicho. Brian nakrył wargami jej wargi, jego język łapczywie szukał jej języka. Poruszał się rytmicznie, smakując słodycz jej kobiecości. Tracey poddała mu się bez reszty; jej ciało pulsowało tym samym rytmem, jej pragnienie było równie wielkie. Przywarła do jego ramion, myśląc, że Brian jest najwspanialszym kochankiem świata, a ona jego jedyną miłością.

Teraz zaczął poruszać się gwałtowniej, ogarnięty wirem niepoohamowanego pożądania. Nagle ostry dźwięk telefonu komórkowego przeniknął przez otaczającą ich zasłonę rozkoszy. Brian jęknął głośno, Tracey drgnęła gwałtownie. To był sygnał jej telefonu.

Jej powieść. Czy została przyjęta?

- Ja... ja muszę odebrać - powiedziała z ociąganiem. - To z pewnością Mark dzwoni z Los Angeles.

Brian potrząsnął głową.

- Nie - szepnął - zapomnij o tym.

- Muszę - upierała się Tracey, szukając ręką torebki.

- Nie - nalegał, mocno przyciskając ją do siebie. - Powiedziałem, zapomnij o tym.

Telefon nadal dzwonił, nieprzyjemnym, wwiercającym się w uszy dźwiękiem.

- Brian - powiedziała, wrywając się. - To ważna rozmowa, ja naprawdę muszę...

Jego ciało rozluźniło się nagle. Odsunął się od niej.

- Cholera! - zaklął. - No to odbierz to draństwo. - Usiadł, z rękami wspartymi na kolanach i głową w dłoniach.

Tracey chwyciła szybko naszywaną cekinami torebkę i sięgnęła po telefon.

- Halo - odezwała się zdyszczanym głosem, włączając odpowiedni przycisk.

- Tracey? - Tak.

To był Mark Varney, jej agent. O mój Boże, pomyślała, prostując się. Serce jej waliło. Książka! Wyciągnęła rękę do Briana. Miała wrażenie, że ujął jej dłoń z pewnym ociąganiem. Ale zaraz uściśnął ją, dodając otuchy. To już lepiej.

- Jak się masz? - zaczął Mark. Zachichotała nerwowo.

- Och, chyba sam wiesz - odrzekła drżącym głosem. - Mów, jakie nowiny.

- No więc słuchaj, jadłem lunch z Lisette Alexander z Browne - Smeeks.

Serceomal nie wyskoczyło jej z piersi.

- To ta sycha, którą tak zachwylił twój konspekt i próbne rozdziały - przypomniał jej.

- Pamiętasz, tłumaczyłem ci kilka tygodni temu, że obecnie w Browne - Smeeks nikt nie ma prawa samodzielnie podejmować decyzji, a o wszystkim decyduje zarząd.

Tak! tak! Miała ogromną ochotę potrząsnąć Markiem na odległość. Przecież rozmawiali o tym dwa tygodnie temu. Co dalej?

- No więc właśnie skończyła czytać twoją powieść i dyskutowali o niej na posiedzeniu rady wydawniczej dziś rano.

- Tak - jęknęła słabo Tracey. Nie do końca sprecyzowane przecucie zaczęło jej podszeptować, w jakim kierunku zmierza rozmowa.

- Widzisz, wydawnictwo macierzyste zainicjowało nową politykę.

Cholera, a więc to tak. Zamknęła oczy, nie chcąc dopuścić do siebie tego, co zaraz miało nastąpić, i mocno trzymała telefon gorącą, śliską od potu dłonią. Brian, wyczuwszy, że coś się dzieje, ponownie uściśnął jej wolną rękę, dodając otuchy. Tracey wydawało się nawet, że w ciemnościach dostrzega jego uśmiech.

- Do tej pory - ciągnął Mark - zyski z literatury popularnej rekompensowały straty, jakie czasami przynosi wydanie ambitnej, niekomercyjnej pozycji. Teraz to się zmieniło. PubCorp PLC, czyli firma macierzysta, ogłosiła, że od tej pory każdy tytuł traktowany będzie jako osobna całość, mająca samodzielnie zarobić na sobie.

- Ale moja książka jest komercyjna - wtrąciła Tracey. - Sam to niedawno mówiłeś.

- Ty wiesz, że tak jest, i ja również o tym wiem - odpowiedział Mark. - Ale w obecnej chwili w Browne - Smeeks niechętnie patrzą na nowych autorów, a szczególnie takich, których trzeba dopiero wypromować.

Tracey poczuła, że jej uporządkowany, mały świat nagle zaczyna wirować. Nowa polityka wydawnicza... nie samego wydawcy, ale firmy macierzystej... co oczywiście spowodowało wiadome reperkusje. Pod zamkniętymi powiekami miała obraz swojej powieści rozpadającej się na kawałki; strzępy kart wirowały niczym płatki śniegu podczas zamieci.

Jej książka! Jej dziecko!

Projekt, któremu poświęciła setki godzin, który wypieściła.

I po co to wszystko?

Żeby zobaczyć, jak zostaje unicestwiony?

- Innymi słowy - powiedziała głuchym głosem - mój maszynopis został odrzucony.

Zapadło przynębiające milczenie. Potem Mark Varney odchrząknął.

- Tak.

Tracey wydała zduszony jęk rozpacz. Kim oni byli, do diabła, ci z wydawnictwa? Banda idiotów.

- Pamiętaj, że na Browne - Smeeks świat się nie kończy - ciągnął Mark. - Jasne, że przy tych wszystkich konsolidacjach i wykupie udziałów pozostaje nam niewiele prawdziwych rekinów wydawniczych, ale przecież nie próbowaliśmy jeszcze u Bertelsmanna czy też u Tima Warrena albo Simona i Schustera.

Tracey nie przerywała mu, choć już go nie słuchała. Jasne, czasami człowiek uważa szklankę za w połowie pełną, czasami jednak przychodziły takie chwile, kiedy zdecydowanie wydawała się w połowie pusta.

- Najważniejsza rzecz to się nie poddawać - mówił dalej Mark. - Jesteś zbyt dobrą pisarką, żeby rezygnować ze swojego talentu. Odczekaj.

Jasne, jakby mogła sobie pozwolić na czekanie!

- Och - przerwała mu nagle, tylko po to, żeby go się pozbyć i móc w spokoju lizać rany. - Ja... ja muszę już kończyć. Jestem z przyjacielem. Porozmawiamy o wszystkim przy innej okazji, dobrze?

- Oczywiście - zgodził się Mark - ale słuchaj, nie załamuj się. Ja ciągle wierzę i Lisette także. To jeszcze nie koniec świata.

Tracey odetchnęła głęboko.

- Jasne - powiedziała, kończąc połączenie i myśląc przy tym: a właśnie że dla mnie to jest koniec świata.

Odrzucona!

Tracey drżącymi palcami zamknęła klapkę telefonu i wrzuciła go do torebki. Gwałtownie wyszarpnęła rękę, zupełnie jakby aparat parzył. Siedziała bez ruchu, wpatrzona w pokład, nie zwracając najmniejszej uwagi na jego niepokalaną biel, lśniąca nawet w przyćmionym świetle wieczoru. Nie widziała drogich, ekskluzywnych detali jachtu ani całego luksusowego wyposażenia. Widziała wyłącznie miejsce, w którym została schwytana w pułapkę - ziemię niczyją, otchłań gniewu i bólu.

Po ogromnej dawce optymizmu gorzka pigułka rozczarowania okazała się niezmiernie trudna do przełknięcia, tak że Tracey musiała zagryzać dolną wargę, walcząc z napływającymi łzami.

Brian przygarnął ją do siebie.

- Co się stało, Tracey? - zapytał łagodnie. - Opowiedz mi.

- To... to dzwonił Mark Varney - odrzekła słabym głosem. - Nie chcę mojej książki.

Brian przytulił ją opiekuńczym gestem.

- Nie martw się. To jeszcze nie koniec świata. - Koniuszkiem języka musnął jej ucho i kark, wreszcie pocałował ją w policzek. Kiedy nie zareagowała, powiedział: - Hej, dosyć już. Nie myśl o tamtym. To o nas dwojgu powinnaś teraz myśleć, pamiętasz?

Skinęła głową, nawet na niego nie patrząc.

- Wiem, Brian - wykrztusiła. - Pamiętam o nas, ale teraz... teraz muszę zostać sama.

Brian westchnął głośno.

- Sama? Jezus, Tracey, jesteśmy na pokładzie, bawimy się świetnie i nagle jeden pieprzony telefon sprawia, że kompletnie przestaję dla ciebie istnieć.

- Przykro mi, Brian. Ja... ja nic na to nie poradzę - szepnęła, usiłując powstrzymać łzy.

- Chciałbym sprawić, żebyś poczuła się lepiej.

- Ja też - odparła - ale nie potrafię.

- Rozumiem. - Brian ponownie przytulił ją do siebie. - Czy wolisz, żebym odwiózł cię do domu?

Pokiwała głową.

- Tak chyba będzie najlepiej. Czule pocałował jej odsłonięte ramię.

- Wszystko, czego moja dziewczynka sobie zażyczy - powiedział, usiłując ukryć irytację.

- Dziękuję - szepnęła.

Chyba powinnam czuć się szczęśliwa, mając kogoś, kto tak o mnie dba, pomyślała. Problem w tym, że wcale tak się nie czuję.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy facet, z którym umówiła się na randkę, zadzwonił do drzwi, Maribel była już gotowa do wyjścia. Ale nie rzuciła się od razu, aby otworzyć. Doświadczenie nauczyło ją, że mężczyźni doskonale robią, jeśli chwilę zaczeka.

- *Uno momento!* - zawołała śpiewnie.

W króciutkiej, czerwonej sukience z obcisłą górą i cienkimi, skrzyżowanymi z przodu ramiączkami, w czarnych, koronkowych rajstopach, idealnie pasujących do czerwonych pantofelków na niebotycznych obcasach i z paseczkiem wokół kostki, Maribel szykowała się na szampański wieczór.

Chwilę jeszcze zwlekała z otwarciem drzwi, ćwicząc taneczny, uwodzicielski krok. Zatrzymała się przy toalecie w przedpokoju, żeby zabrać torebkę - kopertówkę ze skóry aligatora i - co ważniejsze - rzucić ostatnie spojrzenie w lustro.

Wydeła wargi, podziwiając ogniście czerwoną pomadkę Electra Red, z nałożoną na nią warstwą jakby wilgotnego, przezroczystego błyszczycy. A oczy... Z satysfakcją pokiwała głową. Błyszczące niczym czarne oliwki, pod pięknie zarysowanymi łukami brwi, efektownie podkreślone tuszem do rzęs w kolorze łagodnej czerwieni, dodającym spojrzeniu figlarności. O paznokciach też nie zapomniwała, nadając im odpowiedni połysk dzięki lakierowi o wdzięcznej nazwie Pomaluj Me Serce na Czerwono.

- *Arriba* - wydała niegłośny okrzyk, wykonując kilka kroków flamenco. Na ten widok Catherina Zeta - Jones pękłaby z zazdrości. Odrzuciła do tyłu bujne, czarne włosy, posyłając swemu odbiciu w lustrze delikatny pocałunek, po czym poszła otworzyć.

Na oświetlonym lampą ganku stał Ramón Felipe Escolano. *Dios mio!* Gwałtownie wciągnęła powietrze.

Kiedy pospiesznie umawiali się na randkę, było to ich pierwsze i jak dotąd jedyne spotkanie. Wówczas wyglądał bardzo konserwatywnie: klasyczny tropikalny, prążkowany garnitur z kamizelką, pomarańczowy, jedwabny krawat i złote spinki przy mankietach. To prawda, że z miejsca wpadł jej w oko, że emanował seksem, ale nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że garnitur mógł skrywać aż tyle wspaniałości.

Dios mio!

Ramón Escolano był wysoki i szczupły, miał wystające kości policzkowe, szeroką szczękę i wydatne usta, jakby stworzone do pocałunków. I jeszcze te oczy, w których - jak to się zwykło określać - odbijało się łóżko; wielkie, lśniące, w obramowaniu długich rzęs. W

takich oczach dziewczyna ma ochotę zatopić się bez reszty. Krótkie, czarne włosy, uprzednio konwencjonalnie zaczesane do tyłu, teraz unosiły się w kunsztownym nieładzie, obowiązującym po godzinach pracy.

- Och, haalo - powiedziała z wolna. Wyczulone na modę radary jej oczu omiatały go od stóp do głów, rejestrując każdy szczegół ubrania.

Nie pominęły niczego. Ani czarnego, jedwabnego t - shirtu z wycięciem w kształcie litery V, podkreślającego umięśnione ramiona i delikatny zarys pięknie sklepionego torsu, ani szerokich, białych, płóciennych spodni, pozostawiających tyle pola dla wyobraźni - pewnie dzięki uprzejmości Ralphi Lauren'a Polo, jak zauważyła Maribel - ściśniętych wąskim, czarnym paskiem z krokodylej skóry, który, jeśli oczy jej nie myliły, stanowił wyrób Barry'ego Kieselsteina. Do tego biała, sportowa marynarka, niedbale przerzucona przez ramię (sądząc po wyglądzie - Armani, nie żadna podróbka), i wielki rolex, bez wątplenia kosztowny, choć jednocześnie prosty w formie i stonowany.

Ostentacja, lecz bez przesady.

Idealny facet, pomyślała z błyskiem w oku.

Nie stanowiło to tajemnicy, że Maribel żywiła słabość do przystojnych, modnie ubranych mężczyzn. W końcu jeśli umawiała się z kimś na spotkanie, ten ktoś musiał do niej pasować. Skoro ona sama stawiała na głowie, żeby prezentować się jak najlepiej, zasługiwała na mężczyznę, który postępował podobnie.

- Witaj - powiedział Ray, odsłaniając nieskazitelnie białe zęby w szerokim uśmiechu. Zza pleców wyciągnął samotną, blad różową różę na długiej łodydze i podał dziewczynie z ukłonem.

- Piękno dla piękna.

Oklepany gest, ale jednocześnie miły. Maribel głęboko wciągnęła w nozdrza delikatny zapach.

- Jesteś gotowa do wyjścia na kolację w moim towarzystwie? I tańców?

- *Bueno!* - Oczy Maribel zaśnity. Ray z każdą chwilą prezentował się lepiej.

- Zarezerwowałem stolik w Kiss Steakhouse and Lounge. Odpowiada ci?

Czy jej odpowiada? Na liście jej ulubionych lokali Kiss Steakhouse znajdował się w pierwszej piątce. Wsunęła mu rękę pod ramię.

- Och, może być - rzuciła niedbale, nie chcąc pokazać, jak bardzo jej odpowiada.

- W takim razie ruszamy!

W Kiss, na skrzyżowaniu Lincoln Road i James Avenue, mieściły się restauracja, bar, dyskoteka i kabaret. Styl Miami w najlepszym wydaniu. Stoliki, zarówno w środku, jak i na

zewnątrz, stały na rzeźbionych postumentach, krzesła miały wysokie oparcia, nadające im wygląd postmodernistycznych tronów ze zwieńczeniami.

Ray wybrał stolik na zewnątrz, pod palmami i gwiazdami.

- Namawiam na margaritę - powiedział, kiedy *maître d'hotel* odsuwał krzesło Maribel.

Roześmiała się z aprobatą.

- Wierz mi, na margaritę nie trzeba mnie wcale namawiać.

- Dwie margarity - zwrócił się Ray do kelnerki, układając palce w literę v.

Kiedy wróciła z drinkami, unieśli szklanki.

- Za nas - powiedział Ray, trzymając swoją wysoko w górze.

- Za nas - powtórzyła Maribel, czując, że brak jej tchu. Kiedy się stukali, ręka jej drżała. Sącząc alkohol, wpatrywała się w Raya znad szklaneczki.

Odwzajemnił jej spojrzenie.

- Smakuje ci margarita? - zapytał miękko.

Wychwyciła dwuznaczność i zaczerwieniła się gwałtownie. Tak naprawdę chciała mu powiedzieć: podobasz mi się, chcę, żebyś się ze mną kochał, ale ograniczyła się do jednego słowa:

- Wyśmienita.

Jej oczy zdradzały wyraźnie, że ma na myśli coś więcej niż tylko drinka.

Alkohol rozwiązał im języki. Paplali o wszystkim i o niczym, ze zdumieniem odkrywając, jak wiele ich łączy.

- Nie mogę w to uwierzyć! - wykrzyknęła Maribel, a oczy jej zabłysły. - Ty także szalejesz za hokejem na lodzie, tańcem, Ozzym Osbourne'em i zagranicznymi filmami? Nie opowiadaj, ktoś musiał ci powiedzieć, że dla mnie Visconti otwiera listę najlepszych.

Potrząsnął głową.

- Naprawdę nikt ci tego nie mówił? Przysięgasz na Boga? Uśmiechnął się, przyłożył dłoń do serca i powiedział:

- Przysięgam na Boga.

- No, no - mruknęła, przyglądając się, jak Ray pije łyżeczek trunku i koniuszkiem języka zlizuje sól z górnej wargi. Pomyślała, że chyba śni, to przecież nie może być prawda!

Ona musiała się liczyć z każdym centem, ograniczając się do butików z podróbkami i sklepów z ciuchami z drugiej ręki, podczas gdy on nosił Armaniego, Polo i roleksa, a przecież szybko odkryli, że pochodzeniem niewiele się różnią.

Jego wychowała samotna matka. Ją także. Oboje mieli rodziny i w Miami, i na Kubie.

Margarity ubywało. Maribel przechyliła głowę na ramię.

- Chcę wiedzieć więcej.
- Więc pytaj.
- Przecież jesteś za młody, żeby być *abogado*. Uśmiechnął się.
- Mam więcej lat, niż na to wyglądam.
- Nie bujaj.
- Serio. Przyjechałem do Stanów z Kuby w siedemdziesiątym ósmym.

Popatrzyła na niego w osłupieniu.

- Jesteś *marielito**?

- Zgadza się. - Upił kolejny łyk i ponownie zlizął sól z górnej wargi. - Moja matka i ja przybyliśmy tu pierwszą łodzią. - Starł palcem rosę, która osiadła na kieliszku, i podniósł wzrok na Maribel. - Dlaczego tak cię to dziwi?

- Ponieważ w twoim angielskim nie wyczuwam ani śladu akcentu. Nawet ja mam leciutki akcent, a przecież urodziłam się tutaj.

- Tak, ale ty się wychowałeś w społeczności hiszpańskojęzycznej. Ja miałem osiem lat, kiedy przyjechaliśmy do Stanów i moja matka postawiła wszystko na jedną kartę - życie i praca wyłącznie wśród *Anglos*. - Zrobił ponurą minę. - Problem w tym, że to nie byli prawdziwi *Anglos*, tylko biała nędza z Florydy.

- Ach! - odpowiedziała Maribel z podobnym grymasem. Ray potrząsnął głową w ponurej zadumie.

- Boże, jak ja ich wszystkich nienawidziłem... i jak tamte dzieciaki nienawidziły mnie. Zawsze byłem outsiderem.

Popatrzyła na niego ze współczuciem.

- Dzieci potrafią być okrutne.

- Nie musisz mi tego mówić. Byłem *marielito*, więc szydziły ze mnie, jakbym był jakimś kryminalistą albo szaleńcem wypuszczonym przez Castro ze szpitala dla wariatów. Pamiętam mój pierwszy dzień w szkole. Wdałem się w bójkę i wróciłem do domu cały poharatany. Poskarżyłem się matce, ale ona w ogóle nie okazała mi współczucia. „Musisz się nauczyć sam dbać o siebie”, oświadczyła. A kiedy zapytałem, czy nie moglibyśmy się przeprowadzić do jakiejś sympatyczniejszej dzielnicy, czy wiesz, co mi odpowiedziała?

Maribel potrząsnęła głową.

- Powiedziała, że jeszcze jej za to dziękuję. Pomyślałem wtedy, że zwariowała. Podziękować? Za co? Za to, że wrzuciła mnie w sam środek szkolnego bajora pełnego

* Uciekinierzy z Kuby, wypływający na statkach z portu Mariel.

piranii? Matka jednak upierała się przy swoim. Całkowita amerykańizacja to dla mnie jedyny sposób na osiągnięcie czegoś w życiu.

- Pozwól mi zgadnąć, co było dalej. Te dzieci, które się nad tobą znęcały, które wyśmiewały się z ciebie...

- Tak?

- To one właśnie zmusiły cię, żebyś zakuwał jak szatan i zdobywał najlepsze stopnie. Mam rację? A oczywiście twoje oceny czyniły cię jeszcze mniej popularnym.

Popatrzył na nią z ukosa.

- Zgadza się. A teraz pozwól, że ja zgadnę. Z tobą było podobnie, prawda?

- Cóż, podobnie, choć niezupełnie tak samo. Na szczęście wychowywałam się w Małej Hawanie, ale *por Dios*, moja matka też robiła wszystko, żebym prześcignęła inne dzieciaki. Odgrywanie Miss Goody Two Shoes* i bycie pupilką nauczycielki wcale nie przysporzyło mi popularności w szkole. Ale wiesz, co? Dzisiaj jestem wdzięczna mamie za jej upór.

- Wiem - powiedział miękko Ray. - Przecież ja tak samo.

Skinął na kelnerkę, żeby przyniosła następną kolejkę. Zaczęli studiować kartę dań. Kiedy dziewczyna wróciła z dwiema kolejnymi margaritami, złożyli zamówienie.

Ray zdecydował się na średnio wysmażony stek.

Maribel wzięła małże z Maine, z rusztu, z rozmarynem.

Ray uznał, że sauvignon blanc, rocznik 1998 z Napa Valley będzie pasował do obu dań.

I rzeczywiście, przejście od margarity do wina odbyło się bezboleśnie.

Po kolacji Ray zaproponował wypad do klubu z ogromną salą taneczną ze strzelistymi kolumnami i feerią świateł, gdzie didżeje puszczali najnowsze międzynarodowe przeboje, a w przerwach prezentowano pokazy sztuczek z ogniem i taniec brzucha. Było dopiero wpół do jedenastej, a więc nieco wcześniej jak na klubowe standardy, bo impreza rozkręcała się dopiero po północy. Ale Rayowi i Maribel bardziej odpowiadała taka intymna atmosfera, bez tłoczących się wszędzie ludzi.

Najpierw tańczyli, potem Ray zamówił butelkę szampana, a później znowu poszli tańczyć.

* Bohaterka bajki Johna Newbery'ego, biedna dziewczyna, posiadająca tylko jeden bucik. Kiedy zdobyła drugi, przechwalała się nim przed wszystkimi; synonim osoby przemądrzałej, przekonanej o własnej nieomyślności.

Jedno prowadzi do drugiego. Kolacja do tańców. Kiedy tańczyli, rozgrzani pulsującym rytmem, pozostałe pary zaczęły się wycofywać, aż wreszcie zostali na parkiecie tylko we dwoje. I chociaż ich ciała nie dotykały się nawet, oboje odnosili wrażenie, że na tej lśniącej posadzce poddają się rytmowi miłości.

Wreszcie Ray ujął Maribel za ramię i krzyknął jej coś prosto do ucha. Nie zrozumiała jego słów, zagłuszonych muzyką, ale przecież nie musiała ich słyszeć. Wszelkie słowa były zbędne. I tak wiedziała, co jej proponuje.

Przez moment wpatrywała się w niego ogromnymi, błyszczącymi oczami, potem skinęła głową i podążyła za nim do wyjścia. Ray uznał rozsądnie, że wypiwszy tyle alkoholu, nie powinien siadać za kierownicą, wezwał więc taksówkę, zostawiając samochód przed klubem.

Ray mieszkał dokładnie naprzeciw Grobli Brickell Bay, w nowo wybudowanym wieżowcu, do którego wejście otwierało się za pomocą urządzenia identyfikującego odcisk kciuka. Portier w liberii, siedzący za wielkim biurkiem z drewna różanego i marmuru, pozdrowił ich uprzejmie; podobnie uzbrojony strażnik. Winda, także działająca na odcisk kciuka, w ciągu kilku sekund wywiozła ich wysoko ponad Biscayne Bay. Drzwi zamknęły się bezszelestnie.

Podniecenie Maribel rosło. Powoli weszła do mieszkania i obróciła się wkoło. Nie wierzyła własnym oczom. Dwupoziomowy apartament z mansardową sypialnią był niczym podniebny zamek. Podłogi miał z rzadkich gatunków drewna, przeszklone od dołu po sam sufit ściany otwierały się na niezrównany widok zatoki. Mebli było niewiele, wszystkie współczesne, objawiały bezbłędny gust gospodarza.

Na zewnątrz znajdował się ogromny, prywatny taras, wypełniony roślinami niczym wschodni ogród, oraz basen na dachu.

Jeśli to mieszkanie nie było urzeczywistnieniem amerykańskiego snu, Maribel nie miała pojęcia, co mogłoby nim być.

Ray Escolano najwyraźniej pokonał długą drogę. Odległość z Kuby do tego miejsca wynosiła co najmniej pięć milionów dolarów.

- *Por Dios* - wyszeptwała. - *Que rico!* Nie miałam pojęcia. - Odwróciła się ku niemu. - Ray, wiem, że jesteś prawnikiem, ale powiedz mi, czym ty się właściwie zajmujesz? Reprezentujesz kartele narkotykowe?

Wybuchnął śmiechem.

- Niezupełnie. Specjalizuję się w podatkach spadkowych. Moje zajęcie polega na wynajdywaniu luk prawnych dla nieprzyzwoicie bogatych klientów, którzy nie życzą sobie, żeby połowa ich majątku przepadła, ledwo zdążą zamknąć oczy.

- I stąd masz to wszystko? - Zdumiona powiodła rękami dookoła.

- To trochę bardziej skomplikowane, ale nienawidzę rozmawiać o interesach w czasie przeznaczonym na przyjemności. - Wpatrywał się w nią gorącym wzrokiem. - A z miejsca, w którym stoję, dostrzegam, że przyjemność będzie ogromna.

Później żadne z nich nie mogło sobie przypomnieć, do kogo należał pierwszy ruch. Byli niczym dwa magnesy, przyciągające się nawzajem. Zanim zdążyli pomyśleć, już ogarniał ją ramionami, a ona tuliła się do jego masywnego, ciepłego torsu, wznosząc ku niemu twarz.

Przez moment, który wydawał się wiecznością, zastygli w tej pozie, on rozkoszując się widokiem jej oczu okolonych gęstymi rzęsami, zadartego noska i pełnych, połyskujących bielą zębów ust, rozchylonych teraz wyczekująco; Maribel pochłaniała spojrzeniem jego twarz, odległą od niej zaledwie o kilka centymetrów, z ciemnymi, aksamitnymi oczami, w których dostrzegła drobniutkie, lśniące odbicie własnych źrenic, wsłuchana w mocne uderzenia jego serca i przyspieszone bicie własnego pulsu.

Ten moment zdawał się rozciągać w nieskończoność.

Nagle Maribel poczuła, że nie wytrzyma ani chwili dłużej.

- Ray - szepnęła. Objęła go za szyję i wspięła się na palce, podążając na spotkanie z nim.

Kiedy ich usta się zetknęły, wydała zduszony okrzyk. Nigdy nie przypuszczała, że wargi Raya okażą się aż tak delikatne. Pocałowali się i Maribel poczuła wzbierające w niej setki najbardziej wyszukanych doznań.

Po chwili słodkie, delikatne muśnięcia ustąpiły miejsca głębokim, pełnym pasji pocałunkom, rozpalającym oboje.

Mając uda przyciśnięte do ud Raya, Maribel nie mogła nie zauważyć jego pożądania.

Jej ciało zareagowało natychmiast. Zachwiała się i osłabła nagle; nigdy dotąd nie odczuwała takiego podniecenia, tak wszechogarniającej euforii. Zupełnie jakby rozpostarła skrzydła i szybowała coraz wyżej i wyżej.

Czubki jego palców rozpoczęły wędrówkę po jej odsłoniętych plecach. Potem jedna z rąk zabłądziła w dół i zaczęła pieścić pośladki, podczas gdy druga niemal niedostrzegalnym ruchem wśliznęła się pod stanik sukienki.

Dotyk palców Raya na nagiej piersi Maribel odebrała niczym tysiące iskier, wywołujących w całym ciele dreszcze rozkoszy.

- O tak - jęknęła, przywierając do jego szyi i mocno napierając nań udami. - O tak.

- Cicho, nie tak szybko - szepnął, ujmując jej pierś i delikatnie pieszcząc sutki.

Wstrzymała oddech i mocno zacisnęła powieki, kołysząc głową w przód i w tył.

- To cudowne. Och, Ray...

Jego druga ręka także wśliznęła się pod minisukienkę. To dokonało reszty. Teraz już nie potrafili się powstrzymać. Maribel w pośpiechu ściągnęła mu marynarkę. Ray szarpał ramiączka sukienki, usiłując je rozluźnić. Maribel w pośpiechu mocowała się z jego paskiem od spodni. Ray walczył ze śliskim materiałem, zdejmując jej sukienkę przez głowę.

Ubrania fruwały na wszystkie strony.

Wreszcie nadzy jak Adam i Ewa stanęli kilka kroków od siebie, wpatrując się jedno w drugie, zdyszani, z trudem łapiąc oddech, taksując się nawzajem i rozkoszując tym, co zobaczyli.

Maribel wodziła zachwyconymi oczami po szczupłym, śniadym ciele mężczyzny.

Oczy Raya pochłaniały krągłości młodej, kobiecej sylwetki, dumne, prężne piersi, płaski brzuch, strzeliste uda i wydepilowany wzgórek Wenery.

Ta chwila przeminęła równie szybko, jak przyszła. Niemal pierwotna namiętność połączyła oboje na powrót. Ich usta zetknęły się z pasją. Ray rozgniatał jej pełne piersi, palce Maribel zagłębiły się w jego pośladkach. Z całych sił przyciskała go do siebie; jego nabrzmiąły członek drgał i pulsował, zupełnie jakby był obdarzony własną wolą.

Ray usiłował się oswobodzić, jednak ich uda przywarły do siebie niczym posklejane. Spróbował więc ją odsunąć, ale Maribel tylko zwiększyła nacisk. Widząc daremność jego wysiłków, zaczęła cichutko chichotać.

Wtedy Ray przerwał ich głębokie pocałunki.

- Dlaczego ty...? Ty *bruja!* - rzucił Oskarżycielsko, mrużąc oczy. - Tak nagle zaczęłaś grać ostro, co?

- Kto tu gra ostro? - Spojrzała na niego figlarnie, wydymając usta.

- Wiesz, kto - odparował. - Ty.

Bez ostrzeżenia puścił jej piersi, złapał ją od tyłu za uda, poderwał do góry i poniósł w stronę skórzanej kanapy w kolorze karmelu.

- I kto się teraz śmieje? - zapytał, opuszczając Maribel na miękkie poduszki.

Mocno zaplotła ręce na jego karku, utrzymując się w pozycji siedzącej.

- Ja - zachichotała.

Widząc, że Ray marszczy brwi, zaprzestała żartów i opadła do tyłu, z głową w dół, długimi włosami zamiatając polerowany granit posadzki.

- I co teraz będzie? - szepnęła, spoglądając w górę, prosto na Raya. Oczy miała ogromne i świetliste. - Czy wielki zły wilk ma zamiar tak stać przez cały czas? Mały Czerwony Kapturek czeka, wiesz na co.

Ray wydał z siebie niemal wilczy skowyt.

- A teraz wielki zły wilk rzuci się na ciebie i pożre.

Chwył jej nogi, rozłożył szeroko i zanurkował głową między uda. Jego język docierał do jej najbardziej sekretnych miejsc, a ona otwierała się przed nim, łagodna, ciepła, zapraszająca. Drżała, ale okrzyki, jakie wydawała z siebie, nie były okrzykami bólu.

Kiedy podniósł głowę, żeby zaczerpnąć powietrza, poderwała się ku niemu.

- Nie, Ray, nie - jęknęła. - Nie przestawaj. Ray, proszę, to jest takie cudowne.

Zaczerpnął powietrza i zanurzył się w niej ponownie. Maribel ogarnęła rozkosz. Ekspłodowała. Szeroko otworzyła oczy, a jej ciało szarpnęło się spazmatycznie. Ray uniósł podbródek i uśmiechnął się do niej.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Dlaczego przerwałeś? Nie chcę, żebyś przestawał.

- Nie przestaję - odrzekł miękko. - Gdzie się tak spieszysz? Pali się gdzieś?

- We mnie - szepnęła namiętnie. Uśmiechnął się znowu.

- W takim razie, moja maleńka, seksowna palomo, nie musisz się o nic martwić. Ja dopiero zacząłem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Czyżby czekało cię dziś szczególnie dużo pracy? - zapytał Thomas Sullivan, kiedy Tracey w pośpiechu biegła ku drzwiom.

- Pojęcia nie mam - odrzekła. - Mogę zapowiadać wydarzenia, ale przecież nie potrafię ich przewidywać.

Tom Sullivan odchrząknął.

- Tyle wiem. Tylko dziś chyba spieszysz się bardziej niż zwykle.

- Skądże znowu - odrzekła Tracey z uśmiechem. - Wszystko jest jak zwykle.

Tak naprawdę chciała jak najprędzej wyrwać się z domu, żeby uniknąć konieczności podzielenia się z ojcem nieprzyjemną nowiną, usłyszaną poprzedniego wieczoru. W końcu i tak będzie musiała mu powiedzieć, starała się jednak odwlec ten moment jak najdłużej, gdyż wiedziała, jak bardzo tata będzie zawiedziony.

- Myślę, że o czymś zapomniałaś - powiedział Tom Sullivan, spoglądając na córkę sponad okularów.

- Zapomniałam? - Pytająco uniosła brwi. Ojciec dotknął palcem policzka.

- Zapomniałaś pocałować swojego staruszka na do widzenia.

- O Boże, tatusiu! - wykrzyknęła Tracey. Podbiegła i ucałowała ojca najpierw w czubek łysiejącej głowy, a potem jeszcze w policzek.

- Teraz jest o wiele lepiej - stwierdził z satysfakcją. - Do zobaczenia wieczorem.

Tracey już biegła w stronę drzwi.

- Do wieczora. Kocham cię.

- Ja też cię kocham, słoneczko.

Sensacyjnych wydarzeń nie sposób przewidzieć, tak więc pracownicy centrum newsów musieli mieć opanowaną sztukę błyskawicznego działania na najwyższych obrotach. Dlatego właśnie Tracey nie traciła nadziei. Na razie wszędzie panował całkowity spokój, ale przecież już w następnej chwili mogło się rozpętać prawdziwe piekło.

Podobnie jak wiele innych, tak i tę wiadomość wyłapał najpierw skaner policyjny. Zaczęło się od alarmującego telefonu pod numer 911. Jakaś rozhisteryzowana kobieta dzwoniła z Southwest Terrace w Małej Hawanie. Jej przyjaciel zaatakował ją i jej córkę nożem i młotkiem, a następnie wraz z sześciolatkiem synkiem rzucił się z dachu pięciopiętrowego budynku, w którym mieszkali.

Zespół newsów z miejsca wystartował na najwyższym biegu. Reporterzy i kamerzyści popędzili do garażu na parterze, do wozów transmisyjnych WMAI. Tego właśnie rodzaju dramaty stanowiły najlepsze pożywienie stacji. Tracey starała się z tym nie ujawniać, ale ona również rozkwitała, gdy coś się działo. W podobnych chwilach kusiło ją, żeby zrezygnować z pisania powieści i zostać pełnoetatową reporterką telewizyjną.

Nie minął nawet kwadrans, kiedy nadeszła kolejna wiadomość. Informacja o spektakularnym pożarze, który wybuchł w nowo zbudowanym, luksusowym wieżowcu mieszkalnym na Collins Avenue powyżej Szesnastej Ulicy, niemal kompletnie ogołociła pokój z personelu. Dyżurny pilot pobiegł uruchamiać śmigłowiec, za nim pędzili reporter i operator kamery. Niebawem Tracey i pozostali pracownicy mogli obejrzyć obraz czegoś, co było już tylko wrakiem budynku, kompletnie wypalonym, ledwo trzymającym się szkieletem.

Tracey odebrała pół tuzina telefonów, znalazła w komputerze numery osób, które należało bezzwłocznie zawiadomić, i wbiła kod automatycznie przekazujący pilną wiadomość do ich pagerów. Także na nią spadło wydobycie komunikatu od władz miasta, straży pożarnej i policji. Ale to nie był koniec jej obowiązków. Należało jeszcze zredagować jednolinijkowe zapowiedzi dla prezenterów typu: „Ogniste piekło w samym sercu Miami... szczegóły w wiadomościach o piątej” i piętnastosekundowe streszczenia pozostałych informacji. Potem musiała pójść do studia po materiał ilustracyjny i dźwiękowy.

Tak naprawdę, zonglując tyłoma sprawami jednocześnie, Tracey puchła z dumy, wyobrażając sobie, że jest niezastąpiona - chwilowo, co prawda, ale to przecież nie szkodzi. W wyobraźni widziała siebie na podobieństwo jednego z sześciorekich bóstw hinduskich.

Telefony nie przestawały dzwonić. Dziennikarze na miejscu wydarzenia nadawali relacje przez satelitę, prezenterzy wrywali zapowiedzi z rąk Tracey. „Rozdzielaniem ściągawek” także musiała się zająć. Drukarka wypluwała gotowe już teksty w pięciu różnobarwnych kopiach. Należało je ręcznie porozkładać i sprawdzić. Potem biała kopia szła do dyrekcji, zielona do kadr, a żółta, różowa i niebieska do odpowiednich działów.

Sądząc po porannych wydarzeniach, nic nie wskazywało, by popołudniowe wiadomości miały potrzebować jakichkolwiek wypełniaczy. Zbyt wiele się wydarzyło.

Wreszcie, zupełnie jakby porzekadło, że nieszczęścia chodzą parami, potrzebowało potwierdzenia - proszę bardzo - karambol sześciu samochodów na autostradzie South Dixie. Do pokoju newsów zaczęły nadciągać posiłki - zgłaszali się dziennikarze, z oczami zaczerwienionymi z niewyspania, wyrwani z łóżek uruchomionym przez Tracey sygnałem alarmowym, na długo przed wyznaczonym dyżurem. Meldowali się tylko, po czym spieszyli na miejsce wypadku.

Tracey była zadowolona z tego rozgardiaszu. Mając tyle zajęć, mogła nie myśleć o tym, co usłyszała wczoraj od Marka Varneya. Telefon rozdzwonił się po raz nie wiadomo który. Na chwilę oderwała rękę od komputera, chwyciła słuchawkę i rzuciła:

- Pokój newsów, Sullivan, z kim mam połączyć?

- Trace? Trace, czy dzwonię o niewłaściwej porze? - Kto...?

- Trace, to ja, Brian, twój narzeczony. A może już zapomniałaś? Brian. Mimowolnie zerknęła na nieprzyzwoicie wielki brylant, ciężący jej na palcu.

- Och, Brian, przepraszam. Mamy tu prawdziwe urwanie głowy. Przyłapałeś mnie...

- Miałem nadzieję cię przyłapać. Zbliża się pora lunchu. Brian Rutherford Biggs III przemawiał spokojnym, beztroskim tonem. Był bogaty, więc nie musiał przejmować się niczym.

Coś jednak musiało się wydarzyć. O tej porze Brian rzadko dzwonił; zwykle czekał do końca jej dyżuru. O mój Boże, pomyślała ogarnięta nagłym poczuciem winy. Wczorajszy wieczór! Brian szykował się na coś nadzwyczajnego, był tak dumny ze swojej łodzi, chciał mi ją pokazać, tymczasem wszystko zepsułam.

- Brian - powiedziała - przykro mi z powodu ostatniej nocy.

- Och, Tracey, zapomnij już o tamtym - odrzekł. - Jestem w pobliżu, dokładniej jedną przecnicę od ciebie, więc pomyślałem, że miło byłoby zjeść razem lunch.

Lunch?

Jak miała jeść, skoro zupełnie straciła apetyt? Jedyne, czego potrzebowała, to pogrzebać tę nieszczęsną wiadomość od Marka Varneya, zapomnieć o niej, jakoś się z nią uporać.

Ale przecież wiedziała doskonale, że Brian najbardziej lubił ją tryskającą humorem, zadowoloną i beztroską. Nienawidził, kiedy się zamartwiała - to ostatnia rzecz, jaką pragnął oglądać.

- Och, Brian, sama nie wiem - zaczęła z powątpiewaniem. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki tu mamy dom wariatów.

Parsknął śmiechem.

- Pozwól mi zgadnąć. Od słuchania gadających głów dostajesz bzika, ręce masz zajęte dobieraniem materiału dźwiękowego, uziemili cię, każąc ci redagować materiał tekstowy i te wszystkie dramatyczne zapowiedzi: „Pożar szaleje nad Everglades, szczegóły o piątej”. Tego typu historie. Zgadłem?

Musiała się roześmiać.

- Nie musisz przedstawiać w jasnych barwach tego bastionu niewolnictwa. Tyrają człowiekiem, zupełnie jakby nigdy nie słyszeli o Proklamacji Wyzwolenia.

- Właśnie dlatego przybyłem ci na ratunek. Spotkamy się za kwadrans. Czekam w samochodzie przed głównym wejściem.

- Brian!

- Uhm. Pamiętasz, co ci powiedziałem przy pierwszym spotkaniu?

Nie pamiętała. Mówił jej tyle rzeczy. Czy naprawdę spodziewał się, że będzie przechowywać w pamięci każde słowo, jakie kiedykolwiek padło z jego ust?

- Co takiego? - zapytała.

- Po pierwsze - przypomniał jej z lekkim odcieniem irytacji w głosie - nigdy nie przyjmuję „nie” jako odpowiedzi.

- W porządku, wygrałeś - westchnęła. - Spotykamy się przed głównym wejściem.

- Grzeczna dziewczynka - podsumował pogodnie.

Szybko przerwała połączenie, bo poczuła się dotknięta jego protekcyjnym tonem. Kiedy odkładała słuchawkę, coś w migotaniu brylantu na jej palcu przykuło jej uwagę. Podniosła rękę z pierścionkiem i poruszyła nią kilkakrotnie.

Zmarszczyła brwi. Czy to tylko jej wyobraźnia, czy też kamień stracił trochę ze swojego blasku?

Tracey zastanawiała się, jakim samochodem przyjedzie dzisiaj Brian. Na widok hamującego z piskiem mercedesa 450SL, rocznik 1973, z nieskazitelną karoserią w kolorze miedzi, musiała się uśmiechnąć.

- Wskakuj - powiedział Brian.

Zanim zapięła pasy, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go mocno. Brian zaciągnął ręczny hamulec, otoczył ją muskularnym ramieniem, przyciągnął do siebie i oddał pocałunek. Tracey poczuła, że topnieje w jego ramionach. Na wiele spraw mogli patrzeć inaczej, jednak zdecydowanie męska natura Briana nieodmiennie ją fascynowała.

- Ja... mnie jest naprawdę przykro z powodu wczorajszego wieczoru - szepnęła miękko, kiedy jedna z jego dłoni zaczęła gładzić jej piersi przez materiał bluzki. - Wiesz, że nie lubię sprawiać ci zawodu.

- Uhm - mruknął, czując narastające podniecenie. Jego język już wędrował po jej szyi, zmierzając w kierunku ucha. - W porządku. - Ręka oderwała się od piersi i sunęła w górę uda osłoniętego minispódniczka.

- Och, Brian - westchnęła Tracey. Przyłgnęła do niego, świadoma widowiska, jakie muszą stanowić dla przejeżdżających samochodów.

Zanim uwolnił ją z objęć, przytulił ją jeszcze raz i mocno pocałował. Oboje oddychali ciężko. Tracey nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Jeśli chcemy gdzieś dotrzeć, powinniśmy chyba wyruszyć - powiedział Brian, odwzajemniając uśmiech.

- Masz rację - odparła, czując, jak ogarnia ją fala miłości do niego. Brian pocałował ją po raz ostatni, uruchomił silnik i skoncentrował się na prowadzeniu.

Nie zaskoczyło jej, kiedy skręcili w stronę jego ulubionej restauracji, Capital Grille przy Brickell Avenue 444, niewątpliwie najelegantszego lokalu w śródmieściu i szalenie drogiego, w którym można było spotkać prawdziwych rekinów finansjery. Królowały steki - zwykle befsztyki i Porterhouse, filety *mignon* i *au poivre*. Tracey nadała tej restauracji nazwę: „Cholesterolowy Grill”.

Brian zostawił mercedesa parkingowemu w garażu przy East Fifth Street. Jak zwykle nie wybrał krótszej drogi przez budynek, tylko obszedł go dookoła, zmierzając do głównego wejścia przy Brickell Avenue, zaraz za zwodzonym mostem i pięciopasmową jezdnią, na wprost hotelu Sheraton, przed którym nieodmiennie stał sznur żółtych taksówek czekających na pasażera. Brian lubił to okazałe główne wejście z ogromnymi żardynierami, fontanną tryskającą na placyku od frontu, z lśniącymi markizami nad drzwiami i oknami, okuciami z polerowanego mosiądzu, rzędem latarni i wreszcie dwoma dostojnymi, czarnymi lwami, strzegącymi drzwi.

- No - powiedział, z aprobatą pociągając nosem, kiedy *maitre d'hotel* wprowadzał ich do sali - to jest coś, co ja nazywam restauracją. Nie te twoje pretensjonalne, kubańskie lokaliki.

- Dla ciebie istnieją jedynie mięso i kartofle - odparła, ściskając go za rękę. Wiedziała, że Brian wypomina jej lokal, do którego zaprowadziła go ostatnio - La Delicias del Mar Peruano, gdzie podawano niezrównane *papa a la huanciana*. Bawiła ją miłość narzeczonego wyłącznie do amerykańskiej kuchni.

- Hej, Brian! - zawołał czerwony na twarzy, opasły typ, z pewnością jakiś bankier, wpatrujący się w leżącą przed nim na talerzu wpół surową kość w kształcie litery T takim wzrokiem, jakby miała stanowić ostatni posiłek w jego życiu.

Brian uśmiechnął się i przybrał bardziej dostojną pozę.

- Witaj, Arnie, miło cię widzieć.

Mężczyzna, siedzący przy następnym stoliku, zawołał:

- Halo, Brian, i jak tam potraktowało cię życie?

Kolejny uśmiech dla wyborców, jeszcze więcej powagi w ruchach, wymowne spojrzenie do tyłu, na Tracey.

- A jak myślisz, Mike?

Bez wątpienia lepiej niż was, ścierwojady, pomyślała Tracey ponuro.

Chociaż starała się nad tym zapanować, nie opuszczało jej uczucie skrepowania. To nie jej miejsce; należało do Briana i ludzi do niego podobnych. Czasami zastanawiała się, dlaczego Brian jest nią tak oczarowany.

Na początku udało jej się kilkakrotnie namówić narzeczonego na wypad do któregoś z jej ulubionych lokali, szybko jednak zrezygnowała z tych eskapad.

„Zbyt etniczne”, podsumował Los Ranchos. „Nigdy przedtem nie słyzałem o takiej knajpie”, wyraził swoją podejrzliwość wobec Garcia's.

„Ciekawe, kiedy mieli tu ostatnią kontrolę sanitarną”, krzywił się w niedrogiej, tajskiej restauracji.

Tracey poczuła zdumienie, kiedy *maitre* wskazał im stolik w kącie sali, zupełnie z tyłu. To zdecydowanie nie pasowało do Briana, który zwykle domagał się miejsca od frontu i w samym środku, żeby widzieć i być widzianym.

Dlaczego dzisiaj postanowił inaczej? - zastanawiała się.

Nie było sensu zagłębiać się w kartę dań. Teraz już znała ją na pamięć.

Brian sięgnął ponad stołem, ujął jej rękę i popatrzył na Tracey z oddaniem.

- Założę się, że wiem, czego się napijesz.

- Tego, co zwykle latem. Truskawkowego daiquiri.

Brian oczywiście pił mocno wytrawne martini z trzema oliwkami i odrobiną wermutu. Do jedzenia zamówił gruby stek Porterhouse, przy brzegach mocno spieczony i krwisty w środku. Do tego pieczone ziemniaki z masłem i kwaśną śmietanką i zieloną sałatę z sosem z rokpola. Tracey wybrała sałatkę cesarską.

- Tylko bez surowego jajka w sosie - poprosiła.

Dopóki nie dostali drinków, Brian przez cały czas trzymał ją za rękę, uśmiechał się i zabawiał rozmową. Kiedy pojawił się kelner, Tracey uniosła wysmukłą, oszronioną, napelnioną różowym płynem szklaneczkę.

- Za co wypijemy?

- Ty zdecyduj - zaproponował Brian, patrząc na nią czule. Twarz Tracey zastygła w wyrazie chwilowej koncentracji, po czym rozjaśniła się w promiennym uśmiechu.

- Wiem. Co byś powiedział, gdybyśmy tak wypili za nas oboje? Stuknęli się szklaneczkami.

- *L'chaim* - wzniosła toast. - Za nas.

- Za nas - powtórzył Brian.

Upił łyk martini, podczas gdy Tracey sączyła daiquiri. Nagle odstawił kieliszek, odrobinę zbyt mocno, i utkwił wzrok w kimś przed sobą. Tracey odwróciła głowę i powędrowała za jego spojrzeniem. Zdziwiła się, widząc zdołającą ku nim smukłą, elegancką blondynkę, z dumnym wyrazem na pięknej twarzy.

Brian odstawił krzesło i podniósł się, nieco zakłopotany.

- Georgina - powiedział ze zdumieniem. - Miło mi cię widzieć. Blond piękność objęła go za szyję i pocałowała prosto w usta, przy czym jej wargi stanowczo zbyt mocno przylgnęły do jego warg. Tracey mogła tylko przyglądać się temu ze zdumieniem.

Kim ona jest? - zastanawiała się. Jak na partnerkę w interesach, krewną czy nawet dawną sympatię zachowywała się stanowczo zbyt poufale.

Brian wysunął się z objęć blondynki i zwrócił ku Tracey.

- Tracey Sullivan - powiedział, przedstawiając ją nieznanym. - Tracey, pozwól, że ci przedstawię Georginę Kaufmann.

- Miło mi panią poznać - odezwała się Georgina starannie modulowanym wyniosłym tonem, wyciągając długą, szczupłą dłoń na powitanie.

- Witam - odrzekła Tracey, ujmując podawaną rękę. - Mnie również miło panią poznać.

Ostry, duszący zapach drogich perfum zaatakował jej nozdrza. Georgina przyglądała się Tracey taksująco, a jej niebieskie oczy przybrały odcień niemal stalowy.

- A kim pani właściwie jest, miss Sullivan? - zapytała, przenosząc wzrok z Tracey na Briana.

Ten już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, ale Tracey go ubiegła.

- Czy to stanowi odpowiedź na pani pytanie? - Dumnie wyciągnęła dłoń ozdobioną brylantem i poruszyła nią kilkakrotnie, ciesząc się błyskiem rozsiewanym przez wyszlifowane fasetki.

Oczy blondynki otworzyły się szeroko ze zdumienia, gwałtownie zwróciła się w kierunku Briana, stojącego bezradnie, z opuszczoną głową. Odzyskując panowanie nad sobą, Georgina zmrużyła stalowe oczy i wyciągnęła dłoń w kierunku Tracey. Wysunęła błądy, szczupły palec, ozdobiony brylantem większym niż kamień w pierścionku Tracey.

- Sądzę, że to odpowie na pani pytanie w kwestii mojej osoby, miss Sullivan - rzuciła pełnym jadu szeptem. - Zdaje się, że mój kamień jest większy niż pani brylant.

Przez moment Tracey niczym urzeczona wpatrywała się w pierścionek, wreszcie oderwała od niego oczy i zmierzyła się z badawczym spojrzeniem Georginy Kaufmann. Błada twarz blond piękności była wykrzywiona z gniewu, w oczach malowała się furia.

Tracey poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Pomyślała, że jeszcze chwila, a zwymiotuje. Zbierając wszystkie siły, odpowiedziała spokojnie:

- Myślę, że ma pani rację w obu wypadkach, miss Kaufmann. Jednym płynnym ruchem Georgina odwróciła się do Briana i wymierzyła mu siarczasty policzek.

- Ty świni!

Obróciła się na pięcie i wypadła z sali restauracyjnej niczym erynia ścigająca mordercę. W powietrzu pozostał tylko zapach jej ciężkich perfum.

Zażenowany Brian opadł na krzesło i przez chwilę oboje siedzieli w milczeniu. Tracey obserwowała jego zaczerwioną twarz i umykający wzrok, starając się jednocześnie ignorować spojrzenia innych gości.

- Ja... ja wszystko ci wytłumaczę - zaczął mówić cicho.

- Nie sądzę, abyś musiał tłumaczyć mi cokolwiek - odparła, starając się zapanować nad mieszaniną gniewu i słabości.

- Ależ Tracey - zaprotestował, usiłując się uśmiechnąć. - Musisz mnie wysłuchać.

- Na twój widok robi mi się niedobrze. Potrząsnął głową.

- Że to zrozumiałaś. To wszystko jest jedną wielką pomyłką. Kocham cię, Tracey.

- Ty mnie kochasz? - rzuciła z gniewem. - Czy myślisz, że jestem aż tak naiwna? Mogłeś mnie okłamywać przez krótki czas, ale to się skończyło.

- Musisz mnie wysłuchać - błagał Brian.

- Nie muszę wysłuchiwać niczego - oświadczyła, czując narastającą złość.

- No przestań już, Tracey. - Głos Briana przypominał głos dziecka, któremu odmówiono upragnionej zabawki. - Georgina... ona tylko...

- Tylko co? - warknęła. - Czym się wyłgasz? Jej pierścionek wystarczająco mi wyjaśnił, kim ona jest.

- Ależ nie, Tracey. - Brian wyraźnie szukał właściwych słów. - Źle zrozumiałaś całą sytuację. To wcale nie tak.

Nie mogła już dłużej słuchać, jak usiłuje pokretnie wytłumaczyć coś, co przecież było oczywiste. Popatrzyła na błyszczący brylant, po czym wolno ściągnęła pierścionek z palca. Czowała się tak, jakby oddawała część własnego serca i wszystkiego, w co do tej pory wierzyła.

- Masz - powiedziała, przesuwając pierścionek w stronę Briana. - Zabierz go z powrotem. Nie chcę go więcej widzieć. Ciebie też nie.

- Nie! - zaprotestował. - Nie rób tego, Tracey. Nie możesz tego zrobić!

- Już to zrobiłam. - Odsunęła krzesło i wstała. - Żegnaj. Brian poderwał się szybko od stolika.

- Tracey - zaczął przymilnie - przecież nie mówisz tego serio. Po prostu nie możesz.

- Powiedziałam ci „żegnaj” i nie mam zamiaru tego powtarzać.

Odwróciła się i wypadła z restauracji prosto na plac przy Brickell Avenue.

Przez łzy napływające do oczu widziała rząd taksówek przed Sheratonem, po drugiej stronie pięciopasmowej jezdni. Przecięła ją niemal na oślep, nie zwracając uwagi na klaksony, pisk hamulców i gniewne nawoływania kierowców. Znalazłszy się przy taksówkach, wskoczyła do pierwszej i zatrzasnęła drzwi.

Powiedziała kierowcy, dokąd ma jechać, osuszyła łzy chusteczką i odchyliła głowę na oparcie. Pragnęła tylko jednego: pojechać do domu i tam wypłakać się za wszystkie czasy, uwolnić się od bólu, jaki ją rozsadzał. Ale oczywiście nie mogła tego zrobić. Musiała wracać do pracy.

Praca jest najlepszym lekarstwem, powiedziała sobie na pocieszenie, zastanawiając się jednocześnie, jak przetrzyma resztę dnia. Poza tym gorzej już być nie może. To niemożliwe, aby mogło ją spotkać coś jeszcze gorszego.

Nie wiedziała, że to najgorsze miało dopiero nadejść.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jak to dobrze, że kiedy pojawiła się w budynku telewizji, Zespół Dociekliwych Mózgów, czyli Maribel i kilka innych osób, nie wrócił jeszcze z lunchu. Ci, których mogłoby to obchodzić, nigdy się nie dowiedzą, że Tracey przyszła wcześniej. Teraz tylko trzymać kciuki, aby nikt nie zauważył zniknięcia tak drogiego jej sercu zaręczynowego pierścionka. Nie miałyby siły udzielać jakichkolwiek wyjaśnień. Dzięki Bogu czekało ją tyle pracy, że miała czym zająć umysł. Co więcej, kiedy Maribel i reszta towarzystwa wróci, też będą mieli mnóstwo zajęć. Przy odrobinie szczęścia może uda jej się wymknąć niepostrzeżenie i wtedy nikt się nie domyśli, co zaszło między nią a Brianem.

Po południu informacje nadal spływały jedna po drugiej, tak że trudno było ze wszystkim się uporać. Dyspozytorzy, posługując się telefonami komórkowymi, przerzucali załogi wozów transmisyjnych z miejsca na miejsce.

Dyskretny telefon z Towarzystwa Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt zaowocował historią o kobiecie, która mieszkała w przyczepie kempingowej wraz z pięćdziesięcioma czterema niewykastrowanymi kotami.

Zabłąkana kula wystrzelona przez nieznanego sprawcę zraniła trzylatka bawiącego się na huśtawce w pobliżu domu.

Za miastem, już niemal na obrzeżach hrabstwa Dade, czarująca prababcia, powszechnie lubiana za dobre serce i życzliwość dla bliźnich, została aresztowana, gdyż wyszło na jaw, że w swoim garażu zainstalowała dwa tuziny specjalnych lamp i niczym w prawdziwej cieplarni uprawiała marihuanę na dużą skalę.

Przy tej liczbie napływających wiadomości okazało się, że zaczyna brakować sprawozdawców, co zresztą było stałą bolączką niewielkich, niezależnych stacji telewizyjnych takich jak WMAI. Tego popołudnia również mogło się okazać, że nagle pilnie potrzeba kogoś do zastąpienia reportera. Padnie na tego, kto akurat będzie pod ręką.

Tak właśnie rodzą się gwiazdy.

Właśnie dziś Tracey najmniej się tego spodziewała. Tak niezwykle jak na jeden dzień podaż sensacyjnych wiadomości wymagała podwójnego i potrójnego sprawdzania różnych faktów i liczb. Właśnie wyszukiwała w komputerze jakieś dane, kiedy Joel Zaidoff, nowy dyrektor WMAI, klepnął ją w ramię, nakazując iść ze sobą.

- Dziecko, zostaw to, co robisz, i chodź.

Tracey okręciła się na obrotowym krześle i popatrzyła na niego.

Joel Zaidoff, przysadzisty mężczyzna już dobrze po czterdziestce, z krzaczastymi brwiami, nosił sportową koszulę z krótkim rękawem, w białą - niebieskie paski. Miał rzadziejące włosy i brzuch wylewający się nad paskiem spodni. Cechował go szorstki, bezpośredni sposób bycia, co często odbierano jako brak uprzejmości. Słyszał także z sarkastycznych uwag.

- Czy pan mówi do mnie? - zapytała Tracey drżącym głosem. Joel Zaidoff udał, że rozgląda się dookoła.

- Nie, do jednego z siedmiu niewidzialnych lokajczyków, którzy towarzyszą mi wszędzie. Oczywiście, że do ciebie.

- Ale jestem akurat w polowie...

- Nie obchodzi mnie, w czym teraz się grzebiesz. Brakuje nam ludzi, a jeśli umiem patrzeć, jesteś na tyle fotogeniczna, by zadowolić męską część widowni. Niebawem zresztą się przekonamy.

Tracey nie posiadała się ze zdumienia.

- Fotogeniczna? Ja?

- Słuchaj, na co ty jeszcze czekasz? - warknął Joel. - Na Gwiazdkę? Idziemy.

Nie oglądając się, ruszył do windy, pewien, że Tracey za nim podąży. Musiała niemal biec, aby dotrzymać mu kroku.

- Masz - powiedział, rzucając jej tymczasową akredytację dziennikarską, przymocowaną do łańcuszka. - Będzie ci potrzebna.

Tracey złapała ją bez protestu i zawiesiła na szyi.

- Wszystkie wozy transmisyjne są w terenie, więc weźmiemy mój samochód - wyjaśnił Joel, kiedy zjeżdżali na parking. - Ja poprowadzę i będę obsługiwał kamerę. Ty masz stanąć, wziąć do ręki mikrofon i relacjonować, podczas gdy ja będę kręcił, kapujesz?

- Ja... ja nigdy... - zaczęła Tracey.

Drzwi windy otworzyły się z cichym szmerem i znaleźli się w garażu. Joel machnął ręką, lekceważąc wszelkie wątpliwości Tracey.

- Proste jak drut - powiedział. - Zresztą to żadne nadzwyczajne wydarzenie. Zwykły wypadek drogowy. Jakiś samochód zwałił się z mostu zwodzonego. Normalka. Ale sfilmować musimy.

Serce Tracey uderzało mocno.

To moja wielka szansa, pomyślała. Jeśli niczego nie schrzanię, może mi zaproponują, żebym wystąpiła i przy innej okazji?

W Miami mosty zwodzone są dla ruchu kołowego tym, czym główne skrzyżowania dróg w pozostałych częściach kraju. Miami Beach składa się z archipelagu siedemnastu wysp, połączonych między sobą i ze stałym lądem siecią grobli i mostów. Samo miasto, po drugiej stronie zatoki Biscayne, leży wprawdzie na lądzie, ale przecina je rzeka Miami, dlatego tu też zbudowano niezliczoną ilość mostów, spinających oba brzegi. Miejscowi kierowcy przyzwyczaili się do przypominającego ryk słonia sygnału ostrzegawczego oraz zgrzytu towarzyszącego podnoszeniu i opuszczaniu mostu. Ruch drogowy z konieczności musi być zgrany z ruchem wodnym.

Jasne jest też, że każdorazowy wypadek na moście paraliżuje komunikację w mieście, szczególnie jeśli wydarzy się po południu, w godzinach szczytu.

Joel, znający na pamięć wszystkie ulice Miami, pozamykał okna w samochodzie i uruchomił klimatyzację na pełną moc. Ruszyli na południe drogą stanową 95. Kiedy przejeżdżali przez rzekę, Tracey wyjrzała przez okno, przyglądając się budowanej właśnie nitce kolei miejskiej. Zawieszona na strzelistych filarach tory sprawiały wrażenie czarnej wstążki rozciągniętej na tle nieba.

Joel skręcił w Southwest Seventh Street i ruszył w kierunku wschodnim. Po minięciu czterech przecznic musiał stanąć, gdyż tu już ruch został wstrzymany; samochody czekały, aż zostaną skierowane na północ.

Tracey mocno wbiła paznokcie w ramię, nie mogąc stłumić jęku.

Boże drogi, Brickell Avenue!

Joel rzucił jej zaciekawione spojrzenie.

- Co się dzieje?

Wpatrzona przed siebie, tylko pokręciła głową.

- Nic - szepnęła bezdźwięcznie, choć to akurat było najdalsze od prawdy.

Joel nie dociekał. Sięgnął do schowka przed siedzeniem pasażera, wyciągnął tabliczkę z wielkim, czarnym napisem „Prasa” i umieścił ją nad tablicą rozdzielczą.

Tracey nadal siedziała bez ruchu, kompletnie sparaliżowana ze strachu. To miejsce, w którym wydarzył się wypadek. Przecież to było dokładnie tam, gdzie Brian zabrał ją na lunch. Z wnętrza Capital Grille było doskonale widoczne południowe przęsło Brickell Bridge.

A jeśli...?

Gdziekolwiek spojrzeła, wszędzie stali umundurowani policjanci, stanowczymi ruchami i przenikliwymi dźwiękami gwizdków kierując cały ruch na Fifth Street. Większości zatrzymanych kazali zawracać w kierunku, z którego przybyli, trzema południowymi pasami Brickell Avenue.

Oznakowanemu samochodowi prasowemu Joela pozwolono przecisnąć się w poprzek ulicy przez najgorszy korek i zjechać na stosunkowo mało zatłoczony parking Sheraton Biscayne Bay. Tutaj, u stóp rampy, łączącej się pod kątem ze stałą, kamienną częścią mostu, policjant na motocyklu zatrzymał ich ruchem dłoni w białej rękawiczce.

Joel wcisnął guzik przy kierownicy i szyba po stronie kierowcy opadła z lekko słyszalnym szelestem. Po zimnym nawiewie klimatyzacji nagle uderzenie gorąca było dla Tracey niczym podmuch z paleniska.

Joel wystawił głowę przez okno.

- Tak, panie posterunkowy?

- To samochód prasowy, prawda?

- Zgadza się. - Joel wyciągnął portfel i wyjął z niego kartę akredytacyjną. - WMAI - TV - wyjaśnił.

Skierowano ich do prowizorycznego sektora zarezerwowanego dla mediów. Podczas gdy Joel manewrował w ciasnej przestrzeni, Tracey spoglądała przez okno w stronę mostu. Na dwóch północnych pasach jezdni, na podwójnych czerwonych światłach, stały rzędy samochodów, wśród których kręcili się pasażerowie, prawdopodobnie zatrzymani w charakterze świadków. Przed autami pomalowana w pasy barierka przegradzająca jezdnię była pogruchocona i poskręcana. Za nią, już na pochylni, rozciągało się pięćdziesiąt metrów pustej jezdni, a jeszcze dalej sterczały ku niebu dwie stalowo - betonowe połowy mostu. Bliższą wieżę zdobiły urny w stylu art déco i wysmukła, brązowa kolumna, zwieńczona odlaną z brązu figurą napinającego luk indiańskiego wojownika z plemienia Tequesta.

W każdym innym miejscu sceneria wypadku samochodowego zapewne wyglądałaby podobnie. Za ogrodzeniem z łańcucha, oddzielającym teren nowo budowanego za ciężkie miliony dolarów ekskluzywnego nabrzeża, parkowały samochody jednostek ratowniczych. Straż pożarna, karetka pogotowia, samochód holowniczy, radiowozy i motocykle policyjne - zwyczajny zestaw.

Tyle tylko, pomyślała Tracey, że jeśli auto wpadło do wody, szansa na uratowanie kogokolwiek jest niewielka. W tym momencie uświadomiła sobie brak jednego elementu zwykle obecnego na miejscu wypadku.

Wrak. Nigdzie nie widziała wraku.

Skoro jednak tragedia wydarzyła się na moście, nie było to wcale dziwne. Zresztą motorówki i łodzie Straży Ochrony Przybrzeża też już nadciągały. Jedne płynęły pod prąd, w stronę mostu, drugie w przeciwnym kierunku, zawracając cały ruch na Miami River.

W motorówce na środku rzeki dwaj nurkowie szykowali się do zejścia pod wodę; naciągnęli na twarze maski i niemal jednocześnie opuścili się z pokładu. Z pluskiem zniknęli pod powierzchnią i tylko bańki powietrza wskazywały miejsce, w którym się zanurzyli.

Tracey otworzyła drzwi samochodu i wysiadła. Od razu rzucił się jej w oczy rząd wozów transmisyjnych należących do konkurencji - WFOR (CBS - TV), WPLG (ABC - TV), WTVJ (NBC - TV) i CNN.

To tyle, jeśli chodzi o wyłączność materiału.

Do tego trzeba było jeszcze dodać ekipy z WSCV i WCTV i hiszpańskojęzycznych stacji telewizyjnych oraz dziennikarzy z angielsko - i hiszpańskojęzycznego radia i gazet.

Warkot motorów wypełnił jej uszy, poderwał żwir i zmarszczył powierzchnię wody. Kątem oka zauważyła nadlatujące helikoptery. Odchyliła głowę do tyłu, mrużąc oczy przed słońcem. Śmigłowce policyjne i telewizyjne krążyły w górze niczym powietrzne rekiny. Na moście, u wejścia na ścieżkę dla pieszych, policjanci pośpiesznie ustawiali barierki, by uchronić miejsce wypadku przed licznie nadciągającymi gapiami.

W tłumie dominował nastrój wesołej zabawy.

Tragedia zamieniona w igrzyska, pomyślała Tracey cierpko. Brakuje tylko stoisk z popcornem i fistaszkami.

- Hej, dziecino!

Odwróciła się w kierunku głosu. Joel otworzył bagażnik i bez ostrzeżenia rzucił jej bezprzewodowy mikrofon z logo WMAI. Zręcznie chwyciła go w powietrzu.

- Dobry chwyt. - Joel z uznaniem pokiwał głową. - Cheerleaderka w college'u?

- Ja? Taka popularna? - Zmierzyła go spojrzeniem od góry do dołu. - Chyba pan żartuje.

Wzruszył ramionami.

- Nigdy nic nie wiadomo.

Wyjął z bagażnika wielką, profesjonalną kamerę i zręcznie zarzucił sobie na ramię.

- Byłem kamerzystą - wyjaśnił, widząc uniesione w górę brwi Tracey. - Milion lat wcześniej, zanim ty zaczęłaś pracować. - Zatrzasnął bagażnik jedną ręką, po czym bacznie rozejrzał się dookoła. - Powiem ci, jak zrobimy. Na razie się rozdzielamy. Ja zacznę filmować wszystko, co wygląda choć trochę obiecująco, a jednocześnie trochę tu powęszę; może uda mi się do czegoś dokopać. Mam nosa do tych rzeczy. W tym czasie ty pójdziesz na most. Kręć się między ludźmi i pilnie nadstawiaj uszu. Pamiętaj, najważniejsze to zdać się na instynkt. Masz jakieś przeczucia? Kieruj się nimi. - Zerknął na zegarek. - Spotykamy się za kwadrans i porównujemy notatki.

- Jasne.

Sprawdziła godzinę na własnym zegarku, wysłużonym timeksie.

- Och - dorzucił Joel - jeszcze jedno. Popatrzyła na niego.

- Nie bój się być natarczywa. Nieczystych zagrań też się nie obawiaj. W naszym zawodzie nie wygrywa się grzecznością. Ludzie, widząc młodą kobietę, wyobrażają sobie, że taka z pewnością ma gotowany makaron zamiast mózgu.

Innymi słowy: zapomnij o tym, że jesteś kobietą, pomyślała Tracey. Zachowuj się jak kupa łąna i wszystko będzie dobrze.

- Kupuję - powiedziała na głos.

Rozdzielili się. Joel skierował się ku nabrzeżu, skąd mógł sfilmować miejsce wypadku. Tracey podeszła do policjantów na moście, którzy na widok legitymacji dziennikarskiej od razu nabierali wody w usta.

Wszyscy bez wyjątku powtarzali:

- Przykro nam, proszę pani. Musi pani poczekać na rzecznika prasowego. Ogłosi komunikat, gdy tylko będzie wiadomo coś konkretnego.

- Słuchajcie, chłopcy - przymilała się, apelując do ich zyczliwości. - Mam tymczasową akredytację, więc od razu widać, że debiutuję w tym fachu. Zlitujcie się i dajcie mi coś. Cokolwiek. Choćby nieoficjalnie.

Ze zrozumieniem kiwali głowami, ale nie ustępowali.

- Przykro nam, proszę pani, mamy rozkazy.

Ruszyła więc w kierunku samochodów, stojących zaraz za wzniesioną pośpiesznie w poprzek mostu zieloną barierką. Umundurowani policjanci przesłuchiwali właśnie kierowców.

Hm, pomyślała, zмирzając w stronę dwóch pierwszych wozów, zaparkowanych jeden obok drugiego. To mi wygląda bardziej obiecująco.

Na lewym pasie stał wysłużony trans am, wyglądający jakby zrobiono go raczej z bondeksu niż z nierdzewnej stali w Detroit. Miał otwarte drzwi po stronie kierowcy. Za kierownicą, z nogami opuszczonymi na ziemię siedziała odwrócona bokiem chuda niczym kolejowa szyna kobieta o posępnej, znudzonej twarzy. Ubrana była w cytrynowożółte szorty i jaskrawozielony top z aplikacjami, a do tego niebieskie japonki. Mimo tych tropikalnych kolorów wyglądała dość bezbarwnie. Jasne włosy z ciemniejszymi odrostami zdecydowanie domagały się szamponu. Kobieta położyła kościste łokcie na kolanach i podparła podbródek zwiniętą w pięść dłońią. Ilekroć zaciągała się papierosem, jej policzki zapadały się niczym dwie jamy.

Prawdziwa nałogowa palaczka, potrzebująca stałej dawki smoły i nikotyny. Rozmawiając z policjantami, wymachiwała ręką z papierosem, kreśląc w powietrzu hieroglify z dymu.

Wypadek najwyraźniej nią wstrząsnął, a obecność dwóch gliniarzy, kręcących się przy niej z notatnikami i długopisami, także nie poprawiała jej humoru. Z pewnością byli gotowi sprawdzić prawdziwość wszystkich danych, jakie im podała. O ile już tego nie uczynili.

Zmrużone podejrzliwie oczy kobiety wyraźnie wskazywały na to, że nie darzy zbyt miłą siłą porządkowych.

Aha, pomyślała Tracey triumfalnie. Nie bój się nieczystych zagrywek. Świetnie, ta kobieta jest przecież naocznym świadkiem.

Ostrożnie zbliżyła się do auta, uważając, by nie zobaczyli jej policjanci. W odległości mniej więcej trzech metrów zatrzymała się, dokładnie za ich plecami. Jak dotąd wszystko szło dobrze - nikt jej nie widział, a ona sama mogła słyszeć każde słowo rozmowy.

Z bliska dostrzegła, że kobieta w samochodzie jest o wiele młodsza, niż początkowo się wydawało. Bieda i ciężkie warunki życia zrobiły swoje. Ciekawe, ile dzieci czeka na nią w domu? - zastanowiła się przelotnie Tracey.

- Jasne, żałuję, ale nie przypatrywałam się zbyttnio. Skąd miałam wiedzieć, że wciśnie gaz do dechy? - odrzekła z rozdrażnieniem kobieta. Ciężki, gardłowy akcent wskazywał na mieszkankę slumsów Florydy.

Urwała, zaciągając się głęboko i wypuszczając przez nos dwie bliźniacze wstążki dymu. Uniosła wzrok i popatrzyła prosto na policjantów, wolno potrząsając głową.

- Chryste, kto by przypuszczał, że ten facet to wariat? Jeden z policjantów zapytał:

- A więc odniosła pani wrażenie, że kierowca... działał celowo?

- Co? To znaczy, czy chciał się zabić? - Spojrzała na policjantów, szeroko otwierając oczy.

- Tak, proszę pani, właśnie o to pytam - potwierdził funkcjonariusz.

Kobieta zmarszczyła brwi w namyśle. Widać było, że usiłuje zanalizować sytuację pod tym właśnie kątem. Wreszcie wzruszyła ramionami, całkowicie tracąc zainteresowanie wypadkiem.

- A skąd mam to wiedzieć, do cholery? - Po raz ostatni zaciągnęła się papierosem i rzuciła niedopałek na jezdnię, rozgniatając go podeszwą klapka. - Może chciał nacisnąć na hamulec, a przez pomyłkę nacisnął gaz - powiedziała. - Albo pomyślał, że zdąży przeskoczyć. Mało to razy widziałam, jak ludzie tak robili? Głównie nastolatki. Mają z tego frajdę. Oczywiście tak tylko przypuszczam. To znaczy most był już wtedy do połowy podniesiony.

- Czy zauważyła pani jakichś pasażerów w samochodzie?

- Nikogo nie widziałam. Oczywiście w ogóle nie zwracałam na niego uwagi, dopóki nie wystrzelił do przodu jak wariat i nie zwałił się z mostu. - Pociągnęła nosem, jakby chciała go wydmuchać, po czym ponownie sięgnęła po papierosy. Grzebała palcami w paczce, ale opakowanie było już puste. - O kurczę! - Jej głos wzniósł się na ostatniej sylabie, przechodząc niemal w falset. Zgniotła paczkę i z wściekłością rzuciła na jezdnię, jakby nigdy nie słyszała o koszach na śmieci. - Jasna cholera!

Przejechała palcami po tłustych włosach. Z widoczną irytacją odwróciła głowę, spoglądając w kierunku, z którego przyjechała, i tracąc wszelkie zainteresowanie przesłuchaniem.

- A jaki to był model samochodu? - dopytywał się policjant. Kobieta uniosła obie ręce i ciężko opuściła je na uda.

- Słuchajcie, nie mam fajek i jestem cholernie zmęczona, jasne? Jak długo to jeszcze potrwa? Pędzę na łeb na szyję z pracy do domu, moja szwagierka pilnuje nam dzieciaków. Jej zmiana zaczyna się za godzinę. Nie mam czasu na bzdury.

- Proszę pani - głos policjanta był spokojny i uprzejmy, ale jednocześnie rzeczowy i stanowczy - marka i model samochodu.

- Och, nie wiem - wymamrotała. - Czarny. A może niebieski? - Kolejne wzruszenie ramion. - Mógł też być szary. Niezbyt duży.

- Dach pełny czy opuszczany? Kobieta wierciła się niespokojnie.

- Pełny - rzuciła z rozdrażnieniem.

Tracey wydała niemal bolesne westchnienie ulgi. Dzięki ci, Boże, dzięki, powtarzała bezgłośnie. Przynajmniej to nie Brian.

- Słuchajcie, chłopaki, czy któryś z was ma może fajki? - Kobieta z nadzieją popatrzyła najpierw na jednego policjanta, a potem na drugiego.

Kiedy pokręcili przecząco głowami, Tracey zobaczyła, że tamta zwraca się w jej kierunku.

Oho.

Szybko potrząsnęła głową i odwróciła się, udając, że rozgląda się dookoła. Starła się sprawiać wrażenie turystki uwiecznionej w jednym z samochodów, która postanowiła wysiąść i podziwiać panoramę miasta.

Zerkając przez ramię, odczekała, aż policjanci się oddalą. Uznała, że najlepiej będzie iść sprężystym krokiem. W końcu to jej pierwszy dziennikarski występ. Prawdziwa szansa. Byłoby wstyd, gdyby ją zmarnowała.

Obok trans amu stał nowiutki, lśniący jaguar, brązowy z metalicznym połyskiem, przyciemnionymi szybami, podwójnymi reflektorami i owalną kratownicą wylotu powietrza. Inna para gliniarzy właśnie skończyła przesłuchiwać kierowcę i teraz rozmawiała z Latynosem w białym hyundaiu, następnym w kolejce.

Kiedy Tracey zbliżyła się do jaguara, przydymiona szyba po stronie kierowcy akurat unosiła się szybko. Mimo to udało jej się dostrzec mężczyznę za kierownicą. Pod trzydziestkę, w fikuśnych okularach przeciwsłonecznych, z włosami sterczącymi na wszystkie strony zgodnie z wymogami mody.

Przedstawiciel jakiejś korporacji? Handlowiec? Członek rady nadzorczej? W dzisiejszych czasach niełatwo było odgadnąć czyjś zawód. Fryzjer niczym się nie różnił od chirurga.

Trudno, powiedziała sobie z determinacją, kimkolwiek jest, jedno pewne: kto nie ryzykuje, ten nic nie ma.

Zastukała w przyciemnioną szybę, po czym uśmiechnęła się wdzięcznie. Uprzejmy uśmiech, jak ją nauczyło doświadczenie, potrafił zdziałać cuda.

Szyba opadła z lekkim szmerem.

- Tak? - zapytał mężczyzna w samochodzie.

- Cześć - zaczęła Tracey przymilnie. W szklach jego okularów widziała dwa swoje miniaturowe odbicia. Szeroko rozłożyła ręce. - Zastanawiam się, czy byłby pan skłonny pomóc dziewczynie.

- Przykro mi - odparł kierowca. Głos miał donośny i sarkastyczny. - Nie mam lakieru do paznokci.

Z humorem, ale i niezbyt subtelnie, dawał jej do zrozumienia, że jest gejem.

No oczywiście, pomyślała. Zapytaj jakąkolwiek dziewczynę, a powie ci to samo: każdy facet w Miami, na którym warto zawiesić wzrok, okazuje się gejem.

- Coś mówiłaś o dziewczynie potrzebującej pomocy - ponaglił ją kierowca.

- O tak.

Nagle ogarnęła ją trema. Dla niej była to kompletna nowość, a przecież jeśli w jakimś zawodzie liczyło się doświadczenie, to właśnie w dziennikarstwie. Z drugiej strony, jak miała je zdobyć, jeśli nie w takich sytuacjach jak obecna.

- Jestem z WMAI - zaczęła, pokazując laminowaną kartę, zawieszoną na szyi. - To stacja telewizyjna. Dostałam tymczasową akredytację i to moje pierwsze zadanie. Okazało się, że nie mieli nikogo innego, żeby go tu wysłać, tak więc... No dobrze, nowy dyrektor wskazał palcem na mnie... i wylądowałam tutaj. Pewnie uzna pan, że się narzucam, panie...

- Riphenburg - uzupełnił gładko. - Theodore Riphenburg. Ale chyba te formalności są zbędne, prawda? Moi przyjaciele mówią do mnie Ted. Zresztą wołaj na mnie nawet Teddy, bylebyś tylko nie wołała mnie zbyt późno na lunch. Och, przepraszam - uśmiechnął się, a potem dorzucił, wyjaśniając: - To kwestia z „Marne”^{*}.

- Nie ma sprawy - odpowiedziała mu uśmiechem. - Żeby formalnościom stało się zadość, Tracey Sullivan. - Wyciągnęła rękę. - Dla ciebie: Trace.

Uścisnęli sobie dłonie przez otwarte okno.

- Jestem zaszczycony, mogąc poznać tak przystojną reporterkę. Tracey rzuciła mu spojrzenie mówiące: „bez przesady, facet”, po czym przeszła na ton bardziej oficjalny.

- Ted, czy mógłbyś mi powiedzieć, czego właściwie byłeś świadkiem?

- Masz na myśli ten samochód, który wystrzelił z mostu, wzniósł się w powietrze, a potem zwałił do wody?

- Tak - energicznie pokiwała głową - właśnie tak.

- Jasne, nie widzę problemu.

- Dzięki Bogu - zareagowała z ożywieniem. - Pewnie nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale właśnie uratowałeś mi życie.

Teraz on obrzucił ją spojrzeniem. Potem lekko poruszył palcami, dając jej znak, żeby się odsunęła, kiedy otwierał drzwi. Wyprostował długie nogi. Był wysoki i pięknie zbudowany, ale bez nadmiernych zwałów mięśni. Nosił ubranie od Gucciego, poczynając od dobrze skrojonej srebrnoszarej koszuli, po spodnie ze skóry pytona i futurystyczne, czarne mokasyny za czterysta dolarów.

- A teraz - powiedział, uśmiechając się i zsuwając na tył głowy okulary przeciwsłoneczne - jestem do usług.

Odchrząknęła.

- No to zaczynamy. Po pierwsze, czy sądzisz, że to było celowe? To znaczy, że kierowca chciał popełnić samobójstwo? Może to zwykły wypadek?

Ted spojrział w górę, na podniesione skrzydło mostu, a potem w dół, na ludzi ze służb ratowniczych. Podążyła za jego spojrzeniem. Nurkowie wynurzyli się z rzeki i przekazywali sygnały komuś ze stojących na brzegu. Nadmuchiwana boja na powierzchni wody z pewnością oznaczała miejsce, w którym znajdował się wrak.

Ted Riphenburg westchnął łagodnie. Nie odwracając wzroku od akcji ratunkowej, zawyrokował:

* „Auntie Manie”, komedia filmowa z 1958 roku, z Kosalind Russell.

- Samobójstwo. - Pokiwał głową. - Z całą pewnością. Tracey rzuciła mu przenikliwe spojrzenie.

- Jesteś pewien?

- Nie mam wątpliwości. Ten facet dosłownie czekał na moment, kiedy most się podniesie. Zwiększał obroty silnika, podobnie jak czasami robią motocykliści na czerwonym świetle.

Pokiwała głową. Wiedziała, co miał na myśli.

- Czy zauważyłeś markę i model samochodu? Czy miał tablice rejestracyjne z Florydy?

- Nie zwróciłem uwagi. Jedyne, co mi wpadło w oko, to że auto było stare. Żaden lśniący nowością wóz, jakich pełno w South Beach, tylko stary, smutny, porzewiały gruchot.

Oboje obserwowali samochód holowniczy podjeżdżający jak najbliżej wody i opuszczający z wyciągarki gruby kabel z potężnym hakiem na końcu. Jeden z nurków podpłynął do brzegu, chwycił hak i zanurzył się z nim pod wodą.

- Ted? - zagadnęła go Tracey, starając się nadać głosowi całkowicie obojętne brzmienie. - Czy miałbyś coś przeciwko powtórzeniu tego wszystkiego przed kamerą?

Riphenburg oderwał wzrok od rozgrywającego się na dole dramatu i uniósł brwi.

- Dla wiadomości? Mam wystąpić jako naoczny świadek? Odwróciła się w jego stronę.

- Oczywiście, że jako naoczny świadek. A ty myślałeś, że jako kto? Uśmiechnął się szeroko.

- Zdaje się, że zapomniałem ci powiedzieć, że WMAI to moja najulubiejsza stacja telewizyjna. Odbiornik mam nastawiony wyłącznie na wasz kanał, a po wejściu do domu natychmiast sięgam po pilota, zanim jeszcze zdążę zamknąć drzwi.

- Ted? - przerwała Tracey słodko.

- Co takiego?

- Czy mógłbyś mi wyświadczyć drobną przysługę?

- Jasne, powiedz tylko, jaką.

- Oszczędź mi tego gówna, zgoda? Doskonale wiem, jaki jest przekrój społeczny naszej widowni. A ty - stuknęła Teda palcem w klatkę piersiową - niestety nie mieścisz się w żadnej z tych żalosnych grup, jakie nas oglądają.

Popatrzył na nią ze współczuciem.

- Biedactwo. Jak to szło w reklamie Avis? O sięganiu po numer drugi?

- W naszym wypadku należałoby sięgnąć od razu po numer siódmy - powiedziała kwaśno. - To jest po trzech głównych stacjach, a nawet pięciu, jeśli wliczyć FOX i CNN i dwie hiszpańskojęzyczne. Żałosne, prawda? Ale do diabła, to też jest telewizja i w końcu można nas oglądać w całym Miami - Dade, co obejmuje około trzech tysięcy kilometrów kwadratowych. - Urwała, widząc nagle ożywienie Teda.

Co takiego jest w telewizji? Wystarczyło, by o niej wspomniała, nawet jeśli była to tylko stacja WMAI, a Ted już poderwał się i rzucił do tylnego lusterka jaguara, żeby sprawdzić swój wygląd. Z wprawą przejechał palcami po włosach, wichrząc je jeszcze bardziej. Fryzjer z zawodu?

Odwrócił się do niej z szerokim uśmiechem.

- Gotowy, pani DeMille - oznajmił dramatycznym tonem.

Ale Tracey spoglądała na akcję ratunkową w dole, szukając Joela Zaidoffa. Odnalazła go bez trudu.

No tak, powinna się była domyślić. Taki wyjadacz jak on od razu wkręcił się do pierwszego rzędu. Stał tuż obok pojazdu holowniczego, filmując nurków ciągnących kabel z hakiem w stronę boi.

- Tam. - Uniosła rękę, wskazując palcem zgromadzonych nad wodą. - Musimy tam zejść - powiedziała Tedowi. - Chodź za mną, a zrobię z ciebie gwiazdę.

- Gwiazdą człowiek się rodzi - sprostował z dumą Ted Riphenburg. - Tego się zrobić nie da. W każdym razie - skłonił się żartobliwie - *après moi le deluge*.

Tracey pośpiesznie zbiegła na dół i zbliżyła się do wozu holowniczego. Dochodziła czwarta po południu i odliczanie już się rozpoczęło. Czowała narastające napięcie wśród członków ekip telewizyjnych. Nikt lepiej od niej nie wiedział, że czas pracuje przeciwko Joelowi Zaidoffowi.

Przedstawianie swojego świadka dyrektorowi uznała za zbędne. Ted stanął z boku, podczas gdy Joel zdjął z ramienia ogromną kamerę i delikatnie postawił u swoich stóp. On i Tracey nachylili ku sobie głowy, wymieniając się informacjami.

- I co mamy, jak do tej pory? - zapytała Tracey. Trzymając w jednej ręce żółty notatnik, a w drugiej gruby marker, szykowała się do sporządzania notatek, co w jej wydaniu ograniczało się do nagryzmolenia najważniejszych słów.

- Co mamy? - powtórzył zdegustowany Joel. - Nic, zero, *nada*. Z raportu jednego z nurków wiemy, że w środku znajduje się mężczyzna. Nurkowie podali też numer rejestracyjny samochodu, a policja sprawdza go w komputerze.

- I co jeszcze?

- Kierowca zginął na miejscu. Nie miał zapiętych pasów. Tracey zerknęła na Teda, stojącego z boku podczas całej rozmowy.

- Interesujące - wycodziła, lekko postukując markerem o zęby. - Niezapięte pasy pasują do tego, co mówił Ted, mianowicie, że silnik pracował na wysokich obrotach. Przypuszczalnie w grę wchodzi samobójstwo.

Joel gniewnie zmarszczył brwi.

- Zgoda, ale w naszym fachu nie używamy określenia „przypuszczalnie”. To tak, jakbyśmy się przyznawali, że naprawdę nie mamy o niczym pojęcia. Na dziennikarstwie cię tego nie uczyli? Za moich czasów przekazywanie informacji polegało na... jak by to powiedzieć... na podawaniu faktów. Nie spekulacji.

Złośliwość Joela była zamierzona i Tracey tak też ją odebrała. Postanowiła jednak nie reagować.

- Joel, wiem, na czym polega przekazywanie informacji - powiedziała, podnosząc głowę. - Ale spójrzmy prawdzie w oczy. Sam powiedziałeś, że mamy zero.

Joel westchnął.

- A ty z czym przychodzisz?

- Cóż, bez wozu transmisyjnego i tak nie przekażemy relacji na żywo do studia.

- Ty mi to mówisz - rzucił Joel gniewnie, omiatając wzrokiem samochody konkurencji, oblepione logo ABC, NBC i CBS.

Szybkie spojrzenie na zegarek upewniło ją, że do rozpoczęcia „Specjalnego gościa w waszym domu”, oczka w głowie WMAI, pozostało zaledwie pięćdziesiąt dziewięć minut. Godzinny program, będący mieszanką wiadomości lokalnych, sportu i pogody, gromadził przy odbiorcach największą liczbę widzów, zbierał najwyższe oceny w rankingach oglądalności i przynosił lwią część zysków.

Wszystkie stacje nadadzą relację na żywo z dramatu, jaki się tu rozgrywał. Wszystkie poza WMAI.

Bez relacji na żywo. Przecież musiał istnieć jakiś sposób, żeby to obejść.

No dobrze, a jak sobie radzono, zanim powstała możliwość przekazu satelitarnego?

I nagle wiedziała już, co należy zrobić.

- Posłuchaj, Joel - zaczęła z ożywieniem - i tak żyjemy niebezpiecznie. Nie, nie patrz tak na mnie, tylko wysłuchaj, co chcę ci zaproponować. Nakręcimy rozmowę z naszym świadkiem, o tutaj, na tym miejscu, zgoda?

Chwyliła Teda za ramię i przyciągnęła bliżej siebie.

- Oto nasz eksponat A - oznajmiła. - Mniejsza z tym, że na razie nie dysponujemy eksponatem B.

- Mów dalej - ponaglił ją Joel, mimo woli zaintrygowany.

- Jeśli odpowiednio sformułuję pytania, zapytam Teda o jego opinię, a potem on powtórzy wszystko, co powiedział wcześniej o kierowcy trzymającym silnik na wysokich obrotach, nie będzie to z naszej strony stwierdzenie faktu, prawda? Oczywiście sąd uznałby moje pytania za naprowadzające, ale przecież Ted nie zeznaje przed sądem. Spekulacjami z naszej strony też nie będzie można tego nazwać. - Uśmiechnęła się. - Podobnie jak nikt nie będzie mógł nas oskarżyć o złą wolę, zwłaszcza jeśli powiem do kamery, że Ted był naocznym świadkiem, i dodam, że czekamy na oficjalny komunikat policji, bla, bla, bla...

- Hm. - Joel zawahał się przez moment, kołysząc się na piętach w przód i w tył, z rękami w kieszeniach spodni. - Zgoda - zawyrokował w końcu.

Obrzucił Tracey zaintrygowanym spojrzeniem, jakby dopiero teraz tak naprawdę zdał sobie sprawę z jej obecności. Czekala, starając się opanować niecierpliwość.

- Hm - powtórzył Joel. Potem dodał: - taak - rozciągając to słowo w jedną, długą sylabę. - Wiesz co? Nie jesteś wcale taką głupią gęsią.

- Jezu - rzuciła Tracey cierpko. - Dzięki, Joel.

Mruknął coś i machnął ręką, jakby oganiał się od uprzykrzonego owada.

- Joel, tak naprawdę mieliśmy sporo szczęścia. Jeśli nie będziemy tracić czasu, może uda nam się uprzedzić inne stacje. Albo przynajmniej ich lokalne wiadomości o piątej. A to dlatego - zakończyła z triumfem w głosie - że dorwaliśmy jedyne naocznego świadka, któremu gliny formalnie nie zakazały mówić.

- Hm - mruknął Joel - bomba.

- Czas przystąpić do nagrywania materiału - zakończyła Tracey rezolutnie, uwalniając ramię Teda i ponownie sięgając po notatnik. - W porządku, Joel. Co jeszcze udało ci się wyniuchać? Nazwiska, jakieś szczegóły, marka samochodu, cokolwiek?

Zaidoff potrząsnął głową.

- Wiem tylko, że oprócz kierowcy w samochodzie nie było nikogo. Nazwiska ofiary policja nie ujawni, dopóki nie zostanie powiadomiony najbliższy krewny.

Nie dziwiło jej to. W podobnych przypadkach obowiązywały specjalne procedury.

Zreasumowała w myślach wszystkie znane jej fakty i zaczęła szybko notować, posługując się swoją wersją stenografii.

Godz. szczytu, trag. wyp. samoch.

Brickell Av, na wys. Se8street, 1 ofiara, potw. późn. stary model sedana spadł z rampy podn. mostu Brickell Br. wg naocznego świadka kierowca planował samob.

Soi przy mnie Ted Riphenburg, jeden z wielu świadków tego tragicznego wydarzenia. Ted...

Bazgrząc w pośpiechu, poczuła przyjemne zaskoczenie. Informacje, choć skąpe, po przeniesieniu na papier zaczęły wyglądać o wiele bardziej konkretnie. Lekko postukała markerem po zębach.

- Joel, masz jakieś sugestie? Ty, stary wyjadacz.

- Powiem tylko, że postaram się tu kręcić do chwili wydobycia wraku z wody. Choć za bardzo nie liczyłbym na to. Muszę jeszcze mieć czas na dotarcie do studia i wywołanie taśmy, żeby ją można było puścić.

- Ja zostaję czy wracam z tobą?

- Jesteś naszą jedyną reporterką na miejscu zdarzenia, więc zostajesz. Jeśli mi się uda, podeślę ci wóz transmisyjny. Inaczej cofniemy się do epoki kamienia łupanego. Gdyby wydarzyło się coś nowego, dzwoń. Łap. - Wyciągnął z kieszeni aparat komórkowy i rzucił Tracey. Złapała go bez trudu.

- Numer zero jeden łączy ze mną - tłumaczył Joel - a zero dwa bezpośrednio z prezydentem. Wybierz jeden z nich w zależności od rozwoju wydarzeń. Jeśli tylko któryś z wozów transmisyjnych będzie wolny, nadamy relację na żywo, bez względu na porę. - Wzruszył ramionami. - Gdyby coś się miało dziać w porze nadawania wiadomości, radzę ci dzwonić bezpośrednio do prezydentów.

- Czy to znaczy, że przekażę telefoniczną relację na żywo, a Shania i Ed będą mi zadawali pytania?

Shania Landis i Edgardo Juarez byli głównymi prezydentami WMAI.

- Tak, tak i jeszcze raz tak. Plus na ekranie pojawi się twoje zdjęcie na miejscu wypadku. Wyobraź sobie własną twarz na wszystkich odbiornikach telewizyjnych w całym hrabstwie Miami - Dade.

Pochylił się, podniósł kamerę i umieścił ją na powrót na prawym ramieniu. Ze zmarszczonymi brwiami studiował sylwetkę Tracey na podglądzie. Podtrzymując obiektyw lewą ręką, zataczał nim nie - wielkie kółka.

- Przesuń się trochę w lewo. Nie tak daleko. Teraz pół kroku w prawo. Już, nie ruszaj się. Doskonałe tło.

Jeden z nurków właśnie wynurzył się z wody. Podniósłszy rękę, sygnalizował operatorowi wyciągarki, że może zaczynać. Potem machnął płetwami i na powrót zniknął pod powierzchnią.

- Okay, słuchaj, Tracey, zaraz zrobi się tu trochę hałaśliwie - ostrzegł ją Joel. - Pamiętaj, kiedy policzę do pięciu, wchodzisz. Mówisz prosto do mikrofonu. Nie przejmuj się hałasem wyciągarki ani innymi odgłosami. Twój mikrofon jest zaprojektowany na wyłapywanie wyłącznie bliskich dźwięków. Te z tła zostaną automatycznie wyeliminowane. - Urwał. - Gotowa?

Tracey głęboko wciągnęła powietrze, chwilę pottrzymała w płucach, po czym wypuściła wolno. Poczowała przyływ napięcia, niczym przeskok iskry elektrycznej, aż skóra zapiekła ją koło prawego oka.

- Gotowa na wszystko.

Nawet jeśli Joel miał jakieś obawy, nie dał nic po sobie poznać.

- Świetnie. Patrz na moją rękę. - Zaciśnął dłoń w pięść. - Odliczę do pięciu, głośno i na palcach, jasne?

Skinęła głową i skoncentrowała się na relacji. W tym momencie potężna, żółta bestia zazgrzytała, bęben zaczął się obracać z głośnym łoskotem, rozwijając srebrzysto - czarny kabel, który naprężył się od razu. Ogluszający hałas na równi z kamerą pochłaniał uwagę Tracey.

- ...pięć! Zaczęła mówić.

- Tragiczny wypadek czy może samobójstwo? - Głos miała absolutnie profesjonalny; pozbawiony emocji, pewny siebie, starannie modulowany i wyraźny. - Policja w Miami poszukuje odpowiedzi na to pytanie. Prawdę poznamy być może dopiero za kilka dni albo nawet tygodni. Obecnie tylko dwie rzeczy są pewne. Jedna ofiara śmiertelna i poważne zakłócenia w ruchu drogowym, uciążliwe zwłaszcza dla wracających z pracy. Wszystkie pięć pasm Brickell Avenue, jednej z głównych arterii przecinających Miami River, na odcinku od Southwest Seventh do Southeast First Street, zostało zamkniętych na czas nieokreślony z powodu wypadku, jaki wydarzył się na Brickell Bridge. Cały ruch kołowy kierowany jest trasami okrężnymi.

Tymczasem policja czeka na wydobycie z wody wraku, by móc zbadać przyczynę tragedii. Hałasy, jakie pewnie słyszą państwo w tle, to właśnie odgłosy akcji ratowniczej. Lada chwila zatopiony samochód ukaże się na powierzchni.

Główne pytanie, które zaprzęta teraz wszystkie umysły, brzmi: dlaczego? Jeden z naocznych świadków, który określił zatopiony samochód jako stary sedan, jest przekonany, iż

przyczyną wypadku było samobójstwo kierowcy. Obok mnie stoi Theodore Eiphenburg z Coral Gables, który w chwili tragedii znajdował się bezpośrednio za feralnym wozem i widział wszystko na własne oczy.

Zbliżyła się do Teda i zwróciła w jego stronę, tak że teraz oboje znajdowali się w zasięgu kamery. Powiedziała do mikrofonu:

- Ted, twierdzisz, że byłeś świadkiem tego przerażającego zdarzenia i uważasz, że to samobójstwo. Dlaczego? - Podsunęła mu mikrofon.

Ted nachylił się lekko.

- Ten samochód stał, zupełnie jakby czekał, aż most zacznie się podnosić. To znaczy zatrzymał się, zanim zabrzmiał sygnał, a światła zmieniły się na czerwone i opadł biało - czerwony szlaban. W pierwszej chwili nawet nie zauważyłem, że stanął, i musiałem raptownie hamować. To cud, że wóz jadący bezpośrednio za mną też zdążył wyhamować, zanim doszło do kolizji. Kierowca, chyba kobieta, zaczął trąbić, że mamy ruszać. Ale w tym momencie zabrzmiał sygnał ostrzegawczy i zmieniły się światła i zaraz potem most zaczął się podnosić.

- Czy wówczas wydawało ci się w jakiś sposób istotne, że tamten samochód już się zatrzymał?

- Nie - Ted potrząsnął głową - wcale. Przelotnie pomyślałem, że może kierowca zauważył zbliżający się statek i wie, że zaraz podniosą most. W kontekście całej sytuacji miało to sens. To tak jak na skrzyżowaniach, przez które człowiek przejeżdża tak często, że potrafi przewidzieć, kiedy zmieniają się światła.

Tracey przytaknęła.

- W którym momencie zacząłeś podejrzewać, że kierowca działa z całą świadomością?

- Chyba wtedy, kiedy uruchomił silnik. Uczynił to dokładnie w momencie podnoszenia mostu. Wcisnął sprzęgło i dodał gazu.

- Niczym samochód wyścigowy, czekający na sygnał startu?

- Tak - zgodził się Ted, odrobinę zaskoczony. - Dokładnie tak to wyglądało. Choć oczywiście na początku nie widziałem w tym nic niezwykłego. Na światłach wielu ludzi czeka na włączonym silniku. - Wzruszył ramionami. - Na moście czasami też, choć już nie tak często.

Na nabrzeżu dał się odczuć nagły wzrost napięcia. Wszędzie dookoła widać było wzmożoną aktywność i podekscytowanie. Zapewne miały one związek ze zmianą położenia podnośnika.

Jeszcze moment i coś się wydarzy. Ale co? Czy zatopiony samochód wynurzy się na powierzchnię?

Po raz pierwszy Tracey w pełni zdała sobie sprawę z niedoskonałości nagrywania na wideo. O ile lepiej byłoby, gdyby mogła przekazywać informacje na żywo, w miarę rozwoju wypadków.

Podobnie jak wszyscy zgromadzeni, ona także odwróciła głowę w stronę grubego, naprężonego kabla, zanurzonego w wodzie. Nurkowie pokazali się ponownie. Z maskami odsuniętymi z twarzy podskakiwali w miejscu, trzymając się z daleka od kabla. Tam, gdzie stykał się z wodą, Tracey wyraźnie widziała na powierzchni koncentrycznie rozchodzące się koła.

W miarę upływu sekund zmarszczek przybywało i robiły się coraz większe.

Tracey zdawała sobie sprawę, że z jednej strony jest tylko jednym z gapiów. Z drugiej jednak pamiętała o swoich obowiązkach dziennikarskich. Jako reporterka, ma być oczami i uszami setek tysięcy widzów.

Wyławiany samochód znajdował się tuż pod powierzchnią wody, która opływała go dookoła, tworząc ogromny wir.

Dał się słyszeć potężny plusk, a potem jakby odgłos gwałtownej ulewy. Kabel powoli unosił obciążony wodą samochód, przodem do góry. Promienie tropikalnego słońca odbiły się oślepiającym blaskiem od gładkich, chromowanych zderzaków i kratownicy. Strugi wody spływały po ciemnoszarej karoserii, lśniącej w słońcu, zupełnie jakby pokrywała ją świeża warstwa lakieru.

Samochód unosił się coraz wyżej i wyżej. Powietrze zamknięte w jego wnętrzu uwolniło się nagle, eksplodując tysiącem baniek, przez co woda wokół zdawała się gotować.

Powoli ukazała się przednia szyba - o dziwo, nietknięta - i przednia część dachu. To zdumiewające, ale samochód raczej nie ucierpiał zbyt, co wskazywało na jego wiek i jakość wykonania. Chrom był z pewnością prawdziwym metalem McCoya, a nie posrebrzonym plastikiem, który rozpadłby się w nagłym zetknięciu z wodą. Tę karoserię i chromowane dodatki wykonano naprawdę z solidnego metalu.

Upewniwszy się, że logo WMAI w mikrofonie zwrócone jest w stronę kamery, Tracey podjęła swoją relację.

- I oto na powierzchnię wody wynurza się samochód, który z niewiadomych jeszcze powodów wystrzelił z podnoszącego się mostu, daremnie usiłował dosięgnąć nieba, a na koniec wylądował na dnie Miami River. Nawet z tej odległości widać, że to stary model...

Mimo narastającej wrzawy mówiła ze spokojem i pewnością siebie, zupełnie jakby relacjonowała wystawę karczochów albo pokaz najnowszych modeli kostiumów kąpielowych.

Potoki brązowej, mulistej wody wylewały się przez otwarte okna, a wraz z nimi pierzchały stada małych, srebrzystych rybek. Za kierownicą zwisała bezwładnie na bok szara głowa z twarzą bez wyrazu.

- .. i o ile znam się na markach - ciągnęła Tracey - może być to stary oldsmobile ciera. Ten konkretny model pochodzi bodaj z połowy lat siedemdziesiątych.

I w tym momencie jakby otrzymała cios ciężkim młotem. Jej reporterskie opanowanie prysnęło niczym bańka mydlana. Nagle znalazła się w samym środku koszmaru. Urwała w pół zdania, z jej twarzy odpłynęły kolory.

O Boże, nie.

Znała ten samochód. Tak samo jak znała tę szmacianą lalkę będącą niedawno człowiekiem.

Oldsmobile ciera. Stary model. Ciemnoszary.

Jak mogła się nie domyślić?

Tata, pomyślała w przerażającej ciszy.

Nie! - wszystko w niej krzyczało. Tylko nie to. To jakiś straszliwy zbieg okoliczności.

Przez jeden okropny moment chwiała się na nogach niczym pijana, zataczając tułowień idealne, chaplinowskie kółka.

Przeraziła się, że zaraz zemdleje.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Joel ciągle nagrywał, nie odwracając kamery od wraku. Nie patrzył jednak w wizjer, a twarz miał pełną powagi.

- Tracey, co się stało?

Zawtórował mu stojący obok niej Ted Riphenburg:

- Tracey, nic ci...? Oczywiście, że coś ci jest. Nawet idiota by zauważył.

- Och... mój... Boże... - Tracey odzyskała zdolność mówienia, choć usta miała tak wyschnięte, że wydobywał się z nich zaledwie ochryply szept. Oddychała z trudem, niczym po wyczerpującym biegu.

Och, błagała w myślach, gdyby tak można było uciec od tego horroru. Biec, bieć i bieć, i nigdy nie przestawać. Może jeśli się uszczypnę w ramię, przebudzę się...

Ale to przecież nie nastąpi... Nie będzie przebudzenia z tego koszmaru.

Najstraszniejsze było, że jej doskonale uporządkowany świat zawalił się w chwili krótszej niż mgnienie oka. Jak to możliwe, by tak straszliwa tragedia spadła na człowieka niczym grom z jasnego nieba, bez najmniejszego nawet ostrzeżenia?

Słowa Teda, wygłoszone zaledwie kilka minut temu, tłukły się w jej głowie jak oszalale, niczym kule odbijające się rykoszetem w zamkniętym pomieszczeniu.

„...z pewnością samobójstwo... ten facet dosłownie czekał na odpowiedni moment... zwiększał obroty silnika”.

Nie! Chciała krzyknąć: Ted, mylisz się!

Musiał się mylić. Samobójstwo w żadnym wypadku.

Z tego jednego, prostego powodu, że chodziło o jej własnego ojca.

Nie było to jedynie pobożne życzenie. Każdy, kto go znał, powiedziałby to samo. Tom Sullivan zdecydowanie nie był typem samobójcy. Jeszcze dzisiaj rano powiedział jej: „do zobaczenia wieczorem”.

No właśnie. Tata był wojownikiem, zawsze gotowym stawić czoło wszelkim przeciwnościom losu, bez względu na to, jakie miał szanse.

Czyż nie udowodnił tego podczas długotrwałej batalii przeciwko Palm Coast Developers, Inc.?

Ktoś przebiegający obok uderzył ją w bark, czyjś łokieć zawadził o jej ramię, niemal okręcając Tracey w miejscu. Stała nieporuszona, opuściwszy mikrofon, i częściowo tylko

dostrzegała działania policjantów starających się utrzymać porządek, gdy tłum dziennikarzy i kamerzystów zaczął walczyć o jak najlepszy dostęp do wyciągniętego z wody samochodu.

Samochód. Nie jakiś zwykły, stary samochód, ale samochód jej ojca. Z jego ciałem w środku.

Joel poruszył się i to dopiero zwróciło jej uwagę. Ciągle jeszcze nie miał pojęcia, co się stało, ale zaczął się niepokoić. Na tyle, że opuścił kamerę.

Kamera, pomyślała Tracey nagle. Jej umysł pracował niczym lampa z uszkodzonym przewodem; zapalał się i przygasał, jakby w którymś z obwodów nastąpiło krótkie spięcie.

W jej świadomości pulsowało jedno, jedyne słowo. Ogień.

Oczywiście! Czasami ogień trzeba zwalczać ogniem.

- Joel! - Gardło miała tak ściśnięte, że najpierw musiała odchrząknąć dwa razy. - Joel - powtórzyła już pewniej. W jej oczach zabłysnął płomień.

Zaidoff popatrzył na nią uważnie.

- Bierz kamerę z powrotem! - zażądała.

Jej głos, chociaż ochryply, brzmiał stanowczo i niewzruszenie. Zauważyła, że Joel i Ted wymieniają spojrzenia. O dziwo, to Joel, stary wyjadacz, miał większe opory przed dalszym nagrywaniem. Przyglądał się jej badawczo.

- Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? - zapytał. Głos Tracey z każdą chwilą nabierał mocy.

- Tak, najzupełniej. - Podniosła wysoko głowę. Co mogło ją powstrzymać? Przecież nie miała się czego wstydzić. Wypadki zdarzają się codziennie. Teraz ma szansę ubić jednym strzałem dwa ptaki. Po pierwsze odpędzi sępy, które zaczęły się już gromadzić, po drugie - i ważniejsze - oczyści ojca z zarzutów albo przynajmniej publicznie wystąpi w jego obronie. Bo przecież Tom Sullivan nie mógł popełnić samobójstwa.

- Joel - powiedziała stanowczo - musisz mi pozwolić to zrobić.

- No właśnie. Co zrobić? Rozpoznałaś kierowcę i...

- Na litość boską - wpadła mu w słowo - nie traćmy czasu. Nagrywaj.

Joel westchnął i wzruszył ramionami.

- Skoro nalegasz - ustąpił niechętnie.

Ciągle nieprzekonany, podniósł kamerę z powrotem na ramię. Tracey zobaczyła zapalające się czerwone światełko.

Mikrofon podskakiwał w jej drżącej dłoni, tak że musiała się skupić, żeby go utrzymać.

- Ten... samochód, który właśnie wydobyto z wody - zaczęła z oczami utkwionymi w obiektywie - ja... ja go znam, podobnie jak znam kierowcę, który nazywa... nazywał się... - poprawiła drżącym głosem - Thomas Sullivan z Coconut Grove.

- A niech to szlag! - wyszeptał Joel cicho, szeroko otwierając usta ze zdumienia.

Tracey nie przestawała mówić.

- Mogę podać do publicznej wiadomości dane kierowcy, bo chociaż jego zwłoki nie zostały jeszcze oficjalnie zidentyfikowane, reporterka rozpoznała i kierowcę, i samochód. - Urwała, robiąc głęboki wdech. - To straszliwy zbieg okoliczności. Policja nie zna jeszcze nazwiska ofiary, ale najbliższa rodzina Thomasa Sullivana wie już o jego śmierci. Mówię to z całą odpowiedzialnością, ponieważ Thomas Sullivan jest... - Potrząsnęła głową. - Muszę się poprawić, Thomas Sullivan był moim ojcem.

Jej głos wzniósł się przy ostatnim słowie. Nagle opadło z niej całe napięcie, więc zakryła ręką twarz, jednocześnie jednak dając znak Joelowi, żeby nie przerywał nagrywania.

Po chwili odzyskała panowanie nad sobą. Drżącą dolną wargę przygryzła tak mocno, że teraz widniał na niej biały ślad, ale twarz miała spokojną i opanowaną. Podniosła głowę i swobodnie popatrzyła w obiektyw kamery.

- Zdaję sobie sprawę, że wiadomości telewizyjne nie są miejscem na snucie spekulacji i wyrażanie prywatnych przekonań, ale w tym szczególnym przypadku czuję, że jestem coś winna pamięci ojca, że mam obowiązek złamać panujące reguły i wygłosić własną opinię. Otóż mam wszelkie podstawy, żeby wierzyć, że Tom Sullivan, którego znałam, mój ojciec, który mnie wychował i kochał i którego ja także kochałam z całego serca, nigdy nie popełniłby samobójstwa. Zbyt wielkim szacunkiem darzył życie i uważał, że należy je przeżyć do samego końca. - Urwała na moment, zbierając siły do dalszej części wystąpienia, wygłaszanego bez żadnego przygotowania, prosto z serca. Ponownie przełknęła ślinę, by zwilżyć gardło. - Tata był typem wojownika. To samo zresztą powiedziałby każdy, kto go znał. A kiedy po raz ostatni widziałam go żywego? Dzisiaj rano. Zgadnijcie, co robił? - Skierowała pytające spojrzenie prosto w obiektyw i sama udzieliła sobie odpowiedzi. - Czy uwierzylibyście, że to samo, co każdego ranka! Pił kawę i rozwiązywał krzyżówkę w „Miami Herald”. Czy tak zachowuje się człowiek, który zamierza odebrać sobie życie? - Potrząsnęła głową. - W żadnym wypadku.

Stała niczym uosobienie prawdy, tak samo nierealnej jak koszmar, który właśnie się wydarzył. To, co pragnęła powiedzieć, zostało powiedziane. W tej chwili nie miała już nic do dodania. A nawet jeśliby miała, nie potrafiłaby tego wyrazić. Przeżyty szok w połączeniu z napięciem towarzyszącym wystąpieniu na żywo pochłonął jej wszystkie siły.

- To... to już wszystko - zakończyła łamiącym się głosem. - Przykro mi, ale dalej nie mogę...

Odsunęła mikrofon, jakby tym gestem mogła oddalić od siebie całą tragedię. Ted, który stał najbliżej, szybko wyjął jej go z rąk. Joel skończył nagrywanie i opuścił kamerę.

- Chryste, tak mi przykro - wyjąkał Ted. - Gdybym przypuszczał choć przez chwilę, że to może być twój ojciec, trzymałbym język za zębami.

Tracey popatrzyła na niego i potrząsnęła głową.

- Nie, Ted - odrzekła z powagą. - Opowiedziałeś o wszystkim w taki sposób, w jaki to zobaczyłeś. Ja z kolei powiedziałam to, co mi dyktowało serce. Nie mogę użyć twojej wersji przeciwko tobie. - Starła się zdobyć choćby na nikły uśmiech, ale nie starczyło jej siły.

- Trace - odezwał się Joel - musimy porozmawiać. Najlepiej bez świadków. - Skinął głową w stronę, gdzie stał zaparkowany ich samochód.

Natychmiast zachnęła się na ten pomysł. Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie, to ci się nie uda - odpowiedziała głosem pełnym gniewnego napięcia. - Nie wymanewrujesz mnie z tego.

- Ja wcale nie...

- Przepraszam, ale to właśnie usiłujesz zrobić, więc nie zaprzeczaj. Uważasz, że tak będzie lepiej dla mnie. Ale odpowiedź brzmi: nie. N - I - E. - Zbliżyła się i zacisnęła dłoń na jego ramieniu. Opóźniona reakcja na szok sprawiła, że źrenice miała ogromne. - Joel, dla mnie będzie lepiej, jeśli zrobisz to, o co cię poproszę. Chcę, żebyś puścił ten materiał. Żądam tego.

- Ale dlaczego? Czy zdajesz sobie sprawę, w jaką potworność się ładujesz? Uwierz mi, wiem, co mówię. Pracuję w tym fachu już wystarczająco długo, by zasłużyć sobie na przezwisko Matuzalema.

Potrząsnęła głową.

- Nie, Joel, tym razem nie rozumiesz. To jedyny sposób, żeby nie obsiadły mnie sępy. Prócz tego ktoś musi się ująć za moim ojcem. Kto to robi, jeśli nie ja?

Popatrzył na nią; na palce wpijające się w jego ramię, na jej twarz, z której było przekonanie, że tak należało postąpić.

- Poza tym mamy nagraną wypowiedź Teda - przypomniała mu. - To na wypadek gdybyś się niepokoił, że przedstawiony obraz będzie jednostronny.

Joel Zaidoff potrząsnął głową.

- To akurat mnie nie niepokoi.

- Posłuchaj, Joel, na chwilę zapomnij, że jestem w to osobiście zaangażowana, zgoda? Myśl o mnie po prostu jako o reporterce. O jakiegokolwiek reporterce.

Westchnął ciężko.

- Akurat.

- Mówię serio - zapewniła go.

Ból, jaki pojawił się na twarzy Joela, świadczył o tym, że zaczyna rozumieć. Ale musiał dać jej jeszcze jedną szansę.

- Jesteś pewna? - zapytał ponownie. - Tak na sto procent? Raz wyemitowanego materiału nie da się cofnąć.

- Myślisz, że o tym nie wiem? - W głosie Tracey brzmiała prawdziwa furia. - Nie jestem dzieckiem. Idź już, zawieź ten materiał do studia, zanim zacznie się program. I przestań się o mnie martwić. Jakoś dotrę do domu w jednym kawałku. Przed Sheratonem taksówki czekają całymi tabunami.

- Nie powinnaś być teraz sama.

- Nie będę. W razie potrzeby Ted mnie odwiezie. Prawda, Ted? - Popatrzyła na Riphenburga pytająco.

- Oczywiście, że cię odwiozę - oświadczył stanowczo. - Mowy nie ma, żebym pozwolił ci wracać samej. Nie w takim stanie. Dopilnuję, aby ktoś z przyjaciół został z nią na noc - dodał w stronę Zaidoffa.

- To dobra myśl - zgodził się Joel.

- Co z wami, chłopcy? - zapytała Tracey. - Czyżbyście naprawdę sądzili, że kobiety to słaba płeć? To tu was boli?

Przez dłuższą chwilę Joel mierzył ją badawczym wzrokiem, wreszcie podjął decyzję i podniósł kamerę. Kiedy przeciskał się przez tłum dziennikarzy i umundurowanych pracowników służb ratunkowych, Tracey zawołała za nim jeszcze:

- Joel!

Odwrócił się i popatrzył na nią. Wytrzymała to spojrzenie.

- Dzięki - powiedziała. - Jestem twoją dłużniczką.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Santoryn, Grecja

Wioska Oia - z olśniewająco białymi domkami, czepiającymi się urwistego wybrzeża i rozsianymi na wzniesieniach niczym kostki cukru - wyglądała jak żywcem przeniesiona z pocztówki.

W górze i w dole królował błękit morza i nieba.

Błękitne były kopuły bielonych wapnem kościółków, błękitnawy odcień miały zamglone wysepki, przerywanym łańcuchem otaczające liczącą niemal trzydzieści kilometrów w obwodzie, wypełnioną wodą kalderę, czyli krater - pozostałość erupcji wulkanu w czasach starożytnych.

Błękitny wreszcie - a właściwie lazurowy - był basen kąpielowy Uranii Vickers. O lekko trapezoidalnym kształcie, brawurowo wyniesiony trzysta metrów nad powierzchnię Morza Egejskiego, bez podwyższonych obramowań, dawał pływakowi wrażenie nieskończoności, złudzenie zanurzania się bezpośrednio w morzu.

Trójpoziomowa rezydencja przypominała nieregularny plaster miodu. Składała się z osiemnastu pomieszczeń, wykutych w dawnych jaskiniach, wcinających się głęboko w ścianę klifu, z fasadami bielonymi wapnem i upstrzonych otworami okiennymi. Poszczególne poziomy były połączone ze sobą meandrami stromych schodków, wąskich korytarzyków i zalanych słońcem dziedzińców. Podłogi, zarówno w pokojach, jak i na tarasach, zdobiła krockalia - mozaika z małych, białych, okrągłych kamyków, układanych na przemian z czarnymi, wyznaczającymi kontury rysunku. Jak wszędzie na całej wyspie, kaskady bugenwilli, krzewy oleandrów i donice wypełnione jaskrawoczerwonym geranium przydawały całości olśniewających barw.

Jeśli istniał gdzieś raj, to z pewnością właśnie tutaj.

A jednak manhattańscy ignoranci potrafili sprofanować swoimi barbarzyńskimi obyczajami nawet tę perłę Cykladów.

- Na miłość boską, kochanie, dlaczego miałabym się złościć? Urania przemierzała taras, jakby to była scena teatralna.

W zwiewnym, jedwabnym kaftanie w pionowe pasy z dodatkiem mniejszych i większych plam błękitu, miejscami tak ciemnego, że niemal przechodzącego w czerń, i dodatkowo obficie zahartowanym złotą nicią we wzór z koncentrycznie układających się kół, wyglądała, jakby przed chwilą zeszła z obrazu Gustava Klimta. Królewska w każdym

szczególe, aż po brązową cygaretkę, wciśniętą w zadziwiająco długą cygarniczkę z kości słoniowej. Od czasu do czasu podnosiła ją do ust, nie zaciągając się jednak, gdyż dla Uranii papieros stanowił raczej teatralny rekwizyt niż przejaw nałogu.

- Naprawdę - ciągnęła modulowanym głosem, wzbogacając swój występ porozumiewawczym mrugnięciem oka - niezmiernie mi pomogłaś. Skierowałaś mnie na właściwe tory, kochanie, i jestem ci za to niewymownie wdzięczna. Wręcz bezgranicznie.

Z szerokim zamachem wsunęła cygarniczkę między wargi, kierując ją niemal pionowo do góry, i wypuściła wielki kłęb dymu - niczym Gloria Swanson grająca Normę Desmond. Przede wszystkim jednak Urania była gwiazdą własnej, aczkolwiek ostatnio nieco błędnej konstelacji.

Wysoka, koścista i absolutnie wyprana z poczucia humoru Julia Markoff zmarszczyła brwi i wymieniła ostre spojrzenia z dwiema asystentkami. Wszystkie trzy miały kręcone włosy niczym Sarah Jessica Parker, chociaż ich fryzury przypominały raczej węzowe sploty Meduzy.

Urania przechadzała się wzdłuż niskiego murku zamykającego taras z widokiem na morze, na tle zachodzącego słońca, które także szykowało się do cowieczornego spektaklu, lecz ociągało się jeszcze, jakby czekając, aż Julia Markoff i jej posłuszne akolitki wreszcie się oddalą.

Julia odpowiedziała wyraźnym westchnieniem ulgi na ową brawurowo odegraną scenę.

- Kochanie, jestem taka szczęśliwa, że się nie gniewasz. Bałam się, śmiertelnie się bałam, że mogłabyś opacznie zrozumieć moje intencje. Wiesz przecież, jak bardzo mi zależy na dobrych stosunkach z autorami. Harmonijna współpraca - to takie ważne. A więc jesteś absolutnie pewna, że nie potrzebujesz wsparcia? Rache albo Ruthie z radością pomogłyby nadać twojemu nowemu dziełu ostateczny kształt. - Zmierzyła wzrokiem najpierw jeden swój kłon, potem drugi. - Prawda, laleczki?

Z twarzy laleczek nietrudno było wyczytać, że żadna z nich nie ma najmniejszej ochoty na ten zaszczyt, obie jednak posłusznie zareagowały wymuszonymi uśmiechami. Pierwsza powiedziała: „byłabym niezmiernie szczęśliwa”, druga: „byłabym zachwycona” - takim tonem, jakby Julia proponowała im zgłoszenie się na ochotnika do komory gazowej.

Ale to uczucie było wzajemne. Urania prędzej dałaby sobie wyrwać paznokcie obcęgami. Nie zamierzała tolerować przemądrzałych uwag żadnej z „laleczek”, nie wyobrażała sobie, by któraś z tych dwóch miała grzebać w jej maszynopisie, robić jakieś poprawki czy też wprowadzać dodatkowe sceny, wszystkie odarte z niepowtarzalnego stylu

Uranii Vickers, by na koniec, już po ukazaniu się książki, móc rozpowiadać po całym Nowym Jorku, że „tak naprawdę to tę powieść napisałam ja, a nie Urania”.

Pierwsza jej powieść okazała się nawet pewnym sukcesem, z dość przewrotnego powodu. Czyelnicy kupowali ją głównie dlatego, żeby się przekonać, czy Urania Vickers potrafi pisać książki.

Na reakcję krytyki lepiej było spuścić zasłonę milczenia. Jeden z recenzentów „New York Magazine” wyraził się następująco: „Zawsze wiedzieliśmy, że Urania Vickers nie potrafi grać, ale obserwowanie, jak zмага się z rolą, było zabawne i dawało pewną przyjemność. Niestety, czytanie jej książki nie jest ani zabawne, ani przyjemne. Słowo «koszmarny» nabiera podczas tej lektury zupełnie nowych znaczeń”.

- Naprawdę nie ma potrzeby, aby ktokolwiek mi pomagał - ciągnęła aktorka łagodnie.
- W przyszłym tygodniu prześlę faksem kolejną partię.

- Cudownie. - Julia także potrafiła doskonale udawać. Urania ponownie skupiła się na krajobrazie. Wysunęła biodro i przybrała wyszukaną pozę, udając, że studiuje kompozycję, jaką tworzyły błękitna kaldera, ciemniejące, lazurkowe niebo i ciągnący się półkolisty łańcuch wpadających w fiolet wysepek po drugiej stronie potężnego, wypełnionego wodą krateru. Trzysta metrów w dole gładko poruszał się wodolot, z tej odległości sprawiający wrażenie mechanicznej zabawki. Słaby odgłos silników unosił się w górę, mącąc ciszę.

- Och, moje drogie - zawołała nagle Urania - otwórzcie oczy i patrzcie! - Po tym wykrzykniku szeroko rozpostarła ramiona, zupełnie jakby chciała objąć roztaczający się przed nią widok. - Czyż nie jest to tak przejmująco piękne, że aż wyciska łyżę? Ludzie mogą sobie jeździć na Bora - Bora, Capri, Antyle czy gdzie im się jeszcze zamarzy. Ale tutaj, właśnie tutaj skupiły się piękno, dramat i historia. Pomyślcie tylko, właśnie w tym miejscu, w samym sercu wyspy aktywny wulkan wciąż wyrzuca z siebie kłęby pary i siarki, ogrzewając wodę. Naprawdę!

Julia, dziecko Bronksu z urodzenia i wychowania, a mieszkanka Manhattanu z wyboru, nawet nie usiłowała ukryć wzruszenia ramionami.

- Mówiąc szczerze, wolałabym sobie tego nie wyobrażać - rzuciła sucho. - To raczej okropne. Jak można żyć na czynnym wulkanie?

No tak, oto cała Julia Markoff: kunsztowna fryzura, artystycznie poprawione zęby, cotygodniowy masaż twarzy i wyszukana garderoba od Saksa i Paula Stuarta, a do tego fatalne naleciałości wymowy z Bronksu.

- Och, życie tutaj jest niczym sen, kochana - zareagowała błyskawicznie Urania. - Spokojne, bez stresów, o wiele bezpieczniejsze niż... - miała wielką ochotę powiedzieć: „niż

wśród biurowców na Manhattanie”, powstrzymała się jednak i dokończyła: - niż na ulicach Nowego Jorku.

Urania odwróciła się; podparła dłonią łokieć drugiej ręki, trzymając cygarniczkę niemal pionowo. Słyszając kroki bosych stóp, zwróciła wzrok w kierunku cienia za plecami trzysobowej widowni. Za Meduzą i jej asystą, w łukowato sklepionym przejściu ukazał się niewiarygodnie przystojny mężczyzna, ubrany w prostą koszulę z lnianego płótna i białe spodnie z podwiniętymi nogawkami. Przystanął oparty leniwie o futrynę i z rozbawieniem obserwował rozgrywającą się scenę.

- Ach, Mark, cudownie, że jesteś! - zawołała gwiazda. - Miałam nadzieję, że zdążysz do nas zajrzeć przed odjazdem Julii. Mark jest jednym z twoich najzagorzalszych wielbicieli - dodała w stronę tamtej.

Szefowa wydawnictwa uniosła rękę, zbliżając do oczu zegarek, i westchnęła.

- Och, czas jak zwykle ucieka. Jeśli chcemy złapać ostatni samolot z wyspy, powinniśmy się zbierać. Trudno mi wprost sobie wyobrazić, za ile sznurków musiałś pociągnąć, żeby nas tu sprowadzić. Nie miałam pojęcia, że tak trudno jest się tutaj dostać, nawet samolotem.

- Ach, moja droga, jak widać, Tommy Bennett się mylił.

- Jak to?

- Po prostu. Nie każdy zostawił serce w San Francisco. - Urania aż się wzdrygnęła na samą myśl o takiej możliwości.

- Nie? - Julia wlepiła w nią zirytowane spojrzenie.

- Nie. Niektórzy oddali swoje Santorynowi. O, jest już Stavros - dodała, widząc krępego Greka z obfitym, czarnym wąsem, dającego znaki z tarasu położonego dwie kondygnacje wyżej. - Odwiezie was na lotnisko.

W tym momencie pożałowała, że załatwiła Julii i jej wiernym akolitkom środek transportu. Gdyby wiedziała wcześniej, że ta wiedźma boi się wulkanu, jakąż słodką zemstą byłoby zmuszenie jej do zostania tu na noc.

- Tak, musimy się zbierać - mruknęła Julia. - Wiesz, co? - dodała. - W życiu nie widziałam jeszcze tak mikroskopijnych samochodzików jak tutaj. Dzisiaj rano przy wysiadaniu odczuwałam straszliwe skurcze mięśni.

- Kochanie, ależ to okropne.

- Potworne. Pojęcia nie miałam, że auto może być aż takie małe. Dla kogo oni je robią? Dla krasnoludków?

- Kochanie, naprawdę uważaj na siebie. Wracacie tym samym samochodem.

Julia spróbowała przywołać na twarz promienny uśmiech; tak wielką czuła ulgę, że zaraz opuści to dziwaczne miejsce, z dala od wszelkiej cywilizacji. Jej końskie zęby zabłysły bielą równie oślepiającą jak fasady miejscowych domów w południowym słońcu.

- Kochanie, wyruszamy - oznajmiła. - Cudownie było cię widzieć.

- Och, Julio, cała przyjemność po mojej stronie. Doprawdy musisz kiedyś przyjechać tu na dłużej, skarbie.

- O tak, z pewnością. - W wolnym przekładzie oznaczało to: nigdy w życiu!

Ulewa hałaśliwych pocałunków w powietrzu nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości, że tak naprawdę Urania i pani Markoff z trudem tolerują się nawzajem. Nieodstępnym towarzyszkom Julii musiało wystarczyć leciutkie kiwnięcie zakrzywionym paluszkiem aktorki - pożegnanie, stosowne raczej wobec małych dzieci niż wobec dorosłych.

- Skarbie, pogadamy po twoim powrocie do biura. Zadzwoń do ciebie albo ty do mnie! - zawołał za Julią Mark, nie wynurzając się z cienia.

Julia uznała za stosowne przywołać go do porządku.

- Polecę mojej sekretarce skontaktować się z twoją.

Mark odczekał, aż szefowa wydawnictwa i jej dwa klony znikną, i dopiero wówczas podszedł do Uranii. Stojąc blisko siebie, patrzyli, jak Julia wraz z asystą pokonuje kilka ciągów zewnętrznych schodów, zmierzając ku pomalowanej na niebiesko bramie, osadzonej w wysokim, białym murze, stanowiącym prawdziwą zaporę przed gapiami. Odgradzał on willę od ciekawych spojrzeń turystów, paradujących główną i zresztą jedyną ulicą Oii, na tym odcinku zamienioną w wąski, kręty deptak, z tawernami, restauracjami na wolnym powietrzu i drogimi sklepami, głównie jubilerskimi, nastawionymi na zamożnych przybyszów.

- Wiesz - odezwał się Mark - czasami się zastanawiam, która z was jest większą jędzą, ty czy Julia.

Urania rzuciła mu rozbawione spojrzenie, trzymając koniec cygarniczki w ustach.

- Naprawdę musisz się nad tym zastanawiać?

Z milczenia Marka można było wywnioskować, że wolałby nie zgłębiać zbytnio tego tematu.

Gwiazda śledziła wzrokiem Stavrosa, wyprowadzającego za bramę Julię i jej asystentki. Oczekała, aż słaby silnik małego samochodu zakaszle i zacznie pracować, a potem zatrzasną się drzwi. Dopiero kiedy auto odjechało z warkotem przypominającym bardziej maszynę do szycia niż wóz osobowy, Auntie Marne przemieniła się w Cruellę de Vii.

- Ta... ta wywłoka! - wybuchnęła, wyrzucając z siebie wszystko, co przez cały dzień zmuszona była tłumić. - Ta pokraczna idiotka z końską szczęką, bez najmniejszego pojęcia o

kulturze, ta suka rodem z Bronksu. Co ona sobie wyobraża, że kim jest? Żeby próbować nasylać mi jakieś swoje popychadła. Mnie! Wyobrazasz sobie podobną bezczelność? - Z wściekłością odwróciła się w stronę Marka, a jej głos drżał z pasji. - Ta ma tupet. Przyjeżdżać aż tutaj, lądować się prosto do mojego domu, żeby oferować mi usługi jakichś swoich wyrobnic. Jakbym sama nie potrafiła napisać powieści! Boże, co za suka!

Z wściekłością przełamała cygarniczkę na pół, wlepiła rozgniewane spojrzenie w oba kawałki, po czym odrzuciła je daleko od siebie. Wylądowały z cichym stuknięciem na wykładanej kamykami podłodze tarasu.

- Ta Julia Ścierwojad Markoff! - piekliła się dalej. - To wyfiokowane bezguście z łupieżem, niech lepiej nie wyściubia nosa poza swój teren, to wielkie, zapyziałe biuro, gdzie śmierdzi jak wielki kawał sera. W każdym innym miejscu zaczyna cuchnąć pod niebiosa.

W ustach Uranii, która święcie wierzyła, że jej obowiązkiem wobec widzów jest pokazywać się publicznie wyłącznie w pełnym rynsztunku i pod bronią, rozsiewając wokół ulubiony zapach Panthere Cartiera, był to znacznie bardziej zjadliwy epitet niż wszelkie wywodzące się od pięcioliterowego słowa na g. Najgorsze z możliwych wyzwisk.

Mark czekał spokojnie, aż aktorka upuści nieco pary. Dopiero kiedy przycichła i opadła na białą, zarzuconą błękitnymi poduchami sofę, stojącą obok basenu, spróbował się wtrącić.

Mimo młodego wieku Mark Varney miał spore doświadczenie zawodowe jako agent literacki. Zdobywał je pod okiem najlepszych, zwłaszcza niedawno zmarłego Juliusa „Bum - Buma” Manciniego - prawdziwej znakomitości w tym fachu. Wielu sławnych klientów odziedziczył właśnie po swoim szefie i mentorze, tak że potrafił radzić sobie z gwiazdami i ich nieprzewidywalnym temperamentem.

Nie miał tu idealnych warunków do pracy. Zwłaszcza że przyjechał zaledwie wczoraj i ciągle jeszcze odczuwał zmęczenie wywołane różnicą czasu oraz trzynastogodzinną podróżą z Los Angeles, do której został zmuszony wyłącznie po to, aby być na miejscu, kiedy Urania skrzyżuje szpady ze swoją równie wojowniczo nastawioną edytorką.

Lecz czy Urania Vickers rzeczywiście potrzebowała czyjegokolwiek wsparcia?

Dla szerokich rzesz publiczności mogło to stanowić zaskoczenie, ale aktorce rzeczywiście potrzebna była pomoc.

Wystarczyło odebrać jej rolę gwiazdy, pozbawić rekwizytów, zajrzeć za wypolerowaną do połysku, idealnie utrzymaną fasadę, zetrzeć perfekcyjnie nałożony makijaż, zdjąć błyszczące kostiumy. Na przykład fikuśne sandały od Gucciego za tysiąc osiemset czterdzieści pięć dolarów czy wymyślne wysokie koturny, połączone z kilkoma skrawkami

czzerwonej i turkusowej skórki, czyli innymi słowy klapki od Manolo Blahnika za jedyne czterysta pięćdziesiąt pięć dolarów. Pozbawić luksusowych drobiazgów, takich jak czarno - biała torebka na zamek błyskawiczny od Toda czy podobne cudo od Hermesa, czy wreszcie fantastyczne puzderka w kształcie zwierząt i owadów, projektowane przez Judith Leiber. Odebrać te wszystkie cacka pochodzące ze sklepów jubilerskich przy Piątej Alei, kosztowne błyskotki ze złota z oliwinami, akwamarynami i cytrynami, nie wspominając już o diamentach, rubinach i szmaragdach. Albo pozbawić innych, tak niezbędnych rekwizytów: luksusowych mieszkań i domów w wytwornych zakątkach świata, apartamentów w pięciogwiazdkowych hotelach, butelek najlepszych roczników cristala i miseczek kawioru na lodzie. No i wreszcie towarzystwa - tych wszystkich bawidamków, którzy wydawali się zabawni i zajmujący, adorowali Uranię z niesiabnącą uwagą i potrafili rozśmieszyć ją do łez. Stanowili prawdziwą ozdobę każdego przyjęcia i w dodatku zachowywali się tak podniecająco skandalicznie, ale przecież trzeba było ich wszystkich karmić i poić.

Gdyby tak zabrać to wszystko - co pozostawało?

Bynajmniej nie czarodziejska, uwodzicielska syrena, na widok której odwracały się wszystkie głowy...

.. .tylko przestraszona, zagubiona kobieta - dziecko. Rozpieszczona istota, która bez rekwizytów i scenariusza nie potrafiła sama zawiązać sobie sznurowadeł, która jeśli nie podtrzymywać bez przerwy jej ego i nie karmić aż do przesytu poczucia własnej wartości, w głębi serca czuła się samotna i niezrozumiana, miewała napady melancholii i nieustannie rozczulała się nad sobą.

Dlaczego prawie zawsze tak się dzieje? - zastanawiał się Mark.

Ale Uranii nie brakowało i rzeczywistych problemów.

Przy jej sposobie życia pieniądze topniały znacznie szybciej, niż zdążyły napływać. A teraz jeszcze kontrakt na sumę pięciu milionów dolarów, który Mancini wynegocjował dla niej przed śmiercią, mógł zostać zerwany.

I co wtedy? Nad tym pytaniem gwiazda wołała się nie zastanawiać z tego prostego powodu, że żadna odpowiedź nie brzmiała pocieszająco.

Role dla aktorki w jej wieku, zarówno w filmie, jak i w telewizji, zdarzały się niezmiernie rzadko. Milionową zaliczkę otrzymaną zaraz po podpisaniu umowy dawno już zdążyła przepuścić. W rękach Uranii pieniądze miały zwyczaj natychmiastowego znikania.

Obecnie sytuacja zaczynała być naprawdę poważna. Projektantom strojów była winna niewielką fortunę, zalegała z czynszem za paryski apartament, z zapłatami dla służby w rezydencjach w Beverly Hills i w Paryżu, rósł stos nieuregulowanych rachunków z kwiaciarni,

restauracji, pięciogwiazdkowych hoteli i od firm zarządzających przyjęcia. Gdyby nie jakieś resztki skapujące z tantiem ze sprzedaży za granicą jej poprzedniej powieści, spektaklowi pod tytułem „Urania” groziłoby zdjęcie ze sceny. Na czas nieokreślony.

Mówiąc krótko, Urania Vickers znalazła się w poważnych tarapatkach. Może nie była dosłownie bez grosza, gdyż zostało jej jeszcze jakieś sześćdziesiąt tysięcy dolarów - akurat na porządny peniuar.

Boże, myślała czasami, gdybym tylko mogła dostać do ręki resztę pieniędzy za obie książki. Niestety, warunki kontraktu mówiły wyraźnie: dwie raty - po milionie każda - płatne po dostarczeniu maszynopisu drugiej powieści.

Oczywiście większość pierwszej zaliczki też już gdzieś się ulotniła i w obecności Uranii nikt nie ośmieliłby się nawet szepnąć straszliwego słowa „podatki”.

Pracowała jak szalona. Mogła zademonstrować całe stosy kartek i równie wysokie sterty faksów oraz listów poleconych, oceniające jej wysiłki jako „nie do przyjęcia”, „niedojrzałe” albo po prostu „nie przejdzie”.

Najwyraźniej miesiąc miodowy z wydawcą już się skończył.

A co gorsza, Greenleaf Books, którego szefową była Julia Markoff, sam stał na grząskim gruncie. Dawniej był to niewielki, lecz prestiżowy oddział dużego wydawnictwa, które godziło się z faktem, że pewne pozycje przynosiły straty finansowe.

Dawniej.

Po licznych fuzjach i wykupach udziałów, jakie ogarnęły cały rynek wydawniczy, spółka macierzysta Greenleaf została wchłonięta przez InfoMedia, międzynarodowego giganta wydawniczego, jedną z tych wielogłowych hydr, której dyrektorów nie obchodzą autorzy - choćby i najlepsi - nie obchodzą nawet książki, a jedyne, co ich naprawdę interesuje, to terminy i zyski.

Co właśnie było powodem wizyty Julii Markoff. Wysłano ją do Grecji z następującym ultimatum: albo Urania dostarczy kompletny, nadający się do przyjęcia maszynopis w ciągu najbliższych czterech miesięcy, albo kontrakt zostanie unieważniony.

Trudno było sobie wyobrazić gorszą wiadomość. Oznaczała ona, że przyszłych zysków, na które Urania tak bardzo liczyła, może nie być wcale. Co więcej, InfoMedia zagroziły gwiazdzie procesem o zwrot całej zaliczki wypłaconej przez Greenleaf. Zaliczki, którą aktorka otrzymała dawno temu i równie dawno zdążyła roztrwonąć.

Mówiąc krótko, z pewnością nie był to najlepszy okres w życiu Uranii Vickers. Mogła teraz pracować nie wiadomo jak ciężko, a i tak wydawało się, że pozostanie jej tylko jeden kierunek.

W dól.

scandalous

ROZDZIAŁ ÓSMY

Miami, Floryda

Nawet pogoda, powstrzymując nawałnicę, zdawała się okazywać szacunek wobec śmierci.

Maribel Pinales prowadziła. Siedząca obok niej Tracey trzymała urnę z prochami ojca. Burza jak gdyby zwlekała, dopóki nie znalazły się z powrotem w domu przy Coconut Grove. Dopiero kiedy Maribel zaparkowała swoją małą, czerwoną corollę i przyjaciółki stanęły na zadaszonym, obrośniętym pędami wistarii frontowym ganku, rozpoczął się groźny spektakl.

Najpierw nastąpił prolog, podczas którego niebo nabrało koloru atramentowej czerni, a potężny podmuch przygiął do ziemi palmy, mimozy i dęby, poszarpał szpalery fikusów, rododendronów i bugenwilli i zatrzęsł wysokim, zbutwiałym treliażem, osłaniającym dom od ulicy.

Maribel przytrzymała drzwi z siatki i odebrała klucz z rąk Tracey. Ledwo zdążyła otworzyć drzwi frontowe, włączyć lampę i wiatrak pod sufitem, kiedy rozpoczęła się główna odsłona.

Światło błyskawic zabłysło na listwach wpółotwartych okiennic, wstrząsający ziemią łoskot grzmotów wprawił w drżenie dom aż po fundamenty, pierwsze krople deszczu zatańczyły na blaszanym dachu i zaraz odgłos ich uderzeń stał się tak ogłuszający, że Tracey ledwo mogła słyszeć własne myśli, kiedy potoki wody runęły z góry, tworząc nieprzeniknioną zasłonę.

Dla lepszego przewiewu Maribel zostawiła otwarte drzwi wejściowe, zatraskując tylko te z siatki.

- No, udało się! - zawołała. - Prawie.

Tracey milczała. Objęła urnę ramionami i stała, rozglądając się po frontowym pokoju niczym zagubione dziecko, usiłując odgadnąć, co się w nim zmieniło.

Czegoś w nim brakowało.

I nagle już wiedziała.

Ojca.

Ten dom jest martwy, pomyślała. To dzięki ojcu żył.

Teraz odszedł, a wokoło pozostały wyłącznie pozbawione życia przedmioty i nieuchwytnie duchy. Zwłaszcza w pokoju dziennym, wygodnym, w typowo męski sposób zagraconym fotelami, podnózkami, półkami pełnymi podniszczonych książek i niepasującymi

do siebie dywanikami na lakierowanej podłodze z szerokich desek. Bez ojca czym była oszklona gablotka, zawierająca jego kolekcję muszek do łowienia ryb pod lodem, pochodząca jeszcze z czasów, kiedy mieszkał w Minnesocie? To właśnie w tym pokoju Tom Sullivan, z nogami uniesionymi do góry, oglądał telewizję albo słuchał starych płyt Billie Holliday. To tutaj spędzał niekończące się godziny, ucząc Tracey miłości do jazzu, grając z nią w szachy, w pokera albo po prostu rozkoszując się najcenniejszym ze wszystkich skarbów - świętym spokojem.

Niestety, czasu nie da się cofnąć.

Dom, oaza bezpieczeństwa, nigdy już nie będzie tym, czym dawniej.

Rozpamiętywanie przeszłości pochłonęło Tracey do tego stopnia, że nie zareagowała nawet, kiedy jedna z okiennic z głośnym „bang” uderzyła niezabezpieczonym końcem o ścianę domu i zaczęła poruszać się na wietrze.

- Zajmę się tym - odezwała się Maribel, szczęśliwa, że zyskała pretekst do oddalenia się na chwilę. Z głośnym stukaniem obcasów przebiegła przez wszystkie pomieszczenia, sprawdzając każde okno.

Kiedy wróciła do pokoju, Tracey stała dokładnie w tym samym miejscu co przedtem, mocno przyciskając urnę do piersi.

Przeżycia dzisiejszego ranka zbierały swoje żniwo. Kilka takich dni jak te ostatnie pozbawiłoby sił każdego. Bezustanne telefony z kondolencjami i słowami otuchy, dary w postaci zapiekane i sałatek owocowych, kwiaty, reporterzy, których trzeba było odprawiać od drzwi z wyszukaną grzecznością, żeby nie robić sobie wrogów na przyszłość.

Do tego mnóstwo formalności do załatwienia. Transport ciała z miejskiej kostnicy do zakładu pogrzebowego, dostarczenie trumny do świątyni Hare Kriszny, zgromadzenia, które przez szacunek dla tolerancyjnego, choć bezwyznaniowego Toma Sullivana zaproponowało Tracey swą siedzibę na smutną uroczystość, a potem ustalenie szczegółów kremacji, wreszcie wyszukanie adresów i pozawiadamy dawnych sąsiadów, którzy posprzedawali domy i wyprowadzili się z okolicy, ale przecież mogli chcieć towarzyszyć zmarłemu w ostatniej drodze.

Późnym przedpołudniem w portyku przed głównym wejściem do świątyni odbyła się krótka ceremonia żałobna, która przyciągnęła wiele osób, jako że Tom Sullivan znał mnóstwo barwnych, lokalnych typów. Większość jego przyjaciół i znajomych stanowili artyści; pisarze i poeci, ludzie mieszkający w łodziach. Miał też garstkę kolegów wędkarzy i różnego typu ekscentryków, odrzuconych przez główny nurt życia, regulowany zegarkiem. Przez wzgląd na

zmarłego i jego brak szacunku dla konwenansów, wszyscy pojawili się ubrani swobodnie - bez marynarek i krawatów.

Tracey przetrwała całą ceremonię niewzruszona niczym skała Gibraltaru. Nawet jednym gestem nie dała po sobie poznać, ile ją kosztuje konieczność obcowania z zalewem pocieszycieli i dzielenia się z obcymi swoim bólem.

Najgorszy moment nastąpił po skończonym nabożeństwie, kiedy żałobnicy się rozeszli. Tracey uparła się, że odprowadzi trumnę do krematorium.

Maribel była wstrząśnięta.

- *Concha de madre!* - zaklęła. - Na miłość boską, dlaczego?

- Ponieważ muszę tam być i patrzeć - odrzekła Tracey krótko.

- Patrzeć? Na co?

- Na kremację.

- Jezus, nie!

- Wszyscy święci w niebie, tak! - Pozostała nieugięta. Maribel bynajmniej nie była nadwrażliwa czy nieobeznana ze śmiercią. Wręcz przeciwnie, żałoba i każdy szczegół jej celebrowania były jej doskonale znane. Z racji swojego pochodzenia - klan kubańsko - amerykański - świetnie opanowała sztukę oplakiwania zmarłych. Miała całe bataliony starzejących się ciotek i wujów, armie siostrzeńców i siostrzenic, bratanic i bratanków, hordy kuzynów i kuzynek pierwszego, drugiego i trzeciego stopnia, nie wspominając już o stadach przyjaciół, sąsiadów i znajomych, toteż zaliczyła w swoim życiu niejedną pogrzeb. Wiedziała, kiedy należy być łagodną i ustępliwą, a kiedy łagodną i stanowczą. Doświadczenie podszeptało jej, że w obecnej sytuacji wskazana jest łagodność i stanowczość.

- Daj - powiedziała, wyciągając rękę, żeby odebrać urnę od Tracey. - Postawimy to gdzieś.

Tracey odwróciła się niczym dziecko broniące najcenniejszego skarbu i jeszcze mocniej przycisnęła urnę do siebie. Nie potrafiła pogodzić się z myślą, że mogłaby ją oddać, zupełnie jakby wypuszczenie prochów z rąk miało jeszcze bardziej pogłębić przepaść między nią a ojcem.

Maribel potrafiła odgadnąć jej myśli i postąpić odpowiednio.

- Tracey - zaczęła przymilnie. Mówiła głośno, by przekrzyczeć szum wodospadu, uderzającego o blaszany dach. Zdecydowała się sięgnąć po najpotężniejszą broń: łagodną, nieodpartą logikę. - Przecież nie zrobimy nic niewłaściwego. Po prostu odstawimy ją na chwilę.

Tracey zmarszczyła czoło.

- O, tutaj - ciągnęła Maribel. - Przynajmniej jej nie upuścisz.

- Och. - Tracey gwałtownie wciągnęła powietrze. Oddychając ciężko, rozważała argumenty Maribel. Przedtem możliwość przypadkowego upuszczenia urny nie przyszła jej do głowy, teraz jednak ziarenko zostało posiane i realna groźba takiego świętokradztwa napełniła ją przerażeniem.

Maribel nadal wyciągała rękę.

- Daj, zrobię to za ciebie. Tracey jeszcze się wahała.

Nagle, zupełnie jakby natura zdecydowała się położyć kres tej dyskusji, oślepiający błysk rozświetlił wszystkie trzy okna pokoju, a jednocześnie rozległ się ogłuszający grzmot i zaraz po nim trzask walącego się drzewa.

Tracey drgnęła, omal nie upuszczając urny. Może Maribel ma rację? - przemknęło jej przez myśl. Może rzeczywiście powinnam to postawić?

Z niemal rytualną powagą podała urnę przyjaciółce, a ta odebrała ją równie ostrożnie i umieściła na wysokiej, dębowej, oszklonej etażerce, zawierającej błyszczące do ryb, samodzielnie sporządzone przez Toma Sullivana.

- Gotowe. - Maribel klasnęła w ręce i odstaąpiła o krok. - Teraz stoi bezpiecznie. Nie lepiej się czujesz?

Tracey zeszytniała, kiedy kolejna błyskawica oświetliła okiennice - . Ale ta nie była już tak przerażająca, a od grzmotu dzieliły ją co najmniej dwie sekundy.

Burza się oddalała.

Maribel łagodnie wsunęła dłoń pod ramię Tracey.

- No chodź. Teraz zadbamy o to, żeby ci było wygodnie. Tracey spoglądała na przyjaciółkę nierozumiejącym wzrokiem.

Ból najwyraźniej znieczulił ją i uodpornił, nawet jeśli tylko chwilowo, na wszelką fizyczną niewygodę.

- Po pierwsze - Maribel stanowczym gestem wyciągnęła palec w kierunku butów Tracey - zdejmiesz te pantofle. Masz je na nogach od samego rana i pewnie nieźle dały ci w kość.

Wspierając się na jej ramieniu, Tracey posłusznie podniosła jedną nogę, zsunęła pantofel, po czym powtórzyła to samo z drugą.

- Świetnie. - Maribel z aprobatą pokiwała głową. Trzymając przyjaciółkę pod ramię, powiodła ją wąskim korytarzem na tył domu, gdzie znajdowała się sypialnia Tracey.

Tracey przystanęła.

- Co dalej? - zapytała.

- Teraz zdejmiesz tę obcisłą garsonkę i bluzkę i włożysz coś wygodnego. Na przykład stary t - shirt i szorty albo spodnie. - Maribel wzruszyła ramionami. - Wszystko jedno co, byle wygodne. Mogę ci zagwarantować, że do końca dnia nikt, ale to nikt, nie będzie cię niepokoił. Nie wpuszczę za próg nikogo, choćby dobijał się tu sam prezydent.

Tracey milczała przez chwilę, wyraźnie wahając się, czy pójść do sypialni. Popatrzyła na Maribel, potem rozejrzała się po holu, wreszcie jej oczy na powrót spoczęły na przyjaciółce. Zapytała, co będą robiły, kiedy się przebierze.

- To przecież jasne - odpowiedziała Maribel, lekko zszokowana pytaniem. - Usiądziemy sobie wygodnie, z nogami do góry, i nie będziemy robiły absolutnie nic. A ty myślałaś, że co dla nas szykuję?

Tracey się zamyśliła.

- Jestem zbyt obolała, żeby odpoczywać. - Niespokojnie poruszyła palcami. - Czuję, że muszę się czymś zająć.

Maribel popatrzyła na nią z ukosa.

- Dobrze - odpowiedziała powoli. - Doskonale. A masz jakiś pomysł?

- Powinnam zacząć porządkować sprawy ojca. Wiesz, przejrzeć papiery, sprawdzić, czy wszystkie rachunki zostały zapłacone, odwołać subskrypcje, zobaczyć, czy miał polisę ubezpieczeniową, tego typu historie.

- Czy aby nie zapomniałaś o czymś? - odezwała się Maribel łagodnym tonem.

Tracey popatrzyła na nią bez słowa.

- Sama mi opowiadałaś, jaki twój ojciec był skryty, wszystkie papiery trzymał gdzieś pochowane albo zamknięte na klucz.

Tracey skinęła głową.

- To jeden z powodów, dla których trzeba się do tego zabrać. Muszę wiedzieć, na czym stoję.

Coraz mocniej marszcząc brwi, rozejrzała się po pokoju, potem przeniosła wzrok na siatkowe drzwi i ganek za nimi, zalany strugami wody.

- Naprawdę - dodała niemal szeptem - nie mam pojęcia, jaka jest moja sytuacja. Najmniejszego.

- W takim razie - odrzekła Maribel, jak zawsze praktyczna - nie zaszkodzi, jeśli zaczniemy się rozglądać.

- Sprzęt wędkarski. Wszędzie tylko ten cholerny, pordzewiały sprzęt wędkarski!

Tracey kopnęła rozlatującą się starą skrzynkę na narzędzia, wysyłając jej zawartość w powietrze.

- Po jaką cholere trzymał te śmieci zamknięte na klucz? Przecież nikt o zdrowych zmysłach nie próbowałby tego ukraść! - Przesunęła dłońmi po wilgotnych włosach. - Do diabła. - Otarła przedramieniem spocone czoło, czując dziwne drżenie nóg. Pokonana, osunęła się wzdłuż ściany i usiadła na podłodze. - Poddaję się - oznajmiła pomieszczeniu. Siedziała i z lekko odchyloną do tyłu głową bezmyślnie obserwowała sufit, gdzie trzy mahoniowe ramiona wiatraka obracały się miarowo.

Dochodziła północ i powietrze było parne niczym w podzwrotnikowej Afryce. Wraz z Maribel spędziły kilka godzin, przeszukując niewielki domek. Nie pominęły niczego, nawet szopy na narzędzia.

I jaki efekt przyniosły ich wysiłki? Żaden. Nic, zero, *nada*. Wszystkie poszukiwania, włącznie ze sprawdzaniem obluźowanych desek w podłodze i w boazerii ściennej, okazały się daremne.

Zaalarmowana odgłosem uderzenia skrzynki o ścianę, Maribel ostrożnie wyjrzała zza framugi drzwi. Nie widząc żadnych fruujących w powietrzu przedmiotów, ostrożnie weszła i odłożyła stalowy nóż, którym próbowała otwierać szuflady biurka Toma Sullivana. Sądząc po wyrazie twarzy, ona także czuła się zawiedziona.

- Niczego nie znalazłam - jęknęła słabo.

Idąc za przykładem Tracey, usiadła na podłodze, wybierając miejsce dokładnie naprzeciw okna.

Teraz, kiedy burza ucichła, przyciągane światłem z domu owady kleiły się do siatki w drzwiach, brzęcząc dokuczliwie, cykady grały, a tysiące żab drzewnych, przywabionych deszczem, rechotały do wtóru.

Maribel opuściła głowę na ramię i zatoczyła nią krąg, aby rozruszać zdrętwiałą szyję. Popatrzyła na Tracey, mrużąc oczy.

- Nie żebyś powątpiewała w twoją prawdomówność, ale kiedy opowiadałaś, jaki twój ojciec jest skryty, sądziłam, że to przesada. Dopiero teraz widzę, że nie przesadzałaś ani trochę. Wszystko, co tylko można zamknąć na zamek czy na kłódkę, dokładnie pozamykane. Każda szuflada nocnej szafki i biurko. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Pomyśl, Tracey, czy to nie dziwne?

- To jest dziwne - zgodziła się Tracey, odrywając jakiś strzępek z chodnika. - Tata był najwspanialszym facetem na świecie, każde dziecko cieszyłoby się, mając takiego ojca. - Zmarszczyła brwi i westchnęła ciężko. - Ale miał też dwie poważne wady.

Maribel milczała, pozwalając przyjaciółce wyrzucić z siebie wszystko w wybranym tempie.

- Jedną było całkowite milczenie na temat mojej matki. Serio, Maribel, nie wiem o niej dosłownie nic. Drugą było ukrywanie wszelkich kwestii związanych z finansami.

Maribel w zamyśleniu ssała dolną wargę.

- No tak, ale przecież musiał gdzieś trzymać papiery - nalegała. - Jeśli nie tutaj, to w innym miejscu. Może miał skrytkę w banku, choć nigdzie nie natrafiłam na klucz, a ty?

Tracey przewróciła oczami.

- Uważasz, że nie powiedziałabym ci, gdybym go znalazła? Sprawdziłam kieszenie wszystkich ubrań.

- Okay, w takim razie musimy posłużyć się rozumem. Zajrzałyśmy w każdy kąt i nie pozostało nam już żadne miejsce do przeszukania, skoro ten dom nie ma ani strychu, ani piwnic.

Tracey uderzyła się w czoło otwartą dłonią.

- No jasne! - zawołała, zrywając się na nogi. Policzki zaróżowiły jej się nagle.

- Co jest takie jasne? - chciała wiedzieć Maribel.

- Przecież to oczywiste. Jak mogłam być taka głupia? Maribel chwyciła się parapetu i niepewnie podniosła na nogi.

- Ale co jest dla ciebie takie oczywiste?

- Nie widzisz? Zamykanie wszystkiego na klucz stanowiło wyłącznie zasłonę dymną. Żebym niczego nie podejrzewała.

- Chwileczkę. - Maribel uniosła rękę, otwartą dłonią do góry. - Zwolnij. Kompletnie mnie skołowałeś. Zasłona dymna, żebyś nie podejrzewała czego?

- Gdzie on to wszystko chował - wyjaśniła Tracey. - Naturalnie musiał się liczyć z tym, że odnajdę, jeśli... no gdyby wydarzyło się coś takiego jak teraz. Ale żeby znaleźć te papiery, musiałabym albo przekopać cały dom, albo węszyć niczym zawzięty pies gończy.

Maribel poczuła, że ogarnia ją desperacja.

- Zacziesz ty wreszcie mówić z sensem? - A kiedy Tracey ruszyła w stronę drzwi, zawołała: - Hej, a dokąd ty się wybierasz?

- Do szopy.

- Przecież już ją przeszukałyśmy.

- Wiem, idę po drabinę.

- Nie mów, że będziemy się wspinać na drzewa.

- Nic z tych rzeczy. Wszystkie elementy układanki znalazły się na swoim miejscu, kiedy wspomniałaś o piwnicy i strychu.

- Mam ci przypomnieć, że w tym domu nie ma ani jednego, ani drugiego?

- Nie musisz mi przypominać. Nie ma normalnego strychu, za to istnieje coś w rodzaju schowka. Wchodzi się tam po drabinie i przez klapę. Chodź, pokażę ci.

Tracey zaprowadziła przyjaciółkę do łazienki, otworzyła drzwi i wskazała na drewniany sufit.

- Widzisz tę ciemniejszą linię? To właśnie klapa. Zwróć uwagę, jak w tym miejscu poodpadała farba. Założę się, że przez te wszystkie lata papiery leżały dokładnie nad moją głową.

Maribel nie wyglądała na przekonaną.

- Mówię ci, Maribel, że są na górze. Niemal czuję je nosem. - Tracey spoglądała na sufit błyszczącymi oczami. - Jestem gotowa się założyć o moje najnowsze klapki Manolo Blahnika.

- Chyba nie te na czerwonych obcasach? Tracey oderwała wzrok od sufitu.

- Te na czerwonych obcasach - potwierdziła. Maribel popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- No to musisz być pewna jak diabli, skoro jesteś gotowa się zakładać o te buty.

Tracey objęła ramieniem przyjaciółkę.

- *Amiga*, popatrz na to w ten sposób. To jedyne miejsce, którego nie przeszukałyśmy, jasne? A jeśli przegram te buty, to co? Bez papierów ojca i tak jestem kompletnie przegrana.

I rzeczywiście były tam.

Leżały wśród miękkich zwałów kurzu i pleśni, całkiem jeszcze niedawno poruszonych czyjaś stopą, która zostawiła wciąż widoczne ślady.

Schwytane w strumień światła latarki Tracey.

Cel ich poszukiwań.

Staroświecki kufer z metalowymi okuciami, relikw epoki wielkich podróży parowcami, bagaż, jakiego obecnie już się nie zabiera w podróż, do którego przeniesienia potrzeba dwóch osób; wielki i ciężki, z grubymi, skórzanymi rączkami z każdej strony i zaokrąglonymi, metalowymi okuciami w narożnikach. Wszystkie metalowe części oznaczone były bladym, zielonkawym, grynspanowym nalotem. Ogromny skobel i równie potężna kłódka z patentowym zamkiem najwyraźniej nowszej generacji zabezpieczały wieko.

- Do jasnej cholery - powiedziała Tracey niemal szeptem. Nie mogła oddychać i to nie tylko z powodu kurzu. Serce waliło jej tak mocno, że niemal czuła, jak uderza o żebra.

- I co? - dopytywała się Maribel, stojąc u stóp drabiny. - Widzisz coś? Cokolwiek?

Tracey w okamgnieniu pokonała kilka ostatnich szczebli. Pomieszczenie było mniejsze niż stryszek, ale większe niż zwykła pakamera. Zrobił je ojciec, obudowując

ściankami ze sklejkę prostokąt o wymiarach sześćdziesiąt na sto sześćdziesiąt centymetrów. W najwyższym miejscu miało zaledwie półtora metra wysokości, w dodatku po bokach obniżało się o kilkanaście centymetrów z każdej strony, tak że nie można było w nim stanąć swobodnie wyprostowanym. Tracey musiała dobrze się pochylić, żeby dostać się do kufra.

Za sobą słyszała, jak przyjaciółka wspina się po drabinie, po czym na widok kufra raptownie wstrzymuje oddech.

- Nie wiem, jakim sposobem się tutaj znalazł, ale przez tę klapę nie przejdzie z całą pewnością - orzekła stanowczo Maribel.

Tracey nie pozwoliła się zniechęcić.

- No to otworzymy go tutaj, a potem po trochu znieśliemy na dół samą zawartość.

- Tak, ale ty przez cały czas zakładasz, że kufer zawiera to, czego szukamy. Nie zdziw się jednak, jeśli w środku znajdziemy stare, zjedzone przez mole kapelusze i pudełka urodzinowych świeczek.

Tracey popatrzyła na przyjaciółkę z politowaniem.

- Och ty, małej wiary. A może byś tak zrobiła coś pożytecznego i zeszła z powrotem na dół? Te zamki wyglądają na solidne. Dawniej nie odstawiali takiej fuszerki jak obecnie. Potrzebny nam będzie łom i młotek. Ja się rozejrzę za przedłużaczem i jakąś lampą.

- Aye, aye, ma'am. - Maribel zaszutowała dziarsko i nie tracąc czasu, zbiegła po szczeblach drabiny.

Patrzcie państwo, pomyślała Tracey, Maribel może udawać nieporuszoną, ale tak naprawdę jest równie ciekawa jak ja, co zawiera skrzynia.

Po chwili poprawiła się jednak. Nie, to nie tak. Niczyja ciekawość nie może być równa mojej. Przecież od tego, co znajdziemy w kufrze, zależy moja przyszłość. Jego zawartość może odmienić całe moje życie.

Czuła gwałtowne uderzenia serca. Nie mogła się uwolnić od tej jednej myśli. Kto wie? Może odkryje, kim była jej matka?

Przenośna lampa oblewała kufer strumieniem światła o mocy stu pięćdziesięciu watów. Na błękitnych, emaliowanych, lśniących niczym kwazar kafelkach rysowały się potężne cienie Tracey i Maribel, przygarbione, naśladujące każdy ich ruch, upodabniające przyjaciółki do dwóch wiedźm, szukających czegoś w trzewiach ukośnie opadającego dachu.

Maribel odsunęła się na bok.

- Gotowa? - zapytała.

Tracey gwałtownie wciągnęła powietrze i na chwilę zatrzymała je w płucach. Skinęła głową.

- Na mój znak, raz, dwa, trzy.

Napięła mięśnie i z całej siły naparła na łom. Ból w ramionach i mięśniach zasygnalizował jej, że powinna ustąpić.

Nie, powiedziała do siebie. Jeszcze tylko odrobina wysiłku i będzie po wszystkim. Odrobina tylko. Skobel ustąpił z trzaskiem, niczym łamiący się konar, śruby wyskoczyły pod sufit i opadły, uderzając o podłogę.

Tracey opuściła łom. Stała przygarbiona, oddychając ciężko i chrapliwie. Ramiona jej drżały, puls galopował. Pokonany skobel opadł na bok.

- W porządku - oznajmiła. - A teraz do dzieła.

Zaczęła otwierać kufer z jednej strony, podczas gdy Maribel zajęła się drugą. Razem dźwignęły wieko. Zawiasy zaskrzypiały głośno, domagając się naoliwienia.

Tracey zajrzała do środka i poczuła bolesne rozczarowanie. Dostrzegła jedynie pustą półkę z uchwytami do podnoszenia, podzieloną na dwie przegródki.

- Nie poddawaj się teraz - powiedziała Maribel. - Jeszcze nie skończyliśmy. - Złapała półkę za uchwyty, uniosła i odstawiła na bok.

Eureka!

Tracey wprost nie wierzyła własnym oczom. Grube, pokryte pleśnią koperty, z całą pewnością stare, czasami rozlatujące się wręcz, zabezpieczone dawno już sparciałymi gumkami, sztywne, brązowe, mocno wypchane teczki przewiązane sznurkiem, kilkakrotnie oklejone taśmą pudełka, coś, co wyglądało na album z fotografiami, spłowiały, pożółkły zwitek tiulu, najwyraźniej wstążka z bukietka.

I wreszcie...

Poczuła dreszcz przebiegający po kręgosłupie.

Na samym wierzchu leżała nowiuteńka koperta, zaadresowana po prostu „Tracey”. Natychmiast rozpoznała charakter pisma.

Ale mogła jedynie stać i patrzeć. Szok towarzyszący tak wielkiemu odkryciu okazał się jeszcze silniejszy niż poprzednie rozczarowanie. Nie potrafiła określić, co czuła, widząc swoje imię napisane tak niedawno. Zupełnie jakby otrzymała wiadomość z zaświatów.

Maribel złapała ją za ramię. Tracey ciężko przełknęła ślinę. Poczuła, że coś dławi ją w gardle; w oczach zabłyśły łzy i spływały bezgłośnie, tworząc jasne smugi na zakurzonych policzkach.

- Widzisz, *amiga* - odezwała się łagodnie przyjaciółka. - Miałaś rację.

Tracey zakryła dłonią usta, nie mogąc wykrztusić z siebie jednego składnego zdania.

Maribel położyła dłoń na jej ramieniu.

- Czy chcesz zostać sama na chwilę? Tracey otarła łzy wierzchem dłoni. Bez słowa skinęła głową.

- *No problemo.* - Maribel starała się, żeby jej głos brzmiał lekko. - Jeśli tylko będziesz mnie potrzebowała, zastukaj w podłogę i zaraz tu przybiegnę, jasne?

Kolejne skinienie głową.

- Spokojnie, nie musisz się spieszyć. - Przeszła kilka kroków dzielących ją od kłapy i postawiła na drabinie najpierw jedną, a potem drugą nogę.

Bez przyjaciółki ciasne pomieszczenie wydało się nagle puste i o wiele mniej przyjazne. Palcami jakby należącymi do kogoś innego Tracey rozerwała kopertę. W środku znajdował się list, napisany ręcznie na wyrwanej z kołnotatnika poliniowanej kartce i kilka arkuszy jakichś urzędowych dokumentów. Wszystko poskładane niczym origami staranną ręką Toma Sullivana.

Zaczęła czytać.

Moja najdroższa Trace,

Pewnie uznasz mnie za głupca i tchórza, skoro nic Ci nie powiedziałem. A jednak nie było to proste, zwłaszcza że musiałbym się przyznać, iż przedtem nie byłem wobec Ciebie całkowicie szczery.

Moja najdroższa, osądź mnie, jak uważasz za słuszne; tylko Twoja opinia się dla mnie liczy. Ale błagam Cię, staraj się nie oceniać mnie zbyt surowo ani zbyt pośpiesznie, moja ukochana córko, jedyne światło mojego życia.

To wyznanie boli, ale ten kufer stanowi Twoją jedyną spuściznę po mnie. Załączone dokumenty tylko Ci to potwierdzą. Jednak zanim zaczniesz przekopywać się przez wszystkie tecki i pudła, pomyśl o konsekwencjach. Przypomnij sobie mitologię i to, co przytrafiło się biednej Pandorze. Pamiętaj, że za ciekawość i próżność (a zwłaszcza za próżność; tę lekcję już przerobiłem i wiem, że to moja uparta próżność spowodowała mój upadek, a bezmyślność sprawiła, że i Ty będziesz za to płacić) zawsze przyjdzie nam odpokutować.

Nie potrzebuję Ci dobrze życzyć (choć właśnie to robię), ponieważ wiem, że odniesiesz sukces we wszystkich zamierzeniach. Tylko ta świadomość pozwoli mi odpoczywać w spokoju.

Żałuję, że nie byłem dla Ciebie tak idealnym ojcem, jak Ty byłaś dla mnie idealną córką.

Jeśli po naszym odejściu zostaje jeszcze jakaś świadomość, wiem, że będzie mi Ciebie straszliwie brakowało.

Z miłością,

Ojciec.

Łzy Tracey kapaly na kartkę. Może Ted Riphenburg miał rację, pomyślała z goryczą. Być może tata popełnił samobójstwo.

Wytarła nos, odłożyła list i zaczęła przeglądać dołączone do niego dokumenty. Z całego prawniczego żargonu rzuciło jej się w oczy jedno powtarzające się sformułowanie.

Zajęcie obciążonej nieruchomości.

To była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała. Wiadomość spadła na nią niczym grom. Poczula zawrót głowy i nagły atak mdłości.

Trzymała w dłoniach dokument mówiący o zajęciu tego domu. Jeśli w ciągu sześciu dni hipoteka i podatki nie zostaną spłacone, otrzyma nakaz eksmisji.

Jej ojciec wygrywał niezliczone bitwy i potyczki.

Ale na koniec spółka Palm Coast Developers, Inc. wygrała wojnę.

scandalous

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Piętnaście tysięcy dziewięćset czterdzieści siedem dolarów i sześćdziesiąt siedem centów - oznajmiła Maribel ponuro. Ona i Tracey jadły lunch na tarasie The Tides w South Beach. - Tyle wynosi suma zaległości za pierwszą hipotekę. Do tego dochodzi sześć tysięcy szesnaście dolarów długu na drugiej i cztery tysiące sześćset siedemdziesiąt trzy dolary niezapłaconego podatku. Coś w rodzaju potrójnej pułapki. Jeśli dom nie zostanie zajęty przez posiadaczy pierwszej albo drugiej hipoteki, położy na nim rękę urząd skarbowy. Tracey przesuwała widelcem po talerzu kawałki kraba.

- W sumie około dwudziestu siedmiu tysięcy długu. I pięć dni na jego uregulowanie. - Potrząsnęła głową. - Maribel, spójrzmy prawdzie w oczy. Równie dobrze mogłoby to być dwadzieścia siedem milionów. Znikąd nie wytrzasnę tych pieniędzy.

- Naprawdę nie masz żadnych rezerw? Absolutnie żadnych? Jesteś pewna?

- Jestem pewna - odrzekła Tracey z goryczą. - Zero forsy. - Westchnęła głęboko. - Gdybym tylko wiedziała, że tata wziął pożyczkę hipoteczną, żebym mogła studiować na Kolumbii. Ale on był tak cholernie skryty. Tak nieprawdopodobnie dumny.

Maribel wsparła podbródek na dłoni i w zamyśleniu spoglądała w dal, przez Ocean Drive, w kierunku Lummus Park, gdzie spoza wydm wynurzał się błękitny skrawek oceanu.

- Ale pewnie masz w domu coś wartościowego. Tracey zwróciła oczy na przyjaciółkę.

- Ty chyba żartujesz. Byłaś u nas, prawda? Przecież to są same śmieci. Nie poszłyby nawet na wyprzedazy. - Teraz także błędziła spojrzeniem po wydmach. - Równie dobrze możemy powiedzieć to od razu. Jestem topielcem.

Maribel ze wszelkich sił starała się pocieszyć przyjaciółkę. To ona wpadła na pomysł, żeby wyciągnąć Tracey na ekstrawagancki lunch, im dalej od Coconut Grove, tym lepiej. Niech wyrwie się z domu choćby na parę godzin i odpocznie od problemów. Oczywiście wymagało to pewnej delikatności, bo trzeba było unikać Brickell Avenue, nie wspominając już o moście.

Niestety, ani zmiana miejsca, ani jedzenie, które dosłownie rozplywało się w ustach, jakoś nie pomogły Tracey zapomnieć o kłopotach. Ogrom dziedzictwa - czy raczej jego kompletny brak - całkowicie ją przytłoczył.

- Topielcem nie jesteś w żadnym wypadku, aczkolwiek twoje widoki nie przedstawiają się najlepiej. Gdybyś była łodzią, powiedziałabym, że nabierasz wody - odezwała się Maribel współczującym tonem, choć z całkowitą bezpośredniością.

Tracey uśmiechnęła się niewesoło.

- Zawsze pozostaje mi most Brickell Avenue.

- Nie! - W oczach przyjaciółki zabłysła prawdziwie latynoska furia. Maribel zaczęła wymachiwać nożem. - Jeśli kiedykolwiek pomyślisz o czymś podobnym, choćby przez sekundę, oszczędzę ci kłopotu, słyszysz? Zabiję cię najpierw.

Tracey była poruszona gwałtownością jej wybuchu.

- Nie obawiaj się, nie zrobię niczego nieprzemyślanego - zapewniła. Widząc, że tamta nie jest do końca przekonana, dodała: - Słowo honoru.

Maribel przez chwilę wytrzymała jej spojrzenie, wreszcie skinęła głową.

- *Bueno* - powiedziała. - A teraz, zanim wrócimy do ciebie i zaczniemy przeglądać zawartość kufra...

- Choć bez nadziei na znalezienie czegokolwiek wartościowego - przerwała jej Tracey ponuro. - Tak wstępnie rzuciłam już okiem. Głównie stare listy i fotografie.

- Co wcale nie oznacza, że nie wyszperamy tam niczego, co nam się przyda.

- Chciałabym.

- Ale zanim się do tego zabierzemy, czy mogłabyś uprzejmie oświecić mnie w pewnych kwestiach?

- Jakich? - spytała zaciekawiona Tracey. Maribel końcem noża wskazała jej palec serdeczny.

- Chyba nie myślisz, że nie zauważyłam zniknięcia tej błyskotki. Albo że Pan Bogacz nie pojawił się na ceremonii żałobnej, nie przysłał kwiatów, nie zadzwonił z kondolencjami. A to, że przez parę dni gryzłam się w język, nie oznacza, że nie jestem ciekawa. No więc? - Wyprostowała się na krześle i położyła splecione dłonie na blacie stołu. - Co się stało?

- Zrezygnowałam z niego - powiedziała Tracey z wystudiowaną nonszalancją.

- To niczego nie wyjaśnia.

- No więc wyjaśnię ci to wszystko w sposób następujący: zerwałam z nim. Mówiąc wulgarnie, dałam mu kopa w tyłek. - Tracey zawahała się przez chwilę, po czym podjęła: - Spotykał się z kimś. Dał jej nawet pierścionek.

- Co? - zawołała Maribel. - A to dupek! Tracey przytaknęła.

- Nie mogę uwierzyć, że tak mnie oszukał. Czuję się jak kretynka. Maribel się uśmiechnęła.

- No cóż, gdybyś pytała mnie o zdanie, choć wiem, że tego nie zrobisz, powiedziałabym, że powinnaś się cieszyć.

- Niby dlaczego?

- Dlatego - tłumaczyła cierpliwie przyjaciółka - że teraz nie będziesz potrzebowała ratunku. Od siebie samej ani od niego.

- Dlaczego tak sądzisz? - Tracey nie posiadała się ze zdumienia.

- Ponieważ to nie był facet dla ciebie, Tracey. Tak naprawdę, zamiast być Panem Właściwym, był Panem Całkowicie Nieodpowiednim. Każdy to widział.

- Boże! - jęknęła Tracey. - Myślałam, że wszyscy dookoła uważają, że on jest idealny. Czemu mi nie powiedziałaś? Oszczędziłabym sobie bólu.

- Nie - zaprzeczyła Maribel łagodnie, kręcąc głową - znenawidziłabyś tylko zwiastuna złych wieści. Wolałam trzymać buzię na kłódkę i ocalić naszą przyjaźń.

Jej szczerość wywołała łzy w oczach Tracey.

- Nie, nie - błagała Maribel żartobliwie - *por favor*, nie rozczulaj się teraz.

- Jeśli... - Tracey przełknęła ślinę - jeśli jestem... hm, słowo wzruszona nie najlepiej oddaje to, co czuję... jeśli jestem do głębi przejęta, to dlatego, że bardzo wiele dla mnie znaczysz. Gdyby nie twoja obecność, nie wiem, jak bym przetrzymała ostatnie dni. Naprawdę.

- Wierzę ci - odrzekła Maribel. - I czuję się zaszczycona. Ale w końcu po to człowiek ma przyjaciół. - Nachyliła się ku Tracey, zmieniając temat. - A co byś powiedziała, gdybyśmy w tej chwili podjęły decyzję życiową?

- Maribel - zaprotestowała Tracey. - Po co ten pośpiech? Nie nadążam za tobą.

- Pośpiech wynika z kubańskiej części mojej natury - wyjaśniła Maribel. - My, Latynosi, żyjemy szybciej niż *Anglos*. - Roześmiała się. - Zresztą decyzja jest bardzo prosta. - Obrzuciła Tracey groźnym spojrzeniem. - Zakładam, że skończyłaś już przesuwac to jedzenie po talerzu i udawać, że ci smakuje?

Zmieszana Tracey odłożyła nóż i widelec i skinęła głową. Czowała się okropnie. Przystudiowała przedtem menu i doskonale wiedziała, jak drogi jest ten lokal.

- A oto, co wymyśliłam - ciągnęła Maribel. - Gdybyśmy tak machnęły ręką na dietę i zapomniwały o liczeniu kalorii? Pozwól mi zamówić jakiś superdeser. Znam jeden taki. Tu podają najbardziej boskie, najbardziej rozplywające się w ustach, najbardziej klasyczne *crème brûlée* - takie prawdziwe, bez uduwniania i psucia dodatkami w postaci jeżyn czy czekolady. - Popatrzyła na Tracey błyszczącymi oczami. - No? Jaki wyrok? Grzeszymy czy nie? Ty decyduj - błagała, przechylając głowę na jedną stronę. - Ryzujemy?

- Ja raczej spasuję - uśmiechnęła się Tracey. - Ale ty nie odmawiaj sobie wyłącznie przez wzgląd na mnie. Naprzód i do dzieła.

Maribel skrzywiła się z westchnieniem.

- Nie. Masz rację. Moje ubrania już mnie nienawidzą - powiedziała z westchnieniem. - Nie mogę sobie pozwolić, żeby utyć choć pół kilograma, bo nie stać mnie na komplet nowej garderoby. To wszystko. *Crème brûlée*. - Młasnęła wargami, jakby czuła smak ulubionego deseru na języku, i westchnęła jeszcze ciężiej. - Ale przyjemnie było pomarzyć, choćby przez chwilę, prawda?

- Owszem - zgodziła się Tracey. - To cudowna fantazja, naładowana kaloriami i z absolutną gwarancją przytycia.

- Której oparłyśmy się bohatersko. Prawdziwe z nas męczenniczki. - Maribel otarła usta rogiem serwetki i odwróciła się, podchwytyjąc spojrzenie kelnera. Uniosła dłoń do góry, udając, że pisze coś w powietrzu.

Uśmiechnął się z lekkim ukłonem.

Maribel ponownie zwróciła się ku przyjaciółce, kładąc łokcie na stole i opierając podbródek na dłoniach.

- Jest uroczy, nie uważasz? - zapytała z rozmarzeniem.

- Kto taki? Ten kelner?

- Oczywiście, że ten kelner. Jak myślisz, do kogo robiłam maślane oczy przez cały lunch?

- Hej, a ja myślałam, że ty i Pan Tajemniczy?

- Wiesz, on ma imię. Ramón. Ramón Felipe Escolano, ale przyjaciele mówią na niego Ray. Co z nim?

- No cóż, przez te ostatnie wydarzenia nawet go nie poznałam, ale odnosiłam wrażenie, że ty i Ramón... no, że dobrze się wam układa.

- No i co? To, że nie masz pieniędzy, nie oznacza, że nie możesz popatrzeć sobie przez szybę.

- Maribel?

- Kiedy to prawda. Przymierzać ci wolno, nawet jeśli nic nie kupujesz.

Tracey potrząsnęła głową.

- Jesteś niepoprawna, wiesz o tym.

Przyjaciółka uśmiechnęła się, nie spuszczać wzroku z kelnera.

- Mmm. Uważam, że czarni mężczyźni w białych, szeleszczących szortach są absolutnie wspaniali. Oczywiście biały kolonialny hełm tropikalny jeszcze tylko podnosi ich seksualny urok. - Zamyśliła się przez chwilę. - Czy sądzisz, że to tłumaczy mojego bzika na punkcie mieszkańców Bahama?

- Może - zgodziła się Tracey - ale ja tam wiem swoje. Jedno ci mogę zdradzić.

Maribel uniosła w górę brwi.

- Mianowicie?

- Mianowicie, że jesteś *loca*. Kropka.

Znalazłszy się z powrotem w domu, w tym samym, w którym dorastała, Tracey ulokowała się wraz z Maribel we frontowym pokoju. Włączyły telewizor, ale sam obraz, dźwięk redukując do minimum. Na kanale WMAI, w cyklu „Film na każde popołudnie”, nadawano stary thriller szpiegowski z początku lat siedemdziesiątych, w stylu martini i bikini, niskobudżetową podróbkę Jamesa Bonda. Odbiór - przez staroświecką antenę na dachu - był raczej kiepski.

Ani Tracey, ani Maribel nie zwracały jednak szczególnej uwagi na akcję filmu. Obie przebrały się w wygodne ciuchy, Tracey w porozciągany t - shirt w delfiny, sięgający poniżej gołych kolan, Maribel w wypłowiałe, postrzępione szorty Levisa i szkarłatną koszulkę. Frontowe drzwi zostawiły szeroko otwarte, podobnie jak okiennice, łudząc się optymistycznie, że może uda im się złapać trochę przewiewu. Wentylator pod sufitem rozgarniał powietrze tak ospale, jakby to była melasa.

Wszędzie leżały zapleśniałe, zakurzone teczki i koperty.

- Gdybyśmy tylko wiedziały, czego tak naprawdę szukamy - utyskiwała Maribel, starając się odnaleźć na stole puszkę z dietetyczną, bezkofeinową pepsi. Pokiwała głową, a długie, lśniące, czarne włosy opadły na ramiona. - Wspomnisz moje słowa. Ten najważniejszy dokument pewnie leży na samym wierzchu i śmieje się nam prosto w twarz.

- Oby tak było.

Maribel upiła łyk pepsi, wydając z siebie ekstatyczny jęk rozkoszy.

- Ale o jakiegokolwiek forsie lepiej zapomnij - powiedziała Tracey, siadając ze skrzyżowanymi nogami na drewnianej, lakierowanej podłodze, w miejscu, gdzie nie leżał żaden z niepasujących do siebie dywaników. - Już bym ją znalazła, nawet przy pobieżnym przeglądaniu. Być może natkniemy się na polisę na życie, choć w to również powątpiewam.

- Tak?

Przez moment uwaga Maribel skupiła się na ekranie telewizyjnym, gdzie wielkooka blondynka z wysoko upiętymi włosami ścisnęła pistolet w uniesionej dłoni i tuląc się do ściany, zmierzała na palcach w stronę otwartych drzwi. Tylko ślepy nie rozpoznałby słynnej Uranii Vickers, dawnej gwiazdy filmowej, a następnie megagwiazdy telewizyjnej i wreszcie pisarki, której jasne oczy i delikatne kości policzkowe regularnie zdobiły tablice z reklamami wystawiane we wszystkich supermarketach. Ostatnio Maribel natrafiła na fotografię, na której Urania Vickers nie wyglądała wcale starszej niż w tym liczącym sobie ponad trzydzieści lat

filmie, w równym stopniu dzięki magii oświetlenia, co peruce i grubej warstwie makijażu, jak w japońskim teatrze kabuki.

Odwracając się od telewizora, postawiła puszkę z pepsa na podłodze i usiadła naprzeciw Tracey w identycznej pozycji, niczym jej lustrzane odbicie. Wzięła z najbliższego stołu wypchaną teczkę i zaczęła rozsupływać tasiemki starannie polakierowanymi paznokciami.

- A nie przyszło ci do głowy, że możemy się mylić? Jedyne, czego nam potrzeba, to odnaleźć wśród tych papierzyk coś, co okaże się warte dwadzieścia siedem tysięcy dolarów.

- Tak - skonstatowała Tracey sucho. - Na przykład tysiącletni bilet na loterię.

Maribel westchnęła.

- Wiesz doskonale, że niezupełnie to miałam na myśli. Ale skąd jesteś taka pewna, że nie natrafimy na akcje czy inne papiery wartościowe na okaziciela warte dwadzieścia siedem tysięcy zielonych? - Umilkła, wsłuchana w głos swojej wybujałej wyobraźni.

Przez chwilę czytały w ciszy, przerywanej jedynie odgłosem podobnym do tasowania kart i szelestem rozkładanych arkuszy papieru. Od czasu do czasu podawały sobie jakiś list, zdjęcie albo notatkę.

Nic ważnego. Stare, liczące sobie po kilka dziesiątków lat rachunki za telefon, gaz czy prąd; zakumulowane odpady wielu miesięcy codziennego życia.

Uporawszy się z pierwszą kopertą, Tracey zebrała jej zawartość i wepchnęła do środka, prychnąwszy z irytacją.

- Domyślam się, że jak na razie nic - zaryzykowała Maribel.

- Nie w tej turze. Pracowały dalej.

Tracey sięgnęła teraz po cieńszą kopertę, przewiazaną sznurkiem. Rozwiązała go i wyjęła ze środka plik papierów. Zaczęła je rozkładać, najpierw jeden arkusz, później drugi, potem trzeci. Jej palce poruszały się coraz bardziej gorączkowo.

- Co to jest, u licha? - jęknęła.

Zaalarmowana jej tonem Maribel odłożyła na bok przeglądane kartki i podniosła się, prostując zmęczony kręgosłup. Zerknęła w stronę telewizora. Urania Vickers stała za sterem motorówki, ściganej przez całą flotyllę łodzi pełnych uzbrojonych opryszków. Znać było niskobudżetową produkcję; scenę najwyraźniej nakręcono w studiu, na tle malowanych dekoracji. Urania, z głową omotaną szalem i w wielkich, ciemnych okularach, prezentowała wszystkie sztuczki drugorzędnej aktorki, uchylając się przed wyimaginowanymi pociskami.

Maribel odwróciła się od telewizora, podeszła do Tracey i przykucnęła obok niej, zaintrygowana czymś, co wyglądało na oficjalny, urzędowy dokument. Jeden z wielu.

- Co to jest?

Tracey podała jej papier.

- Prawdopodobnie to, na co wskazuje nagłówek. Metryka urodzenia.

- Tak - potwierdziła Maribel. - Kogoś, kto się nazywa Anna Reynolds.

- Właśnie dlatego jestem taka skołowana - tłumaczyła Tracey, marszcząc brwi w wyrazie zakłopotania. - Kto to taki ta Anna Reynolds? Masz jakiś pomysł?

Maribel dokładnie studiowała metrykę, przesuwając błyszczącym paznokciem po każdej rubryce.

- Hm, zgodnie z tym dokumentem ojcem jest niejaki Thomas Reynolds, a matką... niech popatrzę... matką Victoria Ure. - Spojrzała na przyjaciółkę. - Coś ci mówią te nazwiska?

Tracey przez chwilę szukała w pamięci, ale bez skutku. Potrząsnęła głową.

- Nic a nic. Przysięgam, że aż do teraz nie słyszałam o nikim, kto by się tak nazywał. Choć tata miał na pierwsze imię Thomas. - Uszczypnęła się w dolną wargę, jakby miało jej to pomóc w rozwikłaniu tajemnicy. - Oczywiście nie nazywał się Reynolds, tylko Sullivan.

- No właśnie - zgodziła się Maribel. Po chwili jednak coś zwróciło jej uwagę. - Tracey - powiedziała łagodnie.

Tracey przestała skubać wargę.

- Czy zauważyłaś datę urodzenia tej Anny Reynolds? - Maribel wskazała palcem odpowiednie miejsce. - Czternastego lutego.

Tracey wyrwała przyjaciółce dokument, chwyciła go obiema rękami i zbliżyła do oczu.

- Mój Boże - szepnęła. - Masz rację. W same walentynki, dokładnie tego samego dnia co ja.

- I jeszcze - dodała Maribel, także szeptem - w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku. - Pokazała palcem datę. Ponownie wymienili spojrzenia. - W tym samym, co ty.

Tracey zadrżała.

- Nie pojmuję tego - wybełkotała. - Popatrz dalej. - Oskarżycielskim gestem wskazała papier. - Urodzona dokładnie o tej samej godzinie co ja.

- Czy wiesz, co to znaczy?

- Chyba wiem - odpowiedziała cicho Tracey, zaciskając usta w wąską linię. - To jest metryka urodzenia kogoś, kto urodził się tego samego dnia co ja, dokładnie o tej samej godzinie i minucie. A ten ktoś nazywa się Anna Reynolds.

- Tak? I dokąd nas to prowadzi?

- Tylko do jednego - mówiła Tracey drżącym głosem. - Jeśli ta Anna Reynolds jest kimś innym, to dobrze. Ale jeśli Anna Reynolds i ja jesteśmy tą samą osobą...

- Tak?

- To co ze mną? Jak ja pasuję do tego obrazka?

Maribel wpatrywała się w przyjaciółkę, niezdolna do jakiegokolwiek odpowiedzi.

Nagle Tracey poczuła się bardzo zmęczona. Oparła się o ścianę i przymknęła oczy.

- I jeszcze coś. Kim ja, u diabła, jestem?

scandalous

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tracey siedziała przy stole, wpatrzona w piętrzący się przed nią stos dowodów - cóż, nie była nawet pewna, na co to są dowody, skoro niektórych elementów układanki nadal brakowało.

Naprzeciw niej siedziała Maribel, twarzą zwrócona w stronę telewizora. Najwyraźniej stacja WMAI urządziła przegląd filmów z Uranią Vickers, gdyż emitowano trzy, jeden po drugim. Pierwszy był szpiegowski thriller, w tej chwili dobiegał końca dramat kostiumowy, a jak wynikało z migawek nadawanych w przerwach reklamowych, po nim miał być mało znany film z 1972 roku zatytułowany „Imperium Amazonek”.

Tracey nie zwracała najmniejszej uwagi na migoczący, pozbawiony dźwięku ekran, całkowicie pochłonięta dokumentami, które odkryła przed chwilą. Wszystkie leżały teraz na nakrapianym złotem blacie; rozprostowane i wygładzone, spoczywały rzędami niczym akty oskarżenia. Stojąca lampa oświetlała je mocą trzech stu pięćdziesięciowatowych żarówek, co tylko zwiększało surrealizm całej sceny.

W górnym rzędzie znajdowały się cztery dokumenty, każdy następny bardziej obciążający od poprzedniego. Ułożone przez Tracey w porządku chronologicznym, obrazowały pewną historię szkicowymi pociągnięciami pędzla.

Pierwszy był odpisem świadectwa ślubu Thomasa Reynoldsa i Victorii Ure, sporządzonym dwudziestego siódmego sierpnia 1979 roku, opatrzonym stosowną pieczęcią magistratu. Ceremonia odbyła się w Pine Bluff w Arkansas. Jeden z podpisów wyglądał znajomo: słowo „Thomas” nakreślono charakterystyczną linią - tak jak zwykł to robić ojciec - a dalej następowało nazwisko „Reynolds”, dokładnie tym samym charakterem pisma.

Tracey nie miała powodów, aby powątpiewać w autentyczność podpisu. Z pismem panny młodej spotykała się po raz pierwszy.

Panna młoda. Najprawdopodobniej jej matka.

Dotknęła podpisu, wodząc palcami po literach. To dziwne, ale po tylu latach fantazjowania na temat matki, teraz, kiedy poznała przynajmniej jej imię i próbkę pisma, wcale nie czuła się bliżej kobiety, która dała jej życie. Potencjalna więź między nimi wydawała się słabsza niż kiedykolwiek.

Było to osobliwe i nieoczekiwane uczucie, dokładnie przeciwne temu, które sobie często wyobrażała.

Następnym dokumentem była metryka urodzenia Anny Melindy Reynolds, wystawiona przez Rogera L. Joplina, lekarza medycyny, w Charlestonie w zachodniej Wirginii, czternastego lutego 1980 roku, potwierdzona przez urzędnika magistratu i opatrzona urzędową pieczęcią.

Trzeci dokument zaświadczał, że Thomas Luke Reynolds urzędowo zmienił nazwisko na Thomas Joseph Sullivan, a odbyło się to w Galvestonie w Teksasie szesnastego października 1982 roku.

I wreszcie ostatni dokument. Ten, który oficjalnie potwierdzał, że nazwisko Anny Melindy Reynolds zostało urzędowo zmienione na Tracey Anna Sullivan. Podobnie jak poprzednie trzy, ten także został wystawiony w jakimś kompletnie zapomnianym przez Boga miejscu, w Sun Prairie w Wisconsin, dziewiątego maja 1983 roku.

- Maribel - zaczęła Tracey z namysłem - oczywiście słyszałaś o Galvestonie w Teksasie, ale co wspólnego mają ze sobą Pine Bluff w Arkansas, Charleston w zachodniej Wirginii i Sun Prairie w Wisconsin?

- To proste - roześmiała się przyjaciółka, odrywając wzrok od ekranu telewizora. - W żadnej z tych miejscowości nigdy w życiu nie byłam, nie mówiąc już o tym, abym zamierzała się wybrać do którejś z nich.

- Pomyślałam dokładnie tak samo - powiedziała Tracey. - Nasze myśli podążają identycznym torem. To tak, jakby nasza rodzina, czyli tata i ta Victoria, albo tata, Victoria i ja, albo wreszcie tylko tata i ja, skakała po całym kraju na jakimś gigantycznym kiju do pogo. - Mocniej zmarszczyła czoło. - Tylko że za nic w świecie nie mogę odgadnąć, dlaczego. Przecież to nie ma sensu.

- Hm, masz rację, musiał istnieć jakiś powód. Może... może twój ojciec podróżował w związku z wykonywaną pracą - podsunęła Maribel.

Tracey rzuciła jej spojrzenie wyraźnie mówiące: och, przestań.

- Bardzo w to wątpię. Pamiętaj, że przed wypadkiem, po którym nie mógł już pracować, był rybakiem w Luizjanie. Zgoda, Galveston leży nad Zatoką Meksykańską. Ale czego mógł szukać zawodowy rybak w Arkansas, zachodniej Wirginii czy Wisconsin? - Urwała, a potem dokończyła: - Chociaż może powinnam sformułować to inaczej. Tata zawsze mówił mi, że był rybakiem. A ja mu wierzyłam. - Z rozpaczą wyrzuciła w górę obie ręce, po czym opuściła drżące dłonie na kolana i zaczęła nerwowo wykręcać palce. - Teraz to już naprawdę nie wiem, w co mam wierzyć.

- Mnie się tu jeszcze coś wydaje bezsensowne.

- Mianowicie?

- Jeśli twój ojciec uznał za niezbędne zmienić wam nazwisko, dlaczego brakuje dokumentu Victorii Ure? Zastanawiałaś się nad tym?

- Nie - odrzekła Tracey - szczerze mówiąc, wcale. Ale kiedy o tym wspomniałaś... - Zaczęła się zastanawiać. - Może wtedy Victoria Ure już nie żyła? Takiej możliwości nie brałyśmy pod uwagę. To w pewien sposób tłumaczyłoby niechęć taty do mówienia o niej. Mógł ją oplakiwać do samego końca.

- Tak, ale nie natrafiłyśmy na nic, co by na to wskazywało. Ani na świadectwo zgonu, ani na nekrolog. Brak też - jeśli nadal żyje - orzeczenia o rozwodzie.

- Innymi słowy - powiedziała Tracey - Victoria Ure wyskakuje niczym diabeł z pudełka, widnieje na świadectwie ślubu i metryce urodzenia, po czym rozplywa się w powietrzu. - Potrząsnęła głową, marszcząc czoło. - Chyba że... Nie, zapomnij.

- Tracey - wykrzyknęła Maribel - nie możesz mi tego zrobić! To nie fair! Wiesz, jak nienawidzę, kiedy ktoś zaczyna coś mówić, a potem nie kończy. Co miałaś na myśli? Gadaj.

- No dobrze - westchnęła Tracey zrezygnowanym tonem. - Chciałam powiedzieć, że może jeden z powodów milczenia taty stanowiło to, że był na bakier z prawem.

- Tracey, Tracey - Maribel przywołała przyjaciółkę do porządku - teraz to już naprawdę przesadzasz. Zastanów się. Jeśliby rzeczywiście tak było, dlaczego zawracałby sobie głowę formalnościami związanymi z legalną zmianą nazwiska. Nie zapominaj, że władze, gdyby tylko chciały, odnalazłyby go bez trudu. Wystarczyłoby wpisać w komputer stare nazwisko i gotowe. Z miejsca wyskoczyłoby nowe.

- Może - westchnęła Tracey. - Ojciec był kochany, ale pod pewnymi względami był naprawdę dziwakiem.

- Tak, sama to widzę. Każda rodzina ma swoje sekrety, ale ten tutaj to już naprawdę wymagał starań... czekaj... - Maribel urwała, czując nagły dreszcz, zupełnie jakby natrafiła na coś istotnego, choć jeszcze niezupełnie mogła pojąć znaczenie swojego odkrycia. - Czekaj - powtórzyła z namysłem, przesuwając kciukiem po dolnej wardze. - Zaraz, zaraz, starania... Mam!

Strzeliła palcami i uśmiechnęła się z triumfem.

- Ponieważ to matka zawsze się stara. Tak! To jest to! Tracey, mam odpowiedź.

- Maribel, dobrze się czujesz?

- Nigdy nie czułam się lepiej. Posłuchaj, *amiga*. Popatrz na to z innej strony. A może twój ojciec chciał uciec przed... nie, jeszcze inaczej, może usiłował ukryć cię przed matką. Dla twojego własnego dobra. Tak, teraz wszystko nabiera sensu.

Tracey milczała, analizując rewelacje przyjaciółki.

- Coś... - zaczęła z oporem - coś o...

- Wiem, wiem, nie musisz mówić. - Maribel rozpromieniła się z zadowolenia. - Teraz wszystko pasuje, prawda?

Tracey dość niechętnie skinęła głową. Nie potrafiła uwolnić się od myśli, jak wielka ironia kryje się w tym wszystkim. Przez całe życie marzyła, żeby dowiedzieć się czegoś o matce, tymczasem teraz, kiedy odkryła właściwy trop i znajdowała się coraz bliżej, wcale nie była pewna, czy chce poznać prawdę.

Kiedy się odezwała, głos jej drżał.

- Co proponujesz dalej?

- Dalej? - Maribel popatrzyła na zegarek, tłumiąc ziewnięcie. - Dzisiaj odwaliśmy kawał roboty, więc proponuję trochę relaksu. Wiem, że mamy jeszcze mnóstwo do zrobienia, bo trzeba przejrzeć zdjęcia, przeczytać te wszystkie pisma i tak dalej. Teraz jednak proponuję chwilę zasłużonego odpoczynku, a resztę dokończymy jutro. Zaczniemy z samego rana albo po południu, kiedy zechcesz. Ja już zupełnie straciłam poczucie czasu. A na razie proponuję, żebyśmy obejrzały ten film. - Ruchem głowy wskazała telewizor.

Tracey popatrzyła w tamtą stronę.

Na ekranie - przy nadal wyłączonym dźwięku - królowała Urania Vickers. Siedziała na kamiennym tronie, przyjmując hołdy gromady młodych, skąpo odzianych piękności. Spoglądała groźnie w stronę podwyższenia, gdzie młody, spętany Prometeusz nadaremnie usiłował oswobodzić się z więzów. Urania postukiwała w kamień długimi, podobnymi do szponów paznokciami, a z ruchu jej warg można było niemal odczytać, jak mówi:

- „Spotka cię taka sama kara, jak każdego mężczyznę, który ośmielił się wtargnąć do tej krainy. Żaden mężczyzna nie ma prawa postawić stopy na tej ziemi. To Imperium Amazonek”.

Wielkie, krzykliwe, żółte litery, układające się dwoma rzędami w tytuł filmu, zajmowały niemal całą szerokość ekranu: „Imperium Amazonek”.

Tracey odwróciła się do przyjaciółki z błagalnym wyrazem twarzy.

- Maribel, nie - jęknęła. - Zlituj się, nie katuj mnie tym. Wiesz, jak nie znoszę tych niskobudżetowych ramot.

- Wiem, Tracey, ale to nie jest zwyczajna niskobudżetowa ramota. To „Imperium Amazonek”, film kultowy, absolutna klasyka. Musimy go obejrzeć. Parę razy widziałam jakieś fragmenty i za każdym razem zrywałam boki ze śmiechu. A najlepsze, że w tym filmie humor jest całkowicie niezamierzony.

- A co z tym? - wskazała Tracey, wskazując drugi rząd papierów na stole. Każdy stosik reprezentował hipotekę albo zawiadomienie o sprzedaży długu hipotecznego innemu nabywcy. Ostatni składał się z ponagleń i pism domagających się zapłaty, z których każde następne utrzymane było w ostrzejszym tonie od poprzedniego.

Moje dziedzictwo, pomyślała Tracey z goryczą. Chryste, gdybym tylko była wiedziała!

- Proszę - błagała Maribel - dziesięć minut. Tyle tylko. Jeśli ci się nie spodoba, wracamy do sortowania.

- No dobrze. - Tracey ustąpiła z bolesną rezygnacją. - Dziesięć minut. Możesz włączyć dźwięk. Ale ja będę oglądała stąd. - Zsunęła się z krzesła i ze skrzyżowanymi nogami usiadła na podłodze. - Jednocześnie poprzeglądam fotografie.

Maribel podeszła do odbiornika i włączyła głos. Tak jak należało oczekiwać, dźwięk był skrzeczący, a muzyka głośnie i pełna dramatyzmu. Ale przecież najważniejsze są dialogi. Film nakręcono za granicą, prawdopodobnie gdzieś w Europie Wschodniej, i fatalny dubbing tylko przydawał mu komizmu. Synchronizacja zawiodła na całej linii. Usta poruszały się, gdy powinny pozostać zamknięte, kiedy zaś postać miała przemówić, pozostawały nieruchome. Dekoracje chwiały się, ilekroć któryś z aktorów zbyt blisko się do nich przybliżył. I choć film powstał w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku, dialogi powielaly klasyczne wzorce z lat pięćdziesiątych, wzbogacone o pretensjonalne, archaizujące wtręty.

- „Dokąd ty zmierzasz, moja władczyni?”.

- „Odpierać. Horda barbarzyńców nadciąga, a moja pochwa pozbawiona jest miecza. Pospieszaj, a przybądź z nim. I zaprzęgnij jednorożca”.

- „Czegóż ty jeszcze wyczekujesz?”.

- „Rozkazuję”.

Jako zamierzona parodia byłoby to nie do zniesienia, kręcone serio, okazało się arcydziełem komizmu.

- No i czy to nie klasa sama w sobie? - unosiła się Maribel. - Przysięgam, że „Imperium” jest równie tandetne jak filmy Eda Wooda, ale ona jest znacznie lepsza niż Zsa Zsa Gabor w „Królowej przestworzy”. Tracey, odpręż się. Naprawdę potrzebna ci rozrywka w postaci takiej kompletnej szmiry.

Tracey starała się śledzić fabułę, choć jej oczy wędrowały od telewizora do fotografii i od fotografii z powrotem na ekran. Maribel nie przesadzała. To rzeczywiście był najśmieszniejszy film, jaki kiedykolwiek widziała.

Dziesięć minut zamieniło się w piętnaście, z piętnastu zrobiło się dwadzieścia, a Tracey nadal oglądała film. Odłożyła na bok przejrzaną kupkę zdjęć. Żadne z nich nie kojarzyło jej się z niczym. Teraz sięgnęła po album w winylowej, zielonooliwkowej oprawie ze złotą nitką i przewróciła pierwszą kartę. Na widok kolorowej fotografii ojca jako młodego mężczyzny z jej ust wyrwał się jęk. Ojciec stał z kobietą w nieokreślonym wieku, która ujmowała go pod ramię, a w ręku trzymała bukiet kwiatów, miniaturowych różyczek owiniętych białym tiulem. Za nimi widać było lśniące, lekko pofalowane linoleum i ścianę z pustaków. Pozbawiony ozdób budynek urzędu. Być może w Pine Bluff w Arkansas. Urząd stanowy, bez dwóch zdań.

Co więcej, fotografia tłumaczyłaby obecność pożółkłego, spleśniałego kłęбка tiulu, który znalazła w kufrze.

Ale tak naprawdę uwagę Tracey przykuła owa nieznajoma kobieta z olśniewająco białymi zębami widocznymi w rozchyleniu karminowych ust i odrobinę zbyt mocno wysuniętą górną szczęką. Przywarła zaborczo do ramienia ojca i przyciskała policzek do jego policzka.

Mimo prób zamaskowania powierzchowności ogromnymi, ciemnymi okularami i gęstymi, czarnymi lokami peruki, trudno byłoby jej nie rozpoznać, zwłaszcza teraz, gdy oglądały ją na ekranie telewizora. Ale przecież nie mogła to być światowej sławy gwiazda filmowa, bo czegoż by ona szukała w Pine Bluff w Arkansas?

Tracey nie mogła uwierzyć własnym oczom. Kobieta z fotografii - jeżeli była nią Victoria Ure, figurująca na świadectwie ślubu i metryce urodzenia - miała na sobie coś w rodzaju stroju kowbojskiego w wersji z Rodeo Drive. Białe, skórzane dzinsy, wpuszczone w białe kowbojskie buty, oczywiście z wytłaczanej skóry, ozdobione wielkimi ściegami, z pewnością niewiarygodnie drogie. Do tego biała, jedwabna bluzka, zapewne od znanego projektanta, a jako zwieńczenie całości wielki jak młyńskie koło kapelusz - ale nie w wersji normalnego nakrycia głowy *gaucho* - tylko okrągły talerz z białej słomki, ozdobiony kwiatami ze srebrzystego jedwabiu, bez wątpienia dzieło Cecila Beatonisha.

Ona? Czy nie ona?

Oczy Tracey przyłgnęły do ekranu, na którym królowa Amazonek zasięgała rady wyroczni, ślepej wiedźmy, mieszkającej gdzieś w pobliżu krateru czynnego wulkanu, gdyż wokół unosiły się kłęby pary i dymu, a cały obraz podskakiwał i drżał od poruszeń kamery. A wśród tego wszystkiego, na żywo i w kolorze, Urania Vickers o włosach barwy miodu, z plastikowymi zębami połyskującymi olśniewającą bielą i z tą charakterystyczną leciutko

wysuniętą górną szczęką; żywa reklama funduszu emerytalnego specjalisty od chorób przyzębia.

Tracey ponownie przeniosła spojrzenie na kolana, na zdjęcie kobiety i ojca. Ręce jej drżały, kiedy odwracała kartę albumu. Na odwrocie znajdowało się zbliżenie panny młodej.

Niewiarygodne wręcz podobieństwo.

Nie, więcej niż podobieństwo. To ta sama kobieta!

Na starym zdjęciu w albumie i na ekranie telewizora.

- M - M - Maribel.

- Tracey? Co się stało? - Maribel wyczuła dziwną nutę w głosie przyjaciółki. - Co jest?

Odkryłaś coś?

- Maribel, rzuć okiem na to zdjęcie i powiedz, że to tylko moja wyobraźnia, dobrze?

- Nie ma sprawy. - Maribel zerwała się z sofy, ściszyła głos w telewizorze i podeszła do Tracey. Zerknęła w dół, potem przed siebie i zamarła z oczami wielkimi jak spodki.

- No, no, czy to naprawdę ta, o której myślę?

- Właśnie o to samo chciałam cię zapytać.

Zapominając o filmie, Maribel opadła na kolana tuż obok Tracey, sięgnęła po album i przysunęła go do światła. Przechyliła głowę i uważnie przyjrzała się fotografii. Mruknęła coś pod nosem, po czym pośpiesznie zaczęła przerzucać pozostałe karty z naklejonymi zdjęciami wykonanymi podczas tej samej uroczystości.

Zamknęła oczy, pokręciła głową niczym pies otrząsający się z wody i znowu podniosła powieki.

- Jeśli pominąć okulary i perukę...

Teraz ona rzucała porównawcze spojrzenia to na zdjęcie, to na ekran telewizora, w skupieniu marszcząc czoło. Wreszcie odłożyła album bez słowa i gwałtownie wypuściła powietrze.

- No i...? - ponagliła ją Tracey, starając się wyczytać odpowiedź z twarzy przyjaciółki.

- Nie gorączkuj się tak - ostudziła ją Maribel. - Wszystko mi mówi, że to niemożliwe, a jednocześnie...

- A jednocześnie co? - zapytała bez tchu. Maribel spoglądała na nią ze zdumieniem.

- Co masz na myśli, mówiąc „co”? Przecież znasz odpowiedź. Jeśli na tym zdjęciu widzisz Victoria Ure i jeśli - a nie mamy powodów, by sądzić inaczej - twój ojciec zawarł tylko jedno małżeństwo i... cóż, jeśli nie istnieje siostra bliźniaczka, a nic nam o takiej nie wiadomo, to powiedziałabym, że owa pani Ure i Urania Vickers to jedna i ta sama osoba.

- Ale... - Tracey uczyniła bezradny gest - ale to przecież nieprawdopodobne.

- Oczywiście - zgodziła się Maribel. - Natrafiłaś jednak na fotografię nowożeńców. A co o nich wiemy? Panem młodym jest twój ojciec, a panną młodą jakaś oszustka, podszywająca się pod Uranię Vickers.

- Tak, ale...

- Cicho, teraz moja kolej na wnioski. - Maribel przerzuciła kilka kart w albumie, aż natrafiła na jedno ze zbliżeń. Wskazała palcem pewien punkt. - Zauważyłaś ten niewielki pieprzyk na szyi Uranii? Mnie rzucił się w oczy podczas oglądania filmu. Kobieta na zdjęciu ma pieprzyk w tym samym miejscu. - Urwała, wytrzymała spojrzenie Tracey i zakończyła: - Potrzebujesz jeszcze jakichś dowodów?

Tracey otworzyła usta ze zdziwienia, niezdolna do odpowiedzi.

- Spójrz prawdzie w oczy, *cariña* - ciągnęła Maribel. - Szansa jest jak sto milionów do jednego, ale wszystko wskazuje na Uranię Vickers. Mogła poznać gdzieś twój ojca, na przykład podczas kręcenia plenerów. Wpadli sobie w oko. A jeśli jeszcze przypomnisz sobie metrykę urodzenia i wykonasz kilka prostych obliczeń, zobaczysz, że była w ciąży, kiedy się pobierali.

- Co najmniej w trzecim miesiącu - uzupełniła Tracey.

- No właśnie. Założę się, że ze względów reklamowych trzymali wszystko w tajemnicy, ciążę, ślub i dziecko. Zresztą nie można też wykluczyć tego, że początkowo twój ojciec nie rozpoznał w niej gwiazdy filmowej. Możemy też śmiało założyć, że posługiwała się fałszywymi dokumentami, ponieważ wiemy, że używała innego nazwiska - Victoria Ure. Może od początku oszukiwała twój ojca.

Tracey miała nadzieję, że tak jednak nie było.

Biedny ojciec, był tak wrażliwy, taki podatny na zranienia.

- To także tłumaczy, dlaczego postanowili się pobrać na takim zadupiu jak Arkansas. Urania bez wątpienia uważała, że jeśli posłuży się fałszywymi dokumentami i włoży czarną perukę, nikt jej nie rozpozna. Zresztą sama się zastanów - jak i ona pewnie się zastanawiała - kto by ją rozpoznał w Arkansas, kto by się w ogóle spodziewał, że wielka gwiazda filmowa wyląduje nagle w Pine Bluff albo w którejkolwiek z pozostałych miejscowości? - Maribel popatrzyła na Tracey i potrząsnęła głową. - Mnie się to nie wydaje prawdopodobne. Nadażasz za mną?

Tracey usiłowała przełknąć wielką kulę, tkwiącą w gardle.

- Tak... chyba tak.

- Dobrze. A skoro nie znalazłyśmy żadnych papierów rozwodowych, mogę się założyć, że małżeństwo jest nadal zarejestrowane, choć nie potrafię powiedzieć, czy ważne,

skoro panna młoda posłużyła się fałszywym nazwiskiem. Ale jedna rzecz jest pewna. Ona z pewnością nie była małoletnia i o ile nie cierpi na zaburzenia pamięci albo rozdwojenie osobowości, w co osobiście powątpiewam, doskonale wiedziała, co robi. Jestem też gotowa zaryzykować przypuszczenie, że Urania i twój ojciec rozstali się, ponieważ ona nie potrafiła dłużej wytrzymać z dala od blasku jupiterów. Kiedy ktoś jest gwiazdą, wymaga stałej dawki uwielbienia, podobnie jak ćpunowi potrzebna jest działka. Proszę, nie zrozum mnie źle ani nie zniechęć za to, co powiem, ale kiedy zerwali i ona odeszła...

Tracey czekała w milczeniu na dalszy ciąg.

- Cóż, wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby się okazało, że zrobiła to, nie pożegnawszy się ani z tobą, ani z twoim ojcem.

Tracey westchnęła głośno. Przeszedł ją zimny dreszcz. Mam nadzieję, że to nie stało się w taki sposób, myślała gorączkowo. Jeśli Maribel odgadła prawidłowo, to Urania Vickers złamała ojcu serce.

Nic dziwnego, że nie chciał powiedzieć ani jednego słowa na temat przeszłości.

- Z tego, jak o niej mówisz, przypuszczam, że nie jesteś zagorzałą fanką Uranii Vickers - zwróciła się do Maribel.

W odpowiedzi otrzymała wzruszenie ramion.

- A co tu jest do lubienia czy nie lubienia. Z przyjemnością oglądałam większość jej filmów. Nie są to wybitne dzieła, ale niezłe szmiry. Człowiek otrzymuje dokładnie to, co widzi. Przyznaję, że byłam zafascynowana serialami telewizyjnymi, w których grała na początku lat dziewięćdziesiątych. O, w nich bywała bezkonkurencyjna. Najgorętsza sztuka na srebrnym ekranie przez ładnych kilka lat. Ale czy ją lubię, czy nie... hm... - Maribel usiłowała sprecyzować obiektywną opinię. - Tak mówiąc między nami, nigdy nie poświęciłam jej ani jednej myśli. Ani w jedną, ani w drugą stronę. Z pewnością nie zabijałam się, żeby kupić jej autobiografię czy też powieść, którą wydała. - Popatrzyła na Tracey pytająco. - A ty? Jakie są twoje odczucia? Albo raczej - podkreśliła, robiąc ostrożne rozróżnienie - jakie były aż do dzisiaj?

Tracey przesunęła palcami po skroniach.

- Na pewno nie uległam uraniomanii. Oceniając to z perspektywy, pewnie dlatego, że tata pędził mnie od telewizora, ilekroć ją pokazywali, choć robił to w taki sposób, że nigdy niczego nie podejrzewałam. Aż do tej pory, jak sądzę, moje uczucia pozostawały całkowicie neutralne. Oczywiście widziałam jej fotki na reklamach w każdym supermarkecie. Pełno tego przed wszystkimi kasami. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby czytać te bzdury. Wcale... wcale mnie to nie interesowało.

- Może i lepiej, zważywszy na wszystko.

Tracey przytaknęła, myśląc: nie potrzebujesz mi tego mówić.

- W każdym razie - podsumowała Maribel - wypełniłyśmy tyle luk, ile tylko możliwe. Pierwsza jestem gotowa przyznać, że w większości wypadków tylko zgadywałyśmy. Ale dopóki nie zostanie dowiedzione inaczej - uniosła w górę obie ręce - wszystko pasuje. To też tłumaczy, dlaczego twój tata wyjechał z tobą i mieszkał w zapadłych dziurach. Założę się też, że z tego samego powodu zmienił nazwisko wam obojgu. Na wypadek gdyby Urania kiedykolwiek zmieniła zdanie, żeby nie mogła łatwo was odnaleźć. Pewnie się obawiał, że któregoś dnia obudzi się w niej pięciominutowy instynkt macierzyński i będzie próbowała cię odebrać.

Tracey bez słowa skinęła głową, przetrawiając w milczeniu te wszystkie rewelacje, a Maribel jej w tym nie przeszkadzała.

Wkrótce uwagę Tracey na powrót przyciągnął ekran telewizora. Urania Vickers niczym wagnerowska walkiria ruszała w bój. Siedziała na grzbiecie narowistego jednorożca, dokonując przeglądu wojsk. Jej strój stanowił przedziwną mieszankę najrozmaitszych elementów; strategicznie wypchany stanik w stylu Xeny, futurystyczny, plastikowy napierśnik a la Barbarella, spódniczka rzymskiego legionisty, azteckie nakrycie głowy z piór i jasny koński ogon niczym u Madonny podczas Blond Ambition Tour.

To samo dotyczyło broni. Miecz, miotacz ognia, latające ostrza Żółwi Ninja i kusza.

Tego było naprawdę zbyt wiele i Tracey wybuchnęła głośnym śmiechem, kiedy nagle nastąpił najazd kamery prosto na aktorkę. Twarz Uranii, większa niż w rzeczywistości, wypełniła cały ekran, a skośne, zielone, kocie oczy popatrzyły wprost na Tracey z wyrazem jakby nagany.

Śmiech zamarł jej w gardle. Przez jedną długą, nieprzyjemną chwilę nie potrafiła złapać tchu.

Zdrowy rozsądek mówił, że to tylko wyobraźnia płata jej figle, a zbliżenie stanowi po prostu część filmu. Długo jednak nie mogła pozbyć się niemiłego wrażenia, że nagle Urania w jakiś sposób znalazła się tutaj, w tym pokoju, gdy telewizor stał się korytarzem łączącym dwa światy - realny i filmowy - a przejście między nimi okazało się możliwe.

Oczywiście wszystko to było wyłącznie idiotycznym wyobrażeniem, całkowicie dzieciennym. Zgoda, ale...

Ale wydawało się tak niewiarygodnie realne.

Maribel poczuła ukłucie niepokoju. Kiedy przeglądała dokumenty, rzuciło jej się w oczy coś przedziwnego. Szybko przerzuciła je po raz drugi i ułożyła według dat.

Były to zawiadomienia kierowane do zmarłego Thomasa Sullivana na temat obciążających go hipotek. Choć pochodziły z różnych źródeł i sformułowano je w rozmaity sposób, wszystkie dotyczyły tego samego.

Najstarszy dokument, który położyła na samym wierzchu, liczył sobie ponad trzy i pół roku. Wystawiony przez Golden State Savings and Loans, informował Thomasa Sullivana, że przyznano mu pożyczkę hipoteczną, o którą się ubiegał. Widocznie musiał spłacić poprzednią, domyśliła się Maribel.

Następne pismo było siedem miesięcy późniejsze i informowało, że kasa zapomogowo - pożyczkowa Golden State sprzedała dług hipoteczny innej instytucji zajmującej się obsługą pożyczek pod hipotekę - Southern Mariner Bank and Trust, Inc.

Po nim następował list od Southern Mariner, oficjalnie witający „na pokładzie” nowego klienta. Dalej widniały pisma od firmy o nazwie Second Mortgage Store, sprzed półtora roku, stanowiące urzędowe potwierdzenia przyznania Tomowi Sullivanowi pożyczki pod drugą hipotekę.

We wszystkich tych transakcjach nie kryło się nic podejrzanego.

Maribel jednak zaalarmowały pozostałe dokumenty. Było ich zbyt wiele - zbyt wiele transakcji w ciągu krótkiego czasu, by można to uznać za normalne.

Maribel Pinales nie pracowała w banku, ale od rozmaitych krewnych sporo się nasłuchiwała, jak funkcjonują pożyczki hipoteczne. Wiedziała na przykład, że jest normalną praktyką, iż pożyczkodawca odsprzedaje kredyt hipoteczny innej firmie. Po prostu w odpowiednim czasie właściciel nieruchomości zostaje poinformowany, że od tej pory miesięczne raty mają być spłacane komuś innemu.

Jak dotąd, nic nadzwyczajnego.

Ale w ciągu ostatnich sześciu miesięcy dług hipoteczny Thomasa Sullivana zmieniał właściciela z zaskakującą częstotliwością. Na przykład pierwsza hipoteka została sprzedana ponownie - firmie o nazwie First Lender Financial Corp., Inc., z siedzibą w Exumie na Bahamach.

W dwa miesiące później pożyczka pod drugą hipotekę także została sprzedana - spółce Equity Partners na Kajmanach. Co więcej, w ciągu następnych ośmiu tygodni własność tej samej hipoteki została przejęta - i to niemal natychmiast - przez dwie inne instytucje bankowe, najpierw przez Global Investor Trust, Inc., zarejestrowany w Liechtensteinie, który z kolei sprzedał dług New Directions Banking of Atlanta w Georgii.

To oznaczało, że druga hipoteka Toma Sullivana zmieniła właściciela trzykrotnie w ciągu kilku miesięcy.

Wszystko to stawało się coraz ciekawsze.

Coś w rodzaju szybkiego podawania piłki, zakońzonego zaledwie sześć tygodni temu. Zgodnie z dokumentami, które Maribel miała teraz przed sobą, pierwsza hipoteka Thomasa Sullivana również kilkakrotnie przechodziła z rąk do rąk. Kolejny właściciel - ni mniej, ni więcej tylko ta sama spółka, która przez kilka tygodni posiadała drugą hipotekę, Equity Partner, Inc. z Kajmanów - po krótkim czasie odsprzedał ją (czy te cuda nigdy się nie skończą?) Global Investor Trust, Inc. z Liechtensteinu, który zakręcił się i pozbył jej szybciotko na rzecz (cud nad cudami) New Directions Banking of Atlanta w Georgii.

Teraz obie, i pierwsza, i druga hipoteka, znalazły się w jednym portfelu aktywów.

W normalnych warunkach hipoteki nie byłyby wiele warte, ponieważ Thomas Sullivan ogromnie zalegał z opłatami. Ale w tym szczególnym wypadku, kiedy spółka Palm Coast Developers, Inc. tak gorąco pragnęła położyć rękę na tym terenie, skromny domek stał się nagle jedną z najbardziej kosztownych posiadłości w Miami.

Czy w tej sytuacji mogło dziwić, że zaledwie dziesięć dni wcześniej obie hipoteki zostały sprzedane ostatni raz, w dodatku temu samemu nabywcy?

Tak, Maribel czuła, że coś tu śmierdzi.

Jaka jest szansa, pytała się w duchu, przy tych wszystkich milionach pożyczek hipotecznych krążących po świecie, by pożyczki pod pierwszą i drugą hipotekę, obciążające tę samą nieruchomość, ale zaciągane w dwóch różnych firmach, sprzedawane osobno i przez skomplikowany kanał pośredników, w ciągu zaledwie dwóch miesięcy zostały wykupione, i to nie raz, ale dwa razy, za każdym razem przez tę samą instytucję finansową? Tak że obecnie ktokolwiek miał w rękach pierwszą hipotekę, był posiadaczem także i drugiej?

Odpowiedź: szansa, by taka sytuacja zaistniała przypadkiem, równa się zeru.

A na zakończenie jeszcze król wszystkich śmierdzących szcurów, spółka Nationalwide Equity Holdings, Inc., która położyła łapę na obu hipotekach, nie marnowała czasu, tylko od razu wszczęła postępowanie mające na celu przejęcie obciążonej nieruchomości.

- Powiedziałyby, że coś się psuje w państwie duńskim - mruknęła Maribel do siebie.

Ktoś bawił się w kotka i myszkę z Thomasem Sullivanem.

Maribel nie musiała nawet pytać, czyja ręka pociągała za sznurki. Pomyślała: wystarczy pogrzebać dostatecznie głęboko, aby z całą pewnością dokopać się do Palm Coast Developers, Inc.

Teraz zwróciła uwagę na najnowsze zawiadomienia o transferach hipotek. Przyjrzała im się bliżej. Coś przyszło jej do głowy. Sięgnęła po oba zawiadomienia o zbliżającym się

terminie zajęcia nieruchomości, po jednym dla każdej z hipotek. Położyła je obok siebie i zaczęła porównywać. Co w nich było takiego?

I nagle - bingo! Nic w samym tekście, ale w nagłówku papieru firmowego. W podtytule.

- Tracey - odezwała się poważnym tonem.

Tracey wzdrygnęła się i zatrzepotała powiekami. Wydawało jej się, że Urania i ekran mają wręcz magnetyczną moc.

- T... tak? - Zamrugła gwałtownie i potrząsnęła głową, żeby przywrócić jasność myślom. - Przepraszam - usiłowała się uśmiechnąć - przebywałam w innym świecie.

- Tu jest coś, czemu powinnaś dobrze się przyjrzeć - powiedziała Maribel spokojnie.

- Jasne.

Papiery zaszeleściły, kiedy potrząsnęła plikiem kartek. Tracey podeszła, żeby zobaczyć, o które dokumenty chodzi przyjaciółce. Jedno spojrzenie i rozpoznała zawiadomienie o zmianie właściciela pożyczki hipotecznej.

- A, to - powiedziała, krzywiąc się i pociągając nosem, jakby te pisma wydzielały jakąś wstrętą woń. Akurat w tym wypadku śmierdziało rzeczywiście.

Maribel obserwowała ją przez chwilę.

- Przyjrzałaś im się bliżej?

- Jeszcze nie. - Tracey potrząsnęła głową. - Miałam zamiar, ale jeszcze do nich nie dotarłam. A czemu?

- Na początek obejrzyj te dwa. - Ostrożnie, jakby były nasączone jakimiś zarazkami, Maribel ujęła dwa zawiadomienia o przejęciu nieruchomości. - Zwróć uwagę na nazwę firmy - powiedziała z naciskiem. - Jeśli przypatrzysz się jej uważnie, dostrzeżesz... hm... pewien drobiazg w nagłówku.

Tracey wzięła dokumenty, a Maribel usiadła ze złożonymi rękami, utkwivszy oczy w twarzy przyjaciółki. Czekwała na reakcję.

Nie musiała czekać długo. Tracey odczytała najpierw nazwę, wydrukowaną dużymi, ozdobnymi, niebieskimi literami: „New Directions Banking, Inc.”.

Nic nadzwyczajnego. Już miała oddać dokumenty Maribel, kiedy nagle dostrzegła coś, co jej kompletnie umknęło, kiedy przeglądała je po raz pierwszy. Pod nazwą korporacji, dokładnie nad centralnie rozmieszczonym adresem, widniał dodatkowy nagłówek, napisany drobnym drukiem: „Filia grupy spółek Biggs - Dimon”.

Przez chwilę jeszcze nie kojarzyła, ale wkrótce do niej dotarło. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Biggs - Dimon? Firma, której współzałożycielami i współwłaścicielami byli członkowie rodziny Briana Biggsa, jej eksnarzeczonego?

- Nie widzisz? - powiedziała Maribel miękko. - Wiemy już, kto pociągał za cyngiel, strzelając do twojego taty. - Jej wargi skrzywiły się w wyrazie pogardy i potępienia. - Pan Bogacz. Albo jego rodzinka, co zresztą na jedno wychodzi. Och, jakbym złapała tego sukinsyna za *cojones*!

- Może... może on nawet nie wiedział. - Tracey natychmiast odruchowo stanęła w obronie Briana. - To potężna korporacja.

Z milczenia Maribel mogłaby powstać cała księga cynizmu.

- Jutro - postanowiła Tracey - z samego rana pójde do jego biura. Wiesz, on może to wszystko odkręcić, chociażby przez wzgląd na dawne czasy.

Maribel spojrzała na nią z niedowierzaniem i tylko ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Nie patrz tak na mnie - obruszyła się Tracey. - Nie proszę o niemożliwe. Ale w tych okolicznościach tyle chyba może dla mnie zrobić. Ten łotr jest mi winien przynajmniej tyle. - Jej oczy wypełniły się łzami, tak że nie zauważyła sceptycznego, smutnego wyrazu twarzy Maribel. - Tyle jest mi winien - powtórzyła, a jej ból ustąpił miejsca gniewowi. - Ten łobuz jest mi winien przynajmniej to!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Santoryn, Grecja

Słońce zanurzało się w morzu, znacząc smugą różu wodę, obłoki i białe zabudowania Oii, bezładnie czepiające się klifu. By obejrzeć ów spektakl natury, setki turystów gnały tłumnie na najdalej wysunięty na północ skrawek wyspy, gdzie ruiny kamiennej budowli, przez tutejszych mieszkańców ochrzczonej mianem fortu, sterczały w górę niczym dziób okrętu. W tym czasie Urania Vickers na wpół leżała na ogrodowym fotelu koło basenu, całkowicie ignorując nawet najpiękniejsze krajobrazy.

Mark, siedzący na leżaku naprzeciw niej, także pozostawał ślepy na piękno przyrody. Doskonale rozumiał, dlaczego jego najważniejszej klientki nie pociągają uroki natury; sam w tej chwili też nie był nimi zainteresowany.

Wizyta Julii Markoff pozostawiła gorzkie przeczucie nadciągającej katastrofy.

Przypomniał sobie jedno z ulubionych powiedzonek „Bum - Buma” Manciniego: „Jedyną rzeczą równie przebrzmiałą jak zeszlóroczna Gwiazdka, jest wczorajsza gwiazda”.

- Albo zastanowimy się nad wyborem odpowiedniej taktyki, albo nadal będziemy chować głowę w piasek, tak jak do tej pory - zaczął, starając się nadać głosowi spokojne brzmienie. - Tak czy inaczej, nadszedł czas na podjęcie radykalnych działań. Co o tym myślisz?

Nawet jeśli Urania coś myślała, nie raczyła otworzyć ust.

Słońce całkowicie pograżyło się w wodzie za wyspą Thirasią, po przeciwnej stronie kaldery, i niebo błyskawicznie pociemniało. Działające na fotokomórkę lampy na tarasach i zewnętrznych schodach łączących trzy poziomy domu zapaliły się automatycznie, a zaraz po nich błysnęły światła koło basenu, zabarwiając wodę zielonkawą, fluoryzującą poświata.

- Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, na co liczyła Julia. Że odrzucisz jej ofertę pomocy - ciągnął Mark. - Gdybyś przystała na jej propozycję, twój kontrakt byłby bezpieczny i InfoMedia nie miałyby najmniejszej szansy go obalić. Oboje wiemy, że cztery miesiące to za mało czasu, żebyś zdążyła ostatecznie opracować książkę. Na litość boską, Uranio, dlaczego jej odmówiłaś? Nie mogłaś przynajmniej powiedzieć, że się zastanowisz, a potem dasz jej znać?

- Własnym uszom nie wierzę! - Jak większość aktorek, Urania Vickers potrafiła modulować głos zależnie od okoliczności. W tej chwili występowała jako strona pokrzywdzona i dotknięta do żywego. - Czy mam ci przypomnieć, że twoim obowiązkiem

jest stać u mego boku i bronić moich interesów? A czy ty tak właśnie postępujesz? Nie, trzymasz stronę mojego wroga.

- Nazywanie wydawcy wrogiem jest absolutnie bez sensu - perswadował Mark. - Tym sposobem utwierdzasz się tylko w przekonaniu, że jest nim istotnie.

- Najzupełniej słusznie - odparła Urania z triumfem. - Ale to nie ja wbiłam sobie do głowy ten pomysł. Możesz za to podziękować swojej przyjaciółce Julii. Każdy psychiatra ci potwierdzi, jak ważne jest wyrażanie uczuć. Wiem, bo jestem tego żywym dowodem. Teraz, kiedy pokazałam swoje prawdziwe uczucia, czuję się o wiele lepiej. O niebo lepiej.

Zniechęcony Mark Varney zanurzył ręce we włosach. Kiedy Urania coś sobie ubzdurała, nie sposób jej było to wyperswadować. Ostatnie słowo musiało należeć do niej.

- Wiesz co, kochanie? - W miejsce poprzedniego sarkazmu, łagodne gruchanie gołębia. - Byłbyś najśłodszy na świecie, gdybyś poszukał Marii. Powiedz jej, żeby otworzyła drugą butelkę szampana.

- Z jakiej okazji? Czyżbyśmy coś świętowali?

Ten komentarz został nagrodzony drapieżnym uśmiechem.

- Jeżeli potrzebujemy pretekstu, zawsze możemy wykorzystać odjazd Julii. Ale byłoby to marnowanie dobrego trunku. Myślę, że poprzestaniemy na stwierdzeniu, że jeśli ktoś zasłużył na szampana, to twoja biedna, szykanowana autorka. Nie sądzisz? - Urania skromnie zatrzepotała długimi rękami, wiedząc, jak piorunujące wrażenie wywiera tym na mężczyznach.

Mark zawahał się przez moment. Urania popijała szampana przez całe dzisiejsze popołudnie. Ale do diabła, przy wszystkich jej wadach - a była ich cała lista - akurat o alkoholizm nikt nie mógłby jej oskarżyć. Owszem, kochała musujący szampan - nawet słynęła z tego - zwłaszcza jeśli był drogi, a sama nie musiała za niego płacić. Ale jeszcze bardziej słynęła ze swojego profesjonalizmu. W ciągu całej jej kariery nigdy nie pojawiły się pogłoski, by widziano ją gdzieś podchmieloną albo - niech Bóg broni - wstawioną. Owszem, samemu Markowi zdarzało się oglądać ją na lekkim rauszu, jednak pijanej - nigdy.

Oczywiście nie trzeba było dociekliwych studiów psychologicznych, by poznać przyczynę owej wstrzemięźliwości. Urania zbyt dobrze wiedziała, że jej głównym atutem jest uroda, toteż swoje ciało i twarz otaczała równą troską, co chirurg dłonie. Podobnie jak nigdy nie pokazałaby się publicznie bez starannego makijażu i olśniewającej kreacji, tak samo nigdy nie przyszłoby jej do głowy własnoręcznie przyspieszać tego, co nieuniknione. Czas i tak zrobi swoje, więc nie należy mu pomagać używkami.

- I co, kochany? - wdzięczyła się teraz, robiąc nadaśaną minę - na co ty jeszcze czekasz?

- Zaraz wracam - powiedział Mark tonem rezygnacji i wstał. Urania obserwowała go z uznaniem, spod wółprzymkniętych powiek, gdy podniósł się z leżaka, a potem boso obszedł basen i zniknął pod arkadą, skąd wysuwał się żółty język światła lampy.

Była całkowicie świadoma jego niezamierzonego seksapilu; opalonego, nagiego torsu z prężnymi mięśniami i smukłych ud, okrytych luźnymi, białymi spodniami, wykonanymi z jakiegoś nowego, osobliwego włókna, dającego efekt wygniecionego materiału.

Gdyby tylko jego myśli nie krążyły wyłącznie wokół spraw zawodowych, gdyby miał o połowę niższy wskaźnik inteligencji, świetny byłby z niego żigolak, rozmarzyła się aktorka.

Na nieszczęście jednak Mark urodził się nie tylko z fantastycznym ciałem, lecz także z mózgiem, co z punktu widzenia Uranii stanowiło wyłącznie marnowanie męskiej urody.

Z oświetlonego pokoju dobiegł szmer przyciszonych głosów, a zaraz potem usłyszała ciche szuranie bosych stóp po gładkich kamieniach i szelest tkaniny.

- Maria trzymała drugą butelkę na lodzie - oznajmił Mark, na powrót sadwiąc się wygodnie na leżaku. - Czasami jestem gotów przysiąc, że potrafi odgadywać myśli, zwłaszcza gdy chodzi o ciebie i twoje bąbelki.

- Powinna - odparła Urania. - W końcu jest ze mną od... od... och, od zawsze. - Uczyniła ledwo dostrzegalny ruch ręką.

- A, właśnie, kazała ci powiedzieć, że zostało jeszcze tylko półtorej skrzynki.

- Co, już? - Urania zamarkowała zdziwienie. - W moim otoczeniu cristal jakoś dziwnie wyparowuje. No trudno, musimy zadzwonić w jedno miejsce w Kolonaki i kazać przysłać kilka skrzynek.

Zupełnie jakby nabycie kilku skrzyń szampana, po tysiąc sześćset dolarów za jedną, było równie nieskomplikowane, jak kupienie podłego piwa w lokalnym sklepiu dyskontowym, którego nawiasem mówiąc na Santorynie nie było.

Ten raj miał także swoje ujemne strony - przede wszystkim całkowity brak tego, co najniezbędniejsze do życia - wody pitnej. Na wyspie zbierano do cystern wodę podczas zimowych opadów, a brakująca reszta musiała zostać dostarczona statkiem i dalej rozwieziona beczkowozami. Wodę do picia kupowało się w butelkach.

Mark i Urania siedzieli pod ciemnym, rozgwieżdżonym niebem. W dole, w kalderze drżało bliźniacze odbicie księżyca, wzdłuż krawędzi klifu migotały światła Oii. Milczeli, dopóki chuda Greczynka z zaciśniętymi ustami, łykowata niczym wysuszony płat wołowego

mięsa i z twarzą jak pomarszczone, brązowe jabłko, nie wynurzyła się z tacą spod arkadowego przejścia.

Z majolikowego wiaderka z lodem sterczała oszroniona butelka z szyjką owiniętą złotą folią. Prócz niej na tacy znajdowały się dwa nowoczesne, smukłe kieliszki do szampana i dwie białe, starannie złożone białe serwetki.

Kobietą była Irina Stefanou, matka Marii, zaufanej gospodyni Uranii. Stara wieśniaczka z dumą nosiła strój swoich babek. Czern spowijała ją od stóp do głów. Czarna suknia z długimi rękawami, czarna chustka na głowę, fartuch, pończochy i buty.

Irina postawiła tacę na niskim stoliku obok leżaka Marka. Nawet w tej prostej czynności udało jej się zawrzeć cały ładunek dezaprobaty - w stosunku do Marka Varneya i cudzoziemców w ogóle, a ponadto wobec wszelkich dóbr importowanych, szczególnie zaś wszystkiego, co trąciło frywolnością. Jak na przykład szampan.

Wycofała się tak samo, jak przyszła, posepnie i bez słowa. Po prostu pojawiła się na moment i zaraz zniknęła.

Mark odczekał, aż kobieta znajdzie się poza zasięgiem głosu. Zrobił ponurą minę.

- Nie wiem jak ciebie - powiedział cicho - ale mnie ta stara nietoperzyca przyprawia o dreszcze. Czy ta czarna śmierć naprawdę musi się tu kręcić? Właściwie po co w ogóle ją trzymasz? Nie możesz jej odesłać tam, skąd pochodzi, do jakiejś zapadłej wioszczyny w górach? Na pewno byłaby szczęśliwsza w domu. Urania syknęła z dezaprobatą.

- No, no, kochanie - odezwała się tonem reprimendy - wiesz przecież, że bez Marii nie potrafiłabym się obejść. Stanowi jedyną opokę w moim życiu. Mężowie i kochankowie przychodzą i odchodzą, a tak zwani przyjaciele z radością wpakowaliby mi sztylet w plecy. Maria zawsze była i jest moją jedyną podporą. Jeśli to oznacza znoszenie także jej matki, cóż... - Leciutko wzruszyła ramionami.

Rozległo się charakterystyczne grzechotanie, kiedy Mark wyjmował butelkę z lodowego gniazdka, a potem szelest towarzyszący odwijaniu złotej folii. Później nastąpiła chwila ciszy podczas odkręcania drucika i wreszcie łagodny wystrzał przy wyciąganiu korka. Mark delikatnie przytrzymał go przez serwetkę, nie pozwalając mu poszybować w powietrze.

Nachylił butelkę nad jednym z kieliszków, napełniając go powoli, tak by piana nie zdążyła uciec. Następnie z ceremonialnym ukłonem wręczył kieliszek Uranii. Wiedział, że ten gest nieodmiennie wprawia ją w dobry humor, a na tym szczególnie mu dziś zależało.

Sobie nalał zaledwie na dwa palce. Wystarczająco, żeby wychylić toast, za mało, żeby się napić. Nie miał ochoty na alkohol.

Urania uniosła kieliszek.

- Za wycofanie się naszych wrogów - ogłosiła dramatycznym tonem i upiła odrobinę trunku. Końcem języka zwilżyła wargi i westchnęła w ekstazie. - Przepyszne. Nektar bogów.

- Powtarzasz to za każdym razem, ilekroć pijesz szampana - zauważył Mark.

Uśmiechnęła się pobłażliwie.

- To dlatego, mój drogi - powiedziała, zanurzając palec w kieliszku i łowiąc bąbelki - że cristal zawsze jest najlepszy. Wszędzie i na wszystko.

- Powinni cię zrobić swoją rzeczniczką. Urania rozmarzyła się, oblizując palce.

- To byłoby cudowne. Pomyśl tylko, niezliczone skrzynie szampana w prezencie, w zamian za reklamę.

Mark spróbował szampana i smakował go chwilę na języku. Urania miała rację, to znakomity gatunek. Delikatny niczym jedwab i pełen przeciwieństw, zmysłowy, ale lekki, intensywny, a jednocześnie dyskretny.

Sam wolał szkocką od najlepszych nawet bąbelków, i to na każdą okazję. Przede wszystkim macallana, zwłaszcza długo leżakowanego. Jednak w uznaniu dla cristal'a odczekał chwilę, zanim powrócił do przerwanej wątku.

Wreszcie odchrząknął, na znak, że zmienia temat.

- Przykro mi, że muszę ci zepsuć tę przyjemność - zaczął. Urania dobrze wiedziała, co się święci.

- Och, kochanie - jęknęła błagalnie, dramatycznym gestem osłaniając czoło ręką - czy naprawdę musimy...?

- Im wcześniej uporamy się z tym problemem, tym lepiej. Urania westchnęła. Rzeczywiście, trudno było odmówić słuszności temu stwierdzeniu.

- Chyba masz rację - mruknęła, choć nie bez buntu w głosie.

- W takim razie do rzeczy - powiedział Mark. - Co proponujesz?

- Zrobić? - Głos Uranii ciął niczym ostrze, spojrzenie przeszywało. - Co masz na myśli, pytając, co proponuję?

Mark miał swoje sposoby, żeby zachować spokój. - Wiesz przecież, że problem z książką sam się nie rozwiąże.

- Nie musisz mi o tym przypominać - odparła posepnie. - Więc?

- Więc będę pisać - oznajmiła wyniosłe. Upiła kolejny łyk szampana. - A czego się po mnie spodziewałeś? - Kiedy podniosła głowę, jej oczy ciskały błyskawice. - Że się poddam?

- Nie - odrzekł obojętnie Mark, ostrożnie odstawiając kieliszek na stół. - Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że powiesz dokładnie to, co powiedziałaś.

- A mogę wiedzieć, co w tym złego? - spytała zirytowana. Zdecydował się na całkowitą szczerłość.

- Ponieważ tego właśnie się obawiałem.

- Obawiałem! Zakładam, że mówisz o moim zobowiązaniu dotyczącym napisania książki.

Mark nic nie odpowiedział, tylko szeroko rozłożył ręce, jakby chciał przez to wyrazić: to ty powiedziałaś, nie ja. Jego milczenie nie poprawiło sytuacji.

- Wiesz - rzuciła Urania sucho - skoro tak sobie szczerze rozmawiamy, to ty naprawdę jesteś draniem pierwszej klasy.

Wzruszył ramionami.

- Nazywano mnie już gorzej.

- O, tego jestem pewna.

Mark usiadł wyprostowany, z dłońmi opartymi na kolanach, zwracając się twarzą w stronę Uranii.

- Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie - odezwał się spokojnie - ale nadszedł czas, abyśmy zaakceptowali pewne nieprzyjemne fakty.

- Prze - pra - szam - głos Uranii było lodowaty - ale jakie dokładnie są owe fakty, które „nasz” królewski majestat ma zaakceptować?

Mark nie tracił opanowania.

- Sądzę, że sama znasz odpowiedź na to pytanie.

Urania eksplodowała, ponownie wcielając się w odgrywaną wcześniej rolę klimtowskiej Medei. Pochyliła się ku przodowi, a jej sylwetka z każdym ruchem zdawała się rosnąć i nabierać mocy.

- To nie wystarczy, mój słoneczny chłopcze - wyrzuciła z siebie.

- Chcę, żebyś to powiedział. Żądam tego od ciebie.

Zapomniała, że największą siłą Marka stanowiło to, że nie sposób go było obrazić. Jedną z pierwszych rzeczy, jakich nauczył go „Bum - Bum” Mancini, było, jak ignorować wybuchy urażonych sław.

- Mówimy o uratowaniu twojego kontraktu - oświadczył. - Czyli o dostarczeniu książki, na którą wydawnictwo Greenleaf podpisało z tobą umowę.

- A jeśli nie, to co się stanie? - zapytała Urania, dotknięta tym, co odebrała jako nielojalność swojego agenta.

- W MedialInfo zatrudniają prawników, którzy mają cię na celowniku - przypomniał jej. - To sepy, więc nie zawahają się wykorzystać każdego kruczka prawnego, żeby odzyskać

pieniądze firmy i udowodnić, że zasługują na swoje honoraria. Nie wiem, skąd mi się to bierze, ale mam nieodparte wrażenie, że postanowili posłużyć się tobą jako przykładem, nawet jeśli oznacza to unurzanie w błocie twojego nazwiska.

- Niech tylko spróbują! - oświadczyła drwiąco Urania. - Pożałują, że kiedykolwiek odważyli się ze mną zadrzeć. Gwarantuję ci to.

- Dumnie potrząsnęła głową.

- Tak, ale pomyśl o następstwach - odrzekł Mark rozsądnie. - Każdy wydawca na świecie - a oboje wiemy, że przy tych wszystkich fuzjach i przejęciach udziałów pozostała zaledwie garstka naprawdę liczących się graczy - pomyśli dwa razy, zanim podsunie ci pod nos umowę opiewającą na miliony dolarów. Tyle w kwestii wydawniczej. A co z twoimi fanami? Taki rozgłos może mieć fatalne następstwa. Mogą cię opuścić.

Śmiech gwiazdy zabrzmiał ostro w ciszy nocy.

- Opuścić mnie? - Popatrzyła na Marka z niedowierzaniem. - Moi wielbiciele są lojalni - oznajmiła wyniośle.

Fala największego gniewu minęła i Urania z powrotem opadła na fotel. Tak jak umiała wywołać wrażenie, że nagle urosła, tak samo potrafiła uczynić coś przeciwnego, w okamgnieniu przeistoczyć się ze zbrodniczej Medei w gwiazdę filmową.

W milczeniu, skubiąc wyszywany złotem jedwabny kaftan i z namysłem poprawiając fałdy rękawów, ostentacyjnie demonstrowała swoją urazę.

- Okay - Mark spróbował z innej strony - o swoich wielbicielach jesteś spokojna. A co z twoim angażem?

- Mark, musisz się wyrażać bardziej precyzyjnie, bo naprawdę nie wiem, co masz na myśli.

- Na przykład ten program telewizyjny „Nasz gość specjalny - gwiazda”. Ten, dzięki któremu zarabiasz na chleb z masłem. Ten, który razem z dochodami z książek pozwala ci utrzymać się na powierzchni. Nie bądź naiwna i nie wyobrażaj sobie, że producentom i sponsorom będzie obojętna twoja zła prasa. Szybko znajdą inną aktorkę na twoje miejsce.

Nie dodał już głośno: młodszą, taką, z którą współczesnemu młodemu pokoleniu łatwiej będzie się identyfikować.

- Klap, klap, klap... - Urania zrobiła palcami ruch, naśladujący kłapanie paszczy krokodyla. - Pogodzą się z tym - zapewniła go.

Mark odczekał chwilę, po czym zapytał łagodnie:

- Czy ty także?

Tym razem celnie ją ugodził.

- Słuchaj, Uranio, nie mam zamiaru tracić czasu na gładkie słówka. Oboje wiemy, że bardzo potrzebujesz pieniędzy, a te otrzymasz jedynie wówczas, gdy książka zostanie przyjęta. Nie stać cię na zerwanie umowy. Tak samo jak nie stać cię na zwrócenie zaliczki. Oboje wiemy, że wydałaś ją w całości, gdy tylko położyłaś na niej swoje gorące, małe łapki.

- Ty bękarcie! - Oczy aktorki ciskały błyskawice. Gdyby spojrzenie potrafiło zabijać, Mark padłby trupem na miejscu.

Nie stanowiło tajemnicy, że dwóch tematów Urania nie znosiła ponad wszystko; po pierwsze rozmów dotyczących jej wieku, po drugie stanu jej finansów. Nawet jeśli u szczytu sławy zarabiała sporo, niewiele jej z tego pozostawało. Podczas gdy Mae West zgromadziła fortunę w nieruchomościach w Los Angeles, Paulette Goddard okazała się geniuszem giełdowym, Elizabeth Taylor zebrała przez lata kolekcję dzieł sztuki i biżuterii, Urania Vickers bez przerwy balansowała na krawędzi finansowej katastrofy. Jeszcze nie tak dawno przyjmowała każdą zaproponowaną jej rolę w Europie Wschodniej. Kiedyś również poleciała nawet do Singapuru (oczywiście pierwszą klasą) na uroczystość przecięcia wstęgi w nowo otwieranym ekskluzywnym centrum handlowym; jednodniowa wyprawa, za którą sownie ją wynagrodzono. Przyjęła apartament w Boca Raton (który następnie szybko sprzedała), po to, by deweloper mógł się reklamować, że kupiła od niego mieszkanie wielka aktorka. Ale choć nadal miała status gwiazdy i chętnie grała, nigdy nie było dla niej wystarczającej liczby ról ani brzęczącej gotówki. Ani obligacji lub papierów wartościowych. Ani nawet bogatego męża, który zostawiłby jej fortunę.

Czyż to nie pasowało do kobiety, która na letnią rezydencję wybrała sobie willę na krawędzi czynnego wulkanu?

Mark ciągnął:

- Moim zdaniem sytuacja przedstawia się następująco. Masz szansę wykaraskać się z tego i ocalić skórę pod warunkiem, że wszystko, co napisałaś, przekażesz do opracowania fachowcowi. Komuś, kto nada twojej powieści odpowiedni kształt.

- I ty, Brutusie? - powiedziała Urania gorzko. - Jak śmiesz insynuować, że sama nie umiem dotrzymać warunków kontraktu. Bo właśnie to chcesz powiedzieć, prawda, kochanie?
- Ostatnie słowo dosłownie ociekało trucizną.

- Niczego nie insynuuję. Próbuje ocalić twój tyłek, pamiętaj o tym. I nie otrzymuję żadnych podziękowań, o tym także nie zapominaj.

- Poza piętnastoma procentami mojego honorarium - zauważyła cierpko. - Niektórzy nazwaliby to naprawdę pięknym podziękowaniem.

Mark wzruszył ramionami. Brak wdzięczności autora nie był dla niego nowością. Stanowił regułę, zwłaszcza w wypadku uznanych pisarzy.

- Może to ci się podobać albo nie, ale jako twój agent literacki mam obowiązek zadbać o twoje interesy - ciągnął. - Najlepszym wyjściem dla ciebie byłoby znalezienie ghostwritera. W porządku, to także należy do moich obowiązków, zajmę się tym.

- Brawo, brawo, brawo. - Urania ironicznie wyraziła swój aplauz. - Słuchajcie, słuchajcie. Co za cholerna lojalność i co za cholerny profesjonalizm z twojej strony, łaskawco.

Zignorował sarkazm, gdyż nawet go nie zauważył, pochłonięty głośnymi rozważaniami.

- Rozejrzę się, kto jest wolny i na kim można polegać. Potrzebny nam ktoś, kto potrafi zdziałać cuda. W dodatku musi to być osoba całkowicie nieznana Julii Markoff i jej klonom, a najlepiej żadnemu wydawcy. - Urwał, bębniąc palcami w tekowe poręcze leżaka i wpatrując się w jakiś odległy punkt.

Głos Uranii wtargnął nagle w jego myśli.

- Jesteś bardzo pewny siebie, nieprawda? - odezwała się lodowatym tonem. - Czy ktoś słyszał, abym wyraziła zgodę?

- Uranio, skończ te gierki. - Przez chwilę mierzył ją spojrzeniem. - Julia wyraziła się absolutnie jasno. Czas magii i uroków już się skończył. Teraz nadszedł czas chodzenia po wodzie. Potrzebny nam będzie cud.

- Ty chyba masz już kogoś upatrzonego do tego... tego pisania w zastępstwie. Mam rację?

- Szczerze mówiąc, nie mam. Nie przychodzi mi do głowy nikt konkretny i bardzo tego żałuję. To by nam znacznie ułatwiło pracę.

Już sam wyraz „praca” nie oddawał istoty przedsięwzięcia. O wiele odpowiedniejszym określeniem byłoby „cholerna harówka”, jako że należało nadać określony sens tak zwanemu maszynopisowi Uranii - chaotycznemu zlepki pełnych zamętu, niezwiązanych ze sobą scen, urwanych wątków, znikających postaci, nieczytelnych dygresji, napuszonych dialogów i gwałtownych zwrotów akcji. Uładzenie tego bałaganu, poskładanie go do kupy w spójną, logiczną, dającą się czytać i - co najważniejsze - sprzedać całość, na skali trudności znajdowało się niemal w tym samym miejscu, co przemienienie zwykłego metalu w złoto przez alchemika.

Mark mówił teraz z namysłem, jakby do siebie.

- Tak, trzeba się rozejrzeć. Potrzebujemy kogoś, kto pracuje szybko, rzetelnie i przede wszystkim jest wzorem dyskrecji.

Urania niecierpliwie podniosła się z fotela. Kaftan zafalował, zupełnie jakby żył własnym życiem, opływając sylwetkę aktorki niczym kolumna lejącego się materiału.

- Tylko nie zapomnij o jednym - powiedziała gniewnie, grożąc mu palcem. - Kogokolwiek wynajdziesz, ma to być ktoś tani. Nie mam zamiaru godzić się na sześciocyfrową sumę albo procenty od tantiem. Wszyscy dookoła chcą na mnie zarobić, bo jestem gwiazdą, i dość mam już tego.

Przeszła kilka kroków po tarasie, po czym przystanąła w wyszukanej pozie na tle wielkiego księżyca w pełni, tak by jej sylwetka upodobniła się do figurek Éртеgo*.

- Och, i jeszcze jedno.

- Co takiego? - Głos Marka był pełen ostrożności.

- Ktokolwiek to będzie, niech lepiej trzyma buzię zamkniętą na kłódkę. Marty przygotowuje kontrakt i każe mu to wpisać jako warunek.

Wspomniany Marty był to Martin Schulze, prawnik Uranii, stary wyjadacz, który na przezwisko „seř” bynajmniej nie zasłużył sobie łagodnością.

- Tak więc uprzedź tę osobę, że jeśli piśnie choć słówko, drogo za to zapłaci. Jedna wzmianka i figa z forsy, a nawet jeszcze gorzej. Wiesz, że Marty'ego nie trzeba namawiać, żeby rozprawił się z tym kimś w sądzie i pozbawił go ostatniego grosza.

- Słyszę cię jasno i wyraźnie. - Markowi udało się odpowiedzieć spokojnie.

- Dobrze. Jednym słowem doszliśmy do porozumienia. - Zamilkła na moment. - Która jest teraz godzina w Los Angeles?

Mark spojrzął na zegarek i odjął dziesięć godzin.

- Trochę po jedenastej przed południem.

- Świetnie, zaraz więc do niego dzwonię. Marty nigdy nie pojawia się w biurze przed dziesiątą.

I Urania odpłynęła. Królewska jak zawsze, w kaftanie iskrzącym się od secesyjnych spiral, cętek i kresek, błyszczącym niczym płynne złoto na tle mozaiki z kamyczków.

* Éрте - wł. Romain de Tirtof (1892 - 1990), przedstawiciel art déco, projektant mody, kostiumów teatralnych i filmowych, twórca rzeźb i grafik.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Miami, Floryda

Prawo Sullivana brzmi: jeśli coś niedobrego ma się wydarzyć, to się wydarzy - i to o rzut kamieniem od Brickell Avenue Bridge.

Dla Tracey owo miejsce stanowiło jakby epicentrum, z którego promieniowało wszystko, co bolesne, złe i wstrętne. A skoro tak, to nic dziwnego, że biurowiec firmy Biggs - Dimon znajdował się zaledwie dwie przecznice dalej.

Przynajmniej tak uważała. Jednak wbrew obiekcjom Maribel uparła się, żeby wybrać najkrótszą trasę, przez most, z którego jej ojciec zanurkował prosto w śmierć.

Dochodziła dziewiąta trzydzieści rano. Słońce przypiekało mocno, a most był opuszczony. Siedząc obok Maribel w małej, czerwonej corolli, Tracey rozglądała się wokół obojętnie. Strumienie samochodów, płynące w obydwu kierunkach przez Miami River, betonowe barierki oddzielające pasy jezdni od kładki dla pieszych, budka straży mostowej, przylutona do jednego z trójkondygnacyjnych pylonów; wszystko to wydawało jej się dziwnie nierealne.

Wzrok Tracey powędrował dalej, w kierunku przystani, gdzie cumowały stateczki dla turystów, z wstęgami wokół relingów, gotowe na przyjęcie gości, i w stronę mola, przy którym pływająca restauracja Aquaworld i przypominająca wielkiego, białego szpetnego wieloryba łódź kasyna, z pozbawionymi okien i pomalowanymi na biało burtami, czyhały na pasażerów, by zabrać ich na wody międzynarodowe, do strefy hazardu.

Jeszcze dalej wznosiły się wysokie bloki mieszkalne z balkonami i nowoczesne biurowce, zdające się rozpląwać w rozpalonym od słońca powietrzu.

Kiedy przejeżdżały obok odlanej z brązu kolumny z posągiem napinającego łuk ku niebu dumnego wojownika Tequesta na szczycie, Tracey bodaj po raz pierwszy dostrzegła spiralny relief obiegający ją od dołu do góry, ze scenami z życia miejscowych Indian, którzy dawno już przeminęli.

Odeszli.

Tak samo jak jej ojciec.

Maribel zaparkowała na chodniku przed wysokim, czarnym monolitem ze stali i przydymionego szkła. Tracey wysiadła i zatrzasnąwszy za sobą drzwi, rozejrzała się dookoła.

Jak przystało na wartą kilka milionów dolarów budowlę, biurowiec stał tyłem do rzeki, kierując się fasadą w stronę rozległego placu z czarno - białą rzeźbą Dubuffeta pośrodku.

Ciemna, wysoka bryła była na tyle przytłaczająca i ważna, by zasłużyć sobie na własny adres - Biggs - Dimon Plaza 1.

- *Buena suerte!* - zawołała Maribel, dodając otuchy przyjaciółce. Tracey odwróciła się i pochyliła w stronę opuszczonej szyby po stronie pasażera. Z bladym uśmiechem uniosła rękę, pokazując splecione palce.

- Dzięki, mam nieodparte wrażenie, że szczęście będzie mi dziś potrzebne.

- Hej, pamiętaj, co ustaliliśmy. Zachowaj spokój, a wszystko potoczy się gładko.

- Jasne - odrzekła Tracey, myśląc jednocześnie: łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

- Czekam na parkingu po drugiej stronie mostu - przypomniała Maribel, machając ręką na pożegnanie. - *Hasta la vista!* - dodała jeszcze, odjeżdżając.

Tracey postąpiła chwilę na chodniku, rozglądając się dookoła, i z satysfakcją uznała, że świetnie wyliczyła czas. Do budynku ze wszystkich stron tłumnie nadciągali pracownicy, tak że główne drzwi obrotowe kręciły się nieprzerwanie.

Głęboko wciągnęła powietrze.

- Odwagi - mruknęła do siebie.

Unosząc wysoko głowę, ścisnęła trzymaną w rękę aktówkę, poprawiła przewieszoną przez ramię oliwkowozieloną, skórzaną torebkę i weszła w tłum. Minęła obrotowe drzwi i znalazła się w chłodnym i przestronnym holu, wyłożonym czarnym, lśniącym marmurem. Obok wind mieściła się półkolista lada recepcji, także z czarnego marmuru, za którą siedziały dwie śliczne pracownice.

Obok nich stali umundurowani, uzbrojeni strażnicy, wyglądający na prawdziwych fachowców.

Tracey, z bijącym sercem i mocno stukając obcasami, szła ostrożnie, nie chcąc wzbudzić podejrzeń zbytym pośpiechem i nerwowością. Pewnym krokiem przesunęła się obok recepcji, przez cały czas spodziewając się, że któryś ze strażników albo któraś z recepcjonistek zechce ją zatrzymać.

Shczęście jej sprzyjało. Może sprawił to energiczny, pewny siebie krok, może garsonka w stylu prawdziwej bizneswoman, a może jedno i drugie, ale doskonale wpasowała się między pozostałe trutnie w tym brzęczącym roju.

Nikt jej nie zatrzymał ani o nic nie pytał, nawet gdy przystanąła pod tablicą informacyjną, żeby sprawdzić, na którym piętrze znajduje się gabinet Briana. Dopiero teraz,

kiedy potrzebowała tej informacji, uświadomiła sobie, że Brian nigdy nie zaprosił jej do swojego biura ani nawet nie zaproponował, żeby spotkali się w recepcji na dole czy na zewnątrz, na placu.

Czyżby celowo starał się trzymać ją z daleka od tego miejsca?

Przesuwając wzrokiem po alfabetycznym spisie, odnalazła potrzebne jej dane:

„Biggs, B.R. II, prezes i dyrektor naczelny Biggs - Dimon International, Inc. piętro 40”.

„Biggs, B.R. III, wiceprezes i zastępca dyrektora Biggs - Dimon International, Inc. piętro 31”.

Jakie to stosowne, pomyślała, tatuś urzęduje na czterdziestym piętrze, a Briana Rutherforda Biggsa III zesłali dziewięć pięter niżej, na trzydzieste pierwsze.

Nie mogła powstrzymać rozbawienia.

Biedny Brian. Znając go, łatwo mogła sobie wyobrazić, jak musiało mu to doskwierać. Był snobem, a taka sytuacja dzień po dniu przypominała mu, kto tu naprawdę rządzi. Nie stanowiło tajemnicy, że Brian marzył, by jak najszybciej zostać numerem pierwszym w rodzinnym interesie; zresztą sam jej się do tego przyznał.

Już miała się odwrócić i skierować do wind, kiedy wpadło jej do głowy, by sprawdzić, czy w spisie znajdzie także filie Biggs - Dimon. Przeszła kilka kroków w prawo, do litery N. Poczula nagły skurcz w żołądku. Znalazła.

„New Directions Banking, Inc. of Atlanta, Georgia, filia Biggs - Dimon Int'l, Inc. piętro 18”.

Właściwie spodziewała się, że filie Biggs - Dimon będą miały swoje biura w tym budynku, mimo to jednak widząc nazwę spółki, która sprzedała hipoteki ojca firmie, zamierzającej teraz przejąć ich dom, poczuła zimny dreszcz.

A potem zobaczyła jeszcze jedną znajomą nazwę, również zaczynającą się na literę N. Początkowo usiłowała sobie wmówić, że to niemożliwe.

„Nationwide Equity Holdings, Inc., filia Biggs - Dimon Int'l, Inc. piętro 21”.

Nie mogła uwierzyć, że zdrada sięgała aż tak głęboko, ale przecież miała przed oczami dowody.

A więc spółka Nationwide Equity Holdings była nie tylko kolejną firmą, zajmującą się hipotekami. Wprawdzie nie do końca stanowiła część większej korporacji, znanej jako Biggs - Dimon International, Inc., była raczej odrębną, samodzielną jednostką działającą w ramach Biggs - Dimon, ale zajmowała się wyszukiwaniem zadłużonych nieruchomości wyłącznie w

celu ich zagarnięcia. Zdecydowanie lukratywny interes, którego produkt - niekończąca się rzeka obciążonych hipotek - dostarczany był przez inne filie Biggs - Dimon.

To odkrycie spowodowało, że świeże rany Tracey zaczęły krwawić na nowo. A więc Brian Rutherford Biggs III, ten nędzny, mały skurwiel... Poznał ją w określonym celu. Umawiał się na randki, poderwał ją, a nawet posunął się do tego, że zaproponował jej małżeństwo!

Czy wszystko, co ich łączyło, polegało wyłącznie na oszustwie? Czy była dla niego jedynie młodą, naiwną idiotką, którą uwiódł, żeby zrealizować plan wielkiej korporacji? Schemat stary jak świat, a ona dała się nabrać.

„Kocham cię”, szeptał jej Brian pod gwiazdami.

„Pragnę spędzić z tobą resztę życia”, zapewniał na opuszczonej plaży.

„Jesteśmy stworzeni dla siebie”, wyznawał cicho podczas uroczystych lunchów i kolacji.

Miłość i przeznaczenie!

Tak, pomyślała z ironią, jasne, co za gówniarz!

Teraz przynajmniej poznała odpowiedź na główne, zawsze nurtujące ją pytanie. Dlaczego ktoś tak cholernie bogaty i wysoko postawiony towarzysko jak Brian Rutherford Biggs III wybrał ją, dziewczynę bez grosza i bez żadnych koneksji rodzinnych, skoro mógł przebierać w całych stadach debutantek i laureatek konkursów piękności.

Och, proszę, Boże, błagała w duchu, obym się myliła. Niechby w naszym związku liczyło się coś więcej.

Ale w tej sprawie pewna była tylko jedna rzecz i czy jej się to podobało, czy nie, postanowiła zbadać ją do końca.

Palm Coast, deweloperzy, którzy chcieli przejąć działkę ojca.

Niepewnym krokiem przeszła do kolejnej tablicy, z literą R.

I oczywiście znalazła. Lśniące białe litery na czarnym tle głosiły:

„Palm Coast Developers, Inc., filia Biggs - Dimon Int'l, Inc. piętra 28 - 31”.

Było to niczym cios niewidzialnej pięści. Tracey zachwiała się na nogach i zgięła w pół. W panice wyciągnęła ręce, chwytając się gładkiego szkła.

- Proszę pani! - Jakiś obcy głos wdarł się w jej myśli. Powoli odwróciła głowę, z trudem łapiąc powietrze. Stał za nią jeden z nieskazitelnie umundurowanych strażników. Przekląła w duchu własną słabość. Udało jej się dokonać tego, czego za wszelką cenę pragnęła uniknąć - skierować na siebie uwagę.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał ochroniarz z wyraźną podejrzliwością.

Skinęła głową.

- Tak, ja...

Co ja? - gorączkowo zastanawiała się w myślach. Wykombinuj coś, do cholery.

Usiłowała się pozbierać. Najpierw wyprostowała nogi, potem całe ciało. Uniesienie głowy stanowiło ostatni akt procesu odzyskiwania pozorów normalności.

- Przepraszam. - Błady uśmiech rozjaśnił jej wargi. - Przez moment myślałam, że może nie powinnam była wychodzić z domu. Ale już wszystko w porządku, dziękuję.

Strażnik mierzył ją dociekliwym wzrokiem gliniarza. Pewnie kolejny policjant na emeryturze, dorabiający sobie jako ochroniarz.

- Mogę pani w czymś pomóc? Pokręciła głową.

- Nie, dziękuję, już wszystko dobrze. To tylko trema przed nową pracą. Zna pan to uczucie? Nagła panika, że mogę nie dać sobie rady.

W jego wzroku pojawiła się życzliwość.

- Szczerze mówiąc, tak - powiedział, przeciągając samogłoski. - Sam jestem tu od niedawna. Jake, nazywam się Jake.

Zmusiła się do jeszcze jednego uśmiechu. - Tracey.

- No to do zobaczenia, Tracey. Życzę szczęścia.

- Dzięki. Będzie mi potrzebne.

Jake energicznie skinął głową i oddalił się, kontynuując obchód recepcji.

Niewiele brakowało. A gdyby tak zażądał od niej dokumentów, a potem zadzwonił na górę, żeby sprawdzić?

Szybko, zaczynając od końca tablicy, od litery Y, przejrzała cały spis firm. Jest! Kolejna znajoma nazwa wyskoczyła z jej pamięci.

Southern Mariner Bank and Trust, Inc., filia Biggs - Dimon Int'l, Inc. piętro 35.

Jedna z tych instytucji, przez które przeszła hipoteka ojca.

Sprawdzaj dalej, poganiała siebie Tracey. Teraz się nie zatrzymuj. Co jeszcze...?

I znowu.

Kolejna znajoma nazwa wskoczyła na swoje miejsce. I jeszcze druga, a po niej następna...

Second Mortgage Store... Golden State Savings and Loan... Global Investors Trust, Inc., z Liechtensteinu, jeśli dobrze pamiętała, First Lender Financial Corp., Inc. - z Exumy na Bahamach - Equity Partners, Inc. - czy to przypadkiem nie ci, którzy rezydowali na Kajmanach? Trzeba jeszcze będzie sprawdzić, ale była gotowa niemal przysiąc.

W ustach jej zaschło, oddychała z trudem. Podejrzewała jakiś szwindel, ale dobry Boże... Każda z firm, przez których ręce przeszła hipoteka ojca, stanowiła własność Biggs - Dimon. Co do jednej!

A teraz spróbuj się z tego wyłgać, łotrze!

Poszybowała myślami do swojego eksnarzeczonego, urzędującego w wytwornym, wyściełanym pluszem gabinecie na trzydziestym pierwszym piętrze.

I wówczas w jej mózgu nagle jakby zamknął się obwód elektryczny. Trzydzieste pierwsze piętro... trzydzieste pierwsze piętro... Co takiego znajdowało się na trzydziestym pierwszym piętrze?

Wróciła do litery P, żeby się upewnić.

No jasne, Palm Coast Developers, Inc., wyraźny napis na tablicy za hermetycznym szkłem. Zajmowali piętra od dwudziestego ósmego do trzydziestego pierwszego. A Brian Rutherford Biggs III rezydował na trzydziestym pierwszym. W Palm Coast, oczywiście! Oby piekło pochłonęło tego cholernego bękarta na wieki!

Niech ją szlag trafi, jeśli pozwoli mu się z tego wywinąć, zwłaszcza że to on i Palm Coast doprowadzili ojca do samobójstwa. Niech ją szlag, jeśli pozwoli mu się schronić w wykładanym grubym dywanem dyrektorskim gabinecie na trzydziestym pierwszym piętrze, po tym jak nauczył ją cieszyć się przyjemnościami życia, a potem odstawił na bok niczym zużyty mebel. W końcu była córką Toma Sullivana.

- Miej się na baczności, skurczybyku - mruknęła, zdecydowanym krokiem zbliżając się do wind. Skierowała się do trzeciej, obsługującej piętra od dwudziestego ósmego do trzydziestego dziewiątego. Czterdzieste, matecznik Ojca Chrzestnego, zasługiwało na osobną windę, zamykaną na klucz.

Miej się na baczności i nie zadzieraj ze mną. Jadę do ciebie i chcę twojej krwi!

Winda ruszyła, szklana klatka, sunąca w górę po południowej, lśniącej czernią ścianie biurowca. W dole Miami River i Brickell Avenue Bridge malały z każdą sekundą, a panorama miasta stawała się coraz rozleglejsza.

Tracey Sullivan, której lęk wysokości był tak wielki, że nawet dzikie rumaki nie zaciągnęłyby jej do wewnętrznej szklanej windy w trzykondygnacyjnym centrum handlowym, a co dopiero do przeszklonej klatki poruszającej się gładko na zewnątrz jednego z najwyższych drapaczy chmur w mieście, tuliła do siebie aktówkę, mocno zaciskając zęby i ze wszystkich sił przywierając plecami do jedynej powierzchni, która nie była ze szkła - drzwi windy. Zimny pot zrosił jej czoło, a zielonkawe oczy zamykały się same, kiedy próbowała skierować wzrok przed siebie.

Nie wolno spoglądać w dół, nie wolno spoglądać w dół, powtarzała sobie w myślach niczym mantrę. Nie wolno spoglądać w dół.

Bing.

Elektroniczny brzęczyk zaanonsował trzydzieste pierwsze piętro. Tracey nastawiła się na niemiłe szarpnięcie przy hamowaniu, ale kabina zatrzymała się łagodnie. Drzwi, o które się opierała, rozsunęły się zniecałkane i Tracey raptownie wpadła tyłem do wykładanej pluszem recepcji.

Pozbierała się szybko.

- Weź się w garść, Sullivan - warknęła do siebie. - Pamiętaj, że masz zrobić piorunujące wrażenie.

Ostrożnie rozejrzała się wkoło i uspokoiła nieco. Na szczęście jej niekonwencjonalne wejście pozostało niezauważone. Za szklanym, zielonkawym kontuarem recepcjonistka rozmawiała cicho z inną kobietą, a dwaj mężczyźni siedzący na skórzanej sofie w kolorze karmelu i najwyraźniej czekający na umówione spotkanie, pogrążeni byli w pracy. Starszy z nich studiował jakieś wydruki, a młodszy przebierał palcami po klawiaturze laptopa.

Tracey opanowała się z westchnieniem ulgi. Rozplotła palce, kurczowo obejmujące aktówkę, wyprostowała tułów, ściągnęła do tyłu ramiona i wysoko uniosła głowę.

Nie wolno jej przegrać tej konfrontacji. Stawka jest zbyt wysoka.

Metamorfoza była zdumiewająca. Gdzieś zniknęła przerażona Tracey Sullivan sprzed sekundy. Tę nową przepełniało poczucie misji i nie istniało dla niej nic niemożliwego, zwłaszcza kiedy zmysły dziewczyny przyzwyczyły się do bliskości Briana, tego nędznego gnojka. Wyczuwała jego obecność niczym ogar na tropie.

Coś musiało z niej promieniować, gdyż recepcjonistka, ładna blondynka z zestawem słuchawkowym na głowie i cienkim, zakrzywionym mikrofonem, z miejsca zwróciła na nią uwagę. Pytająco uniosła brwi.

- Chciałabym się zobaczyć z panem Biggsem - oznajmiła Tracey grzecznie, ale tak autorytatywnym tonem, że pytanie, czy jest umówiona, nawet nie padło. Już samo jej zachowanie wyrażało jednoznacznie: oto kobieta, która ustala warunki. - Z panem Brianem Biggsem Trzecim - podkreśliła, żeby nie było żadnych wątpliwości, o kogo chodzi.

Palce recepcjonistki zawisły nad konsolą telefoniczną, wbudowaną w biurko.

- Czy mogę zapytać, kogo mam zaanonsować? Tracey uśmiechnęła się słodko.

- Pani Parker - zełgała bezwstydnie, już przedtem zdecydowawszy się posłużyć nazwiskiem młodej kobiety, dobrze znanej w kręgach towarzyskich Miami. Tym sposobem mogła wykorzystać tak istotny element zaskoczenia. - Pani Daisy Parker.

Recepcjonistka wystukała trzycyfrowy numer na klawiaturze, powiedziała, coś do mikrofonu i uśmiechnęła się do Tracey.

- Zechce pani spocząć, pani Parker. Pan Biggs zaraz przyjdzie.

- Ty! - Wykrzyknik Briana zawisł w powietrzu niczym oskarżenie.

Po nim nastąpiła cisza. Przyciszona rozmowa przy stanowisku recepcjonistki urwała się gwałtownie, podobnie jak stukanie w klawiaturę komputera dwie kanapy dalej.

Tracey zeszywniała, zaciskając palce na zapięciu oliwkowozielonej torebki, którą trzymała na kolanach. Za wszelką cenę należało zachować opanowanie, jakiego wymagało to eleganckie wnętrze z grubymi dywanami, delikatnym oświetleniem i karmelowymi, skórzanymi kanapami, stwarzające pozory, że w tej oto świątyni biznesu przeprowadza się poważne transakcje w sposób wykluczający wszelkie podejrzenia.

Rzeczywiście!

Prychnęła gniewnie. Minuty spędzone na czekaniu w gładkiej, dusznej atmosferze recepcji jeszcze bardziej podsyciły już i tak z trudem kontrolowaną wściekłość. To miejsce było zbyt publiczne, zbyt wiele oczu zwracało się w ich stronę, dostrzegając nieszczęście Tracey. Poczowała ostre ukłucie gniewu.

- Gadaj, czemu zawdzięczam zaszczyt twojej pieprzonej obecności?

Żachnęła się, słysząc przekleństwo. Twarz jej pokryła się szkarłatem, oblała ją fala gorąca. Podniosła aktówkę oraz torebkę i wstała, starając się zachowywać z godnością. Za wszelką cenę usiłując zapanować nad drżeniem kolan, przeszła kilka kroków po grubym dywanie i stanęła naprzeciw Briana.

Popatrzyła na niego badawczo.

- Brian - odezwała się cicho stanowczym tonem. - Chodźmy gdzieś, gdzie moglibyśmy porozmawiać.

Jego oddech był niczym podmuch z paleniska.

- Rozmawiamy.

- W cztery oczy.

- Po co? Nie mam ci nic do powiedzenia. Sama zdecydowałaś, że między nami wszystko skończone, pamiętasz?

- Pamiętam. Ale ty sam nie pozwoliłeś, żeby tak było.

- Ja? - Roześmiał się nieprzyjemnie. - Dobry dowcip. Czy to ja zaprosiłem cię tutaj? Sama tu przyszałaś, z własnej woli. Pod fałszywym nazwiskiem.

- Stało się tak - oznajmiła Tracey lodowato - ponieważ nie pozostawiłeś mi innego wyboru.

- Skończ z tymi bzdurami i wynoś się stąd. - Brian zrobił ruch, jakby się od niej oganiał. - Nie mam czasu. - Zaczął się odwracać, gdy mocno chwyciła go za ramię.

- Nie tak szybko, koleś. - Jej głos był cichy, ale tnący niczym stalowe ostrze. - Skoro napisałeś partyturę, musisz teraz wysłuchać muzyki.

- Muzyki? - Brian zamrugał oczami, autentycznie zbity z tropu. - Jakiej znowu muzyki?

- Tego samego dnia, kiedy zerwaliśmy ze sobą, poniósł śmierć mój ojciec. Dwie przecznice od tego budynku, na Brickell Avenue Bridge. - W recepcji nie było okien, więc Tracey wycelowała drżący palec w kierunku wind. - Pewnie czytałeś o tym w gazetach albo słyszałeś w telewizji.

- O, zaczynam rozumieć - powiedział Brian, przeciągając samogłoski. - Chcesz mnie obciążyć odpowiedzialnością za ten wypadek, tak?

- Istotnie - odparła. - Bo jesteś za niego odpowiedzialny. Mam ze sobą coś, co znalazłam w papierach ojca.

Puściła jego ramię, otworzyła aktówkę i wyjęła kopertę. Mierząc Briana pogardliwym spojrzeniem, wyciągnęła ją w jego kierunku.

- Masz, otwórz, sam zobacz dowody.

Odsunął się gwałtownie, jakby podawała mu koszyk pełen węży.

- Nadal nie pojmuję, dlaczego zwracasz mi głowę - rzucił szorstko. - Cokolwiek tam jest, nie ma to nic wspólnego ze mną.

- Nie ma? - powtórzyła z naciskiem Tracey. - To dotyczy wyłącznie ciebie.

Za plecami Briana obecni w recepcji starali się okazywać absolutny brak zainteresowania rozgrywającą się sceną i udawali, że są całkowicie zajęci własnymi sprawami.

Drżącymi palcami Tracey otworzyła kopertę i wyjęła dokumenty. Uniosła leżący na samym wierzchu spięty spinaczem plik kartek wysoko do góry.

- Ekspozat numer jeden... - Zamiast ściszyć głos i zwracać się wprost do Briana, mówiła głośno i wyraźnie, tak by wszyscy mogli ją słyszeć.

- Pożyczka hipoteczna od Golden State Savings and Loan. Możesz zgadywać dwa razy, kim jest macierzysta spółka tej finansowej instytucji. - Urwała. - Jeśli odpowiesz, że Golden State to jeden z trybików w tym gigantycznym mechanizmie, jakim jest Biggs - Dimon, Inc., brawo. Przechodzisz o szczebel wyżej. Niestety, nie mam dla ciebie dwustu dolarów nagrody.

Włożyła dokument na spód całego pliku i uniosła następne kartki, demonstrując je wszystkim.

- Ekspozat numer dwa. Potwierdzenie sprzedaży pożyczki. Może słyszałeś o nabywcy? To Southern Mariner Bank and Trust.

- Dosyć tego - syknął Brian. Oddychał ciężko, na jego czole perliły się krople potu. - To nie jest sprawa publiczna.

- Czyżby? - Ostre spojrzenie Tracey przeszło go niczym laser. - Nie zauważyłam, aby którykolwiek z tych dokumentów nosił klauzulę „poufny”, a ty?

Zmierzył ją wzrokiem pełnym nienawiści. Ale Tracey dopiero nabierała rozpędu.

- Jeśli nazwa Southern Mariner nie uruchomiła niczych szarych komórek - zwłaszcza twoich, Brian - może pobudzi je szybka jazda windą do recepcji na dole. Wystarczy sprawdzić na tablicy informacyjnej ... i oto już jest... kolejna filia Biggs - Dimon.

Wepchnęła dokumenty na spód pliku i wyciągnęła następne, spięte spinaczem kartki.

- Pójdźmy jeszcze chwilę tropem tych papierów i zobaczmy, dokąd nas to zaprowadzi. W rękach trzymam teraz korespondencję od powszechnie znanej firmy o nazwie Second Mortgage Store. Na pewno o niej słyszeliście. Tak się składa, że właśnie ta spółka udzieliła mojemu ojcu pożyczki pod drugą hipotekę zaciągniętą na jego nieruchomości, mającej - zupełny przypadek - fatalną lokalizację. A dlaczego fatalną? Ponieważ ten niewielki skrawek ziemi znajduje się w samym centrum ogromnego kwadratu na Coconut Grove, wykupionego przez Palm Coast Developers, Inc. Możecie zapytać, kto wyburzył tam każdy dom - poza naszym, jak do tej pory - ściął każde drzewo i wyrwał każdy krzew w zasięgu wzroku. Palm Coast! Dlaczego? Aby wybudować nowiutkie, superluksusowe, superdrogie, superchronione osiedle. Oto, dlaczego!

W recepcji zapadła nienaturalna wręcz cisza.

Tracey próbowała popatrzeć Brianowi w oczy, ale nadaremnie. Z twarzą poczerwieniałą i żyłami na szyi napiętymi jak postronki, uciekał od niej spojrzeniem, kiedy kontynuowała swój bezlitosny atak.

- Niech mi pan powie jedno, panie Biggs. - Jej głos ociekał sarkazmem i pogardą. - Nie wspomniał pan, czy nazwa Second Mortgage Store z czymś się panu kojarzy. - Potrząsnęła trzymanym w ręce plikiem kartek. - Ale zostawmy już te śmieci i przejdźmy do sedna. Na początek mógłby mi pan opowiedzieć o pańskim bezpośrednim zaangażowaniu w działalność Palm Coast Developers, Inc. Jak pan myśli, czy takie wyznanie ulżyłoby pańskiemu sumieniu?

Wzmianka o bezpośrednim udziale w Palm Coast dopełniła miary. Żrenice Briana rozszerzyły się gwałtownie, jak gdyby otrzymał zniecierkiewiony mocny cios. Ukradkiem zaczął rozglądać się dookoła, niczym zwierzę zapędzone do kąta i szukające drogi ucieczki. Tracey ciągnęła:

- I znowu, jeśli istnieje jakakolwiek wątpliwość co do prawdziwości moich informacji, możemy zjechać windą na parter, do recepcji. Tam przekonamy się, że spółka Palm Coast Developers znajduje się bardzo, bardzo blisko, jako że zajmuje kilka pięter... łącznie z... tym, na którym właśnie jesteśmy.

- Tracey, na litość boską - odezwał się Brian - skąd ty wytrzasnęłaś te wszystkie teorie spiskowe? - Brzydki grymas na jego twarzy ustąpił dziecięcnemu wyrazowi urazy i uporu. Znowu był sobą - butnym, rozkapryszonym następcą tronu.

- Zaraz, gdzie to ja przerwałam? - podjęła Tracey. - A właśnie... o, co ja tutaj mam? - W jej głosie zabrzmiało udane zaskoczenie, kiedy przerzucała dokumenty. - A tak, już widzę.

Zademonstrowała następny zestaw kartek, zupełnie jakby ta przypadkowo zebrana ława przysięgłych, złożona z klientów Biggs - Dimon, zebrała się przy niej, żeby je przestudiować, a nie siedziała kompletnie bez ruchu w różnych punktach recepcji.

- Oto oficjalne potwierdzenie przejęcia pierwszej hipoteki na nieruchomości mojego ojca od Southern Mariner przez First Lender Financial Corporation z Exumy na Bahamach. - Uśmiechnęła się domyślnie. - Zgadnijcie, w jakim budynku znajdziemy biura tej spółki?

Ponownie zapadła cisza, przerywana jedynie chrapliwym oddechem Briana.

Tracey dokończyła:

- Jeśli ktoś odpowie, że w tym właśnie, przeszedł do następnego etapu.

- Skończyłaś? - warknął Brian. Nie dając się zbić z tropu, ciągnęła:

- Oczywiście to zamieszanie z hipotekami... ta całkowita konspiracja działań rozmaitych filii Biggs - Dimon sięga znacznie głębiej. Bo właśnie na konspiracji polegał cały pomysł. Zamącić w głowie klientom, zrobić jakieś kombinacje, tu zwinąć, tam przełożyć, a wreszcie zagarnąć ich własność, zanim się zorientują. Jeśli nadażają państwo za mną, obiecuję nie namieszać zbyt wiele. Tak więc ustaliliśmy, że First Lender Financial ma teraz pierwszą hipotekę nieruchomości. W porządku. Ale zgadujmy dalej. Nie uwierzycie, ale drugą hipotekę również sprzedano, i to nie raz, tylko dwa razy. W tak szybkim tempie, że bank chyba musiał być ślepy na jedno oko.

Znowu przełożyła dokumenty, aby wyciągnąć następne, potwierdzające jej teorię.

- Jeśli mi nie wierzycie, podejdźcie i sprawdźcie. Najpierw kupił ją Global Investor Trust, Inc., spółka z siedzibą w Liechtensteinie, a potem New Direction Banking of Atlanta z

Georgii. Moglibyście zapytać, kto jest właścicielem obu tych banków. Cóż... chwała Najwyższemu, one także są filiami Biggs - Dimon.

- Dostyc tego! - wybuchnął Brian, gwałtownie rozdymając nozdrza. - Wynos się, ale to już!

Był naprawdę wściekły, twarz miał purpurową, policzki pokryte ciemnymi plamami. Tracey uznała jednak, że zostało jej jeszcze trochę czasu. Niezbyt wiele, najwyżej dwie minuty, zanim jego wzburzenie dojdzie zenitu.

- Och, słyszycie go? Czy dalibyście wiarę, że to mój były narzeczony? - Potrząsnęła głową, jakby ubolewając nad własną głupotą. - Możecie sobie wyobrazić, jak on potrafi prawić słodkie słówka. I pomyśleć, że dałam się złapać na ich lep!

- Dostyc! - krzyknął Brian, zaciskając pięści. - Kazałem ci się wynosić. Głucha jesteś czy co?

Odwrócił się z gniewem ku recepcjonistce, Oskarżycielsko wyciągając palec w jej stronę.

- Nie siedź tak. Jak ci się zdaje, za co ci tu płacą? Na miłość boską, kobieto, zróbże coś!

Biedaczka aż się skuliła, przerażona tym atakiem. Wyrwana zniemacka ze stanu osłupienia, rzuciła się do telefonu i zaczęła wystukiwać jakiś numer. Tracey widziała, jak jej wargi się poruszały, ale nie mogła rozróżnić słów gorączkowo szeptanych do mikrofonu.

W kilka sekund później w recepcji pojawili się dwaj masywnie zbudowani mężczyźni, wypełniając całą przestrzeń swoją przytłaczającą obecnością. Na ich widok Tracey zamarła. Oni także nosili zestawy słuchawkowe, ale niewielkie, podobne do stosowanych przez służby specjalne, ze słuchawką przymocowywaną do jednego ucha i mikroskopijnym mikrofonem w kłapie. Obaj przybyli bezbłędnie wytypowali Tracey jako obiekt do szybkiego usunięcia.

Ochroniarze mieli co najmniej sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i górowali nad nią jak potężne dęby. Popatrzyła na nich bez strachu.

- Niech pani posłucha - odezwał się jeden, ledwo poruszając wargami. - Albo załatwimy to po cichu, i okay, albo, jeżeli zacznie pani kopać i wrzeszczeć, będziemy zmuszeni przekazać panią glinom. Pani wybór.

Tracey przez chwilę spoglądała na niego, po czym przeniosła wzrok na swojego byłego narzeczonego. Ten mały gnojek nawet nie patrzył w jej stronę. Jej wargi wykrzywiły się z pogardą. Chryste, jakież wstępnie w niej budził.

Zastanowiła się, czy nie warto stawić oporu i urządzić jeszcze większej sceny. A może tylko upaść na podłogę, tak jak to widziała na demonstracjach, żeby ci dwaj musieli ją

wynieść albo wywlec? Nie był to jednak najlepszy pomysł. Nawet w pojedynkę ochroniarze z łatwością daliby radę ją poskromić i zataszczyć na dół. Poza tym, czy naprawdę opłacałoby się wylądować w areszcie?

Odpowiedzią na to pytanie było wielkie NIE. Zdrowy rozsądek podpowiadał Tracey, że więcej zdoła, siedząc w domu niż w policyjnej celi.

Odwracając się tyłem do Briana Biggsa i mając nadzieję, że już nigdy w życiu nie będzie musiała oglądać tego skurczybyka, popatrzyła na ochroniarzy. Podniosła swoją aktówkę.

- W porządku, panowie - powiedziała. - Załatwimy to po cichu.

scandalous

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- *Querida*, i co ja mam z tobą zrobić? Jesteś najbardziej doprowadzającą do szału, upartą, beznadziejną, bezmyślną idiotką, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się przygarnąć w charakterze przybranej siostry - biadoliła Maribel.

Był późny wieczór tego samego dnia i obie przyjaciółki siedziały, kołysząc się w hamaku na ganku bungalowu Toma Sullivana. W miarę ubywania przyniesionej przez Maribel tequili, upływający czas zdawał się coraz mniej znaczyć.

- Jesteś - ciągnęła Maribel z emfazą - największą zakałą kobiecości od czasów pamiętnego Ruchu Wyzwolenia Kobiet, palenia staników i rozbijania witryn sklepowych. Ty i to twoje idiotyczne poczucie godności! Gdyby nie ta twoja cholerna duma, zostawiłabyś sobie pierścionek, który podarował ci ten sukinsyn. Ile mógł być wart? Trzydzieści patyków?

Tracey wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia, ile mógł być wart jej pierścionek zaręczynowy, i kompletnie jej to nie obchodziło.

- Widzisz? - Maribel pogroziła jej palcem. - Właśnie ta ambicja stanowi twoją największą wadę. Dzięki pierścionkowi spłaciłabyś obie hipoteki i jeszcze zaległe podatki, ale ty się uparłaś, że nie. Musiałaś odegrać Panią Dumną i być tak *estupida*, żeby go - zwrócić.

Tracey przyjrzała się swojej pozbawionej brylantu dłoni i wydała lekkie westchnienie. Nawet w bladym świetle księżycy dostrzegała bielszy pasek skóry, tam gdzie jeszcze niedawno pierścionek zaręczynowy zasłaniał skrawek palca przed niezmordowanym słońcem Florydy.

- Och - ciągnęła Maribel marzycielsko, podlewając wyobraźnię nową porcją tequili. - Ten pierścionek mógłby dać początek czemuś naprawdę wielkiemu. Pamiętasz tę, jak ona się nazywała? - Zmarszczyła brwi, szukając w pamięci nazwiska, wreszcie strzeliła palcami. - Jasne, Paulette Goddard, gwiazda filmowa. To była spryciula. Nigdy nie zwracała pierścionków zaręczynowych, a dostawała ich całe mnóstwo, możesz mi wierzyć.

- I co z nimi robiła? - zapytała Tracey, mimo woli zaintrygowana.

- Jedyłą rozsądną rzecz, jaką w takiej sytuacji może zrobić kobieta. Z kamieni kazała sobie zrobić bransoletkę - uznała je za coś w rodzaju skalpów. Widzisz, od niej mogłybyśmy się niejednego nauczyć.

- A skoro już mówimy o dbaniu o własne sprawy... powinnam chyba wejść do środka i zatelefonować, dopóki dzięki twojej niezrównanej tequili jestem nabuzowana odwagą. Bo potem alkohol wywietrzeje, a ja spietram.

- Zatelefonować? - powtórzyła Maribel zaintrygowana. - O tej nieludzkiej godzinie? - Uniosła nadgarstek do oczu i spojrzała na lśniącą tarczę zegarka. - Przysięgam, że na moim zegarku jest za dwadzieścia pierwsza. Czy to możliwe?

Tracey sprawdziła na swoim, który spóźniał się osiem minut na dobę. Pokazywał dwunastą trzydzieści dwie, co oznaczało, że przyjaciółka ma rację.

- Tak, jest za dwadzieścia pierwsza.

- No to do kogo chcesz dzwonić? I po co?

- Już ci mówię, po co - wyjaśniła ponuro. - Żeby całkowicie odmienić moje życie. No wiesz, wziąć sprawy w swoje ręce, zadbać o interesy. Czyż nie o tym właśnie dyskutowaliśmy?

- *Si*, to znaczy, tak. - Maribel czknęła. - Ale co to ma wspólnego z dzwonieniem do kogoś o tak niezwyklej porze?

- To proste. Pamiętasz, jak dziś po południu podrzuciłaś mnie do domu po wizycie w tej... zbójcekiej wieży.

- Tak.

Tracey westchnęła.

- No i jak zwykle miałam pecha, bo po powrocie zadzwoniłam do jednego gościa i nie zastałam go.

- Gościa? - W umyśle Maribel wszelkie wzmianki o mężczyznach natychmiast wysuwały się na pierwszy plan. - Co to za gość?

- Według jego sekretarki znajduje się o siedem stref czasowych stąd - odpowiedziała Tracey wymijająco.

- Siedem? To gdzie zawędrował ten *hombre*? Do Japonii?

- Nie ten kierunek. Do Grecji. Ale sekretarka okazała się na tyle uprzejma, że dała mi numer jego komórki. Kłopot polega na tym, że z powodu różnicy czasowej muszę poczekać. Wymyśliłam, że dam mu czas co najmniej do północy u nas. Każdy szanujący się człowiek o siódmej rano powinien już być na nogach. - Z nadzieją popatrzyła na Maribel, szukając u niej potwierdzenia. - Jak uważasz?

- Powiedziałaś: siódma rano? Tracey energicznie pokiwała głową. Maribel zmarszczyła brwi.

- Myślę, że dla nas, ludzi pracy, to odpowiednia pora, jeśli wydarzy się coś pilnego... wiesz, jakiś nieoczekiwany wypadek. Ale inni? *Querida*, pojęcia nie mam. Siódma trzydzieści wydaje mi się przeraźliwie wczesną porą.

- Wiem. Ale jak powiedziałam, muszę zadzwonić, zanim stracę do reszty odwagę albo tequila wywietrzeje.

- Ale kto to jest, ten gość? Czy ja go znam? Czy jest atrakcyjny? I bogaty?

Tracey wstała. Przez chwilę nie ruszała się z miejsca, sprawdzając grunt. Wydał jej się zaskakująco stabilny.

- Wszystko ci powiem, kiedy... kiedy sama już będę wiedziała, zgoda?

- Jasne. Umowa stoi.

Obudził go telefon, dzwoniący koło łóżka. Nie było to jednak natarczywe brzęczenie linii domowej, tylko znajome łagodne ćwierkanie komórki.

Odwrócił się na bok, a jego palce rozpoczęły wędrówkę po blacie nocnego stolika. Odnalazły maleńki, wibrujący aparat i otworzyły klapkę. Nie podnosząc powiek, przycisnął klawisz uruchamiający połączenie.

- Tak? - rzucił z rezygnacją.

- M... Mark Varney? - odezwał się pełen wahania głos kobiecy. Niemal szeptem, jakby mówiąca obawiała się, że może go obudzić.

Nie otwierając oczu, przewrócił się na plecy.

- Tak. A kto mówi?

- Przepraszam, jeśli to za wcześnie. Może powinnam zadzwonić później?

- Równie dobrze możemy załatwić sprawę od razu. Nie śpię.

- Jesteś pewien?

Lekko zaczęło go to złościć. To była stanowczo zbyt wczesna pora na takie przekomarzania.

- Jestem pewien. Kto mówi? Chwila ciszy.

- Tracey Sullivan.

- Kto?

Niemal słyszał wysiłek w głosie jego rozmówczyni na drugim końcu linii.

- T... Tracey Sullivan, autorka odrzuconej książki, pamiętasz? Z Florydy.

- Sullivan... Sullivan... - Potarł kciukiem koniuszek nosa. Sullivan. I nagle oczy Marka otworzyły się szeroko, a on sam usiadł wyprostowany, jakby coś go uszczypnęło. Bo tak też było w pewnym sensie. - Cześć - powiedział znacznie cieplejszym głosem. - Sullivan. Jasne.

Niech mnie szlag trafi, pomyślał. Miał ochotę kopnąć się w tyłek. Ostatniej nocy nie mógł zasnąć, przez całe godziny łamiąc sobie głowę, skąd wytrzasnąć ghostwritera dla Uranii.

Nie brakowało ich, co prawda, trudno jednak było o kogoś, kto potrafiłby trzymać buzię na kłódkę i - co równie ważne - nie zażyczyłby sobie zbyt wiele. A tu proszę, niczym diabeł z pudełka, zgłasza się idealna kandydatka.

- Czy ty przypadkiem nie jesteś jasnowidzem? - zapytał Mark, już całkiem rozbudzony.

- Przepraszam, czy zapytałeś mnie właśnie, czy nie jestem jasnowidzem?

- Owszem.

- Chyba żartujesz. - Zawahała się przez chwilę. - Ale dlaczego? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Ponieważ możesz mi wierzyć albo nie, ale jesteś akurat osobą, z którą chciałem porozmawiać.

- Naprawdę? - W jej głosie zabrzmiało niedowierzenie.

- Naprawdę - zapewnił.

- Cóż - znowu króciutka przerwa - nie wiem, co odpowiedzieć.

- Nie musisz nic mówić. Po prostu posłuchaj, zgoda?

- Jasne, wal.

- No więc tak... tylko pamiętaj, mówimy o sytuacji całkowicie hipotetycznej.

- Zgoda.

- Sprawa przedstawia się następująco. Powiedzmy, że pewna znana osobistość, wiesz, z gatunku tych, co zapełniają reklamy w supermarketach, napisała książkę albo - wyrażając się precyzyjniej - powieść. Nadażasz za mną? - Tak.

- Założmy dalej, że owa powieść zawiera kilka... no, drobnych usterek, wymagających odrobiny pracy. Rozumiesz, to i owo trzeba napisać od nowa, fabułę trochę poprawić, dialogi dopracować, usunąć parę niekonsekwencji dotyczących głównych bohaterów, część postaci podretuszować, części się pozbyć, poboczne wątki uczynić bardziej spójnymi ... - urwał na chwilę. - Innymi słowy, nieco więcej zabiegów niż przy zwykłej obróbce redakcyjnej.

Na drugim końcu linii panowało milczenie.

- Dodajmy do tego jeszcze jeden znaczący fakt. Z powieścią związana jest pewna suma pieniędzy. Nie tak wiele dla tego... pomagającego autorowi redaktora, ktokolwiek nim zostanie, chociaż i jego wynagrodzenie nie byłoby małe. Natomiast żadnego dzielenia się sukcesem. Cała sława przypada wyłącznie wielkiej osobistości. Promocja książki, podpisywanie egzemplarzy, chodzenie w glorii chwały, rozumiesz?

- Jak dotąd, tak.

- No więc moje pytanie brzmi następująco: jak sądzisz, jak by się czuła osoba pracująca na takich warunkach, zmuszona pozostać całkowicie w cieniu?

- Masz ma myśli, jak by się czuł ktoś piszący jako ghostwriter? Mark się skrzywił. Umyślnie starał się unikać tego słowa.

- No tak, myślę, że możemy go tak nazwać - powiedział.

- Nie wiem, dlaczego, ale mam zdecydowane wrażenie, że w tę powieść trzeba włożyć znacznie więcej pracy niż tylko trochę. Z tego, co mówisz o niezbędnych poprawkach, wygląda mi, że potrzebny jest raczej generalny remont. Mam rację?

Musiał przyznać, że była bystra.

- No cóż, twoja mama nie wychowała tępaka - powiedział z uznaniem.

- Tak naprawdę nie wytrzymała przy mnie wystarczająco długo, by wychować kogokolwiek. Cała zasługa przypada tatusiowi. Ale wracając do tej... hipotetycznej sytuacji. Mówisz o zasadniczych zmianach, mam rację? Takich, do których woła się „doktora od książek”, co stanowi wydawniczy odpowiednik osoby określanej w Hollywood jako „doktor od scenariuszy”.

Najwyraźniej wiedziała więcej o polityce wydawniczej, niż początkowo zakładał Mark.

- Masz rację. - Odchrząknął. Nie było powodu, aby owijać cokolwiek w bawełnę. Nie z nią. - I jeszcze - dorzucił - skoro już przy tym jesteśmy, dodajmy kwestię dość napiętego terminu.

- Jak bardzo?

- Cztery miesiące góra.

- To nie jest sytuacja hipotetyczna, prawda? - Głos Tracey brzmiał łagodnie.

Właściwie nie wiedział, dlaczego poczuł się zaskoczony, ale tak było.

- Szybko chwytasz - powiedział, nie całkiem pewny, czy podoba mu się to, jak zmierzała prosto do sedna sprawy.

- W dodatku to wszystko stanowi określony sposób zapytania mnie, czy jestem zainteresowana, prawda? Bo o to ci w istocie chodzi.

- Zgadza się - przyznał. Teraz wreszcie wszystkie karty zostały wyłożone na stół. - Ale zanim przejdziemy dalej, pozwól, że zapytam cię najpierw o coś innego.

- Jasne, pytaj.

- Po co do mnie zadzwoniłaś? Domyślam się, że chodzi o coś pilnego, bo inaczej odczekałabyś jeszcze parę godzin.

- Och, ja... ja pomyliłam strefy czasowe. Nic takiego, co nie mogłoby poczekać.

Pierwsze zdanie nie zabrzmiało przekonująco. Kłamie, pomyślał. Kłamie albo przynajmniej stara się coś ukryć. W końcu to ona zadzwoniła do niego, a nie on do niej. Ale zostawmy to na razie. Są ważniejsze kwestie do omówienia.

- Wobec tego nadszedł czas na pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów - rzucił.
- Jesteś zainteresowana?

Usłyszał, jak gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Pisaniem za kogoś? - Tak.

- Ja... ja mogłabym to rozważyć. Co proponujesz?

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Dwadzieścia pięć w formie zaliczki, reszta po ukończeniu.

- Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów - powiedziała z namysłem, a Mark miał wrażenie, że Tracey Sullivan w pamięci dokonuje szybkich obliczeń. - Hm, żałuję, ale nie. - Westchnęła. - Nie da rady.

- A za ile by dało?

- Trzydzieści pięć tysięcy jako zaliczka - odparła bez wahania. - No, minimum trzydzieści.

Mark Varney także dokonał szybko pewnych obliczeń. Wczoraj Candy z Beverly Hills poinformowała go e - mailem, że z Madrytu wpłynął czek na trzydzieści dwa tysiące dolarów za prawa do poprzedniej książki Uranii. Gdyby tylko mógł mieć całą tę sumę do dyspozycji, co oznaczało ominięcie doradcy finansowego gwiazdy, rezygnację z jego własnych dwudziestu pięciu procent z praw do wydań obcojęzycznych i założenie, że Urania się zgodzi...

- Kiedy mogłabyś zacząć? - zapytał.

- To zależy. Czy mam pracować na odległość? To znaczy, w domu? Będziemy korzystać z przesyłek ekspresowych czy poczty elektronicznej? To ty jesteś ekspertem w tej dziedzinie.

- Szczerze mówiąc - oznajmił powoli - musiałybyś przyjechać tutaj.

- Do Grecji? - Wydała z siebie coś w rodzaju pisku. - Tak.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której zapewne przetrawiała tę nieoczekiwaną propozycję. Niemal mógł sobie wyobrazić podniecenie dziewczyny. Pewnie myślała: Europa! Podróż! Przygoda! Ależ się rozczaruje. Po Uranii można się było spodziewać, że zamknie swą pracownię w pokoju, gdzie nie będzie nic poza maszynopisem, komputerem i łóżkiem połowym.

Nie mógł się zorientować, czy Tracey rzeczywiście jest podekscytowana. Jej głos brzmiał w najwyższym stopniu profesjonalnie.

- Nad czyją książką mam pracować?

- Powiem ci za chwilę. Najpierw ostrzeżenie. Jeśli się zdecydujesz, będziesz musiała podpisać dokument o nieujawnianiu informacji. Czyli zagwarantujesz, że nigdy nie powiesz nikomu, dla kogo i z kim pracujesz. Ani teraz, ani później. Nikomu, nawet najbliższym, mężowi, kochankowi, przyjacielowi, ojcu, najlepszej przyjaciółce ani nikomu całkowicie obcemu. Nikt nie ma prawa się dowiedzieć. To samo dotyczy naszej obecnej rozmowy. Mam nadzieję, że mogę polegać na twojej dyskrecji.

- Nie obawiaj się - odpowiedziała Tracey z powagą - nie zawiodę cię.

- Wierzę ci. Zresztą to leży w interesie nas obojga.

- Sprawileś, że to wszystko zabrzmiało straszliwie złowrogo. - Teraz wydawała się bardziej rozluźniona, a w jej głosie Mark wyczuwał nawet nutkę rozbawienia. - Nie bój się, potrafię dotrzymać sekretu.

- Taką mam nadzieję. Ale uwierz mi, że to dla twojego dobra. Na pewno byś nie chciała, aby cię obdarli z ostatniej koszuli.

- Z pewnością nie.

- No więc skoro już wszystko wiesz, jaka jest twoja decyzja?

Roześmiała się prosto do jego ucha.

- Któż by nie skorzystał z takiej szansy? Brzmi to jak propozycja nie do odrzucenia. No więc zdradź teraz, kim jest ten Pan Tajemniczy czy też Pani Tajemnicza, dla kogo mam pracować?

- Nie dla kogo, tylko z kim mam pracować - poprawił ją ostrożnie Mark.

Chciał postawić sprawę jasno od samego początku. Dobrze znał *modus operandi* Uranii. Kiedy tylko książka zostanie ukończona, gwiazda natychmiast zminimalizuje rolę Tracey, stopniowo, po kawałku, aż jej osoba zostanie bardzo wygodnie zredukowana do kogoś w rodzaju: kto taki? Och, pewnie masz na myśli tę sekretarkę.

- No więc, czy mam twoje słowo, że to nie pójdzie dalej niż z moich ust do twojego ucha? - zapytał poważnie.

- Tak - potwierdziła Tracey z mocą. - Masz moje słowo. Zrobił pauzę, dla lepszego efektu.

- Urania Vickers.

Spodziewał się, że Tracey zawoła coś w rodzaju: Chyba nie tą Urania Vickers!, że zacznie się rozpylić z przejęcia i zachwytu, tak jakby to uczynił niemal każdy na jej miejscu.

Tymczasem ona zająknęła się tylko:

- Ur...! - nawet nie kończąc słowa.

Do jego uszu dobiegł odgłos gwałtownie wciąganego powietrza.

- Tracey? - zapytał, autentycznie zaniepokojony. - Czy coś się stało?

- Nie, oczywiście, że nic się nie stało - odrzekła pośpiesznie.

To zapewnienie brzmiało całkowicie nieszczerze. Jakikolwiek miała powód, już drugi raz w ciągu kilku minut wyczuł, że nie mówi prawdy albo przynajmniej stosuje uniki.

- Wiesz, że możesz ze mną pogadać niemal na każdy temat. W przeciwieństwie do tego, co o mnie opowiadają, nie gryzę - odezwał się łagodnie.

Natomiast, dorzucił cierpko w myślach, rzucam niewinne dziewczę na pożarcie lwom.

- Nie gryziesz. - Odchrząknęła. - Oczywiście, że nie. - Przełknęła ślinę i dokończyła: - Mark, gdy tylko pieniądze dotrą do banku, podpiszę każdy kontrakt, jaki ty albo Ur... - kaszlnęła i poprawiła się szybko - jaki prawnik autora dla mnie przygotowuje. Wiesz, to może zabrzmieć melodramatycznie, ale moje życie spoczywa teraz w twoich rękach.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Maribel uparła się, że weźmie wolny dzień i odwiezie Tracey na lotnisko.

- *Cariña*, muszę widzieć, jak odlatujesz i koniec. Żadnych sprzeciwów. Przyjeżdżam po ciebie z wybiciem dwunastej, więc bądź gotowa.

Jak zwykle okazało się, że w ostatniej chwili zebrał się milion mniejszych i większych spraw do załatwienia, nie mówiąc już o konieczności zamknięcia nadmiernie wypchanych waliz.

Tracey z całych sił pociągnęła końcówkę zamka czarnej, nylonowej mocno wyładowanej torby. Bez rezultatu.

- *Concha de madre!* - użyła ukochanego przekleństwa Maribel. - Przecież muszę to zamknąć. No, rusz się.

Przyciskając kolano do grubego nylonu, pociągnęła jeszcze raz. Tym razem się udało. Zapięcie ruszyło, powolutku pokonując grubą, czarną, ząbkowaną ścieżkę. Jeszcze tylko jeden zakręt i gotowe.

- No - odetchnęła Tracey - nareszcie.

Postawiła torbę pionowo i bezceremonialnie pchnęła w kierunku drugiej, wyglądającej niczym jej zmniejszona kopia, czekającej już przy frontowych drzwiach.

Koniec.

Oprócz niebieskiej torby podręcznej zabierała drugą, zawierającą prezent od Briana, laptop, tytanowy G4, na którym przechowywała kopię swojej powieści. Może w trakcie pracy nad dziełem Uranii albo kiedy już skończy się z nim użerać, uda jej się popracować także i nad własną książką.

W torbie z laptopem znajdowały się także trzy najcenniejsze skarby Tracey. Po pierwsze, kolorowa fotografia ojca, zrobiona rok temu, oprawiona w grafitową ramkę. Po drugie, koperta z fotokopiami najważniejszych dokumentów - metryki Tracey, świadectwa ślubu rodziców, papierów potwierdzających urzędową zmianę nazwiska i - choć bez tego dokumentu chętnie by się obeszła - akt zgonu ojca.

I wreszcie, niemal na samym wierzchu, leżał album z fotografiami. Ten sam, który zawierał zdjęcie Uranii Vickers stojącej jako panna młoda obok młodego Toma Sullivana oraz zdjęcie kobiety trzymającej dziecko.

Mnie, pomyślała Tracey. To musiałam być ja.

Poza torbą podręczną i walizeczką z laptopem miała jeszcze jedną rzecz, budzącą najwięcej może wątpliwości. Nie pozostawało jej nic innego, tylko wierzyć, że wspomniały prezent od Maribel, bezwstydnie droga torba na ramię firmy Miu Miu, z brązowego, wojskowego płótna, z regulowanym paskiem i skórzanymi naszywkami, której wygląd oszukałby każdego, poza największymi ekspertami w dziedzinie mody, nie zostanie potraktowana jako jeszcze jedna sztuka bagażu podręcznego. Przecież nawet półgłówki widział, że stanowiła po prostu praktyczną alternatywną wersję tradycyjnej torebki.

Tracey była wolna i pozałatwiała wszystko, co miała załatwić. Z otrzymanej od Marka Varneya zaliczki spłaciła obie hipoteki, w sumie dwadzieścia dwa tysiące dolarów.

Wierzyła, że ojciec pochwaliby ten postępek. Boże, ależ jest głupia. Miała ochotę kopnąć się w tyłek. Przecież tata nie tylko by ją pochwalił, ale wręcz temu przyklasnął.

Jej myśli pobiegły do kufra, który ojciec trzymał w ukryciu przez tyle lat.

Tato, rozumiesz chyba, że musiałam poznać prawdę o matce. Jestem na tyle dojrzała, by zrozumieć, że nie chciałeś o niej rozmawiać, gdyż ten temat sprawiał ci zbyt wiele bólu. Szanuję twoje uczucia, zwłaszcza że nie zniszczyłeś zawartości kufra, tylko przechowałeś ją dla mnie, tak bym mogła znaleźć wszystko wraz z twoim listem ostrzegającym przed otwarciem puszeki Pandory. Chciałeś zostawić mi wybór - mogłam pójść tropem tych dokumentów albo poniechać poszukiwań.

Wiedziała, jak trudne musiało być dla niego życie z tą skrzynią pełną wspomnień, znajdującą się niemal nad głową.

Tato, pokazałeś mi kierunek, a ja teraz pójde tą ścieżką, żeby odkryć, kim jestem i dlaczego jestem, kim jestem. Czy to nie ironia losu, że próba zostania prawdziwą pisarką i poszukiwanie matki połączyły się w jedno?

Łzy znaczyły jej policzki wilgotną smugą.

Na miłość boską, weź się w garść, upomniała się Tracey. Przecież dzisiaj wyjeżdżasz.

Rzut oka na zegarek upewnił ją, że im bliższa była godzina odjazdu, tym szybciej pędził czas. Dochodziła dwunasta.

Włożyła elegancką garsonkę, wyraźnie inspirowaną wyrobami Galliano/Prada, składającą się z lekkiego, bawełnianego, dopasowanego w talii żakietu w kolorze khaki, z pagonami i zapinanymi kieszonkami na piersi i na biodrach, oraz krótkiej, dopasowanej spódniczki, skrojonej ze skosu. Do tego brązowobeżowe czółenka na płaskim obcasie.

Tracey święcie wierzyła, że nadmiar szyku nigdy nie zaszkodzi.

Z lustra popatrzyła na nią jednak bezbarwna twarz. Czegoś tu brakowało.

No jasne. Ubrała się elegancko, ale to przecież wcale nie oznaczało, że jest gotowa. W żadnym wypadku. Pozostawała jej jeszcze jedna, chyba najważniejsza dla kobiety rzecz - makijaż.

Niemal pofrunęła do łazienki i szarpnęła zamek kosmetyczki. Nie poleci z Miami do Nowego Jorku i potem dalej, do Aten, bez pokazania swojej najlepszej twarzy.

Jej ręce poruszały się błyskawicznie. Już dawno odkryła, że robienie makijażu przypomina przyrządzanie idealnego sufletu. Potrzebne są do tego spokój, delikatne ruchy i dziesięć kosztownie drogich produktów.

Najpierw maźnięcie ujędrniającym kremem z witaminą E i łagodne wklepanie go w skórę. Następnie możliwie najcieńsza warstwa półmatującego podkładu, który po zaschnięciu tworzył delikatną, gładką powłokę. Odrobina korektora pod oczy, żeby ukryć cienie. Zręcznie nałożony na całą twarz puder brązujący. Kości policzkowe podkreślone smugą rózu w odcieniu dojrzałej śliwki. Tchnienie jasnego, perłowego cienia wokół oczu, powieki podkreślone cieniutką kreską eyelinera, dla wydobycia blasku zielonej tęczęwki. Gruba, błyszcząca warstwa pomadki do ust w odcieniu fioletowym, lekko stonowana dzięki przytknięciu do warg chusteczki higienicznej, do tego o ton ciemniejsza konturówka, podkreślająca zarys warg i wreszcie akcent końcowy, złagodzenie ostrości przez delikatne muśnięcie pędzelkiem.

Dokładnie w tym momencie rozległ się dźwięk klaksonu i pod dom zajechał samochód.

Czyżby czas się zbierać? Już? Tracey zerknęła na zegarek. Rzeczywiście. Na Maribel można było polegać. Zjawiała się punktualnie z wybiciem dwunastej.

Tracey pospiesznie upychała kosmetyki. Zanim zasunęła zamek kosmetyczki i wróciła do pokoju, Maribel już zamykała za sobą drzwi frontowe. Wszedłszy do środka, zatrzymała się raptownie.

- *Por Dios, cariña!* - zabrzmiał jej cichy okrzyk.

- Co się stało? - zapytała Tracey z niepokojem.

- Co się stało? Nic się nie stało. Wyglądasz... fantastycznie! Świetny kostium. Na szczęście znam twoją garderobę, bo inaczej mogłabym cię obdarować skórzaną torbą w kolorze metalicznej zieleni. - Zrobiła zabawną minę.

- Nie sądzisz, że to jest może... - Tracey się zawahała - zbyt eleganckie?

- Zbyt eleganckie? - Maribel zmrużyła oczy i oparła ręce na biodrach. - Przestań naciągać mnie na komplementy. - Popatrzyła w bok i jej spojrzenie zatrzymało się na

walizkach ustawionych koło drzwi. Z uznaniem pokiwała głową. - Widzę, że wszystko zapięte na ostatni guzik.

Podeszła do siatkowych drzwi, włożyła dwa palce do ust i wydała zdumiewająco głośny gwizd. W ułamku sekundy pojawił się krzepki, młody Latynos w szarej liberii, wpakował sobie pod ramię dwie podręczne torby Tracey, podniósł walizki, które zamierzała nadać na bagaż, i wyszedł.

Tracey zaniemówiła na chwilę z wrażenia.

- Kto... kto to był, na litość...?

- Mniejsza z tym. - Maribel porwała torbę od Miu Miu, podała ją Tracey i ujęła przyjaciółkę pod ramię. Przekręciła zamek w drzwiach, tak by zatrzasnął się automatycznie, i wypchnęła Tracey na zewnątrz.

Na ganku jeszcze starannie zaryglowała zasuwę. Kiedy się odwróciła, ujrzała, że przyjaciółka z osłupieniem patrzy przed siebie, szeroko otworzywszy usta ze zdumienia.

Przed domem czekała biała, ogromna limuzyna. Istne monstrum, ni mniej, ni więcej tylko hummer z siedmioma parami bocznych okien i przyciemnionymi szybami. Tylnie drzwi były uchylone na tyle, by odsłonić szczegóły klimatyzowanego wnętrza, wytworną, skózaną tapicerkę, migoczący ekran telewizora i punktowe oświetlenie.

Tracey z błagalnym wyrazem twarzy odwróciła się ku przyjaciółce.

- To żart, prawda? Przecież nie sposób, abym pozwoliła się zobaczyć w tym... w tym... no, cokolwiek to jest.

- Nikt cię nie zobaczy przez przyciemniane szyby. Ty będziesz mogła wyglądać na zewnątrz, ale do środka nikt nie zajrzy.

- Postradałaś rozum? A koszty?

- *Nada*. Nie pamiętasz, jak ci wspominałam o moim kuzynie Hektorze? To ten, który ma wypożyczalnię limuzyn. Był mi winien przysługę, więc zadzwoniłam po niego. Przecież nie mogłam pozwolić, abyś wyruszyła w tę niesamowitą podróż inaczej niż w wielkim stylu, prawda? A już na pewno nie w mojej nędznej corolli. - Urwała: - Ale przykro mi, że trafił się akurat ten cholerny hummer i w dodatku biały - dodała przeproszającym tonem. - Prosiłam o gustownego czarnego albo szarego rollsa czy lincolna, niestety, wolne mieli tylko to.

Zdumiona, rozbawiona, wzruszona Tracey - nie była pewna, które z tych określeń najlepiej oddawało jej uczucia - nie przestawała gapić się w wydłużoną, luksusową wersję wojskowego, skromnego humvee. Wreszcie powiedziała sobie w duchu: do diabła z dobrym smakiem! - odrzuciła do tyłu głowę i wybuchnęła śmiechem.

- Cudownie! - wykrzyknęła. - Czemu, u licha, nie miałabym wyruszyć w moją wielką podróż w tej kwintesencji złego gustu? Jeśli go porównać z moim przedziewiałym jak wiadro starym corvair'em... - Porwała Maribel w ramiona i uściskała z całych sił. - Jak mam ci dziękować?

- Nigdy nie słyszałaś o przyjaciółach? Przyjaciele to przyjaciele. Nie trzeba żadnych podziękowań.

- Jesteś *loco* - powiedziała Tracey ciepłym tonem. - Wiesz o *tym*?

- Nie pierwsza mi to mówisz.

Uwolniwszy się z uścisku Tracey, Maribel wyciągnęła dłoń, jakby domagając się zapłaty.

- A to co? - Tracey zachichotała. - Chcesz mi przepowiedzieć przyszłość?

Przyjaciółka prychnęła lekceważąco.

- Twoje bilety lotnicze, *por favor*.

- No wiesz, Maribel, nie musisz mnie aż tak bardzo pilnować. Bilety są bezpieczne, o tutaj. - Poklepała kieszonkę torby.

- Mogę je zobaczyć? - Maribel nie przestawała wyciągać dłoni.

- W porządku. - W głosie Tracey zabrzmiała nuta lekkiego protestu.

Sięgnęła do torby i wyciągnęła mały folder. Ponieważ zawierał bilety na trzy różne loty tam i z powrotem, czyli w sumie sześć kartek, był grubszy niż zwykle. Zamiast logo linii lotniczych na okładce miał nazwę biura podróży: Los Viajeros, Inc.

Oczywiście bilety kupowała w agencji, do której skierowała ją Maribel, należącej - czy kogokolwiek mogłoby to jeszcze dziwić? - do jednego z licznych kubańskich krewnych przyjaciółki.

- Mam, zobacz sama, wszystko w porządku. - Tracey wręczyła bilety Maribel.

- *Gracias* - Maribel wzięła folderek w dwa palce i szybko wrzuciła do własnej torebki.

- Co? - Tracey wlepiała w nią zdziwione oczy. - Teraz mam dowód, że ty naprawdę jesteś *loco*.

- *Si* - odparła Maribel ze spokojem. Szybciej niż prestidigitator poruszyła dłonią i zaprezentowała inny, choć identycznie wyglądający folderek, także z logo Los Viajeros, Inc.

Tracey popatrzyła na nią podejrzliwie.

- Co ty teraz zrobiłaś?

- Och, nic takiego. - Maribel lekko wzruszyła ramionami. - Mała sztuczka magiczna, to wszystko.

Tracey zacisnęła wargi, nie przestając mierzyć przyjaciółki baczным spojrzeniem. Przy Maribel zdążyła się już nauczyć, że mała sztuczka magiczna często oznaczała wielką. Człowiek nigdy nie mógł być pewien, czego się spodziewać.

Wzięła do ręki folder, przekartkowała bilety i oczy omal nie wyskoczyły jej z orbit.

- Do diabła, Maribel, co ty wyprawiasz? - syknęła. - Przecież to pierwsza klasa! Zapłaciłam za ekonomiczną!

- No i co z tego? Nigdy nie słyszałaś o usługach o podwyższonym standardzie? Przecież cały czas je oferują.

- Ale ja nie mam odpowiedniej liczby wylatanych kilometrów.

- No i co! - sarknęła Maribel. - To najlepiej pokazuje, jak niewiele wiesz o podróżowaniu. Ucz się ode mnie, *amiga*. Kilometry kilometrami, ale stali klienci biur podróży - jeśli tylko są wolne miejsca - często otrzymują usługi o podwyższonym standardzie. To najlepszy sposób podróżowania. Racz zauważyć, że żaden z lotów nie został zmieniony - dorzuciła z zadowoleniem. - Klasę ekonomiczną masz tylko na odcinek Ateny - Santoryn i z powrotem, bo tam inna nie lata. A teraz co, jedziemy na lotnisko, żebyś nie spóźniła się na samolot, czy wolisz stać tu i wyklócać się ze mną?

Maribel chwyciła przyjaciółkę pod ramię, sprowadziła po schodkach na ulicę, do potężnego hummera, którego kierowca już czekał, przytrzymując otwarte drzwi. Podał rękę Tracey i pomógł wsiąść najpierw jej, a potem Maribel.

- Bosko! - Tracey rozejrzała się po wnętrzu limuzyny, rejestrując takie szczegóły jak lustrzany sufit, wypolerowaną, drewnianą okładzinę, dwie anteny, telewizor, wideo, faks, barek z alkoholami i skórzaną kanapę mieszczącą chyba ze dwadzieścia osób. - Dlaczego zaczynam się czuć niczym gwiazda filmowa?

- Bo wyglądasz jak gwiazda filmowa, *cariña*.

Biały, długi hummer ruszył z miejsca, mijając najpierw spory odcinek nieużytków, zanim zanurzył się w cienisty, malowniczy labirynt uliczek Grove.

- No to usiądź wygodnie i rozkoszuj się jazdą - zakomenderowała Maribel. - Och, tu masz poranne wydanie „Miami Herald”. - Sięgnęła za siebie i podała Tracey gazetę. - Kupiłam, na wypadek gdyby w samolocie rozdawali wyłącznie „US Today”.

- Za bardzo mnie rozpieszczasz - zaprotestowała Tracey.

- Robię, co mogę - mruknęła Maribel, starając się ukryć pełen zadowolenia uśmiech. - Ale przyznaj, *amiga*, czy to nie wspaniałe uczucie?

- Mmm - Tracey wyciągnęła się w fotelu, zrzuciła z nóg pantofle i oparła stopy o siedzenie przed nią. Przeciągnęła się rozkosznie. - Co tam, zaryzykuję i podpiszę się pod tym

przykładem fatalnego gustu. - Westchnęła. - Naprawdę wspaniałe. - Wybuchnęła śmiechem. - Tak, to cudowne, kocham to uczucie!

- *Cariña*, zapamiętaj, że życie jest zbyt krótkie, żeby je spędzać, gniotąc się w ognie samolotu.

- Postaram się zapamiętać - obiecała Tracey z kamienną twarzą.

Dla Maribel wnętrze hummera wyraźnie nie kryło żadnych tajemnic. Otworzyła wbudowaną minilodówkę i wyciągnęła schłodzoną butelkę mumm napa valley brut, nacisnęła jakiś guzik w bocznym oparciu, z którego zaraz wysunęły się dwa kryształowe kieliszki i okrągły uchwyt, pewnie na wiaderko z lodem.

Tracey mogła tylko się przyglądać.

Maribel odkorkowała butelkę i kiedy potężny samochód łagodnie pokonywał zakręty, klucząc wolno przez labirynt uliczek Grove w kierunku Miami International, lotniska, którego wszyscy serdecznie nienawidzili, ostrożnie naląła im szampana. Osadziwszy butelkę w uchwycie, wręczyła Tracey jeden kieliszek, a sama ujęła drugi.

- Za kraj bogatych armatorów - wzniosła toast. - Kto wie, może dopisze ci szczęście i spotkasz jakiegoś wysokiego, ciemnego przystojniaka, syna magnata okrętowego?

Prędzej odkryję prawdę o matce, pomyślała Tracey, nie powiedziała jednak tego głośno. Po pierwsze nie chciała psuć nastroju, po drugie nie zdradziła przyjaciółce, kto jest jej pracodawcą ani jak bardzo osoba Uranii Vickers - po pierwszym szoku - zaczęła ją pociągać.

Maribel nie zadawała żadnych pytań. Jeśli nawet coś podejrzewała, zatrzymała to dla siebie.

Rozstały się przy wejściu.

- Pogadam z przyjaciółmi, niech podczas twojej nieobecności trochę powęszą w tym cuchnącym bagienku Biggsów. - Maribel pociągnęła nosem, nawet nie starając się ukryć łez. - A ty obiecuj, że będziesz pisała.

Tracey wyciągnęła do niej obie ręce.

- Jestem naprawdę wdzięczna twoim znajomym za wszystko, co mogą zrobić, i obiecuję, że będę pisała. Zasypię cię kartkami. Spróbuję też regularnie wysyłać e - maile, ale to już zależy od sytuacji na miejscu.

Maribel uściskała ją mocno.

- Będę za tobą tęskniła, moja *loco arniga*, wiesz o tym, prawda? Tracey skinęła głową.

- Ja tak samo - powiedziała wzruszona. - Boże, jak bym chciała, żebyś mogła polecieć ze mną.

- Ja też. - Maribel uśmiechnęła się tęsknie, ale zaraz odzyskała panowanie nad sobą. - Masz pracować jak szalona, słyszysz? To wszystko, co mogę ci doradzić. - Starając się mówić zasadniczym tonem, pogroziła Tracey palcem. - To jedyny sposób, żebyś szybciej wróciła.

- Będę pracowała jak szalona - obiecała Tracey. - Będę pracowała, aż zwariuję i mnie zamkną. - Potem dodała łagodnym głosem: - Czy ja ci się kiedykolwiek odwdzięczę?

Maribel spojrzała na nią zaskoczona.

- Odwdzięczysz? A za co? Tracey wlepiła w nią oczy. Za co?

- Za to, że byłaś i jesteś, kiedy najbardziej cię potrzebowałam. Uwierz mi, że bez ciebie rozleciałabym się na kawałki. Tylko ty podtrzymywałaś mnie na duchu i gdyby nie ty, nigdy bym się nie pozbierała po śmierci taty.

- Och, proszę - Maribel zamachała ręką. - Przestań wreszcie robić wielką sprawę z niczego. Co ja takiego zrobiłam? *Nada*. - Jej lśniące oczy wytrzymały spojrzenie Tracey. - Poza tym, po to człowiek ma przyjaciół, by wspólnie cieszyć się dobrymi chwilami i szukać pomocy, kiedy nadejdą złe.

Tracey uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Ty jesteś dla mnie kimś więcej, wiesz o tym, prawda?

- Skoro tak twierdzisz. Ale dosyć już tego rozczulania się. Maribel złośliwie zmrużyła oczy i odstepiła dwa kroki do tyłu.

Potrząsnęła burzą długich, czarnych, jedwabistych włosów i uśmiechnęła się, odsłaniając idealnie białe zęby. Podniosła dłoń do ust i posłała Tracey pocałunek w powietrzu. Potem odwróciła się i odeszła, ani razu nie oglądając się za siebie. Jej obcasy zastukały o posadzkę, biodra zakołysały się rytmicznie.

Uwaga wszystkich mężczyzn momentalnie skupiła się wyłącznie na niej. Parodia seksu czy też nie - żaden z przedstawicieli płci przeciwnej nie mógł patrzeć na Maribel, nie czując jednocześnie na języku smaku *duce de leche* i *salsy*. Cukier i ostre przyprawy - wszystko najlepsze, co mają do zaoferowania małe, niegrzeczne dziewczynki.

Ta nigdy się nie zmieni, pomyślała Tracey. Sama nie była pewna, co dało się słyszeć z jej ust - chichot czy tęskne westchnienie. Jednego tylko była pewna na sto procent, bez Maribel nie dałaby sobie rady.

Przyjaciółka ciągle jeszcze pozostawała w zasięgu jej wzroku, a Tracey już czuła się samotna i opuszczona niczym ktoś rzucony na głębokie, nieznanne wody. A przecież nie wyjechała jeszcze z Miami.

Bierz się w garść, Tracey Sullivan, upomniała samą siebie. Sterczenie tutaj jak idiotka to nie jest dobry sposób na rozpoczęcie podróży.

Wyprostowała ramiona, ujęła teczkę z cenną zawartością, przerzuciła przez ramię torebkę od Miu Miu, podniosła drugą torbę podręczną i ruszyła do samolotu.

Opadłszy na ogromny, skórzany fotel, Tracey zamówiła kolejny kieliszek szampana, rozkoszując się luksusowym wnętrzem i doskonałą obsługą.

Pierwszy z filmów postanowiła sobie darować, a zamiast niego przejrzeć „Miami Herald”. Dzisiejsze wydanie nie różniło się zbytnio od innych; te same informacje, te same ogłoszenia. Równie dobrze mogłaby to być gazeta z każdego innego dnia, gdy nagle...

Nagle poczuła się tak, jakby ktoś zniecka wymierzył jej silny cios w splot słoneczny.

Na trzeciej stronie znajdował się długi na dziesięć centymetrów, dwuszpaltowy artykuł poświęcony wydarzeniom towarzyskim, do którego dołączono zdjęcia dwóch uśmiechniętych twarzy.

Olśniewająca blond piękność z wyższych sfer, z ogromnymi brylantami w uszach i jeszcze większymi na szyi.

Druga twarz także znajoma, aż nazbyt znajoma. Opalony, przystojny mężczyzna w smokingu.

Do tego nagłówek:

„Georgina Kaufmann i Brian Rutherford Biggs III zapowiadają swój ślub”.

Szok okazał się zbyt wielki i przyszedł kompletnie bez ostrzeżenia. Tracey wydała głośny jęk. Jej ból i gniew ciągle jeszcze były zbyt świeże.

Artykuł zawierał zwykły bełkot, choć można było z niego wyczytać także i to, że związek stanowił zarówno mariaż dwóch osób, jak i dwóch fortun: dziedzic jednego z największych imperiów obrotu nieruchomościami poślubił córkę i dziedziczkę jednego z największych potentatów branży handlowej.

Tracey szczególnie uderzył jeden akapit:

Zgodnie z tym, co powiedziała panna Kaufmann, 28, urodzona w Boca Raton niedysiejsza królowa piękności, ona i Biggs, 31, od ponad roku byli potajemnie zaręczeni. „Jesteśmy do szaleństwa szczęśliwi, że data ślubu wreszcie została ustalona” - wyznała narzeczona z zachwytem.

Rok. Potajemnie zaręczeni od roku.

A w tym czasie Brian grał na niej niczym na skrzypcach. Ależ była głupia. Dała się nabrać. Uwierzyła mu bez zastrzeżeń.

Tracey starannie złożyła gazetę i wręczyła ją przechodzącemu stewardowi.

- Czy mógłby pan to wyrzucić?

- Oczywiście, z przyjemnością - odrzekł steward. Sprawiał wrażenie lekko zaniepokojonego. - Czy dobrze się pani czuje? - zapytał. - Tak pani pobladła.

Tracey potrząsnęła głową.

- Nic mi nie jest.

- Może coś pani podać? Kieliszek szampana, kawę albo likier?

- Nie, dziękuję.

- To może szklankę wody?

- Nie, naprawdę nie trzeba.

Steward oddalił się przejściem. Tracey przechyliła głowę na oparcie i przez perspektową szybę spoglądała na niebo. Zmierzała w stronę słonecznej Grecji z prędkością siedmiuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Założyła się, że jeszcze nie raz przyjdzie mi usłyszeć o Brianie Biggsie, pomyślała z goryczą. Dlaczego przeszłość nie może pozostać pogrzebana? I dlaczego widok jego nazwiska i fotografii nadal tak bardzo boli?

Przynajmniej teraz nie zobaczę jego nazwiska w druku przez dłuższy czas, stwierdziła z ulgą. A jeśli dopisze mi szczęście, to może już nigdy.

Ale coś jej podpowiadało, że to jak z fałszywą monetą. Prędzej czy później znowu gdzieś się objawi. Jeszcze o nim usłyszy.

Pomyślała o blond piękności, z którą Brian był zaręczony przez cały ten czas, kiedy ona sama także nosiła jego pierścionek zaręczynowy.

Cóż, panno Kaufmann, czego mogę pani życzyć? Pasujecie do siebie, więc krzyżyk na drogę.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Santoryn, Grecja

Nawet najbardziej wytrawni turyści są zgodni co do jednego: podróż statkiem na Santoryn dostarcza naprawdę niezapomnianych przeżyć. Wyspa, na której na szczęście nie ma sztucznych, zrekonstruowanych starożytnych zabytków, wydaje się jakby stworzona właśnie dla poszukiwaczy przygód.

Już sam moment wpływania do kaldery wywołuje niesamowite wrażenie, gdyż ten ogromny, zalany wodą krater jest właściwie niemal ze wszystkich stron otoczony lądem. Od wschodu osłania go półkoliste wypiętrzenie głównej wyspy - właściwego Santorynu, od północy ochronnym uściskiem obejmuje wydłużone ramię półwyspu z wioską Oią leżącą niemal na jego końcu, od południa otacza go drugi półwysep, na którym znajdują się antyczne ruiny Akrotiri. Od zachodu wreszcie dostępu strzegą trzy mniejsze wysepki, każda innych rozmiarów, tworzące rodzaj półkola.

Natura sama zdaje się chronić ów port z trzema prowadzącymi do niego wejściami. Jednocześnie wszystkie cztery wyspy osłaniają piątą - ulokowaną pośrodku i stanowiącą wierzchołek niemal całkowicie zanurzonego pod wodą, nadal czynnego wulkanu.

Ciemne, wypiętrzone wysoko w górę klify właściwego Santorynu rozjaśniają oślepiająco białe wioski, rozlane po zboczu niczym lukrowa polewa, sięgająca niemal do krawędzi kaldery. Ponaddziewięćdziesięciometrowa głębina poniżej ma zdumiewająco intensywny odcień morskiego błękitu. W takim otoczeniu nawet największy statek wycieczkowy wydaje się małym i nic nieznaczącym, lichym wytworem ludzkiej ręki.

Każdego roku przyplływają na Santoryn miliony odwiedzających. Ten ruch turystyczny jest limitowany niejako w sposób naturalny: wody kaldery są tak głębokie, że żaden statek nie da rady w niej zakotwiczyć, a dogodnego portu nie zbudowano. Tak więc, jeśli warunki są sprzyjające, szalupy dowożą do brzegu jednodniowych wycieczkowiczów, przybyłych statkami, które, by utrzymać się na miejscu, muszą cały czas manewrować z włączonymi silnikami.

Santoryn stanowi potwierdzenie głównego prawa natury, że najpiękniejsze miejsca na świecie są jednocześnie najtrudniej dostępne.

Kiedy turbośmigłowiec zniżył się i leciał tuż nad ciemną wodą, nic jeszcze nie zapowiadało widoków, które miały objawić się później. Tracey przycisnęła czoło do drgającej szyby i spoglądała niemal pionowo w dół. Przed oczami miała ponury, księżycowy krajobraz,

ledwo tylko muśnięty gdzieniegdzie plamami oliwkowej zieleni i gęsto poznaczony białymi willami w różnych stadiach budowy, wznoszonymi w każdym niemal miejscu. Oprócz nich w niegościnnym krajobrazie dostrzec można było niezliczoną ilość niewielkich, bielonych wapnem kapliczek. Wiele z nich wieńczyły błękitne kopułki.

Także ostrzeżenie stewarda, który ogłosił, najpierw po grecku, a potem w niemal kompletnie niezrozumiałej angielszczyźnie, że fotografowanie lotniska jest surowo zabronione, nie zapowiadało uczty dla oka.

Nie stanowiło też specjalnie miłego powitania.

A tyle się nasłuchiwała o greckiej gościnności.

To tyle, jeśli chodzi o Zorbę, skwitowała sucho Tracey.

Kiedy podwozie dotknęło ziemi i samolot potoczył się w stronę maleńkiego terminalu, wiedziała już, dlaczego robienie zdjęć jest zakazane. Zamaskowane, otwarte z obu końców, przypominające wielkie kopce hangary skrywały w swych wnętrzach lśniące myśliwce. Między nimi stały potężne działa przeciwlotnicze. Najwyraźniej lotnisko pełniło także funkcję greckiej bazy wojskowej.

Tracey nie wiedziała, czy się śmiać czy płakać. Wszystkie te środki ostrożności wydały się kuriozalne jej logicznemu, dziennikarskiemu umysłowi. Skoro rząd grecki chciał zachować w tajemnicy istnienie na wyspie bazy wojskowej, dlaczego uczynił ją tak doskonale widoczną dla każdego cywila lądującego na lotnisku?

Dochodziła dwunasta - najgorętsza pora dnia - i wyjście z klimatyzowanego samolotu prosto na południowy skwar po prostu zwałało z nóg. Światło też było niesamowite. Tracey szybko sięgnęła po okulary przeciwsłoneczne. Rozprażone słońce przy bezchmurnym niebie świeciło przeraźliwie jasno, kontrastując z ciemnymi skałami, z jakich zbudowana była wyspa.

Autobus przewiózł Tracey i pozostałych pasażerów do oddalonego kilkaset metrów od miejsca lądowania terminalu. Z prawdziwą ulgą znalazła się znów w klimatyzowanym pomieszczeniu, z dala od bezlitosnego blasku, jakiego spodziewałaby się raczej na jakiejś najbliższej położonej słońca skale, ale przecież nie na ziemi.

Zdjęła ciemne okulary i rozejrzała się wokół. Strefa odbioru bagażu nie była zbyt duża; znajdował się tam tylko niewielki taśmociąg, wokół którego stali pasażerowie z jej lotu. Dwaj greccy żołnierze w mundurach polowych, beretach, wysokich butach i z półautomatami na ramionach patrolowali otoczenie. Dostrzegłszy Tracey, popatrzyli na nią dziwnie, zrobili jeszcze kilka kroków, po czym zatrzymali się jak na komendę.

W pierwszej chwili nie miała pojęcia, czemu akurat ona zwróciła uwagę tych dwóch. W chwilę później przyszło olśnienie. O Chryste. Zaczerwieniona Tracey odwróciła się szybko. To jasne, że się na nią gapili, skoro wystroiła się w kostium stylizowany na mundur GI Jane. Gdyby wiedziała, że lotnisko stanowi także bazę wojskową, nigdy by go nie wkładała.

Usłyszała, jak żołnierze wymieniają jakieś uwagi po grecku, po czym wybuchają śmiechem. Odeszli, potrząsając głowami i rechocząc z głupoty cudzoziemców.

No i masz, zaklęła w duchu. Nigdy tego nie włożę, dopóki nie znajdę się z powrotem w Stanach.

Taśmociąg bagażowy ruszył z głośnym turkotem, tłum rzucił się do przodu i właśnie dzięki temu zauważyła tego mężczyznę. Stał nieco z tyłu, w pewnej odległości od przyjezdnych, trzymając przed sobą tabliczkę z nazwiskiem „Sullivan”, wypisanym wielkimi, drukowanymi literami przez kogoś, komu alfabet grecki był wyraźnie bliższy niż łaciński.

Zanim do niego podeszła, przyjrzała mu się z uwagą. Miał oliwkową cerę, gęste, czarne, rozwichrzone włosy i szczupłą twarz, pokrytą dziobami. Czarne, krzaczaste brwi łączyły się nad nosem, a bujne wąsy zwisały ku dołowi, nadając twarzy wyraz zatroskania.

- Domyślam się, że czeka pan na mnie - powiedziała, wyciągając rękę. - Tracey Sullivan.

Mężczyzna chrząknął, obniżył trzymaną przez siebie tabliczkę, ale zignorował wyciągniętą do uścisku dłoń. Nie potrafiła powiedzieć, czy zrobił to celowo, czy też po prostu jej nie zauważył. Chcąc uniknąć krępującej sytuacji, szybko cofnęła rękę.

- Jestem Stavros Poulianos. Zawiozę panią do Oii. - W jego ustach brzmiało to raczej jak E - yah. Głos miał chropawy, angielskie słowa wymawiał z twardym akcentem.

- To bardzo miło z pana strony - powiedziała Tracey. - Jestem pewna, że sama też dałabym sobie radę, ale cieszę się, że pan po mnie przyjechał. Czy to daleko?

- Daleko? Oia? - Stavros wzruszył ramionami. - Kilka kilometrów - dodał wymijająco.

Tracey wskazała w kierunku karuzeli bagażowej.

- Pójdę zobaczyć, co z moimi walizkami. - Roześmiała się nerwowo. - Nie chciałabym, żeby dostały zawrotów głowy od kręcenia się w kółko.

Jej dowcip nie wywarł na mężczyźnie najmniejszego wrażenia. Kamienna twarz pozostała nieporuszona. Tracey westchnęła w duchu. Kolejny przykład słynnej greckiej gościnności. Kiedy przeciskała się przez tłum wokół taśmociągu, Stavros szedł tuż za nią.

Nie chciałabym wejść mu w drogę, pomyślała. Wychyliła się do przodu, spoglądając w kierunku, z którego nadjeżdżały bagaże.

- Jest! To ta! - wykrzyknęła. Wskazała swoją torbę, odczekała chwilę, wreszcie wyciągnęła rękę, żeby zdjąć ją z taśmy, ale Stavros był szybszy. Jego ramię wystrzeliło do przodu i złapało za uchwyt, zanim Tracey zdążyła go dotknąć. Nie minęła minuta, gdy miał już pod swoją opieką wszystkie trzy sztuki - po jednej walizce w każdej ręce i torbę wepchniętą pod ramię.

Teraz Stavros poprowadził ją na zewnątrz, z chłodnego terminalu z powrotem na rozpalone, jasne słońce. Tracey sięgnęła po okulary przeciwsłoneczne, przyrzekając sobie w duchu, że pierwszym jej zakupem będzie słomkowy kapelusz z szerokim rondem.

Intrygowało ją, jakim samochodem jeździ Urania Vickers. Po Europie pewnie mercedesem albo czymś jeszcze okazalszym i odpowiedniejszym dla gwiazdy filmowej, bentleyem czy rolls - royce'em corniche. Może nawet ma kilka aut?

Stavros przystanął i postawił jedną z walizek.

- Co to jest? - zapytała Tracey z niedowierzaniem, patrząc ze zgrozą, jak jej towarzysz wolną ręką otwiera drzwi małego hatchbacka, sięga do środka, po czym podnosi tył.

- Samochód - odparł, bez śladu ironii w głosie.

Tracey mogła się tylko przyglądać. Samochód? - powtórzyła w duchu. Czy on naprawdę powiedział: samochód? Pewnie żartował.

Bez wątplenia był to najmniejszy samochód, jaki kiedykolwiek zdarzyło jej się widzieć. Owszem, lśnił nowością, ale w porównaniu z nim nawet jej własny, stary corvair wydawał się ogromnym sedanem.

A te opony! Zupełnie jak w malutkim samochodziku - zabawce. Musiała ugryźć się w język, żeby nie zapytać: czy to aby ma silnik, czy też będziemy musieli pedałowac?

Stavros w jakiś magiczny sposób upchnął wszystkie walizki i zatrzasnął klapę z tyłu. Samochód nazywał się smart - bardzo odpowiednio. Mężczyzna obszedł go dookoła, otworzył drzwi po stronie pasażera, uwolnił Tracey od bagażu podręcznego, kładąc go na tylne siedzenie, pomógł jej wsiąść i starannie zamknął drzwi.

Okno było otwarte, co przyjęła z prawdziwą ulgą, bo przynajmniej mogła wystawić łokieć na zewnątrz. Szybko opuściła szybkę przeciwsłoneczną, po czym usiłowała jakoś się skurczyć, i w miarę wygodnie usadowić w tej niewielkiej łupinie, jednak bez rezultatu.

Natomiast Stavros bez trudu wsunął się za kierownicę, uruchomił silnik i zatrąbił na objuczonych walizami turystów, przechodzących przez ulicę do postoju taksówek, aż rozpierzchli się na boki niczym stado kurcząt. Machnięciem ręki odpowiedział na pozdrowienie uśmiechniętego policjanta - najwyraźniej straszenie turystów stanowiło dla nich obu rodzaj gry, w dodatku bardzo zabawnej - i ruszył płynnie, przez cały czas trzymając się

środką pełnej zakrętów drogi, zupełnie jakby wyznaczająca go gruba linia namalowana została wyłącznie po to, by podkreślić środek maski.

W pewnym momencie skręcił raptownie, w celu uniknięcia kolizji z mercedesem - taksówką, z wielką prędkością pokonującym zakręt. Tracey złapała się tablicy rozdzielczej, zamknęła oczy, stopą mocno nacisnęła wymagany pedał hamulca i zaczęła odmawiać modlitwę.

Stavros zerknął na nią i wybuchnął śmiechem, błyskając złotym zębem w kącie ust.

- Witamy na Santorynie - powiedział.

Lotnisko na Santorynie usytuowane jest na zachodnim krańcu wyspy, niemal nad brzegiem morza, prawie w połowie zewnętrznego obwodu półksiężyca. Od tego miejsca droga powoli, lecz nieprzerwanie wznosi się w górę. Tracey wyglądała przez boczne okno, ze wszystkich sił starając się usunąć z myśli wizję wypadku z udziałem niewielkiego samochodziku, którym jechali.

Po prawej stronie miała pokryte wulkaniczną glebą zbocze, na którym rosła winorośl. Tu krzewów nie rozpinano na siatkach, jak to się powszechnie robi; płożyły się przy samej ziemi niczym wielkie, gigantyczne węże. Pewnie dlatego, że ta część wyspy jest bardziej wietrzna, domyśliła się Tracey. Na suchych, spalonych słońcem stokach aż do samego morza wznosiły się rozmaite budynki, głównie okazałe wille, często niewykończone.

Wjechali do Messarii, bynajmniej nie najbardziej uroczej z wiosek, i tu Tracey miała przedsmak tego, co oznacza masowa turystyka. Nagle na wąskiej, dwupasmowej drodze zaroilo się od prychających spalinami autokarów, prywatnych aut, taksówek, wypożyczonych skuterów i motorów, pędzących z taką prędkością, jakby każdy z kierowców uważał się za jedyne i wyłącznego użytkownika szosy. Wzdłuż chodnika po obu stronach jeden przy drugim tłoczyły się tanie hoteliki, wychodzące niemal na jezdnię. Oprócz tego wszędzie pełno było wypożyczalni samochodów i motorów, wszechobecnych stacji benzynowych, przydrożnych kawiarenek i sklepów z pamiątkami. Chaosu dopełniał mężczyzna prowadzący stadko osłów, pięknie ozdobionych dzwoneczkami, kwiatami i wstążkami.

Miasteczko czy nie, Stavros nadal pędził jak szatan, nie pozwalając, aby cokolwiek go wyprzedziło, a już na pewno nie rower czy motor. Jeśli idzie o prowadzenie, kierował się własnym kodeksem drogowym: w razie wątpliwości naciskał na gaz, a jeśli już musisz, to skręcaj.

Ale w ten sam sposób prowadził tu każdy.

Jeszcze pięć kilometrów pod górę i znaleźli się w największej miejscowości wyspy - Firze, jednym z najbardziej typowych miasteczek egejskich, a obecnie głównym centrum

turystycznym. Droga, równie zatłoczona jak w Messarii, obiegała Firę od zachodu. Tu również nie brakowało sklepików, kantorów wymiany, cukierni, kawiarni pod parasolami, centrów internetowych, gdzie turyści mogli wypożyczać komputery na godziny, stoisk z gazetami i kartkami pocztowymi, kiosków z pamiątkami i wyrobami lokalnego rzemiosła oraz niezliczonych agencji podróży.

Ale nawet komercyjna część Firy miała w sobie coś magicznego. Błyszczące, błękitne kopuły kościółków, białe, arkadowe dzwonnice z dzwonem w każdym z prześwitów, bielone wapnem, wysokie mury, stanowiące jednocześnie frontowe ściany domów, z jasnymi, szmaragdowymi drzwiami, drewnianymi framugami okien i okiennicami. Tajemnicze, wykładane marmurem, ocienione alejki dla spacerowiczów, gdzie mieściły się ekskluzywne butiki i sklepy złotnicze. I wszędzie bugenwille, eksplodujące kwieciami w najmniej oczekiwanych miejscach.

To wszystko jednak stanowiło zaledwie przedsmak cudów, które miały dopiero nadejść. Po drugiej stronie wąskiego, wydłużonego miasteczka, na wyniesionym trzysta metrów w górę i opadającym ku kalderze klifie, budynki mieszkalne, kawiarnie i restauracje zdawały się niemal wisieć w powietrzu. Poniżej pływały statki wycieczkowe, a motorówki wyrzucały na brzeg hordy urlopowiczów. Tracey widziała turystów na osiołkach, jadących pod górę zygzakowatą dróżką wykutą w skale. Inni wybierali kolejkę linową.

Po wyjeździe z miasteczka z powrotem znaleźli się na wiejskiej drodze, pełnej przyprawiających o zawrót głowy zakrętów, wijącej się niczym magiczna wstążka szarego asfaltu aż do samej Oii. W pewnej chwili samochód wspiał się na wzgórze i wówczas po obu stronach ukazało się morze.

- O mój Boże - wyszeptała Tracey.

Na prawo widziała zbocze usiane białymi, kubistycznymi willami i wielkie połacie ziemi uprawnej sięgające wzburzonego, pokrytego białymi grzywaczami Morza Egejskiego. Z drugiej strony poznaczony żłebami klif urywał się raptownie, opadając ku spokojnemu kraterowi wulkanu, całkowicie wypełnionemu wodą, która w promieniach słońca błyszczała niczym złote cekiny.

Stavros, z twarzą jak zwykle niewzruszoną, bez słowa zdjął stopę z pedału gazu, tak że mały samochód ledwo się teraz toczył, żeby mogła dłużej się przyjrzeć olśniewającemu widokowi.

Tracey wpadła w zachwyty. Gdyby tylko tata albo Maribel byli ze mną, pomyślała. Gardło miała zaciśnięte ze wzruszenia. Cudami takimi jak ten człowiek powinien się dzielić.

- To niemożliwe, to po prostu nie może być prawda - wyszeptała, odzyskawszy głos.

Jakby w odpowiedzi, Stavros nacisnął pedał gazu i mały samochód wystrzelił gwałtownie do przodu, a Tracey z powrotem wcisnęła się w siedzenie.

Kiedy ukazały się pierwsze domy Oii, droga zrobiła się jeszcze węższa. Teraz przypominała ścieżkę, z dwóch stron otoczoną murem, wykorzystywaną zarówno przez pieszych, jak i przez ruch kołowy. Pojazdy jadące w jedną stronę po prostu zatrzymywały się na chwilę, przepuszczając te zbliżające się z przeciwną, piesi w takich sytuacjach dosłownie przyklejali się do białej wapnem ściany, a co szczęśliwsi uskakiwali do bram. Szczelnie pozamykane wrota pomalowane były na różne odcienie błękitu, głębokiej czerwieni czy zaskakująco żywej, lecz jednocześnie harmonijnej zieleni. Zdumiewała liczba kościołów - nieproporcjonalnie duża w stosunku do rozmiarów wioski - z niebieskimi, emaliowanymi kopułami i fantazyjnymi, białymi dzwonicami, wznoszącymi się ponad płaskie bądź cylindryczne dachy przyległych domów.

Tracey z przejęcia nie wiedziała, gdzie patrzeć. Szeroko otwierając oczy, starała się spoglądać we wszystkich kierunkach jednocześnie.

Oczywiście to było niemożliwe. Tyle piękna człowiek po prostu nie może wchłonąć od razu.

Po prawej stronie miała urocze piętrowe, białe wapnem hotele, sklepiki spożywcze, kioski z pamiątkami i *tavernas* ze schodkami wiodącymi na tarasy na dachach, gdzie ocienione trzcinowymi parasolami stoliki czekały na głodnych i spragnionych gości.

Z lewej była przepaść. Wąskie, betonowe stopnie i dróżki wiodły zygzakami w dół, mijając płaskie dachy setek wręcz białych domów, stojących pozornie bez ładu i składu, niemal jeden na drugim, przypominających powysuwane szuflady. Schodkowe tarasy stanowiły efekt działania sił natury. Tysiąclecia wstrząsów i erupcji wydzwignęły masy skalne, piętrząc je niczym stopnie, tworząc uskoki i niewielkie półki, które następnie ludzka ręka przeobraziła w tarasy.

Najwcześniejsi mieszkańcy wyspy wymyślili najprostsze, a jednocześnie najgenialniejsze z możliwych rozwiązań problemu mieszkaniowego, tworząc *skafa* - prawdziwe świadectwo geniuszu umysłu ludzkiego.

Do budowy tych schronień, równie charakterystycznych dla Santorynu jak dla Mongolii jurta, wykorzystali masy skały wulkanicznej i jaskinie. *Skafa* - długie, wąskie, przypominające hol korytarze - powstały albo przez wydrążenie klifu, albo przez pogłębienie naturalnie istniejących grot. Podobnie jak wagony kolejowe z przedziałami, mogły zawierać cały rząd pomieszczeń, sięgających daleko w głąb skały.

Wejścia do jaskiń mieszkańcy po prostu zamurowywali, pozostawiając tylko otwory drzwiowe i okienne dla wentylacji, a tam, gdzie pozwalał na to taras, często dobudowywali wysunięty przed lico skalne pokój frontowy, tworząc wspaniałe dzieła architektury kubistycznej. Obecnie większość *skafa* - często łączonych po kilka - służyła jako letnie wille albo hotele.

Stavros wjechał na niewielki parking, pełen aut, motocykli i skuterów. Zreżnie wcisnął się w ciasną przerwę, wyłączył stacyjkę i ostrożnie otworzył drzwi po stronie kierowcy, tyle tylko, żeby wysiąść. Przeszedł na tył, podniósł klapę i zaczął wyładowywać bagaże.

Tracey ostrożnie uchyliła drzwi po swojej stronie. Odwróciwszy się, wydobyla laptop, torbę na ramię i drugą torbę. Poczula, że samochód zadygotał cały, kiedy kłapa z tyłu się zatrzasnęła. Zerknęła za siebie. Stavros, z dwiema jej walizkami w rękach i torbą pod pachą, oddalał się wyłożoną kamieniami ścieżką.

Przystanął przed bramą osadzoną w długim, białym murze, za którym znajdowała się rezydencja Uranii.

Znalazłszy się za bramą, Tracey przekonała się, że nie była to zwyczajna willa. Przypominała raczej osobną wioskę. Pogrupowane na kilku poziomach budynki, wylewające się z jaskiń niczym białe grona z plastra miodu, piętrzyły się tarasowo jeden nad drugim, spływając w dół zbocza. Granice posiadłości z dwóch stron wyznaczał mur. Wysoki, bielony wapnem i od góry zakończony półkuliście, opadał w dół na przemian płynnie, to stopniowo i odgradzał domostwo od wścibskich oczu sąsiadów, nie przesłaniając jednocześnie rozległej panoramy. Nad gąszczem płaskich i stromych dachów oraz białych kopulek górował wiatrak, stojący na najwyższym tarasie.

Na dole teren urywał się raptownie; na najniższym tarasie znajdował się basen, wysunięty niemal nad kalderę. Każdy płaski dach stanowił jednocześnie taras, ozdobiony potężnymi kadziami na oliwę, w których kwitły fuksje, bugenwille i oszałamiająco czerwone geranium. Wszystkie elementy drewniane, drzwi, framugi okien, okiennice i poręcze balkonów pomalowane były na ten sam ciemnoczerwony kolor co wrota od ulicy.

Poszczególne kondygnacje łączył prawdziwy labirynt stromych schodów. Postępując za Stavrosem, Tracey pokonała kilka ich ciągów, schodząc na najniższy poziom. Tu pojedyncze, najdłuższe pomieszczenie w całym kompleksie zamykało całość, wystając przed wulkaniczną skałą niczym jaskrawobiała forteca. Fasadę tworzyło osiem wysmukłych arkad; zasłoniętych białymi, jedwabnymi kotarami, które przy braku najmniejszego choćby powiewu zwisały niemal całkowicie nieruchomo.

Luksus, stworzony z myślą o zaspokajaniu najbardziej wyszukanych kaprysów.

Taras wyłożono płaskimi kamykami w czarno - białą szachownicę, z kontrastującym delfinem na każdym polu. Wzór na obramowaniu - długi fryz stylizowanych, grzywiastych, czarnych fal na białym tle - także zaczerpnięto z antyku. Na posadzce stał rząd wyściełanych leżaków, zwróconych tyłem do arkad, a po bokach dwa niskie stołki na skrzyżowanych nóżkach; na każdym z nich leżał stos starannie poskładanych, białych ręczników kąpielowych. Trzy wielkie, beżowe, przemyślnie rozmieszczone parasole plażowe oferowały niewielkie wysepki cienia.

A przed leżakami rozciągał się kusząco najbardziej luksusowy ze wszystkich luksusów Oii, ogromny, niczym nieobramowany basen, zdający się zwisać nad przypominającą błękitne marzenie kalderą.

Oszołomiona upałem Tracey wyobraziła sobie, że zanurza się w wodzie, szukając ochłody, a potem układa na jednym z leżaków i popija truskawkowe daiquiri, rozkoszując się ciszą.

Właśnie ciszą. Bo wszędzie wokół było cicho i spokojnie; hordy rozwrzeszczanych turystów, dobiegające z tawern dźwięki buzuki, to wszystko pozostało gdzieś w tyle. Tu nieziemskiej wręcz ciszy nie mącił ani jeden podniesiony głos, zupełnie jakby czar otoczenia narzucił wszystkim rozmowy wyłącznie szeptem.

Chrząknięcie Stavrosa wyrwało Tracey z rozmarzenia. Grek zatrzymał się przed najbliższą arkadą i czekał, przytrzymując srebrzystą kotarę, tak by mogła wejść pierwsza.

Uczyliła to wolno i ostrożnie, nie wiedząc, czego się ma spodziewać. Kiedy znalazła się w ogromnym pomieszczeniu, będącym w połowie budynkiem, a w połowie wnętrzem jaskini, dosłownie zabrakło jej tchu. W środku panował miły chłód, a powietrze pachniało wysuszonym dzikim tymiankiem, który wypełniał grawerowane, srebrne czarki.

Stavros postawił walizki, wskazał palcem stopy Tracey i zatoczył dłonią kółko, dając jej do zrozumienia, że ma tu zaczekać. Skinęła głową, wdzięczna, że nie musi nic mówić. Nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Nie ruszając się z miejsca, okręciła się wokoło. Poza ogromnym, weneckim, barokowym lustrem w połączanej ramie, stojącym na bogato rzeźbionej, złożonej konsoli podtrzymywanym przez amorki, reszta umeblowania była bardzo skromna i prosta; wiejskie stoły z ciemnego drewna i ławy, na których stały różne drobiazgi, mosiężny zegar, para świeczników, popielniczka Baccarata. Kilka niskich, okrągłych stolików przykryto skórą zebry.

Tracey spojrzała w górę. Sklepienie tego wnętrza tworzył rząd półkolistych, bielonych wapnem arkad, natomiast tylną ścianę częściowo stanowiła naturalnie żłobkowana skała,

którą architekt wkomponował w całość. Dwa niewielkie, tajemnicze, wykute w skale korytarzyki prowadziły gdzieś dalej, w mrok.

Między nimi, na honorowym miejscu, na płaskim, białym fragmencie tylnej ściany, oświetlony punktowo, wisiał słynny portret Uranii, stworzony przez Warhola. Właściwie było to dziewięć różnych wersji portretu, ale zawieszono je obok siebie jako jedno wielkie malowidło, tak że na płótnie widniało dziewięć identycznych twarzy, każda w innym kolorze, każda na gładkim prostokącie tła w kontrastującym odcieniu.

Zafascynowana Tracey wodziła wzrokiem od jednej do drugiej. Dzieło dorównujące temu ostatni raz widziała w Museum of Modern Art w Nowym Jorku.

- Piękna, prawda? - Aż podskoczyła, słysząc za sobą gardłowy szept, niemal przy uchu. - Najwspanialsza gwiazda w dziejach kina.

Tracey odwróciła się i jej twarz znalazła się zaledwie kilka centymetrów od twarzy kobiety - wysokiej, z ciemnymi, bystrzymi oczami, przygładzonymi blond włosami ułożonymi w lakierowaną, staroświecką fryzurę i piersiami sterczącymi dumnie do przodu niczym dwa bliźniacze dzioby katamaranu. Kobieta ubrana była w idealnie czystą, białą bluzkę ze sztucznego włókna, lekką, czarną garsonkę z poliestru przetykanego złotą nitką i czarne, praktyczne espadryle. W charakterze ozdoby nosiła niewielki krzyżyk na cienkim, złotym łańcuszku, złoty zegarek z czarnym paskiem i prostą obrączkę ślubną. Makijaż też miała prosty - acz efektowny: na wargach bez uśmiechu pomadka w kolorze dojrzałego melona i gruba, czarna kreska na powiekach. Cała sylwetka emanowała niedostępną, imponującą godnością.

Ale ku zdumieniu Tracey kobieta wcale na nią nie patrzyła. Podobnie jak ona sama przed sekundą, przyglądała się zwielokrotnionej Uranii. Dopiero po chwili wielkie, obramowane czernią oczy spoczęły na przybyłej, przeszywając ją bezlitośnie niczym wiązki laserów.

- Miss Sullivan, prawda? - Wymówiła to jak Miss Sol - lee - van, z akcentem na dwie pierwsze sylaby.

- Tak - powiedziała Tracey. - To ja.

- Jestem Maria Stefanou. Tracey uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Bardzo mi miło, pani Stefanou - odezwała się z wyszukaną grzecznością i wyciągnęła rękę.

Pani Stefanou ujęła podawaną dłoń w swoją, która Tracey wydała się dziwnie zimna i bez życia. Poczowała ulgę, kiedy kobieta uwolniła jej rękę.

- Madame oczekuje pani. Przyszłam panią przywitać w jej imieniu.

- To bardzo uprzejme z pani strony - wymamrotała Tracey. Zostawiając ją w pobliżu zwielokrotnionej Uranii, pani Stefanou powiedziała:

- Proszę spocząć. Zawiadomię madame, że pani już jest.

- Dziękuję - odrzekła Tracey, patrząc, jak Maria Stefanou znika w alkowie, z której wewnętrzne stopnie prowadziły gdzieś na górę.

Nie chciała siadać. Czując narastające zaciekawienie, zaczęła krążyć po ogromnym pomieszczeniu, pełna podziwu dla sposobu, w jaki połączono w nim elegancję z prostotą. Gips, żelazo, kryształ, mosiądz, marmur, jedwab, skóra; niezwykła obfitość rozmaitych materiałów rzucała się w oczy dopiero przy dokładniejszych oględzinach. W pierwszej chwili to wnętrze sprawiało wrażenie wyjątkowo przestronnego i umeblowanego wręcz po spartańsku.

Dopiero teraz dostrzegła coś, na co przedtem nie zwróciła uwagi - antyczne rzeźby, ustawione dyskretnie, acz efektownie w kilku miejscach. Zbliżyła się do niewielkiej cykladzkiej figurki z wapienia, tak prostej w formie, że śmiało można by ją wziąć za dzieło współczesne, a nie pochodzące z IV wieku przed Chrystusem, i tak niedbale postawionej na stosie książek na stoliku do kawy, że omal jej nie przeoczyła.

Z zewnątrz dobiegł ją plusk wody. Ktoś najwidoczniej kąpał się w basenie. Zerknęła ku arkadzie, jednak nieruchoma kotara całkowicie przesłaniała widok. Chwila ciszy, a potem niedający się pomylić z żadnym innym dźwiękiem odgłos kropeł wody spływających na posadzkę. Ktokolwiek przedtem pływał, teraz wyszedł z basenu.

Nie chcąc, żeby uznano ją za podglądaczkę, Tracey poskromiła ciekawość i odsunęła się jak najdalej od arkady, przystając przed największą z rzeźb.

Był to męski tors naturalnej wielkości, bez głowy, rąk i nóg, ustawiony na czarnym postumencie, zaskakująco piękny. Muskularna klatka piersiowa, wspaniale rozwinięte mięśnie brzucha, talia szersza i masywniejsza, niż to zakładał współczesny kanon męskiej urody. Atletę albo żołnierza, unieśmiertelniony dłutem artysty, pomyślała. Tak pełen życia, że nietrudno jej było wyobrazić sobie całe ciało.

- Szkoda, że wykastrowany, nie sądzi pani? - odezwał się męski głos tuż za nią.

- Och!

Odwróciła się, przestraszona, przykładając rękę do gwałtownie bijącego serca.

- Czy zawsze skrada się pan z tyłu? - warknęła z wyrzutem, patrząc spod długich rzęs na mężczyznę, który zwrócił się do niej w nieskazitelnej angielszczyźnie z wyraźnym amerykańskim akcentem.

W ułamku sekundy pożałowała swojego niegrzecznego wybuchu. Wystarczyło jedno spojrzenie na nieznanego, by pomyślała od razu: Boże, Boże, to do takich właśnie mężczyzn odnosi się określenie „byczek”.

I zaraz po tamtej pojawiła się druga myśl, goniąca tę pierwszą, która spowodowała, że Tracey oblała się rumieńcem: no, ten prawie nic nie pozostawia wyobraźni.

„Ten” mógł mieć niewiele ponad trzydzieści lat i ubrany był jedynie w skąpe, obcisłe, turkusowe kąpielówki, bo przecież biały ręcznik przewieszony wokół szyi trudno by zaliczyć do stroju. Czarne, zaczesane do tyłu włosy miał wilgotne i cały ociekał wodą, tak że nie trzeba było mieć umysłu naukowca, by wydedukować, że to on właśnie pływał przed chwilą w basenie.

A ponieważ szedł bosy, nic dziwnego, że udało mu się zbliżyć do niej bezszelestnie.

Natychmiast sklasyfikowała go jako gwiazdora opery mydlanej. Oczywiście z braku czasu nie oglądała tego typu seriali, ale pracując w WMAI - TV poznała trochę owych produkcji, nadawanych przez konkurencję, tak że potrafiła rozpoznać występujące tam typy. Pierwsza reguła brzmiała: mężczyzna ma być wysoki, ciemny, dobrze zbudowany i przystojny.

Stojący przed nią facet odpowiadał tym wymogom w każdym szczególe.

Ciało bez jednego zbędnego grama tłuszczu, z piękną muskulaturą, czyniącą z niego obiekt kobiecych westchnień, a jednocześnie nierozbudowaną nadmiernie, tak że w niczym nie przypominał napakowanego sterydami mięśniaka. Ten rodzaj sylwetki, szczupłej, o idealnych proporcjach, z wąskimi biodrami, wskazywał, że jej właściciel równie pociągająco musiał prezentować się w ubraniu, jak i bez niego.

Twarz miał niezwykle fotogeniczną, zaopatrzoną we wszystkie niezbędne atrybuty aktora mydlanej opery i męskiego modela: kwadratowy podbródek, wystające kości policzkowe i te zabójcze oczy o ton tylko jaśniejsze od kobaltowego błękitu.

Tracey za nic w świecie nie potrafiła nigdzie umiejscowić tej twarzy, choć gotowa była przysiąc, że głos brzmiał znajomo. Musiała go już słyszeć.

Pewnie w którymś z nadawanych przed południem seriali, uznała.

- Miałem na myśli tę rzeźbę - ciągnął mężczyzna. Odwróciła się i popatrzyła na nią beznamietnie. Tors, który jeszcze przed chwilą wydawał się niemal żyjącym, oddychającym ciałem, teraz został zesłany do panteonu martwych brył kamienia, przegrywając z żywym modelem męskiej urody.

- Taak? - odezwała się, przeciągając słowo, żeby ukryć zmieszanie i jednocześnie pozwolić nieznanemu mówić dalej, gdyż nie wiedziała, o co mu chodzi.

Mężczyzna przechylił głowę i założywszy ręce do tyłu, przypatrywał się rzeźbie, marszcząc brwi.

- Prawda, że te zabytki spotyka najczęściej osobliwy los? Zmarszczyła czoło, niepewna, co miał na myśli.

Z miejsca to zauważył.

- Niech pani pójdzie do jakiegokolwiek muzeum, galerii czy na aukcję. Zawsze ta sama historia. Załóżmy, że zobaczy pani autentyczną rzymską czy grecką głowę.

Skinęła głową, nadal nie wiedząc, do czego zmierzał.

- Z pewnością będzie pozbawiona nosa. Z kolei torsy nie będą miały rąk, nóg ani głowy. - Z ubolewaniem potrząsnął głową i dorzucił, spoglądając na nią z ukosa: - A już postacię męską szczególnie narażone są na obtłuczenia.

- Naprawdę? - zapytała z braku lepszej odpowiedzi. Wstrząs, jaki wywołała jego uroda, nadal nie pozwalał Tracey myśleć klarownie.

- Oczywiście. Na przykład weźmy ten konkretny tors. Jak zwykle brakuje genitaliów. Genitalia zawsze obtłukują się pierwsze, pewnie sama to pani zauważyła.

Tracey poczuła się całkowicie wytrącona z równowagi.

- Ja... ja... - wyjąkała, po czym przełknęła ślinę i podniosła głowę. - Tak naprawdę - powiedziała, świadoma, że czerwieni się coraz bardziej - do tej pory nigdy nie zwracałam uwagi na starożytne rzeźby ani poobtłukiwane genitalia.

- No tak, nie miała pani powodu. - Uśmiechnął się kpiąco. - Do diabła z konwencjonalnym zawieraniem znajomości. - Błysnął idealnym, hollywoodzkim uśmiechem. - Mark Varney - powiedział ciepło, wyciągając rękę. - A ty pewnie jesteś utalentowaną panną Sullivan. Nareszcie się spotykamy.

Zbyt późno Tracey uświadomiła sobie, skąd jego głos wydawał jej się znajomy. Słyszała go tak wiele razy. Ujęła podaną dłoń i uściśniła mocno.

- Miło mi nareszcie móc dopasować głos do twarzy - udało jej się wykrztusić.

- I do ciała - dorzucił żartobliwie.

- To też - przyznała z piekącymi uszami, nie zdając sobie sprawy z tego, że nadal potrząsa jego ręką. - A co do mojej głupiej reakcji, spodziewałam się kogoś...

- Starszego? - dokończył Mark Varney ubawiony. - Grubszego? Bardziej pękatego? Łysiejącego?

- Tak, chyba tak - Tracey roześmiała się nerwowo. W tym momencie dotarło do niej, że wciąż energicznie potrząsa jego ręką, zupełnie jak automat, więc szybko cofnęła dłoń. - Bo twój głos przez telefon brzmiał tak... tak dojrzałe - dokończyła nieudolnie.

I nigdy bym nie podejrzewała, że możesz tak wyglądać, dodała w duchu. Ani że podczas pierwszego spotkania będziesz miał na sobie zaledwie skrawek obcisłego spandeksu.

Jej oczy wędrowały od marmurowego torsu do żywego ciała. Nie sposób było nie porównywać rzeźbionego ideału klasycznego piękna z wyzywającą witalnością i wspaniałą budową Marka. Obaj byli perfekcyjni, każdy na swój sposób.

Poza genitaliami, oczywiście. Marka z pewnością pozostały nietknięte i nie sposób było ich nie zauważyć przy tym skąpym...

Głośne, teatralne kasznięcie sprawiło, że odskoczyli od siebie, zupełnie jakby między nich uderzył piorun.

Tracey odwróciła się gwałtownie.

W otwartej arkadzie, opierając się o futrynę i lekko postukując o zęby szylkretową oprawką okularów przeciwsłonecznych, stało ucieleśnione bóstwo.

Urania Vickers we własnej osobie.

- Zanim zaczniemy z niewłaściwej nogi - odezwała się gwiazda - wyjaśnijmy sobie jedno na samym wstępie. Ręce precz od przyjaciela szefowej. Jeśli jesteś sprytną dziewczynką, zapamiętasz to sobie raz na zawsze.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Urania Vickers była specjalistką od wielkich wejść.

Zasygnalizowawszy - dla zwiększenia efektu - swoją obecność, wolno przesunęła się na środek sceny, jedną ręką niedbale obracając oprawkę okularów, drugą wyciągając przed siebie w geście królewskiego powitania, jakby oczekiwała, że jej dwuosobowa widownia padnie na kolana i okryje pocałunkami pierścień albo przyjmie błogosławieństwo z łaskawie uniesionych palców.

- No, no, no... - Spomiędzy błyszczących, karminowych warg w tym samym odcieniu co paznokcie, umalowanych w stylu dawnego Hollywood, wydobywał się żartobliwy pomruk.

Słynne szmaragdowe oczy Uranii utkwione były w Tracey. Aktorka poruszała się z drapieżną gracją, niczym ogromny kot, który skrada się do ofiary i cieszy się już na czekającą go ucztę.

- Zobaczmy, co tutaj mamy - odezwała się, ukazując lśniąco bielą zęby. - Mmm - przyglądała się Tracey z prawdziwym zainteresowaniem, jednocześnie obchodząc ją dookoła i spowijając chmurą zapachu Panthère Cartiera.

Tracey wpatrywała się w gwiazdę z nie mniejszą ciekawością. Może nawet większą, skoro kierował nią tak ważny powód.

Czy instynkt macierzyński zadziała?

Ale Urania Vickers nie miała w sobie nic macierzyńskiego. Wręcz przeciwnie, trudno byłoby wyobrazić sobie kogoś mniej uosabiającego typ matki. W tej kobiecie nie było nic z opiekuńczej łagodności, każdy gram energii wydatkowała wyłącznie na siebie samą.

Od początku do końca była Wielką Gwiazdą, prawdziwą osobistością, gotową stanąć przed każdą kamerą - filmową, telewizyjną czy reporterską. Nigdy nie opuściła swoich apartamentów nie w pełni przygotowana do spotkania z obiektywem. Nawet jeśli nie miała w planie żadnego wyjścia ani wizyty, nawet przy ustawicznym braku gotówki, nieodmiennie z tym samym zaangażowaniem odgrywała jedną rolę - rolę siebie samej.

Uranii Vickers, supergwiazdy.

Tę jedną opanowała do perfekcji.

Któryś z dziennikarzy piszący do rubryki towarzyskiej podsumował ją kiedyś następująco: „Urania Vickers jest gwiazdą, natomiast z pewnością nie jest aktorką”.

Mocne słowa, ale trafiające w sedno.

Rolę prawdziwej piękności i znakomitości Urania Vickers odgrywała znacznie lepiej niż którąkolwiek ze swoich postaci ekranowych.

Ten dzień nie stanowił wyjątku. Wystrojona niczym do zdjęć, promieniowała blaskiem sławy. Jej makijaż dosłownie zwał z nóg. Oczywiście takie przygotowania wymagały czasu i poświęcenia. Często ludzie nie zdawali sobie nawet sprawy, jak wielkiego, stąd też złośliwe języki niejednokrotnie twierdziły, że uroda Uranii to wyłącznie kwestia ekstrawaganckiego makijażu. Ale nawet najzłośliwsi musieli przyznać, że aktorka nie wygląda na swoje lata.

W dodatku bez uciekania się do chirurgii plastycznej.

Sekret Uranii na zachowanie młodości był prosty. Choć całe jej ciało pokrywała piękna opalenizna, zawsze dbała o to, by słońce nigdy nie dotknęło jej twarzy, by jego okrutne, szkodliwe promienie przedwcześnie nie zniszczyły gładkiej cery, pokrywając ją siecią zmarszczek.

Teraz na przykład nosiła słomkowy kapelusz z ogromnym rondem i płaską główką, ozdobioną różowym, jedwabnym szyfonem. Cała reszta stroju dobrana była do tego najważniejszego elementu - chroniącego przed słońcem nakrycia głowy. Kaftan z wielu warstw delikatnego, lżejszego od powietrza jedwabiu, zadrukowanego w grube czarne i białe zygzaki, gigantyczne plastikowe kolczyki w kształcie obręczy w krzyczącym różowym kolorze, niezliczone bransoletki na obu rękach - różowy plastik na przemian z osiemnastokaratowym złotem - i wreszcie różowe, satynowe klapki ozdobione białym puchem marabuta. Na pewno nie od Fredericka z Hollywood. Manolo Blahnik - któż by inny?

Tracey jednak momentalnie zauważyła, że pod tym strojem i warstwą makijażu Urania Vickers, dynamiczna i pełna życia, fizycznie jest drobniejsza i bardziej krucha, niż można by się tego spodziewać. Najwyraźniej świat filmu i telewizji, w którym drapieżcy pozerają się wzajemnie, wycisnął na niej swoje piętno. Spojrzenie chłodnych oczu gwiazdy wskazywało to najdobitniej.

Tracey przypomniała sobie znaną prawdę, że w Hollywood miłe dziewczęta wytrzymują najdłużej. A jak twierdziła Maribel, Uranie Vickers nazywano ostatnią, która przetrwała.

Dokonawszy wstępnej oceny, ostatnia, która przetrwała, przeniosła swoją uwagę na Marka.

- A ty, książę, zmyj się teraz. My, dziewczęta, musimy obgadać reguły gry.

Zbliżyła się do niego miękkimi krokami, zaplotła ramiona wokół jego szyi i przycisnęła biodra do jego bioder. Jej głos przeszedł w niski pomruk.

- Nie rób takiej ponurej miny, kochanie. - Ułożyła wargi jak do pocałunku. - Tobą zajmę się później.

Jej palce powędrowały w górę do jego karku i potargały wilgotną czuprynę, nadając jej modny, rozwichrzony wygląd.

Mark uśmiechnął się do Uranii, po czym uwolnił się z jej objęć. Kiedy odwrócił się do Tracey, jego uśmiech stał się smutny, niemal przeprasający.

- Zobaczymy się później - powiedział miękko. - Może podczas obiadu?

Tracey skinęła głową.

- Tak, może podczas obiadu.

- Nie bądź taki pewny - mruknęła aktorka, dając mu żartobliwego klapsa w pośladek. Kiedy się oddalał, odprowadziła go zaborczym spojrzeniem, po czym westchnęła rozmarzona.

- Ma wspaniały tyłek, nie sądzisz?

Tracey uznała, że bezpieczniej będzie się nie odzywać, więc uśmiechnęła się tylko.

Po odejściu Marka Urania podniosła do oczu okulary przeciwsłoneczne, jednak zatrzymała się w połowie tego gestu, rzucając Tracey ostrzegawcze spojrzenie sponad oprawek.

- Nie zapomnij, kochana - powiedziała złowieszczo słodkim tonem - że Mark to owoc zakazany. Zgadzą się co do tego? Bo jeśli tak, pozostałe sprawy też nam się ułożą.

Tracey bez słowa skinęła głową. W obecności eleganckiej, pewnej siebie i rozkapryszonej sławy człowiek od razu robił się przestraszony i głupi. Urania była gwiazdą, jasno świecącym słońcem, przy którym wszyscy inni bledli, zredukowani do roli krążących wokół niej planet.

- Świetnie. A teraz, skoro wyjaśniliśmy już sobie kwestię Marka, wykorzystajmy resztę popołudnia na wzajemne poznanie się. - Wsunęła dłoń pod ramię Tracey i pociągnęła ją w stronę przysłoniętych kotarami arkad. - W końcu mamy razem pracować.

Za nimi rozległo się pokasływanie. Urania przystanęła i odwróciła się. Przyszła Maria Stefanou.

- Chwileczkę, kochanie. - Aktorka z gracją podeszła do gospodyni, która zaczęła szeptać jej coś do ucha.

Tracey starała się nie patrzeć w ich stronę, żeby nie wyjść na wścibską.

- Ależ moja droga - wykrzyknęła gwiazda, ponownie zbliżając się do Tracey - przecież ty musisz być skonana po podróży! Najlepiej idź teraz do siebie i odśwież się trochę. Potem spotkamy się przy basenie - zastanawiała się przez chwilę, po czym dokończyła z uśmiechem: - punktualnie za godzinę.

- Dobrze - zgodziła się Tracey.

- Maria cię zaprowadzi - dokończyła Urania i odeszła, zostawiając je obie.

- Mamy kilka pokoi gościnnych, ale ponieważ pani przyjechała na kilka miesięcy, madame uznała, że pewnie wołałaby pani więcej prywatności, zarówno przez wzgląd na panią, jak i na samą madame. Tak więc umieściłam panią w wiatraku.

Trzy poziomy wyżej, niemal przy wejściu od ulicy, przypomniała sobie Tracey. Bardzo dobre miejsce. Gdyby dano jej wolną rękę i oczywiście pod warunkiem, że w wiatraku znajdowały się podstawowe udogodnienia, sama by go wybrała. I to dokładnie z tego samego powodu - żeby mieć więcej prywatności.

Nie dla wygody Uranii Vickers, ale dla mojej własnej, pomyślała.

- Tak więc proszę za mną - poleciła pani Stefanou.

Tracey pochyliła się, żeby podnieść podręczną torbę, którą Stavros postawił na podłodze.

- Bagaż może pani zostawić - powstrzymała ją pani Stefanou. - Stavros zaraz wszystko przyniesie.

- W takim razie wezmę torbę z laptopem - zdecydowała Tracey, szybko chwytając za uchwyt. - To głupie, wiem, ale jakoś lepiej się czuję, kiedy nie spuszczam go z oka - dodała przepraszająco.

Pani Stefanou uniosła jedną brew i wzruszyła ramionami.

- Jak pani sobie życzy - skwitowała oziębłe.

Bez dalszych komentarzy ruszyła przodem, jednak nie przez taras i rozprazonymi od słońca schodami, tak jak oczekiwała Tracey. Zamiast tego pani Stefanou minęła dziewięć Uranii Warhola i skierowała się do alkowy po prawej stronie.

Tracey podążyła za nią z ociąganiem. Szczerze mówiąc, wołałaby drogę zewnętrzną. Teraz bez wątplenia znajdowały się w jaskini, a Tracey nigdy nie miała zadatków na speleologa. Takie wnętrza nie pociągały jej i nie chciała tego zmieniać.

- Proszę uważać - ostrzegła ją pani Stefanou. - Stopnie są śliskie i strome.

Mówiąc to, nacisnęła wyłącznik elektryczności. Tracey ledwo mogła uwierzyć własnym oczom. Alkova rozjarzyła się jasnym światłem. Biegnący ukośnie pod górę tunel dzięki pracowitości ludzkich mrówek przekształcił się w strome, wąskie wewnętrzne schody wykute w litej skale, zacementowane, otynkowane i pobielone wapnem.

- Proszę uważać na łokcie.

Ruszyły pod górę. Pani Stefanou szła przodem.

Do diabła z łokciami, zakłęła w duchu Tracey, ponieważ załując, że nie zostawiła torby z laptopem w pokoju. Korytarzyk był tak wąski, że torbę na ramię również musiała przełożyć do ręki i teraz niezgrabnie trzymała je obie przed sobą, z trudem pokonując kolejne stopnie.

W płytkich niszach wzdłuż ścian tkwiły lampy, brązowe kopie oliwnych lamp antycznych, z podłużnymi żaróweczkami w miejscu płonących knotów. W powietrzu czuło się chłód i wilgoć, cienie wyglądały tajemniczo i groźnie. Tracey nie była pewna, jakie uczucie dominuje w niej teraz. Fascynacja? Strach?

Pani Stefanou zwróciła jej uwagę na lichtarze ze świecami i białe, plastikowe pudełeczka zapalek, umieszczone w tych samych zagłębieniach co lampy elektryczne. Podniosła jedno z pudełek, potrząsnęła nim i odłożyła na miejsce, koło staroświeckiej ciężkiej latarni z grubą świecą.

- Wodoodporne - wyjaśniła. - Na wypadek gdyby zabrakło prądu.

- Zabrakło prądu? - powtórzyła Tracey, już mocno zaniepokojona. - Czy często się to zdarza?

- Wystarczająco często, abyśmy byli przygotowani - usłyszała w odpowiedzi.

Jeszcze piętnaście stopni w górę i klaustrofobiczne schodki rozszerzyły się w coś w rodzaju podestu. Pani Stefanou dotarła tam pierwsza i teraz czekała na Tracey, z rękami założonymi na piersiach i twarzą kompletnie bez wyrazu. Skinieniem głowy wskazała drewniane drzwi.

- Prowadzą do apartamentów madame i gościnnego apartamentu pana. Nie radziłabym pani wchodzić do madame, chyba że na wyraźne zaproszenie.

Tracey poczerwieniała. To przecież oczywiste. Nie potrzebowała pouczeń na temat dobrych manier. Zdobyła się jednak na uprzejmą odpowiedź.

- Doskonale rozumiem - odrzekła spokojnie. Pani Stefanou kiwnęła głową.

- Bardzo dobrze. Możemy iść dalej.

Kolejny wąski tunel szerokości trumny. Tracey z mozołem pokonywała tę własną Via Dolorosa. W końcu dotarła do szczytu schodów. Tu o wiele szerszy podest, coś w rodzaju przedpokoju, miał podłogę z białych, marmurowych płyt. Zobaczyła też cztery pary drzwi, po jednej w każdej ścianie. Jedne z nich, podwójne, prowadziły na zewnątrz i znajdowały się tuż obok otwartego okna, przez które do wnętrza wlewało się światło słoneczne.

Po słabych lampkach elektrycznych w tunelu jasność była oślepiająca. Tracey osłoniła twarz ręką. Z otwartego okna buchał żar. A jednak pani Stefanou, mimo czarnego kostiumu,

zdawała się wcale nie odczuwać upału. Spokojna i opanowana, z każdym włosem na swoim miejscu, nie była ani odrobinę spocona.

- Te oczywiście prowadzą na zewnątrz - wyjaśniła, otwierając podwójne drzwi na taras z widokiem na kalderę - natomiast te - dodała, przecinając wyłożony marmurem przedpokój i wchodząc na cztery marmurowe stopnie - do pani gabinetu.

Otworzyła drzwi i przytrzymała je wyciągniętą ręką, tak by Tracey mogła zajrzeć do środka.

Czując lodowaty podmuch klimatyzacji, omal nie zaczęła pomrukiwać z rozkoszy. Pomieszczenie, choć niewysokie, było obszerne, jasne i sprawiało bardzo miłe wrażenie. Najwyraźniej całkiem niedawno przekształcono je na gabinet do pracy.

To na mój przyjazd, pomyślała Tracey nie bez dumy.

- Mogę? - zapytała, robiąc lekki gest w kierunku wnętrza. Pani Stefanou wzruszyła ramionami, co, jak się Tracey później przekonała, stanowiło jej zwykłą reakcję.

- Proszę.

Tracey weszła do środka, podczas gdy gospodyni czekała przy drzwiach. Tutaj, pomyślała, przez kilka najbliższych miesięcy będą spędzała długie godziny, pracując.

Przede wszystkim podeszła do oszklonych drzwi z tradycyjnymi greckimi zasłonami w białe - niebieskie pasy. Uchyliła je odrobinę i wyjrzała. Na widok tego, co zobaczyła na zewnątrz, wydała okrzyk zachwytu. Za drzwiami rozciągał się wykładany kamkami taras, na którym stał komplet ciemnoczerwonych mebli: nieduży, okrągły stół, dwa krzesła z ażurowymi oparciami, wielki, kawiarniany parasol, a dla czcicieli słońca składany, drewniany leżak, obciążony płowozłotym płótnem, zwrócony w stronę kaldery. Dodatkową ucztę dla oczu stanowił widok dwóch niższych tarasów z rozpiętą na pergolach bugenwillą, basenu, który niemal zawisł nad kalderą, i wreszcie rozciągająca się na wprost oszałamiająca panorama wyspy, warta kilka milionów dolarów.

Gabinet z widokiem, pomyślała Tracey. To był coś więcej niż zwyczajny widok. Żeby się nim nasycić, ludzie pokonywali tysiące kilometrów.

Zamknęła drzwi i wolno obeszła pokój dookoła. Najniezbędniejsze meble, żadnej wystawności. Na samym środku zestawiono kilka starych stołów kuchennych, dzięki czemu powstał ogromny blat do pracy. Przy jednym z jego końców stały dwa nowoczesne, ergonomiczne krzesła, wyznaczając miejsce, gdzie miała siedzieć i pracować.

Kontynuowała swój obchód. Z uznaniem popatrzyła na komputer, najnowszy model IBM Aptive, obok którego stała drukarka Hewlett Packard DeskJet. Jak dotąd, doskonale.

Rzuciła okiem na klawiaturę, żeby sprawdzić, czy litery aby na pewno są łacińskie, a nie greckie.

- Komputer ma dostęp do Internetu - odezwała się pani Stefanou od drzwi - jednak bylibyśmy wdzięczni, gdyby używała go pani wyłącznie do celów związanych z pracą. Z wiadomych względów zazdrośnie strzeżemy naszego adresu e - mailowego.

- Nie zapomnę o tym - obiecała Tracey.

Na stołach tworzących „biurko” znajdowało się wszystko, czego mogłaby potrzebować. Telefon. Tradycyjne wyposażenie warsztatu pisarza: ryzy białego papieru, żółte karteczki samoprzylepne, notatniki rozmaitych rozmiarów, wszystkie w eleganckich, różnokolorowych, marmurkowych obwolutach.

I wreszcie coś, co ku przerażeniu Tracey wyglądało na prawdziwe antyki: attycka *oinochoe* - mały, terakotowy dzbanuszek w kształcie trójwymiarowej główki kobiecej, z domalowanymi rysami twarzy, wypełniony długopisami, *lekythos* z delikatnym rysunkiem przedstawiającym uskrzydloną postać grającą na lirze, z którego sterczały dwa świeżo zatemperowane ołówki, i wreszcie *skyphos* - zielony, glazurowany kubek pełen różnobarwnych spinaczy biurowych.

- Proszę, niech mi pani powie... to,, to chyba nie są autentyki? - zapytała Tracey, wskazując palcem budzące jej obawę przedmioty na stole.

Pani Stefanou popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Ależ oczywiście, że są - powiedziała głosem, w którym brzmiało zdziwienie, że Tracey w ogóle może o to pytać. - *Oinochoe* i *lekythos* powstały pięć tysięcy lat przed Chrystusem.

Święci Pańscy, pomyślała Tracey, a jeśli przypadkiem stłukę którąś z tych rzeczy? Przecież ich nie odkupię w najbliższym sklepie papierniczym za rogiem. Boże, Boże, gdzie się podziały stare, pocziwe, plastikowe pojemniki na ołówki albo najzwyczajsze słoiki po dzemie?

Z boku, na dwóch drewnianych tacach do drinków leżały trzy stosy papieru, każdy przyciśnięty gładkim, okrągłym, szarym kamieniem. Szybko przekartkowała pierwszy z nich, noszący ślady częstszego przeglądania. Był to maszynopis Uranii. Drugi plik, identycznej wielkości, czystszy i najwyraźniej niedawno wydrukowany, stanowił jego kopię, być może z najnowszymi zmianami i poprawkami.

Trzeci, mniejszy, choć także okazały, wydrukowano na papierze firmowym. Tracey rzuciła na niego okiem. Uwagi redakcyjne, całe mnóstwo uwag.

- Miss Sullivan? Czy zechce pani obejrzeć teraz swój pokój? Tracey przytaknęła.

Pokonały ostatni ciąg schodów. Wiatrak, bielony wapnem i kryty strzechą, mógł być każdym z wiatraków na każdej z setek greckich wysp. Niejeden turysta dałby wiele za możliwość zamieszkania w tak niezwykłych warunkach. Jednakże Tracey z chwilą przekroczenia jego progu poczuła gwałtowny atak agorafobii.

Do tej pory, co było nawet dziwne, jeśli wziąć pod uwagę niemal całkowicie pionowe ukształtowanie wyspy, lęk wysokości nie dał jej się zbytnio we znaki, w wiatraku jednak uderzył nagle z podwójną siłą.

Starając się zwalczyć jakoś panikę, odchyliła głowę jak najdalej do tyłu i popatrzyła prosto w górę. To był błąd. Uświadomiła to sobie, czując drżenie w całym ciele. Miała wrażenie, że stoi na dnie ogromnego, mającego kilka metrów średnicy gara do gotowania makaronu, ze ściankami co prawda nie z aluminium, tylko z bielonego kamienia, urozmaiconymi niewielkimi okienkami na różnych wysokościach.

Z kamiennych ścian wystawały drewniane stopnie bez żadnej balustrady, poręczy czy czegokolwiek do przytrzymania. Otaczały mur spiralą biegnącą nieprzerwanie ku samej górze, aż do stryszku, wyglądającego jak idealnie okrągły placek ciasta, z którego ktoś wyciął jeden regularny trójkąt, żeby zrobić otwór dla schodów.

W prześwicie widać było wyższą część wiatraka, aż po wieńczący go płytki stożek dachu krytego gontem.

Tracey wiedziała, że żadna siła nie zmusi jej do wejścia na górę. Nawet gdyby schody miały balustradę i poręcz, przyszloby jej to z trudem. Ale iść po stopniach po prostu wystających ze ściany? W dodatku bez żadnej asekuracji?

- Mam nadzieję, że wszystko w porządku? - zainteresowała się pani Stefanou.

Zaskoczona Tracey odwróciła się gwałtownie. Była tak zajęta swoją fobią, iż kompletnie zapomniała, że nie jest tu sama.

Przeciwnie, nic nie jest w porządku, cisnęło jej się na usta. Obawiała się jednak ujawnić przed panią Stefanou swoją fobię, podejrzewając, że gospodyni w przyszłości może to wykorzystać. Nic nie powie tej zimnej rybie.

- Och... to... ten wiatrak jest wyjątkowy - wykrztusiła z trudem, mając nadzieję, że udało jej się ukryć strach. - Nigdy jeszcze nie widziałam niczego podobnego.

- Istotnie jest wyjątkowy - zgodziła się pani Stefanou.

Ale jej twarz miała niesympatyczny wyraz, a ciemne oczy pod powiekami obwiedzionymi grubą kreską spoglądały badawczo. Tracey odnosiła wrażenie, że ta kobieta przenika jej najgłębiej utajone sekrety.

- Proszę mi pozwolić pokazać sobie całą resztę - powiedziała pani Stefanou oschle. - Sypialnia jest oczywiście na górze. Tam też stoją szafa i komoda. Stavros już chyba zaniósł pani bagaże.

Tracey bez słowa skinęła głową, jednocześnie modląc się w duchu: o Boże, zrób coś, nie pozwól tej kobiecie wciągnąć mnie na schody.

- Zaraz przyślę tu Iliki, pokojówkę - kontynuowała pani Stefanou. - Pomoże pani się rozpakować.

- Naprawdę nie ma takiej potrzeby - zaprotestowała Tracey. - Zawsze sama zajmuję się swoimi rzeczami.

Widząc uniesione z dezaprobatą brwi gospodyni, poprawiła się skromnie:

- Ja... ja nie ukrywam, że nie przywykłam do obsługi - zakończyła niezręcznie.

- Mimo to istnieją pewne standardy, których powinniśmy przestrzegać, prawda? No więc to należy do obowiązków Uiki. - Wargi pani Stefanou rozciągnęły się w coś, co można by potraktować jako uśmiech zabarwiony odrobiną pogardy. Rodzaj przypomnienia, że Tracey jest gościem gorszego gatunku?

Ale ja wcale nie jestem gościem, powiedziała sobie w duchu dziewczyna. Przyjechałam tu do pracy. Właściwie należę do personelu. W tym momencie padły wreszcie straszliwe słowa:

- Myślę, że pragnie pani pójść teraz na górę.

Tracey poczuła ostre ukłucie w dole brzucha, a w gardle dławiący ucisk. O mój Boże. I nagle błysk boskiego olśnienia.

- Na górę - powtórzyła, mając nadzieję, że pani Stefanou w jej głosie usłyszy wyłącznie niechęć do sprawiania kłopotów. - Hm, obawiam się, że tu może wyniknąć pewien problem.

- Tak? - Gospodyni założyła ręce na piersi, przybierając swoją ulubioną pozę. - A jaki, mianowicie?

- Cóż, mam nadzieję, że nie powie pani o tym nikomu. To takie niedorzeczne. Widzi pani, zdarza mi się chodzić we śnie.

- Jak to?

Tracey nie była pewna, czy gospodyni dobrze ją zrozumiała.

- Chodzi pani we śnie? Jakie to osobliwe.

- Raczej denerwujące. Te wszystkie stopnie tutaj i jeszcze kamienna posadzka na dole... - Westchnęła. - Chyba nie odważę się spać na górze. Przypuśćmy, że wstałabym w

nocy i coś by mi się przytrafiło. Nie chciałabym, aby panią Vickers obarczono winą za mój wypadek.

- To nad wyraz osobliwe. Ale rozumiem pani obiekcje.. Wobec tego musimy umieścić panią gdzie indziej.

- Och nie! - zawołała Tracey. - Nie chciałabym sprawiać kłopotu. Szalenie mi się podoba w tym wiatraku - ciągnęła, mając nadzieję, że nie wygląda to na szyte zbyt grubymi nićmi kłamstwo. - Nigdy nie miałam okazji mieszkać w podobnym miejscu.

- Tak? - Jej rozmówczyni nie wyglądała na przekonaną.

- Po prostu będę spała na dole, na materacu.

Tą decyzją zarobiła na spojrzenie pełne najwyższego lekceważenia.

- Ależ to materace do leżakowania. Widzi pani, jakie są wąskie? Nie nadają się do spania. To oczywiste, że musi pani mieć odpowiednie łóżko.

Tracey łagodnie, lecz stanowczo upierała się przy swoim.

- Ależ pani Stefanou, w moim kraju uważane są za wyśmienite łóżka. Kiedy podczas studiów w Nowym Jorku wynajmowałam mieszkanie z koleżankami, sypiałyśmy właśnie na takich materacach. To mi naprawdę wystarczy.

Pani Stefanou wyglądała na kompletnie zbitą z tropu. Widać nieczęsto zmuszona była ustępować.

- No dobrze - skapitulowała w końcu. - Skoro pani nalega.

Nareszcie sama.

Pani Stefanou poszła - chwala wszystkim antycznym bogom. Stavros z jakimś drugim mężczyzną znieśli na dół szafę i bez zbędnych dyskusji postawili ją na miejscu, gdzie przedtem znajdował się materac, który Iliki położyła na drugim, tworząc coś w rodzaju wygodnego łóżka z podwójnym podgłówkiem.

Szafa, z podwójnymi drzwiami, oferująca mnóstwo miejsca na ubrania, zachwyciła Tracey. Na dole miała dwie dodatkowe, głębokie szuflady, stała na kulistych, toczonych nóżkach, a od góry wieńczyła ją bogato rzeźbiona nadstawa.

Tracey wręczyła obu mężczyznom po pięć euro - około pięciu dolarów. Najpierw obaj grzecznie odmówili, ale kiedy nie przestawała nalegać, Stavros zerknął przez ramię na otwarte drzwi, sprawdzając, czy nikt nie patrzy, po czym błyskawicznie zamknął banknot w dłoni. Jego towarzysz uczynił to samo.

- *Efcharistó* - powiedzieli jak na komendę, wychodząc.

- *Efcharistó* - odrzekła Tracey, zyskując ich pełne aprobaty spojrzenie.

Zamknawszy za nimi drzwi, postanowiła zacząć od rozpakowania rzeczy. Otworzyła szyfrowy zamek torby z laptopem i zaczęła wyjmować swoje skarby, jeden po drugim. Kiedy doszła do fotografii, ostrożnie wzięła ją do ręki, odwinęła z bibułki i z miłością popatrzyła na twarz ojca. Musiała się uśmiechnąć.

Boże drogi, tato, ależ był z ciebie przystojny facet. To cud, że nie ożeniłeś się ponownie. Nie, nie mogłeś tego zrobić. Przecież miałeś mnie, niczym łańcuch zawieszony u szyi, więc wszystko robiłeś wyłącznie z myślą o mnie. Nie chciałeś, aby twoja miłość do samolubnej córeczki osłabła, gdy część uczuć ofiarowałbyś komuś innemu. Nie chciałeś narażać mnie na szok związany z pojawieniem się w twoim życiu innej kobiety.

Odłożyła fotografię i sięgnęła po kopertę zawierającą fotokopie oficjalnych dokumentów. To były jej dowody. Wreszcie wzięła do ręki album ze zdjęciami, które mogły stanowić potwierdzenie podejrzeń co do tego, kim była, albo - gdyby rzeczywistość okazała się inna - kim nie była.

Zebrała razem wszystkie tak cenne dla niej przedmioty i zaczęła się zastanawiać, gdzie je umieścić, aby nie były zbyt widoczne. Obeszła okrągły pokój, czując, że odetchnie spokojniej dopiero wówczas, kiedy znajdzie bezpieczny schowek dla swoich skarbów. Pod materacem? W rzeźbionej komodzie nakrytej haftowaną serwetą? Pod złożonymi ubraniami w jednej z szuflad szafy?

Rozwiązanie nasunęło jej się niemal natychmiast. Szafa, którą zniósł Stavros. Była na tyle wysoka, że z dołu nikt nie mógł zauważyć ułożonych na niej rzeczy, zwłaszcza że rzeźbiona nadstawa z przodu stanowiła jakby rodzaj parawanu. Ponadto szczęśliwym zrzędzeniem losu Stavros ustawił szafę tak, że góra była niewidoczna także dla kogoś stojącego na schodach.

Tracey porwała jedno z krzeseł z ażurowym oparciem. Nawet stojąc na nim, nie widziała wierzchu szafy, mogła tylko dotknąć go palcami, sięgając ponad zwieńczeniem.

Jeden po drugim umieściła swoje skarby na górze. Na samym końcu położyła fotografię ojca, ucałowawszy najpierw zimne szkło.

Pomyślała, że powinna jeszcze schować kopię powieści, tak na wszelki wypadek. Co prawda nie przypuszczała, aby coś mogło się stać z dyskieta, ale uznała, że nadmiar ostrożności nie zaszkodzi. Wyciągnęła ją z laptopa i schowała na szafie obok innych cennych przedmiotów.

Schodząc z krzesła, zerknęła przypadkowo w stronę drzwi balkonowych i dalej, w okno naprzeciwko. Mogła przez nie dojrzeć kawałek bladożółtej, tynkowanej ściany,

wielkości znaczka pocztowego, z maleńkim, zamkniętym łukiem okienkiem zabezpieczonym pomalowaną na niebiesko żelazną kratą.

Pamiętała tamten budynek dość dokładnie. Przylegał do białego muru, oddzielającego posesję Uranii od sąsiedniej. W myślach nazwała go wieżą. Zwrócił jej uwagę, gdyż mimo wesołych skrzynek wypełnionych geranium w oknach, miał w sobie coś odpychającego i przypominał Tracey więzienie. Może z powodu tych małych, zakratowanych okienek.

Jednak teraz jej wzrok przykuło coś zupełnie innego. Za żelazną kratą dostrzegła bladą twarz i dwie ręce chwytające się prętów. Okno znajdowało się zbyt daleko, a światło padało pod niewłaściwym kątem, tak że nie potrafiła rozpoznać rysów tej osoby. Nie wiedziała nawet, czy to mężczyzna, kobieta czy dziecko. Jeszcze raz zerknęła na górę szafy, a potem w kierunku tamtego okna. Twarz zniknęła. A może... może tylko wyobraziła ją sobie? Może nie było żadnej twarzy, tylko zmęczone po podróży oczy spletały jej figla?

Zeszła z krzesła i odstawiła je na miejsce przy stole. Zamknęła torbę z laptopem i postawiła ją na podłodze. Zdjęła z siebie ubranie. Najwyższy czas się odświeżyć. Czyż pani Stefanou nie wspominała, że po nią przyjdzie?

W łazience weszła boso pod prysznic.

Wykąpała się szybko, pamiętając o problemach z wodą, po czym wróciła do głównego pomieszczenia wiatraka. Otworzyła walizkę i zaczęła wyjmować ubrania. Uznała, że najlepsze będą szare spodnie od garnituru, nieco workowate i w męskim stylu, oraz biała, zapinana z przodu bluzka z długimi rękawami. Wsunęła ją w spodnie i kilkakrotnie podwinęła mankiety. Jeszcze białe, skórkowe pantofle z wąskimi czubkami i biała torebka kopertówka, przypominająca portfele cyklistów, przypięta zatrzaskiem do pierwszej szlufki paska.

Nie miała pojęcia, jaki styl tu obowiązuje, nie pozostawało jej więc nic innego, tylko zdać się na własną intuicję.

Nagle rozległo się zdecydowane stukanie do drzwi, a przytłumiony głos zawołał:

- Miss Sullivan!

Cholerna baba. Pewnie przyszła co do minuty. Makijaż musi poczekać. Tracey przesunęła dłońmi po włosach, pospieszyła do drzwi, niewiele myśląc, otworzyła je szeroko i spojrzała wprost w rozprężone słońce.

- Och! - jęknęła, odwracając oczy, jednak nie dość szybko. Osłoniła dłonią powieki i zaczęła mrugać, żeby przyzwyczaić wzrok do jaskrawego światła. Po drugiej stronie drzwi ujrzała panią Stefanou. Jasne włosy miała jak zwykle nienagannie ułożone.

- Madame czeka.

- Jeszcze sekunda i będę gotowa. Proszę wejść.

Zostawiając otwarte drzwi, Tracey pospieszyła do łazienki, zapaliła wszystkie światła i zbliżyła twarz do lustra. Mogła być niemal oślepią, ale przecież nie całkiem ślepa, tak że z miejsca zauważyła, że makijaż stanowczo wymagał odświeżenia. Niestety to z kolei wymagało czasu, a tego właśnie nie miała.

Wobec tego wybrała opcję zupełnie przeciwną. Przejechała po twarzy namydloną gąbką, całkowicie rezygnując z podkładu, różu, błyszczyka do warg i całej reszty, po czym opłukała ją zimną wodą i osuszyła ręcznikiem.

- Mm - mruknęła, przypatrując się sobie ze wszystkich stron. Efekt wypadł zadowolająco: młoda, poważna, pełna energii osoba.

Zmoczyła włosy, przyklepała dłońmi i założyła za uszy.

Koniec.

Chociaż czas naglił, jeszcze raz pochyliła się do lustra, na ostatnie, krytyczne oględziny. Widok własnego odbicia utwierdził ją w przekonaniu, że jest ubrana może niezbyt ortodoksyjnie, jednak z pewnością szykownie. Męskie spodnie i koszulowa bluzka zamiast tuszować jej kobiecość, raczej ją podkreślały, pozwalając jednocześnie zaprezentować wrodzony wdzięk oraz zdecydowanie i rzeczowość.

A co ważniejsze, nie mogła zostać oskarżona o próbę przyćmienia gwiazdy. Doskonale rozumiała, że tego raczej nie należy próbować. Wychodząc z pokoju, czuła się znacznie pewniejsza siebie.

Nawet pani Stefanou musiała powściągnąć swój zwykły wyraz posępnej dezaprobaty. Najwidoczniej nigdy nie spotkała się z tym rodzajem elegancji i nie wiedziała, jak na nią zareagować.

Gospodyni ruszyła przodem. Tym razem nie wybrała ani zewnętrznych schodów, ani stopni w skale, tylko zupełnie inną trasę - połączonymi tarasami na najwyższym poziomie, prowadzącymi aż do najodleglejszego, północno - zachodniego krańca willi, tam gdzie posiadłość kończyła się murem, przylegającym do minimarketu.

Po drodze pani Stefanou tłumaczyła Tracey „tradycję obowiązującą w tym domu”, czyli innymi słowy reguły i zasady, jakich należy przestrzegać.

- Madame jest gwiazdą o międzynarodowej sławie, co powoduje bezustanne problemy z paparazzimi, prasą bulwarową, natrętnymi wielbicielami, a nawet ludźmi naprawdę niebezpiecznymi... zapomniałam tego wyrazu, jakim posłużyła się policja... szaleńcami.

- Prześladowcami? - podsunęła Tracey usłudźnie.

- Właśnie. Jednak najgorsi okazali się niektórzy goście i pracownicy, wykorzystujący nasze zaufanie, żeby wzbogacić się kosztem madame. Od tej pory robienie zdjęć na terenie

willi jest całkowicie zabronione. - Popatrzyła na Tracey znacząco. - Po drugie, zamiejscowe rozmowy telefoniczne wymagają zezwolenia. Ponadto absolutnie nie wolno pani zdradzać nikomu tutejszego numeru telefonu. Pod żadnym pozorem i bez względu na okoliczności. Czy to jasne?

Tracey ponownie skinęła głową. Czy będzie mi potrzebny paszport, kiedy zechcę iść do łazienki? - zaczęła się zastanawiać.

- Po trzecie, musi pani posługiwać się tym. - Pani Stefanou wręczyła Tracey coś, co wyglądało na białą kartę kredytową z magnetycznym paskiem z tyłu. - To klucz do bramy, taki jak w hotelu. Elektroniczny. Używała pani kiedyś czegoś takiego?

- Tylko w hotelach.

- Tak, ale... dom, brama... klucz pozostaje kluczem.

Tracey otworzyła torebkę, włożyła kartę do zamykanej wewnętrznej kieszonki, zasunęła zamek, zatrzasnęła torebkę i ponownie włożyła ją za pasek.

- W razie potrzeby proszę używać wewnętrznej sieci telefonicznej. Zero dwa to mój numer, Stavros ma zero trzy, Iliki zero cztery. Madame, oczywiście, zero jeden.

- To nie powinno być trudne do zapamiętania.

Pani Stefanou tylko machnęła ręką. Minęły kolejny taras. Kilka metrów przed murem oddzielającym posesję Uranii od sąsiedniej znajdowały się dwa razy ostro zakręcające „fruwające schody”, z wąskimi, betonowymi stopniami i niską, otynkowaną balustradą, prowadzące na niższy poziom.

Podczas schodzenia Tracey kilkakrotnie zerknęła za mur, za którym znajdowała się dwupoziomowa willa, wzniesiona na posesji za minimarketera, nieco w dole. Chociaż zbudowana w stylu lokalnym, z bielonymi ścianami i kopułowymi dachami, miała nowoczesne, oszklone drzwi i tarasy wykładane białym marmurem, a zamiast drewnianych poręczy czy niskich, gipsowych murków, klasyczne balustrady.

- Do kogo należy ten dom? - zapytała z ciekawością.

- Do pewnego angielskiego dżentel... - Wyraz twarzy pani Stefanou nie zmienił się, ale w głosie zabrzmiała wyraźna dezaprobatą. - No cóż, powiedzmy, że do pewnego dżentelmena - zakończyła tonem ucinającym wszelką dyskusję.

Tracey popatrzyła w przeciwny koniec posiadłości Uranii i dostrzegła, że mur odgradzający willę z tamtej strony przylega do wieży w kolorze piaskowca, tej samej, w której oknie zobaczyła bladą twarz. Albo przynajmniej wydawało jej się, że zobaczyła. Drewniane, pomalowane na ciemnoczerwony kolor drzwi osadzone w białej ścianie zdradzały, że między obiema posesjami istnieje połączenie.

- A tam? - pokazała gestem. - Kto mieszka w tamtej wieży?

- W wielu miejscach ciekawość może uchodzić za zaletę - oświadczyła pani Stefanou karcąco - jednakże u nas, na Santorynie, mieszkamy dosłownie jeden na drugim i jeden obok drugiego, więc szanujemy nawzajem naszą prywatność i nie zadajemy zbyt wielu pytań. Poza tym tamta wieża jest bez znaczenia. Jej mieszkańcy także.

Tracey nie dała się tak łatwo zbyć. Owo domostwo zbyt ją intrygowało, zwłaszcza odkąd zobaczyła drzwi.

Skoro mieszkańcy wieży są bez znaczenia, dlaczego obie wille są połączone drzwiami? - zapytała w duchu. Być może kiedyś była to nawet jedna parcela, którą później podzielono. Tylko czemu nie zamurowano wówczas przejścia? Dlaczego nie zlikwidowano drzwi?

- Ale kto tam mieszka? - powtórzyła pytanie.

- Wydaje mi się, że ktoś z niej korzysta od czasu do czasu - powiedziała pani Stefanou wymijająco. - Głównie używana jest jako magazyn. Zdaje się, że madame także przechowywała tam jakieś skrzynie i meble. - Zatrzymała się w połowie drugiego ciągu schodów i sięgnęła do kieszeni czarnego, jedwabnego żakietu. - To dla pani - powiedziała, wręczając Tracey niewielki, czarny pager.

Zdumiona dziewczyna wzięła go do ręki i zaczęła oglądać.

- Co to takiego?

- Zarówno w obrębie tych murów, jak i wówczas, kiedy znajdzie pani trochę czasu na zwiedzanie wyspy czy zakupy, proszę się upewnić, że przez cały czas ma pani pager przy sobie - wyjaśniła gospodyni surowo. - To polecenie madame. Wszyscy nosimy pagery, jak pani widzi. - Odchyliła połę żakietu, pokazując swój, przypięty do spódnicy.

Tracey przytaknęła i posłusznie umocowała pager przy pasku spodni.

Przyspieszyły kroku, przechodząc na najniższy poziom, z ogromnym tarasem wyłożonym płytkami. Od tej strony schodów basen widoczny był tylko w połowie. Na dole pani Stefanou wyciągnęła rękę. Urania czekała w cieniu parasola.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Urania siedziała na jednym z leżaków przy basenie, Tracey na sąsiednim. Oba miały oparcia uniesione do pozycji półpionowej i stały idealnie w tej samej linii. Do bocznych były przymocowane niewielkie tacki, teraz wysunięte. Zimne szklanki zostawiały ciemne, wilgotne kółka na tekowym drewnie.

Tracey piła wodę z lodem. Urania najpierw poprosiła Iliki o campari z szampanem, potem jednak doszła do wniosku, że jest jeszcze za wcześnie.

- Niech będzie campari z wodą sodową - zdecydowała.

Za chwilę jednak ponownie zmieniła zdanie i w rezultacie sączyła przez słomkę *café fredo* z wysmukłej szklanki.

Sięgnęła po pozłocaną papierośnicę, otworzyła ją z trzaskiem, wybrała długą, cienką cygaretkę i zatrzasnęła wieczko. Kolejny trzask towarzyszył zapaleniu złotej zapalniczki.

Wypuściła kłęb dymu. Niewiele brakowała, a Tracey wykrzywiłaby się z odrazą. Mimo doskonałego tytoniu - Nat Sherman - i wytwornej zapalniczki - od Cartiera - zapach papierosowego dymu skaził cudownie czyste powietrze.

Gwiazda obróciła się na poduszce i obserwowała chwilę Tracey przez przyciemnione szkła.

- Mark bardzo cię ceni. Powiada, że jesteś niezmiernie utalentowana.

Tracey, wyczulona na każdą wskazówkę, z której wynikałoby, że jej pracodawczyni oczekuje odpowiedzi, uznała, że tym razem nie powinna się odzywać. Urania najwyraźniej wyznaczyła jej rolę raczej biernej słuchaczki niż pełnoprawnej uczestniczki konwersacji. Niemniej jednak ta pochwała sprawiła, że zrobiło jej się ciepło na sercu.

- Czy mogę być z tobą całkowicie szczerą? - zapytała Urania, wypuszczając dym nozdrzami.

Tracey spięła się momentalnie.

- Tak, oczywiście - powiedziała, myśląc jednocześnie: a cóż innego mogłabym odpowiedzieć?

- Nie jesteś superpowałająca. To punkt na twoją korzyść, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Nigdy nie miałam w zwyczaju zapraszać lisa do kurnika. - Błyszczące usta mocniej ścisnęły cygaretkę, w powietrzu zawisła kolejna smuga dymu. - Pewnie już to zauważyłaś, prawda?

Aż ją zatkało z wrażenia. Wprost nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Choć trzeba przyznać, że masz wycucie stylu i na swój sposób jesteś atrakcyjna. A to, przypadkiem, kolejny punkt na twoją korzyść. - Urania strzepnęła popiół do popielniczki i popatrzyła wprost przed siebie, na kalderę. - Widzisz tę wysepkę, tam, na samym środku? - Zrobiła gest ręką z papierosem, mimowolnie kreśląc w powietrzu zakrętas dymu.

Tracey spojrzała we wskazanym kierunku. - Tak.

- To wulkan Nea Kameni, nadal czynny. Para, siarka, gorące źródła. Można się tam dostać łodzią. Wyznaczono nawet kilka miejsc do pływania. Dosłownie czujesz, jak w miarę zbliżania się do centrum temperatura wody rośnie. A podczas gdy wewnątrz wszystko wrze i bulgocze, my siedzimy tutaj, wierząc, że jesteśmy niezniszczalni i wyzywając los, bo przecież wiemy, że w każdej chwili może dojść do erupcji.

Z miejsca, gdzie siedziały, Nea Kameni sprawiał wrażenie oazy spokoju.

- Więc...

Urania mówiła opanowanym głosem, ale usiadła wyprostowana, z głową zwróconą w kierunku Tracey. Jej słynne fiołkowe oczy błyszczały za ciemnymi szklami. Wyraźnie badała/reakcję swojej nowej pracownicy. Drażniła się z nią czy też próbowała znaleźć jej słabe punkty, tego już nie zdradzała.

- Co o tym myślisz, kochanie? Czy balansowanie na krawędzi niebezpieczeństwa, życie na nieustannej łasce matki natury budzi twój niepokój? A może porusza jakies głęboko ukryte struny? Powiedz mi, jak to odbierasz?

To proste, pomyślała Tracey i uśmiechając się lekko, odstawiła szklankę.

- Kaprysy matki natury są mi doskonale znane. Nie zapominaj, że pochodzę z Miami, tej niewielkiej kotlinki w samym sercu huraganowego szlaku.

- Och, rzeczywiście! - wykrzyknęła z emfazą Urania. - Jak mogłam zapomnieć? Mark mówił, że jesteś z Miami. Tak, to nas łączy... obie mieszkamy w rejonach nawiedzanych przez kataklizmy.

- Rzeczywiście.

- Czy one także są przerażające?

- Co? Huragany? Urania skinęła głową.

- Tak naprawdę, zawsze bałam się ich mniej, niż powinnam. Myślę, że to zasługa mojego ojca. W momentach zagrożenia zawsze wykazywał zimną krew - powiedziała Tracey. Dopóki nie doszło do walki z Palm Coast Developers, Inc., dodała w duchu.

- Co się stało? - zapytała Urania. Wyglądała na autentycznie zatroskaną. - Nagle posmutniałaś.

Spostrzegawczość gwiazdy zaskoczyła dziewczynę.

- Naprawdę?

- Z całą pewnością - skonstratowała Urania sucho. - Jestem wyczulona na wszelkie emocje. Kwestia zawodowej wprawy.

Tracey nie zdawała sobie sprawy z tego, że jej uczucia tak łatwo dawały się rozszyfrować. Ale przecież Urania była aktorką, nieustrudzenie śledzącą wyraz twarzy i subtelne zmiany nastroju innych ludzi, dla większości nawet niedostrzegalne - tak by móc je później wykorzystać, kiedy będzie tego wymagała sytuacja na planie.

- Myślałam o moim ojcu - wyjaśniła cicho Tracey.

- Tak? - zachęciła ją Urania.

- On... on umarł całkiem niedawno. Wiele jeszcze czasu upłynie, zanim się z tym pogodzę. Bardzo mi go brakuje.

- Musieliście być ze sobą ogromnie zżyci. Pewnie bardzo go kochałaś. - Głos Uranii brzmiał miękko.

- Tak. - Tracey uśmiechnęła się ze smutkiem. - Nadal go Kocham. Miłość nie kończy się wraz ze śmiercią bliskiej osoby.

Nastąpiła chwila milczenia. Gwiazda strzepnęła popiół do popielniczki, zaciągnęła się cygaretką i wypuściła kłąb dymu.

- A twoja matka? - zapytała.

Właściwie powinna była spodziewać się tego pytania, a mimo to poczuła się zaskoczona. Stanowiło doskonały pretekst do zapytania aktorki o to, czy kiedykolwiek miała dzieci. Ale jeszcze nie teraz. Później, znacznie później. Teraz bez wątpienia wyszłaby na zwykłą ciekawską.

- Ja... - Tracey przełknęła ślinę, wpatrując się w przestrzeń. - Ja nie znałam mojej matki - powiedziała nieco drżącym głosem.

- Och, jakże mi przykro. Domyślam się, że to ojciec cię wychował. - Tak.

- Boże drogi, jakie to niezwykle. Samotny ojciec. - Urania pokiwała głową. - Wiesz, ja tego po prostu nie rozumiem. Kiedy byłam młoda, pewne rzeczy wyglądały zupełnie inaczej. To znaczy, kiedy byłam młodsza - poprawiła się szybko. - Nawet rozwody należały wówczas do rzadkości. A teraz? W Stanach samotne matki to niemal epidemia. Ktoś mi mówił, że ostatnio samotny rodzic to znacznie częstsza sytuacja niż pełna rodzina. Czy to prawda?

- Nie wiem, nie potrafię powiedzieć. Nie znam danych statystycznych.

- Aha! - Aktorka wyjęła z ust cygaretkę i odwróciła w stronę Tracey, ściągając okulary na czubek nosa. - Czyżbyś należała do tych, którzy wszystko sprawdzają, zanim coś powiedzą?

- Nawyk wyniesiony z pokoju newsów.

- Z pokoju newsów? - Cofnęła się gwałtownie niczym wampir przed promieniami słońca. - Tylko mi nie mów, że jesteś cholerną reporterką!

- Nie, nie jestem - zapewniła ją Tracey - ale studiowałam dziennikarstwo informacyjne, a później pracowałam jako asystentka w stacji telewizyjnej w Miami. Zarówno w szkole, jak i w pracy wbijano mi do głowy, że nieważne, jak wiarygodne jest źródło, każdy fakt i tak należy sprawdzić dwa razy.

Urania prychnęła. Uspokoila się nieco, ale wspomnienie dotychczasowych złych doświadczeń z mediami wyraźnie zwarzyło jej nastrój. Popchnęła okulary z powrotem na czubek nosa i utkwivszy wzrok w kalderze, westchnęła przeciągle, wypuszczając kłęb dymu.

- Dlaczego nigdy nie potrafię uwolnić się od reporterów? Czyhają na mnie dosłownie wszędzie, za każdym drzewem, pod każdym krzakiem. Chryste, nie uwierzysz nawet, co przez nich musiałam przechodzić. Te historie na mój temat w rozmaitych szmatławcach, ci paparazzi z teleobiektywami, robiący wszystko, byleby tylko pstryknąć mi jakąś cholerną fotkę! I te bezustanne ataki na moją prywatność.

- Brzmi okropnie - przyznała Tracey.

- Okropnie? - Urania roześmiała się z rozdrażnieniem. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka to męka. Co powiesz na przykład o tym?

- Ze złością rozgniotła niedopałek w popielniczce. - Miałam willę na Ibizie. Nie na wybrzeżu, tylko w głębi lądu. Zupełnie na uboczu, żeby nikt nie zakłócał mojej prywatności.

- I udało się?

- Do diabła, wcale. Jeden z tych wścibskich, obleśnych bękartów całymi dniami i nocami czatował z aparatem w ruinach opuszczonej farmy na wzgórzu, kilkaset metrów od mojego domu. I co robił?

- Urania parsknęła z wściekłości. - Czekał, aż zacznę się rozbierać.

Tracey aż otworzyła usta.

- Niemożliwe.

Gwiazda uniosła prawą rękę.

- Przysięgam na Boga. Zrobił mi zdjęcia topless przez otwarte okno sypialni. Mojej własnej, nieoświetlonej sypialni. W nocy, aparatem na podczerwień. Co na to powiesz?

- Ale... to jest oburzające - wybełkotała Tracey. - Wbrew prawu.

- Takie właśnie jest twoje dziennikarstwo - powiedziała Urania z pełnym wyższości uśmiechem.

- Zdumiewające, że go nie zabiłaś.

- Gdybym tylko wiedziała, że to małe gówno tam się czai, pewnie bym tak zrobiła. - Usta gwiazdy wykrzywiły się w drapieżnym uśmiechu. - Ale uderzyłam tam, gdzie naprawdę boli. Po kieszeni. Wytoczyłam proces piśmidłu, które opublikowało te fotki. Powinnaś była zobaczyć ich prawników. Koszule dosłownie rozdęte od ego. Te ich gadki o ostrej walce, o nieoddaniu ani kawałka pola. Nad Pierwszą Poprawką rozwodzili się dłużej niż Ojcowie Założyciele. W odpowiedzi posłużyłam się jedyną dostępną mi bronią, uwiodłam ławę przysięgłych. Odegrałam rolę pokrzywdzonej. No i co, ledwo proces się rozpoczął, kiedy właściciel brukowca poczuł pismo nosem i uznał, że o wiele bardziej opłaca mu się ugoda, a z sądu należy wiać i to szybko.

- Przystałaś na to?

Na twarzy Uranii ukazał się wyraz zdumienia.

- Nie wiesz?

A pytałabym, gdybym wiedziała, chciała odpowiedzieć Tracey, ale się powstrzymała. Zamiast tego odrzekła:

- Nie, skąd mogłabym wiedzieć. Studia na Kolumbii, wieczne przesiadywanie z nosem w książkach, rozmaite dorywcze zajęcia, żeby zarobić, wszystko to pochłaniało każdy gram mojej energii. A ponadto z zasady unikam prasy brukowej.

Wielka gwiazda zrobiła sceptyczną minę.

- Przestań, Tracey, nie opowiadaj. Nie mów, że nigdy nie kusiły cię te krzyczące nagłówki.

- Oczywiście, trudno ich nie zauważyć, kiedy człowiek idzie na zakupy. Wystawiają je przed każdą kasą. Ale czuję się dumna, że przez całe życie nigdy nie kupiłam żadnego z tych skandalicznych piśmideł.

Ku zdumieniu Tracey reakcja jej pracodawczyni okazała się zupełnie inna od oczekiwanej. Urania wyglądała na wyraźnie rozczarowaną.

Czyżbym powiedziała coś niewłaściwego? - zdziwiła się w duchu dziewczyna.

Po chwili aktorka się rozpromieniła. Tracey coraz bardziej przekonywała się, że niełatwo nadażyć za błyskawicznymi zmianami humoru gwiazdy. Jednak każdy z jej ekstremalnych nastrojów trwał zaskakująco krótko, gdyż nie potrafiła skupić na niczym uwagi przez dłuższy czas. Tracey skrzyżowała palce, mając nadzieję, że to raczej reguła niż wyjątek.

- Wiesz, co, Tracey - rzuciła Urania impulsywnie - zdradzę ci mój sekret. Tak między nami, dziewczętami, dobrze, kochanie? - Nie czekała na odpowiedź. - Ale najpierw musisz mi obiecać, że nikomu nie powiesz. Przyrzekasz?

- Potrafię trzymać buzię na kłódkę, jeśli cię to uspokoi.

- Dobrze. To moja najbardziej skrywana tajemnica, moja prawdziwa słabostka. Tylko nie śmieć się, proszę. - Schyliła się, wyciągnęła spod leżaka ogromny, niski, pleciony koszyk i uniosła wieko. - To głupie, prawda, kochanie? - powiedziała, chichocząc jak dziewczynka - ale ja jestem od nich dosłownie uzależniona. Nie potrafię im się oprzeć.

Koszyk wypełniały bulwarowe pisemka, te same, które Tracey tak potępiała. Nie brakowało żadnego ze znanych tytułów, królujących w amerykańskich supermarketach. „The National Enquirer”, „The News of the World”, „The Star”, „The Globe”. Do tego dochodziła śmietanka plotkarskiego światka Europy: „Paris Match”, „Star”, „OK”, „Hola”, „Hello!”.

- Gdziekolwiek wyjeżdżam, zawsze każę je sobie przysyłać - wyznała Urania. - Czy uwierzyłybyś, że jestem wściekła, jeśli w jakimś numerze brak chociażby wzmianki na mój temat? - Czerwone usta ułożyły się w dziecinny dzióbek. - W show - biznesie trzeba trzymać głowę wysoko. Inaczej znikniesz i puff... Stajesz się wczorajszą wiadomością. Pogrzebaną i zapomnianą, bez kontraktu.

Prasa brukowa. Tracey wprost nie mogła w to uwierzyć. Szkoda, że nie mogę opowiedzieć o tym Maribel, pomyślała od razu. Omal nie zapiszczała z radości. Gwiazda, która bezwstydnie rzuca się na brukowe pisemka. Okropność.

Choć jednocześnie w wyznaniu Uranii było coś wzruszającego. Objawiła nim bardziej ludzką, delikatniejszą stronę swojej twardej jak skała natury, nieznaną szerszej publiczności.

Teraz opuściła wieko koszyka i wsunęła go z powrotem pod leżak.

- Widzisz, kochanie - powiedziała, zapalając kolejnego papierosa - masz na mnie haka.
- Rzuciła Tracey rozbawione spojrzenie. - Jesteś zdumiona?

Tracey przełknęła ślinę.

- Szczerze mówiąc, tak.

- Znasz pewnie to stare powiedzenie: nieważne, co o tobie piszą, byleby tylko nazwiska nie przekręcili. Ono jest bardzo prawdziwe.

- A co z tamtym procesem o fotografii? Czy doszło do ugody?

- Oczywiście, że doszło - zirytowała się Urania. - Byłabym głupia, gdybym się nie zgodziła. Bez ugody człowiek utonąłby w powodzi rachunków od prawników, gdy proces się przeciąga. Nawet gdybym wygrała i tak nie wiadomo, kiedy dostałabym odszkodowanie, bo najpierw apelacja i tak dalej. - Twarz aktorki wykrzywił brzydki grymas, głos przeszedł niemal w syk. - Te ścierwa. Czy uwierzyłybyś, że na początek ofiarowali mi „łaskawie” - ich własne określenie - zadośćuczynienie w wysokości dwudziestu tysięcy i publiczne przeprosiny? Możesz sobie wyobrazić podobną bezczelność? Ubzdurali sobie, że wcisną mi

dwadzieścia parszywych patoli, a ja zaczęłam się ślinić niczym wygłodniały pies nad gnatem. Powiedziałam im, gdzie sobie mogą wsadzić swoją ofertę - bynajmniej nie przebijając w słowach.

- I co wtedy? - zapytała Tracey, wbrew sobie zainteresowana tymi zakulisowymi rozgrywkami.

- Kazałam moim adwokatom zażądać siedmiocyfrowej sumy. Oczywiście prawnicy reprezentujący tamten szmatławiec próbowali grać twardzieli, ale zapewniam cię, że omal nie dostali apopleksji. Kiedy wreszcie dotarło do nich, że mówimy serio, zaczęły się przepychanki. Obie strony ganiały w tę i we w tę, dopisując do rachunków kolejne godziny. Powiedziałam, że nie popuszczę. Ćwierć miliona, już po odliczeniu honorariów adwokackich, i ani centa mniej. - Uśmiechnęła się drapieźnie. - I zgadnij, na czym stanęło?

- Dostałaś!

- Jasne, że dostałam. Prawie dwa razy tyle. Złapałam ich za *cojones*, jak mówią w Meksyku. A potem większość forsy wydałam na kupno tego. - Szerokim gestem wskazała swoją rezydencję. - Co o niej sądzisz, Tracey? Podoba ci się?

- Czy mi się podoba? - Tracey podniosła wzrok na Uranię, daremnie szukając odpowiednich słów. - Jak mogłaby mi się nie podobać? To magiczne miejsce. Cudowne. Porywające. Najwspanialsze na ziemi.

Tak entuzjastyczna reakcja wprawiła Uranie w zachwyt.

- Też tak uważam. A uwierz mi, że zwiedziłam kawał świata. Indie, Bali, Acapulco, Capri i wiele innych miejsc. Santoryn przewyższa je wszystkie.

- Nie wątpię. Tu jest tak... - zaczęła Tracey i nagle, czując, że głos jej drży, szybko odwróciła oczy.

- Hej! - Urania popatrzyła na nią z z troskaniem. - Co jest? Zaczęłaś coś mówić.

Tracey uśmiechnęła się słabo.

- Chciałam powiedzieć, że tu jest niesamowicie romantycznie, kiedy uderzyła mnie ironia mojej sytuacji.

- Och, tak - westchnęła Urania. Oczy jej rozblęśły, kiedy wciągała gryzący dym cygaretki. - Coś czuję, że zaraz usłyszę liryczną historię w stylu western country. - Kiedy Tracey nie odpowiedziała od razu, dorzuciła: - Zdaje się, że ostatnio przytrafiły nam się jakieś kłopoty z mężczyzną, prawda?

Tracey mimowolnie popatrzyła na swoją rękę, gdzie blady pasek skóry na palcu nie zlał się jeszcze z opalenizną. Uniosła dłoń.

- Jeszcze całkiem niedawno - zaczęła wolno, jakby zwracając się do własnych palców
- byłam zaręczona.

- A potem on zerwał?

- Nie, to ja zerwałam.

- A dlaczegoż to, kochanie?

- Brianowi, mojemu narzeczonemu, szalenie zależało na zdobyciu domu należącego do mojego ojca. Zamierzał nawet ożenić się ze mną, byleby tylko położyć rękę na tej posesji. A w tym samym czasie był zaręczony z kimś innym. Odrażające, prawda?

- Odrażające? Wyjątkowo podłe. Mężczyźni. - Urania potrząsnęła głową. - Wiesz, kochanie, ja mam za sobą co najmniej tuzin zaręczyn, z których nic nie wyszło, i cztery małżeństwa, w tym trzy całkiem nieudane, zakończone rozwodami. Raz owdowiałam. I co zyskałam na tym wszystkim? Ból i złą prasę. Za każdym razem, bez wyjątku. Aż na koniec zmądrzałam i doszłam do wniosku, że o wiele lepiej będzie mi w pojedynkę.

Przez chwilę paliła w milczeniu, potem wyjaśniła:

- To znaczy, na swój sposób w pojedynkę. Skończyłam z przysięgami małżeńskimi. Ten ostatni raz naprawdę mnie wykończył. Nie mam pojęcia, co mi strzeliło do głowy. Była to jedna z tych idiotycznych decyzji, podjętych pod wpływem chwilowego nastroju. „Pojedziemy do Vegas”, tego typu historia. Pobraliśmy się w jednej z tych obrzydliwych, tandetnych kaplic ślubnych. Vegas, możesz uwierzyć? Obrączki z lombardu, zastawione przez jakiegoś przegranego nieszczęśnika, a w roli świadków żalosne imitacje Elvisa. - Roześmiała się głośno. - Nic dziwnego, że to małżeństwo od samego początku było skazane na niepowodzenie.

Tracey też musiała się roześmiać. Nie wiedziała, co takiego miała w sobie Urania Vickers, ale nie sposób jej było nie lubić. Zwłaszcza kiedy opuściła gardę. Przypominała Tracey Czarodzieja z Krainy Oz. Za kunsztowną fasadą i teatralnymi gestami krył się zwykły człowiek. Kobieta jak wszystkie inne, obdarzona poczuciem humoru, umiejąca śmiać się z siebie samej.

- A wracając do ciebie - ciągnęła Urania - pewnie jesteś zadowolona, mogąc wyrwać się z Miami na trochę.

- Ten wyjazd nie mógł wypaść w lepszym momencie - przyznała Tracey. - Najpierw odkrycie, że mój tak zwany narzeczoną beczelnie mnie okłamał, potem śmierć ojca... - Głośno wypuściła powietrze i pociągnęła nosem. - Nie bój się, nie załamie się ani nic podobnego. Potrafię wziąć się w garść. Ale ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewałam, było przyjechać tutaj i znaleźć się w rajcu.

Gwiazda powoli ściągnęła okulary przeciwsłoneczne i po raz pierwszy przyjrzała się Tracey naprawdę uważnie.

- Wiesz, jesteś bardzo miłą dziewczyną - powiedziała. - Bystrą, dobrze ułożoną, wrażliwą. Masz styl. Coś ci powiem. Zapomnijmy o tym, co wygadywałam na początku. Jak się zapatrujesz na wspólną kolację dziś wieczorem, oczywiście pod warunkiem, że będziesz trzymała pazurki z dala od Marka? Spędzimy miło czas, a jednocześnie będziemy mogli bliżej się poznać.

Ignorując badawcze spojrzenie aktorki, Tracey popatrzyła przed siebie, sącząc wodę. Kolacja z Uranią i jej chłopcem. Moim agentem. Mogłaby się okazać zabawna, a nawet pouczająca. Albo wręcz przeciwnie - pełna napięć i niedobrych wibracji. Urania jasno dała do zrozumienia, do kogo należy Mark Varney.

Jakby miała prawo zabronić mi wkraczać na jej terytorium, pomyślała Tracey. Nie wiedziała, czy ma ją to obrażać, bawić czy też jej pochlebiać. Zresztą mniejsza z tym. Nie przyjechała tu, żeby prowadzić życie towarzyskie, szukać rozrywek czy zawierać przyjaźnie. Miała pracę do wykonania, w dodatku termin naglił. Im bardziej bezosobowo ułożą się ich stosunki osobiste, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych.

- To szalenie miła propozycja - powiedziała - ale obawiam się, że musimy to odłożyć. Jestem kompletnie skonana, a nie zapominaj, że jutro od rana muszę być na nogach. Przecież zaczynam pracę.

Urania nie była przyzwyczajona do odmowy i nie przyjmowała jej dobrze. Z powrotem włożyła na nos okulary i prychnęła głośno.

- Oczywiście. - Jej głos brzmiał teraz lodowato. - Masz absolutną rację. Zapomniałam. Przecież nie przyjechałaś tu na wakacje, prawda? Płacę ci, żebyś pomogła mi uporać się z pewnymi... hm... problemami wydawniczymi związanymi z moją powieścią.

Widząc reakcję aktorki, Tracey dodała szybko:

- Nie chciałam, żeby to zabrzmiało niegrzecznie.

- Doskonale rozumiem, kochanie. A teraz bądź grzeczną dziewczynką i idź już sobie. Potrzebujesz odpoczynku. Jak powiedziałaś, jutro nie jest dla ciebie zwyczajnym dniem, tylko pierwszym dniem pracy.

Tracey zdumiała się ponownie, widząc, z jaką łatwością Urania potrafi przeskakiwać z nastroju w nastrój. W jednej chwili traktowała cię jak swoją najlepszą przyjaciółkę, by w następnej kompletnie cię zmrozić.

- No co, kochanie? - Gwiazda zmarszczyła brwi. - Jeszcze tutaj? Na co ty czekasz? - Zamachała rękami. - Idź już, idź.

Tracey zebrała resztki godności, wstała i bez jednego słowa opuściła taras, kierując się ku schodom, którymi wcześniej szła ze Stavrosem. Kiedy znalazła się w wiatraku, twarz miała zaczerwienioną z gniewu i zakłopotania.

A to wiedźma, pomyślała. Gorąca, letnia, lodowato zimna. Przeskakuje z jednego nastroju w drugi z taką łatwością, jakby odkręcała kurek z wodą.

A potem przysła jej do głowy kolejna myśl.

Maribel i ja musiałyśmy chyba śnić. Przecież to niemożliwe, abym była spokrewniona z tą jędzą.

Zresztą bynajmniej tego nie pragnęła.

Dziwne, ale nie czuję najmniejszej nawet więzi z tą kobietą, pomyślała na koniec. Przecież ona nie może być moją matką. Gdyby nią była, musiałabym coś czuć...

Może to i lepiej. Tracey współczuła każdemu, kto miałby Uranię za matkę. Nikt nie zasługiwał na podobny los. Nawet największy wróg. No, może jedna tylko osoba. Brian Rutherford Biggs III.

Ale poza nim naprawdę nikt więcej.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Miami, Floryda

Siódma rano. Maribel Pinales zwykle wstawała wcześniej, dziś jednak nie musiała polegać na budziku, dzwoniącym przeraźliwie i bez ostrzeżenia. Stanowczo wolała drugą metodę - nieskończenie powolne i delikatne wybudzanie, podczas którego stopniowo, bez najmniejszego choćby przymusu, wynurzała się z otchłani snu.

Naprawdę, pomyślała, uśmiechając się, zanim jeszcze otworzyła oczy, czy jakikolwiek budzik na świecie może konkurować z ciepłym, żywym ciałem kochanka, z jego wilgotnym językiem, najpierw na jednym sutku, a potem na drugim? Zwłaszcza jeśli te sutki, pieszczone teraz najdelikatniej, nadal były lekko obrzmiałe od miłości uprawianej przez kilka godzin poprzedniej nocy.

- Ach... - przeciągnęła się, ziewając, podczas gdy język Raya węzowym ruchem przesuwiał się w dół jej płaskiego brzucha i zataczał kręgi wokół pępka.

Wolno otworzyła oczy.

- Czy ty naprawdę nigdy nie masz dosyć? - wymruczała zadowolona. Leżąc nieruchomo, wpatrywała się w lakierowany sufit.

Ramón uniósł głowę, na tyle tylko, by móc powiedzieć:

- A czy to moja wina, że jesteś tak nieodparcie seksowna? Wybuchnęła śmiechem, który rozbudził ją do reszty.

- Ramonie Felipe Escolano, czy ktoś ci kiedykolwiek mówił, że jesteś wspaniałym kochankiem?

- Tak - odrzekł. - Ty. Bez przerwy mi to powtarzasz.

- Hm - Maribel z poważną miną przyglądała się sufitowi. - Naprawdę? - zastanowiła się. Jej twarz ponownie rozjaśnił pełen zadowolenia uśmiech. - Tak - przyznała. - Rzeczywiście, chyba mówiłam. Ale to wyłącznie dlatego, że dbam o ciebie, więc robię wszystko, żebyś był szczęśliwy. Za dobrze ci, mój drogi.

- Czyżby? - Raptownie uniósł głowę. - A to niby czemu, do licha? - obruszył się.

- No, no, nie musisz od razu przerywać tego, co robisz. - Poprawiła się na ogromnym łóżku. - Zwłaszcza w takich momentach. Twój język wydaje się o wiele bardziej stworzony do miłości niż do rozmowy - dodała. Uniosła się na poduszce, pochyliła do przodu i oparła łokciami na kolanach.

Ramón, wpatrzony w jej kształtne piersi, okrągłe biodra i otwierające się kusząco silne uda, głęboko zaczerpnął powietrza. To była jedna z tych rzeczy, które tak go w niej pociągały. Maribel nie odgrywała skromnisi, nie trzepotała rzęsami, udając nieśmiałą. Wręcz przeciwnie, do seksu podchodziła z wielką bezpośredniością i nigdy nie ukrywała swojego entuzjazmu do łóżkowej gimnastyki. Jako jedna z niewielu znanych mu kobiet potrafiła nazywać rzeczy po imieniu.

Ukląkł, prezentując swą gotowość do szturmu. Ale kiedy wyciągnął ramiona, chcąc objąć dziewczynę, Maribel cofnęła się, niemal baletowym ruchem podwinęła pod siebie nogi i płynnie prześliznęła się na bok, tam gdzie nie mógł jej już dosięgnąć.

Jego ramiona i biodra zamiast ciepłego, kobiecego ciała napotkały pustkę.

- Hej! - zawołał, zdumiony i rozczarowany jednocześnie. - Co...?

- Nie tak szybko, *señor*. - Głos Maribel brzmiał łagodnie i ochryple.

Gwałtownie odwrócił głowę w jej kierunku.

- Maribel - odezwał się z wyrzutem - co cię napadło? Wytrzymując jego spojrzenie, odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Ray, czy odkąd się znamy, prosiłam cię kiedykolwiek o przysługę?

- Co takiego? - zapytał zaskoczony. - Maribel, do czego ty zmierzasz? Tylko mi nie mów, że jesteś naciągaczką.

- Nie jestem w żadnym wypadku.

- No to o co ci chodzi?

Zanim się odezwała, zerknęła, żeby się upewnić, czy nadal jest napalony.

Jasne, że tak. Znakomicie, pomyślała. To jedyna rzecz, na którą u faceta zawsze można liczyć.

- Chodzi mi o to - powiedziała, układając się na boku i sięgając dłonią do jego klejnotów. Jej dotknięcie przyniosło pożądany efekt. Ray zamknął oczy. Dyszał, zaciskając zęby. - Chodzi o to - powtórzyła, delikatnie pociągając kochanka za *cojones*, przez co zmusiła go, by błagalnie przesunął się na kolanach w jej kierunku - że mam kogoś bliskiego. Bardzo bliskiego.

- Chcesz powiedzieć, że spotykasz się z kimś innym?

- Na litość boską, Ray, dokąd zawędrował twój umysł? Do rysztoka?

- Chyba tak - jęknął ochryple.

- No to niech stamtąd wywędruje. Mówię o swojej najlepszej przyjaciółce. Jesteśmy jak siostry, *comprender*?

- Jak siostry - powtórzył, gwałtownie pochylając głowę.

- Właśnie. Jak siostry. I nie zapominaj o tym. - Maribel lekko zwiększyła ucisk swych palców. - No i tak się złożyło, że moja przyjaciółka ma pewien kłopot.

- Okay - jęknął - zgoda. Porozmawiamy o tym trochę później.

- Wolałabym, abyśmy porozmawiali o tym teraz - zagruchała przymilnie.

- To nie fair.

- W seksie i na wojnie wszystko jest dozwolone - odparła, przekręcając cytata. - Zresztą nie mam zamiaru rozwodzić się nad szczegółami. Ale widzisz, rzecz dotyczy kwestii prawnej.

- Mówiąc, nie przestawała go pieścić. - Wiem, że to nie jest twoja specjalność, że ty siedzisz w podatkach spadkowych, ale moja przyjaciółka solo tej partii nie wygra, nie ma też nikogo, kto by to za nią zrobił. Ale nagle przyszło mi do głowy, że przecież jesteś prawnikiem. Na pewno znasz kogoś, kto mógłby pomóc. Może jakiegoś adwokata albo gliniarza, który jest ci winien przysługę.

Kłęczał przed nią, kuszony niczym Adam przez Ewę. Maribel zbliżyła głowę do tego organu, w którym - co mogą potwierdzić wszystkie kobiety - tak naprawdę mieści się rozum faceta. Nadal pieściła go palcami, uznała jednak, że dodatkowa motywacja nie zaszkodzi.

Mniej wystarczyło, by upadły cesarstwa. Tak jak przypuszczała, jego penis drgnął i wyprężył się gwałtownie.

- Zgadzam się - wyszeptał Ray udreńczony. - Wygrałaś. Pomogę, pomogę.

Zerknęła na niego, jednocześnie koniuszkiem języka wodząc delikatnie po nabrzmałym członku.

- Umowa stoi? - zapytała.

- Stoi - wydyszał.

- I później... - urwała, kiedy jej język dotarł do gęstwiny włosów - nie będziesz próbował się z niej wykręcić?

- Nie! - poddawał się jej bez reszty.

W nagrodę otworzyła usta, mocno otaczając go ustami i jednocześnie zacisnęła wokół niego dłoń, rozpoczynając masaż, zgrany z rytmem poruszających się warg.

Ray zanurzył ręce w gęstwinie jej błyszczących włosów. Jego oddech przyspieszał coraz bardziej. Czując, że zaraz eksploduje, szybko porwał twarz Maribel w swoje dłonie i uniósł. Jego ciało zamarło w całkowitym bezruchu.

Krzyknęła, w oszołomieniu spoglądając na kochanka.

- Dlaczego chciałeś, żebym przestała?

Odczekał długą chwilę, aż opadnie największe napięcie, po czym powoli wypuścił powietrze.

- Ponieważ, moja mała, nazbyt rozpalona *puta*, od tej chwili ja obejmuję prowadzenie.

Nie spuszczając z niego wzroku, posłusznie uniosła biodra na jego spotkanie. Oczy Maribel rozszerzyły się z zachwytem, kiedy Ray podnosił się i opadał, wypełniając ją całą, aż połączyli się w jedność.

Nagle poczuła coś, czego nie doznała nigdy przedtem. To nie był po prostu mężczyzna. To nie był nawet mężczyzna o zabójczym wyglądzie. Nie, to był Ramón Felipe Escolano, znakomity prawnik, filar amerykańskiej i kubańskiej społeczności, doradca sławnych i bogatych. Najbardziej pożądana zdobycz każdej kobiety.

A teraz, nareszcie, należał do niej.

- Och... *Dios* - jęknęła, przyciskając ręce do jego nagich, spoconych pleców, czując drżenie każdego jego mięśnia i nie mogąc wyjść ze zdumienia, że tak delikatne, jedwabiste ciało może mieć tyle potężnej i niepohamowanej siły.

Jeśli nawet czuł jej paznokcie, wbijające mu się w skórę, nie zwracał na nie uwagi, pochłonięty rytmem niezmordowanych pchnięć.

Zesztywniała nagle i krzyknęła w ekstazie. Jej głowa miotła się po poduszce, a potężny spazm zdawał się poruszać ziemię. Czując dreszcze, przepływające po niej falami, zaczęła głośno krzyczeć.

Jego biodra napierały coraz mocniej i mocniej. Prędzej i prędzej. Mocniej i prędzej, prędzej i mocniej...

- Aaaach! - Gdzieś z najtajniejszej głębi jego istoty wydobył się głośny jęk.

Maribel także dała się ponieść fali. Szczytowała ponownie, a ich okrzyki wypełniły pokój osobliwą kakofonią, może niezgodną w tonacji, za to idealnie zsynchronizowaną.

Był to jej drugi orgazm tego ranka, lecz z pewnością nie ostatni. On szczytował po raz pierwszy od ostatniej nocy, ale nie zamierzał na tym poprzestać. Tak naprawdę, dopiero zaczynał. Jego członek niemal natychmiast powtórnie nabrał twardości skały.

Ponownie zaczął poruszać się w niej, z jeszcze większą namiętnością.

Wreszcie opadło z nich napięcie i odpoczywali na łóżku, obejmując się wzajemnie. Maribel czekała, kiedy lew ponownie zaryczy. Z mężczyzną takim jak Ramón trzecia runda była całkiem możliwa. Więcej, zupełnie prawdopodobna.

Leżała, uśmiechając się do sufitu. Umowa jest umową, pomyślała. Musisz dać z siebie wszystko, jeśli oczekujesz wszystkiego w zamian.

Oczywiście gdyby Ramón odmówił pomocy w sprawie Tracey, również nie poskąpiłaby mu swoich wdzięków. Nawet gdyby oświadczył: „mowy nie ma”, też by się z nim kochała.

Ale mniejsza o Tracey. Miała nieodparte wrażenie, że - nawet pomijając doznania seksualne dzisiejszego ranka - to wszystko było zaledwie początkiem czegoś naprawdę pięknego, czegoś, czego najlepsza część miała dopiero nadejść.

scandalous

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Santoryn, Grecja

Tracey przespała czternaście godzin tak głęboko, że nie usłyszałyby nawet wybuchu Nea Kameni.

Trrrrrach!

Głośny trzask wyrwał dziewczynę z otchłani krzepiącego snu, o mało nie przyprawiając jej o atak serca. Usiadła gwałtownie, w popłochu szukając oczami źródła hałasu. Dopiero po chwili, gdy jej umysł zaczął prawidłowo kojarzyć, dotarło do niej, że kiedy spała, odwiedziła ją dwójka gości.

Pierwszy - pewnie Iliki albo pani Stefanou - musiał wejść poprzedniego wieczoru, nie budząc jej. Świadczyła o tym drewniana taca, zostawiona na składanym stoliku, która obecnie leżała na częściowo przykrytej dywanikiem mozaikowej posadzce. Zawierała wyschnięte resztki kolacji, najwyraźniej przeznaczonej dla Tracey. Te - . raz na podłodze walały się potłuczone skorupy pięknie zdobionej porcelanowej zastawy, odłamki szkła, rozbita butelka wody stołowej, zakorkowana i - o dziwo - niestłuczona karafka białego wina, połyskliwe, wysuszone sardynki, ułożone w wachlarzyk, grube pajdy chleba, jakaś zielonkawoszara mięsna maź, granatowe oliwki, rozsypane niczym ciśnięte niedbale kości do gry i kawałek ciasta z kremem, w zadziwiająco dobrym stanie.

Drugi gość, przyłapany na gorącym uczynku, najwyraźniej przywabiony przysmakami, stał najeżony, z wyprężonym grzbietem, zaskoczony nieprzyjemną niespodzianką w postaci wywróconej tacy z posiłkiem. Przystępcą okazał się wychudzony, biały kot z czarnymi łatami na podgardlu, czarnymi skarpetkami i czarną, bandycką maską wokół wielkich, żółtych oczu. Przypatrywał się Tracey, bardziej dla zbadania jej reakcji niż z poczucia winy.

- A kim ty właściwie jesteś? - zapytała Tracey pobłażliwym tonem, używanym najczęściej w stosunku do dzieci i zwierząt.

Zorientowawszy się z brzmienia jej głosu, że ma do czynienia nie z wrogiem, tylko z przyjacielem, kot usiadł, wyciągnął wyprostowaną tylną łapę i zaczął ją lizać z wdziękiem właściwym wszystkim kotom. Potem wstał, przeciągnął się, jeszcze raz popatrzył na Tracey i ostrożnie ruszył na inspekcję między potłuczonymi naczyniami i rozrzuconym jedzeniem. Przy sardynkach zatrzymał się i zmiótł je dosłownie w ciągu kilku sekund. Pochłaniał rybki

tak łączywie, że Tracey z miejsca się domyśliła, iż zwierzak bardziej przywykł do głodowania niż do uczt.

- Biedne stworzenie - mruknęła - czyżby nikt cię nie nakarmił? Podniosła się z materaca, ostrożnie obeszła skorupy na podłodze i przykucnęła obok kota. Dawno zagojone rozdarcie na uchu i kilka pozbawionych sierści blizn wzdłuż boków świadczyły o ranach odniesionych w bójkach z innymi kocimi mieszkańcami Santorynu.

- Hej, biedaku - powiedziała Tracey łagodnie, lekko drapiąc go za uchem - masz może jakąś propozycję, jak wytłumaczyć ten bałagan?

- Pst! - usłyszała syknięcie, a potem pełen napięcia szept: - Miss! Rozejrzała się, ale wokół nie widać było żywego ducha. - Miss!

Tym razem udało jej się zlokalizować, skąd pochodzi szept, więc spojrzała w okno.

Wstrzymała oddech. Po zewnętrznej ścianie wiatraka wspinał się może dziesięcio - , może jedenastoletni chłopiec, który pokonał już jedną trzecią drogi w górę. Po zaczerwienionej twarzy i drżących dłoniach nietrudno było odgadnąć, ile wysiłku kosztuje go przytrzymywanie się drewnianej futryny.

- Go to ma...? - zaczęła Tracey i zaraz dodała karcąco: - Złaż stamtąd natychmiast. Oszalałeś? Chcesz się zabić?

- Zastukam... do drzwi... dobrze? - wyszeptał chłopiec. - Wpuści mnie pani?

- Na miłość boską, pewnie, że cię wpuszczę.

- Ale proszę... proszę obiecać, że nikt nie zobaczy Zeusa, dobrze? Zeus, bardzo odpowiednie imię, pomyślała Tracey. Przede wszystkim jednak chłopiec jak najprędzej musiał znaleźć się na dole.

- Obiecuję - powiedziała. - Ale tylko wtedy, jeśli natychmiast zejdziesz - dodała surowo.

Chłopiec uśmiechnął się szeroko.

- Okie - dokie - powiedział, rozluźniając palce.

Tracey usłyszała najpierw głuchy stukot, a potem serię szybkich uderzeń w podwójne drzwi.

Pobiegła do przedsionka. Nie zdążyła jeszcze dobrze otworzyć, kiedy chłopiec już wśliznął się do środka.

- Co jest...? - zaczęła.

- Szs! - Chłopiec przyłożył palec do ust w geście nakazującym milczenie i na migi pokazał, że ma szybko zamknąć i zaryglować zamek. W jego wielkich jak spodki oczach malowało się przerażenie.

Tracey nie bardzo wiedziała, co ma robić, ale w zachowaniu malca było tyle nalegania, że zrobiła, o co prosił. Zobaczyła, że jest bosy. Zanim jednak zdążyła go ostrzec przed potłuczonym szkłem i porcelaną, już stał w samym środku rumowiska. Mogła tylko patrzeć, jak się pochyla, delikatnie bierze kota na ręce i tuli do siebie. Wyraźnie uspokojony zwierzak z miejsca zaczął mrużyć.

Tracey stanęła za chłopcem, który gładził białe futerko i szeptał kotu coś po grecku. Poklepała malca po ramieniu.

Odwrócił się i podniósł na nią swoje wielkie oczy.

- Młody człowieku, jesteś mi winien wyjaśnienie.

Dopiero teraz miała okazję bliżej mu się przyjrzeć. Drobny, kościsty, sympatyczny urwis miał wielkie ciemnobrązowe oczy, szczupłe ramiona i długie nogi oraz poobijane kolana i łokcie, jak większość chłopców w jego wieku. Nie wyglądał na zaniedbanego ani zagłodzonego.

Wręcz przeciwnie, miał zdrową, oliwkową cerę, czarne, kręcone, potargane włosy, rysy twarzy wyraziste i inteligentne. Ubrany też był starannie, w świeżo wyprany t - shirt i szorty khaki, a jego stosunkowo czyste nogi wskazywały na to, że skarpetki i buty zdjął niedawno, zapewne żeby ułatwić sobie wspinaczkę po ścianie.

- O miss - wyszeptał po angielsku, niemal bez obcego akcentu - dzięki bogom, że go znalazłem. Kiedy zorientowałem się, że Zeus zginął, szukałem go wszędzie.

Wyraz zmartwienia malujący się na jego twarzy poruszył serce Tracey.

- Proszę, miss - ciągnął błagalnie - przecież nie musi pani nikomu opowiadać, że Zeus tutaj był, prawda?

- Cóż - zaczęła Tracey - wolałabym nie opowiadać, ale przecież będę musiała jakoś wytłumaczyć ten bałagan.

Chłopiec zrobił zawiedzioną minę, ale pokiwał głową.

- Słuchaj, przecież to jeszcze nie koniec świata. - Tracey usiłowała go jakoś pocieszyć.

- A właśnie, że tak - jęknął. - Teraz pani Stefanou go zlikwiduje.

- Nie robi tego - zaprotestowała Tracey, zaskoczona gwałtownością w głosie malca.

Chłopiec popatrzył jej prosto w oczy.

- Zrobi - powiedział. - Zrobiła to już przedtem z Demetriusem. To był mój poprzedni kot. Ostrzegła mnie trzy razy i ja się starałem, naprawdę się starałem, ale wie pani, jakie są koty. Z Zeusem też już trzy razy mnie ostrzegła.

Jego ciemne oczy wypełniły się łzami. Spazmatycznie łapał powietrze.

- I co? - ponagliła go Tracey.

Chłopiec mocniej przycisnął kota do siebie.

- I skończy z nim.

Przerywane płaczem słowa, wyszeptane w tył białej, futrzanej, kociej głowy, były ledwo słyszalne.

No to ładnie, pomyślała Tracey. Co we mnie jest takiego? Mam wypisane na czole „miękkie serce”, czy jak?

Twarz chłopca rozjaśniła się nagle, jakby w tej chwili coś przyszło mu do głowy.

- A może, jeśli oboje bardzo się postaramy, uda nam się wymyślić jakieś wytłumaczenie? - podsunął.

- Obawiam się, że jest zupełnie oczywiste, co się tu wydarzyło - powiedziała Tracey sucho. - Dowody mówią same za siebie. Wszędzie widać ślady kocich łap.

Radość na twarzy malca zgasła momentalnie. Ze smutkiem kołysał Zeusa w ramionach.

- Tak, ma pani rację - przyznał ponuro.

Obraz chłopca ściskającego kota poruszył czułą strunę w sercu Tracey.

- Nie obiecuję niczego na pewno - ostrzegła go - ale może uda mi się coś wymyślić.

Twarz dziecka rozbliły jak bożonarodzeniowe drzewko.

- No dobrze - oświadczyła Tracey - skoro mamy zostać partnerami w przestępstwie, powinniśmy dokonać wzajemnej prezentacji. Tak więc kim jesteś, młody człowieku?

- Och, przepraszam, nie chciałem być niegrzeczny. - Ułożywszy kota na lewym ramieniu, chłopiec wyciągnął prawą rękę. - Prometeusz - przedstawił się nie bez dumy. - Tak się nazywam.

Z powagą potrząsnęła jego dłonią.

- Tracey Sullivan. Na imię mam Tracey, ale przyjaciele mówią do mnie Trace.

Prometeusz popatrzył na nią z nadzieją.

- A czy ja jestem przyjacielem? Uśmiechnęła się do niego.

- Jestem pewna, że zostaniemy przyjaciółmi. Inaczej nie zdradziłabym ci mojego zdrobniałego imienia. - Chwilę zatrzymała na nim oczy.

- A więc zostałeś nazwany po herosie, który wykradł z nieba ogień.

- Tak i za karę został przykuty do skały, gdzie sęp go zjadał przez całą wieczność. Ale ja nie jestem złodziejem. Nie kradnę. - Umilkł na moment, mocno przygryzając dolną wargę.

- No dobrze, nie kradnę dużo - poprawił się, odwracając wzrok. - Tylko jedzenie z kuchni dla Zeusa. Tak samo jak przedtem dla innych kotów.

- Jakich innych kotów?

- Och, pełno ich było - tłumaczył żarliwie. - Zebrały o jedzenie wszędzie tam, gdzie pożywiali się turyści. Ale któregoś roku spędzaliśmy zimę na łądzie, a kiedy wróciliśmy, prawie wszystkie koty zniknęły.

- Jakie to dziwne - mruknęła Tracey.

- Pewnie je potopili albo wytruli, miss - powiedział Prometeusz.

- Żeby nie naprzykrzały się turystom.

- Nie „miss” - przypomniała mu, poruszona jego słowami. - Trace. Tak możesz mnie nazywać, pamiętasz?

- Pamiętam. - Prometeusz uśmiechnął się, ale uśmiech szybko zniknął z jego warg. Podniósł głowę i zmarszczył brwi. Zeus także musiał coś usłyszeć, bo zastrzygł uszami i zeszywniał.

- Och, Trace - szepnął chłopiec żałośnie - to pani Stefanou. Idzie tutaj. Proszę. - Wyciągnął rękę i chwycił Tracey za ramię. - Musisz mi pomóc. - Rozejrzał się w popłochu po pokoju, wreszcie wyczekująco popatrzył na dziewczynę, najwidoczniej oczekując, że wynajdzie na poczekaniu jakąś historyjkę. - Zeus i ja musimy się schować - zawyrokował bez namysłu.

Najwyraźniej doskonale obeznany z topografią wiatraka, śmignął wprost na schody, wystające z okrągłych ścian i biegnące serpentyną do samej góry. W okamgnieniu chłopiec i kot zniknęli na poddaszu. Do uszu Tracey dobiegło skrzypienie starych desek podłogi, jakieś stłumione dźwięki, a potem cisza.

Nie, nie cisza. Teraz ona również usłyszała to, co przedtem Prometeusz i Zeus: ostre, wyraźne stukanie obcasów, zbliżające się od strony tarasu.

Odetchnęła głęboko. Nie ma wątpliwości, to kroki pani Stefanou. Dzisiejszego ranka nie w szurających łagodnie espadrylach na gumowej podeszwie, tylko, sądząc po stukocie, w wysokich wojskowych butach!

Tracey odwróciła się, nagle przerażona, i ogarnęła wzrokiem otaczający ją bałagan. Wszędzie ślady kocich łap. Jeśli ich nie usunie, wina Zeusa będzie oczywista. Szybko zatarła ślady palcami stóp. I chociaż wiedziała, że to dziecinne, poczuła jednocześnie dziką euforię i panikę, niczym młoda buntowniczką czy konspiratorka, którą - uświadomiła sobie - wbrew swojej woli właśnie się stała.

Kroki na zewnątrz zatrzymały się nagle. Tracey, choć przygotowana na to, co miało zaraz nastąpić, aż podskoczyła, słysząc zdecydowane bębnienie w drzwi.

Przez chwilę stała niezdecydowana, usiłując uspokoić rozdygotane nerwy. Kropelki potu spływały jej po czole. Przyłapała się na tym, że wstrzymuje oddech.

- Chwileczkę! - zawołała, chcąc zapobiec kolejnej serii walenia w drzwi. Wyprostowała ramiona i zaczęła torować sobie drogę przez bałagan na podłodze. Nie zdążyła jeszcze dojść do przedsionka, kiedy nagle poczuła przyływ inspiracji.

Rozegraj to w sposób przekonujący. Sama także umaż się trochę!

Cofnęła się, przykucnęła i zebrała na palce odrobinę zastygniętego gulaszu. Do licha, właściwie dlaczego nie. To przecież w dobrej sprawie, pomyślała, rozsmarowując maż na koszuli nocnej. Tak przygotowana, pomaszzerowała do przedsionka i energicznym szarpnięciem otworzyła drzwi.

Zamrugnęła, osłaniając oczy ręką przed nagłym atakiem jasności. Błękitne niebo bez jednej chmurki zdawało się wibrować od upału.

Od rozedrganego powietrza odcinała się sylwetka pani Stefanou; schludna, odszykowana niczym sierżant na paradzie, z idealnie ułożonymi włosami, połyskującymi niczym miedź. Dziś miała na sobie błyszczący ciemnoniebieski kostium z syntetycznego materiału. Żakiet z ostro zakończonymi klapami zostawiła rozpięty, żeby pomieścić imponujący biust okryty białą bluzką; spódnica kończyła się skromnie poniżej kolan. Stukające wojskowe buty okazały się granatowymi, praktycznymi czólenkami na niskim obcasie.

Za panią Stefanou, nieco z boku, rysowała się druga sylwetka. Była to staruszka, tradycyjnie ubrana w czerń od stóp do głów. Od podobnych, które Tracey widziała wczoraj po drodze, odróżniały ją jedynie wielkie, modne okulary w stylu Sophii Loren.

Gospodyni odezwała się pierwsza.

- *Kalimerá*, miss Sullivan. - Nieważne, jak serdeczne miało być to powitanie, tej kobiecie udało się sprawić, że zabrzmiało niczym wyrok śmierci.

Brakuje tylko odgłosu werbla, pomyślała Tracey.

- *Kalimerá*, pani Stefanou - odrzekła sztywno, zarabiając tym tonem na ostrzegawcze uniesienie brwi.

- Moja matka - powiedziała pani Stefanou, wskazując staruszkę. Pomarszczona twarz tamtej rozjaśniła się nieśmiałym uśmiechem, ukazującym luki w uzębieniu.

Teraz dopiero Tracey zauważyła, że stara kobieta trzyma drewnianą tacę, taką samą jak wczorajsza, strącona przez kota ze stolika. Na tacy znajdowało się śniadanie: srebrny dzbanek do kawy, identyczne dzbanuszki na cukier i śmietankę, odwrócona biała porcelanowa filiżanka na spodeczku, koszyk z bułkami, masło, dżem, miseczka czarnych oliwek, gotowane jajko w kieliszku i wreszcie sztuczne owinięte w wykrochmaloną, białą serwetkę.

- Z pewnością jest pani głodna. Mam nadzieję, że dobrze pani spała. - Pani Stefanou spojrzała na nią surowo.

Tracey na to właśnie czekała.

- Nie najlepiej - odpowiedziała sucho.

Jej odpowiedź była zupełnie nieoczekiwana. Pani Stefanou zeszywniała, zupełnie jakby źle przespana noc w jakimkolwiek miejscu w Oii, a już szczególnie w willi Uranii Vickers, stanowiła ewenement, o jakim do tej pory nigdy nie słyszano. Jej wiedzione ciekawością oczy powędrowały ponad ramieniem Tracey do wnętrza wiatraka. Chwilę trwało, zanim przywykły do półmroku.

Gospodyni zamrugła gwałtownie, sapnęła z niedowierzaniem i zacisnęła dłonie w pięści. Na jej policzkach wykwitły ciemne plamy.

- *Óchi!* - wyrzuciła z siebie ze złością. Wielkie oczy, teraz zwężone w szparki, skrupulatnie zlustrowały bałagan na podłodze, po czym Oskarżycielsko spoczęły na Tracey. - To ten kot. - Niczym tornado wtargnęła do wiatraka i pochyliła się nad żalonymi szczątkami kolacji. - Koniec cackania się z tym kotem - zawołała ochryłym głosem, wymachując pięściami w powietrzu. - Tym razem pozbędę się go na zawsze!

- Pani Stefanou! Pani Stefanou!

Tracey pośpieszyła za nią do środka. Gospodyni przystanęła w miejscu, gdzie leżała przewrócona taca. Wychylona do przodu, podejrzliwie rozglądała się dookoła, rozdymając nozdrza niczym ogar na tropie. Tracey nadała swojej twarzy wyraz całkowitej niewinności.

- O jakim kocie pani mówi?

- O jakim kocie? Pani jeszcze pyta, o jakim kocie? - rzuciła pani Stefanou podniesionym tonem, trzęsąc się z oburzenia.

Tracey z udaną skruchą przełknęła ślinę.

- Jeśli ma pani na myśli ten bałagan, cóż... kieruje pani oskarżenia w niewłaściwą stronę.

- Co takiego? Słucham? - Gospodyni ponownie zamrugła powiekami.

To u niej nerwowe, domyśliła się Tracey. Rodzaj tik. Kątem oka dostrzegła staruszkę z ustami rozdziawionymi w idealne „O”, która ciekawie zaglądała do środka.

- Pani Stefanou, proszę spojrzeć na mnie. Widzi pani? Podniosła zabrudzone dłonie i pełnym obrzydzenia gestem zademonstrowała plamy na przodzie nocnej koszuli.

- Och - powiedziała gospodyni - taka ładna koszula. Jaka szkoda. Ale jestem przekonana, że plamy zejdą w praniu.

- Tak, ale nie o to chodzi. Wspominałam wczoraj, że zdarza mi się spacerować we śnie, pamięta pani?

- Taaak - wycedziła pani Stefanou powoli. Tracey wydała z siebie głębokie westchnienie.

- Nieprzyjemnie mi o tym mówić, ponieważ można by mnie uznać za niewdzięczną, rozumie pani? Ale kiedy spałam, ktoś postawił tu tacę z jedzeniem.

- Ależ oczywiście. - Gospodyni się wyprostowała. - Pani nie jadła kolacji, więc osobiście poleciłam matce, żeby ją pani przyniosła. - Zerknęła przez ramię w stronę drzwi, gdzie stała starszka, przyglądając się całej scenie. - Na wypadek gdyby pani zgłodniała.

- Jestem pani niezmiernie zobowiązana za te starania, ale obawiam się, że weszłam prosto na tę tacę, spacerując we śnie.

- No nie! - Zaskoczona kobieta podniosła dłonie do twarzy. - O tym nie pomyślałam.

- Dlaczego miałyby pani zaprzętać sobie tym głowę. Jeśli ktoś tu jest winien, to wyłącznie ja. Powinnam była wyjaśnić pani wszystko bardziej szczegółowo. Ale naprawdę nie spodziewałam się takiej życzliwości. - Tracey uznała, że grubsze pochlebstwo i odwołanie się do poczucia godności gospodyni nie zaszkodzi. - Nie jestem przecież gościem. Zostałam tu sprowadzona do pracy. Naprawdę nie zasługuję na żadne względy.

Pani Stefanou pociągnęła nosem.

- Jest specjalnym życzeniem madame, by traktować panią z wszelkimi względami.

- Podziękuję madame, gdy tylko ją zobaczę. Pani również pragnę podziękować.

- Nie ma za co.

- Na tarasie jest tak cudownie. Gdyby była pani uprzejma i powiedziała matce, że chętnie zjem śniadanie na zewnątrz, przy stoliku.

- Oczywiście. Przyślę Iliki, żeby tu posprzątała. Koszulę proszę jej oddać do prania.

- W takim razie najlepiej od razu ją zdejmę. - Tracey dotknęła ramienia gospodyni i delikatnie wyprowadziła ją za drzwi. - Do zobaczenia później, pani Stefanou. Proszę przyjąć moje najszczerze przeprosiny. Nie znoszę sprawiać kłopotów.

- Kłopotów? - Pani Stefanou ruszyła do odejścia, głośno stukając obcasami i gniewnie wymachując rękami, wściekła z powodu wymknięcia się ofiary. - To nie kłopot - rzuciła, nie odwracając się nawet. - To żaden kłopot, naprawdę.

Gdy tylko horyzont się oczyścił, w otworze stryszku ukazał się Prometeusz, leżący z głową w dół niczym nietoperz.

- Cudowna - jego syczący szept był pełen podziwu - byłaś cudowna - zachwycał się.

Tracey oparła się ciężko o zamknięte drzwi. Drżąc jeszcze, przymknęła oczy z poczuciem ulgi. Z góry dało się słyszeć trzeszczenie desek; potem na schodach zatańczyły bosc stopy. Prometeusz, nadal z Zeusem w ramionach, dosłownie spływał w dół, biorąc po dwa stopnie naraz. Promieniował radością.

- Och, Trace, jak mam ci dziękować? Ocaliłaś życie biednemu, małemu Zeusowi.

- Nonsens, Pro - zaprotestowała. - Nie możesz brać wszystkiego dosłownie. Pani Stefanou nie mówiła tego na serio.

Prometeusz gwałtownie potrząsnął głową, mocniej ściskając swego ulubieńca.

- Trace, byłaś tutaj, więc sama widziałaś i słyszałaś. Zabiłaby go. Mówiłem ci, że przedtem było to samo. Nienawidzę jej. To diabolic! - W jego głosie brzmiała niewzruszona wiara we własne słowa.

- Więc tym bardziej powinieneś uważać, żeby w przyszłości Zeus nie wpakował się w tarapaty - upomniała chłopca.

- Tak, masz rację. Obiecuję lepiej go pilnować.

- To dobrze - Tracey wyciągnęła rękę i potargała mu włosy - ponieważ nie sądzę, żeby drugi raz udało mi się wyprowadzić panią Stefanou w pole. Sprawia wrażenie bardzo przebiegłej.

- Tak jak ty - zauważył Prometeusz z szerokim uśmiechem, który jednak błyskawicznie zniknął z jego twarzy, kiedy chłopiec, nagle supergrzeczny i układowy, potrząsnął dłonią Tracey.

- Jestem twoim dłużnikiem - oświadczył z powagą. - Zeus i ja nigdy ci tego nie zapomnimy. Gdybyś kiedykolwiek potrzebowała mojej pomocy, powiedz Kathy z minimarketu. Ona przekaże mi wiadomość. Ale proszę, przysięgnij, że nie powiesz o mnie nikomu innemu.

- Masz moje słowo, nie martw się.

- Albo jeszcze lepiej - buzia Prometeusza rozbłysła nagle niczym słońce w samo południe - może... no to chyba nie jest głupie... to znaczy, czy mógłbym cię odwiedzić od czasu do czasu? Zobaczyć, czy można ci w czymś pomóc?

Tracey poczuła wzruszenie. Prawdziwy mały džentelmen.

- Tak, nawet bardzo bym chciała - odrzekła serdecznie.

- Naprawdę? Naprawdę? Nie mówisz tego wyłącznie przez grzeczność?

- Naprawdę - zapewniła chłopca Tracey.

- Fantastycznie. Nie mogę się już doczekać, kiedy pokażę ci moje sekretne miejsca.

Takie, o których nikt inny nie wie, tylko ja.

- Sza! - Tracey przyłożyła palec do warg, uchyliła odrobinę drzwi i wyjrzała. Staruszka kończyła nakrywać stolik pod ośmiokątnym parasolem.

Cicho zamknęła drzwi.

- A teraz, kiedy tylko matka pani Stefanou...

- Ta wiedźma! - zawołał Prometeusz.

- Pro, nieładnie jest tak mówić.

- Przecież ona wygląda jak czarownica, może nie? Choć tak naprawdę nią nie jest. Za to jej przyjaciółka z całą pewnością jest wiedźmą. Widziałaś ją? - Popatrzył w górę i przewrócił oczami, ukazując białka.

- Chcesz powiedzieć, że jest niewidoma? - zapytała Tracey. Chłopiec przestał przedrzeźniać staruszkę i szybko skrzyżował palce. Zadrżał.

- Coś w niej mnie przeraża.

Tracey gestem nakazała mu milczenie i ponownie zerknęła na zewnątrz. Taras był pusty. Szerzej otworzyła drzwi i szybko rozejrzała się na obie strony.

Wokół nie było nikogo. Śniadanie czekało. Nagle uświadomiła sobie, że kona z głodu.

- Świetnie, Pro - powiedziała. - Myślę, że czas, abyście zniknęli, ty i Zeus.

Naśladując ją żartobliwie, Prometeusz przemówił głębokim basem.

- Chodź, Zeus, słyszałeś, co powiedziała lady. Zmywamy się. Tracey osłupiała. Jego znajomość amerykańskich wyrażen była zadziwiająca. Widząc zdumienie na jej twarzy, Prometeusz zapytał:

- Co się stało?

- Twój język. Skąd, u licha, wytrzasnąłeś takie powiedzonko?

- Oglądam dużo amerykańskich filmów na wideo. Są po angielsku i mają greckie napisy.

- Rozumiem.

Wtedy zaskoczył ją jeszcze bardziej. Wspiął się na palce i poklepał ją po policzku.

- *Hasta la vista, baby!* - rzucił, bezbłędnie naśladując Arnolda Schwarzeneggera.

Potem chłopiec i jego kot zniknęli.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Po zjedzonym na tarasie śniadaniu Tracey doszła do wniosku, że najwyższy czas zacząć zarabiać na życie. Zajrzała jeszcze do wiatraka, i włożyła wygodny strój do pracy - zadrukowany t-shirt bez rękawów, luźne szorty do kolan i różowe, gumowe japonki ozdobione kwiatkami z cekinów.

W gabinecie szumiący klimatyzator dawał miły chłód, kontrastujący z upałem na zewnątrz. Siadając przy stole, na ohydnych pomarańczowym, ale zaskakująco wygodnym krześle ergonomicznym, Tracey zlustrowała uważnie wszystkie zgromadzone akcesoria ghostwritera oraz dwie tace ustawione na bocznym stoliku, na których piętrzyły się trzy stosy kartek, każdy przyciśnięty okrągłym, wygładzonym kamieniem.

Dwie kopie maszynopisu Uranii, jedna z poprawkami, druga bez oraz uwagi wydawnictwa, przypomniała sobie z wczorajszych oględzin.

Poruszyła palcami niczym chirurg. Czas przystąpić do pierwszego cięcia.

Zebrała włosy do góry, spięła zwykłą, metalową klamrą, używaną w biurach do dokumentów, i wetknęła w nie kilka ołówków. Tym sposobem luźne pasma nie zwisały jej wokół twarzy, a ołówek zawsze miała pod ręką.

Wstała i przeniosła obie kopie maszynopisu oraz uwagi wydawcy z tac na stół. Pomyślała, że najlepiej będzie zacząć od przeczytania powieści. Nie chciała, aby propozycje redakcyjne w jakiś sposób wpłynęły na jej ocenę. Najważniejsze - to wyrobić sobie własne zdanie.

Odsunęła więc uwagi na bok.

Który z maszynopisów powinna przeczytać najpierw?

Okazało się, że jedyna różnica między nimi polegała na tym, że czysta kopia miała już wprowadzone poprawki, na drugim egzemplarzu naniesione ręcznie. Kopia z odręcznymi poprawkami również powędrowała na bok.

Przygotowawszy się w ten sposób, Tracey przystąpiła do lektury.

Strona tytułowa.

OKO ZA OKO POWIEŚĆ AUTORSTWA URANII VICKERS

Hm, „Oko za oko”. Tytuł całkiem niezły.

Prolog również zapowiadał się ciekawie. Pierwszy akapit zawierał zaledwie jedno zdanie, mające od samego początku zainteresować czytelnika.

Szaleniec trzymał Montanę w uścisku terroru.

W pierwszej chwili Tracey pomyślała, że Urania pisze o stanie Montana, i dopiero po przeczytaniu trzeciego zdania zorientowała się, że owa Montana to kobieta.

Prolog okazał się krótki i zwięzły. W sumie pięć stron, zakończonych dramatyczną sytuacją.

Jego ramię otoczyło szyję Montany. W drugiej ręce zabłysło ostrze sztyletu. Uderzył, raz, drugi, trzeci...

Odsunął od siebie zwiotczone ciało i patrzył, jak osuwa się na podłogę. Dopiero kiedy drgnęło po raz ostatni, zdał sobie sprawę ze swojej pomyłki. Odrzucił zakrwawione ostrze i cofnął się o krok.

- Pieprzyć to, ty nie jesteś Montaną Ripley - jęknął. - Chryste, zabiłem nie tę sukę.

Ale zaraz na jego twarzy pojawił się uśmiech. Prawdziwa Montana znajdowała się gdzieś w pobliżu, a więc ma kolejną szansę na przeżycie owego dreszczu ekscytacji towarzyszącego polowaniu na nią. A potem jeszcze rozkosz pozbawienia jej życia.

Tracey uniosła głowę. Nie jest aż tak źle, wystarczy kilka zmian i poprawek stylistycznych. Przeszła do rozdziału pierwszego. Nazwa miejscowości i data - 21 maja 1986 - dokładnie określały czas i miejsce akcji.

Tracey pogрузyła się w lekturze. Urania opisywała królewskie zaślubiny w wymyślanym arabskim emiracie o nazwie Kuhrejń. Młoda Amerykanka, Juniper Ripley z Parsippany w stanie New Jersey, wychodziła za następcę tronu, nie mając pojęcia...

Ciekawe, jak głupia okaże się ta cizia, mruknęła poirytowana Tracey.

...o sporej gromadce żon utrzymanej przez pana młodego w haremie ani o uczuciach, jakie żywił do niej przystojny, niedawno owdowiały amerykański ambasador w Kuhrejnie, z którym bez przerwy darła koty.

I to ma być powieść warta tak ogromnego honorarium? - zdumiała się Tracey. Nie mogła uwierzyć, by jakiegokolwiek wydawnictwo zgodziło się lekką ręką wydać parę milionów dolarów wyłącznie dlatego, że autorka nosiła znane nazwisko. Oburzające. Z tego, co przeczytała do tej pory, wynikało, że to zwyczajne szmirowate romansidło, schematyczne, w dodatku fatalnie napisane.

Dalej było jeszcze gorzej. O wiele gorzej. Urania kompletnie nie potrafiła konstruować fabuły. Tracey co chwila musiała upominać samą siebie, że przecież nie jest krytykiem, tylko zwykłą ghostwriterką.

Po prostu czytaj, powtarzała w myślach, zmuszając się do podjęcia lektury.

Na specjalnych fiszkach notowała sobie punkty zwrotne każdej sceny. Podobnie opisywała sobie bohaterów - ich wygląd, kolor włosów, oczu czy wiek, najważniejsze cechy

charakteru, skłonności i upodobania. Na osobnej kartce naszkicowała powiązania łączące poszczególne osoby.

Koszmarne nudna praca. Dialogi brzmiały sztucznie, opisom miejsc całkowicie brakowało realizmu, postacie były płaskie i nieprzekonujące, a już najgorzej pod tym względem prezentowała się sama Juniper Ripley. Zamiast być bohaterką, za którą czytelnik mógłby trzymać kciuki, okazała się rozpuszczoną, złośliwą kapryśnicą, rozczulającą się nad sobą i niewiarygodnie dumną z własnej urody.

Po kilkunastu stronach Tracey miała szczerą ochotę udusić tę żołą. Oby tylko nie okazało się, że Urania wzorowała główną postać na samej sobie. Jeśli tak - to biada.

W trzecim rozdziale nastąpił koniec miodowego miesiąca. Juniper - teraz księżniczka Layla z Kuhrejnu - nie tylko znalazła się w haremie wśród innych małżonek, ale stała się dosłownie więźniem w pałacu rządzonym przez demonicznego wielkiego wezyra. Pozostałe żony jej nie znosiły, ponieważ pochodziła z Zachodu i była aktualną faworytą. Jej sytuacja jeszcze się pogorszyła, kiedy Juniper/Layla przekonała się, że jest w ciąży. Następca tronu najwyraźniej uznawał ów stan za niedogodny, więc kazał jej oznajmić, że nie zostanie dopuszczona przed jego oblicze, dopóki dziecko nie przyjdzie na świat.

Zdesperowana Juniper/Layla przekupiła jednego ze służących, żeby przekazał wiadomość ambasadorowi, ale kartkę oczywiście przejął.

Treść kolejnych rozdziałów nietrudno było przewidzieć. Ambitny przyrodni brat księcia, popierany przez wielkiego wezyra, zorganizował krwawy przewrót pałacowy, podczas którego król został zamordowany, a następca tronu uwięziony. Juniper/Layla wykorzystała zamieszanie i uciekła, narzuciwszy czador na kostium od Chanel i napchawszy kieszenie żakietu klejnotami koronnymi.

Tracey ze zdumieniem przekonała się, że z trudem brnie przez kolejne sceny, obfitujące przecież w pełne napięcia zwroty akcji. Nietrudno zgadnąć, dlaczego tak się działo. Przy całym zmyśle dramatycznym Urania kompletnie nie potrafiła tchnąć życia w kartkę papieru.

Mówiąc najprościej: po prostu nie umiała pisać.

Tracey musiała teraz robić dobrą minę do złej gry.

Nie masz wyboru, upomniała samą siebie. Przyjęłaś tę pracę, i to z entuzjazmem, na dodatek wzięłaś zaliczkę. No to teraz musisz się wywiązać z zadania.

Ależ miała tupet, aby kiedykolwiek uważać, że mogłaby uratować karierę Uranii. Uświadomienie sobie tego spadło na nią niczym fizyczny ciężar.

Co ja sobie wyobrażałam? - pomyślała w nagłym ataku paniki. Przecież ja nie mam pojęcia o pisaniu bestsellera. Nigdy w życiu nie opublikowałam książki. Niebioso, pomóżcie. Tym razem wpakowałam się w naprawdę niezłe bagno.

Podstawowe pytanie brzmiało: jak ja się z tego wydostanę?

Odpowiedź była prosta: nie wydostaniesz się wcale.

Stuk, stuk.

Tracey nie miała pojęcia, jak długo siedziała, zmuszając się do czytania i sporządzania notatek, zanim zorientowała się, że ktoś puka lekko do drzwi na taras.

Zaskoczona, okręciła się razem z krzesłem. Ktoś zaglądał do środka przez szybę w drzwiach. Nie potrafiła jednak rozpoznać tej osoby. Światło na zewnątrz było zbyt oślepiające. Postać na tarasie musiała osłonić ręką oczy, żeby zobaczyć cokolwiek w środku.

- Proszę! - zawołała Tracey.

Drzwi uchyliły się odrobinę i w szparze pojawiła się czyjaś głowa.

- Puk, puk - powiedział żartobliwie Mark Varney. - Czy nie przeszkadzam?

- Chyba żartujesz. - Tracey już miała rzucić, że zważywszy na porażającą nudę powieści Uranii, każdy pretekst do przerywania lektury jest dobry, powstrzymała się jednak w ostatniej chwili.

Gdyby nie Mark, nie miałyby dziś tej pracy. Powinna okazać mu wdzięczność.

- Nie stój w progu, tylko wchodź - powiedziała.

- Naprawdę mogę? - zapytał.

- Jasne.

Wśliznął się do środka, zamykając drzwi przed upałem.

- Podoba mi się twoje uczesanie - skomentował z przymrużeniem oka.

Dłonie Tracey powędrowały do góry, natrafiając na ostro zatemperowany ołówek i metalową klamrę.

- Pewnie wyglądam jak straszycło.

- Wyglądasz jak osoba nadzwyczaj kompetentna - oświadczył, uśmiechając się.

Ten jego uśmiech!

Tracey niemal słyszała melodyjne dzwoneczki i widziała olśniewający blask bijący od jego zębów. Mając jednak w pamięci, że to owoc zakazany, niezgrabnym gestem wskazała coś, co uznała za futurystyczny tron, przeznaczony do sali audiencyjnej Uranii.

- Siadaj, proszę - powiedziała oficjalnie. Mark potrząsnął głową.

- Przechodziłem tylko i widząc, że zbliża się druga, pomyślałem sobie: hej, a może by tak skorzystać z okazji i zajrzeć do naszej pracowitej pszczołki? Zobaczyć, czy ma ochotę na lunch.

- Już druga? - Tracey szeroko otworzyła oczy.

- Tak, a dlaczego? - Wydawało jej się, że w głosie Marka brzmi nutka rozczarowania.

- Nie mów, że już jadłaś.

Potrząsnęła głową.

- Nie, prawdę mówiąc, nie jadłam. Jestem po prostu zdumiona, to wszystko. Nie przypuszczałam, że już tak późno.

- Och. - Zrobił złośliwy grymas. - Niech zgadnę. Czas najszybciej upływa ci podczas wyteżonej pracy?

- Ja tego nie powiedziałam - odparła sztywno.

- Ty nie, ale ja tak. - Obojętnym gestem włożył ręce do kieszeni białych, bawełnianych spodni. Obrzucił wzrokiem stół, zavalony maszynopisami, żółtymi karteczkami samoprzylepnymi i stosami fiszek, na których robiła notatki. Twarz mu spoważniała. - Mogę zapytać, jak ci idzie, czy raczej nie powinienem?

- Pytać możesz, ale nie spodziewaj się odpowiedzi, bo nic ode mnie nie wyciągniesz.

- Czemu? - Uniósł brwi zdumiony.

- Przynajmniej nie teraz - wyjaśniła. - Mark, przecież ja ledwo zaczęłam. To stanowczo za wcześnie na dokonywanie jakichś pośpiesznych, nieprzemyślanych ocen.

- Hmm... - mruknął z rozbawieniem. Zmrużyła oczy.

- Mogę zapytać, co w tym takiego śmiesznego?

- Twoja dyplomacja. - Uśmiechnął się szeroko. - Minęłaś się z powołaniem. W Departamencie Stanu mieliby z ciebie wiele pożytku.

Już chciała go uprzedzić, że jest odporna na pochlebstwa, ale powstrzymała się w porę. W słowach Marka było coś takiego, co prowokowało do ciętych odpowiedzi. Powinna mieć się na baczności i powściągać język. Gdyby ją poniosło, Urania mogłaby to źle odebrać.

Nie mogę sobie pozwolić, żeby mnie zwolniono za impertynencję, przestrzegła się w myślach.

- A wracając do lunchu - powiedział Mark. - Skoro wpakowałaś się w tę historię, powinnaś jeść. Dobrze ci radzę, zbieraj energię. - Uśmiechnął się teraz odrobinę kwaśno. - Będziesz jej potrzebowała.

- W jakąż to ponurą historię się wpakowałam? - zapytała Tracey, spoglądając na niego spod przymkniętych powiek. Jej zielonkawe oczy, choć na wpół ukryte pod rzęsami,

promieniowały blaskiem. Była niemal całkowicie nieświadoma wrażenia, jakie wywiera na Marku.

- Możesz pytać, ale nie spodziewaj się odpowiedzi - uraczył ją dawką jej własnego lekarstwa. - A teraz idź po torebkę i to wszystko, bez czego kobieta nie rusza się z domu, ponieważ nie przyjmuję „nie”.

- Za kilka minut będę gotowa - odrzekła Tracey z uśmiechem. - Może być tak?

- Jasne. Czekam tutaj.

Spiesznie wypadła z gabinetu i zatrzasnęła drzwi.

Wszystkiemu zawinił jego osobisty urok, owa umiejętność całkowitego koncentrowania się na rozmówcy, tak jakby był on jedyną osobą na całym świecie - w dodatku połączony z zabójczym wyglądem. Tracey kompletnie zapomniała o swoich postanowieniach i regułach podanych przez Uranie.

Mark westchnął, wpatrzony w drzwi przedsionka, za którymi zniknęła dziewczyna.

Jezu, pomyślał, ona jest naprawdę piękna, i to bez żadnych sztuczek. A oprócz tego zdolna, inteligentna, cudownie nieskomplikowana, niczym łyk świeżego powietrza w porównaniu z wystudiowaną sztucznością, zwracaniem uwagi wyłącznie na siebie i nieprzewidywalnymi zmianami nastroju kobiet w stylu Uranii Vickers. Prawdziwie orzeźwiający łyk świeżego powietrza.

Nieświadoma wrażenia, jakie zrobiła na Marku, Tracey weszła do wiatraka. Mijając lustro, rzuciła okiem na swoją sylwetkę w stroju roboczym. Szybko zaatakowała upiętą na głowie kitkę w stylu Pebbles Flintstone, zdjęła tkwiące w niej niczym pałeczki ołówki i metalową klamrę, a potem potrząsnęła głową, pozwalając włosom opaść na ramiona.

A teraz do szafy. Oprócz ołówek i klamry musi jeszcze pozbyć się wygodnego roboczego uniformu. Przechodząc obok łóżka, ściągnęła przez głowę t-shirt i cisnęła beztrąsko na materac, po czym zatrzymała się w pół kroku.

Zaraz, czyżby coś tam błyszczało?

Rzeczywiście. Na świeżo pościelonym łóżku, na samym środku poduszki leżał cieniutki złoty łańcuszek. Niewątpliwie z prawdziwego złota, bo żaden inny metal nie promieniował tak ciepłym blaskiem. Na pierwszy rzut oka łańcuszek wydawał się niedbale rzucony, jednak przy bliższych oględzinach Tracey odkryła, że ktoś ułożył z niego starannie sylwetkę kota z profilu.

Im dłużej się przyglądała, tym wyraźniej dostrzegała koci kształt. To musiał być Prometeusz. Już miała sięgnąć po łańcuszek, kiedy coś ją powstrzymało. Prometeusz był przecież dzieckiem. Skąd wziął ten klejnocik? Chyba go nie ukradł? Włożył ten łańcuszek,

dłaczego nie? Chłopiec miał dobre intencje. Nie mogła przyjąć takiego prezentu, zwłaszcza od dziecka, ale przecież mogła zrobić mu przyjemność i ponosić ten drobiazg choć trochę, tak by Prometeusz nie poczuł się urażony, kiedy Tracey później mu zwróci prezent. Wzięła naszyjnik z poduszki i zapięła mikroskopijny zatrzask z tyłu na szyi.

Zrzuciła szorty i włożyła króciutką, wyciętą sukienkę z podniesionym stanem i na wąziutkich ramiączkach. Zmieniła japonki na sandały z czerwonej skórki, idealne do dłuższych spacerów, chwyciła okulary przeciwsłoneczne w stylu Bardot, z różowymi szklami w białej oprawie, i podobną do worka torebkę. Wymaszerowała z wiatraka, gotowa do wyjścia na lunch z Markiem Varneyem. Czy jednak jest także gotowa na samego Marka? Oto właściwe pytanie.

- Nie cierpisz przypadkiem na lęk wysokości?

Mark Varney prowadził Tracey zatłoczonym, głównym deptakiem Oii, rozszerzającym się albo zwężającym, wiodącym pod górę albo biegnącym w dół, w zależności od kaprysów klifu.

Nawet nie miała możliwości odpowiedzieć. Turyści przepychali się w obu kierunkach przestawiali przed witrynami sklepów, tłoczyli wokół przewodników, trzymających znaki, rozpoznawcze w uniesionych rękach. Tylko chwilami Tracey i Mark mogli iść obok siebie; najczęściej musieli torować sobie drogę w pojedynkę.

Na prawo ciągnął się niemal nieprzerwany rząd sklepów. Od strony kaldery liczne prześwity oferowały zapierające dech widoki; wąskie schodki prowadziły do tawern na dachach budynków albo w dół, do restauracji na ocienionych tarasach, Tracey dostrzegła mnóstwo sklepów jubilerskich, kramów z wyrobami rzemiosła, kiosków z pamiątkami i wejść do „tradycyjnych domów w jaskiniach” - w formie prawdziwego labiryntu schodków - ale najwięcej było knajpek.

- Teraz ostry skręt w lewo - odezwał się Mark z tyłu. Położył obie dłonie na nagich ramionach dziewczyny i poprowadził ją przez napierający w obu kierunkach tłum, a potem kilkoma stopniami w dół, do chłodnego, ciemnego wejścia.

Tracey zdjęła okulary przeciwsłoneczne. Dym z papierosów natychmiast zaatakował jej oczy. Kiedy oswoiła się z półmrokiem, zauważyła, że znajdują się w skalnej jaskini, niemal pustej. Lokal wyglądał raczej skromnie; oświetlony bufet z ciastkami, niskie pomruki muzyki techno. Zajęte były tylko dwa stoliki; ze stojących na nich popielniczek unosiły się kłęby błękitnego dymu.

- Tędy. - Mark wskazał palcem w stronę przejścia w głąbi. Otwór w tylnej ścianie wiódł na balkon, gdzie ciasno stłoczone jeden przy drugim stały trzy dwuosobowe stoliki,

wielkości dosłownie chustek do nosa. Wąziutka pólka zdawała się wisieć w połowie drogi między ziemią i niebem.

Tracey stłumiła jęk. Odwagi, powiedziała sobie w myślach.

Mark odsunął dla niej krzesło przy pustym stoliku z lewej strony. . - Mieliliśmy szczęście - oznajmił. Jego głos zdawał się napływać z jakiejś ogromnej odległości, jakby przefiltrowany. - Jeśli chodzi o widok, jest to najlepsze miejsce w całej Oii.

Tracey z zawiścią popatrzyła na pary zajmujące dwa sąsiednie stoliki. Przy środkowym siedział młody blondyn, zapewne mieszkaniec Skandynawii, w towarzystwie ciemnoskórej dziewczyny o wysmukłej szyi i królewskiej postawie. Stolik na prawo zajmowała dwójka nastolatków. Tracey pozazdrościła im wszystkim braku lęku.

Odwagi, odwagi, odwagi, powtarzała sobie w duchu.

Usiadła ostrożnie, robiąc dziwny grymas, który miał uchodzić za uśmiech. Właściwie powinna być wdzięczna Markowi, że nie zaproponował jej stolika w samym rogu, bo wówczas miałyby z obu stron balustradę z niebieskich prętów.

Blask słońca oślepił i przez jeden, krótki, straszny moment Tracey zdawało się, że biała, kubistyczna zabudowa Oii, drżąc i dygocząc, zaczyna długi, powolny lot ze stromego klifu prosto do morza.

- Trace, Trace - Mark przechylił się nad stolikiem i dotknął jej ramienia.

Wzdrygnęła się i szybko włożyła okulary.

- Co się dzieje? - zapytał Mark. - Jesteś biała jak płótno. Troska w jego głosie pomogła jej odzyskać panowanie nad sobą.

Zsuwające się do wody budynki podjechały z powrotem na górę. Rzeczywistość wróciła do normalnego stanu. Tracey pozwoliła sobie na długie westchnienie, po czym zmusiła się do rozejrzenia wokół. Wszystkie domy tkwiły na dawnych miejscach, wioska niczym z pocztówki ściśle przylegała do zbocza, wyniesiona wysoko ponad głęboką, błękitną kalderę. Katastrofa okazała się złudzeniem. Mark uderzył się w czoło.

- No jasne - powiedział, robiąc zmartwioną minę. - Masz lęk przestrzeni.

Tracey uśmiechnęła się blado.

- Rzeczywiście nie przepadam za wysokościami.

- A ja ze wszystkich miejsc wybrałem akurat to! - Już odsuwał krzesło i wstawał. - Chodź, poszukamy innego lokalu.

Tracey potrząsnęła głową.

- Siadaj, już wszystko dobrze... teraz. Poza tym muszę zacząć się przyzwyczajać. Zwłaszcza na tej wyspie, gdzie wszystko jest niemal w pionie.

- O, cholera! - zaklął pod nosem.

- O co chodzi?

- Ulokowaliśmy cię w tym pieprzonym wiatraku, żebyś miała blisko do gabinetu. To było bezmyślne z naszej strony. Nie przyszło nam do głowy...

- Ależ nie przejmuj się tak - Tracey uśmiechnęła się szerzej. - Tę kwestię udało mi się rozwiązać. Mam łóżko na dole, na podłodze, a Stavros ze swoim pomocnikiem znieśli mi z góry szafę na rzeczy. - Sięgnęła przez stół i nakryła dłonie Marka swoimi. - Widzisz, wszystko w porządku. Potrafię sama zadbać o siebie. - Puściła jego ręce. - Powiedziałam pani Stefanou, że nie mogę spać na stryszku, bo jestem lunaticzką, tak więc jeśli chcesz mi wyświadczyć przysługę, nie wspominaj jej o mojej fobii, dobrze?

- Nie widzę powodu, dla którego miałbym komukolwiek o tym mówić. To twoja prywatna sprawa. Ale nie rozumiem też, dlaczego to ukrywasz. W końcu każdy cierpi na jakąś fobię. To żaden wstyd.

- Wiem, ale mimo to wolałabym, aby ta grecka smoczyca nie dowiedziała się o mojej.

- Przestań, Maria Stefanou nie jest znowu taka zła. Przyznaję, że sprawia wrażenie zimnej i pozbawionej poczucia humoru...

Tracey potrząsnęła głową.

- Nie pytaj, dlaczego - mruknęła - ale nie chcę, żeby wiedziała. Podejrzewam, że byłaby zdolna do wyrafinowanego torturowania mnie wysokością.

Mark popatrzył na nią zdumiony.

Tracey podniosła obie ręce i zaraz opuściła je na stół.

- Wiem, że to brzmi dziwnie, ale zrób to dla mnie, Mark. Proszę.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. Chciałbym, żebyś się tu dobrze czuła. Jesteś pewna, że nie chcesz iść do innego lokalu?

- Jestem. - Stanowczo potrząsnęła głową. Ten mężczyzna miał w sobie coś, co wzbudzało zaufanie, sprawiało, że czuła się przy nim bezpieczna. - Powinnam opanować swój lęk i wolę to robić w twojej obecności. Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Przynajmniej mnie złapiesz, gdybym zaczęła mdleć.

- Ale chyba nie masz zamiaru...? - zaniepokoił się Mark.

- Nie, nie. - Musiała się roześmiać. - Spokojnie, tak mi się tylko powiedziało.

Obok ich stolika zmaterializowała się jakaś postać, więc unieśli głowy. Była to kobieta o ponurym wyglądzie, ze strzechą siwych włosów.

- *Kalimerá* - mruknęła kwaśno, stawiając na stole zamkniętą litrową butelkę schłodzonej wody, a obok niej dwie wysokie szklanki i trzecią, niewiele większą od kieliszka, do której wetknęła kwit kasowy.

- *Kalimerá* - odpowiedział Mark uprzejmie. Popatrzył pytająco na Tracey. - Czego się napijesz, wina czy piwa?

- Dziękuję, wystarczy mi woda.

- Piwo Ena Mythos - zwrócił się Mark do kelnerki.

Kobieta odeszła z szuraniem nóg, charakterystycznym dla osób z płaskostopiem.

- A gdzie menu? - zapytała Tracey.

- Wszystko w swoim czasie - odrzekł Mark. Odkorkował butelkę i napełnił wodą najpierw szklankę Tracey, a potem swoją.

Wzniosła swoją w toaście.

- Na zdrowie - powiedziała, wychylając ją duszkiem. Woda okazała się wyśmienita - chłodna i słodka, znakomicie gasiła pragnienie. Odstawiając szklankę, Tracey niemal mruczała z rozkoszy. - Ach, to było wspaniałe. A tobie nie chce się pić?

Mark się uśmiechnął.

- Ja czekam na piwo.

Kobieta wróciła, przynosząc jeszcze jedną szklankę i butelkę schłodzonego ena mythos, którą zaraz otworzyła. Wcisnęła do szklaneczki kolejny kwitek i odeszła.

Mark napełnił szklankę. Tracey nie wiedziała, czego się spodziewać po greckim piwie, chociaż to wyglądało zupełnie tak samo jak wszystkie tego rodzaju napoje na świecie: żółte, zwieńczone białą pianą. Poczowała rozczarowanie.

Mark wzniósł toast.

- *Giá sas*. To greckie „na zdrowie”. - Końcem języka zlizął białą pianę z wargi. - W taki upalny dzień nie ma nic lepszego niż piwo. Jesteś pewna, że się nie skusisz?

- Jestem pewna. Nie zapominaj, że dla mnie to tylko zwyczajna przerwa na lunch. Muszę mieć trzeźwą głowę, gdyż przede mną jeszcze kilka godzin czytania.

Wspaniała rozrywka, pomyślała przy tym z ironią, ale zatrzymała komentarz dla siebie. Skrzyżowała dłonie na stoliku.

- Domyślałam się, że to lunch w interesach. Mark się uśmiechnął.

- Każdy lunch z klientem to bizneslunch, co nie zmienia faktu, że niektóre mogą okazać się o wiele przyjemniejsze od innych.

Ciekawe, co ma znaczyć ta odpowiedź? - pomyślała Tracey.

- A szefowa? - zapytała. - Czy uzgodniłeś to z naszą gwiazdą? To był błąd. Pożałowała swoich słów, ledwo zdążyły wymknąć się z jej ust.

Zachowanie Marka uległo nagłej zmianie. Zesztywniał cały, jego głos stał się lodowaty, w oczach pojawiły się zimne błyski.

- Najlepiej wyjaśnijmy sobie pewne kwestie na samym początku - powiedział spokojnie, ale z naciskiem. - Jeśli chcesz wiedzieć, czy zapytałem Uranię o pozwolenie zjedzenia z tobą lunchu, to odpowiedź brzmi: „nie”. Nie zrobiłem tego.

Tracey milczała. Zrozumiała, że posunęła się za daleko.

- Jako jej gość staram się zachowywać uprzejmie - ciągnął Mark.

- I nie kołysać zanadto łodzią. Ale uprzejmy, usuwający się z drogi gość to nie to samo co służący do wszystkiego i nie myl tych dwóch rzeczy. Poza tym jestem dużym chłopcem, więc nie widzę powodu, dla którego miałbym pytać Uranię o pozwolenie robienia czegokolwiek. Nie jest ani moją matką, ani opiekunką, ani żoną, ani - jak to się dzisiaj mówi - partnerką. Jest klientką. Bardzo wysoko postawioną i sławną, to prawda, ale wyłącznie klientką. - Dopił piwo i napełnił szklanekę resztą z butelki. - Tak więc, jeśli zastanawiasz się, co robię właśnie w tej chwili, mogę ci to wytłumaczyć w prosty sposób. Pilnuję własnych interesów i jem lunch z inną ważną klientką - z tobą. Tak, z tobą. Łączą nas interesy i jeśli komuś to się nie podoba, jego pech.

Urwał, jakby dla nabrania powietrza, po czym wolno przesunął szklanekę po blacie stolika. Kiedy odezwał się ponownie, jego głos zabrzmiał łagodniej:

- Zdaję sobie sprawę, że twoja pozycja w domu Uranii może się wydawać nieco szczególna, skoro nie jesteś ani gościem, ani służącą. Mówiąc krótko, zostałeś zatrudniona i ona ci płaci. Dobrze. Ale to cię jeszcze nie czyni jej niewolnicą ani nie oznacza, że musisz przypodobać się Marii Stefanou. To tylko gospodyni, powiedzmy to sobie wyraźnie. Posłuchaj mnie, Trace. Raz jeszcze powtarzam, że nie masz obowiązku składać sprawozdań z każdej chwili twojego życia. Masz pełne prawo do prywatności.

Jego zachowanie znowu uległo zmianie; na powrót stał się dawnym Markiem, pogodnym i odprężonym.

- No więc - zakończył z uśmiechem, opierając rękę na drewnianej poręczu balkonu - czy mój przydługi wykład pomógł ci zrozumieć pewne kwestie?

- Jasne - odrzekła. - A wracając do tego, co mi się wyrwało... - Zrobiła niepewny ruch ręką.

Powstrzymał ją ruchem dłoni.

- Najlepiej o tym zapomnij.

- Nie, nie mogę zapomnieć - sprzeciwiła się Tracey. - Chciałabym cię przeprosić. Wtrącałam się w nie swoje sprawy. Po prostu wypsknęło mi się, ponieważ... ponieważ Urania przejawia ogromną zaborczość w stosunku do ciebie.

- Urania - odparł Mark, uśmiechając się niewesoło - przejawia niewiarygodną zaborczość w stosunku do wszystkiego i wszystkich. A już zwłaszcza do tego, co nie jest jej własnością. Posłuchaj mojej rady, jeśli nie będziesz dość ostrożna, pożre cię na obiad. Poczujesz się tak, jakby cię pogryzła, przeżuła, a potem wypluła.

- Będę to miała na uwadze - powiedziała zaskoczona Tracey. Wytrzymał jej spojrzenie.

- Dobrze ci radzę. Możesz mi wierzyć, że kiedy twoja przydatność się skończy, to żegnaj, dziecino. - Kciukiem wskazał przepaść za barierką balkonu. - Nie zawaha się wyrzucić cię na pobocze drogi bez żadnego „dziękuję” czy „do widzenia”, czy „miło mi było cię poznać”. I nie chodzi tu akurat o ciebie. - Znowu roześmiał się niewesoło. - To samo dotyczy mnie czy kogokolwiek innego, kto przestaje być użyteczny.

Tracey nie mogła uwierzyć, iż Mark rozmawia z nią tak otwarcie, zwłaszcza że Urania Vickers jest jego klientką.

- W twoich ustach brzmi to tak, jakby była jakimś potworem.

- Bo jest. - Mark wysączył resztę piwa. - A chcesz usłyszeć coś naprawdę niewiarygodnego? - Gorycz w jego głosie zmieniła się w coś w rodzaju podziwu. - To właśnie stanowi o jej uroku i to uczyniło z niej gwiazdę, jaką pozostała do teraz. - Popatrzył na Tracey badawczo. - Znasz jakieś jej filmy albo któryś z seriali telewizyjnych? Cieszyły się sporym powodzeniem jeszcze parę lat temu.

Tracey potrząsnęła głową i powiedziała przepaszającym tonem:

- Niestety, nie. Jakoś mi umknęły.

- Nie martw się, wiele nie straciłaś. Owszem, przyniosły jej pewną popularność, jednak szybko poszły w niepamięć. Ale Urania to sprytna sztuka. Lekkomysłna, porywcza, a do tego chłapie bezmyślnie językiem - zgoda. Ale przy tym jest niesamowicie cwana.

Niech cię nie zwiedzie ten pozornie ptasi mózdzek. Żebyś przypadkiem nie popełniła błędu, nie doceniając naszej gwiazdy. Niejeden z branży tak postąpił i teraz żałuje. Nie zapominaj, że Uranię nazywają ostatnią, która przetrwała. - Urwał, marszcząc brwi. - Nie nudzę cię przypadkiem?

- Nudzić mnie? Boże, skądże. Zastanawiam się tylko, dlaczego mi o tym opowiadasz.

- Ponieważ ty również jesteś moją klientką i nie chciałbym, żeby stała ci się krzywda.

- Albo żebym skończyła pogryziona i wypluta - zażartowała, chcąc przywrócić dobry nastrój.

Mark nie uśmiechnął się jednak.

- Wierz mi, że wiem, o czym mówię. Na czym to stanęliśmy? Aha, kariera Uranii. Naprawdę chcesz o tym posłuchać?

- Jasne, kto by nie chciał? - Tracey położyła łokcie na stole, oparła podbródek na dłoniach i pochyliła się do przodu. - Zamieniam się w słuch.

- No więc Urania nigdy nie zagrała głównej roli. Przymierzała się do kilku, ale zawsze kończyło się w ten sam sposób, dostawał ją ktoś inny, czasami nawet z Oscarem. Susan Sarandon, Sharon Stone, nazwiska można by mnożyć.

- Niemal zaczyna mi być jej żal - mruknęła Tracey.

- Niech twoje serce nie krwawi zbyt wcześnie - ostrzegł ją Mark.

Umilkli, gdyż starsza gburowata kobieta postawiła na stole kolejną butelkę piwa i ze szczękiem rozłożyła grube, białe talerze, tandetne sztucce i zwykłe, papierowe serwetki. Otworzyła piwo, wcisnęła do szklaneczki kolejny kwitek i zabrała pustą butelkę.

- Kiedy Urania zaczynała karierę - podjął Mark - nieodmiennie obsadzano ją w rolach młodych chodzących niewinności, ale przecież nie mogło to trwać wieki. Po kilku latach strumyczek propozycji wysechł, a kiedy to nastąpiło, zaczęła brać cokolwiek jej zaproponowano, głównie role odrzucone przez wszystkie inne aktorki w mieście.

Tracey spochmurniała.

- To musiało boleć.

- Nawet jeśli bolało, Urania nigdy tego nie okazała. Jedno trzeba jej przyznać, to profesjonalistka. Każda inna aktorka w podobnej sytuacji uznałaby, że jej karierę diabli wzięli. Uranię zaś napędza jedno...

- Sama zgadnę - wpadła mu w słowo Tracey. - Ambicja.

- Więcej niż zwykła ambicja. Ambicja absolutna i niepohamowana, a poza tym niezwykle upór i wytrwałość. Jeśli Urania czegoś pragnie, pójdzie za tym niczym rottweiler. Może nie mieć umysłu naukowca, a za swoją grę nigdy nie dostanie Oscara, zawsze jednak była kimś więcej niż tylko ładną buzią. Kiedy skończyły się role w produkcjach typu B, nie zawahała się przed pójściem do telewizji. Dzisiaj to normalka, ale w latach osiemdziesiątych równało się to niemal końcowi kariery. Wystarczyło pokazać się w serialu kryminalnym, a już wszyscy spisywali cię na straty.

Tracey rozprostowała serwetkę i starannie ułożyła swój nóż, widelec i łyżkę.

- I tak spisano na straty Uranię - dokończyła. - Tylko że ona nie dała się odsunąć.

- Masz rację. Jeden z bystrych, młodszych dyrektorów w NBC poznał się na jej wartości. Wpadł na pomysł powtórnej ekranizacji - herezja nad herezjami - filmu „Wszystko o Ewie” w wersji telewizyjnej. Tak długo naciskał górę, aż wreszcie dali mu zielone światło, a na odczepnego zupełnie mikroskopijny, nierealistyczny budżet. Gaża Uranii miała wynieść niezbędne pięćdziesiąt tysięcy, co było niczym policzek, ale tyle tylko udało się wykroić.

- A ona się zgodziła.

- A ona się zgodziła. Nie dla pieniędzy, choć potrzebowała ich rozpaczliwie, tylko dla samej roli, której pragnęła z jeszcze większą desperacją.

Przerwali rozmowę, gdyż kobieta pojawiła się ponownie, tym razem z ogromną, drewnianą tacą, którą niosła opartą na biodrze. Znajdowało się na niej całe mnóstwo talerzy i półmisek, każdy z jakimś przysmakiem. Były tam smażone bakłażany, kawałki faszerowanej ośmiornicy, kopczyk połyskujących srebrem, świeżo usmażonych sardynek z plasterkami cytryny, drobne, brązowe, smażone małe rybki, obtaczane w mące przed rzuceniem na oliwę, cukinie, gotowany włoski groch i wiele innych dań. Oszałamiający zapach oliwy z oliwek, tymianku, mięty i oregano drażnił podniebienie niczym najlepsze perfumy.

- Oto twoje menu - powiedział Mark. - Wybieraj, na co masz ochotę.

Tracey była oszołomiona.

- Boże drogi, przecież tu wszystko wygląda zachęcająco. Nawet nie wiem, od czego zacząć.

- W takim razie coś ci zaproponuję. Ja wybiorę cztery dania, ty cztery inne, a potem się podzielimy, zgoda?

Tracey pojaśniały oczy.

- Menu, którego można pokosztować. Jak odgadłeś, że chciałabym poznać lokalną kuchnię?

Uśmiechnął się, sięgając po mątwy z koperkiem i oliwkami.

- Wyglądasz na kogoś, kogo pociąga przygoda.

- Czy to komplement? - Zerknęła na niego z ukosa.

- Tak był pomyślany.

Tracey zaczęła wybierać potrawy.

- A wiesz - odezwała się - mój eksnarzeczonny nienawidził wszystkich etnicznych restauracji, do których usiłowałam go zaciągnąć. Dla niego istniały wyłącznie stek i pieczone ziemniaki. Egzotyczne potrawy uważał za - pokazała w powietrzu znak cudzysłowu -

„kulinarny ekwiwalent skoku na bungee”. - Urwała, próbując wybrać między zieloną fasolką z gulaszem z okry a zapiekanką z ziemniaków i oliwek w sosie pomidorowym.

- Sądzę - powiedział Mark - że to był powód, dla którego został twoim eks.

- Proszę - Tracey przewróciła oczami - nie wgłębiajmy się w tę kwestię. Ale był to na pewno jeden z powodów, możesz mi wierzyć.

Mark wziął zapiekankę z ziemniaków i oliwek, co ułatwiło jej decyzję - zielona fasola z okrą. Stańło na tym, że wybrali w sumie dziewięć różnych potraw. Tracey uśmiechnęła się do kelnerki, dając jej znać, że skończyli. Kobieta byстрыm okiem obrzuciła stół, skinęła głową i odeszła, dźwigając nadal mocno wyładowaną tacę.

- Mój Boże - powiedziała Tracey, spoglądając na niewielki blat pozostawiany talerzami i talerzykami niebezpiecznie balansującymi na krawędzi stolika - jak my to wszystko pozjadamy?

W odpowiedzi poczuła miękkie futerko, ocierające się o jej nogę. Zerknęła pod stół.

Jeden z kotów, którym udało się przetrwać zimę. Szary, wychudzony, z wielkimi żółtymi, głodnymi oczami. W pobliżu krążyły dwa inne - czarny i prązkowany. Żaden z nich nie wyglądał na specjalnie dobrze odżywionego.

Zerknęła na Marka.

- Nie będziesz miał nic przeciwko temu, prawda?

- Przeciwko czemu? Karmieniu kotów przy stole? - Mark podniósł sardynkę za ogonek i rzucił w powietrze.

Szary kot podskoczył, złapał ją w przednie łapy i zaczął pochłaniać.

Kiedy połowa sardynek zniknęła, a Mark i Tracey ciągle jeszcze nakładali potrawy na talerze, kobieta wróciła z kolejnym kwitkiem, który wepchnęła do niewielkiej szklaneczki. Jeśli miała swoje zdanie na temat karmienia kotów, zachowała je dla siebie.

- *Dio Marides Tighanites* - zwrócił się do niej Mark. Kobieta skinęła głową i zniknęła w kuchni.

- Co to takiego? - zapytała Tracey.

- Zamówiłem dwie dodatkowe porcje smażonych rybek - wyjaśnił Mark, ruchem głowy wskazując koty, czym na zawsze podbił serce Tracey. - Inaczej nie zostałyby nic dla nas.

- Jakie to słodkie - zażartowała. - Kto by pomyślał, że zimne serce agenta literackiego kryje w sobie także szczyptę humanitaryzmu.

- Tylko nikomu o tym nie mów - uprzedził ją Mark, przechylając się przez stół i nakładając połowę porcji faszerowanej ośmiornicy na talerz Tracey, a resztę zgarniając dla siebie.

Powoli blat się opróżniał; puste naczynia ułożone w chybotliwą wieżę piętrzyły się z boku. Kiedy skończyli napełniać talerze i wyczyścili ostatni z półmisek, znowu pojawiła się kobieta z dwiema dodatkowymi porcjami smażonych na oliwie rybek i nieodłącznym kwitkiem, który wcisnęła do szklaneczki. Zebrała ze stołu brudne naczynia.

Mark nalał sobie kolejną szklankę mythos.

- Tradycja starożytnych - powiedział. - Najpierw miód, potem uczta.

- Czyżby? - zapytała Tracey, sięgając jednocześnie po nóż i widelec. - Wydaje się, że znasz nawet najdrobniejsze szczegóły.

- Nie tylko - odrzekł radośnie. - Tak naprawdę wiele z nich wymyślam na poczekaniu. Nieźle zabrzmiało, prawda?

- Och ty mały... - nie dokończyła.

- Błagierze - uzupełnił z humorem Mark. - To właśnie miałaś na końcu języka, czyż nie?

- Ja tego nie powiedziałam - zaprzeczyła wyniośle, skupiając się najedzeniu.

- Tym razem ci wybaczę - skwitował. - *Giá sas*. - Uniósł szklankę i z satysfakcją upił długi łyk. - Nektar. Co byśmy, biedni śmiertelnicy, robili bez tego cudu fermentacji?

Tracey nie mogła się pohamować. Czasami złośliwości wyskakiwały z jej ust jak diabeł z pudełka.

- Mielibyśmy mniej problemów typu jazda po pijanemu i przemoc w rodzinie, a w dziedzinie zdrowia mniej przypadków marskości wątroby.

Włożyła do ust kawałek faszerowanej ośmiornicy i natychmiast zamilkła z szacunkiem. Gryzła wolno, przymykając oczy, żeby lepiej poczuć symfonię smaków. Zanim przełknęła, zamruczała z zachwytem.

- Boskie - ogłosiła. - Prawdziwe niebo.

- Warte bogów? - zażartował Mark, unosząc brew.

- Warte całego panteonu - przyznała wspaniałomyślnie.

- Nawet tego miejsca, przygotowującego o zawrót głowy?

- Nawet twoich złośliwości - odparowała, celując w niego widelcem. - Po tak wspaniałym jedzeniu mogłabym prawie, powtarzam, prawie, spróbować polecieć na paralołtni.

Przez chwilę jedli w milczeniu, zbyt pochłonięci delectowaniem się wyszukаныmi smakami ziemi i morza, by rozmawiać. Wreszcie Tracey, uporawszy się z gigantyczną porcją

na talerzu i oddawszy niewiele mniejszą kotom, których nie przestawała karmić, wróciła do przerwane go wątku.

- Zanim rozpoczęliśmy tę ucztę - przypomniała Markowi - zacząłeś mi opowiadać o kręceniu filmu „Wszystko o Ewie”.

- Mmm. - Uniósł palec, pokazując, że ma pełne usta, więc odczekała, aż pogryzie i przełknie. Mark popił jedzenie łykiem piwa i podjął: - Racja, „Wszystko o Ewie”. Wersja pierwotna nagrodzona Oscarem w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku za najlepszy film. Fabułę oczywiście znasz, prawda?

- Kto jej nie zna? Strasznie stary film, o ile dobrze pamiętam, o słynnej gwiazdzie Broadwayu.

- Tak, bohaterka nazywała się Margot Channing, a grała ją Bette Davies.

- A drugą bohaterką była właśnie owa tytułowa Ewa, młoda kobieta, z pozoru słodka i łagodna, która zawładnęła życiem tamtej.

- Zgadza się, Ewa Harrington stała się symbolem kogoś, kto kradnie drugiemu pozycję, partnera czy rolę. W pewien sposób film był prekursorem późniejszej klasyki. „Doliny lalek”, a nawet „Showgirls”, na których wszyscy wieszali psy, a które mnie osobiście nawet się podobały. Zresztą z czasem zyskały sporą widownię.

Jeden z kotów zamiauczał żałośnie.

Mark szybko rzucił trzy kawałki ryby trzem czekającym zwierzakom, które przysiadły na tylnych łapach, pochwyciły zręcznie jedzenie i odeszły kilka kroków, żeby się pożywić. Mark wytarł zatłuszczone palce w papierową serwetkę.

- Oczywiście kiedy Uranii zaproponowano tę rolę, dosłownie się na nią rzuciła. Zresztą kto by tego nie zrobił na jej miejscu? Jej kariera wydawała się skończona, więc żeby zagrać w filmie, gotowa była nawet dopłacić, co zresztą w pewnym sensie uczyniła. Za udział w dwuczęściowym, czterogodzinnym filmie dla telewizji otrzymała zaledwie pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Według standardów obowiązujących w branży było to gorsze niż policzek.

Tracey w zadumie pokiwała głową.

- Obelga połączona z krzywdą. Mark wzruszył ramionami.

- W show - biznesie człowiek uczy się znosić ciosy. Jak już powiedziałem, Urania to profesjonalistka. Miała swoje wzloty i upadki, ale zawsze odbijała się od dna. Z miejsca zrozumiała, jak ta propozycja może wpłynąć na jej dalszą karierę, i rzuciła się na rolę Margot Channing, jakby jutro miało nie istnieć. - Twarz Marka była niemal smutna. - Czasami odnoszę wrażenie, że nadal ją odgrywa. W prawdziwym życiu. Jeśli widziałas remake, pewnie rozpoznałaś te momenty.

- Nie widziałam - burknęła Tracey. - Nawet nie pytaj, w jaki sposób udało mi się go przegapić.

- Nie przejmuj się. - Mark uśmiechnął się cierpko. - Po całej willi pałęta się mnóstwo kopii na wideo. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby każdy pokój gościnny okazał się wyposażony w komplet kaset, który Urania uwielbia nazywać swoim *oeuvre*. Jestem pewien, że wiatraka też to dotyczy.

- Jeśli tak, to telewizor i magnetowid znajdują się pewnie na górze - odrzekła kwaśno.

- Jasne - Mark odłożył nóż i widelec. - Reasumując, film nakręcono, taśmę zmontowano. Telewizyjni bonzowie obejrzeni ją i zaczęli dumać. Dumali, dumali i dumali i nic nie wydumali.

- Ale na litość boską, dlaczego? Jaki to miało sens?

- Sama zgadnij.

- Skąd miałabym wiedzieć?

- Właśnie. - Mark uśmiechnął się ironicznie. - Witaj na pokazie sztuki balansowania na linie, zwanej układaniem programu. Zastanawiali się, ale nie potrafili zdecydować, czy to, co obejrzeni, jest dobre, złe, tak złe, że aż dobre, czy też może stanowi kompletną pomyłkę.

Tracey z niedowierzaniem zamrugła oczami.

- Kompletnie zakręcenie.

- Bo to jest kompletne zakręcenie, nazywając rzecz łagodnie. W tym czasie Urania tkwiła w stanie całkowitego zawieszenia. Nie dostawała żadnych propozycji. W show - biznesie jesteś albo gorący, albo martwy.

- Przecież nakręciła ten film dla telewizji.

- To bez znaczenia. - Pokręcił głową. - Jeśli nawet zagrałaś w czymś, a produkcja nie ujrzała światła dziennego, i tak wrzucają cię do jednego worka ze zmarłymi.

- Jak więc Uranii udało się comeback? - chciała wiedzieć Tracey.

- Tak jak się to najczęściej dzieje, zupełnie przypadkowo. Jakies półtora roku później sieć telewizyjna postanowiła wrzucić wszystkie kury do jednego garnka. Wymyślili superprodukcję, nowy miniserial, emitowany podczas wiosennego rankingu oglądalności, film, który miał zgromadzić wszystkich widzów przed telewizorami. I co się stało?

Mark ponownie zwilżył usta piwem. Na jego górnej wardze pojawiła się mała kreska białej piany. Tracey postanowiła nie mówić mu o tym, gdyż z jakiegoś powodu ów biały wąsik wydał jej się bardzo pociągający.

- I co się stało? - powtórzył Mark. - Kłapa na całej linii. Najpierw produkcja opóźniła się z powodu strajku aktorów, który nieźle namieszał w harmonogramach. Jednak producenci doszli do wniosku, że stracony czas da się nadrobić, przyspieszając realizację.

- Udało się?

- Zaskakujące, ale tak - powiedział Mark. - Co dziwniejsze, następne sześć tygodni przeszło tak gładko, jak chyba przy żadnym innym serialu. Pewnie, nie brakowało różnych drobnych potknięć i zaburzeń, lecz tego nigdy nie da się uniknąć. Nawet w Los Angeles czuło się ulgę emanującą z nowojorskiej kwatery głównej. Brakowało trzech tygodni do zakończenia zdjęć, kiedy nastąpiło wielkie bum. - Znienacka uderzył pięścią w rozłożoną dłoń. Tracey aż podskoczyła. - Aktor grający główną rolę popełnił czyn niewybaczalny. Czy uwierzyłabyś, że miał śmiałość zginąć w wypadku samochodowym?

Tracey szeroko otworzyła oczy. Nie znała Marka na tyle, by wiedzieć, czy mówi serio, czy żartuje.

Jego wargi ułożyły się w złośliwy, ironiczny uśmiech.

- Bezmyślność z jego strony, prawda? Co za pomysł, żeby umrzeć, zanim najważniejsze sceny zostały ukończone. Z punktu widzenia przemysłu filmowego zachował się w najwyższym stopniu nieprofesjonalnie.

- Zdradź mi tajemnicę - wycodziła Tracey, spoglądając na niego spod przymkniętych powiek. - Czy w Hollywood wszyscy są tak cyniczni jak ty?

- Jeszcze bardziej. - Westchnął, potrząsając głową. - Problem polega na tym, że ludzie w przemyśle filmowym traktują wszystko, poczynając od siebie, ze śmiertelną powagą. Brakuje im poczucia humoru, zwłaszcza jeśli chodzi o nich samych. Ktoś kiedyś powiedział, że jeśli przyjedziesz do Hollywood, twoje poczucie humoru umrze tam pierwsze.

- Jakie to straszliwie przygnębiające. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym przez cały dzień nie roześmiać się z czegoś.

- Tam jest tak przez cały czas. Zwykła praca i zwykła zabawa to coś wyłącznie dla takich nudziarzy jak przeciętni Jack i Jill.

- Założę się, że śmierć gwiazdora przyprawiła niejedną grubą rybę o wrzód żołądka.

Mark uśmiechnął się szeroko.

- Prędejj o zawał. Widzisz, serial zaplanowany był w taki sposób, że nie dało się wyrzucić głównego bohatera, zmienić jednej trzeciej scenariusza czy samego zakończenia. Cała intryga kręciła się wokół tej postaci.

Tracey wzięła z talerza kilka kawałków ośmiornicy i rzuciła kotom pod stół.

- Więc jak z tego wybrnęli?

- Najpierw próbowali zwykłych sztuczek. Wezwali scenarzystów i kazali im przerobić fabułę. Coś pokombinować z zakończeniem. Kiedy nic z tego nie wyszło, uświadomili sobie, że pozostała im wyłącznie jedna droga - nakręcić film jeszcze raz. To oznaczało powtarzanie wszystkich scen z głównym bohaterem. W dodatku okazało się, że zdążyli już zniszczyć dekoracje do zakończonych epizodów i trzeba zrobić je na nowo.

- Nabierasz mnie!

- W żadnym wypadku, Bóg mi świadkiem. - Mark podniósł prawą rękę jak do przysięgi. - W Hollywood prawda zawsze okazuje się dziwniejsza od filmu. W końcu szefowie produkcji musieli spojrzeć w twarz najgorszemu z koszarów. W niedzielę i we wtorek, w najlepszym czasie antenowym w tygodniu badania oglądalności, mieli dwugodzinną lukę w programie. Znasz to powiedzenie, że natura nie znosi próżni?

Tracey przytaknęła.

- Telewizja jeszcze bardziej. Nie możesz mieć pustego czasu antenowego, w dodatku w miesiącu badania oglądalności. Przecież właśnie na podstawie rankingu ustala się ceny reklam na cały następny sezon. To nie czas na jakieś powtórki. Wtedy właśnie wytacza się największe działa, puszcza najlepsze programy rozrywkowe, największe przeboje filmowe i inne specjały.

- Zaczekaj - powiedziała Tracey. - Nagle któryś z tych wielkich dyrektorów przypomniał sobie, że na półce kurzy się „Wszystko o Ewie”.

- Właśnie! - Mark się roześmiał. - Wszyscy pognali na łeb na szyję do sali projekcyjnej, otrzepali taśmę z kurzu i obejrzeliby ponownie. I wiesz co? Uznali, że to wcale nie jest takie złe. W każdym razie lepsze niż dziura w programie. Więc wepchnęli „Ewę” na miejsce serialu, którego nie było.

- To rzeczywiście niesamowity zbieg okoliczności.

- Z pewnością. Oczywiście na wypadek gdyby to nie wypaliło, wszystkie grube ryby pośpiesznie rozglądały się za inną pracą, w obawie, że jeśli oglądalność spadnie poniżej podłogi, stracą stolki.

Tracey rozdziawiła usta.

- To szaleństwo! - zawołała.

- Wcale nie - odpowiedział Mark spokojnie - to Hollywood i Nowy Jork, gdzie rządzi darwinizm. Ale czekaj, bo to się robi jeszcze bardziej zakręcone. Nadszedł dzień po premierze części pierwszej, czyli poniedziałek przed emisją drugiej.

- Tak?

- Zgadnij, gdzie spędziła go Urania.

- Robiąc pedikiur? U fryzjera? Ćwicząc pod okiem osobistego instruktora?

- W kolejce po zasilek dla bezrobotnych. Tam dopadli ją łowcy autografów, podczas gdy reszta kolejki pomstowała, że taka wielka gwiazda, a domaga się zapomogi.

Tracey była wstrząśnięta.

- Jezu, jakie poniżenie. Ja na jej miejscu chyba bym umarła. - Starannie wytarła w serwetkę każdy palec z osobna. - Ale nie masz racji. To nie jest zakręcone, to dom wariatów.

- Jeszcze większym zaskoczeniem okazała się reakcja publiczności. W rankingu Nielsona „Wszystko o Ewie” wygrało bezapelacyjnie. Chcesz usłyszeć coś jeszcze bardziej zwariowanego? Część druga zyskała jeszcze większą widownię, głównie dzięki staroświeckiej poczcie pantoflowej. A w środku tego całego zamieszania znajdowała się Urania, z jednej strony nie wiedząc, skąd wziąć na życie, z drugiej zaś ratując tyłki telewizyjnym bonzom i czyniąc ich multimilionerami.

- Niczym w „Strefie zmroku” - zauważyła Tracey. Mark wzruszył ramionami.

- Mówiłem ci już, to jest Hollywood. Jednego dnia Urania Vickers marzła na mrozie, a następnego znalazła się najbliżej ognia. Po wiekach milczenia telefon jej agenta nagle zaczął się urywać.

Tracey potrząsnęła głową.

- Zimno - gorąco - gorąco - zimno. Jak, na Boga, można wytrzymać takie życie?

- Tak, to nie jest zawód dla ludzi o słabym sercu, zabiegających o stabilność finansową. Wymaga specjalnego chowu. Trzeba mieć grubą skórę, wolę walki i nienasycony głód scenicznej krwi. To praca dla kogoś, kto, żeby dostać rolę, uczyni wszystko.

- Innymi słowy, dla kogoś takiego jak Urania Vickers - dokończyła Tracey.

- Kogoś takiego jak Urania - zgodził się Mark.

Ponura kelnerka podeszła do stolika, aby sprawdzić, czy już skończyli lunch.

Mark popatrzył na Tracey.

- Deser? - zapytał.

Odsunęła się z krzesłem i pogładziła po żołądku.

- W żadnym wypadku. Nie mam już miejsca na nic. Chybabym pękła z przejedzenia.

- Kawę?

- Nie, dziękuję, ale ty się nie krępuj.

- Wolę później. *Café freda* przy basenie.

- Brzmi nieźle.

- Smakuje też nieźle.

Mark naskrobał coś na wymagowanej kartce, pokazując, że prosi o rachunek. Kobieta skinęła głową. Koty, chwilowo najedzone, znikły w swoich kryjówkach, by zdrzemnąć się po posiłku. Pełne brzuchy dodały im pewności siebie.

Mark zapłacił rachunek, który kelnerka obliczyła na podstawie kwitów powtykanych do szklaneczki. Choć ujęła w nim trzynastoprocentowy dodatek za obsługę, zostawił jeszcze hojny napiwek.

- Ponieważ wiem, że prędzej czy później tu wrócę - powiedział do Tracey. - Ty być może także.

Znaleźli się z powrotem na głównej ulicy Oii. Liczba przechodniów zmniejszyła się wyraźnie. Była najgorętsza pora dnia i wiele sklepów zamknięto na kilka godzin. Zostaną otwarte później, kiedy wieczorem ruch się ożywi. Kupcy na pamięć znali rozkłady jazdy autobusów i statków wycieczkowych, niektóre sklepiki handlowały tak długo, jak długo czynny był choć jeden lokal.

Tracey i Mark powoli wracali do willi Uranii. Po drodze przystawali przed kolejnymi witrynami, jedną bardziej urzekającą od drugiej.

- „Wszystko o Ewie” - mruknęła Tracey.

Jej głos brzmiał obojętnie, oczy przesunęły się po białych, aksamitnych podkładkach na wystawie u jubilera, na których leżały rzędy złotych pierścionków z oczkami z lapis - lazuli i innych kamieni półszlachetnych.

Tak naprawdę udawała tylko zainteresowanie biżuterią. Interesowała ją wyłącznie Urania. Gdyby tylko udało jej się ułożyć wszystko w jakimś porządku chronologicznym. Mogłoby jej to nie tylko pomóc w zrozumieniu wszystkiego, ale może nawet wpłynąć na jej dalsze życie.

- Co z tą „Ewą”? - zapytał Mark.

- Kiedy ją nakręcili?

- W czasach, kiedy po ziemi chodziły jeszcze dinozaury. Zaraz, niech pomyślę. Zaraz po „Ewie” Urania nakręciła telewizyjny remake „Co się stało Baby Jane”.

- Kolejny z klasyków Bette Davies?

- Tak. Postać niezrównoważonej Baby Jane Hudson wyrobiła jej nazwisko. Wreszcie znalazła swoją niszę. Wiedźma, którą publiczność uwielbia nienawidzić. Od tego momentu grywała wiecznie ten sam typ. Piękność z pazurkami. Moim zdaniem, wychodziło jej to tak dobrze, ponieważ nie wymagało od niej żadnego aktorstwa. Urania sama jest wiedźmą.

- Ale nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie - przypomniała mu Tracey.

- Rzeczywiście. Hm - Mark się zamyślił. - Niech się zastanowię. Szczyt kariery Uranii to rola pięknej, przebiegłej Jezzy - Jezabel - w tej koszmarnej operze mydlanej kręconej w Scottsdale. Jak długo to nadawano?

Tracey popatrzyła na niego bezradnie.

- Racja - Mark potrząsnął głową - zapominam, że w tych sprawach jesteś niczym dziecko zagubione w lesie. Pewnie nie miałś wtedy nawet dziesięciu lat. Serial szedł jakieś dziewięć do dziesięciu sezonów. W każdym razie coś koło tego. Wiadomo, że zaczęli go kręcić trochę wcześniej. Biorąc pod uwagę Jezzy i Baby Jane, zakładam, że „Wszystko o Ewie” wyemitowano mniej więcej w osiemdziesiątym drugim, czyli powstał około osiemdziesiątego. A dlaczego pytasz? - zakończył z zainteresowaniem. Tracey wzruszyła ramionami.

- Byłam po prostu ciekawa, to wszystko.

Udając, że ją to tak naprawdę nie obchodzi, odsunęła się od wystawy i ruszyła do następnej, także jubilerskiej.

Oczywiście w rzeczywistości bardzo ją to obchodziło. Serce biło jej mocno, puls galopował, gdy dokonywała w myślach pośpiesznych obliczeń.

Czy właśnie wtedy to się stało? W tej półtorarocznej przerwie między ukończeniem „Wszystkiego o Ewie” a premierą filmu? Osiemnaście miesięcy. To by dawało Uranii mnóstwo czasu na zajście w ciążę i potajemne urodzenie dziecka.

Jeszcze jedna kwestia zaprzętała jej umysł.

Urania wówczas nie miała jeszcze wyrobionego nazwiska. Nie była taka słynna i łatwa do rozpoznania. Dopiero później telewizja uczyniła z niej gwiazdę o międzynarodowej sławie. Z powodzeniem mogła więc wyjść za ojca, posługując się przybranym nazwiskiem Victorii Ure, i nikt nie domyśliłby się prawdy.

- Euro. - Głos Marka przerwał jej rozważania.

- Co takiego? Och, przepraszam. - Tracey odwróciła się ku niemu, z typowo kobiecą miną wskazując stos złotych naszyjników i bransoletek, błyszczących w oknie wystawowym.

- Zamyśliłam się.

Uśmiechnął się wyrozumiale.

- Właśnie mówiłem, euro za twoje myśli.

Moje myśli. Te słowa natychmiast uruchomiły mechanizm obronny.

- Nie są warte nawet przeterminowanego losu na loterię - odpowiedziała lekceważącym tonem.

W duchu zaś dodała jednocześnie: gdybyś znał choć połowę z nich. A jeśli już o tym mowa, gdybym tak ją znała...

scandalous

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Miami, Floryda

Kwatera główna policji w Miami mieści się w potężnym, niezgrabnym betonowym bunkrze, wysokim na pięć pięter. Nieforemna fasada wyłożona jest płytkami glazury. Ręcznie malowane przez artystów, tworzą ogromną, abstrakcyjną kompozycję w buntowniczych kolorach, harmonizującą z niekonwencjonalną zabudową miasta. Na wykonanie tego dzieła wykorzystano część miejskich funduszy, zgodnie z prawem nakazującym, aby pewien procent sumy przeznaczonej na budynki municypalne przekazywać na popieranie twórczości artystycznej. Postępowa idea, która jednak w tym konkretnym wypadku okazała się bronią obosieczną. Z jednej strony owo imponujące dzieło spełnia swój szczytny cel, jakim jest przybliżanie kultury społeczeństwu, z drugiej w słoneczne dni przyprawia społeczeństwo o ból głowy z powodu oślepiających refleksów świetlnych odbijających się od glazury.

Dzisiaj jednak to niebezpieczeństwo nie groziło nikomu, gdyż słynne słońce Miami nie świeciło wcale, co latem - podczas szczytu pory deszczowej - zdarza się dość często. Zygzyki błyskawic pulsowały światłem na tle skłębionych chmur nisko nad głowami przechodniów, w powietrzu pachniało ozonem, pioruny uderzały w ziemię niebezpiecznie blisko.

Maribel przycisnęła do piersi dużą kopertę, drugą ręką ściskając Ramóna za ramię.

- Mam nadzieję, że ten twój przyjaciel z wydziału przestępstw gospodarczych... zaraz, jak on się nazywa? - odezwała się bez tchu.

Jej obcasy wystukiwały szybki rytm na wznoszącym się łagodnie podjeździe dla niepełnosprawnych, prowadzącym do głównego wejścia na posterunek. Ona i Ramón usiłowali uciec przed nadciągającą gwałtownie nawałnicą.

- Montague Pleasance - powiedział Ramón, przekrzykując wiatr, szarpiący ich ubraniami i rozwiewający włosy dziewczyny.

- Racja, Montague Pleasance. - Maribel odwróciła głowę, gdy z ziemi poderwał się wirujący kłęb kurzu, i skuliła z przestachem, ponieważ niebo rozdarł kolejny błysk, któremu towarzyszył ogłuszający, suchy trzask, brzmiący niczym salwa artyleryjska.

- Chodź - poganiał ją Ramón. - Prędej, bo inaczej nas zmoczy. Mimo niebotycznych obcasów, Maribel przyspieszyła kroku.

- Mam nadzieję, że ten Montague coś zdoła. - Musiała niemal krzyknąć. - Tracey jest moją najlepszą przyjaciółką, a poza tym, z jakiej racji różnym kanciarzom mają uchodzić na

sucho przekrety, które rujną życie porządnym ludziom. Musi istnieć jakiś sposób, aby temu zapobiec.

- Wkrótce się przekonamy. Mówiłem ci, że jeśli tylko da się coś zrobić w tej sprawie, Montague jest właściwym facetem na właściwym miejscu.

Wpadli do budynku, dokładnie w tym samym momencie, kiedy rozszalała się nawałnica. Masy wody runęły z ogromną siłą na szyby, palmy pochyliły się pod naporem wiatru, gubiąc liście, przewrócone kosze na śmieci potoczyły się po ulicy, a ich zawartość poleciała dookoła.

- Udało nam się dosłownie w ostatnim momencie! - zawołała Maribel z ulgą.

Ray wyminął gromadkę ludzi, którzy schronili się w budynku, czekając, aż burza ucichnie, i skierował w stronę recepcji. Za ladą stał emerytowany policjant w mundurze, z czerwoną, pomarszczoną twarzą, wielkimi, czerwonymi uszami, włosami zaczesanymi staromodnie do tyłu i oczami jak szparki, sprawiającymi wrażenie, jakby wszystko już w życiu widziały.

Ramón odezwał się pierwszy:

- Jesteśmy umówieni z detektywami Pleasance'em i Sadwith, z wydziału przestępstw gospodarczych.

Funkcjonariusz podniósł słuchawkę telefonu.

- Kogo mam zameldować?

Ramón wręczył mu wizytówkę. Policjant przytrzymał ją na odległość wyciągniętej ręki, obejrzał, wybrał numer wewnętrzny i powiedział coś do słuchawki. Kiedy ją odłożył, wręczył Ramónowi laminowany identyfikator z napisem: „Gość”.

- Przy wyjściu proszę to zwrócić. Pokój, do którego państwo muszą iść, znajduje się na trzecim piętrze. Windy są tam.

- Dziękuję - Ramón uśmiechnął się uprzejmie - znam drogę. Wjechali na górę.

Wydział przestępstw gospodarczych zajmował średniej wielkości pomieszczenie, ciasno wypełnione biurkami i szafami na dokumenty Policjanci i policjantki po cywilnemu, w koszulach z rękawami podwiniętymi do łokci, siedzieli przy komputerach, rozmawiali przez telefon, studiowali opasłe tomy dokumentów i staroświeckie księgi.

Z boku znajdował się drugi pokój, mniejszy i bez okien. Na przytwierdzonej do ściany obok otwartych drzwi tabliczce wygrawerowano dwa nazwiska: „Detektyw Stanlee Sadwith”, „Detektyw Montague Pleasance”.

Ramón zajął do środka. Zaintrygowana Maribel wspięła się na palce i zerknęła ponad jego ramieniem. Zobaczyła dwa ustawione naprzeciwko siebie biurka. Przy jednym z

nich siedziała niewysoka, szczupła kobieta o piegowatej twarzy, jasnych, bursztynowych oczach, z włosami obciętymi w stylu Dorothy Hamill. Popijała kawę z papierowego kubka, przerzucając jednocześnie rzędy cyfr na ekranie komputera.

Ramón zastukał we framugę otwartych drzwi.

- Puk, puk - powiedział. Kobieta okręciła się w krześle.

- O, Señor Elegancik, witaj. - Jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Szybko odstawiła kubek z kawą. - Długo nas nie odwiedzałeś.

- Zbyt długo. Opuściłem się. Wybaczysz mi?

- Wiesz, że ja zawsze wszystko ci wybaczam. Ramón uśmiechnął się szeroko.

- Jasne. Jak tam potraktowało cię ostatnio życie?

- Parszywie jak zwykle. - Zachichotała. - A co, myślałeś, że pod tym względem coś się zmieniło?

Zauważywszy Maribel, wyciągającą szyję zza pleców Ramóna, pytająco uniosła brwi.

- Och - powiedział - przepraszam za mój brak dobrych manier. - Odsunął się na bok w ciasnym przejściu. - To moja przyjaciółka, Maribel Pinales. Maribel - detektyw Stanlee Sadwith.

Maribel wyminęła go i potrząsnęła dłonią kobiety. Uścisk Stanlee był mocny i zdecydowany. Jej uczesanie i kolor włosów okazały się zwodnicze, była starsza, niż się wydawało na pierwszy rzut oka. Miała wyraźne kurze łapki i siateczkę zmarszczek na całej twarzy.

- Nigdy nie próbuj zrobić Stanlee w konia - zwrócił się Ramón do Maribel z żartobliwym ostrzeżeniem. - Ma fotograficzną pamięć.

- Planując jakiś przekręt, będę to miała na uwadze - zapewniła go z uśmiechem.

Stanlee wybuchnęła śmiechem.

- Widzę, Ray, że czeka cię mnóstwo roboty. Zresztą najwyższy czas.

Ignorując tę ostatnią uwagę, Ramón odezwał się swobodnie:

- A teraz, kiedy poznałeś już Stanlee, chciałbym ci przedstawić drugą część tandemu. Oto bicz na fałszerzy, oszustów podatkowych, ludzi piorących brudne pieniądze, kanciarzy, hakerów bankowych i kogo tam jeszcze. Legenda swoich czasów, jedyny i niepowtarzalny Montague Pleasance!

Słyszając to nazwisko, Maribel momentalnie wyobraziła sobie sztywnego, wyniosłego Anglika, z niewielkim wąsikiem i nosowym akcentem, nadętego pyszałka w stylu gości popijających pimmsa, a jeśli nie to, to typowego białego, anglosaskiego protestanta, wyglądającego jakby żywcem zszedł z reklamy Ralpa Laurena.

Jej wizja okazała się jak najdalsza od rzeczywistości.

Jedyny i niepowtarzalny obrócił się na krześle i wychylił do połowy zza monitora. Ruchy pełne gracji i sprężyste niczym u wielkiego kota, karnacja w kolorze jasnego rumu, czarne rastafariańskie dredy.

Maribel poczuła się kompletnie zaskoczona i to więcej niż z jednego powodu.

Przede wszystkim Montague Pleasance wyglądał niczym członek zespołu reggae, a wrażenie to potęgowała jeszcze złachana koszula, którą miał na sobie, rozpięta niczym kamizelka, pozszywana byle jak z pięciu innych, podartych, o różnych deseniach i kolorach - czerwonym, różowym, liliowym, jasnożółtym i białym - i z każdym guzikiem innym. Zamiast spodni nosił coś w rodzaju sarongu z batik, zawiązanego wokół talii. Bose stopy tkwiły w sandałach. Na szyi miał sznurek muszelek, drugi otaczał mu nadgarstek.

I co dziwniejsze, mimo tego całkowicie niepolicyjnego uniformu, nie tylko wydawał się tu całkowicie na miejscu, ale też emanował seksem. Mocne ramiona, muskularny brzuch i spojrzenie twardziela dopełniały całości.

- Facet - odezwał się, patrząc na Ramóna - zawracasz głowę ciężko pracującym ludziom. Masz jakieś kłopoty z bogatymi klientami, twój problem. Po co przychodzisz z tym do nas, marnie opłacanych funkcjonariuszy państwowych? - Dostrzegłszy Maribel, wyprostował się, prezentując w uśmiechu białe niczym alpejski śnieg zęby. - Witaj, piękna. - Przechylił głowę i popatrzył na nią z wyrazem zatroskania. - Montague dziwi się, co taka ślicznotka może robić w towarzystwie tej oślizgłej, prawniczej kreatury.

- Skończ z tymi wygłupami, Monty - powiedział Ray wesoło, po czym scenicznym szeptem rzucił w stronę Maribel: - Niech cię nie zwiodą te ciuchy albo jamajski akcent. Umysł tego gościa przyprawia każdego nieuczciwego księgowego o senne koszmary.

Maribel zerknęła na niego, a potem znów popatrzyła na Montague'a.

- Czy on naprawdę jest policjantem?

- Jak najbardziej - potwierdził Ramón. - Może nawet pokazać ci odznakę. A co do jego... hm... garderoby, wszyscy przymykają na nią oczy, gdyż czasami zgłasza się na ochotnika na tajniaka. Normalnie w gmachu policji nie uświadczysz faceta w spódnicy, chyba że prostytutkę w areszcie. - Urwał na chwilę. - Hej, Monty, a może uprawiasz na boku nierząd i nic mi nie powiedziałaś?

Przyjaciel udał obrażonego.

- A gównu! Noszę spódnicę, bo dobrze mi w spódnicy i tyle.

- Dostyc tego - przerwała Stanlee z powagą w głosie. - Montague, zachowuj się, a ty, Ray, nie zaczepiaj go, bo znowu zacznie. Musimy dbać o reputację.

Maribel postanowiła wykorzystać wyraźne zainteresowanie detektywa swoją osobą. Jeśli go trochę sprowokuje, może się okazać znacznie bardziej chętny do słuchania, a może nawet do zrobienia czegoś. Wszystko dla Tracey, pomyślała. Stłumiła śmiech. Tak jakby nigdy w życiu nie flirtowała!

- Usiądźcie. - Montague wskazał dwa drewniane krzesła. Ramón podsunął jedno Maribel, sam zajął drugie. Usiadła, zwracając w stronę Montague'a skrzyżowane nogi i nie próbując nawet obciągnąć minispódniczki. Zakołysała zsuniętym ze stopy pantoflem na dziesięciocentymetrowym obcasie. Większość facetów uwielbiała, kiedy miała je na nogach.

- Tak więc czemu zawdzięczamy pańską wizytę, panie mecenasie? - zapytała Stanlee urzędowym tonem.

Maribel czuła wzrok detektywa, przesuwający się po jej ciele, więc lekko poprawiła się na krześle, jeszcze bardziej eksponując nogi. Już ja doprowadzę do tego, żeby się napalił, pomyślała bezwstydnie. Ma chłonać każde moje słowo. Siedząc tuż obok Montague'a, widziała teraz wyraźnie, że pod rastafariańskim przebraniem kryje się niewiarygodnie przystojny i męski okaz.

- Maribel opowiedziała mi historię, która może was zainteresować - odezwał się Ramón. Jego głos zabrzmiał nagle bardzo rzeczowo. - Sądzę, że to dokładnie wasze poletko. Ponadto przyniosła mnóstwo papierów, żebyście mieli co postudiować w wolnym czasie.

Maribel postukała leżącą na jej kolanach kopertę, jakby chciała powiedzieć: oto one. Stanlee popatrzyła na kopertę, mrużąc oczy.

- Może na początek posłuchamy, co Maribel ma do powiedzenia - zaproponowała.

- A jeśli uznamy, że ta historia mogłaby zainteresować wydział przestępstw gospodarczych, zerknijmy też na papiery - dorzucił Montague, uśmiechając się prowokacyjnie do Maribel.

- Brzmi to nieźle - uznał Ramón i odwrócił się do dziewczyny. - Powtórz im wszystko, co mi mówiłaś. - Opiekuńczym gestem położył rękę na oparciu jej krzesła. - Niczego nie pomijaj.

Maribel odchrząknęła.

- Zaraz... niech się zastanowię, od czego mam zacząć, bo jest tego sporo.

- Mamy mnóstwo czasu, piękna pani - oświadczył Montague szarmancko.

- Podaj najważniejsze fakty - zaproponowała Stanlee - żebyśmy mieli jakiś punkt zaczepienia.

- Okay. - Maribel zrobiła głęboki wdech.

Zaczęła powoli i nieskładnie, ale wkrótce słowa popłynęły wartką strugą. Mówiła ponad trzydzieści minut, kilkakrotnie przerywając i wracając do jakiegoś szczegółu, tak aby Montague i Stanlee mogli się lepiej zorientować, o co chodzi. Wyjaśniła, co się przytrafiło ojcu Tracey, podkreślając z naciskiem, że to niemożliwe, aby popełnił samobójstwo, opowiedziała o naciskach deweloperów nalegających na sprzedaż domu przy Coconut Grove, o tym, jak Brian oszukał Tracey, wreszcie o wielokrotnej sprzedaży długu hipotecznego, o którym przyjaciółka nie miała pojęcia. Stanlee i Montague kilkakrotnie przerywali jej pytaniami, a kiedy wspomniała o Palm Coast Developers, wymienili szybkie spojrzenia.

Nie uszło to uwagi Maribel.

- Słyszeliście o nich? - zapytała.

- Jasne, że słyszeliśmy - odrzekła Stanlee.

- Wokół nich cuchnie - dodał Montague, nagle bardzo poważny.

- Cała ta historia cuchnie - podsumowała Stanlee z ciężkim westchnieniem.

- Jak sądzicie, da się coś z tym zrobić? - zapytał Ramón. Montague potwierdził.

- Po pierwsze - wyliczał z powagą - trzeba wziąć pod lupę samochód Sullivana. Z tym nie powinno być kłopotów, bo policja pewnie go zatrzymała. Zobaczmy, co uda nam się znaleźć. - Popatrzył na swoją partnerkę, szukając u niej potwierdzenia. Stanlee nie miała zastrzeżeń. - A potem przestudujemy dokładnie wszystkie papiery, zanim złożymy wizytę panu Brianowi Biggsowi III.

Maribel klasnęła w ręce. Najchętniej krzyczałaby z radości. Żeby tak móc od razu opowiedzieć o wszystkim Tracey, przemknęło jej przez myśl. Nie mogła się już doczekać, kiedy przekaże przyjaciółce dobrą nowinę. Bo to była dobra nowina, co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości. Tak samo jak nie miała wątpliwości co do tego, że Tom Sullivan nie popełnił samobójstwa, a Palm Coast cuchnie.

Nagle poczuła rękę Ramóna na swoim ramieniu.

- Lepiej ci teraz? - zapytał z szerokim uśmiechem.

- Wiesz, że tak - odrzekła. - O wiele lepiej.

- Nie martw się - powiedział Montague. - Jeśli w tym wszystkim, o czym mówiłaś, kryje się jakiś przekręt, a osobiście jestem przekonany, że tak, już my go odkryjemy. - Odwrócił się do Stanlee. - Uda się nam, prawda, partnerko?

Kobieta pokiwała głową.

- To może trochę potrwać, ale niebawem skontaktujemy się z wami. Przynajmniej w sprawie samochodu. Montague zaraz zadzwoni do laboratorium i każe chłopcom z miejsca się

nim zająć. Założę się, że są mu winni jakąś przysługę. Może nie, Monty? - zwróciła się do kolegi.

- Jak ty mnie dobrze znasz. Oczywiście, że są. Zabiorą się do tego auta jeszcze dzisiaj.

- W takim razie uciekamy - powiedział Ray. - Nie będziemy wam przeszkadzać w pracy. Idziemy? - zapytał Maribel.

Przytaknęła. Wstała z krzesła i podeszła do Stanlee, wyciągając rękę.

- Dziękuję - odezwała się z powagą. - Wasza pomoc bardzo wiele znaczy dla mojej przyjaciółki i dla mnie.

Stanlee mocno uścisnęła jej dłoń.

- Twoja przyjaciółka ma w tobie naprawdę oddaną kumpelkę.

Wszyscy chcielibyśmy mieć takich przyjaciół. Zrobimy, co w naszej mocy.

- Dziękuję - powtórzyła Maribel, podchodząc z kolei do Pleasance'a. - Tobie także dziękuję, Montague - powiedziała, podając mu rękę.

Montague ujął ją w obie dłonie i przytrzymał łagodnie.

- Nie martw się, moja piękna, już my zajmiemy się wszystkim. - Uścisnął jej dłoń i popatrzył gorąco na dziewczynę.

Maribel zalotnie poruszyła biodrami obciążonymi króciutką spódniczką.

- Jestem ci bardzo wdzięczna. Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować. Było mi ogromnie miło cię poznać i mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.

- Chodźmy już - ponaglił ją Ramón. - Monty, zadzwonisz do mnie, prawda?

- Jasne - odrzekł Monty, uwalniając wreszcie dłoń Maribel.

- Do zobaczenia - pożegnała go głosem pełnym obietnic. Odwróciła się i z ociąganiem ruszyła za Ramónem. W drzwiach przystanąła, obejrzała się jeszcze i rzuciła przez ramię: - Ciao!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Santoryn, Grecja

Przez następny tydzień Tracey pracowała solidnie, porządkując historię, którą Urania tak nieudolnie usiłowała opowiedzieć. Było to niewdzięczne zadanie, ale pojawiło się coś, co czyniło pracę o wiele łatwiejszą. Na tym etapie nie bardzo jeszcze wiedziała, jak to nazwać, jednego tylko była pewna: między nią a - czy mogła w to uwierzyć? - Markiem Varneyem powstawała coraz silniejsza więź.

Czasami udawało im się znaleźć kilka minut dla siebie i porozmawiać. Te kradzione momenty znaczyły dla Tracey bardzo wiele. Mark myślał podobnie, czuła to. Nie powiedział jej tego, odnosiła jednak zdecydowane wrażenie, że przelotne chwile, jakie spędzali ze sobą, dla niego także stawały się coraz ważniejsze.

Wlepiła wzrok w monitor, choć tak naprawdę nic na nim nie widziała. Gdybym mogła teraz z kimś porozmawiać, przemknęło jej przez myśl. Gdyby tak Maribel była tutaj. Wiedziała, że wszelkie rozważania na temat Marka są przedwczesne, z drugiej jednak strony odczuwała wielkie podniecenie na myśl o nowym związku i przemożną chęć zwierzenia się przyjaciółce.

W końcu postanowiła wyłączyć komputer i zatelefonować. A nuż uda jej się złapać Maribel. Przygotowanie do wyjścia zajęło jej zaledwie kilka minut.

Sklep mieścił się w piaskowożółtym budyńeczku złożonym z dwóch sześcianów, stojących jeden na drugim. Nad frontowym wejściem miał duży szyld z angielskim napisem: „Minimarket”. Pod spodem umieszczono mniejszy napis, po niemiecku: *Täglich frisches Gemüse*.

Do środka prowadziły dwa schodki w dół. Tracey weszła do sklepu i nagle zatrzymała się gwałtownie. Dwie podobne do masek twarze, jaśniejące w panującym wokół półmroku, zdawały się unosić w powietrzu niczym duchy.

Wydała stłumiony okrzyk. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że wchodząc do ciemnego wnętrza, po prostu nie zauważyła dwóch staruszek, które ulokowały się niemal przy wejściu.

Jedna z nich siedziała na giętym, drewnianym krześle, opierając ręce na zakrzywionej lasce, druga stała tuż za nią. Obie miały twarze niczym pomarszczone jabłka i nosiły tradycyjny strój wyspiarek: chusta nakrywająca głowę, suknia z długimi rękawami, fartuch, czarne pończochy i buty. Ale na tym podobieństwo się kończyło.

Kobieta siedząca na krześle była przeraźliwie chuda i wyniszczona. Sprawiała wrażenie niewidomej; miała bielmo na oczach. Była też brudna: jej suknię pokrywały kurz i plamy. Tradycyjną chustę nosiła owiniętą wokół twarzy, tak że długie końce opadały z tyłu na przygarbione plecy. Brakowało jej większości zębów, policzki miała zapadnięte, a sękatę, wspartą na lasce palec zakończony był żółtymi, podobnymi do szponów paznokciami, aż proszącymi się o obcięcie i wyczyszczenie. Dłonie z błękitnymi żyłkami wyraźnie rysującymi się pod niemal przezroczystą skórą także świadczyły o sędziwym wieku.

Kobieta stojąca za nią była młodsza, choć niezbyt wiele, i lepiej ubrana. Chustę nosiła zawiązaną pod brodą i miała wielkie okulary w jasnej oprawce. Patrzyła na Tracey z wyraźną dezaprobatą, jeśli nie z jawną wrogością. Tracey uświadomiła sobie, że to przecież matka pani Stefanou.

- Niech się pani nie boi - usłyszała kobiecy głos, mówiący po angielsku niemal bez obcego akcentu. - One tylko wyglądają jak czarownice. Swoim klientom tłumaczę czasami, że trzecia polecała wziąć udział w przedstawieniu Makbeta albo że właśnie szuka oka, którym mogłyby się wspólnie posługiwać. Ale, chwała Bogu, tak naprawdę nie ma żadnej trzeciej. - Głos zachichotał. - Czym mogę pani służyć?

Słyszając, że ktoś tutaj tak biegle mówi po angielsku, Tracey z ulgą zbliżyła się do lady. Przy kasie siedziała młoda i szczupła kobieta, z jasnymi, wesołymi oczami i piegowatą twarzą. Ciemne włosy miała związane z tyłu, nosiła obcisłe lewisy i prostą, czarną bluzeczkę z krótkimi rękawami. Sięgnęła do jednej z półek za sobą, wyciągnęła plastikowe prostokąty wielkości kart kredytowych i ze zręcznością krupiera ułożyła cały wachlarzyk na ladzie.

- Jeśli chodzi o karty telefoniczne - powiedziała - będzie pani potrzebowała co najmniej jednej za pięć euro, a na kilka połączeń międzynarodowych warto wziąć tę za dziesięć. Jeżeli zaś lubi pani pogawędzić z przyjaciółką bez ustawicznego spoglądania na zegarek, najlepiej będzie kupić dwie po dziesięć euro.

Tracey popatrzyła na sprzedawczynię z niepokojem. Ta kobieta najwyraźniej umiała czytać w myślach. Inaczej skąd wiedziałyby, po co tu przyszła?

- Niech pani przestanie patrzeć na mnie jak na dziw natury - powiedziała ze śmiechem młoda kobieta. - Proszę się nie obawiać, nie potrafię czytać w myślach.

- Więc skąd...?

- Skąd wiedziałam, po co pani przyszła? Tracey skinęła głową.

- To nie wymaga umiejętności jasnowidzenia. Pracuje pani u Uranii Vickers, prawda?

- Tak... myślę, że można mnie nazwać nową sekretarką.

- Sekretarką? Ma pani chyba na myśli osobistą asystentkę. Wydawało mi się, że określenie „sekretarka” podzieliło los „stewardesy linii lotniczych”.

- No cóż, ja nadal używam tego seksistowskiego określenia.

- Jestem pewna, że nieraz się zobaczymy. Jestem Kathy Vasilatos - przedstawiła się właścicielka minimarketu.

Tracey uścisnęła wyciągniętą dłoń.

- Tracey Sullivan.

- Pani Vickers słynie ze swojego skąpstwa. A pani Stefanou mówi bez ogródek wszystkim gościom, że mają używać własnych telefonów komórkowych, dzwonić na koszt odbierającego albo kupować karty telefoniczne do publicznych automatów. Nie uwierzyłybyś, ile ich sprzedałam gościom twojej chlebodawczyni.

Aha, pomyślała Tracey, jeśli chodzi o plotki, nie ma to jak lokalny sklepik.

- Domyślam się, że Urania Vickers przyjmuje wielu gości - powiedziała pozornie obojętnym tonem.

Kathy pomyślała chwilę.

- Niech się zastanowię - zaczęła wolno. - Ani w połowie tak wielu, jak by się człowiek spodziewał po słynnej gwiazdce, jaką jest, czy też była. Z kolei jeśli pozuje na Gretę Garbo, to stanowczo zbyt wielu.

- A co z rodziną? - sondowała Tracey, starając się nie objawiać zbyt wielkiego zainteresowania.

- Hm... - Kathy potrząsnęła głową. - Tu mnie złapałaś. Nie przypominam sobie żadnych krewnych, a jestem przekonana, że pamiętałabym, gdyby jacyś się pojawili. Rodzina wielkiej aktorki, takich ludzi się nie zapomina.

Tracey przytaknęła.

- A ja mam świetny słuch, nie uwierzyłybyś nawet jaki. Włączam radio, słucham muzyki albo wiadomości, rozmawiam z klientami, odważam towar, a jednocześnie słyszę każde słowo wyszeptane w kolejce. Z boku, z przodu, z tyłu, wszystko jednocześnie.

- Zdumiewające.

- Nie tak bardzo. Gdybyś popracowała w sklepiku rodzinnym tak długo jak ja, też nauczyłybyś się mnóstwa sztuczek, żeby zabić nudę i rutynę. Wracając do pani Vickers, nie można wykluczyć, że jacyś jej krewni zachodzili do mnie i kupowali karty, ale z pewnością nie pochwalili się, kim są. Oia to takie przelotowe miejsce. Przyjeżdżają do nas tabuny turystów, potem odjeżdżają i pojawiają się następni goście, mało kto jednak zostaje tu na całe lato.

- Tak, pewnie tak.

- Poza tym ja stoję za ladą tylko przez pół dnia, potem zmienia mnie Mikey. Jestem pewna, że nigdy nie wspominał o żadnych krewnych Uranii, ale kto go tam wie. Mężczyźni nie zaprzatają sobie głowy takimi rzeczami. Nie interesują się tym, czym my. Oczywiście jeśli chcesz, możesz wpaść tu później, kiedy się zmienimy, i sama go zapytać.

Tracey chętnie by to zrobiła, nie chciała jednak zdradzać zbyt wielkiej ciekawości. To, że z jakichś powodów interesowała ją przeszłość Uranii, było wyłącznie jej sprawą.

- Ach, to wcale nie takie istotne - powiedziała lekceważąco.

- Jak uważasz. - Kathy sprawiała wrażenie nieco zawiedzionej. - Po prostu ci to zaproponowałam. Zawsze powtarzam: czym byłoby nasze życie bez plotek? Coś ci powiem, zapytam Mikeya i następnym razem, kiedy się zobaczymy, powiem ci, czego się dowiedziałam. Pasuje?

Takie rozwiązanie wydało się Tracey idealne.

- Znakomicie.

- Czy mogę ci opowiedzieć coś jeszcze o tym fascynującym miejscu? - zapytała Kathy.

Tracey wyciągnęła rękę, jakby chciała zastopować ruch uliczny.

- Proszę - jęknęła - oszczędź mi tego. W obecnej chwili osiągnęłam już stan niemal całkowitego wysycenia. Od chwili przyjazdu tutaj mam zbyt wiele wrażeń.

- Wiem, jak to jest - roześmiała się Kathy. - Daj sobie trochę czasu. Im dłużej tu pobędziesz, tym bardziej to miejsce wyda ci się całkiem zwyczajne.

- Naprawdę? - Tracey sprawiała wrażenie absolutnie nieprzekonanej.

- Naprawdę. Kto jak kto, ale ja to wiem. Tracey w zamyśleniu przechyliła głowę na bok.

- Wiesz - powiedziała wolno - jedna rzecz bardzo mnie intryguje.

- Mianowicie?

- Twój angielski. Mówisz świetnie, masz ogromny zasób słów i nie słyszę u ciebie ani śladu greckiego akcentu.

Kathy spojrzała na nią z dumą.

- Mam nadzieję, że nie. Moi rodzice wyemigrowali do Kanady, kiedy miałam dwa lata. Wychowałam się w Toronto.

- No tak, to wszystko tłumaczy. A teraz mieszkasz tutaj. Na stałe?

- Jeśli mówiąc „tutaj”, masz na myśli Grecję, to tak. Wróciłam, kiedy pobraliśmy się z Mikeyem. Jego jeszcze nie znasz.

- Mikey? To amerykańskie imię. Czy jest Kanadyjczykiem?

- Naprawdę został ochrzczony jako Makis. To grecki odpowiednik Michaela czy Mike'a.

- A więc on też urodził się w Grecji?

- Tak, podobnie jak ja, tylko na Zakinthos. To wyspa na Morzu Jońskim. Jego rodzice również wyemigrowali do Kanady, kiedy był całkiem mały. Nie dość, że zakochaliśmy się w sobie, to jeszcze oboje postanowiliśmy wrócić do Grecji. Nie pytaj, dlaczego.

- A co on robi?

- W tej chwili jest w domu. Pilnuje potworów.

Z nieukrywaną dumą Kathy wskazała na ścianę za sobą. Wzrok Tracey podążył za jej palcem. Powyżej półek zawierających paczki papierosów, zielone i żółte pudełeczka z błonami fotograficznymi, baterie różnych rozmiarów, jednorazowe zapalniczki i tym podobne drobiazgi, wisiało kilka amatorskich zdjęć z obszarpanymi rogami. Na jednym siedmio - czy ośmioletni chłopczyk w t - shircie z Pokemonami usiłował włożyć ogromne okulary przeciwsłoneczne, na drugim jego młodsza siostra z napięciem wpatrywała się w obiektyw. Na trzecim dzieci sfotografowane były razem.

- Są urocze!

- Chcesz powiedzieć, że wyglądają uroczo - roześmiała się Kathy. - Uwierz mi, że człowiek ma przy nich pełne ręce roboty. Mikey i ja pracujemy na zmianę. Kiedy ja jestem w sklepie, on siedzi z dziećmi. Kiedy ja jestem w domu, on sprzedaje.

- A właśnie, coś mi się przypomniało. Czy znasz Prometeusza?

- A więc zdażyłaś już się z nim zaznajomić? Tracey przytaknęła.

- Cóż, nie mogę powiedzieć, żeby mnie to specjalnie dziwiło. Każdy, kto tu zostanie trochę dłużej, prędzej czy później wpadnie na Prometeusza, czy też raczej Prometeusz wpadnie na niego.

- Jaki on jest?

Kathy z westchnieniem uniosła wzrok ku sufitowi, a potem popatrzyła na Tracey swoimi łagodnymi, brązowymi oczami.

- Poza tym, że jest słodki, bardzo inteligentny i uroczy? I że swoimi kotami doprowadza do szału twoją panią Stefanou?

- To nie jest moja pani Stefanou i chciałabym, żebyś o tym pamiętała - odpowiedziała Tracey sucho.

- Moja też nie - wykrzywiła się Kathy. - Mamy szczęście. - Zaciągnęła się papierosem i powoli wypuściła dym. - Ale pytałaś o Prometeusza. Niech pomyślę, od czego zacząć.

Przede wszystkim, prawdziwy mały grotolaz z niego. Z tego, co opowiada, wynika, że zna każdą jaskinię, skałę i szczelinę w tej części wyspy.

- Rzeczywiście zna?

- Ja bym w to nie wątpiła. Czasami wygląda tak, jakby właśnie wyszedł z jakiejś groty.

- Zakładam - powiedziała Tracey ostrożnie - że ma dom i nie mieszka gdzieś w jaskini, bez żadnej opieki.

- Pro? Bezdomny? Boże wielki, nie! Ma dom i to całkiem porządnym. Problem w tym, że brak mu matki, a ojciec rozpuszcza go do niemożliwości.

Tracey natychmiast zaczęła porównywać dzieciństwo Prometeusza z własnym. Ona także pochodziła z niepełnej rodziny. I mnie tata także rozpuszczał do niemożliwości, pomyślała.

- Obsypuje dzieciaka prezentami - ciągnęła Kathy - żeby zrekompensować mu brak matki, ale przecież tak nie można.

- Też tak uważam - zgodziła się Tracey. - A co się stało z matką? Umarła?

Kathy prychnęła gniewnie, wypuszczając chmurę dymu.

- Żeby umarła! Przynajmniej Prometeusz i jego ojciec mieliby poczucie, że jakiś etap został zamknięty. Ale nie! - Potrząsnęła głową z dezaprobatą. - Mamusia pewnego dnia spakowała manatki i odeszła bez słowa pożegnania. W swoim czasie krążyły plotki, że uciekła z marynarzem ze statku wycieczkowego. Wiesz, takiego, który krąży między wyspami, przypląwa tu co pięć dni i wysadza pasażerów na brzeg, żeby mieli kilka godzin na zakupy w Firze. Podobno regularnie spotykała się z tym gościem, a potem związała z nim, gdy skończył się sezon.

- Jakie to okropne. Kiedy to się stało?

- Dwa lata temu, we wrześniu.

- Biedny Pro, pewnie strasznie to przeżył.

- Podejrzewam, że do dzisiaj przeżywa.

- Tak, pewnie tak - szepnęła Tracey. - Nic dziwnego, że tak się opiekuje bezdomnymi kotami. Wie z własnego doświadczenia, co to znaczy być porzuconym. - Zerknęła w stronę drzwi i jej wzrok padł na wiszący nad nimi zegar. - Ojej, muszę się zbierać.

Szybko odliczyła siedem godzin do tyłu. Doskonała pora, żeby złapać Maribel w Miami. Wyliczyła, że o tej porze przyjaciółka będzie akurat piła drugi kubek mocnej, czarnej *café bustelo*.

- Wpadłam tylko po karty telefoniczne - powiedziała spieszenie. - Mam jeszcze mnóstwo pracy, a teraz muszę zatelefonować.

- W każdym razie witaj w Oii, Tracey. Jestem pewna, że cię... zafascynuje. - W ostatnich słowach Kathy brzmiała kpina. - Zajrzyj do mnie od czasu do czasu.

- Na pewno - obiecała Tracey.

- *Yá sas* - uśmiechnęła się właścicielka sklepu. - To greckie do widzenia.

- *Yá sas* - powtórzyła Tracey, zarzucając torbę na ramię.

Kiedy mijala dwie staruszki, przypadkowo dotknęła łokciem ramienia niewidomej. Było to zaledwie dotknięcie, więc reakcja kobiety zaskoczyła Tracey kompletnie. Staruszka jęknęła i krzyknęła znacznie głośniej, niżby się tego można spodziewać. Z jej ust wylał się cały potok szorstkich, greckich słów.

- Przepraszam - szepnęła Tracey, pełna zażenowania. Starąła się ostrożnie obejść kobiety, kiedy szpony tej starszej znieca wystrzeliły do przodu i zacisnęły się na jej ramieniu, wciągając dziewczynę z powrotem do sklepu.

Tracey aż podskoczyła. Co u licha? Spojrzała na ostrą, pomarszczoną twarz. Z bliska zobaczyła, że oczy staruszki nie są całkiem zmatowiałe. Przypominały gotowane białko, leciutko zaciągnięte błękitem. Były zapatrzzone gdzieś w głąb, niesamowite. Zakrzywiony palec wskazujący, zakończony brudnym, szponiastym paznokciem, celował prosto w Tracey.

Włosy zjeżyły jej się na karku, jak gdyby powiał nagle zimny wiatr. Ale przecież wiatru nie było. Poczowała też mrowienie w ramionach i wzdłuż kręgosłupa. Starucha przez cały czas mówiła coś po grecku. Tracey kompletnie nie rozumiała słów, nie brzmiały one jednak mile. Raczej jak jakieś przekleństwa.

Albo straszliwe klątwy.

Próbowała strząsnąć dłoń staruszki, ale szpony jeszcze bardziej zagłębiły się w jej ramieniu. Druga kobieta, matka pani Stefanou, cofnęła się lekko, przyciskając do piersi kościste dłonie i patrząc z przerażeniem na rozgrywającą się scenę.

Niewidoma mówiła nadal, kiwając palcem i potrząsając ramieniem dziewczyny, jakby dla podkreślenia wagi swoich słów.

Co, do diabła?

Tracey popatrzyła na Kathy, szukając pomocy.

- Co ona wygaduje? Ledwo ją dotknęłam. Wiem, że jest bardzo stara, ale przecież nie wyrządziłam jej żadnej krzywdy.

- Nie zwracaj na nią uwagi - odrzekła uspokajającym tonem Kathy i ostro zawołała coś po grecku.

Poruszające się nieprzerwanie bezzębne usta wyrzuciły kilka słów w odpowiedzi.

- Co ona mówi? - chciała wiedzieć Tracey.

- Nic takiego - odparła Kathy, przewracając oczami. - Po prostu ma napad.

- Czego? Syndromu Tourette'a? Kathy się roześmiała.

- Żeby tylko. Nie, nie przeklina. Jej się wydaje, że widzi przyszłość. Tracey spojrzała na nią uważnie.

- A widzi?

- Skąd mam to wiedzieć?

- Ale co mówi? Kathy westchnęła.

- Mówi, że powinnaś natychmiast wyjechać, bo grozi ci tu śmiertelne niebezpieczeństwo.

Tracey mogła patrzeć na życie trzeźwo i rozsądnie, teraz jednak poczuła zimny dreszcz. Żelazny uścisk palców staruszki, pasja, z jaką tamta wykrzykiwała swoją przepowiednię, najwyraźniej wierząc w nią bez zastrzeżeń, w połączeniu z niesamowitym wyrazem ślepych oczu...

- Co... co to znaczy: śmiertelne niebezpieczeństwo? - zapytała z drzeniem.

- Och, zapomnij o tym! - Kathy lekceważąco machnęła ręką. - Ona jest przekonana, że ma dar i potrafi przepowiadać przyszłość. - Uśmiechnęła się krzywo. - Na twoim miejscu nie przejmowałabym się tym gadaniem. Są tacy, którzy jej wierzą, ale to wszystko zabobony.

Staruszka zatrajkotała znowu, zwracając się w stronę Tracey. Kathy odpowiedziała jej coś po grecku.

- A co tym razem? - zapytała Tracey.

- Kazałam jej nie straszyć mi klientów.

- Tak, ale... co mówiła przedtem? Kathy westchnęła.

- Och, wiesz sama. Zwykle banialuki. Że niedawno cierpiałas z powodu utraty miłości i śmierci kogoś bardzo bliskiego.

- Przestań - szepnęła Tracey. Niezwykłość sytuacji i duszący, morderczy upał obezwładniły ją zupełnie. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że cała drży i że Kathy spogląda na nią dziwnie.

Zakończony czarnym szponiastym półksiężycem palec przestał się poruszać. Staruszka sięgnęła do fałdów brudnej, czarnej sukni, pogrzebała w niej chwilę, wyciągnęła jakiś niewielki przedmiot i wcisnęła Tracey do ręki, zamykając na nim jej palce.

Znowu powiedziała coś po grecku.

Tracey ponownie spojrzała w kierunku Kathy.

- A teraz? - zapytała miękko.

- Naprawdę, Tracey, nie warto zwracać na nią uwagi. Inaczej tylko ją zachęcasz.

- Ale ja chcę wiedzieć.

- No dobrze, skoro nalegasz. - Kathy westchnęła i przetłumaczyła z niechęcią słowa tamtej. - Mówi, że to amulet i masz go nosić przy sobie przez cały czas, żeby uchronić się przed diabelskim okiem.

Tracey rozchyliła palce. W zagłębieniu jej dłoni spoczywał mały, złoty, okrągły wisiołek, identyczny z obu stron. Złota obwódka o średnicy niespełna centymetra, z kółeczkiem do przełożenia wstążki albo łańcuszka, otaczała wypukłe, okrągłe, jasnoniebieskie oko z czarną źrenicą.

- Nie mogę tego przyjąć - powiedziała. - To przecież złoto.

- Tania masówka dla turystów - zawyrokowała Kathy ze znanstwem. - Uwierz mi, jest tego na kopy. Jeśli chcesz mojej rady, weź to. Pozbędziesz się jej gadania. A jeśli zależy ci, żeby uszczęśliwić ją naprawdę, zawieś to na szyi. - Zaśmiała się. - Masz zamiar pobyć trochę na tej wyspie, prawda?

- T...tak.

- No to chyba nie chcesz wysłuchiwać jej przepowiedni, ilekroć się na nią natkniesz, prawda? A natkniesz się z całą pewnością. Jeśli nie liczysz turystów, Oia to jedna wielka dziura.

Tracey głęboko zaczerpnęła powietrza.

Kathy ma rację, pomyślała. Po co się upierać? Nikomu nie stanie się żadna krzywda. Bierz to cholerstwo, podziękuj tej czarownicy i kończ przedstawienie.

- Jak się mówi „dziękuję” po grecku, bo zapomniałam? Kathy uśmiechnęła się z aprobatą.

- *Efcharistó.*

- *Efcharistó* - zwróciła się Tracey łagodnie do staruszki.

To podziałało. Kobieta puściła jej ramię i skinęła głową.

Uwolniona od szponów Tracey już miała wyjść, gdy nagle...

Coś się stało, choć nie miała pojęcia co. Czy to zmieniło się światło? Czy nagle zabrakło jej powietrza? Znienacka chwycił ją atak klaustrofobii. Wszystkie przedmioty dookoła utraciły kolory, zupełnie jakby niewidzialny wampir wyssał z nich życie. Wszystko zbladło i zszarzało, zlewając się w ponurą, jednobarwną rzeczywistość.

Zakłóceniu uległa również perspektywa. Rzeczy wydawały się bliższe... bardziej fizyczne, większe, potężniejsze i pełne grozy, zupełnie jakby ściany i półki miały się zaraz zamknąć wokół niej.

Tracey poczuła się jak Alicja w Krainie Czarów. Jak gdyby robiła się coraz mniejsza, podczas gdy staruszki, zwłaszcza ta niewidoma, coraz bardziej ogromniały. Jeszcze chwila, a dosięgną sufitu, pochyliła się nad nią i zdławią ją niczym nadciągająca groźna chmura.

Tego było za wiele. Poczowała się jak w pułapce. Walczyła z mdłościami, oddychała z najwyższym trudem, przytłoczona poczuciem nieuchronnej katastrofy.

- Muszę się stąd wydostać - jęknęła ochryple, wstrząsana dreszczem.

Wysunęła się ze sklepu.

Byle tylko uciec, wydostać się z tego wnętrza, przyprawiającego o halucynacje. W drzwiach potknęła się i omal nie upadła. Uderzyła mocno kolaniem o róg zamrażarki z lodami, ale nawet nie poczuła bólu. Uciekać, uciekać, tłukło jej się po głowie, kiedy wypadła po schodach wprost na główny deptak Oii. Po ciemnym wnętrzu sklepu słońce niemal ją oślepiło. Oddech miała urywany i przez cały czas nie mogła się uwolnić od wrażenia, że stojąca w drzwiach minimarketu ślepa staruszka obserwuje jej ucieczkę.

Obserwuje i widzi...

Zwolniła dopiero po dobrych dziesięciu albo dwudziestu krokach. Wreszcie stanęła, żeby uregulować oddech i uspokoić rozszalałe serce.

Pstryk. Jakby gdzieś ktoś nacisnął niewidzialny przełącznik. Świat na powrót stał się przyjazny, krzywa perspektywa zniknęła, rozmyta szarość odzyskała wspaniałe, intensywne barwy. Budynki z powrotem stały się białymi kostkami cukru, niebo pulsowało błękitem, a wody kaldery przybrały odcień o ton tylko jaśniejszy od indyga.

Dzięki niebiosom, pomyślała Tracey, osłabła z ulgi. Co się stało W tym sklepie? Jakie zaklęcie tam na nią rzucono? Weź się w garść, upomniała samą siebie. To wszystko uroiło się wyłącznie w twojej głowie. Puściłaś wodze wyobraźni.

Nie było żadnego zaklęcia, żadnych czarów, żadnej magii. Nagle, z dala od sklepu, w pełnym świetle dnia, poczuła się bardzo głupio.

Tamte kobiety musiały pomyśleć, że zwariowała.

Nie miała jednak czasu na luksus przejmowania się opinią trzech Greczynek. Jak powiedziała Kathy, nie przyjechała tu na wakacje. Miała zajęcie. Trzeba wrócić do pracy, a przedtem zadzwonić do Maribel. Poza tym musi nabrać większego dystansu do tej... no właśnie, do czego?

Do przepowiedni tamtej wiedźmy.

Słowa i obrazy pojawiły się w jej umyśle zupełnie nieproszone. Znowu poczuła drżenie. Wyobraźnia czy nie, jedno było jasne jak słońce. Ślepa staruszka napędziła jej śmiertelnego stracha.

scandalous

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Miami, Floryda

We wtorek późnym przedpołudniem w biurowcu Biggs - Dimon, w szklanej windzie mknącej do góry, Montague Pleasance powiedział do swojej partnerki:

- Nie sądzę, aby zabawa w dobrego i złego glinę przyniosła rezultaty. Nie z tym gościem. Widziałaś tę recepcję za miliony dolarów? Ten widok? - Wskazał ręką w dół.

Oczy Stanlee podążyły za jego dłonią. Most i rzeka w dole oddalały się szybko, malejąc do rozmiaru zabawek.

- Te akry marmurowych schodów? - ciągnął Montague. - Ten wieżowiec wart setki milionów dolców? Ludzie, którzy doszli do takiej forsy, srają na wszystko. Z czasem nawet zaczynają wierzyć, że ich własne gówno nie śmierdzi.

- Podczas gdy tak naprawdę cuchnie pod niebiosa - warknęła Stanlee Sadwith.

- Racja. Właśnie dlatego Biggsowi od samego początku nie można popuścić. Od razu z góry, a potem jeszcze zwiększać nacisk.

Stanlee wytrzymała jego spojrzenie.

- Lubisz sprowadzać tych wielkich chłoptasiów do ich właściwych rozmiarów, co?

Montague wzruszył ramionami, odsłaniając w wilczym uśmiechu białe zęby, kontrastujące z jego ciemną karnacją. Czarne jak smoła włosy nadal miał zaplecione w rastafariańskie dredy, poczynił natomiast kilka ustępstw, jeśli chodzi o garderobę. Z szyi i nadgarstka detektywa zniknęły naszyjniki z muszelek, a zaskakująca kolorystycznie koszula i batikowy sarong ustąpiły oszalamiającemu fioletowoszaremu garniturowi, jasnoróżowej koszuli i rypsowemu krawatowi ze wzorem w różowe, czarne i białe końskie wędzidła.

Przemiana była całkowita i Montague wyglądał teraz jak ktoś udający się na umówione spotkanie w agencji Forda albo na sesję zdjęciową mody dla „Gentelman's Quarterly”.

W tym ekscentrycznym szaleństwie oczywiście była metoda. Montague przywdział swój rysz tunek bojowy; elegancki garnitur stanowił oręż w bezpośrednim starciu z przeciwnikiem, czyniąc detektywa niemal równym Biggsom.

Czasami jednak to szata zdoła zdoła człowieka.

Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie, pomyślał z ironią Montague.

Odezwał się melodyjnie brzęczyk i winda przystanęła łagodnie. Czerwona lampka pokazała trzydzieste pierwsze piętro. Szklane drzwi bezszelestnie rozsunęły się na boki.

Stanlee ledwo raczyła rzucić okiem na elegancką recepcję. Grube dywany, zielonkawe biurko, karmelowe sofy, wszystko to jakoś nie zrobiło na niej większego wrażenia. Za ladą tkwiła reprezentacyjna blondynka z zestawem słuchawkowym na uszach i małym, zakrzywionym mikrofonem. Była ubrana w kosztowny bliźniak, miała kunsztowny makijaż i wyglądała dokładnie tak, jak aktorka ubiegająca się o rolę - zaraz, to się chyba nazywa casting, przemknęło przez myśl Stanlee - specjalistki do spraw zarządzania zasobami ludzkimi; to szumna nazwa oznaczająca po prostu pracownika działu kadr.

Detektyw Sadwith skierowała się wprost do dziewczyny, podczas gdy Montague, w rozpiętej marynarce, z rękami w kieszeniach i z nieporuszoną miną zaczął przechadzać się po recepcji. Jego bystre oczy skrzętnie notowały każdy szczegół otoczenia.

- Chcielibyśmy się zobaczyć z panem Biggsem - zaczęła Stanlee ściszym głosem, niczym w przybytku wiedzy albo w świątyni.

Blondynka uśmiechnęła się profesjonalnie.

- Przykro mi, ale pan Biggs jest zajęty. Zechcą państwo zostawić wizytówki.

Stanlee uśmiechnęła się słodko, wyciągnęła mały, skórzany portfelik i błysnęła legitymacją służbową.

- Proszę popatrzeć na to. - Teraz w jej tonie nie było nic słodkiego. - Detektyw Stanlee Sadwith. Ten pan ze mną to detektyw Montague Pleasance. Jesteśmy z policji w Miami, wydział przestępstw gospodarczych. Możemy to rozegrać na dwa sposoby. Albo pan Biggs przyjmie nas tutaj, albo uda się z nami na posterunek. Pani wybór.

Recepcjonistka zawahała się, najwyraźniej wytrącona z równowagi. Do tej pory z policją miała do czynienia wyłącznie przy tych rzadkich okazjach, kiedy musiała ją wzywać do usuwania niezadowolonych gości czy demonstrantów. Ale żeby detektywi przychodzili do pana Biggsa! To było coś nowego, tego nie miała w wytycznych.

- Osobiście - podjęła Stanlee tonem konwersacji - sądzę, że pan Biggs będzie bardziej wdzięczny, jeśli pani odwoła inne spotkania, tak żeby mógł spotkać się z nami, i to z miejsca, jak mawiamy w siłach policyjnych.

Znalazłszy się między Scyllą a Charybdą, recepcjonistka wychrypiała tylko:

- Och, już dobrze.

Wybrała jakiś numer na klawiaturze i cicho powiedziała coś do mikrofonu. Przez chwilę słuchała.

- Jasne, Mona, zaczekam.

Po minucie czy dwóch, już bez uśmiechu, skinęła na Stanlee i powiedziała zimnym, obojętnym tonem:

- Proszę usiąść. Asystentka pana Biggsa zaraz przyjdzie i zaprowadzi państwa do jego gabinetu.

Stanlee podziękowała i podeszła do Montague'a, nadal spacerującego po luksusowym wnętrzu.

- Wspaniałe miejsce - zauważył *sotto voce*. - Człowiek od razu nabiera ochoty, żeby się tu wprowadzić, prawda?

Popatrzyła na niego zimno.

- Jestem pewna, że ta wspaniałość jest przereklamowana.

- Czy zastanawiałaś się kiedykolwiek, ilu ludzi pracuje w takich odlotowych biurach, a potem o piątej po południu wraca do jakiejś zakaraluszony nory?

- Pracujesz tam, gdzie musisz pracować, mieszkasz tam, gdzie musisz mieszkać - odpowiedziała sentencjonalnie Stanlee. - Zresztą podobno twój dom jest tam, gdzie twoje serce.

- Jasne, zwłaszcza jeśli to dom za dwadzieścia pięć milionów na Star Island albo wart trzy miliony apartament na Fisher.

- Cały problem z tobą polega na tym, że jesteś cyniczny do szpiku kości.

- A ty nie? - Montague wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Oboje odwrócili się na widok kolejnej wspaniałej blondynki, która pojawiła się w recepcji i rozejrzała dookoła. Miała na sobie zielony kostium od Chanel i pasujące do niego kolorem pantofle na niewysokim obcasie, a na twarzy ten rodzaj perfekcyjnego, wymuszonego uśmiechu, którym posługują się stewardesy linii lotniczych i właściciele butików na całym świecie.

- Detektywi Sadwith i Pleasance, prawda?

Stanlee i Montague przytaknęli, że to istotnie o nich mowa.

- Jestem Mona Claymore, osobista asystentka pana Biggsa. Wymieniając uściski dłoni, Montague i Stanlee otaksowali ją od stóp do głów. Mona Claymore miała idealne sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i szczupłą figurę, jednak prowokacyjnie zaokrągloną w odpowiednich miejscach. Nosila markowe okulary w szylkretowej oprawce i upięte do góry włosy, w stylu podpatrzonym na ekranie telewizora, gdzie bohaterka serialu po przyjeździe do domu zrzuca z nóg pantofle, ściąga okulary i jednym potrząśnięciem głowy uwalnia loki, pozwalając im rozsypać się na ramiona.

- Proszę państwa za mną - powiedziała modulowanym głosem.

Montague i Stanlee wymienili spojrzenia. Mona Claymore powiodła ich luksusowym holem do ogromnej, pozbawionej okien sali konferencyjnej.

- Zawiadomię pana Biggsa, że państwo czekają - oznajmiła i wycofała się, zamykając za sobą drzwi.

W niecałe pięć minut później pojawił się Wielki Kahuna*.

- Przepraszam, konferencja - powiedział, błyskając białymi zębami. - Wiedzą państwo, jak to jest.

- Ja tam nie wiem. - Montague przedstawił siebie i Stanlee i wszyscy usiedli na końcu długiego stołu konferencyjnego, Brian Biggs u szczytu, a Stanlee i Montague odpowiednio po jego prawej i lewej ręce, twarzami zwrócenii do siebie.

- Tak więc reprezentują państwo policję Miami, wydział przestępstw gospodarczych. - Po przystojnej twarzy Briana Rutherforda Biggsa III przemknął cień niepokoju. - Przestępstwa gospodarcze? - powtórzył, jakby upewniając się, czy dobrze usłyszał.

- Zgadza się - odrzekła Stanlee. - Zanim rozpoczniemy, mam obowiązek poinformować pana, że ma pan prawo do obecności swojego adwokata podczas tej rozmowy.

Brian Biggs roześmiał się swobodnie.

- Adwokata? Och, proszę pani, po co miałby mi być tu potrzebny? Nie wnoszą państwo oskarżenia, prawda?

Stanlee potrząsnęła głową.

- Nie, oskarżenia nie, natomiast chcielibyśmy uzyskać odpowiedź na kilka pytań.

Brian roześmiał się znowu.

- Bardzo proszę. Rozczaruję państwa, ale jesteśmy tak praworządni, jak to tylko możliwe. Cała rodzina spółek Biggs - Dimon jest taka.

- Rozczaruję pana, ale nie to zwróciło naszą uwagę - powiedziała poważnie Stanlee.

Coś w jej tonie kazało Brianowi mieć się na baczności.

- Och. - Unosząc brew w niemym pytaniu, przesunął wzrokiem od Stanlee do Montague'a i z powrotem. - Obawiam się, że muszą mnie państwo oświecić. Jesteśmy wielką firmą. Potężną. Jak to się u nas mówi, mamy więcej dywizji niż armia Pattona. - Kiedy żadne z nich się nie roześmiało, dorzucił: - To taki nasz żarcik.

Stanlee i Montague wymienili spojrzenia, myśląc jednocześnie: zaczyna się. Ten śliski bastard już usiłuje się wykręcić, nie wiedząc jeszcze nawet, skąd wiatr wieje.

Jak wielu policjantów pracujących we dwójkę, Stanlee Sadwith i Montague Pleasance w pewien sposób znali się równie dobrze jak para małżeńska i pod pewnymi względami porozumiewali się nawet lepiej niż z własnymi współmałżonkami. Posługiwali się

* Hawajski kapłan albo uzdrowiciel, przenośnie: ważna i wpływowa osoba.

wypracowanymi przez siebie skrótami, a w połowie wypadków nawet i to było zbyteczne, gdyż dogadywali się bez słów, wymieniając tylko spojrzenia.

- Interesuje nas pewna nieruchomość - zaczął Montague - którą jedna z pańskich, jak pan to nazwał, „rodzinnych spółek” usiłowała przejąć za dług hipoteczny.

Brian Biggs uśmiechnął się szeroko, lekko potrząsając głową, jakby miał do czynienia z tępymi uczniami, którzy nie zdołają pojąć najprostszej nawet lekcji.

- Nieruchomość, powiada pan? Chyba nie spodziewacie się, abym pamiętał każdy kawałek gruntu, którym się zajmujemy. Jesteśmy naprawdę potężną firmą.

- Wiem, mającą więcej dywizji niż armia Pattona - dokończył Montague.

Brian przełknął ślinę, usiłując zignorować tę sarkastyczną uwagę.

- Co konkretnie chcieliby państwo wiedzieć? - zapytał.

- Odkryliśmy, że jest pan dyrektorem spółki o nazwie Palm Coast Developers - powiedziała Stanlee spokojnie. - Ta zdaje się nie należeć do korporacji Biggs - Dimon.

- No i co z tego? - rzucił Brian napastliwie. Teraz nie był już taki pewny siebie.

- Hipoteka obciążająca nieruchomość, o której mowa, położoną przy Coconut Grove i stanowiącą własność Thomasa Sullivana, wielokrotnie przechodziła z rąk do rąk - podjął Montague. - Jej obecnym posiadaczem jest Palm Coast.

- Sprzedawanie długów hipotecznych to powszechna praktyka, jak państwu wiadomo - odparł Brian z nutką irytacji w głosie. - Najzwyklejsza sprawa pod słońcem.

- Istotnie - przyznała Stanlee - wiemy o tym. Czasami nawet zauważamy jakieś niezwykle okoliczności, jak w wypadku hipoteki Thomasa Sullivana. Przechodziła z rąk do rąk tyle razy, iż jedynym sensownym wytłumaczeniem takiego postępowania, jakie przyszło nam do głowy, jest to, że ktoś usiłuje ukryć tożsamość jej rzeczywistego posiadacza. Dotarcie do Palm Coast nie przyszło nam łatwo.

Brian wzruszył ramionami i uniósł w górę rękę.

- No i co z tego? - powtórzył. - To także często się zdarza.

- Być może - zgodził się Montague. - Pewnie nazwie nas pan głupcami, ale jesteśmy naprawdę zainteresowani, po co uciekał się pan do takich sztuczek. - Detektyw pogładził dłonią dredy i uniósł wzrok ku sufitowi. - Czemu tak panu zależało, aby nie można było połączyć pańskiej osoby z Palm Coast? Zachodzę w głowę, dlaczego tak przemyśli gość jak pan, panie Biggs, usiłuje zataić swoją tożsamość. - Odczekał chwilę, po czym przeniósł oczy z sufitu bezpośrednio na Briana. Bawiło go obserwowanie, jak ten ważniak wije się teraz, gorączkowo usiłując wymyślić jakąś odpowiedź na niewygodne pytanie. - Czy to miało coś

wspólnego z pańskimi zaręczynami z córką Toma Sullivana? - podjął, zdecydowany dołożyć tej gnidzie jeszcze trochę. - Tracey, tak zdaje się ma na imię ta młoda dama.

Czoło Briana Biggsa III zrosił pot. Gwałtownie odsunął od siebie krzesło i zerwał się na równe nogi. Cały jego urok i ogłada nagle gdzieś się ulotniły.

- Jeśli nie przyszlście tu z żadną inną sprawą, to mam napięty harmonogram.

- Już kończymy - zapewniła go Stanlee - może więc zechce pan usiąść.

- Nie wiem, do czego to wszystko zmierza - wybuchnął Brian - ale to zwykłe marnotrawienie mojego czasu.

- Jeśli da nam pan jeszcze minutę, wytłumaczmy panu, do czego to zmierza - odezwał się spokojnie Montague. - Sądzę, że naprawdę będzie lepiej, jeśli z powrotem usadzi pan tyłek na krześle i posłucha, co mamy do powiedzenia.

Brian poczuł, że oblewa go zimny pot, który wsiąka w drogą, szytą na zamówienie koszulę od Turnbulla i Assera. Serce uderzało mu gwałtownie. Przez chwilę stał bez słowa, rozważając różne wyjścia. Wreszcie zdecydował się wysłuchać, co mają do powiedzenia. Może nic takiego, tłumaczył sobie. Na razie cała ich wiedza przed sądem obróciłaby się w kupę łajna.

Usiadł i przywołał na twarz uśmiech.

- Chyba nie muszę tłumaczyć, dlaczego nie chciałem, aby dziewczyna, z którą się spotykam, wiedziała, że mam hipotekę na starej, zmurszałej chałupie jej ojca przy Coconut Grove - odezwał się poufnym tonem. - Rozumie pan, co mam na myśli, detektywie Pleasance, prawda? Gdyby doszło do niej, że to ja mam wszcząć postępowanie o zajęciu, rozpętałaby prawdziwe piekło.

Montague się roześmiał.

- Człowieku, jasne. A jeszcze większe piekło rozpętałaby, gdyby wiedziała, że nie tylko jest pan tłustym kocurem polującym na hipotekę jej ojca, ale także deweloperem, który usiłował wykupić tę nieruchomość. - Nie czekając na odpowiedź, mówił coraz szybciej: - A gdyby wiedziała, że jej ojciec nie popełnił samobójstwa, tylko zginął w wypadku, po tym jak ktoś pomajstrował przy hamulcach i akceleratorze jego auta, z pewnością już zaczęłaby coś podejrzewać, nie sądzi pan? Czy zgodzi się pan ze mną? Myślę, że zrobiłaby się ciut podejrzliwa, gdyby wiedziała, że w samochodzie jej ojca nie było ani odrobiny płynu hamulcowego. Czy nie sądzi pan, że zaczęłaby szaleć, wiedząc, że uszkodzono akcelerator, tak że kierowca nie mógł zatrzymać pojazdu? Widzi pan, to właśnie udało się nam ustalić. Myślę, że wydział przestępstw gospodarczych przekaże tę sprawę wydziałowi zabójstw. Rozumie pan, co to oznacza?

Z twarzy Briana odpłynęły kolory. Zerwał się na nogi.

- Biorąc pod uwagę wszystkie brednie, którymi mnie pan częstuje, te przypuszczenia, czy jak je chce pan nazwać, jestem zdania, że przy dalszej naszej rozmowie powinien być obecny jeden z moich adwokatów.

- To rozsądne postanowienie, proszę pana - uznał Montague. - Mamy czas. - Rzucił spojrzenie na Stanlee, a ta uśmiechnęła się z aprobatą.

Bingo, pomyślał Montague. Przygwoździliśmy wszarza.

scandalous

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Santoryn, Grecja

Słyszając w słuchawce głos Tracey, Maribel najpierw zapiszczała z radości, a potem z ogromną prędkością zaczęła wyrzucać z siebie angielskie i hiszpańskie słowa.

- *Concha de Madre*, Trace, tak się cieszę, że dzwonisz. Mam wieści dla ciebie, *cariña*. I to jakie! Pamiętasz, jak ci opowiadałam o Ramónie? Moim Ramónie? Tym fantastycznym, seksownym facecie, z którym się spotykam? O tym prawniku?

- Jak mogłabym zapomnieć? - roześmiała się Tracey.

- No więc, wyobraź sobie, *cariña*, coś takiego. Ray zna mnóstwo osób. Najróżniejszych. Bogatych, biednych, średnio zamożnych. Zna chyba wszystkich w Miami.

Tracey zaczęła się zastanawiać, do czego Maribel tak naprawdę zmierza, ale nie przerywała jej, rozumiejąc, jak bardzo przyjaciółka delectuje się swoją opowieścią.

- Wspominałam ci, że zamierzam z nim porozmawiać o twoim tacie - ciągnęła Maribel. - O tym wypadku czy samobójstwie i o całej reszcie.

Tracey poczuła się nagle zaalarmowana. Najchętniej zasypałaby Maribel mnóstwem pytań, ale powstrzymała się i pozwoliła jej mówić dalej.

- No więc rozmawiałam z nim i Raya bardzo to wszystko zainteresowało. Powiedział, że cała sprawa śmierdzi jak cholera. No wiesz, Brian, Palm Coast, hipoteki i twój tata, nagle wyeliminowany z gry. I zgadnij, co dalej? - Urwała dla większego efektu dramatycznego.

- Co? - zapytała Tracey, naprawdę zaintrygowana.

- Mój Ray ma przyjaciela w policji. Uwierzyłybyś w coś takiego? Tamten gość zajmuje się przestępstwami gospodarczymi.

- Gospodarczymi? - przerwała Tracey. - Ale co...?

- Zaczekaj, *cariña* - mitygowała ją Maribel. - Wszystko ci opowiem, ty tylko słuchaj.

- Zgoda - odrzekła Tracey.

- No więc ten facet to niesamowity bystrzak, jak twierdzi Ray. Taki, co nie popuści. Ma ogromne doświadczenie, mnóstwo już widział i zna się na różnych kantach i przekrętach.

- Naprawdę? - wtrąciła Tracey.

- Dziwny gość, Afroamerykanin. Nosi dredy, ale wygląda super. Jest niesamowicie inteligentny i ma mnóstwo kontaktów. W każdym razie Ray powiedział do mnie: „Chodźmy na posterunek, pogadać z Montague'em Pleasance'em”. Ten detektyw się tak nazywa, nie

żartuję. Montague Pleasance. Stało na tym, że Ray zaprowadził mnie na policję, wiesz, przy Overton.

- Poszłaś tam? - zdziwiła się Tracey.

- *Si, si, si, cariña*. Spotkałam Montague'a Pleasance'a we własnej osobie i powtórzyłam mu wszystko, co opowiedziałam Rayowi. O twoim tacie i o hipotekach. Zapewniłam go, że ani ja, ani ty nawet przez chwilę nie wierzyłyśmy, aby pan Sullivan mógł popełnić samobójstwo.

- A... a co on na to? - zapytała Tracey.

- Doszedł dokładnie do tego samego wniosku co Ray, że coś tu śmierdzi. Nawet cuchnie pod niebiosa. Z tego, co sugerował, wynika, że słyszał już o niejednej brudnej sprawce w Palm Coast. Na początek zaplanował małą rozmówkę z Brianem Biggsem i dokładne sprawdzenie samochodu twojego taty.

- Naprawdę? - Tracey nie posiadała się ze zdumienia.

- Naprawdę, *amiga*. Jeszcze nie wiem, jaki jest wynik oględzin, ale dowiem się wkrótce. To może się okazać bardzo interesujące.

- Maribel, udało ci się puścić w ruch całą tę maszynę? Mój Boże, nie straciłaś ani chwili!

- A co ty myślisz? Jestem kobietą czynu. Ale zaraz, a z czym ty dzwonisz? Hm, mój nos podpowiada mi, że na widoku pojawił się jakiś superprzystojny młody mężczyzna.

- Maribel - zawołała Tracey z najwyższym zdumieniem - tylko mi nie mów, że jesteś też jasnowidzem.

- Aha. - Triumf w głosie przyjaciółki zabrzmiał niczym fanfary. - Wiedziałam, po prostu wiedziałam. Czyli jest przystojny młody facet.

Tracey wzniosła oczy do góry.

- No dobrze, jest. Ale to nie tak, jak myślisz. Przynajmniej nie na razie.

- *Cariña* - odpowiedziała Maribel tonem światowej konwersacji - wszystko w porządku. Jestem *Latina*, pamiętasz? Jeśli istnieje coś, co my, Latynosi, rozumiemy lepiej niż ktokolwiek inny, to właśnie sprawy *corazon*. Jest absolutnie usprawiedliwione, że zakochałaś się do szaleństwa w jakimś wysokim, ciemnym, przystojnym cudzoziemcu.

- Maribel, to nie to! - zawołała Tracey z irytacją. - Wcale się nie zakochałam do szaleństwa. Jak mogłabym? Znasz to stare powiedzenie, że nie należy mieszać interesów z przyjemnością?

- Interesów? Zaraz, uporządkujmy pewne kwestie. Czy powiedziałaś: „interesów”?

- Tak, kochana - westchnęła Tracey - powiedziałam: „interesów”.

- Innymi słowy, ten twój książę z bajki...

- On nie jest żadnym moim księciem.

- No dobrze, ten mężczyzna, *Señor Misterioso*. Przypuszczam, że ma jakieś imię i nazwisko?

- Owszem. Mark Varney.

- W takim razie on jest twoim, jak mu tam... tak?

- Tak, Maribel - tłumaczyła Tracey cierpliwie. - Jest moim agentem.

- Aha. I ten facet jest tobą zainteresowany.

- Nie potrafię powiedzieć ani czy jest, ani czy nie jest. Po prostu nie wiem. - Podczas gdy Maribel usiłowała przetrwać tę ostatnią informację, Tracey dodała: - A jakby to wszystko nie było dostatecznie skomplikowane, kobieta, u której pracuję, wbiła sobie do głowy, że stanowią zagrożenie dla ich związku. Możesz w to uwierzyć? Zupełnie jakbym chciała jej ukraść tego Marka!

- A chcesz?

- Maribel, na litość boską, chyba powinnaś mnie już lepiej znać. Nigdy bym się nie pakowała w czyjś związek.

- Może i nie, ale aj, aj, aj. Jak pomyślę, ile udało ci się dokonać w tak krótkim czasie...

- W głosie przyjaciółki brzmiał niekłamany podziw.

- No cóż, to wszystko jest raczej zagmatwane - tłumaczyła Tracey - choć wolałabym, żeby tak nie było. Najchętniej pogadałabym z tobą od serca, ale wiesz, jaka jest sytuacja. Pamiętasz tę klauzulę tajności, którą musiałam podpisać? Tę obietnicę, że będę milczała?

- Tak, ale tamten cwany *ahogado* najwyraźniej pominął jeden istotny punkt - zachichotała Maribel.

- O, jaki?

- Och, *por favor*, a jak ci się wydaje? Zabraniający kradzieży chłopaka twojej gwieździe.

Tracey omal nie wypuściła z rąk słuchawki. O kurczę, pomyślała, Maribel połapała się we wszystkim. Wie, że pracuję dla Uranii Vickers.

- Maribel - odezwała się beznamiętnie, co dla wszystkich, którzy znali ją bliżej, oznaczało, że właśnie wywiesiła czerwoną flagę sygnalizującą gniew i niezadowolenie - co ty dokładnie wiesz na ten temat? I skąd wzięłaś swoje informacje?

- *Cariña* - zaczęła tamta obronnym tonem - wiem, kto jest twoim agentem. A to chyba nie tajemnica, prawda?

- Nie - przyznała Tracey z ociąganiem.

- No więc wpadłam na genialny pomysł i weszłam na stronę internetową jego agencji.

Tracey czekała w milczeniu.

- Znalazłam tam listę ostatnio opublikowanych książek, które przeszły przez ich ręce. Żadne oszałamiające odkrycie. Ale zobaczyłam, że można też uzyskać dostęp do starszych tytułów, do których nadal mają prawa za granicą. Wycelowałam więc myszką i kliknęłam. - Urwała. - Zgadnij, czyje nazwisko i zdjęcie wielkości znaczka pocztowego wyskoczyło mi od razu?

Tracey zmarszczyła brwi. Nie musiała zgadywać. Po prostu wiedziała. Uranii Vickers, kogóż by innego?

- Oczywiście na początku wcale nie dodałam dwóch do dwóch. Powiedziałam sobie: Maribel, nie bądź *estupido*. Urania Vickers? To byłby zbyt wielki zbieg okoliczności. Ale kliknęłam na obrazek i pokazała mi się obwoluta jej ostatniej książki.

- Tak? - powiedziała Tracey. Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Tracey niemal widziała, jak przyjaciółka pije łyk kawy z parującego kubka.

- W każdym razie - podjęła Maribel - to było takie nudziarstwo, że w końcu kliknęłam na link „O autorze”, po prostu, żeby zobaczyć, co o niej napisali.

Tracey milczała.

- Tam znalazłam kolejny link, do oficjalnej strony klubu fanów Uranii Vickers. Pomyślałam sobie: dlaczego nie, w końcu co w tym złego? No więc wycelowałam myszką i kliknęłam jeszcze raz.

- Rozumiem.

- Jak myślisz, co mi wtedy wyskoczyło? „Urania Vickers dzieli swój czas między rezydencję w Beverly Hills, apartament w Paryżu i willę na greckich wyspach”.

- Greckie wyspy - szepnęła Tracey. - Tym sposobem wszystko trafiło na swoje miejsce.

- Tak! - zawołała radośnie Maribel. - Tym sposobem wszystko trafiło na swoje miejsce.

Nastąpiła chwila przedłużającego się milczenia. Tracey mogła tylko ze zdumieniem potrząsać głową. Kto by pomyślał, podpisuje się najbardziej tajne umowy na świecie, a potem wystarczy jedynie kilkakrotnie kliknąć myszką, by cała sprawa się wydała.

- Słuchaj, mam nadzieję, że nie jesteś na mnie wściekła. Byłam tylko ciekawa twojego agenta i tyle. Pojęcia nie miałam, że zajmuje się także interesami Uranii Vickers - odezwała się w końcu przyjaciółka.

- On tylko reprezentuje ją w pewnym przedsięwzięciu... hm... literackim. Sprawy filmowe i telewizyjne prowadzi jedna z tych wielkich agencji na zachodnim wybrzeżu, zapomniałam jej nazwy.

Z odległości tysięcy kilometrów Tracey usłyszała syk pary, brzęk naczyń i bulgotanie wody. Maribel ponownie napełniała kubek kawą.

- Tak więc pracujesz dla Uranii Vickers i nikt nie powinien się o tym dowiedzieć - podsumowała.

Tracey wydała z siebie bolesne westchnienie.

- Cholera - powiedziała miękko - cholera i jeszcze raz cholera, to komplikuje wszystko.

- *Querida*, spokojnie. Pomyśl trzeźwo. Dlaczego fakt, że wiem, miałby skomplikować cokolwiek?

- Dlaczego? Z powodu umowy, którą podpisałam. Jeśli piśniesz choć słówko, może mieć to dla mnie bardzo poważne konsekwencje. Na początek podadzą mnie do sądu.

- *Por favor* - Maribel prychnęła gniewnie - sądziłam, że jesteśmy *amigas*, pamiętasz? Czy może teraz to się zmieniło?

Tracey uświadomiła sobie nagle, jak głupia i dziecinna musi się wydawać przyjaciółce jej reakcja.

- Och, Maribel! - wykrzyknęła. - Jaka ja jestem niemądra. Oczywiście, że potrafisz dotrzymać sekretu. Sama nie wiem, co mnie napadło. Wybaczysz mi, prawda?

- Wszystko dobrze - uspokoiła ją przyjaciółka. - Ale dosyć o tamtym. Zajrzałam do twojego domu. Na pewno ucieszysz się, słysząc, że wszystko w porządku.

- Innymi słowy, jeszcze stoi - skonstatowała Tracey sucho.

- Dlaczego nie miałby stać? - Maribel głośno wciągnęła powietrze. - Trace, nie sądzisz chyba...? - zawołała z wyrzutem.

- Tam, gdzie w grę wchodzi Palm Coast Developers, sama nie wiem, co mam sądzić. Podejrzewam ich o każdą niegodziwość. Jeśli zauważysz coś dziwnego, choćby drobnostkę z pozoru, zaraz daj mi znać.

- Oczywiście. Czekaj, właśnie przyszło mi do głowy... - Urwała. - Co?

- Nic takiego, zapomnij.

- Maribel, bez takich. Mów. - Głos Tracey był spokojny, ale stanowczy.

- W porządku. Wczoraj po południu, kiedy tam przyjechałam, widziałam samochód parkujący po tej samej stronie ulicy co twój dom, może pięć albo dziesięć metrów dalej, przed jedną z pustych działek.

- Przed tą narożną?

- Właśnie. Zauważyłam go wyłącznie dlatego, że był duży i lśniący. Nowy lincoln, ciemnogrnatowy albo czarny. Na starego, brudnego pikapa nie zwróciłabym uwagi. No w każdym razie zaparkowałam przed twoim domem, wysiadłam i weszłam do środka. Obejrzałam wszystkie pokoje, sprawdziłam, czy wszystko w porządku, wyszłam, pozamykałam drzwi, wsiadłam do samochodu i odjechałam.

- I co? - naciskała Tracey.

- Myślałam, że ten lincoln po prostu tam parkuje. Pasażerowie wysiedli, pewnie żeby obejrzeć którąś z działek albo coś podobnego.

- Tak?

- Tymczasem za kierownicą ktoś siedział. Z daleka go nie zauważyłam, bo wóz miał przyciemnione szyby.

- I co dalej?

- Ruszyłam w stronę domu, nie zastanawiając się nad tym specjalnie. Kilka przecznic dalej, na wysokości Grapeland i Bird zerknęłam we wsteczne lusterko.

- Jechał za tobą!

- Myślę, że to był ten sam lincoln, choć oczywiście nie mogę być pewna. Skręciłam na północ, w Southwest Twenty - seventh Avenue i przysięgam, że zobaczyłam go znowu. Teraz dzieliły nas trzy samochody. Zaczęłam się denerwować, więc skręciłam ostro parę razy, żeby się przekonać, czy będzie mnie śledził. Ale nie pojechał za mną. Widzisz, mówiłam ci, *nada*.

- Do czasu - zaniepokoiła się Tracey. - Nie podoba mi się to. Może lepiej, żebyś przez jakiś czas nie zaglądała na Coconut Grove.

- Nie bądź niemądra! - roześmiała się Maribel.

- Nie, to ty nie bądź niemądra. - W głosie Tracey brzmiała śmiertelna powaga. - Nie ufam tym ludziom. Blokują ich plany budowlane, więc pewnie są nielicho wkurzeni.

- Z pewnością są, ale potrafię sama zadbać o siebie.

- Zrób to, proszę cię, koniecznie.

- *Querida*, czy kiedykolwiek zauważyłaś u mnie jakieś skłonności samobójcze?

- Nie przypominam sobie.

- No to wyluzuj.

Gdyby to było takie proste!

- Och - zawołała Maribel - jeszcze jedno, zanim się rozłączymy! Czy możesz dać mi numer, pod którym mogłabym cię złapać? Tak na wszelki wypadek.

Po twarzy Tracey przemknął cień.

- Co byś powiedziała, słysząc, że właśnie w tej chwili stoję w budce telefonicznej i dzwonię na kartę? Albo że zostałam pouczona, by nie prowadzić rozmów międzynarodowych z telefonu madame? To samo dotyczy przekazywania komukolwiek jej numeru. Ciekawe, jak miałabym to zrobić, skoro na początku nawet go nie znałam. Ale dobrze, prześlę ci go mailem, jeśli obiecasz, że posłużysz się nim tylko w naprawę ważnej sprawie.

- Numer i adres e - mail, wyśmienicie - powiedziała Maribel. Odgłos kroków i jakieś poruszenie z tyłu zwróciły uwagę Tracey.

Spojrzała w tamtą stronę. Matrona w średnim wieku, w kwiecistej sukni, spacerowała tam i z powrotem i z grymasem niezadowolenia na twarzy, niecierpliwie wymachiwała kartą telefoniczną. W momencie gdy Tracey na nią popatrzyła, wymownie uniosła rękę i postukała rogiem karty w tarczę zegarka.

Tracey przewróciła oczami. Kolejna przyjazna Greczynka, pomyślała z ironią. Potrafiła już odróżnić mieszkańców wyspy od turystów po sposobie ubierania się.

Zasygnalizowała, że zaraz kończy, w zamian otrzymując kolejne gniewne spojrzenie. Ignorując je, przeniosła wzrok z kobiety na kalderę, wodząc oczami po malowniczym urwisku, zamkniętym z jednej strony wieżą, przylegającą do rezydencji Uranii i murem, chroniącym willę przed spojrzeniami ciekawskich. Wynurzający się zza niego wiatrak, który Tracey ostatnio nauczyła się nazywać domem, celował w błękitne niebo szkieletami skrzydeł.

Oczy Tracey powędrowały dalej, by wreszcie zatrzymać się na minimarkecie, tym samym, z którego uciekła zaledwie kilka minut wcześniej.

Oczywiście, pomyślała, że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Kathy na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu.

- Właśnie mnie oświeciło - powiedziała z radością do Maribel. - Chyba znam miejsce, gdzie możesz zostawić dla mnie wiadomość. Wyślę ci numer mailem jutro albo pojutrze.

Jutro, kiedy staruszki pójda straszyć gdzie indziej, dodała w myślach.

- I zadzwonię też do ciebie.

- *Bueno* - Maribel nie kryła zachwytu - *fantastico*. Pogadamy jutro albo pojutrze.

- Obiecuję - przyrzekła Tracey. - To na razie.

Nie zdążyła jeszcze dobrze wyjść z budki, kiedy kobieta w kwiecistej sukni wtargnęła do środka, ściskając w dłoni kartę.

Tracey zignorowała tę niegrzeczność. Coś innego przyciągnęło jej uwagę. Ulotny ruch za niewielkim, zakratowanym okienkiem na najwyższej kondygnacji wieży w kolorze piasku.

Już po raz drugi wydało jej się, że dostrzega tam bladą twarz, przyciśniętą do szyby. Twarz, która jednak zaraz zbladła przed jej oczami niczym blaknąca gwałtownie fotografia,

tak że trudno było nawet powiedzieć, czy jeszcze przed chwilą naprawdę ją widziała. Spoglądała pod słońce, równie dobrze mogła ulec złudzeniu.

Zamruła kilkakrotnie powiekami i osłoniła oczy dłonią. Twarz, jeśli naprawdę była tam jakaś twarz, teraz zniknęła.

scandalous

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Ciemność, czarną i nieprzeniknioną, rozdarł krzyk.

Przez kilka chwil Tracey leżała oszołomiona, zawieszona między snem a jawą. Stopniowo czerń zaczęła tracić intensywność, a przedmioty odzyskały kształty. Białe światło księżyca przesączało się przez ciasne, kwadratowe okienka, rozmieszczone diagonalnie w ścianach wiatraka aż po stryszek.

Tracey z wolna odzyskiwała orientację; galopujący puls uspokoił się nieco. Był środek nocy, a ona leżała w łóżku. Pomasowała lewy nadgarstek, jakby chciała przywrócić krążenie krwi. Zerknęła na zegarek: druga dwadzieścia dwie.

Przypomniała sobie czytaną kiedyś opowieść, że właśnie o tej wczesnej godzinie nad ranem Szary Żniwiarz pojawia się najczęściej i stuka kosą w drzwi słabych i starych.

Po takich skojarzeniach z pewnością nie będzie miała miłych snów.

Ale jakoś w ogóle nie chciało jej się spać. Czuła dziwny niepokój.

Oia, spokojna Oia spała. Tracey zmarszczyła brwi. Coś musiało przeniknąć przez pokłady snu i ją obudzić.

I wtedy znowu usłyszała krzyk.

Zamarła, kiedy przeszywający, straszliwy wrzask rozdarł ciszę nocy. Poczowała, że krew zastęga jej w żyłach. Te przeraźliwe dźwięki nie mogły należeć do nieprzerwanej, podobnej do śpiączki ciszy, w jakiej pogrążona była Oia.

Krzyki trwały może pół minuty, może odrobinę dłużej, po czym ustały. Tracey jednak nadal odczuwała mrowienie. Takie odgłosy mogło wydawać jakieś zwierzę w zoo, choć nie znała stworzenia, zdolnego wydobyć z siebie dźwięk przepojony tak straszliwym gniewem, a jednocześnie żalonym i dojmującym bólem. Podobny wrzask pasowałby raczej do zamkniętego zakładu dla szaleńców, z pewnością jednak nie do tej idyllicznej wioski.

W ciszy, jaka po nim zapadła, Tracey usiadła, sztywno wyprostowana, bacznie nasłuchując, czy rozlegnie się kolejny. Nie mogła się uspokoić. Bardziej niż same krzyki przerażało ją to, że zdawały się dochodzić z bezpośredniego sąsiedztwa wiatraka, dosłownie zza ściany.

A to przecież niemożliwe. Zupełnie nieprawdopodobne, chyba że... że jakaś straszliwa, dzika istota wędrowała głównym deptakiem Oii, a mieszkańcy wioski, tak samo zastraszeni jak mieszkańcy filmowej Transylwanii, po zapadnięciu ciemności barykadowali

się w domach i kreślili znaki chroniące od diabelskiego oka, nie uprzedzając ani słowem niczego niepodejrzewających cudzoziemców.

Ale czy naprawdę słyszała jakieś krzyki? Czy przypadkiem nie stanowiły one części sennego koszmaru? Rozsądna część umysłu Tracey kwestionowała już świadectwo uszu, przypisując przeraźliwe wrzaski dręczącej ją nocnej zmorze i wybujałej wyobraźni.

Och, przestań już i kładź się spać, powiedziała sobie wreszcie. Nic się nie wydarzyło.

Nie całkiem uspokojona, wróciła do łóżka, nadal jednak pilnie nasłuchując każdego dźwięku, który nie należałby do nocy.

A może ja nadal śpię, przemknęło jej przez myśl. Może tylko mi się śniło, że się obudziłam?

Sen we śnie.

Zmarszczyła brwi, wpatrując się w ciemność. Tak, to możliwe. W pewien dziwny, zagmatwany sposób miało to nawet sens. Powoli opadało z niej napięcie, zastąpione łagodnym odprężeniem.

I nagle usłyszała jakieś hałasy.

- Co do diabła? - mruknęła do siebie.

Tym razem ów ktoś nie krzyczał, tylko się śmiał, cicho i złośliwie.

Tracey odrzuciła na bok przykrycie i podniosła się gwałtownie. Przez chwilę siedziała, mocno przyciskając stopy do szorstkiego, ręcznie tkanego anatolijskiego kilimu. Wreszcie wstała, porwała białą, haftowaną kapę leżącą w nogach posłania i owinęła się nią. Nie zapalając lampy, aby nikt z zewnątrz nie zobaczył światła w oknach, ruszyła bosą po zimnych płytkach do przedsionka.

Przy wejściu zatrzymała się i przyciskając ucho do drzwi, nasłuchiwała w napięciu, wstrzymując oddech.

Najpierw cisza. Potem gdzieś w pobliżu rozległ się dźwięk przypominający gaworzenie rozbawionego niemowlęcia, przerywany dziewczęcym chichotem. Jak najciszej odsunęła rygiel zamka. Ostry trzask, który w jej uszach zabrzmiał niczym wystrzał, z odległości pięciu kroków był prawie niesłyszalny. Ostrożnie nacisnęła klamkę i z zapartym tchem uchyliła drzwi. Dawno nieoliwione zawiasy zaprotestowały ze zgrzytem. Dlaczego w ciągu dnia człowiek w ogóle nie słyszy takich rzeczy? Nocne powietrze było orzeźwiająco chłodne. I ciche. Gaworzenia i chichoty ustały, podobnie jak poprzednie krzyki.

Tracey uchyliła drzwi odrobinę szerzej, wysunęła głowę i rozejrzała się - najpierw w lewo, potem w prawo, na koniec popatrzyła w dół.

Nie dostrzegła nic niepokojącego. Niebo skrzyło się gwiazdami; księżyc, zakrzywiony pod zawadiackim kątem niczym biały miecz, rzucał blade światło, wystarczające, by dostrzec jasne niczym duchy, kubistyczne zabudowania Oii, czepiające się stromo opadającego klifu. Poniżej czarne wody kaldery pozostawały nieruchome, jakby chcąc posłużyć za lustro księżycowi.

Tracey otworzyła drzwi, na tyle tylko, by móc wysliznąć się na zewnątrz. Serce uderzało jej mocno, wewnętrzny głos nakazywał zawrócić, ale go nie posłuchała. Upewniwszy się, że róg narzuty, którą się owinęła, nie zostanie przytrzaśnięty, delikatnie zamknęła drzwi za sobą.

Klik!

Dziwnie alarmujący dźwięk. Naparła na drewniane skrzydło, ale zbyt późno. To szczęknięta opadająca zapadka.

W popłochu nacisnęła klamkę. No pewnie, zapomniała zablokować automatycznie zatrzaszkujący się mechanizm, a nie wzięła ze sobą karty do otwierania.

Zamknęła drzwi na dobre.

No to ładnie, Sullivan. Narobiłaś niezłego bigosu. Ciekawe, jak teraz z tego wybrniesz.

Porządnie skławszy się w duchu, zaczęła się zastanawiać, co dalej. Było kilka dróg, żeby dostać się do środka, co prawda nie do wiatraka, ale przynajmniej do gabinetu. Na przykład wykute w skale wąskie schody, którymi pani Stefanou prowadziła ją pierwszego dnia. Zaczynały się w dużym salonie na najniższym poziomie, w tylnym korytarzyku na prawo.

Nic się nie stanie, jeśli pozostałą część nocy spędzi w gabinecie. Zawsze może powiedzieć, że pracowała do późna i zasnęła przy biurku. O ile w ogóle ktoś to zauważy. Może rano, kiedy Iliki otworzy wiatrak, żeby pościelić łóżko i posprzątać w łazience, Tracey uda się wśliznąć do środka...

Tak, to jest wykonalne. Ewentualne wyjaśnienie też brzmiało przekonująco, zresztą nikt się nie będzie nad nim zastanawiał. To proste rozwiązanie w zdumiewający sposób dodało Tracey pewności siebie. Już nie czuła się jak szpieg i mogła iść śmiało. Wiedziała, jak dostać się do środka, i teraz musi tylko uważać, żeby się nie potknąć na stromych zewnętrznych schodach i nie zlecieć. Oderwała się od zbawczej osłony drzwi i ostrożnie zrobiła kilka kroków, kiedy kolejny dźwięk przykuł ją do miejsca.

Demoniczny, rechoczący śmiech zdawał się opadać w dół niczym niesiony na czarnych, błoniastych skrzydłach. Tracey instynktownie popatrzyła w górę, szukając jego źródła.

W tej samej chwili w jednym z pomieszczeń przypominającej więzienie wieży obok wiatraka rozbłysło jasne światło. Okno było szeroko otwarte, a zasłony rozsunięte. Na ścianie, niczym ogarnięty tanecznym amokiem derwisz, poruszał się cień.

Tracey nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Drżąc, ciasniej otuliła się kapą, jednak nadal przenikało ją zimno. Brało się nie tyle z chłodu na zewnątrz, ile z owego szaleństwa na najwyższym piętrze wieży. Bezwiednie wsunęła rękę pod narzutę i zacisnęła dłoń na amulecie podarowanym jej przez staruszkę, który zawiesiła na łańcuszku od Prometeusza.

W samym środku nocy, w tych naprawdę niesamowitych okolicznościach, uciekanie się do pomocy amuletu przeciw diabelskiemu oku wcale nie zakrawało na absurd. Dochodzący z okna wieży chichot opadał i się wznosił, poruszająca się w gwałtownym tańcu postać przesunęła się teraz i znalazła w polu widzenia Tracey. Przystanęła na chwilę z wyciągniętymi przed siebie rękami. Od stóp do głów spowijało ją prześcieradło, którego końce trzymała w zaciśniętych palcach. Ten najprostszy z teatralnych rekwizytów nadawał całej sylwetce niezwykle kształt, upodabniając ją do tańczącej rzeźby.

Z wolna rzeźba zaczęła się poruszać, jakby w takt spokojnej, słyszalnej tylko dla niej samej muzyki. Teraz nie było to szaleństwo derwisza; jej ruchy przypominały raczej bolesne, spowolnione skurcze agonii. W równym stopniu kierowana ciekawością, co pełną obawy, Tracey przybliżyła się do muru dzielącego obie posesje. Bosymi stopami wyczuwała nierówności zimnego cementu w alejce. Nie patrząc, gdzie stawia nogi, nie odrywała wzroku od okna, mimo to jakimś cudem udało jej się nie potknąć. Zafascynowana, zatrzymała się w miejscu, z którego miała najlepszy widok na owo dziwaczne przedstawienie, i z głową odchyloną do tyłu spoglądała w górę. Wpatrywała się w okno jak zahipnotyzowana i choć czuła się niczym Tom Podglądacz, nie potrafiła oderwać od niego oczu.

Nagle sylwetka ukryta za prześcieradłem zastygła w bezruchu. Milimetr za milimetrem, niezmiernie powoli zza zasłony zaczęła się wynurzać czyjaś twarz; zza sztywnego płótna wyjrzało jedno oko. Dostrzegło ją na dole i - Tracey była gotowa przysiąc - spojrzało prosto na nią.

Kolejne wydarzenia nastąpiły tak szybko jedno po drugim, że kiedy później usiłowała je odtworzyć, wszystkie zlały się w jedno. Wyciągnięta ręka odrzuciła prześcieradło i teraz postać stała się widoczna aż do pasa. Mimo to Tracey nadal nie potrafiła powiedzieć, czy to mężczyzna czy kobieta, gdyż ów ktoś - jeszcze przed chwilą skąpany w jasności -

błyskawicznie przemknął do zakratowanego okna, stając się zaledwie cieniem na tle padającego z tyłu światła.

Tracey skuliła się instynktownie, jakby w obawie, że tajemnicza istota wyrwie kraty, skoczy w dół i rzuci się na nią z furją.

Uczepiona żelaznych prętów postać w oknie zawyła z wściekłości.

- Jak śmiesz? Teraz jeszcze napuszczasz na mnie szpiegów! Tracey rozpoznała głos kobiety. Zaskoczona, dopiero po chwili uświadomiła sobie, że tamta krzyczy po angielsku, w dodatku z wyraźnym akcentem amerykańskim i leciutką naleciałością Południa.

Nie miała jednak czasu zastanawiać się nad tym, gdyż w oknach i drzwiach willi pozapalały się światła. Wzdrygnęła się niczym na dźwięk syren alarmowych. Najwyższy czas uciekać. Na tym nieosłoniętym miejscu była zbyt widoczna dla każdego z dołu.

Szalejąca w oknie postać nie przestawała ciskać gromów.

- Wiesz, że nie możesz mnie trzymać w zamknięciu na wieki! - Triumfalnemu okrzykowi towarzyszył złośliwy chichot.

Z tarasu bezpośrednio pod nią Tracey usłyszała gorączkowe szepty - jeden głos był syczący, drugi chropawy. Brzmiały w nich oskarżenia i połajanki. Z jakiegoś powodu, prawdopodobnie żeby nie przyciągać uwagi, schody i dróżka pozostały nieoświetlone i tylko dwie wąskie, poruszające się smugi światła niczym miecze w „Gwiezdnym wojnach” zataczały kręgi po ziemi.

Latarki.

Latarki, w które, jak wspominała pani Stefanou, cała rezydencja była szczerze zaopatrzona, z uwagi na częsty brak prądu.

Nagle do potyczki słownej na niższym poziomie dołączył się trzeci szept, rzucający niecierpliwe rozkazy. Urania.

Spierające się głosy natychmiast umilkły, za to na dolnym tarasie Tracey zarejestrowała wzmożoną aktywność. W jej polu widzenia pojawił się wydłużony cień, który rósł szybko, jednocześnie stając się coraz cieńszy, aż wreszcie rozdzielił się na dwa. Dwoje ludzi, z latarkami skierowanymi ku ziemi, dwiema odrębnymi drogami zmierzało pospiesznie w tę samą stronę, ku ciężkim, drewnianym drzwiom w murze oddzielającym posesję Uranii od sąsiedniej, tej z wieżą.

Ku tym samym wrotom, które jak Tracey uświadomiła sobie nagle, znajdowały się w odległości zaledwie kilku kroków od miejsca, gdzie stała. Usłyszała stukot - odgłos zdecydowanych kroków, równie charakterystyczny co odciski palców. Rozpoznałaby ten dźwięk wszędzie.

Pani Stefanou.

Krokom towarzyszył cień, niczym struga ciemnego płynu pełznący ukośnie w górę, prosto na Tracey. Zaslaniał ją teraz jedynie niski, bielony murek odgradzający schody, ale przecież gospodyni dotrze na górę w ciągu kilku sekund.

Do diabła.

W popłochu rozejrzała się dookoła. Konfrontacja wydawała się nieunikniona. Nie było już czasu, aby próbować ucieczki za najbliższy róg czy do cienia.

W tym momencie okazało się nagle, że nie jest jedyną osobą, czającą się w mroku. Czyjaś ręka wysunęła się nie wiadomo skąd i złapała ją za kostkę. W pierwszym odruchu omal nie wrzasnęła. Już otwierała usta, ale na szczęście struny głosowe odmówiły jej posłuszeństwa i wydała zaledwie stłumiony jęk.

- Pst.

Szept był tak cichy, iż w pierwszej chwili pomyślała, że wyobraźnia płata jej figle. Czyjaś ręka energicznie szarpała ją za kostkę, ale nogi Tracey okazały się niezdolne do jakiegokolwiek ruchu.

- Miss!

A więc jednak jej się nie wydawało. Co za diabeł?

Z najwyższym wysiłkiem oderwała wzrok od światła latarki pani Stefanou, jak wąż pełznącego po schodach w górę. Odwróciła głowę do tyłu, popatrzyła w dół i ujrzała chude ramię, wystające z wąskiej szczeliny w niskim, kamiennym murze. Szczupłe, drobne, blade ramię.

Prometeusz?

- Miss?

Ledwo słyszalny głos z pewnością należał do chłopca. Pozwoliła mu pociągnąć się w kierunku wąskiej szpary w murze. Przy odrobinie szczęścia może uda jej się wymknąć tamtędy.

Tak, ale co czeka ją po drugiej stronie muru? Wąska półka skalna? Strome zbocze? Z pewnością nie przepaść. Prometeusz mógł być małym diablikiem, ale przecież nie narażałby jej na niebezpieczeństwo. A jeśli?

Natychmiast pożałowała, że nie poświęciła trochę czasu, aby zapoznać się z topografią terenu, przedtem jednak nie czuła potrzeby wpychania nosa w każdą dziurę i rozpadlinę.

Zataczające kręgi światło znajdowało się już tylko kilka kroków od niej. Tracey zadrżała. Przy następnym poruszeniu latarki zostanie oświetlona niczym na scenie.

Nagle światło powędrowało w przeciwnym kierunku. W jego blasku znalazła się przysadzista, ciemna sylwetka, która właśnie dotarła do drewnianych drzwi łączących obie posesje. Choć stała odwrócona tyłem, Tracey rozpoznała ją bez trudu.

Stavros.

Pani Stefanou wyrzuciła z siebie kilka chrapliwych, greckich słów, na co mężczyzna wymamrotał coś w odpowiedzi. Teraz Tracey usłyszała pobrzękiwanie kluczy na dużym, staroświeckim kółku.

Dziwne, pomyślała, żadnej techniki, żadnych wymyślnych zamków cyfrowych.

Stavros znalazł już właściwy klucz. Pani Stefanou nie zwlekała dłużej. Zataczając łuk latarką, podjęła marsz w górę, a jej obcasy stukały niczym werble plutonu egzekucyjnego.

Tracey zbyt późno uświadomiła sobie własną głupotę. Zaabsorbowana rozgrywającą się sceną, stała niczym wmurowana, zamiast wykorzystać okazję i czmychnąć.

Musi się schować, i to szybko.

Mocno uchwyciwszy się rękami szczytu grubego muru po obu stronach szczeliny, usiłowała prześliznąć się przez nią, bosymi stopami badając drogę. Szorstki tynk podrapał jej uda. Wyrwa w ścianie była dość wąska, ale przejść się dało.

Nie, nie dało.

Dalej robiło się coraz ciasniej, tak że nie mogła się poruszyć. Utkwiła na dobre.

Cholera. Łzy gniewu napłynęły jej do oczu. Otwór okazał się za wąski. Utknęła.

A właśnie, że nie! - pomyślała z gniewem.

Mocno zaciskając zęby w obronie przed bólem, szarpnęła się do przodu, ocierając sobie uda.

W samą porę.

Dosłownie chwilę później miniaturowy jasny krąg padł dokładnie na to miejsce, gdzie przed chwilą stała. Światło powędrowało najpierw w prawo, potem w lewo, w jej stronę. Momentalnie zgięła się wpół i pochyliła, jak tylko mogła najniżej. Blask latarki napotkał pustą przestrzeń nad głową Tracey.

W tym nastrojowym oświetleniu zobaczyła Prometeusza, klęczącego obok niej, ściskającego Zeusa i uśmiechającego się szeroko. Podziękowała mu uśmiechem i poruszyła się lekko, chcąc znaleźć lepszą pozycję.

To był błąd. Zbyt późno wyczuła, że przesunęła stopą kilka luźnych kamieni.

Nie!

Tracey wstrzymała oddech, jakby to mogło je powstrzymać, ale skalna półka, na której się kuliła wraz z Prometeuszem, dość ostro opadała w dół. Kamienie potoczyły się po stromiźnie i zniknęły za krawędzią.

Przez chwilę panowała całkowita cisza. Tracey wydawało się, że jak długo nie oddycha, tak długo czas także się zatrzymał. Grad kamieni opadł na wystający dach poniżej i zabębnił po nim z łoskotem.

Skrzywiła się, jakby nagle coś ją zabolalo.

- A cóż to znowu, do diabła? - dał się słyszeć głos Uranii. Kroki pani Stefanou ucichły. Strumień światła zaczął omiatać tę część muru, zza której dobiegł poprzedni dźwięk, i metodycznie przesuwiał się wzdłuż szczytu.

Jak na razie, bez rezultatu.

Tracey szybko odsunęła się od otworu, zanim odnalazło ją światło. Popatrzyła na Prometeusza, który przyłożył palec do ust, nakazując milczenie. Chłopiec bezszelestnie pocałował kota w łebek, po czym popchnął go łagodnie, ale zdecydowanie.

Zeus z gracją wskoczył na murek i stanął na nim, unosząc ogon wysoko do góry i wyginając grzbiet w pałąk. W świetle latarki jego oczy połyskiwały zielonkawo, a białe pasmo futerka na mordce potęgowało niesamowity efekt.

Spoglądał bacznie na panią Stefanou.

Gospodyni popatrzyła na kota z wściekłością.

- To ten zwierzak! - syknęła.

. Ze zduszonym przekleństwem uniosła latarkę i opuściła ją szybko, celując w Zeusa, ten jednak okazał się szybszy. Unikając ciosu, zeskoczył na ścieżkę i śmignął w kierunku wiatraka.

Gospodyni gniewnie potrząsnęła za nim pięścią. Uciekwszy kilka metrów, Zeus zatrzymał się i popatrzył na nią drwiąco.

- Któregoś dnia cię dopadnę i zabiję, przysięgam!

- Na litość boską - warknęła z dołu Urania, a wokół niej zawirowała chmura jedwabiu - to nie pora na uganianie się za kotem.

Istotnie, nie była to pora. Tajemnicza kobieta w wieży widziała, jak kot zadrwił sobie z pani Stefanou, i wybuchnęła szaleńczym chichotem.

Tracey ostrożnie zerknęła ponad murem i zobaczyła dłonie ściskające żelazne pręty oraz twarz przyciśniętą do kraty.

- Myślisz, że uda ci się mnie złapać? - wykrzyknęła kobieta urągliwie. - Nie potrafisz złapać nawet kota! - Kolejny wybuch śmiechu poszybował w noc. - Próbowalaś trzymać mnie w ukryciu. Teraz musisz wymyślić coś lepszego. Czyjeś oczy patrzą, czyjeś uszy nasłuchują.

- Zamknij się! - syknęła Urania. Przystanęła z rękami przyciśniętymi do boków i dłońmi zaciśniętymi w pięści. - Niech ją ktoś uciszy! - Z tymi słowami zawróciła do willi. Odgłos zatrzaskiwanych drzwi zabrzmiał niczym echo targających nią emocji.

Pani Stefanou podeszła do Stavrosa i skierowała światło latarki na dziurkę od klucza. W okamgnieniu drzwi stanęły otworem. Gospodyni wraz z następującym jej na pięty mężczyzną zniknęli za murem i zatrzasnęli drzwi z drugiej strony.

Tracey i Prometeusz czekali w milczeniu. Niesamowicie blada twarz zniknęła z okna. Po chwili na ścianie zakratowanego pokoju pojawiły się ogromne cienie.

Mają jakąś lampę czy to tylko efekt latarek? - zastanowiła się Tracey. Mniejsza z tym, jaki światłem się posługiwali. Na widok potężnego cienia strzykawki rzuconego na ścianę przeniknął ją zimny dreszcz. W ciszy, jaka nastąpiła później, ponownie zobaczyła panią Stefanou i Stavrosa, wracających na posesję Uranii.

Poczuła szturchnięcie Prometeusza.

- Możemy iść - szepnął chłopiec.

- Zatrzasnęłam sobie drzwi - odpowiedziała również szeptem. - Zostawiłam kartę w środku, a drzwi zamknęły się same.

- Ja mogę wejść do środka - zaproponował Prometeusz. - Ale jak?

Z uśmiechem wzruszył ramionami.

- Mam swoje sposoby. Zaczekaj tutaj. Otworzę i wrócę po ciebie.

- Zgoda.

Jego nieobecność trwała zaledwie kilka chwil.

- Gotowe - zakomunikował.

- Dzięki, Pro - powiedziała Tracey. - Naprawdę bardzo ci dziękuję.

- Nie ma za co.

- Prometeusz, czy wiesz, kto mieszka w tej wieży? - zapytała jeszcze.

Popatrzył na swoje stopy i wzruszył ramionami.

- Słyszałeś przecież krzyki - nalegała.

Ale chłopiec zachowywał się tak, jakby jej słowa wcale do niego nie dotarły.

No dobrze, pomyślała, dosyć wrażeń jak na jedną noc. Po drodze do wiatraka nie przestawała się jednak zastanawiać, dlaczego Prometeusz nie chciał jej nic powiedzieć na temat tajemniczej mieszkanki wieży.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Tracey obrzuciła bałagan w gabinecie nierozumiejącym spojrzeniem, zupełnie jakby pierwszy raz znalazła się w tym pomieszczeniu. Normalnie po skończonej pracy zawsze układała porzucane papiery, ale ostatnie dni okazały się dla niej zbyt wielkim obciążeniem, by jeszcze miała zawracać sobie głowę porządkiem na biurku. Przede wszystkim nie potrafiła się uwolnić od wspomnień tamtej nocy, kiedy usłyszała krzyki, a później była świadkiem dramatycznych wydarzeń w wieży.

W ciągu dnia każdą godzinę pracy poświęcała maszynopisowi Uranii, próbując nadać powieści spójny kształt. Te działania dodatkowo komplikowała obecność samej autorki. Starając się łagodnie, ale stanowczo tłumaczyć, dlaczego pewne poprawki są niezbędne, Tracey musiała jednocześnie zadbać o ego gwiazdy.

Ku swojemu zaskoczeniu szybko odkryła, że dawna aktorka, legendarna piękność i gwiazda ekranu, w gruncie rzeczy jest kobietą niepewną siebie, pod wieloma względami infantylną i ustawicznie domaga się akceptacji, uwagi oraz serdeczności. Chwilami była wręcz w absurdalny sposób przywiązana do własnego dzieła, tak że Tracey stąpała po bardzo kruchym lodzie, kiedy przywołując na pomoc cały swój takt i talent dyplomatyczny, usiłowała sprawić, by autorka zrozumiała konieczność wprowadzenia zmian.

Tracey redagowała całe strony maszynopisu i dawała je Uranii, która zwracała je upstrzone kolejnymi poprawkami, nagryzmołonymi dziecinny charakterem pisma.

- Kochanie, to musi przemawiać moim głosem - mówiła.

Albo:

- Ja nigdy nie użyłabym tego słowa. Jest takie... wulgarne. To samo dotyczyło fabuły.

- Nie, nie, kochanie, czy ty tego nie dostrzegasz? W tej scenie nie ma mnie.

Następowało poprawianie poprawek Tracey i wprowadzanie coraz to nowych. Zdolność gwiazdy do niweczenia wysiłków pomocnicy zdawała się wręcz nie mieć granic. Tracey bardzo szybko uświadomiła sobie, że rozdęte nadmierne ego autorki jest największym wrogiem całego przedsięwzięcia. Jej ciągle wtrącanie się do wszystkiego pochłaniało mnóstwo czasu, którego przecież nie miały. Tracey z uporem parła więc do przodu, wbrew Uranii, zdeterminowana doprowadzić sprawę do końca.

Poukładała walające się na stole kartki, które przez ostatnich kilka dni tylko odsuwała na bok, i zabrała się do odkurzania komputera i biurka - czego nigdy nie pozwalała robić Iliki. Dzięki Bogu za chwilę wytchnienia, pomyślała, przecierając zamglony monitor.

Poprzedniego dnia Urania wmaszerowała do gabinetu i stając za plecami Tracey, wypuściła wielką chmurę dymu w kierunku sufitu.

- Wyjeżdżam na kilka dni. Rozumiesz sama, od czasu do czasu muszę pokazać się publicznie. Wiem, że bez mojej pomocy nie będzie ci łatwo, ale staraj się zrobić tyle, ile zdołasz. Po moim powrocie zajmiemy się tym we dwie.

Tracey skończyła porządki i miała jeszcze do opisania kilka dyskietek, kiedy rozległo się stukanie do drzwi.

- Hej, możesz poświęcić mi chwilkę? - zapytał Mark.

- Dla ciebie chwilkę zawsze znajdę - odpowiedziała z uśmiechem. Odwróciła się z krzesłem, podnosząc na niego oczy. - Co cię sprowadza?

- Przyszedłem zapytać, czy zjadłabyś ze mną kolację dziś wieczorem. Tylko my dwoje.

- Wspaniale - odrzekła Tracey. Propozycja była bardziej niż ekscytująca, ale starała się, by ten entuzjazm nie był zbyt wyczuwalny w jej głosie. Nie chciała, żeby Mark uznał, że skacze z radości niczym nastolatka. - Tu czy w mieście?

- Jasne, że w mieście. - Mark się uśmiechnął. - Ale bez specjalnej gali. Jak ci się podoba taki plan?

- Wspaniały. Niczym zalecenie lekarskie: antidotum na zbyt długie przebywanie z Uranią.

- Urania odleciała na swojej miotle - powiedział Mark.

- Och, ty niedobry. - Nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Powinniśmy więc jakoś miło wykorzystać jej nieobecność - ciągnął.

- A dokąd się wybrała?

- Do Hongkongu, gdzie skasuje imponujący czek za otwarcie nowego centrum handlowego. Podróż i wszystkie wydatki oczywiście opłacone.

- Centrum handlowego? - powtórzyła Tracey. Mark skinął głową.

- Zawsze brakuje jej pieniędzy, więc łapie każdą okazję, jaka się nadarzy.

- To musi być dla niej... upokarzające - zauważyła.

- Urania przyjmuje to bez mrugnięcia okiem.

Tracey spoważniała. Nagle uprzytomniła sobie, jak ważna jest jej praca nad książką. Urania rzeczywiście potrzebowała pieniędzy bardziej, niż można by przypuszczać. Roli również. To jasne, że propozycję dla starzejącej się aktorki nie zdarzały się zbyt często. Położenie Uranii z pewnością nie należało do łatwych. Musiała podtrzymywać swój wizerunek gwiazdy, nie dysponując żadnym zabezpieczeniem finansowym.

- Myślę, że jeśli chodzi o pracę, wszyscy od czasu do czasu musimy robić rzeczy, na które nie mamy ochoty - zauważył Mark. - Mnie też by tu teraz nie było, gdybym nie obiecał Uranii zaczekać do jej powrotu. Tymczasem zaległości narastają.

- Niezupełnie rozumiem - odrzekła Tracey. - Dlaczego koniecznie musisz być tutaj podczas jej nieobecności?

- Żeby mieć oko na wszystko - wyjaśnił, znowu się uśmiechając. Odwzajemniła jego uśmiech.

- To znaczy na mnie. Przytaknął.

- Mam dopilnować, żeby maszynopis został ukończony w terminie.

- Urania mi nie dowierza, prawda? - zauważyła Tracey.

- Myślę, że zaczyna popadać w lekką histerię. Wszystkie imprezy typu otwarcie centrum handlowego przypominają jej, że konto bankowe trzeba nieustannie dokarmiać. Ja mam do ciebie zaufanie, a jej nieobecność możemy wykorzystać w bardzo miły sposób.

- A co z twoją pracą? - zapytała Tracey.

- Cóż - odrzekł Mark z wahaniem - naprawdę powinienem wracać do Stanów, ale... pomyślałem, że skoro zostałam tutaj sama, nadarza się świetna okazja, aby poznać cię lepiej i porozmawiać o twoich planach pisarskich. W końcu ty także jesteś moją klientką.

- Popatrzył na nią ciepło.

- Rozumiem - powiedziała Tracey. I chyba naprawdę rozumiała. Mark rzeczywiście był nią zainteresowany, podobnie jak ona nim.

- Poza tym wiele spraw mogę załatwić pocztą elektroniczną, telefonem czy faksem - dokończył. - Co mi przypomina, że mam mnóstwo e - maili do wysłania. Jeśli zaraz się zabiorę do pracy, może uda mi się skończyć do obiadu. Nagromadziło się tego mnóstwo.

- W takim razie nie będę cię zatrzymywać - powiedziała Tracey.

- Zresztą mam zamiar zrobić sobie przerwę i przespacerować się do wioski.

- Znakomicie - odrzekł Mark. - W takim razie zobaczymy się o ósmej, zgoda?

- Świetnie.

- No to do zobaczenia. - Odwrócił się i wyszedł z gabinetu. Spoglądała za nim przez chwilę. Boże drogi, pomyślała, sama nie wiem, w co się pakuję, ale bardzo mi się to podoba.

Starannie opisała dyskietki i włożyła do szuflady. Potem wyszła z pokoju i udała się na poszukiwanie pani Stefanou. Znalazła ją w kuchni. Gospodyni trzymała w ręku ogromny, staroświecki klucz na łańcuszku. Widząc Tracey w drzwiach, zrobiła ruch, jakby chciała go ukryć w dłoni, ale jej się nie udało, był po prostu za duży. Odwróciła się więc i zawiesiła go na haku w ścianie, gdzie na podobnych hakach wisiły już inne klucze.

Nie zwracając uwagi na to dziwaczne zachowanie, Tracey poprosiła o swój aparat fotograficzny.

- Wybieram się do wioski - wyjaśniła - i mam zamiar zrobić kilka zdjęć.

Pani Stefanou obrzuciła ją nieufnym spojrzeniem.

- Czy madame Vickers dała pani dzień wolny? - zapytała wyniośle.

- To sprawa między madame i mną - odparowała Tracey.

Na twarzy gospodyni pojawił się wyraz zaskoczenia, który jednak szybko ustąpił miejsca zwykłemu, ponuremu grymasowi.

- Proszę poczekać na zewnątrz - poleciła.

Tracey wyszła na taras i poszukała schronienia przed słońcem w skrawku cienia pod murem między willą Uranii a sąsiednią posesją. Usiadła na ogrodowym krześle, odkładając torebkę i kartę otwierającą drzwi na blat niewielkiego stolika. Bezpośrednio za sobą miała małą, zakratowaną szczelinę w murze, którą przedtem widziała tylko z daleka. Odwróciła krzesło, żeby przyjrzeć się jej bliżej. Dziura miała może ze trzydzieści centymetrów wysokości i tyle samo szerokości, jednak nic nie było przez nią widać, gdyż gęste pędy winorośli po drugiej stronie muru kompletnie przesłaniały widok.

Tracey przymknęła powieki, chroniąc oczy przed oślepiającymi refleksami światła załamującego się na powierzchni basenu. Czuła powiew orzeźwiającej bryzy na twarzy. Miło było odpocząć od wysiłku i koncentracji, jakich wymagała od niej praca przy maszynopisie. Nie była pewna, czy nawet nie zdrzemnęła się na chwilkę ani ile czasu upłynęło. W pewnym momencie otworzyła oczy.

Maria Stefanou, milcząca i groźna, stała nad nią z aparatem fotograficznym w rękę.

- Dziękuję - powiedziała Tracey, odbierając go.

- Proszę nie zapomnieć pagera - pouczyła ją gospodyni, po czym odwróciła się i zniknęła w głębi domu.

- Ja również życzę pani miłego dnia - mruknęła Tracey w stronę oddalających się pleców kobiety.

Wstała z krzesła, przeciągnęła się lekko, schowała aparat do torby na ramię, włożyła okulary przeciwsłoneczne i już miała ruszać w drogę...

- Pst, miss - usłyszała syczący szept, dochodzący nie wiadomo skąd.

Prometeusz? - pomyślała. Gdzie on się chowa? Rozejrzała się, ale chłopca nigdzie nie było widać.

- Tutaj, miss.

Głos dobiegał gdzieś z okolicy basenu, który dłuższym bokiem przylegał do krawędzi skały. Tracey ruszyła w tamtą stronę, obeszła basen i znalazła się przy samym klifie. Znowu się rozejrzała, ale Prometeusz pozostawał poza zasięgiem jej oczu.

- Tutaj - wyszeptał.

Jeszcze raz spojrzała w dół i ujrzała go na potężnych skałach po drugiej stronie urwiska, z nieodłącznym Zeusem w ramionach.

- Co ty tu robisz? - zapytała, oglądając się za siebie i sprawdzając, czy z willi nikt na nią nie patrzy. Horyzont wydawał się czysty, ale i tak poczuła lekki niepokój.

- Zejdź do mnie - zaproponował Prometeusz, jakby czytając w jej myślach. - To całkiem łatwe, zwłaszcza że masz na nogach tenisówki.

Tracey zawahała się przez moment, po czym zrobiła krok w dół i stanęła na skale. Powoli schodziła coraz niżej i niżej, żałując, że nie zostawiła torebki na tarasie. Wbrew początkowym obawom wysokość nie przerażała jej zbytnio, gdyż zejście po skałach okazało się znacznie mniej strome, niż to wyglądało z góry. Dotarła do Prometeusza i pogłodziła Zeusa po łebku.

- Co ty tu robisz, u licha?

- Wiem wszystko o klifie i o jaskiniach - pochwalił się Prometeusz. - Wiem, którędy się do nich wchodzi. Chcesz, żebym ci pokazał?

- Wycieczka z przewodnikiem do jaskini - zażartowała Tracey. - To brzmi wspaniale. - Potem jednak uśmiechnęła się niepewnie. - Przynajmniej tak mi się wydaje.

Wcale nie była przekonana, czy podoba jej się pomysł zejścia pod ziemię.

- Na pewno ci się tam spodoba - zachęcał ją Prometeusz. - Idziemy. Wszystko ci pokażę. Jaskinie ciągną się pod całą willą, w której mieszkasz.

- Naprawdę? - zapytała ze zdumieniem. Pokiwał głową.

- A jak myślisz, jakim sposobem mogę wślizgiwać się wszędzie, gdzie chcę i kiedy chcę?

- Teraz już rozumiem - odrzekła Tracey.

- Prowadzą też do tej wieży obok - dodał Prometeusz. Tracey popatrzyła na niego z nowym zainteresowaniem, a chłopiec uśmiechnął się zachęcająco.

- No cóż, dlaczego nie? - zadecydowała.

- Chodźmy - powiedział. - Idź za mną. Wejście znajduje się dosłownie o kilka kroków stąd.

- Pro, co to jest? - zapytała Tracey, patrząc na wielką, drewnianą cembrowinę, zagłębioną w ziemi. Wyglądała, jakby tkwiła tam od wieków.

- To stara cysterna - wyjaśnił z dumą. - Tak głęboka, że nawet nie udało się zbadać, dokąd sięga - dodał. Postawił Zeusa na ziemi, a kot ruszył przed nimi, zupełnie jakby wiedział, dokąd zmierzają.

- Wejście do jaskini znajduje się dokładnie tutaj - oznajmił Prometeusz, wskazując dłonią bujną kaskadę wielkich, różowych bugenwilli.

Tracey popatrzyła na miejsce, które pokazywał, oddalone zaledwie o kilka kroków od cysterny, ale nie dostrzegła niczego poza gąszczem kwiatów i skałą.

- Gdzie? - zapytała. - Nic nie widzę.

Prometeusz się roześmiał.

- Nikt nie widzi. Pewnie właśnie dlatego posadzili tu te krzaki. Tata mówił, że ludzie czasami mieszkali tu latem, więc postarali się zamaskować wejście.

- Ktoś tu mieszkał? - powtórzyła Tracey z niedowierzaniem.

- No - potwierdził Prometeusz. - Tata mówił, że przeważnie hippisi. - Wyciągnął rękę i odgarnął wielki kłęb pnączy. - Teraz widzisz?

Spojrzała, ale nadal widziała tylko litą skałę. Podeszła bliżej. Za spletanymi pędami rzeczywiście dostrzegła jakąś dziurę, niezbyt dużą.

- Och, Pro - powiedziała - przecież ja nie dam rady. To wejście dobre jest dla małych chłopców, ale nie dla dużych dziewczynek, takich jak ja.

- Zmieścisz się - zapewnił ją Prometeusz, wspinając się nieco wyżej. - Podejdiesz bliżej, to zobaczysz. Złap się tego - wskazał wystający skalny nawis nad otworem - i skacz prosto do środka. No, chodź - ponaglił ją ruchem ręki.

Tracey stanęła tuż obok niego i zobaczyła, że chłopiec ma rację. Oglądany z tej perspektywy otwór okazał się znacznie większy i mógł z łatwością ją pomieścić.

Odwróciła się do Prometeusza.

- A co z wyjściem? - zapytała. - Coś mi mówi, że tam w środku jest bardzo stromo.

- Nie, nie - zaprzeczył, potrząsając głową. - Tam jest takie rumowisko, od tunelu prosto do wyjścia.

- Ale jak my coś zobaczymy w środku? - dopytywała się Tracey.

Prometeusz uśmiechnął się i odsunął gąszcz bugenwilli po swojej stronie. Sięgnął za skałę i wyciągnął skądś ogromną, kwadratową latarkę. Sięgnął raz jeszcze i wyjął drugą, taką samą. Podniósł je do góry.

- Jestem przygotowany - oznajmił z dumą. - Jedna jest dla mnie, druga dla ciebie. Poniosę twoją, dopóki nie znajdziemy się w środku.

- Dobrze - powiedziała Tracey.

- A twoją torebkę mogę schować tutaj, jeśli chcesz.

- Niech będzie - zgodziła się, zdejmując z ramienia zawadzającą torebkę. - Jesteś pewien, że nic się z nią nie stanie?

- Poza mną nikt tutaj nie przychodzi.

Tracey wręczyła chłopcu torebkę, a on wcisnął ją pod skałę.

- Gotowa? - zapytał.

- Zaryzykuję - odrzekła.

- No to idź za mną. Jak tylko znajdę się w środku, poświęcę ci. Patrz, jak wchodzę, i rób dokładnie to samo.

Trzymając obie latarki w jednej ręce, wśliznął się do skalnego otworu, nogami do przodu. Zanim Tracey zdążyła się zorientować, już go nie było. Jakiś kamyk potoczył się w dół, unosząc niewielki obłok kurzu. Usłyszała wołanie ze środka.

- Trace! - Głos brzmiał jakby z oddali. - Wejdz nogami do otworu, a potem zsuń się. Nie bój się, będę ci świecił.

Wdrapała się tam, gdzie przedtem Prometeusz, i opuściła nogi do dziury. Kiedy pochyliła głowę i zajrzała do środka, zobaczyła w świetle latarki stos kamieni i rozmaitych śmieci tworzących coś w rodzaju rampy sięgającej niemal do otworu, w którym siedziała.

Nieźle, pomyślała, przynajmniej nie ma żadnego ostrego spadku.

- Teraz puść się - komenderował Prometeusz - i spróbuj zejść jak pająk.

Tracey zaczerpnęła powietrza i zsunęła się z występu. Omal nie poleciała do przodu, ale udało jej się odzyskać równowagę. Piętami mocno zaparła się w luźnym rumowisku.

- Ha! - zawołała - jak na razie, nieźle.

Pochyliła się i niczym wolno człapiący pająk zaczęła schodzić na dno jaskini. Kiedy jej stopy dotknęły litej skały, wyprostowała się z ulgą.

- Jestem!

- Świetnie - entuzjasmował się Prometeusz - prawie doskonale! Tu jest twoja latarka.

Tracey wzięła ją, powoli zatoczyła nią łuk i oświetliła dno jaskini zasłane najrozmaitszymi śmieciami. Walą się tu podarte tenisówki, stare gazety, papierowe kubki, puste butelki, opakowania po prezerwatywach i wszelkie inne odpadki. Ściany z szarego kamienia miejscami przybierały odcień czarny, beżowy, a nawet czerwony. Jaskinia była niska, ale Tracey mogła się wyprostować bez trudu.

- I co? - zapytał Prometeusz - czy nie jest fantastyczna?

- Hm... jest fascynująca - odpowiedziała Tracey. Powietrze było tu chłodniejsze niż na zewnątrz, ale ciężkie i wilgotne.

- Chodź za mną - zakomenderował. - Tędy.

Odwrócił się i ruszył przed siebie jedynym widocznym korytarzem.

Tracey postępowała za nim z mieszaniną ciekawości i odrazy.

Prometeusz mógł czuć się tutaj doskonale, natomiast jej samej niezbyt się podobała ciasna, zamknięta przestrzeń, gdzie w powietrzu czuło się wilgoć, a wyobrażenia podsuwała obrazy najprzeróżniejszych zamieszkujących grotę stworzeń.

Jakby na potwierdzenie swoich obaw usłyszała skrobanie małych łapek o skałę. O Boże, pomyślała, wzdrygając się mimo woli. Pewnie myszy.

- Pro! - zawołała - słuchaj, tu coś jest, mysz albo jakieś podobne zwierzę.

W odpowiedzi usłyszała pełne entuzjazmu wołanie:

- Trace, chodź tutaj. Musisz to zobaczyć!

W świetle latarki dostrzegła swego przewodnika, a dokładniej jego jedną nogę znikającą za zakrętem korytarza. Wciągnęła w płuca kolejny haust zatęchłego powietrza i wolno ruszyła do przodu, omiatając latarką przestrzeń przed sobą i pod stopami w nadziei, że uda jej się w porę dostrzec każdą przeszkodę na drodze. Była już niemal przy chłopcu, kiedy nagle jakaś spleciona masa oblepiła jej twarz i włosy.

- Pro, zabierz to ode mnie! - krzyknęła. Wolną ręką zaczęła rozrywać kleiste pasma, szarpiąc jednocześnie głową w przód i w tył i próbując się od nich uwolnić.

- Już dobrze - uspokoił ją Prometeusz. - To tylko niewinny pajęczek.

- O Boże! - jęknęła Tracey. - On był taki wstrętny. Może... może ja już wrócę.

- Najpierw musisz zobaczyć tamto - nalegał. - To blisko, nie zajmie ci więcej niż minutkę. - Wskazał jakieś miejsce, odległe od nich najwyżej półtora metra.

- Zgoda - powiedziała Tracey - ale zaraz potem wracam. Nie jestem urodzonym grotołazem, tak jak ty.

- Chodź, chodź - zachęcał ją.

Tracey stanęła obok chłopca i skierowała światło latarki w tym samym kierunku co on. Zauważyła niewielką, zaokrągloną niszę w skalnej ścianie, idącą od samego dna jaskini aż do... No właśnie, do czego? Poświeciła w górę i ujrzała coś w rodzaju drewnianego stropu. Zaczęła się zastanawiać, co to może być.

Prometeusz uśmiechał się szeroko.

- Widzisz? A nie mówiłem?

- Co to jest, co widzę? - zapytała.

- Tajne przejście z tej wieży przy wiatraku - wyjaśnił. - Dawniej była tu pewnie drabina, ale nie zostało już po niej ani śladu.

Tracey jeszcze raz zerknęła w górę, wolno przesuwając światłem po sklepieniu. Rzeczywiście była tam chyba drewniana kłapa wjazdu, chociaż sprawiała wrażenie nieruszanej od wieków.

- Do czego to służyło? - zapytała.

- Tata opowiadał mi, że wyspiarze uciekali tędy przed najeźdźcami, Turkami, Wenecjanami i innymi. Czasami też używali tych przejść, żeby potajemnie przedostawać się z domu do domu. Na przykład kochankowie, rozumiesz?

Tracey omal nie wybuchnęła śmiechem, tak komicznie zabrzmiały te słowa w ustach dziesięciolatka.

- Inne domy też miały takie przejścia?

- Jasne - odpowiedział Prometeusz. - Niemal wszystkie. Jesteś pewna, że nie chcesz ich obejrzeć?

- Muszę cię rozczarować, ale myślę, że jak na jeden dzień, wystarczy mi w zupełności. Chłopiec uśmiechnął się wesoło.

- Wcale mnie nie rozczarowałaś. Jesteś jedyną osobą, która oprócz mojego taty wybrała się tu ze mną. Okay, cofnij się, pójde przodem.

Tracey ruszyła za nim, oświetlając latarką dno groty tuż przed sobą. Niebawem dostrzegła światło padające od wejścia. Kiedy szła w głąb jaskini, nie widziała go, ale teraz pokazywało drogę powrotną.

Prometeusz dotarł już do rumowiska i odwrócił się do niej.

- Czy mam wziąć twoją latarkę?

- Myślę, że dam sobie radę. To podejście nie wygląda zbyt stromo.

- No to ja wychodzę.

Patrzyła, jak chłopiec wspina się zręcznie. Luźne kamienie obsuwały się przy każdym kroku, ale mimo to bez wysiłku wszedł na górę. Odwrócił się i usiadł, zwieszając stopy z otworu.

- Chodź, Trace! - zawołał. - Poświęcę ci, żebyś nie musiała używać swojej latarki.

- Zaczynam. - Ruszyła pod górę i natychmiast ześliznęła się z powrotem na luźnych kamieniach.

- O cholera - zakląła.

Uczyniła kolejną próbę, tym razem przed każdym krokiem upewniając się, czy ma solidne oparcie pod stopą. Bez przeszkód dotarła do otworu, szczęśliwa, że może zobaczyć słońce i odetchnąć świeżym powietrzem.

- Miałaś rację, Pro - powiedziała - to było niesamowite. Wyznanie, że również nieco odrażające, zachowała dla siebie. To zdecydowanie nie dla niej rozrywka.

- Wiedziałem, że ci się tam spodoba - odrzekł z uśmiechem. Usiedli obok siebie na skale w gąszczu bugenwilli, ukryci przed wzrokiem każdego, kto zapuściłby się na tę część klifu.

- A właśnie - odezwała się Tracey - miałam cię o coś zapytać.

- O co chodzi?

- Znalazłam złoty łańcuszek na moim łóżku, starannie ułożony w kształcie kota. - Popatrzyła na chłopca. - Zdaje się, że miałaś z tym coś wspólnego, prawda?

Prometeusz przytaknął i zerknął na nią nieśmiało.

- Tak - powiedział. - To był prezent za uratowanie Zeusa z rąk pani Stefanou.

- To bardzo piękny łańcuszek - Tracey wyjęła zza wycięcia t - - shirtu naszyjnik, żeby chłopiec mógł go zobaczyć - ale nie jestem pewna, czy mogę go przyjąć. Na pewno sporo kosztował i nie wiem, czy dżentelmena w twoim wieku stać na podobne prezenty.

- Możesz - odrzekł Prometeusz. - Dostałem go od niemieckiej lady, która prowadzi w Oii sklep z biżuterią. Wiesz, od tej, u której pracują jej siostrzeńcy.

- Nie sądzę, żebym ją знаła - powiedziała Tracey.

- Czasami robię dla niej rachunki i w zamian dostaję jakiś drobiazg, tak jak ten łańcuszek. Jej siostrzeńcom też pomagam z rachunkami. Tak naprawdę to wcale nie są jej siostrzeńcy, ona tylko tak ich nazywa.

- Ale taki łańcuszek z pewnością nie jest tani - tłumaczyła Tracey - i naprawdę nie zasłużyłam na niego.

- Zasłużyłaś - oświadczył Prometeusz z mocą. - Ja go nie wezmę z powrotem. Proszę, Trace, proszę. Podarowałem ci go.

- A więc zapracowałeś na niego? Prometeusz popatrzył na nią z powagą.

- Tak - powiedział. - Ja nie kradnę, jeśli o to ci chodzi.

- Nie chciałabym tylko, żebyś miał jakieś kłopoty z mojego powodu.

- Nie będę miał - zapewnił ją żarliwie.

- W takim razie przyjmuję naszyjnik i bardzo ci dziękuję. Jest bardzo piękny i ilekroć go włożę, zawsze będę myślała o tobie i o naszej wędrownicy po jaskini.

- Nie masz za co dziękować - odrzekł Prometeusz. - Jesteś moją przyjaciółką i sprawa skończona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Miami, Floryda

Odległość między Santorynem a Miami's Star Island można liczyć w tysiącach kilometrów albo w dziesiątkach milionów dolarów.

Wśród krajów Unii Europejskiej gospodarka grecka zajmuje miejsce drugie od końca. Posiadłość Uranii była warta kilka milionów dolarów, głównie dzięki oszałamiającemu widokowi na kalderę.

Natomiast Star Island, fenomen Miami Beach, stworzona przez człowieka, idealnie owalna wyspa pośrodku zatoki Biscayne, to jeden z najbardziej ekskluzywnych i najdroższych adresów na świecie. Ma własną drogę i most prowadzący prosto z Grobli MacArthura, a jej mieszkańcy są niewiarygodnie bogaci i niewiarygodnie wpływowi.

Posiadłości - położone po dwóch stronach dwupasmowej szosy, przecinającej wyspę przez środek - są nadzwyczaj okazale; każda zwraca się ku wodzie i dysponuje własną głęboką przystanią. W wielu z nich stoją wielopokładowe, warte wiele milionów jachty, nieskazitelne i lśniące, które stanowią dopełniający, luksusowy akcent świadczący o statusie właścicieli. W innych cumują jednostki bardziej konserwatywne - osiemnastometrowe sportowe łodzie rybackie albo tradycyjne symbole kryzysu wieku średniego, wodne wersje ferrari: jakiś szybki, zwinnie magnum, sunseeker czy ferretti.

Domy także są ogromne, dwu - i trzypiętrowe, najczęściej w stylu śródziemnomorskim, z białymi ścianami, loggiami i strzelistymi dachami z czerwonej dachówki. Do tego dochodzą garaże na wiele samochodów, parkingi wypełnione rzędami długich limuzyn, nieodzowne skrzydła mieszkalne dla służby, domki gościnne, korty tenisowe i baseny.

Prywatność, tak cenioną i pożądaną, dodatkowo zapewniają wewnętrzne dziedzińce, pergole, żywopłoty, specjalnie ukształtowany krajobraz i wreszcie służby ochrony. Dzięki nim Star Island to coś więcej niż tylko przystań dla garstki wybrańców. Jest potężną, onieśmielającą fortecą, prawdziwym bastionem ukrytym pod płaszczem luksusu; społeczną, finansową i fizyczną barierą między Posiadaczami Wszelkich Dóbr a resztą świata.

Tego letniego wieczoru w rezydencji Biggsów odbywało się niewielkie przyjęcie. Ich posiadłość, zajmująca cały kraniec wyspy, była znacznie większa od pozostałych. Oddzielona od innych murem z czerwonego kamienia z kilkoma imponującymi bramami, miała doskonałe usytuowanie, gdyż z trzech stron otaczała ją plaża. Dostępu do niej strzegła cała

armia umundurowanych strażników, za to każdy, komu udało się sforsować ich kordon, stawał twarzą w twarz z prawdziwymi pieniędzmi. Świadczył o nich czteropokładowy jacht, wysmukły niczym futurystyczny statek gwiazdny, wysokością rywalizujący z rzędem specjalnie posadzonych palm królewskich, a także wielki, czarny helikopter, stojący na specjalnym, wybetonowanym lądowisku, gotowy w każdej chwili unieść w powietrze swoich właścicieli; świadczył o nich sznur limuzyn, bentleyów i rolls - royce'ów, czekających na wykładanym kostką, ocienionym drzewami parkingu oraz zastęp kierowców w liberjach i potężnych ochroniarzy, zbitych w grupki, wymieniających szeptem plotki i ukradkiem zaciągających się papierosami.

Fasady budynków, projektowane przez wiernych naśladowców Addisona Miznera, Marion Sims Wyeth czy Maurice'a Fatio, stanowiły prawdziwy konglomerat rozmaitych stylów architektonicznych, połączonych, dzięki licznemu zastosowaniu arkad, w spójną, niepozabawioną wdzięku i lekkości całość. Serce domu, otwarte ku niebu, a jednocześnie zamknięte dla zewnętrznego świata, stanowił wewnętrzny dziedziniec wzorowany na klasztornych wirydarzach, z basenem w kształcie kwiatu o czterech płatkach, obramowanym perfekcyjnie przyszyronym, niskim bukszanowym żywopłotem, nadającym całości wygląd dekoracyjnej, mauretańskiej fontanny.

W środku gospodarze i ich goście popijali koktajle, siedząc na szerokich, miękkich sofach i wielkich fotelach w jednym z bogato umeblowanych salonów ze wspaniałym, kasetonowym stropem. Wysokie przeszklone drzwi, każde zwieńczone okrągłym okienkiem typu *oeil - de - boeuf*, zatrzymywały wilgoć na zewnątrz, jednocześnie oferując wspaniałe widoki, z jednej strony na ogród krajobrazowy, z drugiej na zatokę i odległe drapacze chmur na końcu South Beach. Na ścianach, powyżej imitującej draperię boazerii i dwóch masywnych, neorenesansowych kominków, wisały cenne flamandzkie tapiserie. Na stojącej w rogu sztaludze namalowany przez Goyę książę w błękitnych aksamitach, przepasany amarantową, satynową szarfą, pozował, trzymając na palcu śpiewającego ptaka.

Przyjęcie odbywało się z okazji zaręczyn i obowiązywał strój wieczorowy, więc obdarzeni tubalnymi głosami dżentelmeni paradowali w smokingach, celebrując palenie bolivar belicoso finas, których - mimo embargo handlowego z Kubą - nie brakowało w szkatułach na cygara. Brian Rutherford Biggs II zdecydowanie królował w całym tym zgromadzeniu. Nawet następca tronu, Brian Rutherford Biggs III, szykowny i obdarzony urodą filmowego amanta, gościł w obecności ojca.

Wśród kobiet młode, zdobywcze żony miały szczupłe sylwetki, wymyślne uczesania, eleganckie suknie i mnóstwo kosztowności. Pierwsze żony - zdecydowanie starsze, a

prawdopodobnie też i znacznie mądrzejsze - prezentowały fryzury równie kunsztowne, lecz bardziej stylowe, toalety równie eleganckie, choć prostsze, a biżuterię nie mniej wspaniałą. Ale bez względu na wartość zdobiących je klejnotów wszystkie, niczym planety na orbitach, krążyły wokół dwóch słońc.

Tym większym i jaśniejszym była Lillian Prescott Biggs, matka Briana, biała, anglosaska, protestancka patrycjuszka z orlim nosem, której twarz doskonale pasowałaby do tych wyrzeźbionych na Mount Rushmore. Z biżuterii nosiła tylko podwójny sznur pereł i prostą, złotą obrączkę ślubną.

Druga z kobiet nosiła jedynie pierścionek zaręczynowy, z kamieniem niezwyklej urody i blasku. Była to Georgina Kaufmann, dwudziestośmioletnia blondynka o chłodnej urodzie, która niebawem miała zostać synową Lillian. Lillian i Brian II bez zastrzeżeń aprobowali wybór syna. W oczach przyszłych teściów piękność Georginy została pobłogosławiona tym najcenniejszym z atutów - perspektywą odziedziczenia handlowego imperium Kaufmannów. W małżeństwie swojego potomka widzieli współczesny odpowiednik dawnych zaślubin potomków rodów królewskich, alians dwóch potentatów finansowych.

Kobiety sęczyły cristal, podczas gdy mężczyźni raczyli się szkocką Obana. Lillian wybrała burbona bez lodu. Panowie rozmawiali głównie o interesach, o nieruchomościach, kosztach budowy i sytuacji w handlu, a od czasu do czasu któryś z nich wtrącał półgłosem najnowszy pieprzny żarcik.

Kobiety gawędziły o ostatniej zbiórce na cele dobroczynne, obowiązujących tendencjach w modzie i obgadywały parweniuszy, usiłujących na siłę wtargnąć do ich świata. Przede wszystkim jednak starały się wciągnąć do rozmowy Georginę, księżniczkę, która niebawem miała zostać królową socjety, i przygarnąć ją do wspólnego łona.

Wyglądało to następująco:

- Georgino, byłeś na pokazie Oscara w Boca, prawda? Wydaje mi się, że widziałam cię tam. No więc co sądzisz o jesiennej modzie?

Albo:

- Georgino, powiedz, czy udało ci się dowiedzieć, jak ta jedza Lillian nazywa swojego syna? - Oczywiście z ukradkowym, złośliwym spojrzeniem w stronę Lillian.

Albo:

- Georgino, czy twoją suknię ślubną zaprojektuje Vera Wang? Albo:

- Georgino, ty miałaś tytuł królowej piękności. Powiedz nam, która z nich twoim zdaniem jest ładniejsza: Reece Witherspoon czy Cameron Diaz? Rozstrzygnij to raz na zawsze.

W pewnej chwili Brian lekko poklepał ojca po ramieniu.

- Tato, musimy porozmawiać - odezwał się cicho.

- Czy to nie może poczekać? - zapytał ojciec. - Nie.

Brian senior odchrząknął.

- Zechciejcie, proszę, wybaczyć nam na moment - odezwał się uroczystym tonem - ale mamy pewną sprawę do przedyskutowania, jak ojciec z synem. Sami wiecie, jak to jest, kiedy syn wybiera sobie narzeczoną. Nie będzie nas zaledwie kilka minut.

W gęstniejącej chmurze błękitnego dymu dały się słyszeć pełne zrozumienia potakiwania. Brian Rutherford Biggs *père* wstał. Ten wysoki, dystygowany mężczyzna, z bujną, srebrną czupryną odznaczał się tym charyzmatycznym sposobem bycia, jaki wynika ze sprawowania prawdziwej władzy.

Jego syn szybko dokończył szkocką i skierował się ku drzwiom na taras. Kiedy obaj panowie wyszli z klimatyzowanego pomieszczenia wprost na dławiący, wilgotny upał, lokaj bezszelestnie zamknął za nimi drzwi.

Bujny, zielony trawnik, dochodzący aż do betonowego muru na skraju posiadłości, ugiął się pod ich stopami. Za ogrodzeniem rozciągały się wody zatoki Biscayne, spokojne niczym arkusz srebrnej folii. Łagodny wietrzyk marszczył jej powierzchnię i poruszał koronami królewskich palm. Na idealnie wypielęgnowanym kobiercu z trawy tańczyły pierzaste cienie, niczym ekstrawaganckie fryzury dziewcząt, naśladując poruszenia pióropuszy w górze.

Ojciec i syn nie objęli się ramionami familiarnym gestem. Z dala od przymilnych dworaków nie było sensu udawać ani podtrzymywać maskarady.

- Przejdźmy się trochę - zaproponował Brian III.

Ojciec ruszył za nim przez idealnie przystrzyżony trawnik ku zatoce. Ciekawiło go, o czym pragnie z nim porozmawiać junior, a jednocześnie odczuwał pewien niepokój. Powoli kroczył za swoim w gorącej wodzie kąpanym synem, a gdy ten zatrzymał się przy samym końcu posiadłości, pozwolił mu na siebie czekać.

Obaj skierowali spojrzenia w stronę Miami Beach. Starszy z Biggsów pamiętał jeszcze dawną, niską zabudowę South Beach. Teraz po drugiej stronie wody, patrząc w obie strony od miejsca, gdzie Grobla MacArthura przechodziła w Miami Beach Drive, widziało się same drapacze chmur, a zamierzano ich wznieść jeszcze więcej.

Kiedy rozpoczęła się moda na art déco, Brian Rutherford Biggs II zainwestował ciężkie pieniądze, wykupując całe akry gruntu, na których potem burzył wszystko co stare i wznosił nowe. Co najwspanialsze, ów cud ponownych narodzin South Beach i rozkwitu gospodarki Wielkiego Miami zdawał się nie mieć końca i trwał nieprzerwanie aż do dzisiaj.

Pieniądze napływały wezbraną rzeką, z Brazylii, Argentyny i innych, chronicznie kulejących gospodarzo krajów Ameryki Łacińskiej; z całej Ameryki Łacińskiej leciały miliardy dolarów, by spocząć w bezpiecznych gniazdkach banków Miami albo ulokować się w nieruchomościach.

Nic więc dziwnego, że Brian senior i stojący obok niego syn oceniali piękno według jego wartości w dolarach, a zespół luksusowych drapaczy chmur zaliczali do najwspanialszych widoków, jakie zdarzyło im się oglądać.

- Chciałeś porozmawiać - zaczął w końcu ojciec. Brian uniósł głowę i odwrócił się ku niemu.

- Tak, o tej działce przy Coconut Grove.

Ojciec nadal wpatrywał się w wodę, choć teraz nie miało to już najmniejszego sensu. Czarowna chwila przysła.

- Własność Sullivana? - zapytał z ciężkim westchnieniem. Brian przytaknął.

- Mówiłeś, że sam się tym zajmiesz i usuniesz nam z drogi wszystkie przeszkody.

- Cały czas nad tym pracuję - zapewnił go Brian butnie - ale pojawił się nowy element i uznałem, że powinieneś o nim wiedzieć. Niewielka przeszkoda.

- Jaka znowu przeszkoda? Przecież mówiłeś, że Sullivan popełnił samobójstwo.

- Tym razem ona - wyjaśnił Brian. - Jego córka.

- O ile pamiętam, miałeś tak wysokie mniemanie o swoim męskim uroku, że gwarantowałeś nam pełny sukces, jeśli damy ci wolną rękę. - Ojciec obrzucił syna twardym spojrzeniem. - Byłeś taki pewien swojej siły oddziaływania na kobiety.

- Ta suka dowiedziała się o Georginie i zerwała ze mną - wyjaśnił Brian. - A potem zdobyła skądś forszę i pospłacała hipoteki.

- Chryste - warknął ojciec - no więc co proponujesz? Masz jakiś kolejny, błyskotliwy pomysł?

Usta Briana wykrzywiły się złośliwie.

- Owszem, ale będzie nas sporo kosztował. Za to jednocześnie pozwoli nam uniknąć bezpośredniego zaangażowania się w tę... - dla zademonstrowania swojej odrazy machnął palcami, jakby chcąc pokropić święconą wodą niewidzialną publiczność - w tę niewygodną sytuację.

- Tak? - Na ustach ojca pojawił się chytry uśmieszek. Przechylił głowę na bok. - W jaki sposób?

Brian nie spieszył się z wyjaśnieniami. Zastanawiał się, ile może powiedzieć ojcu. Odwrócił się od budowli po drugiej stronie wody i założywszy ręce do tyłu, ruszył prosto przed siebie, wzdłuż bujnie rozrośniętych żywopłotów, zapewniających upragnione odosobnienie, ku przeciwległemu krańcowi posiadłości.

Celowo chciał się oddalić od potężnego, trzypokładowego monstrum - motorowego jachtu ojca, ze stałą, jedenastoosobową załogą. Na pokładzie było zbyt wiele podglądających ustawicznie oczu i nasłuchujących bez przerwy uszu. Zanurzył się w zielony gąszcz, utworzony przez dwa wysokie, fikusowe szpalery, posadzone wzdłuż wąskiej ścieżki. W ciemnym tunelu zielony dywan trawy pod stopami był grubszy i bardziej sprężysty, a powietrze, chłodniejsze i mocniej przesycone wilgocią, pulsowało zapachami ziemi. Ptaki świergotały, kryjąc się w zaroślach. Za sobą Brian słyszał kroki ojca.

Dokładnie w połowie bujnego, bliźniaczego żywopłotu ścieżka rozszerzała się, tworząc idealny okrąg. Na jego środku odlany z żeliwa Merkury w pełnej gracji pozie zastygł w wiecznym locie, pozbawiony możliwości dostarczenia adresatowi trzymanego w ręku zwoju. Figura stanowiła zwieńczenie dwupoziomowej, okrągłej fontanny w której woda srebrnymi kaskadami przelewała się z górnej, mniejszej misy do większej na dole. Cztery zaokrąglone, marmurowe ławki spoglądały na siebie lub też spoglądałyby, gdyby ustawiony centralnie wodotrysk nie zasłaniał widoku. Zakątek stanowił wymarzone miejsce do snucia tajnych planów, wzajemnych zwierzeń i sekretnych schadzek.

Brian zatrzymał się tak gwałtownie, że ojciec niemal na niego wpadł.

- Co mówiłeś? - zapytał z irytacją. Syn obrzucił go ponurym spojrzeniem.

- Sam nie jestem pewien, czy powinienem podzielić się z tobą tą informacją, ale z drugiej strony musisz wiedzieć, co jest grane, skoro angażujemy w ten interes tak wielkie pieniądze.

- Tak - odpowiedział ojciec - rozumiem.

- To powinno rozwiązać kwestię Toma Sullivana, przy czym nasze ręce pozostaną czyste. Ale będzie kosztować. Drożej niż w przypadku starego.

- Myślałem, że stary popełnił samobójstwo! - wykrzyknął Brian senior, z napięciem wpatrując się w syna.

Ten uśmiechnął się cynicznie.

- W pewnym sensie... można to i tak nazwać. W każdym razie nie wydaje mi się, aby którykolwiek z nas dysponował odpowiednimi. .. hm... kwalifikacjami, jakich wymaga ta sprawa.

- Więc co? - Ojciec niecierpliwił się coraz bardziej. Brian odchrząknął.

- Mam zamiar posłużyć się tym samym kontaktem co poprzednio. Tylko obecnie cena wynosi milion dolarów.

- Milion dolarów! - westchnął senior. - Czy jesteś pewien, że twój kontakt nie zawiedzie?

- Absolutnie pewien - odparł Brian. - Po prostu zostaw wszystko mnie i nie kwestionuj ceny.

Ojciec wzruszył ramionami.

- Co to jest milion dolarów w porównaniu z sumą, o jaką toczy się gra. Musimy mieć tę działkę. Zorganizuję gotówkę, a ty skontaktuj się z tamtym człowiekiem. - Urwał. - Nie muszę ci chyba przypominać, że twój wspaniały pomysł oczarowania i wyprowadzenia w pole wiadomej osoby nie wypalił i w konsekwencji znaleźliśmy się w obecnej sytuacji. Brian się skrzywił.

- Musiałeś mi to wypomnieć, prawda?

Miał nadzieję, iż ojciec pochwali go za to, że panuje nad sytuacją i nawiązał odpowiednie kontakty.

Brian senior uśmiechnął się cierpko.

- Nie sądzisz, że nasi goście czekają już wystarczająco długo? W końcu wydajemy przyjęcie na cześć twojej narzeczonej. A może zapomniałeś, że to okazja do świętowania?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Santoryn, Grecja

Mijając butik z kostiumami kąpielowymi, Tracey postanowiła zajrzeć do środka. Mieszkance Miami nowy kostium potrzebny jest zawsze. Ceny - jak jednak szybko miała okazję się przekonać - były oszałamiające. No tak, pomyślała, zdaje się, że to przykład tej gospodarki globalnej, o której tyle słyszałam. Przez chwilę przerzucała kostiumy, jeden bardziej kuszący od drugiego, wreszcie postanowiła, że kupuje.

Haruję jak wół, więc dla odmiany mogę trochę zaszaleć, usprawiedliwiała się sama przed sobą. Wybrała skromny, ale elegancki, jednoczęściowy model z obcisłej, czarnej dzianiny i podniosła go do światła, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

- Na litość boską, nie jesteś jeszcze tak stara, żeby nosić coś takiego - rozległ się za nią męski głos, który rozpoznałaby wszędzie. - Nie musisz być ekshibicjonistką, ale po co od razu wpadać w drugą skrajność.

Odwróciła się szybko.

- Mark - powiedziała, uśmiechając się na widok jego rozbawionej twarzy - myślałam, że nie zobaczę cię aż do obiadu.

- Odwaliłem kawał roboty, więc postanowiłem się przejść - wyjaśnił. - W nadziei, że cię spotkam - dodał, aby nie było wątpliwości.

Tracey poczuła, że coś ściska ją w gardle. Zwykłe zainteresowanie stanowczo przerodziło się w pociąg, pomyślała. Którego zresztą od samego początku nie brakowało.

- Założę się, że to Maria Stefanou cię wysłała, żebyś miał mnie na oku - zażartowała.

- Wcale nie - zaprzeczył. - Spotkałem Prometeusza, który powiedział mi, że poszłaś na spacer. Postanowiłem więc rozejrzeć się za tobą, potem zobaczyłem cię przez okno i oto jestem. - Uśmiechnął się. - Będziesz bardzo zła, jeśli ci potowarzyszę?

- Mam nadzieję, że Urania nie będzie zła, kiedy się dowie, że my... wspólnie spędzamy czas.

- Prawdę mówiąc, reakcja Uranii guzik mnie obchodzi.

- Aha - Tracey pokiwała głową - myszy tańczą, kiedy kota nie czują, tak to jest? -

Popatrzyła mu prosto w oczy.

Mark wytrzymał jej spojrzenie.

- Dzisiejszy dzień jest o wiele zbyt piękny, żeby go sobie psuć myśleniem o Uranii - powiedział. Przez chwilę coś rozważał w myślach. - Prometeusz wspominał, że planowałaś wycieczkę łodzią po kalderze.

- Zastanawiałam się nad tym - przytaknęła Tracey.

- Mam lepszy pomysł - rzucił Mark, chwytając ją za rękę. - Idziemy. - Skierował się w stronę drzwi.

- Ale... co z moim kostiumem? - usiłowała protestować.

- Kostium nieważny - oświadczył, łagodnie ciągnąc ją za sobą. - Tam, gdzie się wybieramy, nie będzie ci potrzebny.

- Ale dokąd się wybieramy?

- Ty tylko idź za mną - oznajmił Mark tajemniczo - a całą resztą ja się zajmę.

Z wyraźnym pośpiechem ruszył w kierunku willi, po chwili jednak zatrzymał się raptownie.

- Masz przy sobie pager? - zapytał Tracey.

- Przecież Maria Stefanou nie wypuściłaby mnie bez niego.

- Mogę go zobaczyć?

- Oczywiście. - Wsunęła rękę do torby, wyjęła pager i podała Markowi.

- Dziękuję - powiedział. Wziął go od Tracey, podszedł do najbliższego kosza na śmieci i wrzucił.

- Co robisz? - wykrzyknęła. - Przecież Maria Stefanou mnie zabije!

- Nie zabije cię - uspokoił ją Mark. - Po prostu powiesz, że go zgubiłaś. To jedyny sposób, żeby nikt nam nie zawracał głowy.

- Na pewno będzie wściekła.

- Maria Stefanou może sobie być właścicielką większej części willi, ale to jeszcze nie daje jej prawa do kontrolowania twojego życia - zauważył Mark.

- Co masz na myśli? Sądziłam, że posiadłość należy do Uranii.

- Pięćdziesiąt jeden procent jest własnością Marii Stefanou. To wymóg greckiego prawa. Obywatele amerykańscy nabywający tu ziemię muszą robić to na spółkę z Grekami, przy czym Grecy są głównymi właścicielami. Santoryn jest traktowany jak strefa przygraniczna.

- Nic dziwnego, że ta kobieta chwilami zachowuje się tak, jakby to ona rządziła w domu - zauważyła Tracey.

- Owszem, ale jeszcze raz powtórzę, że to nie daje jej prawa do rządzenia twoim życiem.

- Skoro tak twierdzisz - odrzekła Tracey.

- Tak właśnie twierdę. - Uśmiechnął się znowu.

- A ty? - zapytała Tracey. - Masz przy sobie pager i telefon komórkowy?

Uśmiech Marka stał się jeszcze szerszy.

- Zostawiłem je w willi, a pakując się na wyjazd, mam zamiar przezornie ich zapomnieć.

- Pakując? - powtórzyła Tracey. - Na wyjazd? Na jaki wyjazd?

- Zobaczysz. Po prostu zostaw wszystko mnie - powiedział, mocniej pociągając ją za sobą.

Przy bramie willi Tracey zaczęła grzebać w torbie, szukając elektronicznej karty, jednak nadaremnie. Gdzie mogłam ją posiać? - zaczęła się zastanawiać. Na pewno miałam ją ze sobą przed wyjściem, kiedy szukałam pani Stefanou, a potem, jak siedziałam w cieniu na tarasie, chyba też.

- Zostaw - powiedział Mark - już znalazłem swoją. Otworzył bramę i oboje zaczęli iść do willi. Po drodze Tracey jeszcze raz przeszukała torebkę, ale bez skutku.

O Boże, pomyślała, pozwolić Markowi wyrzucić pager to jedno, a zgubić kartę do drzwi to drugie. Nie sądzę, żebym prędko odważyła się powiedzieć o tym pani Stefanou.

Nieduży samolot łagodnie wylądował na lotnisku Eleftherios Venizelos. Potem pomknęli mercedesem - taksówką niemal całkowicie pustą autostradą prosto do Aten. Ale ta szybka jazda trwała dosłownie moment, bo już w następnej chwili tkwili w najgorszym korku, jaki Tracey kiedykolwiek widziała. Nowa autostrada miała zaledwie kilka kilometrów i łączyła się bezpośrednio ze starą, zatłoczoną drogą.

- O wiele bardziej wolałem dawne lotnisko - powiedział Mark. - Zresztą wszyscy woleli. Leżało nad samym morzem, naprzeciwko portu jachtowego, więc człowiek znacznie szybciej docierał stamtąd do centrum i po drodze widział Akropol. Ale mniejsza z tym. Skoro jesteś w Grecji, musisz zobaczyć Ateny. Wielu turystów nie lubi tego miasta, bo jest brudne, hałaśliwe i zatłoczone, ale przecież wypada je obejrzeć. Zresztą bywałem już w gorszych miejscach.

Rzeczywiście, po względym spokoju i zapierającym dech naturalnym pięknie Santorynu Ateny jawiły się niczym wrzaskliwy urbanistyczny koszmar, ale zachwycona Tracey i tak uznała je za porywające. Wahala się, czy pojechać na tę wycieczkę, ale jej rosnące zainteresowanie Markiem przeważało. Teraz była zadowolona, że machnęła ręką na ostrożność i skrupuły, gdyż temu miastu nie sposób było się oprzeć.

- Co to takiego? - zapytała w taksówce, wskazując coś przez okno. - Te śmieszne rzeczy na dachach?

- Baterie słoneczne - wyjaśnił Mark. - Pełno ich w Grecji. Kiedy taksówka wjechała do centrum, Tracey zachwyciły liczne neoklasyczne gmachy, a gdy ujrzała pierwszą prawdziwą antyczną budowlę, wyrastającą majestatycznie po jej prawej stronie, po prostu zamarła na moment.

- Co to jest? - zapytała Marka.

- Świątynia Zeusa Olimpijskiego.

- A to? - wykrzyknęła z podnieceniem.

- Łuk Hadriana. Rzymianie ustawili go specjalnie na wprost Akropolu. W ten sposób cesarz Hadrian chciał zademonstrować swoją potęgę.

- O mój Boże! - wykrzyknęła znowu. - Zobacz, to Melina Mercuri.

Mark przytaknął.

- A z kolei jej posąg Grecy ustawili dokładnie na wprost Łuku Hadriana. - Uśmiechnął się z pobyżaniem.

Z szerokiego głównego bulwaru taksówka skręciła w sieć wąskich bocznych uliczek.

- Nie jedziemy do żadnego luksusowego hotelu, tylko do niewielkiego, rodzinnego pensjonatu na obrzeżach Plaki - uprzedził ją Mark. - Myślę jednak, że ci się spodoba.

- Na pewno mi się spodoba - zapewniła go Tracey. Spodobałoby jej się wszystko, co proponował.

Samochód zwolnił i zatrzymał się przy ślepym zakończeniu ulicy Koudrou.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Mark, wysiadając. - Dom Dorycki.

Zanim któryś z mężczyzn zdążył otworzyć drzwi auta, Tracey już wyskoczyła z taksówki. Na wprost miała wąską, wykładaną marmurem uliczkę z trzy - i czteropiętrowymi domami, a po prawej stronie stał Dom Dorycki, neoklasyczny, czteropiętrowy budynek, charakterystyczny dla zabudowy Plaki.

Mark zapłacił kierowcy, po czym oboje chwycili podręczne torby. Do hotelu wchodziło się po kilku stopniach, potem trzeba było jeszcze pokonać kilka kolejnych, w holu. W środku Tracey odniosła wrażenie, że znalazła się w zupełnie innym świecie, pełnym spokoju. Stylizowane malowidła pokrywały ściany i wysoki sufit, po lewej stronie znajdowała się niewielka salka śniadaniowa, a w barze po prawej stały wazony wypełnione świeżymi kwiatami i kilku gości oglądało telewizję.

- Mark! - zawołał opalony, siwy mężczyzna w okularach, dyżurujący w recepcji. Wyszedł zza lady, uściśnął dłoń Marka i natychmiast odwrócił się do Tracey. - Pani Sullivan, prawda? - zapytał, obrzucając ją pełnym aprobaty spojrzeniem.

- Tak - odpowiedziała z uśmiechem.

Mark szybko dokonał prezentacji. Właściciel hotelu nazywał się Panos.

- Cieszę się, mogąc gościć was oboje - przywitał ich. - Pokoje czekają.

- Świetnie - powiedział Mark - w takim razie pójdziemy się rozpakować.

Panos wyciągnął zza lady klucze i wręczył je Markowi.

- Do zobaczenia później.

- Tędy. - Wskazał drogę Mark.

Krętymi schodami weszli na pierwsze piętro, gdzie znajdował się szeroki korytarz z trzema albo czterema parami drzwi do pokoi. Mark szeroko otworzył jedne z nich.

Tracey weszła do środka i rozejrzała się dookoła. Z mniejszego, frontowego pomieszczenia, wyposażonego jedynie w pojedyncze łóżko i komódkę, przechodziło się do drugiego, większego, z podwójnym łóżkiem, komodą i krzesłami. Ściany aż po niewiarygodnie wysoki sufit pokrywała pożółkła tapeta, meble były wyraźnie podniszczone, ale wszędzie panowała nieskazitelna czystość. Wysokie oszklone drzwi wiodły na balkon.

- Mówiłem ci, że pensjonat jest skromny - odezwał się Mark.

- Ależ mnie się tu podoba. - Tracey obeszła wielkie, podwójne łóżko, kierując się w stronę drzwi balkonowych. Otworzyła je i wyszła na zewnątrz. - Och, Mark - zawołała - chodź tutaj!

Podążył za nią, uśmiechając się domyślnie.

- Popatrz - powiedziała, wyciągając rękę - czy to jest to, o czym myślę?

- Jak najbardziej. Przynajmniej kawałek tego.

- Akropol! - westchnęła Tracey w rozmarzeniu. - Zawsze chciałam go zobaczyć.

- W takim razie, wiesz co? - Co?

- Jeśli się pospieszysz z rozpakowywaniem, mamy jeszcze czas wejść na górę. Obejrzyj go sobie w całości na własne oczy.

- Nie mogę się już doczekać.

- Nóg nie czuję! - jęknęła Tracey. - Ale też nie wiem, czy kiedykolwiek byłam tak szczęśliwa. - Wyjęła chusteczkę z torby i otarła pot z twarzy i szyi.

- To ta wspinaczka, prawda? - roześmiał się Mark.

- Dla mnie schodzenie było chyba jeszcze gorsze. Ale Akropol okazał się naprawdę tego wart. Jest o wiele piękniejszy niż na tych wszystkich kolorowych fotografiach. I znacznie większy niż przypuszczałam.

Oboje siedzieli przy niewielkim stoliku w kawiarni na świeżym powietrzu, koło drabinki, po której pięła się winorośl. Mimo tabunów turystów, we dnie i w nocy oblegających wąskie, kręte uliczki starego handlowego centrum, to miejsce było zaciszne i odosobnione. Na stole stały nieodłączne butelki z wodą i dwie filiżanki *café fredo*.

Tracey wepchnęła chusteczkę z powrotem do torby i podniosła oczy. Z przeciwnej strony stolika Mark nie przestawał się w nią wpatrywać. Na jego wargach błąkał się uśmiech, rozjaśniający całą twarz.

Przez moment Tracey wytrzymała jego spojrzenie, potem odwróciła głowę, czując, że się czerwieni. Kiedy znowu na niego zerknęła, Mark patrzył na nią nadal, choć nic nie mówił.

- Do czego się tak uśmiechałeś? - zapytała, mając nadzieję, że jej głos brzmi obojętnie.

- Do ciebie - odpowiedział. - I do tego wszystkiego. - Zatoczył ręką szeroki łuk. - Cieszę się, że ci się tu podoba.

Wstali i ruszyli na dalszą przechadzkę zatłoczonymi uliczkami Plaki, przypatrując się sklepikom i tawernom. Zaczynało się zmierzchać, ale zdecydowali, że jeszcze chwilę pospacerują, a kolację zjedzą później. Z Plaki przeszli w kierunku skweru Syntagma, obejrzeli oświetlony gmach parlamentu i dziwacznie, ale wspaniale poubieranych gwardzistów. W powodzi świateł pomniki i budynki zdawały się promieniować magią. Łuk Hadriana i świątynia Zeusa Olimpijskiego, które oglądali w świetle dziennym, teraz nabrały zupełnie odmiennego wyglądu, a Akropol, podziwiany z różnych stron, prezentował się jeszcze wspanialej niż za dnia.

Kiedy poczuli zmęczenie, Mark zaproponował, żeby zjeść kolację w małej restauracyjce, którą polecił im Panos.

- To niedaleko hotelu - powiedział - więc kiedy jedzenie całkiem nas rozłoży, nie będziemy musieli daleko chodzić.

- Jeśli ty chcesz tam pójść, to ja bardzo chętnie.

Lokal mieścił się na drugim piętrze starego, porośniętego dzikim winem budynku na obrzeżach Plaki. Posadzono ich na wspaniałym balkonie, przy stoliku, na którym płonęły świece.

- Tu chyba nie ma ani jednego turysty - zauważyła Tracey.

- Nie - zgodził się Mark. - Panos nie skierowałby nas do żadnej restauracji dla turystów. To mi wygląda na taki sympatyczny mieszany lokal. Studenci, artyści i garstka mieszkańców z sąsiedztwa.

Kelner przyniósł ogromną tacę, wyładowaną potrawami, z której wybrali to, na co mieli ochotę: ośmiornice w sosie, drobne sardynki smażone w całości, niewielkie kulki mięsne i sałatkę z pomidorów, ogórków i świeżego sera feta. Do tego czerwone wino.

- Co sądzisz o greckiej kuchni? - zapytał Mark.

- Hm, szczerze mówiąc, z niektórymi potrawami mam pewne problemy, ale wręcz pochłonęłam wszystko.

Mark się roześmiał.

- Ze mną jest dokładnie tak samo. Zjadłem do ostatniego kęsa, ponieważ byłem głodny, chociaż wołałem się nie zastanawiać, co właściwie jem.

- Ja również - zawtórowała mu Tracey.

- Jakiś deser? - zaproponował Mark.

- Mowy nie ma. Nie po takim jedzeniu.

- Świetnie. W takim razie zapłacę i możemy wracać do pensjonatu. - Skinął na kelnera i uregulował rachunek.

W hotelu zatrzymali się na chwilę przy recepcji, żeby zamienić kilka słów z Panosem.

- Jak się pani podobały Ateny, miss Sullivan? - zapytał Grek.

- Bardzo - odrzekła Tracey. - Z tego, co słyszałam, wyobraziłam sobie, że miasto będzie brudniejsze i bardziej hałaśliwe.

Panos się uśmiechnął.

- Sprzątamy przed olimpiadą - wyjaśnił - a jeśli chodzi o zanieczyszczenie środowiska, ludzie sporo się nauczyli.

- Ateny są naprawdę piękne - zapewniła Tracey z przekonaniem.

- Cieszę się - powiedział Panos. - Mam nadzieję, że wasz pobyt będzie udany aż do końca.

- Na pewno - odrzekł Mark, kierując się ku schodom. Na górze przystanęli i popatrzyli na siebie.

- Zajdziesz do mnie na strzemiennego? - zaproponował Mark. - Mam butelkę wody.

Tracey się roześmiała.

- Każdy w Atenach ma butelkę wody. W moim pokoju też stoi. Dziękuję, ale myślę, że pójdę prosto do łóżka. Jestem wykończona. - Włożyła klucz do zamka.

- Dobrze - zgodził się Mark. Nie poszedł jednak do swojego pokoju, tylko stał w miejscu, z wyraźnym wahaniem.

Tracey odwróciła się ku niemu i uśmiechnęła nieśmiało.

- Zobaczymy się rano - powiedziała.

- Śpij, jak długo masz ochotę. Ja też mam zamiar solidnie się wyspać - pożegnał ją Mark.

- Okay. - Przekreśliła klucz w zamku i otworzyła drzwi. - Dobranoc, Mark - dodała łagodnie.

- Dobranoc, Tracey. - Przez chwilę patrzył za nią, a potem z ociąganiem ruszył do swojego pokoju.

Cholera, pomyślał, zatrzasnął drzwi. Gdyby... gdyby tylko... gdyby co? Sam nie był pewien, wiedział tylko, że pragnie Tracey Sullivan, że pożąda jej jak żadnej innej kobiety. Nie mógł jednak nalegać zbyt mocno, nie chcąc jej płoszyć.

Zapowiada się długa, samotna noc, pomyślał, zwłaszcza że ona jest tam, po drugiej stronie ściany. Popatrzył na nienawistną wyblakłą tapetę i skrzywił się. Ale grymas szybko przeszedł w uśmiech. Przed nami jutro, powiedział do siebie, a także jutrzejsza noc. Może, po prostu może...

Potrząsnął głową i podszedł do klimatyzatora, żeby go włączyć.

Najlepiej wcale o tym nie myśleć, zmytygował się. Takie nadzieje mogą człowieka zaprowadzić zbyt daleko.

Tracey otworzyła drzwi i stanęła na niewielkim balkoniku. W oddali widziała mury Akropolu, prezentujące się okazałe w powodzi świateł. Przez chwilę spoglądała na nie w rozmarzeniu, po czym odwróciła się i weszła do pokoju. Zaciągnęła zasłony i zaczęła się rozbierać, ze zdumieniem zauważając, że ubranie ma wilgotne. W Atenach było gorąco i wilgotno, a ona i Mark sporo chodzili, jednak dzięki ożywczej bryzie i wspaniałemu towarzystwu jakoś nie odczuwała upału.

Postanowiła zamknąć drzwi balkonowe i uruchomić klimatyzację. Umyła zęby, twarz i ręce i włożyła długi, wysłużony t - shirt, w którym zwykle sypiała. Łóżko wyglądało zachęcająco, więc położyła się, od razu gasząc światło. Zamknęła oczy, ale sen nie nadchodził. Pod powiekami ciągle miała obraz Marka Varneya. Marka Varneya o pełnej uroku twarzy i szerokim uśmiechu. Marka Varneya o nienagannych manierach i z poczuciem humoru. Marka Varneya, od którego dzieliła ją zaledwie ściana.

Doskonale widziała, że mu się podoba, w przeciwnym wypadku nie zabrałby jej na tę wycieczkę. Nie był to z jego strony jedynie akt uprzejmości.

Wierciła się i przewracała z boku na bok, usiłując uporządkować sprzeczne emocje i wrażenia, kłębiące się w jej głowie i sercu. Musiała przyznać, że Mark pociągał ją bardziej niż ktokolwiek inny do tej pory. Uniosła głowę, poprawiła poduszkę i położyła się z powrotem. To więcej niż zwykle zauroczenie, powiedziała do siebie. Znacznie więcej.

W ciemności popatrzyła na dzielącą ich ścianę.

- Chcę cię - wyszeptała w tamtą stronę. - Bardzo cię pragnę.

scandalous

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Ateny, Grecja

W pierwszej chwili po przebudzeniu Tracey nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Usiadła na łóżku zdziwiona. Gdzie ja jestem? Dopiero gdy rozejrzała się dookoła, wszystko stało się jasne. Spłowieła tapeta, wyblakłe malowidła na suficie i oszklone drzwi prowadzące na balkon przywołały uśmiech na jej usta. Popatrzyła na zegarek: ósma piętnaście. Szybko wyskoczyła z łóżka, włożyła szorty i wyszła na balkon.

Jej uszy natychmiast zaatakowała kakofonia dźwięków: klaksony aut, warkot motocykli i skuterów, ryk autobusów oraz podniesione głosy właścicieli sklepów i sprzedawców - wszystko to składało się na niezmienną ateńską codzienność. Popatrzyła w kierunku Partenonu, który górował na szczycie Akropolu przez niemal dwa i pół tysiąca lat.

A teraz jak najszybciej śniadanie i do miasta. Wróciła do pokoju, wzięła błyskawiczny prysznic, umalowała się delikatnie i włożyła świeże ubranie. Ciekawe, czy Mark już wstał. Kusiło ją, żeby do niego zapukać albo zatelefonować, w końcu jednak postanowiła tego nie robić. Przecież mógł jeszcze spać. Byłoby miło zjeść razem śniadanie, pomyślała, ale w końcu jeść samej to też nic strasznego. Trudno jednak byłoby jej wytrzymać potem w hotelu, skoro nowe, fascynujące miasto czekało na zewnątrz.

Krętymi schodami zeszła do recepcji, po drodze zatrzymując się, żeby obejrzeć wiszące na ścianach grafiki w ramkach, przedstawiające rozmaite greckie wyspy i ruiny. Za ladą rezydował nie Panos, tylko jego matka, powszechnie znana jako miss Vicky.

- Dzień dobry, miss Sullivan - przywitała dziewczynę. - Czy dobrze pani spała?

- O tak, dziękuję.

- To doskonale - powiedziała miss Vicky, składając dłonie. - Życzy sobie pani śniadanie?

- Tak.

- A więc proszę tędy. - Miss Vicky wskazała ręką pokój śniadaniowy. - Zdaje się, że ktoś tam już na panią czeka. - W oczach Greczynki pojawił się figlarny błysk.

Tracey weszła do jadalni i zobaczyła Marka siedzącego przy stoliku nakrytym na dwie osoby. Jego świeży, promienny wygląd oczarował ją na nowo. Mark uśmiechnął się, spoglądając w jej stronę. Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Podać kawę czy herbatę? - zapytała miss Vicky, kiedy Tracey usiadła.

- Poproszę kawę - odpowiedziała, dopiero teraz spostrzegając, że w jadalni znajdują się także inni goście.

- Dobrze spałeś? - zapytał Mark. - Tak, a ty?

- Ja też - odrzekł, podnosząc do ust filiżankę z kawą. Kelnerka przyniosła śniadanie: dzbanek kawy, sok, jajko na twardo, oliwki, bułkę i grzanki na osobnym talerzu oraz miseczkę brzoskwiniowego dżemu. Mark z prawdziwą przyjemnością obserwował, jak Tracey pochłania jedzenie.

- Co chciałabyś dzisiaj robić? - zapytał. - Skoro nie mamy zbyt wiele czasu, uznałem, że najlepiej będzie, jeśli sama wybierzesz, na co masz największą ochotę.

- Ale to ty znasz miasto - odrzekła Tracey - więc pozwolę ci zdecydować.

- Zgoda - powiedział. - Zjedz całe śniadanie, żeby mieć dużo siły, i włóż wygodne buty.

Tracey była wdzięczna Markowi za tę radę. Wrócili do pensjonatu dopiero pod wieczór. Cały dzień upłynął im w szaleńczym kołowrocie, tak że głowę miała wypełnioną oszałamiającymi, nakładającymi się na siebie wrażeniami, jakie pozostawiły jej widoki marmurowych ruin, antyczne popiersia, rzeźby i nagrobki, biżuteria, egzotyczne pachle targi, obrazy, mozaiki i zapachy kadzideł.

- Co ci się najbardziej podobało? - zapytał Mark, kiedy stromym, wąskim, marmurowym chodnikiem wracali do Domu Doryckiego.

- Nie wiem, nie potrafię wybrać. Nigdy przedtem w ciągu jednego dnia nie widziałam aż tyle piękna. Muzeum Archeologiczne i Muzeum Sztuki Bizantyńskiej, starożytna agora i te wszystkie kościoły. Równie dobrze mogłabym rzucać monetą.

- Jesteśmy w hotelu - powiedział Mark. - Pewnie jesteś wykończona.

- Ale szczęśliwa - odrzekła, spoglądając ku niemu z uśmiechem.

- To dobrze. W takim razie teraz prysznic i chwila odpoczynku, zanim pójdziemy na kolację. Jeśli chcesz, możesz się nawet zdrzemnąć.

- Zdrzemnąć? Chyba żartujesz? Kiedy ciągle mamy tyle do obejrzenia?

Ale choć tak protestowała, po prysznicu rzeczywiście ucięła sobie krótką drzemkę. Wyciągnęła się na wielkim łóżku w swoim pokoju, zostawiając otwarte drzwi balkonowe, przez które wdierał się szum pełnej życia Plaki. Miała zamiar napisać kilka słów do Maribel na jednej z wielu widokówek, które kupiła w ciągu dnia. Dźwięk telefonu, głośno dzwoniącego tuż przy łóżku, obudził ją znacznie później.

- Halo - odezwała się zaspanym głosem.

- Spałaś - stwierdził Mark. - Może nie masz ochoty już nigdzie wychodzić i wolisz zostać w hotelu?

- Mowy nie ma! - zawołała Tracey, momentalnie przytomniejąc. - Nie wykręcisz się tak łatwo!

Mark się roześmiał.

- Czy wystarczy ci trzydzieści minut?

- Jasne. Spotkamy się na dole, dobrze?

- Świetnie. Czekam przy recepcji.

Tracey odłożyła słuchawkę i wyskoczyła z łóżka. W łazience błyskawicznie przejechała szczotką po włosach i nałożyła makijaż, nieco mocniejszy niż na dzień. Co do stroju, nie miała zbyt wielkiego wyboru. Przez moment pożałowała, że nie zabrała z sobą więcej ubrań. Cienki niebieski sweterek i białe płócienne spodnie będą musiały wystarczyć. Do tego szykowne, granatowe espadryle.

Już gotowa, jeszcze raz sprawdziła swój wygląd w łazienkowym lustrze.

- Odrobinę więcej różu - powiedziała do swojego odbicia. Szybko dokonała tej ważnej korekty, porwała klucz i torebkę i wybiegła z pokoju, nie chcąc, by Mark musiał czekać.

- Masz coś przeciwko temu, żebyśmy poszli pieszo? - zapytał, kiedy znaleźli się na zatłoczonym chodniku.

- Skądże - odrzekła.

Wieczór był parny, ale lekki wietrzyk ożywczo muskał skórę. Po wąskich chodnikach przewalały się tłumy, kiedy zmierzali w stronę jasno oświetlonego skweru Syntagma, pełnego knajpek i kiosków z jedzeniem.

- Dokąd idziemy? - zapytała Tracey.

- Do Kolonaki - wyjaśnił Mark. - To niedaleko stąd. Powinno ci się tam podobać.

Droga prowadziła lekko pod górę. Kiedy pokonali wzniesienie, oczom Tracey ukazały się zupełnie inne Ateny - bogate i wytworne, z modnymi butikami i antykwariatami. Widok samego skweru sprawił ją w osłupienie. W ulicznych kawiarniach, ciągnących się na długość dobrych dwóch kwartałów, setki ludzi siedziały przy stolikach osłoniętych ogromnymi markizami. Od głównej alei pod kątem prostym odchodziło mnóstwo uliczek, przy których mieściły się ekskluzywne sklepy i restauracje.

- Mój Boże - powiedziała - nigdy jeszcze nie widziałam czegoś podobnego!

- Wspaniały widok, prawda? - zapytał Mark. - Niemal wszyscy atencjacy tu przychodzą, żeby zobaczyć znajomych i samemu się pokazać. Każdego popołudnia i wieczorem, jeśli tylko pogoda dopisze, zbierają się tu tłumy.

- To mi wygląda na bogatą wersję Plaki - zauważyła Tracey. - Tylko bez turystów i sklepów specjalnie dla nich.

- Tu rzeczywiście nie zagląдают cudzoziemcy, chyba że zamierzają kupić jakiś drobiazg od Prady albo Gucciego - zgodził się Mark. - Tędy - dodał, wskazując przejście między kawiarnianymi ogródkami.

Ekskluzywne sklepy i lokale ciągnęły się dosłownie jeden przy drugim. Piękne drzewa, niektóre oplecione sznurami małych, białych lampek, i egzotyczne rośliny sprawiały wrażenie niemal ogrodu. Goście siedzieli pod parasolami, na każdym stoliku stały świece, a z otwartych drzwi restauracji napływały niezwykłe aromaty.

- To cudowne miejsce - zachwyciła się Tracey. - Prawdziwa kraina fantazji.

- Cieszę się, że ci się podoba - odrzekł Mark. - Rzeczywiście jest jedyne w swoim rodzaju. A oto nasz cel.

Postmodernistyczna restauracja była niezwykle elegancka, cała w marmurach, egzotycznym drewnie, szkle i mosiądzu.

- Kuchnia jest włoska - powiedział Mark. - Mam nadzieję, że ci się tu spodoba.

- Wygląda wspaniale - zapewniła go Tracey.

Wskazano im stolik na zewnątrz. Mark zamówił butelkę szampana Veuve Cliquot, potem oboje wzięli sałatę i spaghetti z owocami morza, z doskonałym winem, a na deser tiramisu i espresso. Najpierw rozmawiali o obejrzanych zabytkach, ale w miarę jak robiło się coraz ciemniej, ich rozmowa nabierała bardziej osobistego charakteru. Mark opowiadał o planach związanych ze swoją agencją literacką. Widać było, że pracuje naprawdę ciężko i z wielkim zaangażowaniem. Zapytał też, co Tracey będzie robiła po wyjeździe z Grecji.

- Nie jestem jeszcze pewna - odrzekła, ucieszona jego zainteresowaniem. - Oczywiście wrócę do Miami. Znajdę sobie pracę. Może uda mi się wrócić do mojej dawnej stacji telewizyjnej.

- A co z pisaniem? - zagadnął Mark. - Nie powinnaś rezygnować. Jesteś zbyt dobra. Jako ghostwriterka też jesteś świetna.

- Cieszę się, że we mnie wierzysz - powiedziała Tracey. - To dla mnie wiele znaczy.

- Kiedy to prawda. - Popatrzył jej prosto w oczy. - A co z resztą twojego życia? Domyślam się, że jesteś z kimś związana.

Na moment uciekła spojrzeniem w bok, ale zaraz ponownie zwróciła na niego oczy.

- Ja... byłam... Ale teraz już nie. - Potrząsnęła głową.

- Co się stało? - indagował. - A może jestem zbyt ciekawy?

- Nie, wcale. - Wzruszyła ramionami. - Mówiąc najprościej, okazało się, że spotykał się również z inną kobietą, więc zerwałam.

- Czy nadal jest ci przykro? - zapytał łagodnie.

- Tak, chyba tak. Trochę. Najbardziej boli fakt, że mnie oszukiwał.

Zdecydowała się opowiedzieć mu wszystko. Mark siedział wyprostowany, z uwagą chłonąc każde słowo.

- Myślę, że najtrudniejszą rzeczą, jaka mnie teraz czeka, jest nauczyć się znowu ufać sobie - wyznała na końcu. - Moim własnym poglądom i sądom. Jak mogłam dać się tak nabrać?

- Gdybym potrafił odpowiedzieć na to pytanie, byłbym miliarderem. - Mark westchnął. - Kiedy Kochamy albo nam się wydaje, że Kochamy, wierzymy we wszystko.

- Bez zastrzeżeń - dodała Tracey.

- Ale nie możesz pozwolić, by tamta historia wpłynęła na twoje poczucie własnej wartości - ciągnął. - Myślę, że jak na swój wiek, masz zdumiewający instynkt i dojrzałość.

Tracey się roześmiała.

- To urocze, co mówisz, ale nadal czuję się jak idiotka.

- Na twoim miejscu też bym się tak czuł. - Mark zawtórował jej śmiechem.

Zapłacił rachunek i powoli ruszyli w stronę pensjonatu. Na jednej z bocznych, zatłoczonych uliczek w pobliżu skweru Syntagma ktoś potracił Tracey, tak że straciła równowagę. Mark chwycił ją, zanim upadła.

- Mam cię - powiedział. - Mam cię i nie puszcę. - Mówił żartobliwym tonem, ale na jego twarzy malowała się powaga.

Nie wrywała się, zadowolona z uścisku jego silnego, muskularnego ramienia. Po chwili początkowego zakłopotania gest Marka wydał jej się najbardziej naturalny i właściwy.

Po powrocie do hotelu zatrzymali się pod drzwiami jej sypialni. Teraz znalazła się w jego mocnym uścisku, do którego tęskniła poprzedniej nocy. Popatrzyła prosto w ciemne oczy Marka, wiedząc, że pragnie mieć go przy sobie przez całą noc. Mark pochylił się, czule pocałował ją w usta i mocniej przytulił do siebie. Oddała mu pocałunek, oszołomiona jego męskim zapachem i dotykiem mocnego, opalonego ciała.

Przyciągnął ją jeszcze bliżej i pocałował ponownie. Jego dłonie powoli przesuwają się po jej ciele, wreszcie dotarły do zwartych, zaokrąglonych pośladków, pogładziły je delikatnie i przycisnęły.

Tracey cofnęła się odrobinę, wzdychając z rozkoszy. Mark musnął wargami jej ucho i szyję, pieszcząc jedwabistą skórę swoim oddechem.

- Robimy widowisko w korytarzu - szepnęła Tracey.

- To znaczy, że musimy wejść do środka, prawda? - odrzekł. - Przecież nie chcemy nikogo zgorszyć. - Uśmiechnął się do niej.

- Nie - zgodziła się Tracey. - Z całą pewnością nie chcemy nikogo zgorszyć. - Niechętnie uwolniła się z jego objęć i sięgnęła kluczem do zamka.

- Ja to zrobię - powiedział Mark.

Wręczyła mu klucz, a Mark otworzył drzwi i przepuścił ją przodem. Wszedł tuż za nią. Zamknął drzwi, odwrócił się i ponownie chwycił ją w objęcia. Z wargami na jej wargach przeszedł z nią do drugiego pokoju. Przy łóżku zatrzymał się i jeszcze raz przycisnął ją do siebie. Jego dłonie wśliznęły się pod sweter Tracey i powoli wędrowały po jej nagim ciele.

Kiedy poczuła jego palce na piersiach, zabrakło jej tchu.

- Mmm - wymruczał Mark - pozwól mi się rozebrać.

Tracey odsunęła się nieco, a wtedy zdjął jej sweter przez głowę i rozpiął stanik. Cisnąwszy jedno i drugie na krzesło, zatrzymał się, chłonąc widok nagiego ciała dziewczyny. Przesunął po piersiach palcami, a potem ujął je w obie dłonie i gładził sutki.

Tracey omal nie osunęła się na ziemię, czując tę delikatną pieśczoć. Ogarnęło ją podniecenie, tak silne, jakiego nie zaznała nigdy przedtem. Wsunęła ręce pod sweter Marka, pragnąc poczuć dłońmi jego nagą skórę.

Mark szybko ściągnął sweter, który opadł bezszelestnie na dywan, i znowu przygarnął ją do siebie. Żar bijący od jego ciała wprowadził Tracey w upojenie. Mark pochylił się i ucałował rowek między jej piersiami. Jego język powędrował niżej, najpierw do jednego sutka, potem do drugiego.

Objęła go, drżąc z podniecenia. Mark zaczął się szarpać z jej spodniami, rozpięła je więc szybko i zsunęła z ud. Kiedy opadły na podłogę, wyszła z nich i zdjęła figi. Mark także zrzucił spodnie i bokserki.

Nadzy stanęli naprzeciwko siebie, pieścąc i poznając swoje ciała, dopóki Mark ponownie nie zamknął Tracey w ramionach, mocno tuląc ją do siebie i podobnie jak ona drżąc z rozkoszy. Położył ją na łóżku i sam opadł obok. Jego dłonie wędrowały po ciele Tracey w górę i w dół, zatrzymując się na piersiach i gładząc je, by zaraz potem przesunąć się niżej, na wzgórek między udami.

Czując jego dotyk w tym najintymniejszym miejscu, Tracey ponownie zadrżała z pożądania i teraz jej dłonie wyciągnęły się ku niemu. Kiedy zaczęła go pieścić, kiedy jej palce zamknęły się na jego członku, usłyszała, jak Mark gwałtownie wciąga powietrze.

Opadł na nią, pragnąc, by ich ciała jak najprędzej stały się jednym. Całując ją z pasją, zanurzał się w niej wolno, ze wszystkich sił powstrzymując chęć gwałtownego wtargnięcia, tak by rozkosz mogła trwać jak najdłużej.

Tracey jęknęła i uniosła biodra, pragnąc zagarnąć z niego jak najwięcej i zamknąć w swoim rozpalonym wnętrzu. Pragnęła osiąść go całego, w sercu, w duszy; jej ciało wyrывało się ku niemu.

Czując jej pożądanie, Mark nie dał rady kontrolować się dłużej. Zaczął poruszać się coraz szybciej, a każde jej drgnienie rozpalało go coraz bardziej. Wreszcie pogрузzył się w niej bez reszty. Jęczała i wiła się pod nim, aż eksplodował w niej z całą mocą. Jej ciałem szarpnął nagły spazm, gdy fala spełnienia ogarnęła ich oboje.

Leżał na niej, okrywając jej twarz i szyję pocałunkami i oddychając ciężko, a Tracey z całej siły przyciskała go do siebie, myśląc, że nigdy nie zapomni tej chwili. W końcu Mark zsunął się na bok, zamykając ją w ramionach i leżeli tak, spoglądając sobie w oczy, dopóki nie zaczęli oddychać normalnym rytmem.

- To... to było cudowne - wykrztusił, gładząc ją po plecach - wspaniale...

- Tak - wyszeptała Tracey. - Nigdy przedtem nie doświadczyłam niczego podobnego.

To prawda. Do tej pory nigdy nie doznała miłości fizycznej, która przyniosłaby jej tak wszechogarniającą rozkosz.

Przez chwilę rozmawiali o wszystkim i o niczym, śmiejąc się, pełni zachwytu, że odnaleźli się w końcu, opowiadając o z wolna narastającej wzajemnej fascynacji jeszcze na Santorynie, a jednocześnie tęskniąc już do chwili, kiedy będą się kochać ponownie.

- Chyba powinienem w końcu pójść przynajmniej po szczoteczkę do zębów - powiedział w pewnej chwili Mark. - To znaczy, jeśli pozwolisz mi zostać na noc. - W jego oczach pojawił się figlarny błysk.

- Na ten temat nic mi nie wiadomo - zażartowała Tracey. - Postawienie twojej szczoteczki tuż obok mojej jakoś dziwnie kojarzy mi się z zaanektowaniem terytorium.

Mark popatrzył jej prosto w oczy.

- Bo tak jest - oznajmił łagodnym, ale zdecydowanym tonem. Po tych słowach Tracey poczuła falę dumy, radości i miłości - tak, miłości ogarniającej ją całą. On naprawdę tak uważa, pomyślała w zachwycie.

Mark przygarnął ją mocniej i pocałował, a ona zareagowała natychmiast. W chwilę później znowu się kochali, i tak przez całą noc.

Mark nigdy nie poszedł do swojego pokoju po szczoteczkę do zębów.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Miami, Floryda

- Nikogo nie ma. - Cliff odwrócił się do Briana Biggsa III. - Zresztą mówiłem ci, że ta dziwka w ogóle się tu nie pokazuje.

Przed chwilą nacisnął dzwonek u drzwi domu na Coconut Grove i próbował je otworzyć, ale nie weszli do środka.

- Pozamykane na cztery spusty - ciągnął. - Mnie się wydaje, że nikt tu nie mieszka, przynajmniej chwilowo.

- Naprawdę tak uważasz? - zapytał Brian.

- Jasne - kiwnął głową Cliff. - Zasłony pozaciągane, pozamykane okiennice, żadnych oznak życia. Raz widziałem tu jakąś laskę, ale to na pewno nie była ta suka. Zajrzała tu na chwilę.

Siedzieli teraz w samochodzie zaparkowanym po ocienionej stronie ulicy, w pobliżu domu. Brian niecierpliwie uderzał rękami w kierownicę.

- Kurwa - rzucił, uruchamiając silnik - może jest w pracy.

- Może - zgodził się Cliff - ale nawet jeśli tak, nie wygląda mi, żeby wracała tu na noc.

- Dowiemy się. - Brian wyjechał samochodem na ulicę. - Wpadniemy do telewizji i zapytamy.

Pokonał labirynt zaułków Coconut Grove i znalazł się na głównej drodze. Prowadził, uważając na ruch uliczny, od czasu do czasu jednak rzucał baczne spojrzenie na swojego towarzysza. Wyglądał tak niepozornie, że bez trudu rozpląnąłby się w tłumie, pomyślał Brian. Nikt by go nie zidentyfikował. Waga przeciętna, ciuchy przeciętne, wszystko przeciętne, łącznie z tym pieprzonym imieniem. Cliff. Cliff jaki? - zaczął się zastanawiać. Może nawet nie jest to jego prawdziwe imię, ale wołał nie pytać. Wcale nie był pewien, czy chce wiedzieć.

Domyślał się, że właśnie ta niepozorność przynajmniej częściowo zadecydowała o sukcesie Cliffa jako płatnego mordercy. Facet nie ubierał się ani szpanersko, ani tak, żeby przestraszyć, nie wyglądał groźnie czy złowrogo. W niczym nie przypominał potężnych, umięśnionych ochroniarzy, dorabiających sobie na boku w charakterze zabijaków, ani żyłastych, drobnych maniaków, którzy umieli w ułamku sekundy sprzątnąć człowieka. Cliff absolutnie nie kojarzył się z płatnym zabójcą; miał wygląd zwyczajnego faceta z sąsiedztwa i właśnie dlatego Brian wynajął go do usunięcia starego Sullivana. Niepozorna aparycja plus długa lista sukcesów na koncie.

To, że Cliff jest taki zwyczajny i w niczym nie wygląda na twardziela, trochę Briana dziwiło i jednocześnie wzbudzało w nim lekki przestrah. Brian wiedział, miał na to dowody, że Cliff jest prawdziwym fachowcem, z niejednym skalpem u pasa. Sam w jego obecności zawsze trochę nadrabiał miną, udając prawdziwego *macho*, żeby pokazać, co potrafi, i zademonstrować, że nie jest jakimś tam zwyczajnym, nadzianym chłystkiem, którego stać na wynajęcie faceta od brudnej roboty, choć w rzeczywistości nim właśnie był.

Zjechał na parking przed stacją telewizyjną i wyłączył silnik. Wsiadłszy z auta, pochylił się do okna od strony swego towarzysza.

- Ty zostań w samochodzie - polecił. - To mój teren i wiem, jak się tu obracać. Poradzę sobie, zwłaszcza że sporo osób mnie tutaj zna. Zwłaszcza lasek. - Mrugnął znacząco.
- Większość z nich leci na mnie.

Cliff roześmiał się szczekliwie.

- Jak się ciebie posłucha, to wychodzi, że na ciebie lecą wszystkie laski w Miami.

Co za dupek, pomyślał.

Brian napuszył się, pozując na prawdziwego twardziela. Kiedy jednak kilka minut później wracał do samochodu, jego ruchy utraciły nieco zamaszystości, a z miny swego zleceniodawcy Cliff łatwo mógł się domyślić, że misja zakończyła się niepowodzeniem.

Brian wsiadł do auta i z całej siły zatrzaskał drzwi.

- Kurwa - zaklął - czy dasz wiarę, że ona już tu nie pracuje?

- Powiedzieli, dokąd wyjechała?

- Nie, żadnego adresu, nic.

Z piskiem opon wyjechał z parkingu.

- Co teraz? - zapytał Cliff.

- Teraz złożymy wizytę jej najlepszej przyjaciółce - oznajmił Brian. - Ta kubańska suka nazywa się Maribel. Nie przepada za mną, ale sprawdzimy, co wie. Bo jeśli ktokolwiek wie, gdzie jest Tracey, to właśnie ona. O ile zechce nam powiedzieć.

Cliff strzelił palcami i uśmiechnął się ponuro.

- Nie ma sprawy. Ta Maribel? Z prawdziwą rozkoszą skłonię ją do mówienia.

Maribel uchyliła drzwi. Zdziwiła się, widząc za nimi obcego mężczyznę.

- Tak? - zapytała, spoglądając na niepozornego intruza bez specjalnego zainteresowania, gotowa w każdej chwili zatrzaskać mu drzwi przed nosem, gdyby okazał się komiwojażerem albo kimś w tym rodzaju.

- Muszę z panią pomówić - zaczął nieznajomy. - O Tracey Sullivan.

Maribel poczuła, że brakuje jej tchu. O mój Boże, czyżby Tracey spotkało coś złego?

- Coś się stało? - zapytała. - Czy z Tracey wszystko w porządku?

- Czy mogę wejść do środka? - zapytał. - To... to raczej sprawa osobista.

- Proszę mi natychmiast powiedzieć, co z Tracey - zażądała Maribel.

- Nic jej nie jest - uspokoił ją. - Chodzi o coś zupełnie innego. - Niby przypadkiem włożył stopę między skrzydło drzwi a futrynę, uniemożliwiając Maribel ich zamknięcie. - Po prostu muszę się dowiedzieć, gdzie ona jest.

Przed oczami dziewczyny pojawił się teraz uśmiechnięty Brian.

- Cześć, Maribel - powiedział. - Naprawdę musimy znaleźć Tracey. - Wzruszył ramionami. - To raczej ważne.

Natychmiast się zjeżyła, a jej wewnętrzne czujniki zaczęły dzwonić na alarm.

- Po co ci ona, gnojku?

- Dziwka - warknął Brian.

Cliff zjeżył się, słysząc sarkastyczny, napastliwy ton dziewczyny, uznał jednak, że łatwiej wydobędzie z niej informacje, jeśli rozegra tę sprawę na zimno, wykorzystując osobisty dar przekonywania.

- Uspokój się - powiedział do Briana, po czym ponownie zwrócił się do Maribel. - Mam z nią do omówienia kilka spraw czysto prywatnych - wyjaśnił łagodnie. - Rozumie pani, kwestie damsko - - męskie.

Maribel zmierzyła go od stóp do głów. Tracey na pewno nie ma nic wspólnego z tym palantem, pomyślała. Poza tym, gdyby Tracey go znała, ja znałabym go także albo przynajmniej wiedziałabym o nim wszystko.

Powoli pokręciła głową.

- Tracey pana nie zna, a ja nic panu nie powiem. - Rzuciła gniewne spojrzenie w kierunku Briana. - A panu, panie Biggs, nie powiedziałabym nawet, która godzina. - Zaczęła zamykać drzwi, ale w tym momencie Cliff wepchnął się do korytarza, omal jej nie przewracając. - Co ty wyprawiasz, do cholery?! - krzyknęła.

Za Cliffem do środka wszedł Brian i - kompletnie ignorując Maribel - zaczął rozglądać się wokół, szukając jakichś wskazówek co do miejsca pobytu Tracey, choć właściwie nie miał pojęcia, czego tak naprawdę wypatruje.

Cliff przypatrywał się Maribel z całkowitą obojętnością.

- Możemy to załatwić albo łagodnie, albo z użyciem siły - odezwał się. - Ja chcę wiedzieć, gdzie jest Tracey Sullivan, a ty mi to powiesz.

Maribel popatrzyła na niego ostro.

- A co ty sobie, gnojku, wyobrażasz, że kim właściwie jesteś? Nic ci nie powiem - rzuciła buntowniczo.

Cliff nadal nie spuszczał z niej wzroku. Twarz poczerwieniała mu lekko, dłonie zacisnęły się w pięści. Z przyjemnością dołoży tej dziwce, jeśli będzie musiał.

- Miałem nadzieję, że załatwimy to po dobroci, ale widzę, że wolisz siłą.

Bez najmniejszego ostrzeżenia jego ręka zatoczyła łuk i z głośnym plaśnięciem wylądowała na policzku Maribel, omal nie zwalając dziewczyny z nóg.

Na jej krzyk Brian się odwrócił. Maribel odzyskała równowagę i odruchowo uniosła rękę, osłaniając twarz.

- Ty... ty pieprzony gnojku - warknęła - nie powiem ci ani... Ręka Cliffa wystartowała ponownie, tym razem uderzając w drugi policzek. W oczach Maribel ukazały się łzy. Zatoczyła się, omal nie upadając, chwyciła się czegoś i dotknęła twarzy. Na jej dłoni pojawiła się krew z rozbitego nosa.

- Hej, zaczekaj! - zawołał Brian do Cliffa. - Popatrz tylko, co tutaj mamy. - Pomachał niewielką żółtą karteczką samoprzylepną.

- Co to takiego? - zainteresował się Cliff.

- Ty draniu! - wrzasnęła Maribel. Rzuciła się na Briana, wyciągając rękę po karteczkę.
- Oddawaj!

Brian się roześmiał.

- Numer telefonu Tracey. W Grecji. Co ona, u diabła, może robić w Grecji?

- Pieprzyć to - skwitował Cliff. - Zmywamy się.

Brian wyjął portfel i z przesadną ostrożnością umieścił w nim karteczkę, odgrywając na użytek dziewczyny cały spektakl.

- Do zobaczenia, Maribel - powiedział.

- Idź do diabła - warknęła szyderczo.

Kiedy wyszli, zamknęła drzwi na zamek i oparła się o nie ciężko. *Por Dios*, pomyślała w panice. Muszę natychmiast skontaktować się z Tracey.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Santoryn, Grecja

Mark i Tracey wrócili do willi Uranii uśmiechnięci i promienni, mimo zmęczenia po całym dniu zwiedzania i nocy wypełnionej miłością aż po wczesny ranek, kiedy odlatywał ich samolot.

Nie wyobrażam sobie, aby cokolwiek mogło zepsuć mi to szczęście, pomyślała Tracey, idąc w kierunku schodów na taras. A jeśli Urania po powrocie zacznie coś podejrzewać, nie mam najmniejszego zamiaru się tym przejmować.

Mark też nie zwracał sobie głowy Uranią. W rozmowach prawie jej nie wspominał.

Jednak widok Marii Stefanou, która wkroczyła na taras i zmierzyła ich lodowatym spojrzeniem, sprawił, że uśmiech zniknął z twarzy Tracey niczym zdmuchnięty. Gospodyni gotowała się ze złości i gdy tylko znaleźli się oboje u podnóża schodów, natychmiast przypuściła atak, z furią zwracając się do Marka.

- Madame dzwoniła do pana kilkakrotnie. Pagerem też pana wzywała. Mnie również pan nie odpowiadał i chciałabym wiedzieć, dlaczego.

- Ponieważ zostawiłem tutaj pager i telefon komórkowy - odpowiedział Mark z całkowitym spokojem. Na jego twarzy pojawił się cierpki wyraz.

Gospodyni zaatakowała teraz Tracey.

- A pani? Do pani również dzwoniłam i również bezskutecznie. Czy nie wyraziłam się wystarczająco jasno, że przez cały czas ma pani nosić przy sobie pager?

Tracey zaczerwieniła się w poczuciu winy. Kiedy Mark wyrzucał jej pager do śmieci, nie zaprotestowała, a nawet patrzyła na to z ulgą.

- Ja... ja obawiam się, że musiałam go gdzieś zapodziać. Tamta spoglądała na nią podejrzliwie.

- Zachowała się pani w najwyższym stopniu nieodpowiedzialnie. - Westchnęła z irytacją i ponownie przeniosła wzrok na Marka. - Proszę natychmiast skontaktować się z madame.

- Dziękuję pani - odpowiedział spokojnie. - Zrobię to, kiedy się rozpakuję. - Skinął głową, przelotnie dotknął dłonią pleców Tracey i skierował się ku drzwiom.

- Najlepiej będzie, jeśli pójde się odświeżyć, a potem od razu przystąpię do pracy - uznała Tracey.

- A ja natychmiast skontaktuję się z madame - oznajmił Mark, naśladowując gniewny ton gospodyni.

Roześmiali się beztrasko. Mark przyciągnął Tracey do siebie i pocałował.

- Zjemy razem lunch?

- Bardzo bym chciała.

- No to do zobaczenia później.

Odwróciła się i zaczęła iść po schodach prowadzących do wiatraka, z trudem ukrywając nowo odnalezione szczęście. W pokoju wszystko wydawało się w porządku. Szybko wypakowała rzeczy z torby, przebrała się w wygodne szorty i t - shirt i pobiegła do gabinetu. Telefon, który zadzwonił w jakiś czas później, wyrwał ją z intensywnej pracy nad maszynopisem. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że siedzi nad nim już dwie godziny. Podniosła słuchawkę.

- Cześć, tu Mark.

- Cześć. - Uśmiechnęła się mimowolnie.

- Jak idzie? - zapytał Mark.

- Wyśmienicie - odrzekła. - Kiedy Urania nie przerywa mi co chwilę, od razu posunęłam sprawę do przodu.

- Świetnie. Nadal chcesz zjeść ze mną lunch przy basenie?

- Jasne.

- No to za kwadrans, dobrze?

- Dobrze - powiedziała, odkładając słuchawkę. Takiej okazji nie przepuściłabym za nic w świecie, pomyślała.

Zapisała w komputerze zmiany i poszła do łazienki umyć twarz i ręce. Spojrzawszy na swoje odbicie w lustrze, umalowała wargi, nałożyła na policzki odrobinę różu i przeczesła włosy. W wiatraku stanęła przed otwartą szafą, żeby wybrać bluzkę. Żadnego zwyczajnego t - shirtu, pomyślała. Zdecydowała się na prostą, ale elegancką białą koszulę, którą dało się wsunąć w szorty.

Chlapani się w basenie, wzbijając fontanny wody i śmiejąc się radośnie, kiedy na taras uroczystości wkroczyła Urania, obciążona torbami pełnymi łupów z wyprawy do Hongkongu. Stavros, który odbierał ją z lotniska, tym razem musiał wziąć taksówkę, żeby pomieścić ogromne walizy i inne pakunki. Teraz pojawił się na tarasie w ślad za gwiazdą, złożył swój ogromny ładunek, po czym zawrócił na parking po następne paczki. Maria zaczęła wnosić rzeczy do środka, podczas gdy Urania - istne zjawisko w liliowych jedwabkach, diamentach i

w liliowych sandałkach na niebotycznych obcasach - zstępowała po schodach prowadzących na taras z basenem. U podnóża schodów przystanąła, zapalając papierosa.

Spostrzegłszy ją, Mark i Tracey natychmiast umilkli, reagując niczym przyłapani na niedozwolonej zabawie dzieci.

- Cześć! - zawołał Mark do aktorki.

Tracey podniosła na nią wzrok, po raz kolejny zaskoczona bezsprzeczną urodą i czarem tej kobiety.

- Witaj w domu - powiedziała.

- No, no, no - zaczęła gardłowo Urania, z głośnym stukotem obcasów podchodząc do basenu. Zatrzymała się przy samej krawędzi, ściągnęła okulary przeciwsłoneczne i uśmiechnęła z przesadną słodyczą. - Stara prawda, kochani, że myszy tańczą, kiedy kota nie czują.

- Bawiliśmy się świetnie - przyznał Mark. - A jak się udała twoja wyprawa?

- To była praca. - W głosie aktorki pojawiły się nutki gniewu, jaskrawoczerwone wargi wykrzywiły się niebezpiecznie. - Coś, do czego w tym towarzystwie chyba tylko ja przywykłam.

- Posłuchaj, Uranio... - zaczął Mark, wychodząc z basenu. Woda spływała po jego silnym, opalonym ciele, więc sięgnął po ręcznik kąpielowy.

- To ty posłuchaj - ze złością przerwała mu gwiazda. - Najlepiej będzie, jeśli utniemy sobie małą pogawędkę w moim apartamencie, i to zaraz. - Odwróciła się w stronę Tracey. - A pani, pani Sullivan, czy nie powinna pani teraz siedzieć przy biurku i pracować na swoje wynagrodzenie?

Tracey wygramoliła się za Markiem na brzeg basenu i owinęła ręcznikiem kąpielowym.

- Ja właśnie...

- Przepraszam, Tracey - wpadł jej w słowo Mark. Odwrócił się do Uranii. - Tracey pracowała bardzo sumiennie. Podczas twojej nieobecności zrobiła naprawdę dużo. Na pewno nie spędzała całych godzin, pluskając się w basenie.

- Porozmawiamy u mnie - warknęła Urania. Rzuciła niedopałek na taras, po czym odwróciła się i weszła do środka, gniewnie stukając obcasami.

- Przykro mi, że tak się rozzłościła - powiedziała Tracey.

- Trudno - odrzekł Mark. - Nie jest to ani moja wina, ani twoja. Pójdę za nią i spróbuję ją ugłaskać. - Pochylił się i pocałował Tracey. - Zobaczymy się później.

- To na razie - pożegnała go, lekko zaskoczona, że ją pocałował, chociaż Urania już wróciła.

- Nic się nie martw. Wiem, jak z nią postępować - rzucił jeszcze Mark, znikając w drzwiach.

Tracey zabrała okulary przeciwsłoneczne i książkę, włożyła sandały i ruszyła w stronę wiatraka. Mijając zewnętrzne schody, nie mogła nie usłyszeć dobiegającego ze środka podniesionego głosu Uranii.

Kiedy znalazła się na schodach prowadzących bezpośrednio do wiatraka, zatrzymało ją wołanie Marii Stefanou.

- Pani Sullivan!

Tracey odwróciła się w stronę wzburzonej kobiety.

- Tak? - zapytała.

- Proponuję, żeby skupiła się pani na swoich obowiązkach - zaczęła gospodyni. - Pani zdenerwowała madame, a to niedopuszczalne.

- Przykro mi, że madame jest wzburzona - odparła Tracey - ale nie jestem jej niewolnicą. Pani niewolnicą także nie. - Odwróciła się, zostawiając panią Stefanou wpatrującą się w nią osłupiałym wzrokiem.

Nie dam jej się obrażać, powiedziała do siebie. Uranii też nie. Uświadomiła sobie z dumą, że coraz silniejsza więź łącząca ją z Markiem dodała jej pewności siebie. Jednocześnie zaczęła się zastanawiać, jak wszystko ułoży się teraz, kiedy aktorka wróciła. Zobaczymy, pomyślała. Na razie najlepiej będzie, jeśli solidnie popracuję do kolacji.

Urania zapaliła papierosa i cisnęła złotą zapalniczką, która z cichym stuknięciem wylądowała na niewielkim stoliku. Wydmuchując dym, spojrzała na Marka, który stał w otwartych drzwiach na taras i wpatrywał się w kalderę. Nadal był tylko w kąpielówkach, w pasie miał zawiązany ręcznik kąpielowy.

- Kochanie, nie chciałam cię zdenerwować - zaczęła niemal przepraszająco aktorka - ale ten wyjazd okazał się bardzo stresujący. Zaharowywałam się na śmierć, żeby zarobić jakieś grosze, i co zastałam po powrocie do domu? Ciebie i tę małą, zabawiających się w basenie niczym para młodych kochanków.

Mark odwrócił się od drzwi i spojrzał na rozciągniętą na sofie gwiazdę.

- Dlaczego wyrażasz się o niej w tak obraźliwy sposób?

- Oho, od razu stajemy w jej obronie. - Głos Uranii ociekał sarkazmem.

- Obrażając ją, zachowujesz się tak, jakbyś była zazdrosna i pełna urazy - ciągnął - a to ci z pewnością nie dodaje uroku.

Urania popatrzyła na swoje starannie wymanikiowane paznokcie, pociągnięte lakierem idealnie dobranym do pomadki na wargach. Westchnęła ciężko i ponownie przeniosła wzrok na Marka.

- A może i jestem zazdrosna - odparła. - Ona jest młoda... i powiedzmy. .. niebrzydka, a ty wydajesz się nią mocno zainteresowany. - Zaciągnęła się papierosem, po czym zgasiła go w popielniczce.

- Posłuchaj, Uranio - w lekko podniesionym głosie Marka pojawiły się nutki irytacji. - Odkąd zostałem twoim agentem, zawsze udzielałem ci moralnego wsparcia. Emocjonalnego także. Czyniłem wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc w karierze pisarskiej. - Urwał, kiedy poruszyła się na sofie, i ciągnął już łagodniej: - Obiecałem, że cię nie zostawię, i mówiłem serio. Ale to nie oznacza, że masz mnie na własność.

Urania roześmiała się, lecz w jej śmiechu nie było wesołości.

- Nie uważam cię za swoją własność, kochanie, więc nie odbieraj tego w ten sposób. Przecież to jasne, że gdybym tak sądziła, nie zostawiłabym cię tu samego, żebyś zabawiał się z tą...

Mark jęknął głośno.

- Widzę, że ta dyskusja donikąd nas nie zaprowadzi - oświadczył z rozdrażnieniem. - Najlepiej zrobię, wynosząc się stąd. W Los Angeles czeka na mnie mnóstwo roboty. Zostawię was same, żebyście mogły dokończyć waszą pracę. Obiecałem, że zaczekam tylko do twojego powrotu.

- Och, Mark, nie! - Urania zerwała się na równe nogi. - Kochanie, nie możesz, po prostu nie możesz mi tego zrobić. Co ja bez ciebie pocznę? - Kurczowo złapała go za ramię. - Mark, proszę. Bez ciebie będę tu taka samotna.

- To nieprawda - odpowiedział spokojnie. - Masz Marię. Masz Stavrosa i Iliki. Tracey też tu zostaje, bez względu na to, czy ją lubisz czy nie. Może beze mnie szybciej wam pójdzie praca.

- O Boże! - Do oczu Uranii napłynęły łzy. - Jak ja... jak ja sobie poradzę?

- Dasz sobie radę - odrzekł Mark - jestem tego pewien. Siadaj, a ja zrobię nam drinki.

Podszedł do niskiego stolika z alkoholami, ze srebrnego wiaderka nabrał lodu do dwóch szklaneczek, nalał dwie spore porcje whisky i dodał odrobinę toniku. Zamieszał energicznie i podał drinka Uranii.

- Och, dziękuję - powiedziała słabym głosem. Zanim odstawiła szklaneczkę na stół, wypila szybko długi łyk, a zaraz po nim drugi.

Mark usiadł na krześle, zwrócony twarzą do aktorki.

- Uranio, tak naprawdę będzie najlepiej - powiedział spokojnie. - Zresztą nie wyjeżdżam na dłużej. Ostatnio mocno zaniedbywałem swoje sprawy i teraz muszę się nimi zająć.

- Ale... przecież jest poczta elektroniczna, faks, telefon. Żeby pilnować interesów, nie musisz tkwić w Los Angeles czy w Nowym Jorku. Nie, ty po prostu posługujesz się pracą jako wymówką, bo chcesz wyjechać.

Potrząsnął głową.

- To nieprawda. Jest kilka spraw, które muszę załatwić osobiście. Na przykład spotkania z wydawcami w Nowym Jorku.

Natychmiast mu przerwała.

- Nonsens. Julia mogła przylecieć z Nowego Jorku na spotkanie ze mną aż tutaj, prawda? Dlaczego więc ty musisz jechać do Nowego Jorku?

- Ty nie jesteś zwykłą pisarką - tłumaczył. - Wydawca mógł się pofatygować do ciebie przez pół globu ziemskiego, ponieważ w grę wchodzi wielomilionowy kontrakt i ty sama. Ale z większością autorów tak się nie postępuje. Muszę spotkać się z wydawcami w imieniu moich klientów. Poza tym w Los Angeles czekają na mnie jeszcze inne sprawy. Nowe propozycje od pisarzy, spotkania z producentami, tego typu rzeczy.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego nie możesz załatwić wszystkiego stąd - upierała się jak dziecko.

- Uranio, bądź rozsądna. Wiesz, że ja w żaden sposób nie próbowałbym ingerować w twoją karierę i takiego samego profesjonalnego podejścia oczekuję od ciebie.

Aktorka wypila kolejny łyk whisky. Przez chwilę wpatrywała się w szklaneczkę, pograżona w myślach, wreszcie odwróciła się do Marka. Jej mocno umalowana twarz przybrała wyraz wielkiej powagi.

- Masz rację - powiedziała w końcu. - Zachowałam się samolubnie, ale widzisz, kochanie, będę tu taka samotna.

- Przecież czeka cię mnóstwo roboty. Tracey znacznie wyprzedziła cię z poprawkami, więc będziesz musiała to nadgonić.

Nie umknął jego uwagi grymas niesmaku na twarzy Uranii.

- No tak, pani Sullivan rzeczywiście zdaje się działać bardzo szybko. Co tylko czyni moją pracę podwójnie trudną.

- Może - odrzekł Mark. - Ale nie zapominaj, jak ważne jest, aby książka przemawiała twoim głosem - dodał, chcąc poprawić jej humor. Wiedział, że głównym zarzutem aktorki

wobec Tracey było, że po wprowadzonych zmianach książka przestała przemawiać głosem Uranii.

- O tak - łaskawie zgodziła się gwiazda. - To rzeczywiście sprawa nadrzędna. O pani Sullivan możesz myśleć, co chcesz, że jest nie wiadomo jak cudowna, ale ona sama tego nie dokona. To ja muszę mieć baczenie na wszystko.

- No, już lepiej - powiedział Mark, klepiąc Uranie po ramieniu. Nakryła jego dłoń swoją i przycisnęła mocno.

- Ale nie wyjedziesz na długo, prawda? - zaszcebiotała.

- Wrócę tak szybko, jak tylko będę mógł - obiecał. - Ale naprawdę nie wiem, ile czasu zajmie mi to wszystko.

- Proszę, spróbuj uporać się z pracą jak najszybciej. Będzie mi ciebie bardzo brakowało...

Przez chwilę pożałował, że nie może jej powiedzieć tego samego, byłoby to jednak nieprawdą, a nie chciał kłamać.

- Moja nieobecność naprawdę nie potrwa długo. Pójdę zadzwonić w sprawie rezerwacji. - Wstał i poklepał ją po dłoni. - Z pewnością chciałabyś odpocząć po podróży.

- O tak - przyznała Urania. - Myślę, że po południu spróbuję się przespać.

Mark pochylił się i lekko pocałował ją w czoło.

- Wypoczywaj - powiedział. - Zobaczymy się przy obiedzie.

Pośpiesznie opuścił apartament gwiazdy i ruszył do swojego pokoju. Wziął prysznic, przebrał się, spakował, zarezerwował bilet na lot do Nowego Jorku, a potem, po trzech dniach, do Los Angeles. Uporawszy się z tym, poszedł załatwić ostatnią sprawę przed odjazdem.

Tracey siedziała przy komputerze, pisząc pospiesznie. Włosy, jak zwykle kiedy pracowała, upięła na czubku głowy w węzeł, z którego sterczało pod różnymi kątami kilka ołówków. Była tak skoncentrowana na pracy, że kiedy Mark otworzył drzwi, zastukawszy w nie uprzednio, aż podskoczyła na krześle.

- Nie chciałem cię przestraszyć. Odwróciła się z uśmiechem.

- Przecież nie przestraszyłeś mnie tak naprawdę. Po prostu przebywałam w zupełnie innym świecie.

Mark położył ręce na jej ramionach, pochylił się i pocałował ją. Odpowiedziała mu natychmiast, gdyż jego ciepłe wargi stanowiły bardziej niż upragniony odpoczynek od tego, czym musiały zajmować się ręce.

- Mmm - mruknęła między jednym pocałunkiem a drugim - właśnie wzięłeś prysznic.

- Skąd wiedziałaś? - wyszeptał, błędząc wargami po jej szyi.
 - Bo pachniesz tak pięknie.
 - Ty też - powiedział. - Kocham twoje perfumy.
 - Przecież nie używam żadnych.
 - Wiem. Po prostu sama pachniesz pięknie. Nie mogła się nie roześmiać.
 - To słodkie, co mówisz, ale nie jestem pewna, czy mam ci do końca wierzyć.
- Mark uśmiechnął się do niej.
- Czy mogę ci ukraść parę minut? - zapytał. - Muszę ci coś powiedzieć.
 - Jasne. Oddam wszystko za chwilę przerwy. Przysunął sobie krzesło i usiadł.
 - Jutro lecę do Nowego Jorku, a potem do Los Angeles.
 - Praca wzywa - dokończyła. Myśl o wyjeździe Marka sprawiła jej przykrość, ale

Tracey nie chciała okazywać mu swojego rozczarowania.

Przytaknął.

- Owszem. Nie wiem, na jak długo jadę, ale będzie mi ciebie brakowało. Naprawdę.
- Mnie również - odrzekła. - To... to było takie cudowne.
- To wróci - zapewnił. Spojrzał jej prosto w oczy. - Czy mógłbym dziś wieczorem przyjść do ciebie? Chciałbym spędzić z tobą ostatnią noc przed wyjazdem.
- Ja... ja też tego pragnę - przyznała - ale popatrzmy realistycznie. Czy nie sądzisz, że byłoby rozsądniej nie narażać się na gniew Uranii przed twoim wyjazdem?
- Nie chcę jej rozgniewać - odparł Mark - ale Urania będzie musiała pogodzić się z tym, że jesteśmy razem. Zresztą zachowamy się dyskretnie, prawda?

Tracey poczuła, że jej głowa sama przytakuje, a wargi wypowiadają słowo „tak”, zupełnie jakby jakaś zewnętrzna siła przejęła kontrolę nad jej decyzjami.

Wszystko, pomyślała, wszystko, by móc spędzić tę noc w jego ramionach, poczuć jego ciało tuż przy swoim i kochać się z nim, zanim odjedzie.

Kiedy późnym wieczorem Mark pojawił się w pokoju Tracey, miał ze sobą niewielki pakiecik.

- Co to jest? - zapytała, zachwycona małą, pięknie opakowaną paczuszką.
- Coś, co kupiłem dla ciebie wkrótce po twoim przyjeździe.
- I czekałeś tyle czasu, żeby mi to ofiarować?
- Czekałem na odpowiedni moment. Nie otworzysz?
- Oczywiście, już otwieram. - Tracey szybko rozwiązała wstążeczkę i rozerwała papier. Kiedy uniosła wieczko małego pudełeczka, wydała okrzyk radości. - Och, Mark, jakie śliczne. Naprawdę śliczne.

Uniosła do światła rzeźbione w metalu paciorki od uroku.

- Będę je nosiła jak bransoletkę, chociaż w Grecji zwykle mężczyźni tak je noszą. Zawsze ich się widzi z tymi koralikami.

- Zauważyłem, jak cię to fascynowało w Atenach - powiedział Mark. - Miałem nadzieję, że ci się spodobają, nawet jeśli są to takie najtańsze, z kiosku z pamiątkami.

Pocałowała go, dziękując za prezent.

- Są piękne i zaraz je włożę. - Dwukrotnie owinęła sobie paciorki wokół nadgarstka i podniosła rękę, żeby zobaczyć efekt. Bransoletka zsunęła się odrobinę. - Widzisz, w ten sposób pięknie się układają, a te metalowe wisiorki na końcu ślicznie się kołyszą.

- Piękne - powtórzył. - Tak jak ty. Pocałowała go ponownie.

- Muszę to zobaczyć. - Podniosła się, podeszła do lustra na toaletce i przyjrzała się swojej ręce. - Cudowne - powiedziała, odwracając się do Marka. - Nigdy nie zdejmę tych paciorków, nawet jeśli nie nauczę się używać ich w ten sam sposób co tutejsi mężczyźni.

- To dobrze - odpowiedział Mark - będą cię chronić od złego podczas mojej nieobecności. - Wstał, wziął ją w ramiona i pocałował czule. Potem odsunął się i popatrzył jej prosto w oczy. - Kocham cię, Tracey.

Chyba nigdy jej się nie znudzi słuchanie tych słów.

- Ja też cię kocham, Mark.

Znowu ją pocałował, tym razem bardziej namiętnie. Powędrował ustami do jej szyi i uszu, delikatnie niczym piórko muskając skórę, pieszcząc ją językiem. Tracey jęknęła z rozkoszy. Mark gładził ją po plecach i pośladkach. Przycisnął ją do siebie i zaczął pieścić jej piersi, nagie pod t - shirtem.

- Rozbierzmy się - wyszeptał jej wprost do ucha.

Tracey również pragnęła się rozebrać, nawet jeśli oznaczało to opuszczenie jego mocnych ramion.

Mark pomógł jej ściągnąć przez głowę t - shirt, potem rozwiązał sznureczek szortów. Wstrzymał oddech, spoglądając z zachwytem, kiedy stanęła przed nim całkiem naga. Kopnięciem zrzucił z nóg buty, potem szybko zdjął koszulę i spodnie. Kiedy ściągał bokserki, jego członek wyprężył się dumnie. Tracey zamknęła wokół niego palce, rozkoszując się namiętnym westchnieniem, jakie wyrwało się z ust kochanka.

- Chodźmy do łóżka - powiedział, ujmując ją za rękę.

Tracey położyła się na wznak i zaraz przewróciła na bok, kiedy wsunął się obok niej. Jego ręce zaczęły błędzić łagodnie po jej ciele, gładząc miękką skórę, wargi sączyły słodycz jej ust, a potem zniżyły się ku piersiom.

Przytuliła się do niego, wędrując ręką w dół. Kiedy ponownie go odnalazła, poczuła nagły przypływ pożądania, górujący nad wcześniejszym pragnieniem, by wszystko odbyło się jak najwolniej, by noc rozkoszy trwała tak długo, jak to tylko możliwe.

- Mark, proszę. Pragnę poczuć cię w sobie. Teraz.

Podniósł głowę znad jej piersi, uśmiechnął się i łagodnym ruchem przewrócił ją na plecy. Jęknęła głośno, poddając się jego głodnym ustom. Zdawało jej się, że zaraz będzie po wszystkim, ale zanim to nastąpiło, Mark opadł na kolana, szeroko rozsunął jej nogi i wszedł w nią delikatnie.

Tracey przywitała go drzeniem, doznając rozkoszy większej niż kiedykolwiek przedtem. Mark poruszał się w niej wolno i rytmicznie, a ona wychodziła mu naprzeciw, pragnąc go niczym najsilniejszego z narkotyków. Kiedy przyspieszył, uniosła biodra, czując zbliżające się spełnienie.

Wargi Marką nakryły jej usta, a ramiona objęły ją jeszcze silniej. Teraz napierał z całej mocy. Wykrzyczała coś bezradnie, poddając mu się całkowicie i kołysząc na fali orgazmu. Z ostatnim pchnięciem ciało Marka naprężyło się, gdy jęknął i eksplodował wewnątrz niej.

Dyszeli ciężko, obejmując się nawzajem, dopóki ich oddechy nie odzyskały dawnego rytmu.

- Och, Tracey - wyszeptał Mark - kocham cię, kocham, kocham. Kocham cię z całych sił.

- Ja też cię kocham - odrzekła, uśmiechając się w zachwycie. - Jestem najszczęśliwszą kobietą pod słońcem.

- Czuję dokładnie to samo - powiedział, ściskając ją mocniej. - Prawie nie mogę uwierzyć w to, co mnie spotkało. Że trafiłem na kogoś takiego jak ty.

Te słowa napełniły ją prawdziwym zachwytem. Zaczęła się zastanawiać, czy ktokolwiek na ziemi przeżywał kiedyś aż tak wielką miłość.

- Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Wydaje mi się... och, czuję się tak, jakby nigdy nic nie mogło stanąć pomiędzy nami. Jakby nic nigdy nie mogło nas rozdzielić.

- Bo tak będzie, jak długo będziemy razem - zapewnił ją. - Nic nas nie rozdzieli. Nasza miłość jest zbyt potężna.

Przytulili się mocno, niezdolni oderwać się od siebie, dopóki oboje nie zapadli w mocny, głęboki sen.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Urania spoglądała na Tracey, opierając się o framugę otwartych drzwi. W dłoni trzymała zapalonego papierosa, a z jej karminowych warg ulatywały kłęby dymu wprost pod sufit. Tracey słyszała jej kroki, więc kiedy aktorka nie weszła do środka ani się nie odezwała, dziewczyna zwróciła ku niej głowę.

- Cześć - powiedziała - chciałaś coś?

Urania podeszła do krzesła, usiadła, wzięła wielką, kryształową popielniczkę, przeznaczoną specjalnie dla niej i postawiła sobie na kolanach.

Oho, pomyślała Tracey, znowu się zaczyna. Wszystko, żeby oderwać mnie od pracy. Odkąd Mark wyjechał, zrobiła naprawdę sporo i to bez jakiegokolwiek pomocy ze strony swej pracodawczyni, gdyż gwiazda potrafiła wyłącznie przeszkadzać, a podczas jego nieobecności zdarzało się to coraz częściej.

No, teraz jej się oberwie. Może nawet Urania ją wyrzuci. Nigdy przedtem nie widziała jej tak spokojnej i zamyślonej, uznała więc, że nie wróży to niczego dobrego. Może to przez te ostatnie, zbyt radykalne zmiany w maszynopisie?

- Ja... ja chciałam... - zaczęła gwiazda z wahaniem, jękając się niemal. Zgasiała papierosa w popielniczce i przez chwilę patrzyła na swoje paznokcie. Kiedy znowu podniosła oczy, Tracey wydawało się, że na twarzy aktorki dostrzega wyraz zakłopotania.

Urania westchnęła głośno.

- Chciałam zapytać - wykrztusiła z siebie wreszcie - czy zjadłabyś ze mną kolację dziś wieczorem.

Tracey zaniemówiła ze zdumienia. Przez dłuższą chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Ja... ja byłabym zachwycona.

Wargi Uranii ułożyły się w niepewny, trochę nerwowy uśmiech.

- Myślę, że najwyższy czas poznać się bliżej - powiedziała, odzyskując panowanie nad sobą. - Nie sądzisz, że to śmieszne, mieszkać pod jednym dachem, pracować nad jedną książką i nic o sobie nie wiedzieć?

- Owszem - zgodziła się Tracey.

- Wiem, że czasami bywam nieznośna - ciągnęła - ale ta powieść wiele dla mnie znaczy, stąd moje przewrażliwienie. Ponadto kiedy tu przyjechałaś, byłaś dla mnie kimś

zupełnie obcym, więc się denerwowałam. A... - Jej głos załamał się nagle. Wstała pospiesznie. - No dobrze, porozmawiamy przy kolacji, zgoda?

- Z przyjemnością - odrzekła Tracey. Przynajmniej taką mam nadzieję, dodała w myślach.

- W takim razie zostawiam cię z twoją pracą - zakończyła Urania wesoło. - Spotkamy się wieczorem na tarasie.

- Dobrze. - Tracey odprowadziła gwiazdę wzrokiem. Mój Boże, pomyślała, czyżby kolejny cud?

Co ją naszło? Podniesiona na duchu zachowaniem Uranii, zaczęła rozważać rozmaite warianty. A może ona naprawdę chce mnie bliżej poznać? Może nawet zaprzyjaźnić się ze mną?

Wróciła myślami do całego tygodnia, jaki upłynął od wyjazdu Marka. Zakładała, że jego nieobecność nie wpłynie na jej stosunki z Uranią, i tak rzeczywiście było, tyle tylko, że aktorka przeszkadzała jej teraz znacznie częściej.

Tracey niemal całe dni spędzała w gabinecie. Podczas przerw na lunch i na obiad rozmawiała z Iliki i te krótkie pogawędki stanowiły dosłownie jedyny jej kontakt ze światem. Widywała również Marię Stefanou i Stavrosa, kręcących się po domu i zajętych swoimi obowiązkami, ale rzadko otrzymywała od nich coś więcej poza przelotnym spojrzeniem i skinieniem głowy.

Pod koniec każdego dnia oddawała Uranii plik poprawionych stron albo zostawiała je na biurku w jej gabinecie, żeby gwiazda mogła je przejrzeć, kiedy przyjdzie jej ochota. Następnego dnia, jeszcze przed lunchem, aktorka nieodmiennie pojawiała się w pokoju Tracey, ciskała poznaczone uwagami kartki na stół, po czym odwracała się i wychodziła, rzucając kilka miażdżących słów krytyki.

Kartki były całe upstrzone czerwonymi adnotacjami, Tracey jednak postanowiła nigdy nie kłócić się z Uranią, chyba że któraś z nowych poprawek okazywała się kompletnie bezsensowna. Podczas omawiania punktów spornych gwiazda nie przyjmowała żadnych argumentów. Kwestionowała pomysły Tracey, upierała się, że wszystko ma być tak, jak ona sobie tego życzy, po czym wypadła z pokoju.

Zadzwoił telefon. Tracey podniosła słuchawkę już po drugim dzwonku.

- Halo - rzuciła obojętnie.

- Zgadnij, kto mówi?

- Mark! - zawołała. - Tak się cieszę, że dzwonicz.

- Tęsknię do ciebie - powiedział. - Nawet nie uwierzysz, jak bardzo.

- Ja też tęsknię - wyznała. - Nie mogę się już doczekać, kiedy będziesz z powrotem.
- Już niedługo - obiecał. - Uwinę się ze wszystkim jak najprędzej i zaraz wracam. Nie znam jeszcze dokładnej daty, ale gdy tylko będę wiedział, dam ci znać.
- To wspaniale - odrzekła Tracey. - Jak tam w pracy, wszystko w porządku?
- U mnie tak, a u ciebie?
- Idzie mi jak z płatką. Ale zgadnij, co się stało. - Co takiego?
- Nie uwierzysz. Urania zaproponowała mi wspólną kolację dziś wieczorem.
- Świetnie. Tylko miej się na baczności.
- Sądzę, że dam sobie radę.
- Na pewno - odparł Mark - ale ja nie potrafię przestać martwić się o ciebie. Urania to pijawka. Może wyssać z ciebie całą żywotność.

Tracey się roześmiała.

- To bardzo obrazowe porównanie.
- Do diabła! - rzucił Mark. - Dzwoni drugi telefon, muszę odebrać. Porozmawiamy wkrótce. - Urwał. - I... Tracey?
- Tak?
- Kocham cię.
- Ja też cię kocham.

Odwiesiła słuchawkę i przez chwilę powtarzała w myślach jego ostatnie słowa. Chwilami ta miłość wydawała jej się tak nierealna, a jednocześnie przynosiła tak potrzebną pociechę. Choć podczas jego nieobecności praca szybko postępowała naprzód, Tracey odczuwała coraz większą samotność. Tęsknota za Markiem przerodziła się w dojmujący ból, uczucie nieznanne jej do tej pory. Na jego telefony czekała z największą niecierpliwością. Mark dzwonił już kilkakrotnie. Zawsze zamieniał najpierw kilka słów z Uranią, jeśli była akurat w domu, a potem prosił Tracey. Te rozmowy ratowały jej życie, ale przecież nie mogły zastąpić jego obecności.

No i proszę, pomyślała, mieszkam na przepięknej, baśniowej wyspie, mam pracę, za którą niejeden pisarz dałby się posiekać, a bez Marka nie mogę być tu szczęśliwa. Wieczorami najczęściej szła do łóżka zaraz po kolacji. Trochę czytała, czasami przez godzinkę oglądała telewizję, bardziej żeby usłyszeć ludzkie głosy niż z jakiegokolwiek innego powodu. Poza mury posiadłości wypuszczała się rzadko, gromadząc energię na kolejny dzień pracy.

A teraz to. Telefon od Marka i zaproszenie na kolację od Uranii. Wprost płonęła z ciekawości, o czym pragnie porozmawiać jej pracodawczyni. Na razie jednak skupiła się na maszynopisie i reszta dnia upłynęła jej niepostrzeżenie.

Cliff nienawidził Santorynu. Nienawidził upału i wilgoci w powietrzu. Całkiem jak w Miami, tylko jeszcze gorzej, powtarzał sobie w myślach. Nienawidził jedzenia. Same paskudztwa. Za dużo dziwnych sosów i ostrych przypraw, za dużo obrzydliwych rybich oczu, spoglądających na człowieka z talerza. Nienawidził ludzi, a mieszkańców wyspy nie znosił jeszcze bardziej niż natrętnych turystów. Banda warta tyle samo co najgorsze szumowiny w Miami. Nic dziwnego, że tylu Greków mieszkało w Nowym Jorku. Doskonale tam pasowali. Arogancy, skąpi, trudni do wykołowania. Poza tym od żadnego z nich nie dało się wydobyć żadnej informacji. Nawet jeśli mówili po angielsku - a większość z nich mówiła - człowiek nie wycisnął z nich więcej niż odpowiedź na pytanie, która godzina.

Nienawidził więc Santorynu, a jeszcze bardziej Oii. W życiu tyle się nie nachodził co tutaj teraz, śledząc tę sukę. W górę i w dół, w górę i w dół, cały czas w tym cholernym upale, który chyba nigdy nie słabł. I nie mógł nawet jeździć samochodem, gdyż żadne auta nie miały wstępu do wioski.

A już nade wszystko nienawidził domu, w którym ta suka mieszkała. Na stromo opadającym zboczu. Za murami. Brama zamknięta na cztery spusty. Na górze wzdłuż całej kretyńskiej drogi nie było ani jednego dogodnego cholernego miejsca, z którego mógłby obserwować willę, nie będąc otoczonym przez bandę turystów i miejscowych. Zresztą z zewnątrz i tak właściwie nie można było dostrzec, co się dzieje za murami. Udało mu się jedynie zauważyć srebrzysty błysk basenu, co napełniło go jeszcze większą wściekłością, ponieważ tam, gdzie mieszkał, basenu nie było. Zresztą w całej tej pieprzonej wiosce nie widział chyba ani jednego basenu.

Ale i tak zobaczył wystarczająco dużo, by uznać, że w środku nie powinien mieć specjalnych kłopotów. Ta dwójka służących nie stanowiła żadnego zagrożenia. Facet był pewnie tak głupi, na jakiego wyglądał, a skoro tak, to nie starczyłoby mu nawet sprytu, żeby schować się przed deszczem. O ile na tej przeklętej przez Boga wyspie w ogóle padały jakieś deszcze! A zresztą nic nie wskazywało na to, żeby dziewczyna i tamtych dwoje wychodzili gdzieś razem. Z tą kłepą, która kiedyś grywała w filmach, też załatwi się bez trudu. Worek kości i w dodatku stara. W każdej chwili może się potknąć na schodach, w tych swoich idiotycznych butach na obcasie, i skrócić kark. Jedno mocniejsze pchnięcie, gdyby się napatoczyła, i stare próchno przejdzie do historii.

Cliff uśmiechnął się z satysfakcją. Musi tylko obserwować i czekać, aż zapadnie zmrok. Jeszcze dzisiaj zakradnie się na teren posiadłości i sprawdzi, jak wygląda dom, gdzie kto się obraca i któredy najłatwiej będzie uciec. Hej, a może nawet załatwi ją jeszcze dzisiejszej nocy?

Przy stoliku pojawił się kelner.

- Czy podać coś jeszcze? - Nie - burknął Cliff.

Kelner, postanowiwszy zignorować arogancki ton gościa, włożył rachunek do niewielkiej szklaneczki, którą postawił na stole. Cliff wyciągnął kartkę i rzucił na nią okiem. Cztery euro. Wyjął portfel, rozłożył tak, by tamten zauważył wypychający go plik banknotów, po czym wygrzebał z kieszeni dwie dwueuroowe monety i rzucił na stolik, gestem wskazującym, że nie ma zamiaru płacić ani centa więcej za kawę, która smakowała jak szczyzny, i za wodę całkowicie pozbawioną bąbelków.

- Dziękuję - powiedział kelner, po czym odwrócił się i odszedł. Gnojek postanowił nie pokazywać, jak bardzo jest wnerwiony, pomyślał Cliff, wstając i przeciągając się. Przeszedł na drugą stronę ulicy i zerknął w kierunku willi. Jak zwykle nic nie zobaczył. Jeszcze jedna biała chata pośród wielu innych białych chat na całej wyspie. Nie sposób stwierdzić, gdzie się kończy jedna, a zaczyna druga.

Popatrzył na zegarek. Czas złożyć raport Chłoptasiowi Biggsowi w Miami. Niech to kurcze łajno wie, co słychać w Grecji. Zwyczajna strata czasu, ale w końcu Biggs jest szefem, więc niech ma.

Ruszył w dół, niczym się nie wyróżniając spośród tłumu turystów. Sportowe buty - czy nie nosił ich teraz cały świat? Szorty khaki i koszulka polo, okulary przeciwsłoneczne i czapka baseballowa z emblematem nowojorskiej policji. Na myśl o tym ostatnim nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Czapkę kupił dzisiaj rano w Oii. Nie musiał się bać, że ktoś zapamięta podejrzenie wyglądającego gościa ze Stanów w czapce baseballowej ze znaczkiem policji, skoro połowa dzieciaków w Grecji nosiła identyczne.

Z pozostałych zakupów też był zadowolony. Mały sklepik z artykułami żelaznymi w Oii dla kogoś z jego talentami okazał się prawdziwym arsenałem. Druty, linki, przewody, noże, wszystko w ilościach znacznie przekraczających jego potrzeby. Nie chciał podróżować z bronią ani z czymkolwiek, co służba ochrony lotniska mogłaby uznać za broń, a poza tym kompletnie nie miał pojęcia, w jakim terenie przyjdzie mu działać. Gdyby wiedział od początku to, co teraz, nie przejmowałby się wcale. Na tej wyspie broń nie była w ogóle potrzebna. Wystarczy samo ukształtowanie terenu; betonowe i marmurowe schody, kaldera głębokości trzystu metrów.

Uznał jednak, że podoba mu się pewien cienki, żyłkowany przewód, i postanowił zawrzeć z nim bliższą znajomość.

W osłonach płonęły świece, chronione od wiatru wiejącego znad kaldery i oświetlające stół zastawiony najpiękniejszą porcelaną, ciężkimi, wypolerowanymi srebrami i lśniącymi kryształami. Grube, białe, lniane serwetki były idealnie wykrochmalone i wyprasowane.

Urania wystroiła się tak, jakby na kolacji miał się pojawić najważniejszy z dyrektorów wytwórni. Włożyła olśniewającą bluzkę z białego jedwabiu, ze złotymi aplikacjami, i haremowe szarawary. W jej uszach, na szyi i na nadgarstkach lśniły diamenty.

- Wyglądasz... bardzo ładnie - odezwała się, starannie dobierając słowa, kiedy Tracey pojawiła się przy stole. Bacznie przyjrzała się młodej kobiecie, jakby chcąc zarejestrować każdy szczegół jej wyglądu.

W białych płóciennych spodniach i granatowym swetrze Tracey czuła się przy niej jak uboga krewna, w dodatku miała świadomość, że choćby włożyła nie wiem co, i tak nie będzie wyglądała równie olśniewająco jak Urania Vickers.

- Dziękuję - odpowiedziała, śmiejąc się. - Nie przywiozłam ze sobą zbyt wielu wystrzałowych kreacji. Zresztą obawiam się, że moja garderoba jest beznadziejna. To znaczy, nie mam ani jednej rzeczy, którą można by porównać z tymi wszystkimi pięknymi strojami, jakie ty nosisz.

- Kochanie, to stanowi część mojego zawodu - odrzekła swobodnie aktorka. - Muszę się tak ubierać, gdyż wszyscy tego ode mnie oczekują. Z czasem przechodzi to w nawyk. Zresztą ja naprawdę lubię piękne stroje.

Podczas kolacji wypytywała Tracey o jej przeszłość i wyglądało na to, że naprawdę chce się czegoś dowiedzieć. Tracey odpowiadała tak szczerze, jak tylko potrafiła.

- Mężczyźni! - wykrzyknęła Urania, kiedy dziewczyna opowiedziała jej pokrótce o swoim zerwaniu z Brianem. - Podstępne węże, ukryte w trawie. Doprawdy trudno im ufać, nie sądzisz?

- Tak mi się wydaje - przyznała Tracey. - Naprawdę czasami zaczynam się zastanawiać nad trafnością swoich wyborów.

- Pewnie nadal cię to boli - zauważyła Urania.

- Niespecjalnie - odrzekła Tracey. - Z perspektywy czasu zastanawiam się nawet, czy kiedykolwiek naprawdę go kochałam.

- A, to znacznie upraszcza sprawę - skwitowała aktorka. - Z własnego doświadczenia wiem, że z mężczyznami należy być ostrożną. - Znacząco zmrużyła oko, tak że Tracey zaczęła się zastanawiać, czy tamta nie ma przypadkiem na myśli Marka.

Na szczęście gwiazda porzuciła temat mężczyzn i zaczęła komentować studia Tracey i jej pracę w telewizji.

- Dobrze jest znaleźć pracę zaraz po college'u - oświadczyła - jeśli ktoś już chce się bawić w studiowanie. Tak, kochanie, praca jest najważniejsza. Spędzenie życia w wieży z kości słoniowej uważam za stratę czasu, choć może to i daje dobre podstawy. W telewizji nie uświadczysz starych kobiet; nawet w programach informacyjnych można je policzyć na palcach jednej ręki.

Kiedy Tracey również usiłowała zapytać o coś Uranię - ostrożnie, żeby nie okazać zbyt dużego wścibstwa albo osobistego zainteresowania - gwiazda roześmiała się tylko.

- Kochanie, czyżbyś nie wiedziała? Przecież napisałam autobiografię. Nosi tytuł „Nie czas na łzy”. Znajdziesz tam wszystko, co cię interesuje na mój temat. Dam ci ją do przeczytania.

- Zrobię to z przyjemnością - zapewniła ją Tracey.

- Całkiem dobra lektura. Mnóstwo faktów o mnie, kawał prawdziwego życia. - Urania wypila łyk wina i zaczęła wyliczać. - Popatrzmy tylko: trzydzieści kilka filmów, jedno załamanie nerwowe, jeden wypadek samochodowy, w wyniku którego do dzisiaj mam kłopoty z kręgosłupem i w którym zginął mój pierwszy mąż, wieczna walka z nadwagą, problemy z alkoholem i demarolem, rehabilitacja, okresy bezrobocia i dosłownie całkowite zniknięcie z powierzchni ziemi w latach 1978 - 1983.

Akurat wtedy, kiedy się urodziłam, pomyślała Tracey.

- Mój wielki powrót w roli Delphiny Guernsey w „Sadze”, fatalne małżeństwo z Egonem Bergerem, który utonął, kiedy się rozwodziliśmy, a przedtem zażądał ode mnie alimentów. Potem seriale, filmy dla telewizji, filmy dla zagranicy, przedstawienia uliczne i kłapa na Broadwayu. I wreszcie nagrobek dla starzejącej się aktorki, występy w telewizyjnym programie „Nasz specjalny gość - gwiazda”. Na koniec niedawny pobyt w centrum Betty Ford i ostatnie fatalne małżeństwo z hazardzistą Peterem Plante'em, niezależnym producentem, który dał się zamordować w samochodzie razem z prostytutką. - Urania wypuściła kłęb dymu i popatrzyła na Tracey. - Miłe, prawda?

- Niewiarygodne - odpowiedziała dziewczyna - naprawdę niewiarygodne.

- Teraz już wiesz, dlaczego prasa brukowa ochrzciła mnie mianem „wesołej wdówki”. Bo podczas wypadku, w którym zginął mój pierwszy mąż, miałam jakoby pijana siedzieć za

kierownicą, bo byłam odpowiedzialna za utonięcie Egon, bo to ja wreszcie zleciłam podwójne morderstwo.

Tracey spoglądała na aktorkę w zdumieniu. Gdyby to mnie spotkały podobne tragedie, skończyłabym jako kompletny wrak, pomyślała. Nic dziwnego, że Urania bywa taka niemila i podejrzliwa, że zachowuje się jak królowa melodramatu.

- Jakież to złośliwe - ciągnęła Urania. - „Wesoła wdówka”, rzeczywiście! „Czarna wdowa” byłoby o wiele lepszym określeniem. Po każdym z tych nieszczęść byłam dosłownie załamana. Zdruzgotana wręcz. Przecież kochałam tych mężczyzn. Każdego z nich. Nieważne, jak nam się ułożyło w małżeństwie, jakaś część mnie nigdy nie przestała ich kochać.

- Jakie to smutne - powiedziała Tracey współczująco. - Prasa potrafi być bardzo okrutna.

- Cóż, trzeba się przyzwyczaić - oświadczyła Urania - zwłaszcza jeśli jest się sławą w świecie filmu i literatury. Dziennikarze uwielbiają rozrywać na strzępy kogoś, kto znajduje się na szczycie, a już nic nie sprawia im większej frajdy, jak kopnąć cię, kiedy lecisz w dół.

- Ale to musi naprawdę boleć, nawet jeśli wypisują nieprawdę.

- Owszem, boli - zgodziła się Urania, zapalając następnego papierosa. - Czujesz się wówczas straszliwie opuszczona i samotna, zupełnie jakby cały świat sprzymierzył się przeciw tobie.

- A czy masz dzieci? - zapytała Tracey. - Ich obecność może pomogłaby. ..

Umilkła, widząc, że Urania krzywi się, jakby coś ją rzeczywiście zabolalo. Najwyraźniej nie był to temat, na który chciałyby rozmawiać. Zaciągnęła się papierosem i spoglądała przed siebie, jakby zastanawiając się, co odpowiedzieć.

- Ja... cóż... widocznie dzieci nie były mi pisane w gwiazdach - odezwała się w końcu łagodnie i z wahaniem. I choć może tak naprawdę nie czuła wesołości, jej twarz rozjaśnił uśmiech. - Ale porozmawiajmy o czymś innym.

- Oczywiście - odrzekła śpiesznie Tracey. - Nie chciałam... Urania zbyła ją machnięciem ręki.

- Mniejsza z tym. Zauważyłam, że ostatnio naprawdę ciężko pracujesz i prawie już kończysz. Myślę, że jesteś jedną z niewielu kobiet, jakie spotkałam w życiu, równie zdyscyplinowanych jak ja.

- Przyjmuję to za komplement - powiedziała Tracey ze śmiechem.

- Bo to jest komplement. A ponieważ znacznie wyprzedzamy plan, myślę, że powinnaś odpocząć. Korzystaj z basenu, zwiedź wyspę, wybierz się na zakupy. Co chcesz.

- Dziękuję - powiedziała Tracey. - Praca tak mnie pochłonięła, że trudno mi było myśleć o czymkolwiek innym.

- Nadszedł czas, abyś zaczęła - stwierdziła Urania. - Mogłybyśmy wybrać się razem do wioski. Masz ochotę?

- Ogromną - powiedziała Tracey, lekko zdumiona tym zaproszeniem.

- No więc załatwione - oświadczyła Urania. - Choć muszę cię ostrzec, że mam w tym swój ukryty cel. Przynajmniej częściowo.

- Ukryty cel? - powtórzyła Tracey, błyskawicznie przypominając sobie obrazowe porównanie Marka.

- Owszem - wyjaśniła aktorka. - Widzisz, sama boję się wychodzić. I bynajmniej nie przerażają mnie ludzie, którzy mnie nienawidzą. Tacy, którzy wyobrażają sobie, że jestem równie nikczemna jak odgrywane przeze mnie postacie, i którzy na mój widok wykrzykują przekleństwa.

- Żartujesz - zdumiała się Tracey.

- Wcale nie. To trochę kłopotliwe, ale nic więcej. Największy strach budzą we mnie wielbiciel. Tych nic nie powstrzyma. Żeby zdobyć cokolwiek, pójdą za tobą wszędzie, będą próbowali cię dotknąć, pomacać, ściągną ci kapelusz, okulary, szal, cokolwiek. Nawet buty. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak - powiedziała Tracey. I rzeczywiście rozumiała, choć trudno jej było wyobrazić sobie to wszystko.

- Tak więc lubię mieć kogoś obok siebie - ciągnęła Urania. - Mark wyjechał, a przedtem to on zawsze był moim towarzyszem i obrońcą, więc może ty zechcesz wyjść ze mną od czasu do czasu.

- Sprawi mi to wielką radość - zapewniła ją Tracey. Towarzysz i obrońca, pomyślała jednocześnie. A więc w ten sposób Urania go teraz przedstawia. - Choć nie wiem, czy uda mi się cię ochronić - dodała.

- Och, z pewnością. Przecież Mark też nie musiał używać siły fizycznej. Po prostu stanowił coś w rodzaju bufora między mną a ludźmi.

Tracey pokiwała głową. Urania przyglądała jej się przez chwilę.

- Brakuje ci go, prawda?

- Przepraszam? - Tracey jakby nie dosłyszała ostatnich słów aktorki.

- Moja droga, ze mną nie musisz się bawić w żadne gierki - podjęła Urania. - Wiem, że ty i Mark kochacie się czy też romansujecie ze sobą. Kiedy dzwoni, zawsze ma dla mnie kilka grzecznych słów, a potem przez cały czas rozmawia z tobą.

- Ja... - Tracey zająknęła się, szukając odpowiednich słów. Zupełnie nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Nie musisz tłumaczyć się przede mną - przerwała jej Urania. - Nie zrobię ci awantury, natomiast pozwól, że cię ostrzeżę.

- Ostrzeżesz? Przed czym?

- Na twoim miejscu nie zadawałabym się z Markiem. Pomijając kontakty czysto zawodowe. Pod tym względem był dla mnie bardzo dobry i może dla ciebie również okazałby się taki. Ale jako kochanek... cóż, byłabym bardzo ostrożna. Owszem, jest porywający, do szaleństwa przystojny, ale z tego, co słyszałam, to straszny kobieciarz.

Zaskoczona Tracey wlepiła w nią wzrok. Mark bezsprzecznie był pociągający i przystojny, ale kobieciarz? Wcale nie odniosła takiego wrażenia. Zastanawiała się, czy aktorka mówi serio. Przecież, uświadomiła sobie, na temat Marka Urania pewnie wie znacznie więcej niż ja sama.

- Będę ostrożna.

- Bardzo mądrze - podsumowała Urania. - Zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy jedno pójście z kimś do łóżka może stanowić śmiertelne zagrożenie.

Znowu to samo, pomyślała Tracey. Gorzki pesymizm, który zdaje się nakładać na każdy aspekt życia tej kobiety. Aktorka mówiła prawdę, seks rzeczywiście może być niebezpieczny. Ale w jej życiu wszystko wydawało się naznaczone smutkiem, a nie radością.

Urania wstała od stołu.

- Bardzo przyjemnie mi się z tobą gawędziło, Tracey - powiedziała. - Teraz pójde jeszcze popracować. Muszę przejrzeć strony, które przygotowałeś, i zadzwonić do przyjaciół w Atenach.

- Dziękuję, Uranio. - Tracey podniosła się także. - Sprawiasz mi ogromną przyjemność.

- Ale ty, kochanie, nie musisz jeszcze iść - powiedziała aktorka. - Pooddychaj wieczornym powietrzem, popływaj, jeśli masz ochotę. Iliki sprzątnie ze stołu.

- Dziękuję, chyba rzeczywiście zostanę jeszcze chwilę - odrzekła Tracey.

Tracey odprowadziła wzrokiem Uranię - prawdziwe zjawisko w bieli - majestatycznie odpływającą w stronę wnętrza willi, po czym odwróciła się i podeszła do muru oddzielającego taras od urwiska opadającego ku kalderze, wieczorem równie tętniącej życiem jak za dnia. Przyglądała się wpływającym i wypływającym promom i wodolotom, podziwiając barwnie oświetlone statki wycieczkowe w pobliżu Firy. Wolno obeszła taras, by móc nacieszyć się tym widokiem z każdej strony. Myśli miała zaprzątnięte zadziwiającymi

wydarzeniami z życia Uranii. Kiedy znalazła się przy murze oddzielającym teren posiadłości od tajemniczej wieży w sąsiedztwie, jej rozważania przerwał głośny huk. Nagle na jej spodniach i bluzce znalazło się mnóstwo ziemi, a pod stopami zachrzęściły gliniane skorupy.

Co, u diabła?

Rozejrzała się dookoła, ale w pobliżu nie było żywego ducha. Próbowała zerknąć ponad murem. Widząc drgnięcie zasłony w jednym z okien wieży, poczuła mrowienie na ramionach i karku. Było to szybkie poruszenie materiału, równie błyskawiczne jak zwolnienie przesłony w aparacie fotograficznym, ale widziała je ponad wszelką wątpliwość. Przez chwilę stała nieruchomo, potem ostrożnie zrobiła krok do przodu. Ogromna terakotowa kadź, jedno z naczyń, w których starożytni przechowywali oliwę, leżała roztrzaskana na tarasie, wśród rozsypanej ziemi i połamanych sukulentów.

Mało brakowało, a uderzyłaby we mnie, pomyślała Tracey. Jeden krok i mogłaby mnie zabić. Kadź była ogromna. Tracey roztarte ramiona. Jezus! Jak to się mogło stać? Nie uwierzę, aby to był wypadek. Przenigdy! Ktoś celowo zepchnął ją na mnie.

Postanowiła bez zwłoki opowiedzieć o wszystkim pani Stefanou. Na razie nie chciała niepokoić Uranii.. Jeśli gospodyni odmówi zajęcia się tą sprawą, zawsze może zwrócić się jutro do aktorki. Poszła do kuchni, gdzie Maria piła kawę w towarzystwie Iliki, i opowiedziała, co zaszło.

- To niemożliwe - oświadczyła pani Stefanou opryskliwie, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie wierzy ani jednemu słowu.

- Wobec tego proszę pójść ze mną i zobaczyć skorupy - nalegała Tracey.

- Teraz piję kawę, może później.

- W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak powiadomić o wszystkim panią Vickers - oznajmiła Tracey gniewnie.

- O nie - zaprotestowała gospodyni - nie będzie pani przeszkadzała madame. - Niechętnie podniosła się z krzesła. - Proszę mi to pokazać - ustąpiła z ciężkim westchnieniem.

Tracey zaprowadziła ją na taras i pokazała ogromne, terakotowe skorupy, rozsypaną ziemię i rośliny przedtem wypełniające donicę, bezsprzeczny dowód na to, że ktoś usiłował ją zranić, a może nawet zabić.

Maria Stefanou przez moment przypatrywała się pobojuwisku.

- Pewnie wiatr strącił donicę z muru albo zrzucił ją któryś z tych paskudnych kotów.

- To niemożliwe, aby wiatr taki jak dzisiaj mógł strącić ciężką kadź - zauważyła Tracey.

- Całkiem możliwe - upierała się gospodyni.

- Nie wiem, w jaki sposób - odparła Tracey. - Donica z ziemią waży pewnie z tonę.

- Dzisiejszego wieczoru wiała silna bryza. - Pani Stefanou nie dawała za wygraną. - Podczas kolacji była pani zbyt zajęta rozmową z madame, żeby to zauważyć. - Odwróciła się na pięcie, zmierzając z powrotem do willi, ale zatrzymała się jeszcze. - Stavros posprząta ten bałagan, a pani, pani Sullivan, radzę się położyć, odpocząć nieco i zapomnieć o tym drobnym incydencie.

Tracey darowała sobie odpowiedź.

A to żmija, pomyślała. Mogłam zginać, a ona zachowuje się tak, jakby nic się nie wydarzyło!

W najwyższym stopniu wzburzona całym zajściem pobiegła do wiatraka i zatrzasnęła za sobą drzwi. To nie mógł być przypadek, że donica roztrzaskała się akurat wtedy i w tym miejscu. Zadrżała, uświadomiwszy sobie nagle, że oczy ma pełne łez.

Zdjęła buty i ubranie, które starannie odwiesiła do szafy. Kiedy ściągała bieliznę, zobaczyła nagle coś, co leżało na podłodze, a czego przedtem tam nie było.

- O mój Boże - powiedziała na głos, upuszczając figi i stanik i biegnąc ku szafie.

U jej stóp leżało oprawione w ramki zdjęcie ojca, który uśmiechał się do niej jak żywy. Tracey poczuła zimny dreszcz. Teraz dopiero zauważyła, że teczka z dokumentami też zawędrowała na podłogę. Podniosła fotografię, obejrzała ze wszystkich stron, sprawdzając, czy nie została uszkodzona, przycisnęła ją do ust, a potem starannie ustawiła na stoliku obok łóżka.

Schyliła się ponownie i podniosła teczkę. Wysypała jej zawartość na łóżko i zaczęła po kolei przeglądać papiery. Niczego nie brakuje, skonstatowała z ulgą. Włożyła dokumenty z powrotem do teczki, wstała, przysunęła krzesło do szafy i umieściła teczkę w dawnej kryjówce. Starannie obeszła cały pokój. Wydawało się, że wszystko leży na swoim miejscu.

W tym momencie przypomniała sobie o karcie otwierającej drzwi. O Boże, pomyślała. Ktokolwiek ją znalazł - a przecież mógł to być każdy - może tu wchodzić i wychodzić, kiedy tylko zechce. Nagle ogarnął ją strach.

Co tu się dzieje? Na miłość boską, kto? I dlaczego?

Pytania cisnęły się do głowy jedno po drugim.

Włożyła obszerny t - shirt, w którym tak lubiła sypiać, i wsunęła się do łóżka, od czasu do czasu spoglądając na fotografię ojca i zastanawiając się, kto wtargnął do jej pokoju i w jakim celu. Jej umysł nie potrafił uwolnić się od pytań, a im dłużej rozmyślała o wydarzeniach wieczoru, tym większy niepokój ją ogarniał.

To zaproszenie od Uranii, która natychmiast zmieniła temat, gdy tylko Tracey zaczęła mówić o dzieciach. Ta potężna donica, która mogła ją zabić, spadając z muru w pobliżu wieży, gdzie ktoś krzyczał po nocach. A teraz ktoś wszedł do wiatraka i przeszukał pokój, zostawiając na wierzchu tę jedyną rzecz, którą chciała ukryć.

Gdyby tylko Mark był tutaj, pomyślała. Przecież ja nie oszalałam, przecież to wszystko wydarzyło się naprawdę. Co więcej, chcę się dowiedzieć, co się za tym kryje. Ale jak to zrobić?

Nagle, mimo dręczących ją myśli, a może właśnie z ich powodu, ogarnęło ją ogromne zmęczenie, zupełnie jakby jej ciało i umysł jednocześnie zapragnęły zatrzasnąć się przed wszelkimi strachami. Zmusiła się, żeby wstać, umyć zęby, ochlapać twarz i zgasić światło. Znalazszy się z powrotem w wygodnym łóżku, zamknęła oczy. Dzisiejszej nocy i tak już niczego nie zwojuje. Miała nadzieję, że przynajmniej uda jej się zasnąć.

Krzyk - przerażający, udręczony krzyk, ten sam, który słyszała przedtem - rozdarł ciszę nocy. Tracey gwałtownie usiadła wyprostowana na łóżku, przyciskając ręce do piersi.

Bezszelestnie wysliznęła się z łóżka, bosy przemknęła do otwartych oszklonych drzwi i wyjrzała. Poruszone wiatrem zasłony mocno ograniczały pole widzenia, ale i tak udało jej się dostrzec fragment tarasu poniżej. Krzyk, jeszcze bardziej przerażający niż poprzednio, rozległ się ponownie. Poczula zimny dreszcz, serce podeszło jej do gardła, a z oczu popłynęły łzy. Kiedy je ocierała, usłyszała czyjeś kroki, wychyliła się więc, by lepiej widzieć. Maria Stefanou, poprzedzana strumieniem światła latarki, którą ścisnęła w dłoni, pospiesznie zmierzała ku drewnianym drzwiom w murze. Kiedy się do nich zbliżyła, do uszu Tracey doszedł szczepek przekręcanego w zamku klucza. Pani Stefanou pchnęła drzwi, które uchylili się ze skrzypieniem, i zniknęła po drugiej stronie. Nie zamknęła ich jednak, tylko przytrzymała uchylone, jednocześnie kierując światło latarki w stronę willi.

Po chwili Tracey już wiedziała, dlaczego. Przez taras pospiesznie szedł starszy mężczyzna, niosący coś, co wyglądało jak torba lekarska. Kiedy znalazł się za wrotami, Maria Stefanou zamknęła je za nim. Tracey potrząsnęła głową, jakby budząc się z koszmarne snu.

Co się dzieje za tym murem? - dręczyło ją pytanie.

Jakby w odpowiedzi, krzyk rozległ się ponownie. Tracey zeszywniała. Przerażający głos przeniknął ją na wskroś, ponownie wyciskając łzy z oczu. O mój Boże, nie zniosę tego, pomyślała. W tym wołaniu jest tyle smutku, tyle przerażenia, tyle rozpacz.

Nie potrafiła oderwać wzroku od wieży. W górnym oknie zapaliło się światło i dostrzegła, jak kilka sylwetek poruszało się tam i z powrotem. Krzyk przycichł, przechodząc w stłumiony lament, wydający się trwać całą wieczność. Tracey patrzyła i nasłuchiwała

cierpliwie, usiłując dowiedzieć się czegoś o rozgrywającej się w wieży tragedii. Jednak przez dłuższy czas nie słyszała ani nie widziała nic, nawet poruszające się w świetle sylwetki znikły, i w końcu znużyło ją czuwanie.

Wróciła do łóżka, obiecując sobie, że jutro zajmie się tą sprawą. Od Marii Stefanou z pewnością nie uda jej się nic wyciągnąć, od Stavrosa chyba także nie. Ale kolacja w towarzystwie Uranii dodała jej odwagi. Zapyta samą aktorkę. Przecież ona z pewnością musi wiedzieć, co się dzieje w wieży, i nie będzie mogła temu zaprzeczyć, skoro Tracey widziała i słyszała wszystko. Ciekawe, czy uda jej się wymyślić jakieś wytłumaczenie dla tych okropnych wrzasków. Na pewno nie. Będzie musiała powiedzieć prawdę.

scandalous

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

- Iliki, słyszałaś te krzyki ostatniej nocy? - zagadnęła Tracey młodą służącą podczas śniadania. Rozsmarowała dżem brzoskwinowy na bułce i ugryzła kawałek.

- Krzyki? - powtórzyła Iliki, a jej brązowe brwi uniosły się w wyrazie zdumienia. - Nie, pani Sullivan, niczego nie słyszałam.

Tracey popatrzyła na nią.

- Iliki, przecież musiałaś je słyszeć. Straszliwe zawodzenia z wieży obok willi. Na pewno słyszałaś, jeśli nie tej nocy, to którejs z ubiegłych.

- Och, nie - odrzekła Iliki, unikając wzroku Tracey. - Śpię w części dla służby, w samej jaskini. Tam naprawdę nic nie słyhać. Poza łazienką, mój pokój znajduje się najgłębiej w klifie.

- Nigdy też nie słyszałaś, żeby ktoś wspominał o nocnych krzykach? - naciskała Tracey.

Iliki potrząsnęła głową.

- Nie, pani Sullivan, nigdy.

Tracey nie wiedziała, czy ma jej wierzyć czy nie. Służąca wyglądała na sprytną dziewczynę i niełatwo ją było przejrzeć. Tracey podejrzewała, że Iliki poznała w swoim życiu tyle tajemnic, iż uniki stały się jej drugą naturą.

- No cóż, w takim razie zapytam madame - powiedziała, ciekawa, jak tamta zareaguje.

- Z tym będzie pani musiała poczekać - brzmiała odpowiedź Iliki. - Madame wyjechała dziś rano. Bardzo wcześnie.

- Och, nie wiesz przypadkiem, dokąd się wybrała?

- Do Firy. Pojechała odwiedzić starego doktora Eugenikosa, który leży w szpitalu.

Tracey momentalnie nastawiła uszu.

- Tak? A co mu dolega?

- Nie wiedziałam, że pani go zna. - Iliki popatrzyła na nią podejrzliwie.

- Nie znam - wyjaśniła Tracey. - Po prostu byłam ciekawa. Doktor jest pewnie starym znajomym Uranii.

- O tak. Przyjaźnią się, odkąd kupiła tę willę.

- Czy jest chory?

- Miał wypadek ostatniej nocy - wyjaśniła Iliki. - Na naszej drodze. Mieszka niedaleko stąd i ktoś go potrafił motocyklem. Pewnie któryś z tych młodych turystów. Jeżdżą jak szaleni.

- Chcesz powiedzieć, że doktor był tutaj, kiedy doszło do tego zdarzenia? - upewniła się Tracey.

- Nic takiego nie mówiłam - zaprotestowała Iliki. - Powiedziałam tylko, że mieszka niedaleko stąd.

- Och, zrozumiałam, że właśnie miał tu przyjść czy też wychodził od nas, kiedy to się stało - odrzekła szybko Tracey, zastanawiając się jednocześnie, czy dziewczyna jest z nią szczerą. - To okropne, prawda?

- Tak, to straszne - zgodziła się Greczynka. - Moim zdaniem, to kolejny dowód, że trzeba coś zrobić z tymi bezmyślnymi smarkaczami, którzy jeżdżą motorami, nie mając pojęcia o ich prowadzeniu.

Tracey dokończyła śniadanie i już miała iść do gabinetu, kiedy przypomniała sobie o skradzionej karcie do drzwi. O Boże, trzeba w końcu powiedzieć o tym gospodyni, pomyślała. Wzięła głęboki oddech i wyprostowała ramiona. Równie dobrze może załatwić sprawę od razu i mieć to z głowy. Zapytała służącą, czy nie wie, gdzie jest pani Stefanou.

Iliki się roześmiała.

- Dokładnie za panią - powiedziała.

Tracey odwróciła się gwałtownie. Gospodyni stała tuż za jej plecami i przypatrywała się jej w milczeniu. Mój Boże, pomyślała Tracey, a ta skąd się tutaj wzięła?

- Tak? - zapytała pani Stefanou. - Pani mnie szukała?

- Skradziono mi kartę do drzwi - zaczęła Tracey - więc...

- Co takiego? - wykrzyknęła pani Stefanou.

- Skradziono mi kartę - powtórzyła Tracey cierpliwie - więc chciałabym dostać drugą.

Gospodyni zmierzyła ją takim wzrokiem, jakby podejrzewała, że Tracey postradała zmysły.

- Bezmyślnie naraziła nas pani na niebezpieczeństwo - powiedziała w końcu. - Mam nadzieję, że zdaje sobie pani z tego sprawę.

- Przykro mi, ale nic na to nie poradzę, że moja karta została skradziona - tłumaczyła Tracey. - Jeszcze nigdy w życiu nie zgubiłam klucza. Ja...

- Mniejsza z tym - wyrzuciła z siebie Maria Stefanou. - Proszę zaczekać.

Wyszła z kuchni, a Tracey usiadła na krześle, czekając na jej powrót. Spojrzała na Iliki, w nadziei, że tamta okaże jej współczucie, tu się jednak pomyliła. Młoda Greczynka z dezaprobatą potrząsnęła głową.

- Madame jest bardzo sławna - pouczyła Tracey. - Ma wiele kosztowności. Na wyspie nie brak złych ludzi, jak wszędzie zresztą. A jeśli karta wpadła w ręce kogoś takiego?

Tracey poczuła ulgę, kiedy wróciła pani Stefanou z nową kartą.

- Jest - oznajmiła, wyciągając kartonik w jej kierunku, Tracey odebrała kartę z jej rąk.

- Dziękuję - powiedziała.

Gospodyni nie odezwała się już, więc Tracey wyszła z kuchni i pospieszyła na górę, do gabinetu.

Tuż przed lunchem Tracey wydrukowała stos kartek i właśnie je przeglądała, kiedy rozległo się stukanie do drzwi.

- Proszę - zawołała, nie przerywając pracy.

- Och, widzę, że jesteś zajęta - odezwała się Urania. - Czy mam powiedzieć Markowi, żeby zadzwonił później?

Tracey podniosła na nią oczy.

- Nie, odbiorę teraz.

Wargi Uranii ułożyły się w coś w rodzaju uśmiechu.

- Tak też sądziłam. Jest na pierwszej linii. Kiedy skończysz, wpadnij do mojego gabinetu. Musimy chwilę porozmawiać.

- Oczywiście - powiedziała Tracey. - To nie potrwa długo.

- Na to bym nie liczyła - skomentowała aktorka, zamykając za sobą drzwi.

Tracey przycisnęła przycisk pierwszej linii i podniosła słuchawkę.

- Mark? - Witaj.

- Słyszać cię tak, jakbyś znajdował się w drugim pokoju. Mark się roześmiał.

- Powtarzasz to, ilekroć dzwonię. Ale tym razem jesteś bliższa prawdy.

- Co masz na myśli? - zapytała.

- Jestem już bliżej ciebie. Przyleciałem do Londynu.

- Naprawdę? Czy to znaczy, że przyjedziesz tutaj?

- Dokładnie to. Mam spotkanie z wydawcą, ale może uda mi się złapać samolot do Aten jeszcze dzisiaj.

- Och, żeby ci się udało - powiedziała Tracey z ożywieniem. - Tak bardzo za tobą tęsknię.

- Ja za tobą też, więc będę się starał. Niczego nie obiecuję, ale jest szansa. Co tam u ciebie?

- Cóż... zrobiło się tu trochę... niesamowicie.

- Co masz na myśli?

- Najpierw w tajemniczy sposób z muru spadła donica, omal mnie nie zabijając.

- Co takiego? - zapytał Mark z niepokojem. - Z jakiego muru? Jak to się stało?

- Tego, który odgradza posesję Uranii od starej wieży w sąsiedztwie - wyjaśniła Tracey. - Pojęcia nie mam, jak do tego doszło. Donica ważyła tonę, tak że wiatr nie mógł jej strącić.

- A widziałaś, że ktoś kręcił się w pobliżu?

- Nikogo nie widziałam. Spacerowałam po tarasie, kiedy donica spadła dosłownie tuż obok mnie. Pojęcia nie mam, jakim sposobem zleciała. Jeszcze teraz dreszcz mnie przechodzi, kiedy o tym pomyślę. Oczywiście pani Stefanou zareagowała tak, jakby nic się nie stało.

- To dla niej typowe - skomentował Mark.

- Ale najbardziej martwi mnie, że zginęła moja karta do otwierania drzwi. Chyba mi ją skradziono.

- Niemożliwe! - wykrzyknął Mark. - Co się tam u was dzieje?

- Sama chciałabym wiedzieć - odrzekła Tracey. - Nie mam błędnego pojęcia.

- Słuchaj, Tracey - w jego głosie brzmiało prawdziwe zaniepokojenie - nie chciałbym wpadać w panikę, ale proszę, uważaj na siebie. Przyjadę najszybciej, jak będę mógł, i oboje spróbujemy wyjaśnić tę sprawę.

- Nie martw się tak bardzo. Zresztą... sama nie jestem pewna, czy te wydarzenia mają ze sobą jakiś związek. Może to tylko seria głupich przypadków albo... Naprawdę już sama nie wiem.

- Niedługo tam będę - obiecał Mark. - Jak tylko można najprędzej.

- Od razu zrobiło mi się lepiej. Nie mogę już się doczekać, kiedy cię zobaczę. Na pewno od razu wszystko się wyjaśni.

- Ja też nie mogę się doczekać. Brakuje mi ciebie. Słyszac te słowa, Tracey poczuła nagły przypływ radości.

- Ani przez chwilę nie przestaję o tobie myśleć - powiedziała.

- Muszę kończyć, skoro jeszcze dziś chcę przylecieć do ciebie. - Urwał na chwilę. - Tracey... chciałem ci jeszcze powiedzieć... Kocham cię.

Radość, którą czuła przed chwilą, była niczym w porównaniu z potężną falą szczęścia, jaka ogarnęła ją teraz.

- Ja też cię kocham, Mark.
- Do zobaczenia wkrótce.
- Do zobaczenia.

Rozłączył się. Tracey odłożyła słuchawkę na widełki. Opadła na krzesło, uśmiechając się do siebie. W myślach powtarzała ostatnie słowa Marka, rozkoszując się ich brzmieniem. W pewnej chwili przypomniała sobie, że Urania na nią czeka, więc poszła i zapukała do drzwi gabinetu.

- Proszę - zawołała gwiazda swoim zachrypniętym głosem. Tracey otworzyła drzwi i weszła do środka.

- Jak tam Mark? - zapytała aktorka, odkładając trzymane w ręku kartki i spoglądając na nią.

- W porządku - odrzekła Tracey. - Bardzo zajęty.

Tamta przyglądała jej się przez chwilę, wreszcie powiedziała:

- Zdaje się, że to coś poważniejszego. Wyglądasz podejrzanie. Jak młoda, zakochana kobieta.

Tracey poczuła, że się rumieni.

- Och, nie wiem - bąknęła, mając nadzieję, że jej pracodawczyni nie zechce drażnić tego tematu.

- Ale ja wiem - odparła Urania. - Choć mam nadzieję, że weźmiesz sobie do serca moją radę.

Tylko nie to, przemknęło przez myśl Tracey.

- A właśnie, masz nadal moją książkę? - zapytała Urania. - Moją autobiografię?

- Tak, w swoim pokoju. Potrzebna ci teraz?

- Owszem. Spotkałam sir Hugh, sąsiada. Chce ją przeczytać, więc obiecałam, że mu pożyczę. Cholerny skąpiec. Obraca milionami, ale żal mu kilku groszy na książkę.

Tracey się roześmiała.

- Zaraz przyniosę.

Poszła do wiatraka, a Urania za nią. Tracey odwróciła się do niej z książką w dłoni. Gwiazda stała obok nocnego stolika, trzymając w ręku oprawioną w ramki fotografię i wpatrując się w nią intensywnie. Tracey poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Ogarnęła ją fala paniki. Być może Urania trzymała zdjęcie swojego byłego męża... albo kochanka.

- Kto to jest? - zapytała aktorka, z oczami wciąż utkwionymi w fotografii.

- Nie wiesz? - zaryzykowała dziewczyna.

Urania potrząsnęła głową i zmierzyła Tracey zdziwionym spojrzeniem.

- Nie - powiedziała - oczywiście, że nie. Dlaczego miałabym go znać?

Tracey głęboko zaczerpnęła powietrza.

- To mój ojciec.

Urania jeszcze raz popatrzyła na fotografię, zanim odstawiła ją na stół.

- Jest... och, przepraszam, kochanie, był bardzo przystojnym mężczyzną. - Przeniosła spojrzenie ze zdjęcia na nią. - Ty masz coś z niego.

Tracey pilnie wypatrywała w twarzy wielkiej gwiazdy jakichś oznak świadczących o tym, że znała mężczyznę z fotografii i że coś przed nią ukrywa, ale nie dostrzegła niczego takiego. Cóż, w końcu to aktorka, pomyślała, potrafi grać. Kto wie? Może w tej chwili też gra, udając, że nie znała swojego ojca? Ale z drugiej strony może rzeczywiście nigdy go nie spotkała? Może mówi prawdę.

Najchętniej zebrałaby się na odwagę, zdjęła z szafy album, pokazała go Uranii i zobaczyła, jak tamta zareaguje. Może wówczas uzyskałaby odpowiedź na swoje pytania. Ale równie dobrze aktorka mogła zareagować na te dokumenty dokładnie w ten sam sposób, jak na fotografię - całkowitym opanowaniem, nieukrywaną ciekawością i nieprzeniknioną twarzą.

- Przyjmuję to za komplement - powiedziała w końcu.

- Powinnaś - odrzekła Urania. - Twój ojciec był bardzo przystojnym mężczyzną, a ty jesteś atrakcyjną młodą kobietą. - Urwała, rozglądając się za popielniczką, po czym zgasła papierosa w dekoracyjnej miseczce stojącej na toalecie. Odwróciła się do Tracey. - Bardzo go kochałaś, prawda?

- Tak - wyznała Tracey - bardzo.

- Stracić kogoś, kogo się kochało, to naprawdę ciężkie przeżycie. - W głosie gwiazdy brzmiał autentyczny smutek. - Nieważne, co nam odbiera ukochaną osobę, śmierć, rozwód czy jeszcze coś innego...

Tracey z zafascynowaniem wpatrywała się w maskę wielkiej tragiczki na twarzy Uranii. Przecież to niepodobna, aby ten głęboki żal i rozpacz były tylko grą. Sprawiały wrażenie tak prawdziwych uczuć. Jeśli Urania udawała, była lepszą aktorką, niż Tracey początkowo sądziła.

- Wiesz co - powiedziała teraz z ożywieniem, całkowicie zmieniając nastrój - porzućmy lepiej ten ponury temat.

- Właśnie - podchwyciła Tracey.

- Co byś powiedziała, gdybyśmy wybrały się do wioski na lunch? Możesz oderwać się na dłużej od biurka?

- Jasne, z przyjemnością.

- No to spotkamy się na dole za dziesięć minut - zakończyła Urania i opuściła pokój.

Tracey pospieszyła do łazienki. Szybko pomalowała usta, nałożyła odrobinę różu na policzki, przejechała szczotką po włosach i dyskretnie spryskała się perfumami. Przebrała się w lekki czarny sweter i czarne spodnie, bo przecież nie sposób było pokazać się w towarzystwie Uranii w dżinsach albo w dresie, a na nie włożyła cienki, skórzany żakiet w kolorze krzyczącej czerwieni, kupiony w ubiegłym roku na wyprzedaży w Miami, świetnie komponujący się kolorystycznie ze sportowymi butami od Prady, zaskakująco wygodnymi, a jednocześnie prezentującymi się szalenie szykownie.

Wzięła torebkę i zeszła na dół, do głównego holu, gdzie miała spotkać się z Uranią. Wracająca właśnie z tarasu Maria Stefanou zmierzyła ją spojrzeniem od góry do dołu.

- Pani gdzieś wychodzi, pani Sullivan? - zapytała.

- Tak - odparła Tracey. - Urania i ja wybieramy się do wioski na lunch.

W oczach gospodyni błysnęła złość. A może tak się tylko wydawało?

- Mam nadzieję, że nie zmęczy pani madame niepotrzebnie - powiedziała, władczo unosząc podbródek i znikając w okolicach kuchni.

Pojawiła się Urania, wyglądająca w każdym calu jak starzejąca się diwa - w czarnym kapeluszu z ogromnym rondem, turkusowych spodniach i swetrze i w butach na wysokim obcasie w tym samym kolorze. Obszerny, czarny, kaszmirowy szal miała udrapowany efektownie wokół ramion. Ciężkie, złote ozdoby w uszach, na szyi i nadgarstkach pobrzękiwały przy każdym ruchu, a wielkie okulary przeciwsłoneczne od Versacego zakrywały twarz na wypadek spotkania z wielbicielami.

- Gotowa, kochanie? - zaszczebiotała.

- Gotowa - odrzekła Tracey, myśląc jednocześnie, że w ciągu najbliższego kwadransa każdy mieszkaniec Santorynu będzie wiedział, że Urania Vickers je dzisiaj lunch w wiosce.

Przy bramie Tracey upuściła wyjętą z torebki kartę do otwierania drzwi. Kiedy się schyliła, żeby ją podnieść, kątem oka dostrzegła Marię Stefanou, spoglądającą na nią przez okno. Gospodyni wycofała się szybko. Gdyby spojrzenia potrafiły zabijać, leżałabym już martwa, pomyślała przelotnie. Dotknęła amuletu na szyi, szczęśliwa, że ochraniał ją przed diabelskim okiem, choć jednocześnie musiała się uśmiechnąć na myśl, że wierzy w podobne zabobony.

Słońce świeciło, ale dzień był chłodny, gdyż wiał silny wiatr. Turystów pozostało niewielu i niektóre sklepy miały przerwę aż do Wielkanocy.

Urania i Tracey wybrały niewielką kawiarnię z oszałamiającym widokiem na kalderę. W kącie siedział samotny, mocno opalony mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych. Kiedy Tracey popatrzyła na niego, uśmiechnął się. Samotny turysta, pomyślała. Pewnie usiłuje poderwać jakąś dziewczynę na wieczorny wypad do klubu.

Kiedy raczyły się sałatką z owocami morza, Tracey postanowiła zagadnąć Uranię o te straszliwe hałasy, które słyszała ostatniej nocy w wieży w sąsiedztwie. Oczywiście najpierw należało wybrać odpowiedni moment. Okazało się, że nie musiała czekać zbyt długo.

- Sir Hugh niebawem wyjeżdża - oznajmiła Urania. - Chyba powinnam zaprosić go przedtem do nas na obiad.

- To on nie mieszka w Oii przez cały rok? - zapytała Tracey.

- O nie, kochanie. Sir Hugh nie potrafi żyć bez słońca. Ma piękny dom na Barbadosie i jedzie tam za kilka tygodni. Wróci dopiero po Wielkanocy.

- A w Anglii też ma dom? - pytała dalej Tracey.

- Bogowie, nie! - oświadczyła Urania. - Jest wygnańcem podatkowym. W Anglii może spędzić najwyżej kilka dni w roku, a już mowy nie ma o posiadaniu tam domu.

- Nie wiedziałam - odrzekła Tracey. Po krótkiej przerwie zaś dodała: - A co z sąsiadami z drugiej strony? Czy oni także wyjeżdżają?

Urania wypila łyk wody i odstawiła szklanę. Tracey nie widziała dokładnie jej oczu, zasłoniętych ciemnymi okularami, których aktorka nie zdjęła, mimo że siedziały w pomieszczeniu, ale przysięgłaby, że dostrzega w nich błysk niepokoju, któremu towarzyszyło lekkie zeszywnienie całej sylwetki.

- Na ich temat nic nie wiem, kochanie - odrzekła w końcu gwiazda zdawkowo. - Spójrz, jaki ogromny jacht sunie po kalderze. - Wyciągnęła palec, zakończony polakierowanym na śliwkowo paznokciem. - Czy nie piękny?

Tracey popatrzyła we wskazanym kierunku i przyznała, że jacht istotnie jest piękny. Nie miała wątpliwości, że aktorka celowo zmieniła temat. Nie dam się zbyć tak łatwo, postanowiła w myślach.

- Uranio - zaczęła - nie wiem, czemu ci sąsiedzi, nie sir Hugh, tylko ci z drugiej strony, stanowią taką wielką tajemnicę, ale kilkakrotnie słyszałam dochodzące z wieży straszliwe krzyki nocami i...

Aktorka pobladła nagle. Nawet pod ciężkim makijażem w stylu teatru kabuki i mimo niewiarygodnego wprost opanowania gwiazdy, Tracey wyraźnie widziała jej bladeść. Urania

wyglądała tak, jakby nagle zobaczyła ducha. Jednak jej zdolności aktorskie szybko wzięły górę. Przerwała Tracey gwałtownie.

- Z pewnością musiałś się pomylić, kochanie - oświadczyła stanowczym tonem, marszcząc brwi nad okularami. - Być może słyszałaś wycie wiatru w jaskini.

- Na pewno nie - odparła zdeterminowana Tracey. - Słyszałam krzyki i widziałam Marię Stefanou idącą do wieży. Raz nawet towarzyszył jej jakiś mężczyzna, sądzę, że lekarz.

Przez moment Urania sprawiała wrażenie zmieszanej, ale zaraz zrobiła wyniosłą minę.

- Och, Tracey, doprawdy, ależ ty masz bujną wyobraźnię. Jeśli naprawdę coś widziałaś albo słyszałaś, to pewnie Marię, jak szła zająć się jakimś chorym kotem. Wiesz, jak...

- Maria Stefanou nienawidzi kotów - przerwała jej Tracey. - Wiem, bo Prometeusz mi powiedział. On się jej śmiertelnie boi. Drży o swojego kota, który czasami zapuszcza się na twoją posesję.

Aktorka zapaliła papierosa i wydmuchnęła dym.

- Co za wścibskie stworzenie z ciebie - oświadczyła. - Nie wiem, doprawdy, kiedy znajdujesz czas na pracę, skoro bez przerwy węszysz i szpiegujesz innych.

Tracey osłupiała. Urania najwidoczniej usiłowała wywołać w niej poczucie winy i zawstydenia. Ta kobieta jest urodzoną manipulatką, a temat nocnych krzyków najwyraźniej ją drażni. Tracey niczego się od niej nie dowiedziała, natomiast udało jej się rozżłościć swą pracodawczynię.

Opalony mężczyzna, który przedtem uśmiechnął się do niej, nadal siedział w kącie, popijając kawę. Kiedy popatrzyła w jego stronę, odwrócił wzrok. Czyżby mnie obserwował? - zastanawiała się Tracey. Nie była pewna, gdyż nosił okulary przeciwsłoneczne. Pewnie jest nieśmiały i spłoszyła go, przyłapując na podglądaniu.

W tym momencie mężczyzna podniósł się i zbliżył do ich stolika. Tracey pomyślała ze zdziwieniem, że zna tego człowieka, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, skąd.

- Czy my się znamy? Wydaje mi się, że gdzieś już pana spotkałam - zapytała.

Cała maskarada na nic, zirytował się w duchu. Ale właściwie co z tego? Tylko spokojnie. Przywołał na twarz swój najmiłszy uśmiech i wyciągnął rękę.

- Jestem Ted Riphenburg.

- Ted Riphen... - Tracey zmarszczyła brwi. Nazwisko nie było jej obce, nie pamiętała tylko, skąd je zna.

- Pani mnie nie pamięta, prawda? - powiedział z uśmiechem. Potem dodał, poważniejąc: - No cóż, właściwie miała pani powód, by wymazać mnie z pamięci.

- O mój Boże. - Przypomniała sobie nagle, kim on jest, i ujęła wyciągniętą dłoń. - Pan był świadkiem, jak mój ojciec... świadkiem tego wypadku.

- Tak mi przykro.

- Ale pan... wyglądasz teraz zupełnie inaczej. Nic dziwnego, że cię nie poznałam. - Popatrzyła na Uranię, a potem z powrotem na Teda. - To jest moja... przyjaciółka - powiedziała do niego, wskazując aktorkę. - A to jest Ted - przedstawiła go Uranii. - Był podczas... kiedy mój tata miał wypadek.

- Witam - odezwał się Ted do Uranii. Gwiazda skinęła głową, uśmiechając się zimno.

- Halo - powiedziała, po czym odwróciła się w stronę kaldery, ignorując go kompletnie.

- A gdzie tamte odlotowe ciuchy? - zapytała Tracey, starając się odciągnąć uwagę Teda od aktorka.

- Cóż, paradowanie po wyspie w mundurku klubowym South Beach okazało się niezbyt wygodne - odrzekł ze śmiechem.

Jego zachowanie też się zmieniło, pomyślała Tracey. Nic dziwnego, że go nie rozpoznałam. Tu nie tylko o ubranie chodzi, chociaż rzeczywiście jest różnica między spodniami z wężowej skóry a czapką baseballową z emblematem nowojorskiej policji. Teraz jest jakiś taki... przygaszony, już tak nie promienieje.

- Spędzasz tu wakacje, jak sądzę? - zagadnął Ted.

- Nie, właściwie to nie. Przez kilka tygodni pracuję u kogoś, kto mieszka na wyspie. - Szybko zmieniła temat. - A ty? Jesteś na wakacjach?

- Nie - wyjaśnił. - Tego lata pracuję w klubie w Firze.

Nagle Tracey poczuła zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Żołądek zacisnął jej się w węzeł.

Ted Riphenburg był w pobliżu, kiedy jej ojciec zginął zamordowany, a teraz znalazł się na Santorynie. W tym samym czasie wielka donica spadła z muru, omal jej nie zabijając, a jej karta do drzwi została skradziona. A niedawno ktoś przeszukał jej pokój. Zbyt dużo tych przypadków, by można je było zignorować. Do tego ta radykalna zmiana w jego sposobie ubierania i w zachowaniu.

Przywołała uśmiech na twarz, starając się udawać, że wszystko w porządku.

- I jak ci się podoba Santoryn?

- Bardzo. Wyspa jest przepiękna, taka... nierealna. Ludzie sympatyczni.

- Tak - zgodziła się Tracey - na pewno.

To Brian przysłał go za mną. Ta myśl uderzyła w nią jak grom. Przysłał go, żeby mnie zamordował, tak jak przedtem zamordował mojego ojca. Poczula, że drżą jej dłonie, więc szybko położyła ręce na kolanach, ukrywając je przed wzrokiem Teda.

Urania wstała raptownie, wyciągnęła z torebki garść euro i rzuciła na stół.

- Zapłać za lunch - powiedziała do Tracey. - Możesz też zaprosić na coś twojego znajomego. Ja muszę już iść, ale ty zostań, jeśli masz ochotę.

Tracey chwyciła ją za rękę i podniosła się także.

- Ależ nie - powiedziała. - Mnie też czas się zbierać. Wyjdziemy razem.

Aktorka nie mogła nie zauważyć rozpaczliwego błagania w oczach dziewczyny. Zrozumiała, że z jakiegoś powodu Tracey nie chce zostać sama z Tedem Riphenburgiem.

- W takim razie chodźmy - zdecydowała. - Miło mi było poznać pana - rzuciła w kierunku Teda.

- Mnie również - odrzekł obojętnie.

- Przykro mi, ale muszę już pędzić - pożegnała go Tracey. - Czas wracać do pracy. Może jeszcze się spotkamy.

- Mam nadzieję. - Ted się uśmiechnął. - Którego dnia moglibyśmy się wybrać na drinka.

- Świetnie - rzuciła Tracey, czując, że Urania ciągnie ją za rękę. Pomachała Tedowi, odchodząc. - Do widzenia.

- Do widzenia - pożegnał ją. - Do zobaczenia wkrótce.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Opuszczając kawiarnię, Tracey nie odważyła się spojrzeć na Teda. Urania szybkim krokiem ruszyła w kierunku willi.

- Kochanie, o co w tym wszystkim chodziło? - zapytała.

- Ja... ja po prostu go nie lubię - odrzekła Tracey. Nie chciała dzielić się z Uranią swoimi obawami. Lękała się choćby pomyśleć, jak aktorka zareagowałaby na wieść, że w pobliżu jej domu kręci się ktoś, kto może być mordercą. - Kiedyś w Miami usiłował mnie uderzyć, więc nie chcę mieć z nim nic wspólnego - skłamała.

- Mężczyźni - sarknęła gwiazda.

Kiedy jadły lunch, niebo pociemniało, nadciągnęły ciężkie, gniewne, czarne chmury i zerwał się zimny, porywisty wiatr, wznosząc tumany kurzu i żwiru. Nieliczni przechodnie pośpiesznie chronili się pod dachami, uciekając przed nadciągającą ulewą.

Tracey musiała przytrzymywać kapelusz, w obawie, że nagły powiew zdmuchnie jej go z głowy. Okularów nie zdejmowała, chroniąc oczy przed piaskiem. Kiedy mijały minimarket, ze zdumieniem zauważyła, że staruszka siedzi na swoim zwykłym miejscu przed sklepem, nie zważając na pogodę. Przesłonięte bielmem oczy odnalazły Tracey i wówczas kobieta wyraźnie się zdenerwowała, a z jej ust popłynął strumień niezrozumiałych greckich słów.

- O Boże - mruknęła Urania pod nosem - nienawidzę tej wiedźmy.

- Hej, Trace! - zawołał czyjś głos.

Odwróciła się i zobaczyła Kathy stojącą w drzwiach sklepu.

- Cześć, Kathy. - Pomachała do niej ręką.

- Było do ciebie kilka telefonów - powiedziała młoda kobieta.

Tracey odwróciła się do Uranii, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, aktorka rzuciła:

- Idź. Ja wracam do willi. Nie mogę znieść widoku tej starej czarownicy.

- Ja też zaraz wracam - odrzekła Tracey, ale Urania była już kilka kroków dalej.

Tracey weszła do sklepu, starając się nie zwracać uwagi na bełkot staruszki. Czuła, że ręce jej sztywnieją. Szybko podeszła do lady.

- Kto dzwonił? - zapytała bez tchu. Kathy wręczyła jej kawałek papieru.

- Telefonowała kilka razy. Ostatnio dosłownie kilka minut temu. Mówiła, że to bardzo ważne.

Tracey popatrzyła na kartkę. Widniał na niej numer Maribel.

- Dzięki stokrotne, Kathy - powiedziała. - Zadzwoń do niej i dowiem się, o co chodzi.

- Masz jeszcze karty telefoniczne? - zapytała właścicielka sklepu.

- Tak, mam. Najlepiej od razu pójdę do automatu, zanim zerwie się burza.

- Pospiesz się - odrzekła Kathy. - Znosi się na prawdziwą nawałnicę.

- Do zobaczenia później. Dzięki jeszcze raz.

- Nie ma za co.

Tracey skierowała się do najbliższej budki telefonicznej, włożyła kartę do aparatu i wybrała numer Maribel, myśląc jednocześnie: o Boże, żeby tylko ten łajdak nie znalazł mnie tutaj.

Na szczęście przyjaciółka odebrała zaraz po pierwszym sygnale.

- Och, *Dios mio*, tak się cieszę, że dzwonisz.

- Co się stało? - zapytała Tracey, starając się mówić swobodnie i beztrąsko.

Słuchając drżącego ze strachu i podniecenia głosu przyjaciółki, nie przestawała wpatrywać się w ulicę, w obawie, czy nie pojawi się tam nagle Ted Riphenburg.

- Dostałaś moją wiadomość? - spytała Maribel.

- Przed chwilą.

- Nie, nie tę. Telefonowałam wcześniej do willi Uranii Vickers i zostawiłam wiadomość, żebyś natychmiast oddzwoniła.

- Naprawdę? - zdumiała się Tracey. - Nie miałam pojęcia. - Owładnął ją jeszcze większy niepokój. Przyjaciółka nie posłużyłaby się numerem Uranii, gdyby nie stało się coś naprawdę ważnego. - Co... co się dzieje, Maribel?

- Och, *amiga*, wszystko. Nie chciałabym niepotrzebnie napędzać ci stracha, ale musisz to wiedzieć. Nie wiem tylko, jak...

- Maribel, ale co? - przerwała jej Tracey. - Słuchaj, zwolnij i opowiedz mi o wszystkim po kolei.

- No dobrze. Po pierwsze, to, czego byłaś taka pewna. Twój tata nie popełnił samobójstwa.

Tracey zabrakło tchu, choć przecież była o tym przekonana.

- Skąd... skąd wiesz? - zapytała, odzyskawszy głos.

- Pamiętasz tego gliniarza z wydziału przestępstw gospodarczych? Montague'a Pleasance'a? Znajomego Raya?

- Oczywiście, że pamiętam. Ale co on ma z tym wspólnego?

- Kazał zbadać samochód twojego ojca. W laboratorium policyjnym wzięli go pod lupę i okazało się, że ktoś majstrował przy akceleratorze i hamulcach. Nie wiem dokładnie, w jaki sposób, ale Ray wie. On się zna na tych sprawach. Hamulce nie działały, a akcelerator był zablokowany, rozumiesz? Samochód jechał coraz prędeziej i nie można go było zatrzymać.

Kiedy Tracey nie odpowiedziała od razu, Maribel zapytała:

- Trace, jesteś tam jeszcze? Przełknęła ślinę.

- Tak, jestem. - Zimny dreszcz przebiegł jej po krzyżu. O Jezu, pomyślała, Ted Riphenburg jest zabójcą i znajduje się kilkadziesiąt metrów ode mnie. - To oznacza morderstwo, prawda? - powiedziała.

- Właśnie, *cariña* - odparła Maribel.

Tracey poczuła ulgę, iż ojciec nie popełnił samobójstwa, choć jednocześnie świadomość, że został zamordowany, nie była dla niej zbyt wielką pociechą. Wręcz przeciwnie. Zwłaszcza jeśli przed chwilą rozmawiała z mordercą.

- Toczy się śledztwo - ciągnęła Maribel. - Oficjalnie, nie żadne tam przesłuchiwanie świadków zdarzenia, rozumiesz?

- Rozumiem - odezwała się Tracey. - Ja... ja wiedziałam, że on nie popełniłby samobójstwa, ale to... nie wiem, co powiedzieć. To straszne. - Starła się mówić spokojnie, żeby Maribel nie denerwowała się niepotrzebnie.

Przyjaciółka zawahała się przez chwilę.

- *Cariña*, jest jeszcze coś - wykrztusiła w końcu.

Tracey była tak pochłonięta przetrawianiem poprzednich informacji, że nie zareagowała na jej słowa.

- Jesteś tam, Trace? - upewniła się Maribel.

- Tak, jestem - odpowiedziała, spoglądając na czarne chmury nad kalderą i ponownie oglądając się na ulicę. - Przepraszam, zamyśliłam się nad tym, co usłyszałam od ciebie.

- Słuchaj dalej, proszę.

- Słucham.

- Brian przyszedł do mnie w towarzystwie jakiegoś gnojka. Nie mam pojęcia, co to za jeden. Pytali o ciebie.

- O mnie?

- Tak, o ciebie - podkreśliła Maribel z naciskiem. - Tamto ścierwo mnie uderzyło, żeby się dowiedzieć, gdzie jesteś, a potem Brian znalazł twój numer telefonu, przyklejony do mojego komputera.

- Co? - Tracey z wrażenia zabrakło słów. - Ale... ale...

- Słuchaj, Tracey, przykro mi, nie mogłam temu zapobiec. Ten gnojek mnie tłuł i zanim się zorientowałam, Brian zauważył twój numer.

- O Boże! - zawołała Tracey, omal nie upuszczając słuchawki. Nie potrafiła zapanować nad drzeniem rąk. - To nie twoja wina, Maribel, nie przejmuj się. Uważaj na siebie i nie martw się o mnie. Co może mi zrobić jakiś łajdak, od którego dzieli mnie pół kuli ziemskiej?

- Wiem, wiem - odrzekła przyjaciółka - ale mimo wszystko...

- Nie martw się o mnie - powtórzyła Tracey. - Tu jestem bezpieczna. - Nie chciała okłamywać Maribel, czuła jednak, że musi to zrobić. - Poza tym willa jest świetnie zabezpieczona; nie uwierzyłybyś nawet, do jakiego stopnia.

Wypowiadając te słowa, usiłowała przekonać samą siebie o ich prawdziwości, choć przecież wiedziała, że to bzdura. Przecież on już raz dostał się do willi, pomyślała.

- Jesteś pewna? - Maribel nie ustępowała. - Mnie to naprawdę niepokoi. Ten facet umie grać ostro.

- Maribel, naprawdę nie musisz się o mnie martwić - zapewniła Tracey przyjaciółkę. - To mnie jest przykro, że cię wciągnęłam w to... w to bagno.

- *Cariña*, jesteś dla mnie jak siostra - powiedziała Maribel. - Nie zapominaj o tym.

- Nie zapomnę - obiecała Tracey, czując łzy napływające do oczu. Jeszcze raz wyjrzała na ulicę. Powinna już skończyć rozmowę i wracać do willi. - Słuchaj, muszę już iść. Nadciąga burza i zaraz mnie tu złapie, jeśli się nie pośpieszę.

- Dobrze. Ale obiecaj, że będziesz ostrożna.

- Obiecuję. Naprawdę muszę już kończyć. Zadzwoń wkrótce.

- Kocham cię - powiedziała Maribel. - Proszę, zadzwoń niebawem.

- Zadzwoń - przyrzekła Tracey. - Ty wiesz, że też cię kocham. Bywaj.

- Bywaj, *cariña*.

Tracey odwiesiła słuchawkę i wyjęła kartę. Rozejrzała się szybko, czy nie widać gdzieś Riphenburga. Schowała kartę telefoniczną do torebki, wyjęła kartę do drzwi i pobiegła do bramy posiadłości. Otworzyła furtkę i w pośpiechu zaczęła pokonywać schody, ani przez chwilę nie przestając wypatrywać Teda.

Wiał tak porywisty wiatr, iż obawiała się, że ją przewróci. W pobliżu domu nie zauważyła nikogo. Rozejrzała się po tarasie z basenem. Teda ani śladu. Najchętniej przeszukałaby wszystkie pomieszczenia, ale nie chciała niepokoić Uranii. W końcu schroniła się w wiatraku i przebrała w ciepły, wygodny dres, nadal myśląc o tym, co usłyszała od

Maribel i o prawdziwych powodach obecności Teda Riphenburga na wyspie. Zerknęła na zegarek. Do obiadu pozostało jeszcze sporo czasu.

Ciekawa jestem, czy dziś wieczorem Urania też zaprosi mnie do stołu? Raczej wątpliwe, gdyż z kawiarni wyszła w nie najlepszym humorze. Chyba powinnam powiedzieć komuś o Tedzie, pomyślała przelotnie. Wiedziała jednak, że dyskusja z aktorką nie miałaby sensu. Gwiazda byłaby wściekła, że Tracey sprowadziła niebezpieczeństwo na willę.

Przez moment rozważała możliwość zatelefonowania do Marka, w końcu jednak uznała, że nie warto go denerwować niepotrzebnie. Nie teraz. Porozmawiają, kiedy przyjedzie.

Nagle poczuła, że ogarnia ją senność, a powieki same opadają.

To ten lunch, pomyślała. Jedzenie i ciepły pokój po zimnym wietrze na zewnątrz. Podeszła do drzwi i uchyliła je odrobinę, żeby wpuścić do środka świeże powietrze, ale zaraz zamknęła je pośpiesznie.

Co ja wyrabiam? Gdzieś na zewnątrz czai się morderca, a ja zostawiam mu otwarte drzwi?

Zauważyła, że na tarasie z basenem Stavros poskładał parasole, poza tym jednak nic się nie zmieniło. Odwróciła się od okna i spojrzała na łóżko. Wyglądało tak zachęcająco.

Krótką drzemka, a potem jeszcze popracuję do kolacji, postanowiła. Chyba że... przyjedzie Mark.

Uśmiechając się do tej myśli, położyła się z egzemplarzem „International Herald Tribune” w rękę. Powieki jej opadły, zanim zdążyła przeczytać choć jeden akapit.

Kiedy otworzyła oczy, otaczała ją nieprzenikniona ciemność. Wilgotny ziąb przenikał cały pokój. Na ramionach miała gęsią skórkę, na karku czuła mrowienie, a w żołądku bolesny ucisk. Łzy same napływały jej do oczu.

To ten krzyk, pomyślała przestraszona. Jeszcze bardziej rozpaczliwy i przejmujący niż poprzednio.

Przez chwilę leżała nieruchomo, sparaliżowana żalnym dźwiękiem niesionym przez wiatr, wreszcie zmusiła się do poruszenia. Zapaliła lampkę przy łóżku i popatrzyła na zegarek.

O Boże, już po północy. Przespała kolację! Wysunęła się z pościeli, podeszła do drzwi balkonowych i uchyliła je. Zastłony wydeły się jak żagle na wietrze. Zrobiło się naprawdę zimno, pomyślała.

I wtedy znowu usłyszała ten straszliwy krzyk, jeszcze głośniejszy i bardziej przerażający niż poprzednio. W jej umyśle szalały sprzeczne uczucia. Wreszcie zdecydowała

się wyjść na balkon. Wysunęła się po cichutku i spojrzała w stronę wieży po drugiej stronie muru. Za zakratowanymi oknami nie dostrzegła żadnego światła ani ruchu. Zerknęła na niższy taras, spodziewając się widoku Marii Stefanou, wyłaniającej się z willi i spieszącego za nią mężczyzny z torbą lekarską. Czekala, nie odwracając wzroku od tarasu, ale nikt się nie pojawiał.

Przeraźliwy krzyk rozległ się ponownie, przenikając przez zawrodozenie wiatru i szum listowia. Serce Tracey przyspieszyło gwałtownie, w uszach jej dudniło. Chciała uciec jak najdalej od tego przerażającego dźwięku, a jednocześnie jakaś siła kazała jej pójść i spróbować pomóc temu komuś, kto cierpiał tak okrutną mękę.

Jej oczy jeszcze raz badawczo przeszukały cały taras. Ani śladu Marii Stefanou czy doktora, żadnego poruszenia, poza falowaniem kołysanej wiatrem wody w basenie i ozdobnych roślin, gnących się w donicach.

Kolejne krzyki wycisnęły łzy z oczu Tracey. Otarła je i spojrzała w kierunku wieży. Nadal całkowita ciemność i kompletny spokój w pokoju na górze i na tarasie.

Muszę coś zrobić, zdecydowała. O swoim bezpieczeństwie nie pomyślała ani przez chwilę. Wróciła do pokoju. Nadal miała na sobie dres, ale potrzebowała jakichś butów. Sportowe, pomyślała. Podeszła do szafy, wyjęła buty i usiadła na łóżku, żeby je zasznurować.

Wstrząsający dźwięk grzmotu, chyba najgłośniejszy, jaki w życiu słyszała, rozdarł nagle powietrze. Tracey drgnęła gwałtownie. Oślepiający błysk rozświetlił pokój. Na widok cieni roztańczonych na ścianach mimo woli zadrżała.

Szybko zawiązała sznurowadła, wybiegła z pokoju i ruszyła w dół schodami. Od czego zacząć? - zastanawiała się, przystając w głównym holu. Gdzie mam iść? Wreszcie podjęła decyzję. Od samej góry, czyli w tym wypadku od Uranii. Jeśli zaprzeczy, jeśli powie, że nie ma pojęcia, co się dzieje obok, skłamię. Tak więc najpierw do niej.

Pobiegła do apartamentu aktorki i zapukała do drzwi. Nie otrzymawszy odpowiedzi, zapukała głośniej. Nadal nic. Nie czas na ceremonie, pomyślała. Szeroko otworzyła drzwi i weszła do środka. Fantazyjnie zaścielone łóżko było puste. Zajrzała do saloniku, ale tam również nikogo nie było. Spróbowała w łazience - to samo. Musiała wyjść, pewnie do sir Hugh.

No to następna w kolejce, Maria Stefanou. Już na samą myśl o tej kobiecie Tracey skrzywiła się z niechęcią, ale przecież nie miała wyboru. Opuściła apartament gwiazdy i wybiegła z powrotem na taras. Wstrząsający grzmot rozległ się niemal dokładnie nad jej głową. Przez moment stała jak wryta. Mogłaby przysiąc, że poczuła drżenie ziemi pod stopami. Przerażające zygzaki błyskawic nad kalderą rozjaśniły ciemność upiornym światłem.

Pobiegła przed siebie, do pomieszczeń dla służby, pragnąc jak najszybciej skryć się przed burzą i odszukać gospodynię. Nie traciła czasu na pukanie do głównych drzwi, tylko weszła od razu. Wiedziała, że pani Stefanou i jej matka, Stavros i Iliki mają osobne pokoje, ale dokładnego ich rozkładu nie знаła.

Niewielki korytarzyk prowadził w głąb jaskini, a po obu jego stronach znajdowały się drzwi. Zapukała do pierwszych po lewej stronie. Cisza. Zajrzała do środka. Maria Stefanou, kompletnie ubrana, leżała na wznak na łóżku. Po przeciwnej stronie pokoju, w identycznej pozycji i również w ubraniu spoczywała jej matka. Tracey jeszcze raz spojrzała na gospodynię.

Dlaczego zasnęła w ubraniu? - zdziwiła się, podchodząc do łóżka. I w takiej nienaturalnej pozycji?

- Pani Stefanou? - zawołała półgłosem.

Żadnej odpowiedzi. Leżąca nie poruszyła się nawet.

- Pani Stefanou! - zawołała głośniej. Znowu żadnej reakcji.

Tracey głęboko zaczerpnęła powietrza, stając przy pościeli.

- Co? - odruchowo podniosła dłoń do ust, tłumiąc krzyk. Pani Stefanou miała skrepowane ręce i nogi i była przywiązana do prętów łóżka. O Chryste święty, pomyślała Tracey, ona wygląda... wygląda jak martwa.

Zmusiła się, by spojrzeć w nieruchomą twarz, w poszukiwaniu oznak życia. Kątem oka zarejestrowała jakiś ruch. Pierś leżącej unosiła się regularnie, jakby pani Stefanou była pogrążona w głębokim śnie.

Tracey gwałtownie wciągnęła powietrze, omal nie krzyknąwszy głośno: och, Bogu dzięki. Pochyliła się i zaczęła szarpać śpiacą za ramię.

- Pani Stefanou! - wołała. - Pani Stefanou!

Kobieta nie odpowiadała, nie otworzyła oczu, nie wydała żadnego dźwięku. Jej bezwładne ciało poruszyło się lekko pod wpływem potrząsania. Tracey wyprostowała się, nie spuszczać z niej oczu i pocieszając się, że pani Stefanou przynajmniej oddycha. Ale co z nią jest? Nagle zrozumiała. Narkotyk. Ktoś zaaplikował pani Stefanou mocny środek usypiający. Przez chwilę jeszcze przyglądała się leżącej. Nic dziwnego, że nie zareagowała na nocne krzyki. Ale dlaczego ktoś miałby to robić?

I kto?

Głośny jęk wyrwał jej się z gardła. Ted Riphenburg.

Krótkie spojrzenie na matkę pani Stefanou upewniło ją, że to samo spotkało staruszkę.

Nagle uświadomiła sobie, że sprawca - kimkolwiek jest - może nadal znajdować się w domu. Boże, zlituj się, pomyślała przerażona. Przez moment wydawało jej się, że zwymiotuje ze strachu. Odwróciła się i zerknęła w głąb korytarzyka. Nikogo.

Ponownie spojrzała na panią Stefanou, zastanawiając się, czy da radę ją rozwiązać. Na pewno nie palcami, gdyż sprawnie zasupłane węzły były zbyt mocno zaciśnięte. Muszę przynieść z kuchni nóż, ale najpierw spróbuję odszukać Stavrosa, postanowiła. Zostawiła nieprzytomną Marię Stefanou i jej matkę, mając nadzieję, że nic im się nie stanie, wybiegła na korytarz i podeszła do następnych drzwi. Zanim je otworzyła, wzięła głęboki oddech. Stavros leżał na łóżku, skrępowany dokładnie tak samo jak pani Stefanou i jej matka. Oddychał. Najwyraźniej musiał przedtem szarpać się z napastnikiem, gdyż z nosa pociekła mu krew, znacząc policzki zaschniętymi smugami.

Na ten widok Tracey znowu poczuła mdłości. Opanowała je, zdecydowana, że nie straci kontroli nad sobą. Szybko opuściła pomieszczenie i skierowała się do kolejnych drzwi. Pewnie pokój Iliki, pomyślała, otwierając je. W środku ujrzała identyczny widok. Iliki leżała nieruchomo, przywiązana do łóżka. Ona także oddychała.

Tracey odwróciła się i szybko pobiegła do holu, kierując się z powrotem ku głównemu wejściu. Świadomość, że jest całkiem sama w willi, napełniła ją grozą. Czowała, jak zimne krople potu spływają jej z czoła. Tym razem nie uda jej się powstrzymać torsji, podchodzących falą do gardła. Odetchnęła głęboko kilka razy, żeby się opanować.

Muszę zadzwonić na policję, pomyślała. Natychmiast.

Pospiesznie wróciła do pokoju Marii Stefanou i chwyciła za telefon. Ledwo jednak przyłożyła słuchawkę do ucha, wiedziała, że linia jest uszkodzona. Mimo to naciskała każdy guzik po kolei, w nadziei, że uda jej się przywrócić aparat do życia. Daremnie. Zawróciła do frontowych drzwi, zastanawiając się, co dalej. Odgłos grzmotu sparaliżował ją na moment. Otworzyła drzwi i wyrzała na taras. Niebo przecinały błyskawice, a tuż przed jej oczami spokojna przedtem kaldera przemieniła się w piekielny kocioł. Ogłuszająca kanonada deszczu, który momentalnie przemoczył ją do nitki, oderwała Tracey od kontemplowania niesamowitego widoku. Przez zawrocie wiatru i szum ulewy ponownie usłyszała straszliwy krzyk z wieży.

O Boże, co robić? - szepnęła bezgłośnie, kuląc się na odgłos tego przejmującego lamentu. Spojrzała w okna budynku, ale niczego nie zauważyła. Zresztą poprzez strugi deszczu ledwo dostrzegała samą wieżę. Wiedziała jedynie, że musi się do niej dostać, gdyż znajduje się tam ktoś, kto potrzebuje pomocy.

Przypomniała sobie tablicę w kuchni, na której Maria Stefanou wieszała wielki, staroświecki klucz. Z pewnością był to klucz otwierający drzwi w murze. Wybiegła na taras i ponownie skierowała się do głównego holu. Zziębnięta i przemoczona, wpadła do kuchni.

Klucz znajdował się dokładnie tam, gdzie go umieściła gospodyni, na tablicy, wśród wielu innych. Tracey zerwała go z haczyka i wybiegła. Zanim wypadła na deszcz, na chwilę zatrzymała się jeszcze przy drzwiach, usiłując wyrównać oddech i przypatrując się ciężkim, drewnianym wrotom.

Ciekawe, co zastanie po drugiej stronie?

W tym momencie główny hol pograżył się w ciemności. Światła pogasły. Tracey zamarła. Och, nie! Odwróciła się i spojrzała za siebie, ale nie widziała nic poza ciemnością. Czy to burza...? - zastanawiała się. Czy może ktoś, kto uśpił służących?

Nagle przypomniała sobie o licznych niszach w ścianach, gdzie trzymano świece i zapalki. W pobliżu drzwi wejściowych leżały też latarki. Nie mogąc dostrzec gigantycznej amfory, stojącej w holu tuż przy wejściu, opadła na kolana i zaczęła szukać ręką wokół siebie.

Jest! Jej dłoń natrafiła na wielką, prawie kwadratową latarkę. Chwyliła ją mocno, wyciągnęła ze schowka za amforą i podniosła się z klęczek.

Nacisnęła przełącznik. Jasny strumień uderzył ją prosto w oczy. O tak, tylko tego jej brakowało, oślepić się w tych ciemnościach. Skierowała światło na zewnątrz, na taras, zdecydowana nie tracić ani chwili dłużej. Z pochyloną głową zaczęła brnąć przez strugi deszczu w kierunku drzwi w murze.

Stał na balkonie przylegającym do jej pokoju w wiatraku i z uśmiechem patrzył, jak się miota. Z trudem powstrzymywał głośny wybuch śmiechu. Pewnie i tak by go nie usłyszała przez tę ulewę i ogłuszające grzmoty, wołał jednak nie ryzykować. Chciał ją zaskoczyć, napędzić jej prawdziwego stracha. Przeżyć coś bardziej ekscytującego niż z dwiema staruchami, dziewczyną i tamtym osłem, których uciszył i powiązał wcześniej.

Zaraz, ale co ona, do diabła, wyprawia? Biegnie wprost na mur. Może jest tak skołowana, że wydaje jej się, iż tam właśnie jest brama prowadząca na ulicę? Znowu się uśmiechnął. Kiedy się trochę pozbiera, przy głównym wyjściu czeka ją niespodzianka. Nie da rady włożyć karty do zamka ani usunąć z niego kleju, którego tam napchał.

Patrzył, jak Tracey zмага się z zamkiem w drzwiach prowadzących na sąsiednią posesję, tę z wieżą. I nagle przestał się śmiać, gdyż zobaczył, że otworzyła wrota.

O kurwa, pomyślał, biegnąc do wyjścia, dokąd ta suka idzie?

Malutki samolot Olympic Airways ATR - 72 wpadał z jednej dziury powietrznej w drugą; wiatr i deszcz rzucały nim na wszystkie strony niczym zabawką. Część pasażerów ogarnęła panika; krzyczeli, ilekroć rozległ się grzmot albo następował kolejny przechył.

Mark siedział spokojnie w fotelu, kurczowo zaciskając pobielale palce. W Atenach ucieszył się, kiedy zapowiedziano, że mimo pogarszającej się pogody samolot na Santoryn jednak poleci, teraz wszakże powątpiewał w trafność decyzji linii lotniczych, zezwalających na start. Trasa nie była długa, ale Mark zastanawiał się, czy zdołają dotrzeć bezpiecznie na wyspę.

Przez głośniki pokładowe pilot zapowiedział podejście do lądowania na lotnisku na Santorynie. Mark rozluźnił dłonie oparte na poręczach fotela. Lecz kiedy samolot nagle utracił wysokość i ostro przechylił się na bok, zacisnął palce jeszcze mocniej niż przedtem.

Zanim umrę, chciałbym jeszcze raz zobaczyć Tracey.

scandalous

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Zmoczone deszczem włosy oblepiły głowę Tracey, ubranie przylgnęło do ciała niczym przyklejone. Ciężkie, drewniane drzwi ustąpiły z zaskakującą łatwością, tak że mogła przejść na drugą stronę grubego muru. Przymknęła za sobą wrota, ale nie zamykała ich na klucz. Przystanęła na chwilę, żeby wyrównać oddech. W świetle latarki zobaczyła typową tutejszą ścieżkę - z białego marmuru, przetykanego pasmami szarości - prowadzącą do samej wieży.

Teraz ostrożnie, pomyślała, żeby nie wylądować na tyłku. Wiedziała, jak śliski bywa marmur, nawet jeśli nie zmoczył go deszcz.

Skierowała strumień światła na wieżę, po raz pierwszy oglądając ją z tej strony muru. Kolejna błyskawica na krótko rozjaśniła teren przed nią, zupełnie jakby chciała pomóc. Wzdłuż wiodącej wprost do niebieskich drzwi dróżki rósł gęsty żywopłot, któremu pozwolono wybujać dziko, tak że zasłaniał również kamienie. Sama wieża dosłownie tonęła w gąszczu bugenwilli i innych pnączy, sięgających nawet do zakratowanych okien.

W środku nie paliło się żadne światło. Tracey zrobiła kilka głębokich wdechów i wbiegła na schodki prowadzące do drzwi. Miała nadzieję, że te będą otwarte albo że klucz do bramy będzie pasował i do nich. Odgarnęła z oczu przemoczone włosy i nacisnęła klamkę.

Cholera, zamknięte. Wyciągnęła z kieszeni ogromny klucz i spróbowała. Pasował idealnie i drzwi poddały się natychmiast.

Pchnęła je i weszła do wieży, wstrzymując oddech z przerażenia. Serce mocno waliło jej w piersiach, w żyłach czuła krążącą adrenalinę. Uniosła latarkę i oświetliła ciemne wnętrze. Znajdowała się w sporym pomieszczeniu z otynkowanymi na biało ścianami, w którym stało kilka prostych, drewnianych mebli lokalnego wyrobu. Ściany zdobiły oprawione obrazki, a wokół niszy, służącej zapewne jako szafa, wisiała udrapowana ludowa tkanina. W rogu znajdował się niewielki aneks kuchenny.

Nagle wszystkie zmysły Tracey zaatakował przenikliwy krzyk, tak bliski, tak porażający, że jej serce omal nie przestało uderzać. Strumień światła latarki, trzymanej w drżącej dłoni, zatańczył gwałtownie. Zdażyła jeszcze dostrzec wąskie, kamienne schody na przeciwległej ścianie, niknące gdzieś w górze.

Ruszyła ku nim natychmiast, zanim zupełnie straci odwagę. W miarę jak wchodziła na górę, straszliwy krzyk przybierał na sile. Schody były niesamowicie strome, toteż kierowała światło latarki bezpośrednio na stopień, który miała przed sobą. Dopiero u szczytu poświeciła

dookoła. Znajdowała się w niewielkim przedsionku czy przedpokoju, podobnym do pomieszczenia na dole, z tak samo otynkowanymi na biało ścianami i posadzką z identycznych kafelków. Na wprost miała drewniane drzwi osadzone w murze.

Przerażający krzyk - po raz pierwszy słyszany z tak bliskiej odległości - przebijał grube drewno, jakby to było powietrze. Zmuszając się do głębokich oddechów, Tracey położyła rękę na klamce i nacisnęła ją.

Zamknięte! Do diabła! Ponownie sięgnęła do kieszeni po klucz, w nadziei, że będzie pasował. Lekko obrócił się w zamku i drzwi poddały się natychmiast, z cichym skrzypnięciem.

Tracey odsunęła się kilka kroków, zbierając resztki odwagi. Nie miała pojęcia, co zastanie po drugiej stronie. Wiedziała tylko, że musi pomóc tej udęconej istocie. Zgasła latarkę, żeby nie wystraszyć osoby w pokoju, pchnęła drzwi i weszła do środka.

Z chwilą gdy jej oczy przywykły do ciemności, dostrzegła okna wykute w grubym murze, widoczne zaledwie jako prostokąty odrobinę jaśniejszej czerni. Głośne krzyki przeszły nagle w niskie, żalosalne zawodzenia, przypominające skowyt rannego zwierzęcia. Tracey wzdragała się na myśl o zapaleniu latarki, ale nie miała wyboru. Skierowała ją ku podłodze i nacisnęła wyłącznik.

Zaczęła się modlić. Boże, proszę, jeśli istniejesz i jeśli mnie słyszysz, dodaj mi odwagi.

Wolno uniosła latarkę, przesuwając strumień światła z płytek podłogi na wnętrze pokoju. Podobnie jak na parterze, tak i tutaj na otynkowanych na biało ścianach wisiały oprawione grafiki i obrazy. W jednym z narożników światło odbiło się od kilku błyszczących trybularzy i świeczników zawieszonych u sufitu, podobnych do tych, jakich używano w greckich kościołach, ze złotymi i srebrnymi krzyżykami w miejscu kryształowych sopli. Za nimi Tracey spostrzegła kilka ikon, błyszczących srebrem. Gwałtownie wciągnęła powietrze, napotykając oczy Matki Boskiej Bolesnej, spoglądającej z jednej z nich.

Gwałtownie szarpnęła latarką w bok, ale zaraz upomniała się, że ma poruszać nią powoli. Jęki prawie ucichły, przechodząc w ledwo słyszalne westchnienia, więc ostrożnie przesunęła światło najpierw w prawo, potem...

Tam! Łóżko przykryte ludową tkaniną.

Powoli zbliżyła się w tamtą stronę, kierując światło latarki z powrotem na płytki podłogi. Przede wszystkim rzucił jej się w oczy ogromny krucyfiks zawieszony na samym środku ściany. Szybko odwróciła od niego oczy i popatrzyła w dół. Na łóżku leżała jakaś postać. Jej jęki i westchnienia wydawały się Tracey równie głośne jak przedtem krzyk.

Uniosła latarkę, ostrożnie kierując jej strumień powyżej zeszywniałej na łożku sylwetki.

- Ooooh! - jęknęła, robiąc gwałtowny ruch do tyłu.

Mimowolnie uniosła ręce do twarzy, jakby pragnąc osłonić oczy przed tym, co zobaczyła. Latarka wypadła jej z dłoni i z trzaskiem wylądowała na podłodze, w gardle urosła kula mdłości, zimny pot pokrył czoło, po plecach przebiegł zimny dreszcz. Bojąc się, że zemdleje, Tracey chwyciła się narożników łóżka, usiłując głębokimi wdechami uspokoić wzburzone serce.

Kiedy nieco odzyskała panowanie nad sobą, pochyliła się i zaczęła przesuwając rękami po podłodze, w poszukiwaniu latarki. Znalazszy ją, ponownie skierowała światło w bok od postaci w łożku, tak by otaczał ją tylko słaby poblask.

To... Urania, pomyślała przerażona, zmuszając się, żeby przyjrzeć się kobiecie... ale... nie, to nie Urania.

Oczy leżącej błędziły przez chwilę, wreszcie spoczęły na Tracey. Nieznajoma wyglądała niemal identycznie jak aktorka. Miała taką samą, subtelnie sklepioną czaszkę, piękne oczy, idealny nos i zmysłowe usta. Nawet jej włosy kiedyś musiały być podobne, choć w tej chwili przetykała je siwizna. Na jej twarzy - twarzy Uranii - choć przecież nie Uranii - malowało się błaganie. Wiotka ręka uniosła się lekko, jakby czegoś szukając. Tracey poczuła łzy napływające do oczu.

O mój Boże, co się tutaj dzieje? Kto to jest? Co się tu stało i co trzeba teraz zrobić?

Kobieca ręka, o długich, szczupłych palcach, wytworna i tak podobna do dłoni Uranii, wyciągała się w jej stronę, drżąc lekko. Tracey ujęła ją delikatnie. Dłoń była zimna, gładka i krucha, o barwie kości słoniowej, jakby nigdy nie widziało jej słońce.

Tracey przysiadła ostrożnie na skraju łóżka i spojrzała w oczy nieznajomej, tak przypominające oczy Uranii, jednak pełne bólu i smutku.

- Cicho... wszystko będzie dobrze - wyszeptała łagodnie, jakby przemawiała do dziecka. - Ja... ja jestem tutaj i wszystko będzie dobrze.

Oczy leżącej, wielkie i błyszczące w świetle latarki, wpatrywały się w twarz Tracey, studiując ją z uwagą. Poczła nagle zakłopotanie, zupełnie jakby badawcze spojrzenie tej kobiety zdołało w jakiś sposób przeniknąć ją do głębi. Zdawało jej się, że na wargach nieznajomej dostrzega cień uśmiechu, a w oczach czułość, zastępującą poprzedni ból i smutek.

Tracey uśmiechnęła się i łagodnie poklepała jej delikatną dłoń. Nagle oczy kobiety popatrzyły gdzieś za jej plecami, rozszerzając się z przerażenia. Uśmiech zamarł Tracey na

wargach. Podążając wzrokiem za spojrzeniem nieznajomej, odwróciła się i zobaczyła sylwetkę mężczyzny, wyłaniającą się z ciemności.

- Co...? kto...? - zaczęła.

- Cześć, Trace - odezwał się mężczyzna, stając tuż za jej plecami.

- Ted - jęknęła - co ty tutaj robisz? Jak się tu znalazłeś?

W tym momencie zauważyła cienki drut, zwisający z obciążonej rękawiczką dłoni, tworzący pętlę i nawinięty na końcach na dwa kawałki drewna. Poczula, że palce kobiety lekko ściskają jej dłoń, po czym wysuwają się z niej. Odwróciła się. Leżąc sięgnęła ręką do stolika koło łóżka.

Ted gwałtownie odsunął się od Tracey i ruszył w tamtą stronę.

- Tego bym nie robił - warknął.

Kobieta zaczęła krzyczeć. W świetle latarki błysnął mosiądz, kiedy opuściła ciężki świecznik na ramię napastnika.

- Ted, co ty chcesz zrobić? - wrzasnęła Tracey, zrywając się gwałtownie. - Co ty...?

Potężny cios pięści trafił ją w pierś, odrzucając na posadzkę.

- Och - jęknęła, lądując na twardych płytkach. Zdążyła podeprzeć się rękami, zanim walnęła głową w kafelki, ale i tak uderzenie pozbawiło ją tchu. Upuszczona latarka potoczyła się, rozsiewając słabe, przytłumione światło.

Krzyki kobiety przeszły w zdławiony charkot. Słyszając ten straszliwy dźwięk, Tracey uniosła się do klęczek i zaczęła przesuwać w stronę latarki. Złapawszy ją, wstała i podbiegła do łóżka. Ted pochylał się nad kobietą, zaciskając jej na szyi końce garoty.

Tracey zobaczyła w oczach tamtej .błysk przerażenia, który zgasł w tym samym momencie, kiedy przestały się poruszać delikatne dłonie, usiłujące odepchnąć napastnika. Smukłe palce zatrzepotały niczym skrzydła ptaka, po czym zastygły w bezruchu. Tracey uniosła wielką, ciężką latarkę nad głowę i z całej siły opuściła na czołogę mordercy. W ramionach poczuła szarpnięcie, na odgłos tępego uderzenia coś ścisnęło ją boleśnie w żołądku. Ted z jękiem opadł na ciało kobiety, twarzą do dołu, i znieruchomiał. Latarka zgasła.

O Boże, tylko nie to.

Zaczęła nią potrząsać, kilkakrotnie naciskając przełącznik, ale światło nie zabłysło. W panice upuściła latarkę na łóżko. O Jezu, co teraz?

Wiedziała, że musi sprowadzić pomoc dla tej kobiety, o ile jeszcze nie było za późno.

Muszę się stąd wydostać, pomyślała. Uszkodzone przez burzę telefony pewnie nie działały nadal, ale może ktoś jej pomoże wezwać policję i karetkę.

Ogłuszający grzmot zatrzęsł pokojem w wieży, błyskawica rozświetliła makabryczną scenę. Wytrzeszczone oczy kobiety zdawały się spoglądać na Tracey ponad ramieniem Teda. Ona nie żyje, pomyślała zrozpaczona dziewczyna. Na pewno nie żyje. Szybko odwróciła wzrok. Jej spojrzenie padło na niszę w ścianie, w pobliżu drzwi wiodących do przedpokoju. Podobnie jak w willi Uranii, tak i tutaj stała, ciężka staroświecka latarnia. A może znajdzie tam też latarkę?

Pospiesznie zbliżyła się do niszy, mając nadzieję, że w lampie jest świeca, a obok niej znajdują się zapalki. Pokój na powrót pogrążył się w ciemnościach, gdy błyskawica zakończyła swój bieg przez niebo, ale Tracey zdążyła już położyć rękę na uchwycie. Drugą przesuwając po zagłębieniu, szukając zapalek. Są!

Zapaliła jedną bez trudu. W niszy nie było latarki, natomiast w lampie tkwiła świeca. Tracey zapaliła ją i włożyła zapalki do kieszeni. Uniosła światło wysoko do góry, odwróciła się, jeszcze raz obrzucając wzrokiem pokój, i wyszła.

Trzymając latarnię przed sobą, spojrzała w dół, na schody, załamujące się i niknące gdzieś w ciemnościach na dole. Boże, pomóż mi, pomyślała, widząc pierwszy stopień. Zatrzymała się. Serce waliło jej mocno, puls galopował jak oszalały. Zmusiła się, żeby zrobić krok w dół, a potem jeszcze jeden. Znowu przystanęła. Krople zimnego potu spływały jej po czole i karku.

Usłyszała kroki. Czyżby?

Zamarła, nie potrafiąc opanować drżenia. Kolejny krok. Teraz była pewna. Ktoś chodził po sypialni.

Już miała głośno krzyknąć i rzucić się do ucieczki, ale przeraziła się, że Ted ją usłyszy. A potem pomyślała: no i co z tego? Przecież i tak musi tędy zejść. Będzie szedł tymi schodami.

Z determinacją opuściła nogę na następny stopień, potem jeszcze na następny. Znowu usłyszała kroki, tym razem znacznie bliżej. Wypatrywała każdego kolejnego stopnia, starając się nie myśleć o tym, co czeka ją u podnóża schodów, daleko w dole, ani o tym, co kryło się w ciemności za nią.

Kiedy w miejscu kolejnego kamiennego schodka zobaczyła płytki, wiedziała, że jest wolna, i omal nie krzyknęła z radości. Jeszcze tylko minąć przedpokój i otworzyć drzwi. Już słyszała uderzający w nie deszcz. Pobiegnęła naprzód, trzymając latarnię przed sobą, kiedy przy samym wyjściu czyjaś ręka - jego ręka - zacisnęła się na jej ramieniu niczym imadło.

Taksówka wpadła w koleinę i szarpnęła tak mocno, że Mark poleciał do tyłu na siedzeniu.

- Wszystko w porządku? - zapytał zaniepokojony kierowca.

- W porządku - odrzekł Mark. - Niech pan się mną nie przejmuję, tylko robi, co do pana należy.

Kierowca nic tu nie zawinił. Ulewny deszcz zredukował widoczność niemal do zera, wycieraczki nie nadążały z odgarnianiem wody, a wiatr wiał tak silny, że niewielkim samochodziem rzucało na wszystkie strony.

Miałem cholerne szczęście, że ten gość zgodził się zabrać mnie do Oii, pomyślał Mark. Większość taksówkarzy opuściła postój przy lotnisku, chroniąc się przed burzą. Uznali, że przylotów i tak będzie niewiele albo i wcale, więc żadna strata.

Mark przetarł zaparowaną szybę i wyjrzał. Jeśli dobrze widział, znajdowali się na ostatnim odcinku przed Oią, gdzie wycięta w zboczu klifu droga ostro zakręcała kilka razy. Ogarnęło go podniecenie na myśl o rychłym ujrzeniu Tracey, choć jednocześnie czuł lęk spowodowany tym, co mu powiedziała przez telefon. Mocno podejrzewał, że Tracey celowo zbagatelizowała sytuację, nie chcąc go niepokoić. Tym bardziej więc pragnął dotrzeć do willi Uranii jak najszybciej.

Boże, mam nadzieję, że wszystko w porządku, pomyślał zdenerwowany, że Tracey nic się nie stało. Przypuszczał, że w domu może nadal nie być światła, gdyż na całej wyspie wyłączono prąd. Byle tylko się upewnić, że Tracey nie grozi żadne niebezpieczeństwo! Jak tylko można najrychlej.

Tracey obróciła się z głośnym krzykiem i bez namysłu, z całej siły zamachnęła się latarnią, trafiając Teda w głowę.

- Kurwa! - ryknął, ale puścił jej ramię.

Usłyszała jakiś łomot, więc pomyślała, że pewnie upadł. Za to nie wiedziała teraz, gdzie sama się znajduje. Świeca zgasła.

Zdezorientowana ruszyła w tę stronę, gdzie, jak myślała, powinny się znajdować drzwi. Krzyknęła, gdyż z ciemności wyłoniła się ciężka tkanina, spowijając jej twarz i całe ciało szorstkim ciepłem.

O Boże, gdzie ja jestem?

W panice zaczęła szarpać materiał, usiłując odsunąć go na bok, kiedy nagle upadła, ocierając łokcie o ścianę i ciężko lądując na kolanach.

Zaczęła gorączkowo przeszukiwać ręką posadzkę, jakby chłodne kafelki mogły jej wyjawić, gdzie się znalazła. Zatrzymała się na klęczkach, próbując jakoś się pozbierać. Szafa, pomyślała nagle, tak, to musi być szafa.

Nadal nic nie widziała, ale teraz była już pewna, że znajduje się w niewielkiej zasłoniętej wnęce, znacznie ciemniejszej niż duży pokój. Wyciągnęła rękę, szukając tkaniny zastępującej drzwi. Kiedy dotknęła jej czubkami palców, odwróciła się do niej twarzą. Ostrożnie odsunęła materiał, sprawdzając, czy uda jej się dojrzeć coś w pokoju. Zobaczyła Teda, leżącego na podłodze w pobliżu drzwi wejściowych. Nigdy nie przejdę obok niego, żeby wydostać się na zewnątrz, pomyślała. Chyba że...

Wiedziała, że z jaskini pod rezydencją Uranii również jest przejście do wieży, podobnie jak do wiatraka i kilku innych miejsc. Prometeusz jej pokazał. To znaczy tak naprawdę pokazał jej jedynie drogę z jaskini do wieży. Ale gdzie znajduje się wejście w wieży? Tracey przecież widziała tylko drugi koniec tunelu, tam gdzie wychodzili.

Myśl, nakazała sobie. Wylot musi być gdzieś na dole, a przecież są tu tylko ten pokój i wnęka kuchenna. I szafa! Omal nie jęknęła z radości. Jestem dokładnie nad jaskinią, siedzę niemal na samym włazie. Nie może być inaczej.

Postawiła latarnię na podłodze i zaczęła sprawdzać ręką kawałek po kawałku, poszukując jakiegoś rygla czy pierścienia służącego do podnoszenia kłapy. Przesuwała się kolejno we wszystkie strony, żeby nie ominąć ani jednego skrawka.

Natrafiła na coś. Nie na rygiel czy pierścień, ale na wąską szparę, przez którą ku jej palcom unosił się zimniejszy podmuch. Powiodła dłońmi wzdłuż szczeliny, aż do narożnika, przesunęła się odrobinę i dotknęła go palcami. Jest! Metal! Z całą pewnością. Ciężki pierścień, przytwierdzony do podłogowej flizy.

Tracey włożyła weń palce i z całej siły szarpnęła do góry. Nic. No tak, nic dziwnego, że kłapa nie chce drgnąć. Przytrzymuje ją własnym ciężarem. Odsunęła się na bok i spróbowała jeszcze raz. Drewniana pokrywa zaczęła się unosić z głośnym zgrzytaniem.

O cholera, ale to ciężkie, zakłęła Tracey. W pokoju usłyszała jakiś ruch. Z przerażenia omal nie upuściła kłapy. Pospiesz się, pospiesz!

Wstrzymując oddech i ciągnąc z całej siły, uniosła pokrywę do pionu, przy ogłuszającym zgrzytaniu kafli. Nagle tkanina zasłaniająca wejście do szafy zafalowała. Tracey podniosła głowę. W otworze zamajaczyła ledwo widoczna sylwetka Teda.

Niewiele myśląc, Tracey pchnęła klapę w jego stronę i porwała latarnię.

- Pieprzona dziwka! - ryknął.

Nawet nie przystanęła, żeby popatrzeć. Skoczyła w dół, w nieprzeniknioną czeluść jaskini. Nie miała pojęcia, co znajduje się pod nią ani jak tam jest głęboko, ale to nie miało znaczenia. Byle jak najdalej od mordercy.

Spadła na kamienie i zwały gruzu.

Cholera, zakłęła, z trudem łapiąc oddech. W prawej kostce poczuła ostre klucie, promieniujące na całą nogę, prawe ramię zaczęło krwawić od zadrapań. Nie myśląc o bólu, zerwała się na nogi i odsunęła na bok. Przy moim szczęściu ten łotr może mi zlecieć prosto na głowę, pomyślała.

Stała plecami do ściany jaskini, przerzucając ciężar ciała na lewą nogę, i zaczęła grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu zapalek. Gdzie one są? - pomyślała w nagłym ataku paniki. Wreszcie wyczuła palcami pudełko i z wielką ulgą wyciągnęła je z kieszeni.

Na szczęście zapaliki były wodoodporne. Ubranie miała przemoczone na wylot, ale drewno zapaliło się od razu. Tracey podniosła latarnię. Niektóre szkiełka osłony były stłuczone. Mściwie pomyślała, że może wbiły się Tedowi w twarz. Zapaliła świecę, wsunęła ją w uchwyt i trzymając lampę w górze, usiłowała znaleźć drogę.

W lewo czy w prawo? - zaczęła się zastanawiać. Z której strony jest wylot? Ten otwór w skale w pobliżu starej cysterny, dokąd zaprowadził ją Prometeusz. W lewo iść czy w prawo? Dlaczego wtedy bardziej nie uważałam? - wyrzucała sobie.

Z góry usłyszała jakieś trzaski, więc zerknęła w lewo. Teda nie było, ale wiedziała, że zaraz się pojawi. Pewnie schodzi do otworu. Bez dalszego namysłu ruszyła w prawo. Unosząc przed sobą latarnię, usiłowała dostrzec jakieś znajome szczegóły, ale nic takiego nie wpadło jej w oko. Skala i żwir, skala i gruz. W niektórych miejscach musiała pochylić się lekko - czy było tak samo, kiedy szła tędy z Prometeuszem? W innych mogła iść swobodnie wyprostowana. Natrafiała na przewężenia i zakręty, których również nie umiała sobie przypomnieć. Nieważne. Teraz musi uciekać jak najdalej od Teda. Pospieszyła do przodu. Z tyłu dobiegły ją kolejne hałasy, a potem przekleństwo. Wyrwała przed siebie, omal nie krzycząc głośno, kiedy jej włosy i twarz oblepiła pajęczyna, rozpięta w poprzek tunelu. Wolną ręką waliła jak szalona, ściągając ją, usuwając każdy strzępek z twarzy i z szyi.

Znowu ruszyła do przodu, jeszcze szybciej, mając nadzieję, że posuwa się we właściwym kierunku. Przypuszczała, że z tej jaskini musi być więcej wyjść, ale nie miała pojęcia, gdzie się znajdują ani dokąd prowadzą. Trzeba odnaleźć to, którym weszła z Prometeuszem. Za sobą, nieco bliżej, usłyszała spadające odłamki skalne, głośne uderzenie, ciężkie stęknięcie i chyba znowu przekleństwo. Nie była pewna. Potknął się i upadł, pomyślała mściwie, przyspieszając kroku. Muszę go wyprzedzić.

Pokonując kręty odcinek tunelu, potknęła się i dużym palcem nogi mocno uderzyła o skałę, tak że omal się nie przewróciła. W ostatniej chwili przytrzymała się skalnej ściany wolną ręką. Chciała jęczeć, płakać i kląć jednocześnie, ale zacisnęła zęby i w milczeniu zносиła okropny ból, który przeszywał jej stopę.

Ruszyła dalej, kulejąc i zastanawiając się, czy kiedykolwiek znajdzie wyjście, pokazane przez Prometeusza, niemal pewna, że obrała zły kierunek. Ale kiedy pokonała następny zakręt, nagle wydało jej się, że na wprost dostrzega odrobinę jaśniejszą plamę czerni. Tak, teraz słyszała nawet odgłosy burzy, a zimne powietrze jaskini stało się odrobinę cieplejsze i bardziej wilgotne.

Lecz oprócz szumu ulewy usłyszała coś jeszcze: kroki mężczyzny, który ją doganiał. Teraz pewnie potknął się o skałę, bo mamrotał jakieś groźby i przekleństwa.

Nie zważając na ból, Tracey przyspieszyła kroku. Pięćdziesiąt kroków, czterdzieści, trzydzieści, dwadzieścia. Niemał biegła, ku ocaleniu i wolności, ku światłu i życiu.

Jest! Otwór w klifie, którym weszła wraz z Prometeuszem. Znajdował się tuż przed nią, nieco w górze, ale wiedziała, że dostanie się do niego bez trudu. Wyrwała do przodu, niemal rzucając się na skalne rumowisko, i zaczęła się wspinać po kamieniach coraz wyżej i wyżej, w stronę wyjścia.

Już była na górze, już wystawiała głowę na strugi deszczu, kiedy poczuła, że coś łapie ją za kostkę.

O Boże, nie! Nie teraz!

Mark zostawił bagaż w głównym holu. Znalazł latarkę i przebiegł cały dom w poszukiwaniu Tracey. Willa okazała się pusta, więc skierował się do części dla służby, żeby porozmawiać z Marią Stefanou. Ona będzie wiedziała, gdzie się podziały Tracey i Urania. Ujrzawszy wstrząsający widok w sypialni gospodyni, w popłochu zaczął przeszukiwać całą posesję.

- Tracey - nawoływał - Tracey!

Nikt nie odpowiadał na jego krzyki. Jak szalony wybiegł na taras, nie bacząc na ulewny deszcz, który błyskawicznie przemoczył go na wylot. Świecąc latarką, zaglądał w każdy zakątek, przeczesywał każdy skrawek terenu w poszukiwaniu śladów dziewczyny.

Serce waliło mu jak młotem, zimny pot mieszał się z deszczem.

- Tracey - wołał, przekrzykując wiatr. - Tracey!

Tracey z całej siły zaczęła kopać dłoń więżącą ją w uścisku. Z oczu spływały jej łzy, mieszając się z deszczem, który spływał po twarzy. W rękę nadal ścisnęła latarnię, nie wiedziała tylko, jak się nią posłużyć. Wreszcie odwróciła się całym tułowiem i wrzuciła ją do otworu. Stopę natychmiast miała wolną, więc wygramoliła się z jamy, z krwawiącymi, poobijanymi kolanami.

Wyprostowała się, uświadamiając sobie momentalnie, że znajduje się na występie wysuniętym nad leżącą trzysta metrów w dole kalderę. Przez moment zawirowało jej w głowie; czuła się kompletnie zdezorientowana. Muszę się stąd ruszyć, nakazała sobie, muszę.

Wiedziała, że jest po zewnętrznej stronie posesji, praktycznie o krok od domu, ale musiała jeszcze ostrożnie przejść przez skały, obok starej cysterny. Słyszając, że Ted gramoli się z jaskini, spojrzała w jego kierunku.

- Dopadnę cię, Trace - wrzeszczał, przekrzykując zawrodozenie wiatru. - Dopadnę cię!

Odwróciła się i zgięta wpół zaczęła iść po zdradzieckich skałach w stronę muru otaczającego willę Uranii. Kiedy znalazła się przy starej cysternie, przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Pochyliła się i z całej siły popchnęła pokrywę, która ustąpiła z zadziwiającą łatwością, tak że Tracey omal nie straciła równowagi i nie wpadła do środka. Przytrzymała się obiema rękami i przykucnęła.

Ted znajdował się pewnie z dziesięć kroków za nią. Teraz widziała go dokładnie. Twarz miał zakrwawioną i zalaną deszczem, parł jednak do przodu, szybko zbliżając się do niej.

- Zabiję cię! - ryknął. - Już mi nie uciekniesz!

Ciągle pochylona, Tracey okrążyła cysternę, po czym wyprostowała się, stając twarzą ku niemu.

Kiedy dostrzegł, że się zatrzymała, uczynił dwa pewne kroki w jej kierunku i dosłownie rzucił się na nią. Słyszała jego świszczący oddech i była gotowa przysiąc, że czuje bijące od niego ciepło. Nagle stopy Teda straciły oparcie. Z krzykiem zniknął w głębi starej cysterny.

Tracey zbliżyła się ostrożnie, usiłując coś dojrzeć, a wtedy ręka Teda wyskoczyła zniemacka, łapiąc ją za wykręconą kostkę.

- Nie! - wrzasnęła dziewczyna, tracąc równowagę i padając na skałę.

Przez moment leżała ogłuszona. Ted trzymał ją mocno i czuła, że zaczyna się zsuwać w stronę ciemnej czeluści. Widziała dłonie mężczyzny, jedną zaciśniętą na jej kostce, drugą na krawędzi cysterny. Wolną nogą zaczęła kopać rękę Teda, on jednak okazał się silniejszy. Zanim zorientowała się, co się dzieje, już wciągał ją do otworu cysterny; zaciśnął teraz dłoń powyżej jej kolana. Tracey kopała i kopała, gdy nagle Ted puścił ocembrowanie i złapał ją za drugą nogę. Teraz ciągnął ją obiema rękami, a ona niepowstrzymanie zsuwała się do otworu.

O Boże, pomyślała w panice, wciągnie mnie całą i wpadniemy oboje.

Nogami wisiała już nad cysterną, ze wszystkich sił starając się wyrwać, choć żelazny chwyt mężczyzny niemal miażdżył jej kości. Próbowwała przytrzymać się śliskiej skały, żeby nie polecieć w bezdenną otchłań.

Poczuła, że jej pośladki przesuwają się nad krawędzią otworu.

- Nie, nie, nie! - krzyczała, kopiąc i próbując mocniej chwycić się kamienia. Rozpostarła ramiona, ale ręce nieubłagane podążały w głąb za resztą ciała.

Już tułów przesunął się przez otwór. W tym momencie Tracey zaprzestała poprzednich wysiłków i zaczęła machać nogami, używając wszystkich sił, jakie jej jeszcze pozostały. Poczuła, że uścisk dłoni Teda rozluźnił się, więc wierzgała jeszcze mocniej, walcząc jak szalona. Poczuła ostry ból, kiedy jedną ze stóp trafiła go w głowę. Ted krzyknął i puścił ją nagle, lecąc w czarną czeluść.

Teraz nogi miała już wolne. Ponownie spróbowała przytrzymać się skały rękami. Daremnie. Centymetr za centymetrem znikająca w głębi otworu.

Dlaczego to ma się skończyć w ten sposób? Zaciśnęła palce na cembrowinie, wiedząc, że nie utrzyma się dłużej niż kilka sekund. Próbowwała się podciągnąć, ale bez rezultatu.

Całkiem już straciła nadzieję, gdy nagle dwie silne dłonie chwyciły ją za nadgarstki i zaczęły ciągnąć do góry. Co się dzieje? - pomyślała. Była przekonana, że śni, a może nawet już nie żyje. W następnej chwili jednak znalazła się na zewnątrz i leżała koło cembrowiny, łączywie chwytając powietrze.

Czyjeś silne ramiona przyciągnęły ją do siebie.

- Tracey - usłyszała - och, Tracey!

Mark, pomyślała. A więc umarła i znalazła się w niebie. Ale uścisk jego ramion był tak realny, a głos brzmiał zupełnie jak głos żywego Marka. Podźwignęła się z trudem, spojrzała do góry i zobaczyła jego twarz. Czyżby miał w oczach łzy? - zdziwiła się. Łzy w niebie?

Zanim zemdląca, w krótkim przeblysku świadomości pojęła, że żyje, a Mark w końcu przyjechał.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Miami, Floryda

Słońce zniżało się ku zachodowi i niebo zabarwiło się wszystkimi odcieniami oranżu, różu i fioletu. Maribel nie mogła czuć się bardziej szczęśliwa. Cierpki zapach słonej wody wypełniał jej nozdrza, wiatr rozwiewał bujne, czarne włosy, a Ramón stał obok niej. Kierowana przez Raya długa, czerwona motorówka pruła wody zatoki Biscayne niczym torpeda.

Kiedy zaproponował, żeby spotkała się z nim w marinie w South Beach, Maribel nie stawiała żadnych pytań. Znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że szykuje coś specjalnego. Trzymając jedną rękę na kole sterowym, objął ją teraz wolnym ramieniem i przytulił do siebie.

- Wiesz, dokąd płyniemy? - zapytał, przekrzykując szum wiatru i ryk silnika.

Maribel potrząsnęła głową.

- Nie mam pojęcia i specjalnie mnie to nie interesuje. Po prostu jestem z tobą. -

Uśmiechnęła się prowokująco.

Ramón pochylił się i pocałował ją namiętnie, po czym z powrotem spojrzał na wodę.

- Widzisz tę wysepkę przed nami?

- Jasne. To Star Island.

- No więc udajemy się tam na niewielkie przyjęcie.

- Na Star Island? - Brwi Maribel wygięły się w łuk nad różowymi szklami okularów przeciwsłonecznych.

- Owszem. Montague zadzwonił do mnie i zaprosił nas oboje. Powiedział, że mamy tam być mniej więcej... - zerknął na zegarek - właśnie o tej porze.

- A co się szykuje? - zapytała, ale zanim zdążył otworzyć usta, znała już odpowiedź na swoje pytanie. Aresztują Briana Biggsa, pomyślała.

- Zwiną pana Briana Biggsa juniora - oznajmił Ramón z szerokim uśmiechem. - Akurat bawi u swoich rodziców, odbywa się tam wielka feta na cele dobroczynne. - Pocałował ją ponownie. - Wszystkie grube ryby z Miami tam się wybierają. Co ty na to?

Maribel wyrzuciła ramiona w powietrze.

- Tak - zawołała - tak, tak! To jeden z najszczęśliwszych dni w moim życiu. - Odwróciła się do Ramóna i mocno pocałowała go w usta.

- Tak też sądziłem - odpowiedział.

Zbliżali się do ogromnej posiadłości Biggsów, zwolnił więc obroty silnika, podpływając jak najbliżej do falochronu. Wokół potężnego jachtu, cumującego przy ich prywatnym nabrzeżu, kręciło się całe mnóstwo mniejszych jednostek. Maribel aż wstała, żeby się im lepiej przyjrzeć. W łódkach siedzieli fotoreporterzy.

- Popatrz, Ramón! - zawołała. - Widzę, że prasa jest w pełnym pogotowiu.

- No jasne, nie żartuj sobie. Jutro zdjęcia tego drania ozdobią pierwsze strony wszystkich gazet w Miami. Zebrali się tutaj i przed frontowym wejściem. Ale stąd lepiej zobaczymy, jak go będą zgarniać.

- A Biggsowie pewnie wyobrażają sobie, że wszyscy chcą zdobyć fotki z ich przyjęcia - powiedziała Maribel. - Wiesz, dla „Ocean Drive” i innych piśmideł.

- Niech się cieszą, póki mogą - skwitował Ramón.

Z punktu obserwacyjnego na wodzie Maribel widziała ogromną, białą markizę, ustawioną na trawniku. Pod nią zespół kameralny grał Mozarta; dźwięki muzyki dolatywały aż do motorówki, mimo pomrukiwania silników. Również pod markizą ustawiono stoły, nakryte białymi obrusami i zastawione jedzeniem i piciem. Elegancko ubrani goście łączyli się w niewielkie grupki albo przechadzali po trawnikach, trzymając w rękach szklaneczki z koktajlami i kieliszki szampana. Między nimi kręcili się kelnerzy w smokingach, roznosząc tace z zakąskami i alkoholem.

- Co za zadęcie! - odezwała się Maribel szyderczo. - Za nic w świecie nie darowałabym sobie takiej gali.

- Jeszcze nie puścili fajerwerków - zauważył Ramón, sięgając do przegródki poniżej tablicy rozdzielczej i wyciągając dwie lornetki. - Przydadzą się - powiedział, wręczając jedną Maribel.

Podniosła lornetkę do oczu i wyregulowała ostrość.

- Hej! - zawołała, przesuwając nią we wszystkich kierunkach. Zatrzymała się nagle. - Widzę Briana i Georginę! Jeden gówniarz i jedna oszukana idiotka, a zachowują się tak, jakby cały świat do nich należał. Ona ma na sobie kreację od Valentino, którą widziałam w Bal Harbour. Co za nuuuda. Sama pewnie też jest nudna.

- Hej - zawołał Ramón podnieconym głosem. - Maribel, spójrz! Widzisz te oszklone drzwi na tarasie? Te prowadzące do domu?

Maribel przesunęła lornetkę z trawnika na taras.

- Jest Montague! - wykrzyknęła. - A obok niego Stanlee.

- Tak - potwierdził Ramón. - Monty i Stanlee, oboje witani z honorami. Zasłużyli sobie na to. A gość, który jest z nimi, pracuje w wydziale zabójstw.

- Z kim rozmawiają? - zapytała Maribel, nie odrywając od oczu lornetki.

- Ten starszy mężczyzna? To papa Biggs.

- Brian i Georgina nie mają pojęcia, co się szykuje - roześmiała się Maribel. - Zbyt są zajęci plotkowaniem ze swoimi snobistycznymi przyjaciółmi.

Ojciec Briana zszedł wraz z policjantami z tarasu i ruszył przez trawnik w kierunku syna oraz Georginy. Wszystkie głowy obracały się w ich stronę. Goście byli najwyraźniej zaciekawieni, kim są ci nowo przybyli, niemający na sobie strojów wieczorowych.

- *Por Dios!* - zawołała Maribel, łapiąc Ramóna za ramię. - Montague wyciąga kajdanki! Teraz już każdy się na nich gapi.

Wokół nich poszły w ruch wszystkie kamery, w zapadającym zmierzchu rozblęły flesze.

- Zakładają mu bransoletki - powiedział Ramón. - Nawet stąd widać, jak ten gnojek się trzęsie.

Maribel aż podskoczyła.

- *Concha de madre!* Patrz, już idą, Stanlee po jednej stronie, a Montague po drugiej.

- Biggs nie sprawia wrażenia, jakby chciał stawiać opór.

- Nie sądzę, żeby kiedykolwiek w swoim życiu sam walczył - zauważyła Maribel szyderczo. - A teraz stary zabiera Georginę do domu. Tak jest pochłonięty cackaniem się z nią, że nawet nie odprowadzi syna.

Kiedy Brian junior zniknął w budynku, razem ze Stanlee, Montague'em i oficerem z wydziału zabójstw, wokół motorówki Ramóna i Maribel zagrały wszystkie silniki i wody zatoki zakołysały się gwałtownie - to reporterzy pospiesznie ruszali do dalszej pracy.

- No i po przyjęciu - skwitował Ramón. - Przynajmniej z tej strony.

- Założę się, że od frontu czeka telewizja - powiedziała Maribel.

- Owszem, czeka - przyznał Ramón, odkładając lornetkę i odwracając się do niej.

Popatrzyła na niego, zaskoczona.

- A ty skąd...? - zaczęła i nagle wybuchnęła śmiechem. - Zadzwoń i uprzedź ich, prawda? Ale spryciarz z ciebie! - Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go mocno.

- Wszystko dla mojej dziewczynki i jej przyjaciół.

- Poczekaj, niech no tylko opowiem Tracey - mówiła uszczęśliwiona Maribel. - Och, Ramón, za to, co zrobiłeś, Tracey pokocha cię tak samo jak ja.

- Myślisz? - zapytał z szelmowskim uśmiechem.

- Cóż - Maribel uśmiechnęła się złośliwie - może nie aż tak bardzo jak ja. - Powiodła dłońmi po jego plecach, aż do zgrabnych pośladków. - I może niekoniecznie w ten sam sposób.

- A co byś powiedziała, gdybyśmy zwinęli się stąd i przenieśli w jakieś bardziej ustronne miejsce? - zaproponował Ramón.

- Znakomity pomysł - odrzekła ze słodyczą w głosie.

Mała zatoczka zarośnięta sośniną skryła ich przed światłem z łodzi płynących do Jimbo's, popularnego lokalu, w którym podawano wędzone ryby, znajdującego się w pobliżu, w wąskim przesmyku. Ramón zgasił silnik i rzucił kotwicę, po czym wyciągnął z lodówki butelkę szampana Dom Perignon. Ku zdumieniu Maribel miał nawet dwa kryształowe kieliszki, starannie zapakowane i schowane w jednej z szafek.

- Jesteś naprawdę bardzo przewidujący - zauważyła. - Przewidujący, troskliwy i hojny. Siedzieli na jednej z miękkich ławek na rufie. Ramón objął Maribel i uściśnął ją lekko.

- I jaki jeszcze? - zapytał. - Mów dalej.

- Sprytny, przystojny i seksowny - roześmiała się perliście.

, Odstawił kieliszek, zamknął ją w ramionach i pocałował z czułością.

- Dla ciebie, Maribel, zrobiłbym wszystko - wyszeptał. - Wszystko. Wsunął dłoń pod krótką bluzeczkę i zaczął gładzić piersi dziewczyny.

- Mmm - przeciągnęła się rozkosznie, ciesząc się, że nie włożyła stanika. - Przy tobie czuję się wspaniale.

- Najlepiej uwolnijmy cię od tego - szepnął, wędrując wargami w dół, po jej szyi, aż do rowka między piersiami, widocznego ponad obcisłym, różowym topem.

- O tak - przyklasnęła. - Zróbmy to. Noc jest taka ciepła. Ramón pomógł jej ściągnąć bluzkę. Sam zrzucił koszulkę polo.

- Prawdziwie gorąca noc, dziecino - powiedział.

Przebiegła dłońmi po jego mocnych ramionach i muskularnej klatce piersiowej, a potem w dół, aż do wybruszenia w szortach.

- Ach - powiedziała - a co my tutaj mamy?

- Prezent dla ciebie - odparł, wsuwając rękę pod jej króciutką spódniczkę.

Kiedy zorientował się, że nie miała pod nią bielizny, gwałtownie wciągnął powietrze. Maribel rozchyliła nogi, jednocześnie gładząc go przez materiał szortów. Ray pieścił ją, aż jęknęła, ciasno zwierając uda i rozkoszując się jego dotykiem.

- Dziewczyno, rozbierzmy się - powiedział cicho. - Widzę, że jesteś gotowa na prawdziwy odjazd.

- O tak. Myślę, że ty też.

Pozwoliła, by Ramón rozpiął i zsunął jej spódniczkę. Kopnięciem zrzuciła z nóg pantofle. Ray wstał i ściągnął szorty.

- Połóż się - szepnął, układając ją na ławce, a potem ukląkł między jej udami.

Kiedy się w nią zanurzył, Maribel głośno krzyknęła z rozkoszy.

- O, tak, Ray, tak!

Napierał z zapamiętaniem, rozpalony jej pragnieniem, niezdolny dłużej zapanować nad pożądaniem. Z każdym ruchem wychodziła mu naprzeciw, owładnięta namiętnością potężniejszą niż kiedykolwiek do tej pory.

Nagle krzyknęła głośno, czując, że ogarnia ją fala spełnienia. Ray wycofał się i zanurzył po raz ostatni, eksplodując jednocześnie z Maribel.

Potem opadł na nią, między jednym a drugim urywanym oddechem powtarzając, że ją kocha, i pozostał tak, nie chcąc opuszczać ciepłego wnętrza.

- O Boże - powiedziała Maribel. - Ramón, dajesz mi tyle rozkoszy.

- Wiem - przytaknął - wiem. My dwoje to potrafimy, prawda?

- O tak.

- I dopiero co zaczęliśmy - dorzucił, tuląc ją do siebie mocno.

- Pewnie, noc jest jeszcze młoda.

- To ty powiedziałaś, dziewczyno. - Zaczął poruszać się w niej, wolno i rytmicznie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Santoryn, Grecja

Dryfując na granicy snu, Tracey usłyszała łagodne, odległe dźwięki muzyki New Age. Powtarzające się, pulsujące akordy skojarzyły jej się z cichym, rytmicznym uderzaniem fal o brzeg. Zapadając z powrotem w drzemkę, nie mogła się nie uśmiechnąć, gdy przypomniła sobie, jak na początku była zdumiona, że właśnie ten rodzaj muzyki tak często rozlegał się z odtwarzacza Uranii. Potem okazało się, że gwiazda wcale nie chciała się odmładzać w ten sposób, tylko po prostu się przekonała, że te rytmy działają na nią uspokajająco. Teraz Tracey doszła do wniosku, że z nią jest tak samo.

Ponownie usłyszała muzykę, a potem poczuła na twarzy wilgotną gąbkę. Uniosła powieki i ujrzała Marka, siedzącego przy niej na łóżku.

Ostrożnie odwróciła głowę. Na ustawionym obok fotelu wyciągnęła się Urania, opierając bosc stopy o szkarłatnych paznokciach na nieskazitelnie wyprasowanych prześcieradłach. Paliła papierosa i z łagodnym uśmiechem przypatrywała się Markowi, pochylonemu nad Tracey.

- Kochanie, obudziłaś się - zaszczebotała.

- Tak - odezwała się z trudem Tracey. - Zdaje się, że znowu przespałam kolację.

Mark odsunął gąbkę.

- Owszem, przespałaś - przyznał. - Witamy na jawie. - Nachylił się i łagodnie pocałował ją w usta.

- Cześć - powiedziała Tracey, oddając mu pocałunek.

- Jak się czujesz, kochanie? - zapytała Urania, odkładając papierosa do popielniczki.

- O wiele lepiej. - Tracey uniosła się na łóżku, podpierając się rękami. Mark wsunął jej poduszkę pod plecy.

- Na pewno? - zapytał.

- Na pewno - zapewniła go z uśmiechem. Poprawiła pozycję, siadając niemal zupełnie prosto, oparta na miękkiej poduszce. Skrzywiła się jednak z bólu.

Nie odniosła żadnych poważniejszych obrażeń, ale całe ciało miała w zadrapaniach i sińcach, a wszystkie mięśnie ponaciągane. Z opatrunków założono jej tylko elastyczny bandaż na skręconą kostkę. Skaleczeń nie trzeba było zaklejać plastrami, wystarczyło je tylko przemywać wodą utlenioną i dwa razy dziennie nakładać maść z antybiotykiem; tego rytuału Mark dokonywał osobiście rano i wieczorem.

Dopiero kiedy pierwszy szok ustąpił, Tracey zdała sobie sprawę, ile miała szczęścia, uchodząc z życiem. Więcej czasu zajmie leczenie ran psychicznych, ale i w tym wypadku obecność Marka i świadomość, że ją uratował, łagodziła skutki szoku. Tracey nadal budziła się w nocy, obłana zimnym potem i przerażona straszliwymi wizjami, które prześladowały ją we śnie. Tak podobna do twarzy Uranii twarz Gai, jej matki, martwej, spoczywającej na łożku w wieży. Morderca, Ted - ale jednocześnie nie Ted - najpierw gonił ją, a później wciągał do cysterny. Na szczęście, kiedy się budziła wśród splątanych prześcieradeł, Mark zawsze był przy niej i trzymał ją w ramionach, kołyszając do snu.

- Jesteś głodna? - zapytał teraz. - Podczas obiadu nie zjadłaś zbyt wiele.

Tracey potrząsnęła głową.

- Nie - powiedziała - ale chętnie napiłabym się czegoś.

- Ja przyniosę. - Urania poderwała się zżywieniem. - Co byś chciała, kochanie, sok, wodę, colę? Tylko powiedz.

- Trochę wody, Uranio.

- Gazowanej?

- Tak, poproszę.

Aktorka wsunęła stopy w sandały i wyszła z pokoju. Mark pochylił się, pocałował Tracey w czoło i ujął jej rękę.

- Nareszcie sami - wyszeptał. Tracey uśmiechnęła się lekko.

- Troszczy się o mnie niczym kwoka. - Popatrzyła na niego. - Zresztą oboje się troszczycie.

- Ponieważ oboje cię kochamy, choć na różny sposób.

- Ja też cię kocham - powiedziała Tracey, ściskając jego palce. Przez chwilę milczała, pogrążona w myślach. - Czy Urania zdecydowała już, kiedy odbędzie się pogrzeb?

- Czeka, aż poczujesz się lepiej.

- Już dobrze się czuję.

- Jesteś pewna?

- Tak - odrzekła - absolutnie pewna. Myślę, że prędzej doszłabym do siebie, gdyby nie te wszystkie środki przeciwbólowe i uspokajające, które przepisał mi doktor. To przez nie nie jestem głodna. Mają tak silne działanie, że zmieniły mnie w zombi.

- Może tego właśnie potrzebowałaś - zawyrokował Mark - po tych wszystkich okropnościach, z którymi przyszło ci się zmierzyć.

- Może - zgodziła się Tracey - jednak chciałabym już wrócić do normalnego życia. Wiem, że spotkało mnie wiele złego, ale chyba łatwiej się z tym wszystkim uporam, jeśli

przestanę widzieć świat jak przez mgłę. Poza tym jestem już zmęczona traktowaniem mnie jak inwalidki.

- Masz, Tracey - odezwała się Urania, wracając do pokoju. - Wcisnęłam odrobinę cytryny. Wypijesz teraz?

- Tak, proszę. - Tracey wzięła szklanke, upiła łyk i odstawiła ją na stolik przy łóżku. - Dziękuję, Uranio.

Gwiazda ściągnęła sandały i usiadła, ponownie opierając stopy o krawędź łóżka.

Tracey popatrzyła na nią z wdzięcznością.

- Wytrzymam już pogrzeb - odezwała się opanowanym głosem. - Mark powiedział mi, że czekałaś, aż poczuję się lepiej, i bardzo ci za to dziękuję.

- Przynajmniej tyle mogłam zrobić. - Wzruszyła ramionami. - Jeśli uważasz, że dasz radę, załatwię resztę formalności. Ojciec Apostolou zgodził się powiedzieć kilka słów. Pochowamy ją na małym katolickim cmentarzu, tu w sąsiedztwie. Gaja... twoja matka... - Uranii łzy napłynęły do oczu, głos jej się załamał. - Przykro mi kochanie, nadal nie potrafię się z tym uporać. - Odczekała chwilę, żeby się uspokoić, po czym podjęła: - Gaja była wierząca, przynajmniej dawniej. No więc jeśli się zgodzisz, ojciec Apostolou powie kilka słów na cmentarzu, a potem wrócimy tutaj na obiad. Czy odpowiada ci jutro?

- Tak, oczywiście - odrzekła Tracey. - I naprawdę jestem ci wdzięczna, że na mnie poczekałaś.

Mówiła szczerze, gdyż naprawdę czuła wdzięczność dla Uranii za jej starania, choć jednocześnie cała sytuacja wydawała jej się dość dziwaczna. Ustalanie szczegółów pogrzebu kobiety, która była jej matką, podkreślało tylko fakt, że wcale jej nie znała. Gdyby nie to, że słyszała po nocach straszliwe krzyki Gai, a potem była świadkiem jej okrutnej śmierci, nie byłaby pewna, czy ma dla niej jakiegokolwiek uczucia.

- Zadzwoń do ojca Apostolou i ustalę z nim godzinę - powiedziała Urania, wstając. - Zaraz wracam.

Oboje odprowadzili ją wzrokiem, po czym Mark pochylił się i pocałował Tracey. Zaplotła ręce wokół jego szyi i przyciągnęła go do siebie, oddając pocałunek.

- Jestem taka szczęśliwa, że tu jesteś - wyszeptała gorąco. - Gdyby nie ty, nie żyłabym już, a poza tym jesteś wspaniałym lekarzem i... jeszcze lepszym kochankiem.

- Dopóki nie uszkodzę pacjentki. - Mark się roześmiał.

- Nie zanosz się na to - zapewniła go. - Przy tobie z każdą chwilą czuję się lepiej. I kiedy Urania wróci, myślę, że powinniśmy jej powiedzieć, że chciałabym się wcześniej położyć.

- Czy sądzisz, że cioteczka Urania w to uwierzy?

- Ani przez chwilę - zaśmiała się Tracey. - Ale przynajmniej wyjdzie i poszuka sobie zajęcia gdzie indziej.

- Podczas gdy my będziemy zajęci tutaj, tak?

- Owszem - przytaknęła Tracey. - Bardzo zajęci.

- W takim razie sam powiem jej, że chcę się zająć twoimi skaleczeniami.

- Nie musisz, ale byłabym ci wdzięczna, gdybyś to zrobił. Mark pocałował ją, wstał i udał się na poszukiwania Uranii.

Tracey śledziła go wzrokiem, nadal zafascynowana jego urodą Adonisa. Tego roku miałam paskudne szczęście, pomyślała, ale teraz, kiedy poznałam Marka i kiedy się w nim zakochałam... teraz wszystko wydaje się o wiele lepsze.

Po chwili był z powrotem przy jej łóżku.

- Misja zakończona powodzeniem - oznajmił.

- Tak po prostu?

- Zdziwiająca, prawda? Ta cała historia poskromiła legendarną Uranie Vickers. Jestem gotów się założyć, że ten stan potrwa co najmniej kilka dni.

- Ty niegrzeczny chłopcze - powiedziała Tracey ze śmiechem - żeby żartować sobie w podobny sposób z mojej biednej cioci. Chodź tutaj. Będziesz musiał mnie pocałować na przeprosiny.

Mark nachylił się nad łóżkiem i ucałował jej wargi.

- Z rozkoszą.

Niebo zaciągnęło się chmurami, dmuchał przenikliwy wiatr, wzburzone morze jak okiem sięgnąć znaczyły białe grzywy fal. Pogrzeb odbywał się na starym katolickim cmentarzu w pobliżu willi Uranii. Żałobnicy zgromadzili się przed niewielką kapliczką, typową dla zabudowy Santorynu, z błękitnym, kopulastym, zwieńczonym krzyżem dachem, bielonymi ścianami i starymi, drewnianymi drzwiami. Stojąc nad prostą, zarzuconą białymi różami trumną, ojciec Apostolou wygłaszał modlitwy żałobne, ale wiatr porywał jego słowa, tak że nie docierały do uszu słuchaczy.

Urania, Tracey i Mark stali razem, za nimi zgrupowali się pozostali mieszkańcy willi. W pewnej odległości fotoreporterzy robili zdjęcia przez teleobiektywy; słychać też było nieustanny szum pracujących kamer. Wiadomości o morderstwie nie dało się ukryć, więc dziennikarze tłumnie zjechali na wyspę, na szczęście lokalna policja, zawsze starając się chronić prywatność Uranii, zmobilizowała wszystkie siły, by nie dopuścić prasy do grobu ani na teren posiadłości.

Tracey widziała poruszające się wargi księdza, słyszała słaby szum, ale myślami była zupełnie gdzie indziej. Kątem oka dostrzegała spływające po twarzy Uranii łzy, widoczne nawet przez gęsty, czarny welon, spływający wokół runda ogromnego kapelusza, który aktorka miała na głowie. Przywiodły jej na myśl noc morderstwa - noc, kiedy po raz pierwszy widziała wielką gwiazdę bez maski, ukazującą swoje prawdziwe uczucia.

Wyciągnąwszy z cysterny Tracey, Mark przeniósł ją na zalany strugami wody taras koło basenu. Tam uparła się, żeby postawił ją na ziemi. W tym momencie weszła przez bramę Urania, osłaniając się przed deszczem zarzuconym na głowę płaszczem.

- Mark - wykrzyknęła - skąd, na Boga... - Nagle zobaczyła Tracey, brudną, w podartym ubraniu, z twarzą, ramionami i nogami umazanymi krwią i błotem, mieszającymi się z deszczem. - Mój Boże, Tracey, co się stało? - Zapominając o ulewie, Urania zastygła nieruchomo na tarasie, wpatrzona w oboje.

- Szybko - powiedział Mark. - Wejźmy do środka. Trzeba sprowadzić lekarza i policję.

- Policję? - wykrzyknęła Urania, kiedy Mark wprowadził je obie do głównego holu. - Ale... ja byłam u sir Hugh. Co się tutaj dzieje?

Kiedy znaleźli się w środku i zapalili lampy, Tracey w urywanych słowach zrelacjonowała nocne wydarzenia. Urania była wstrząśnięta, a usłyszawszy o morderstwie w wieży, omal nie zemdląła. Mark sięgnął do wieczorowej, wyszywanej cekinami torebki aktorki, wyciągnął jej telefon komórkowy i wybrał numer policji, znany tylko Uranii i kilku najbardziej prominentnym mieszkańcom wyspy.

Minęła ponad godzina, zanim policjanci i pogotowie opuścili willę. Stavrosa, panią Stefanou, jej matkę i Iliki przewieziono do szpitala w Firze. Okazało się, że podano im silny środek odurzający, ale ogólnie wyszli z tego bez szwanku. Ciało zamordowanej zostało zabrane do kostnicy, Teda natomiast pozostawiono tam, gdzie spadł, gdyż - zdaniem policji - stara cysterna była praktycznie bezdena. Stróże prawa przeszukali dosłownie każdy centymetr kwadratowy posiadłości, przyświecając sobie latarkami. W końcu odjechali, zebrawszy uprzednio zeznania i zapewniając, że teraz nikomu nie zagraża już niebezpieczeństwo.

Później policji udało się ustalić, iż prawdziwe nazwisko Teda brzmiało: Frederico Paulo Salerno i że urodził się w Nowym Jorku, a mieszkał w Miami Beach na Florydzie. Z Interpolu nadeszła informacja o jego powiązaniach ze zorganizowanym światem przestępczym.

Lokalna policja doszła do wniosku, że powodem wtargnięcia Teda na teren posiadłości, unieszkodliwienia służby i zamordowania kobiety, która stanęła mu na drodze, był zamiar zgwałcenia Tracey. Znał tylko ją w całej willi, poza Uranią, z którą zetknął się zaledwie przelotnie, tak więc „eksperci” uznali, iż miał obsesję na punkcie młodej kobiety. Sama Tracey była zbyt oszołomiona, żeby podsuwać stróżom prawa inne hipotezy, nie odezwała się więc ani słowem.

Doktor obejrzał jej skaleczenia. Większość okazała się powierzchowna, ale istniała groźba infekcji. Na kostkę założył elastyczny bandaż, a oprócz tego zaordynował środki uspokajające i przeciwbólowe. Wreszcie wyszedł, zostawiając buteleczki z lekarstwami, i polecił, by przez kilka najbliższych dni je zażywała.

Pozapalane w salonie lampy rzucały małe kręgi światła. W innych warunkach stwarzałyby może romantyczny nastrój, ale podczas tej okropnej nocy przydawały tylko upiorności otoczeniu. Tracey leżała na tapczanie, owinięta kocem. Obok siedział Mark, opiekuńczo obejmując ją ramieniem. Urania przysunęła sobie do nich krzesło i usiadła, trzymając w jednej ręce kieliszek brandy, a w drugiej zapalonego papierosa. Rozczochrane włosy opadały jej na twarz niczym sploty meduzy, w oczach widniało przerażenie, nieskazitelny makijaż rozpląnął się we łzach. Teraz wygląda o wiele starzej, pomyślała Tracey. Nawet piękna, wieczorowa suknia, którą włożyła na kolację u sir Hugh, sprawiała wrażenie jarmarcznej tandety. Cały jej blask gwiazdy zniknął pod wpływem nocnych wydarzeń.

- Myślę - zaczęła Urania swoim ochryłym głosem - że spotkał nas cud, za który powinniśmy być wdzięczni Bogu. - Słaby uśmiech pojawił się na jej wargach, kiedy popatrzyła na Marka. - Że twój samolot mimo burzy wylądował bezpiecznie. Inaczej Tracey byłaby już martwa.

- Kiedy opuszczaliśmy Ateny, nic nie zapowiadało kłopotów - odrzekł. - Nie sądzę, abyśmy wystartowali, gdyby było wiadomo, na co się zanoszą. Nikt się nie spodziewał takiej nawałnicy.

Urania upiła łyk brandy, po czym odstawiła kieliszek na stół.

- Tracey, kochanie, na pewno nie chcesz koniaku?

- Nie, chyba nie. Zaczynam już odczuwać ten środek uspokajający.

- Na mnie mój też już działa, a mimo to piję. Mark?

- Myślę, że się napiję - powiedział. Delikatnie poklepał Tracey po ramieniu, podszedł do stolika z alkoholami, nalał sobie sporą porcję i ponownie usiadł obok dziewczyny na kanapie.

Urania przyglądała się swoim paznokciom, pogrążona w myślach. Wreszcie uniosła głowę i popatrzyła wprost na Tracey. W jej oczach malował się bezbrzeżny smutek.

- Ja... ja myślę, że jestem ci winna wyjaśnienie - powiedziała w końcu. - Nie będzie to łatwe dla żadnej z nas.

Tracey skinęła głową. Postanowiła pozwolić mówić Uranii, a sama tylko słuchała, nie zadając żadnych pytań, choć cisnęło jej się na usta niejedno, nawet pomimo środka uspokajającego.

- Uranio, nie musisz mówić o tym teraz - zaproponował Mark. - Może najpierw chcesz trochę odpocząć.

Urania potrząsnęła głową.

- Nie, Mark, nie mogłabym teraz odpoczywać; zresztą powinnam wreszcie wyrzucić to z siebie.

Zgasiła papierosa, zapaliła następnego, wstała i zaczęła wolno chodzić po pokoju, zaciągając się nerwowo. Wreszcie usiadła z powrotem, wypila łyk brandy i ponownie skierowała wzrok na Tracey.

- Gaja... ta kobieta w wieży była moją siostrą bliźniaczką. Pewnie sama odgadłaś, jeśli przyjrzałaś jej się bliżej. Byłyśmy identyczne, nawet to małe znamię na lewym policzku. Każdy nam powtarzał, że śmiało możemy uchodzić jedna za drugą, zresztą czasami dla zabawy zamieniałyśmy się rolami. Dorastając, byłyśmy nierozłączne. Nigdy żadne siostry nie były bliższe sobie... przynajmniej do czasu.

Ciekawość Tracey zwyciężyła nad postanowieniem, żeby nie zadawać żadnych pytań.

- Czy to się zmieniło? Ta wasza bliskość? Oddaliłyście się od siebie?

- Kiedy... kiedy zaczęłam być sławna - odpowiedziała aktorka. - Stopniowo coraz rzadziej się widywałyśmy. Nie dlatego, żebym nie chciała, ale praca zmuszała mnie do ciągłych wyjazdów. Poza tym Gaja nienawidziła światła jupiterów i nie chciała być znana wyłącznie z mojego powodu. Tak przynajmniej sądziłam. - Urania głęboko zaciągnęła się papierosem i wypuściła kłąb dymu ku sufitowi. - W każdym razie wyszła za męża i przez kilka lat pierwszego małżeństwa mieszkała w Europie.

- Miała więcej niż jednego męża? - zapytała Tracey, ogarnięta coraz większą ciekawością.

Urania skinęła głową.

- Tak. Jej pierwszy związek okazał się kompletnym niewypałem. Poślubiła Anglika, bogatego i przystojnego, to prawda, ale jednocześnie alkoholika i hazardzistę. Wiedziała o tym, ale wierzyła, że go zmieni. Jak głupia uważała, że małżeństwo okaże się dla niego

ratunkiem. Cóż, zamienił jej życie w piekło, tak że w końcu rozeszła się z nim i wróciła do domu. - Urania z ciężkim westchnieniem zgasiła papierosa.

- Czy wyszła ponownie za mąż? - zapytała Tracey.

Urania przez chwilę w milczeniu przyglądała się paznokciom. Potem westchnęła ponownie i podniosła głowę.

- Tak - powiedziała. - W jakiś czas później ponownie wyszła za mąż. - W jej głosie brzmiała nutka irytacji.

- A czy to małżeństwo okazało się udane? - nie przestawała pytać Tracey.

- Och... wydawało się idealne. Z pozoru... Istniały pewne problemy.

Zanim zdążyła zadać następne pytanie, zrobił to Mark.

- A co spowodowało jej stan? - zapytał, starannie dobierając słowa. - Dlaczego trzymano ją w więzy?

Urania zapaliła kolejnego papierosa.

- Nie była wariatką, jeśli to masz na myśli - rzuciła, przybierając postawę obronną.

- Nie - odrzekł Mark łagodnie. - Nie to miałem na myśli. Ale musisz przyznać, że to dziwne, aby ta kobieta, twoja siostra była trzymana tutaj, w ukryciu i nikt o tym nie wiedział.

- Ja wiedziałam! - krzyknęła Urania. - Zawsze wiedziałam. - Otarła łzy napływające jej do oczu.

- Przykro mi, Uranio - powiedział Mark. - Nie chciałem cię zranić.

Urania skwitowała jego słowa machnięciem ręki.

- Maria Stefanou także wiedziała, oczywiście. I tutejszy lekarz. Opiekowaliśmy się nią przez całe lata. - Urwała i sięgnęła po brandy. - Trudno mi o tym mówić - wyznała, odstawiając kieliszek. - Tak długo musiałam trzymać ją w zamknięciu. - Westchnęła z goryczą. - No więc Gaja i Victor, jej pierwszy mąż, wracali z przyjęcia w Londynie do swojego domu na wsi. Victor jak zwykle wypił za dużo i prowadził z nadmierną prędkością. Doszło do strasznego wypadku. Z landrowera został kompletny wrak, Victor wyszedł z kilkoma zaledwie zadrapaniami, natomiast Gaja wyleciała z samochodu i doznała poważnych obrażeń głowy.

- To dlatego... dlatego później wymagała opieki? - zapytał Mark.

- Tak. Po wypadku wystąpiła o rozwód i wróciła do Stanów. Wreszcie miała dosyć Victora. Przedtem spędziła pewien czas w szpitalu w Londynie, ale tam niewiele mogli dla niej zrobić. Doznała uszkodzenia płatów czołowych. Kiedy wróciła do domu, w pierwszej chwili wyglądała jak dawna Gaja, piękna, łagodna i słodka.

W oczach Uranii ponownie ukazały się łzy. Mark wstał, sięgnął po chusteczki i podał aktorce. Otarła oczy.

- Dziękuję ci, kochanie - powiedziała, odkładając papierosa. Mark wrócił na swoje miejsce obok Tracey i objął ją ramieniem.

* - To takie smutne - podjęła Urania. - Tak naprawdę nigdy nie mogłam się pogodzić z tym, co ją spotkało. Zawsze wydawało mi się to takie niesprawiedliwe. - Wypiła kolejny łyk brandy. - Lekarze ostrzegali mnie, że to może nastąpić, ale im nie wierzyłam. Jak już mówiłam, po wypadku Gaja wydawała mi się niezmienną. Wyglądała tak samo pięknie jak dawniej. Dopiero z czasem zaczęłam dostrzegać niewielkie zmiany w jej charakterze.

- Na przykład? - zapytał Mark.

- Och, początkowo bardzo subtelne. Stała się bardziej wyciszona, a nawet obojętna. A potem odkryłam, że zaczęła kłamać, co było zupełnie sprzeczne z jej naturą. Czasami udawała przed ludźmi, że jest mną, a przyłapaną, nic sobie z tego nie robiła. Jeśli jej na czymś zależało, upierała się przy tym niczym rozkapryszone dziecko. O właśnie, stała się infantylna; to słowo najtrafniej oddaje jej zachowanie.

- Musiało to być dla ciebie okropne - wtrąciła Tracey.

- Było potworne i przygnębiające - odrzekła Urania. - Mogłam jej tylko pilnować, nic więcej. Wszyscy lekarze powtarzali to samo: beznadziejny przypadek. Z powodu uszkodzenia płatów czołowych Gaja coraz bardziej traciła kontrolę nad swoim umysłem, a najgorsze miało dopiero nadejść. Byłam wtedy bez pracy, nie kręciłam żadnych filmów, nie występowałam w telewizji, po prostu nic. Grałam od szesnastego roku życia i nagle, kiedy przekroczyłam trzydziestkę, nie było dla mnie żadnych propozycji. Zupełnie jakby moją twarz nagle wymazano z mapy. Ale przynajmniej mogłam poświęcić więcej czasu Gai.

Westchnęła znowu, z wysiłkiem, jakby opowiadanie całej tej historii wyczerpało jej siły, jednak mówiła dalej:

- Reszty pewnie się domyślicie. Z Gają działo się coraz gorzej. Wreszcie przywiozłam ją tutaj, gdzie we dnie i w nocy miała zapewnioną opiekę. Nie wylądowała w żadnym z tych okropnych zakładów. Wiem, że to może nie wygląda najładniej, ale Maria Stefanou zajmowała się nią wspaniale, a mieszkańcy wyspy, nawet jeśli coś wiedzieli - a jestem pewna, że tak - milczeli, powodowani życzliwością.

- A jej drugi mąż? - zapytała Tracey. - Co się z nim stało?

- Nie wiem. - Urania wzruszyła ramionami.

- Czy mieli dzieci? - indagowała Tracey.

Aktorka popatrzyła na nią zdumiona. Milczała chwilę.

- Dlaczego tak cię to interesuje? - zapytała w końcu.

- Po prostu jestem ciekawa.

- No cóż, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć - Urania wypuściła kłęb dymu - owszem, Gaja urodziła dziecko.

- Co się z nim stało? - naciskała Tracey z determinacją, pragnąc zdobyć jak najwięcej informacji. Teraz już była pewna, że ona i Maribel od samego początku wpadły na trop czegoś ważnego.

Gwiazda wyglądała na skonsternowaną. Zmarszczyła brwi.

- Tego też nie wiem.

- Ale... jak to możliwe? - zdumiała się Tracey. - Twoja siostra miała męża i dziecko, a ty nie wiesz, co się z nimi stało?

Mark łagodnie poklepał ją po ramieniu, dając do zrozumienia, że za bardzo nalega, jednak Tracey zignorowała jego ostrzeżenie.

- Tracey, kochanie - odparła Urania kąśliwym tonem - czy to moja wina, że oboje zniknęli? On zabrał dziecko i rozpląnął się w powietrzu. Próbowałam ich odnaleźć, starałam się - w końcu miał córeczkę Gai - ale nie natrafiłam na najmniejszy nawet ślad.

Córeczka, pomyślała Tracey. Wysunęła się z objęć Marka, odrzuciła koc, którym ciągle była owinięta, i wstała.

- Czy będziesz miała coś przeciwko temu, jeśli coś ci pokażę? - zwróciła się do Uranii.

Aktorka popatrzyła na nią zdumiona.

- Ale co? - zapytała. - O co ci chodzi, Tracey?

Zanim oboje zdążyli zaprotestować, Tracey pospieszyła do swojego pokoju. Zabrała album i wróciła na dół.

Urania i Mark toczyli cichą rozmowę. Kiedy weszła do salonu, skierowali na nią zdziwione oczy.

- Co tam masz? - zapytał Mark.

- Zaraz wam pokażę - powiedziała Tracey, siadając obok niego. - Opowiadałam ci o śmierci mojego ojca - zwróciła się do Uranii - ale nie wspomniałam o jego osobistych rzeczach, na które natrafiłam dopiero wtedy, kiedy już nie żył.

- Ale co to może mieć wspólnego ze mną? - zapytała aktorka, gasząc papierosa.

- Mogę się mylić - powiedziała Tracey - ale popatrz sama. Położyła album na stoliku do kawy, tak by i Mark mógł zobaczyć zdjęcia, i otworzyła na pierwszej stronie, z wklejoną fotografią ojca i kobiety, która prawdopodobnie była jej matką.

Urania zerknęła bez zbytniego zainteresowania, a potem nagle zerwała się z krzesła, opadła na kolana i porwała album, żeby lepiej przyjrzeć się zdjęciu.

- O Boże! - zawołała. W jej oczach, utkwionych w starej fotografii, znowu zabłysły łzy. - To Gaja i Tom - wyjaśniła. - To z ich ślubu. - Podniosła wzrok na Tracey. - Skąd to masz? - zapytała oskarżycielskim tonem.

- Znalazłam w albumie mojego ojca, jak sama widzisz - odrzekła dziewczyna.

- Ale... ale jak...? - Urania urwała, nie odrywając od niej spojrzenia.

Tracey wyjęła z koperty kilka dokumentów i wyciągnęła w stronę aktorki.

- Obejrzyj je i powiedz, co o tym myślisz - zaproponowała. Urania wzięła papiery do ręki.

- Och, Tracey, naprawdę nie wiem... - Nagle jej wzrok padł na jedno z nazwisk. - A to skąd wzięłaś? - zapytała, pokazując akt ślubu.

- Znalazłam w albumie ojca - powtórzyła dziewczyna. Urania trzymała dokument w drżącej dłoni, przenosząc wzrok z papieru na Tracey i z powrotem.

- Tutaj... tutaj jest moje imię i nazwisko - powiedziała. - Victoria Ure. Tak się nazywałam, zanim w studiu wymyślili mi pseudonim.

Tracey otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Przecież jej ojciec ożenił się z Gają, tymczasem na świadectwie ślubu widniało imię i nazwisko Uranii. W żaden sposób nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć i czuła się bardziej zdezorientowana niż kiedykolwiek.

Urania potrząsała głową, jakby chcąc uporządkować myśli.

- To świadectwo ślubu Gai - powiedziała w końcu drżącym głosem. - Podała moje imię i nazwisko. Mówiłam ci, że odkryłam, że po wypadku zaczęła udawać mnie, pamiętasz?

Tracey skinęła głową.

- Okazało się, że ukradła mój paszport i metrykę urodzenia i posłużyła się nimi, wychodząc za Toma. Z początku nie miałam o niczym pojęcia. Nie wiem, dlaczego to zrobiła. Nie do końca to rozumiem, ale przypuszczam, że to wszystko były następstwa wypadku.

- Obejrzyj jeszcze potwierdzenie zmiany nazwiska - odezwała się Tracey. - Te dokumenty też powinny cię zainteresować.

Teraz znała już prawdę. W głowie jej wirowało od wszystkich tych wiadomości, ale za wszelką cenę starała się zachować spokój.

Urania patrzyła na trzymane w dłoni papiery, studiując je uważnie jeden po drugim. Wreszcie przeniosła wzrok na Tracey, a na jej twarzy malował się wyraz najwyższego zdumienia.

- Ty... ty jesteś moją siostrzenicą, prawda? - wykrztusiła z siebie w końcu.

- Tak przypuszczam - powiedziała Tracey.

Mark z niedowierzaniem przysłuchiwał się tym rewelacjom.

- Co takiego? - wykrzyknął. - Tracey, wiedziałaś o tym? Potrząsnęła głową.

- Nie miałam pojęcia - odrzekła. - Dokumenty znalazłam dopiero po śmierci taty, niedługo przed przyjazdem tutaj. Nie wiedziałam, co o tym wszystkim sądzić, ale moja przyjaciółka Maribel zwróciła mi uwagę, że kobieta na zdjęciu wygląda dokładnie tak samo jak Urania Vickers, gwiazda filmowa.

- To niewiarygodne! - zawołał Mark, spoglądając na Tracey.

- Zgadzasz się. - Ponownie odwróciła się w stronę Uranii. - Kiedy to znalazłam, nie wiedziałam nawet, kim ty jesteś. Nie miałam też pojęcia, że mój ojciec zmienił nam nazwisko, sobie i mnie.

- Twoje nazwisko zostało zmienione? - zapytał Mark. Tracey skinęła głową.

Urania trzymała odpowiedni dokument w wyciągniętej ręce.

- Tracey nazywała się przedtem Anna Melinda Reynolds - powiedziała. - Imię Anna otrzymałaś po naszej matce - dodała załamującym się głosem, spoglądając na nią. Popatrzyła na drugi dokument. - A twoim ojcem był Thomas Luke Reynolds. Tom, który zakochał się w Gai. Ale on myślał, że żeni się z Victoria.

- Chcesz powiedzieć, że był przekonany, że poślubił ciebie? - zapytał Mark z niedowierzaniem.

- Tak. - Urania skinęła głową. - Tylko że kiedy zakochał się w Gai, nie wiedział, kim jestem. Gdy to odkryłam, poczułam się nawet urażona, ale Tom był... cóż, Tom był zupełnie inny. Nie interesowały go filmy, telewizja ani tego typu sprawy. Za to Gaję kochał z całego serca.

- To dlaczego potem zmienił nazwisko? - zapytała Tracey. - I moje także? A skoro kochał Gaję tak bardzo, czemu się zgodził, żebyś ją zabrała?

- Och, Tracey - Urania westchnęła głęboko. - Tak trudno mi o tym mówić. Kiedy się pobierali, Tom nie miał pojęcia o chorobie Gai. Potem przyszłaś na świat ty, a jej stan zaczął się pogarszać. Tom widział zmiany, ale nie mógł ich zrozumieć, dopóki wszystkiego mu nie wytłumaczyłam. Serce krwawiło mu na myśl, że Gaję trzeba będzie oddać do zakładu.

- Ciągle nie rozumiem, dlaczego pozwolił ją zabrać? - powtórzyła Tracey.

- Tom bał się mnie - wyznała Urania. - Gai też się trochę obawiał. Widzisz, podejrzewał, że będziemy usiłowały odebrać mu ciebie.

- Ale dlaczego miałybyście zrobić coś takiego? - nie mogła pojąć Tracey.

- To proste - wyjaśniła Urania. - Żeby uszczęśliwić Gaję. Zrobiłabym prawie wszystko, żeby uczynić ją szczęśliwą. Byłam już wtedy sławna i miałam pieniądze, więc twój ojciec bał się, że uda mi się to przeprowadzić. Gdybym posłużyła się moim nazwiskiem i wpływami, sąd mógłby pozwolić Gai cię zatrzymać. Proponowałam Tomowi pieniądze, ale nie chciał ich przyjąć. Nie podobało mu się takie rozwiązanie, pozwolił jednak Gai odejść przez wzgląd na jej dobro. Wiedział, że jeśli się nią zaopiekuję, nie trafi do zakładu. Natomiast kategorycznie nie pozwolił odebrać sobie córki.

- A więc dlatego... - zaczęła Tracey.

- Dlatego zniknął razem z tobą - dokończyła Urania. - Bał się, że będziemy usiłowały cię zabrać. Nie mogłam później trafić na jego trop. Przyznaję, że nie szukałam zbyt gorliwie. Tom był niesamowicie niezależny - zawsze sam był sobie panem - i uznałam, że pragnie żyć własnym życiem, więc zostawiłam wszystko własnemu biegowi.

Urania odstawiała pustą szklaneczkę na stolik.

- Muszę też wyznać, że nie życzyłam sobie żadnego rozgłosu. Gdyby doszło do sprawy w sądzie i stan Gai stałby się powszechnie znany, nie byłoby to dobre dla mojej kariery. Już ci mówiłam, że przez dłuższy czas nie miałam pracy, toteż później w żaden sposób nie chciałam narażać na szwank swojej przyszłości. To były ciężkie czasy dla mnie. Dla nas wszystkich.

Tracey przypatrywała się tej kobiecie, nie do końca wiedząc, co o niej myśleć. Zbyt wiele spadło na nią od razu i teraz miała mieszane uczucia. Z jednej strony doceniała miłość ojca, z drugiej nie mogła bez żalu myśleć o tym, że przez wszystkie lata trzymał przed nią w tajemnicy prawdę o matce. Czyżby się obawiał, że Tracey zechce do niej odejść albo przynajmniej spotkać się z nią? A może po prostu chciał jej oszczędzić bólu, jaki musiałyby odczuwać, widząc matkę w takim stanie? A Urania? Czy sama nie przyznała się przed chwilą, że nie szukała jej zbyt gorliwie? Czy nic jej nie obchodziła córka bliźniaczej siostry? Jej własne ciało i krew?

Urania jakby czytała w jej myślach.

- Tracey - zaczęła miękko - nie umiem tego dobrze wyrazić... ale... ale ja jestem naprawdę szczęśliwa, że się odnalazłaś. To szok dla nas obu i nie wiemy, jak się zachować ani co powiedzieć, ale ja... ja cię dawniej kochałam. Byłaś... jesteś córką Gai. Myślę, że mogłabym pokochać cię znowu.

Łzy napłynęły Tracey do oczu. Szlochała cicho w objęciach Marka. Po policzkach Uranii także spływały łzy. Podniosła się ze swojego miejsca, usiadła obok Tracey i uściśnęła ją niezgrabnie.

- My... damy sobie radę z tym wszystkim - powiedziała. - Wspólnie, ja i ty. I znowu staniemy się rodziną.

scandalous

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Po krótkim nabożeństwie żałobnym zjedli wczesny obiad w willi. Kiedy ksiądz się pożegnał, a służba rozeszła się do swoich zajęć, Tracey, Mark i Urania usiedli razem w salonie. Urania przeglądała album, jak robiła to już wiele razy, odkąd Tracey jej go pokazała.

Zadzwonił telefon, ale nikt nie podniósł słuchawki. W arkadowym przejściu pojawiła się Maria Stefanou.

- To do ciebie, Tracey - odezwała się z nowym szacunkiem w głosie. - Pani Maribel z Miami. Mam jej powiedzieć, żeby zadzwoniła później?

- Nie - odrzekła Tracey - odbiorę. Maria Stefanou wcisnęła przełącznik.

- Chwileczkę - powiedziała do słuchawki.

Wyszła na taras, ciekawa, z czym dzwoni przyjaciółka. Już przedtem Maribel zdążyła jej opowiedzieć o wydarzeniach w Miami. Oby tym razem chciała wyłącznie poplotkować. Po ostatnich niwelacjach Tracey miała dość wszelkich dramatów.

- Tak, Maribel?

- Och, *cariña*, mam dla ciebie nowinę - zaczęła przyjaciółka z podnieceniem. - Pamiętasz Celię Dunne, tę pośredniczkę handlu nieruchomościami?

- Oczywiście - odrzekła Tracey, szczęśliwa, że chodzi tylko o to.

- Zadzwoniła do mnie. Podobno wysłała do ciebie e - mail, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

- Nikt z nas nie sprawdzał jeszcze poczty - wyjaśniła Tracey.

- Ktoś chce kupić twój dom.

- I co? - zapytała Tracey, bynajmniej niezaskoczona. Wiedziała, że sprzeda go natychmiast.

- Oferują milion dolarów. Tracey milczała.

- Jesteś tam jeszcze czy zemdląłeś z wrażenia? - W głosie Maribel brzmiał prawdziwy triumf.

- Zadzwoni do Celi i powiedz, że chcę trzy - odpowiedziała Tracey.

- Trzy miliony dolarów? - powtórzyła Maribel ze zdumieniem.

- Tak - potwierdziła Tracey. - Ani centa mniej. I, Maribel? - Tak?

- Dziękuję ci za wszystko, ale teraz muszę już kończyć. Kocham cię i niebawem się spotkamy, dobrze?

- Dobrze - powtórzyła Maribel.

Tracey się rozłączyła. To Biggs, pomyślała. Nieważne, czym nazwiskiem podpisano ofertę, i tak stoi za nią Biggs. Nie może być inaczej. Niech sobie bierze tę działkę. Jego syn prawdopodobnie nigdy nie wyjdzie z więzienia. To wysoka cena, jak na nieruchomości.

Wróciła do salonu.

- Wszystko w porządku? - zapytał Mark.

- Tak - odpowiedziała. - Ktoś chce kupić mój dom.

- Och - wtrąciła Urania - mam nadzieję, że to oznacza masę forsy.

- Owszem, cena wydaje mi się rozsądna.

- Kochanie, nie możesz z miejsca akceptować każdej sumy, jaką ktoś ci zaproponuje - odezwała się Urania nieznoszącym sprzeciwu tonem. - Może powinnaś pozwolić, abym to ja porozmawiała z tymi ludźmi. Uwierz mi, że doskonale potrafię się targować. Lata w przemyśle rozrywkowym czegoś mnie w końcu nauczyły.

- Ktoś już się zajmuje tą transakcją w moim imieniu - odrzekła Tracey - ale bardzo ci dziękuję za propozycję. - Poczowała znaczący ucisk ręki Marka na swoim udzie.

- Skoro tak, załatwiał to po swojemu - rzuciła urażona Urania. - Jeśli uważasz, że sama znasz się na tym najlepiej. Weź sobie jednak do serca moją radę. Pośrednicy nieruchomości to szakale, podobnie jak producenci filmowi. Wspominałaś, że dom Toma - twojego ojca - stanowi dla nich łakomy kąsek. Zobaczą, że jesteś młoda i niedoświadczona, i będą próbowali cię oszukać.

- Och, właśnie coś mi się przypomniało - wtrącił Mark, chcąc odwrócić uwagę Uranii od Tracey. - Wysłałem pocztą elektroniczną ostatnią część maszynopisu do Julii Markoff. Jest zachwycona.

- To cudownie - przerwała mu podniecona Urania. - Kochani, Julia jest zachwycona moją powieścią! Dzięki niebiosom! Tak się cieszę, że włożyłam tyle pracy w poprawienie i wyczelowanie tych wszystkich drobiazgów, przy których usiłowałaś mi pomóc, Tracey. Wiem, że miałaś dobre chęci, ale wyszło na moje. Wcale nie potrzebowałam twojej pomocy. Julia uważa, że powieść bardzo wyraźnie przemawia moim głosem.

Tracey chciała się roześmiać, ale poczuła, że Mark delikatnie ściska ją za ramię. Reakcja Uranii była... no cóż, całkiem w stylu Uranii Vickers. Podobnie jak Mark, Tracey doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że gdyby nie poprawiła właściwie całej książki, mimo nieustannych sprzeciwów Uranii, Julia Markoff nie miałaby się czym zachwycać.

Uśmiechnęła się do rozradowanej autorki.

- To wspaniała nowina - powiedziała. - Wiedziałałam, że dasz sobie radę.

- Dziękuję ci, kochanie - zaszcebiotała Urania. - To był naprawdę ogromny wysiłek. Ale tak sobie myślę, że skoro moja powieść spotkała się z uznaniem, może zacznę pisać następną. Na przykład kolejną autobiografię... - Urwała, zajęta rozważaniem nowego pomysłu.

- Przecież już napisałaś autobiografię - zauważył Mark. Urania zwróciła ku niemu mocno wymalowane oczy.

- Oczywiście, kochanie - odrzekła pobłażliwym tonem, jakby miała do czynienia z kompletnym idiotą - ale teraz doszedł do niej całkiem nowy rozdział. Nawet rozdziały. Nie rozumiesz? Morderstwo i ta cała historia. - Oczy aktorki zwięzły się w dwie szparki. - Tylko żeby żadne z was nie odważyło się pisać ani słówka prasie - powiedziała ostrzegawczym tonem. - Świat otrzyma tę historię bezpośrednio ode mnie i jeszcze sporo mi zapłaci. - Wstała raptownie. - Pójdę do siebie, zanotować kilka pomysłów - oznajmiła. - Zobaczymy się później, kochani. - Posłała im pocałunek w powietrze. - I pamiętajcie, nikomu ani słowa.

Z tymi słowami majestatycznie opuściła pokój.

Tracey i Mark stali przy bramie, u podnóża schodów prowadzących na główną ulicę Oii. Mark przyjechał tylko z podręczną torbą, którą zarzucił sobie na ramię, a bagaże Tracey Stavros już wcześniej zaniósł do samochodu.

Urania opuściła stół pod parasolem, przy którym pracowała, i podeszła do bramy. Kazała Marii Stefanou kupić kilka notatników i dobrze zatemperowanych ołówków, i teraz wypełniała całe strony swoim nieczytelnym pismem.

- Tak bardzo chciałabym odprowadzić was na lotnisko - rzuciła zdawkowym tonem - ale sami rozumiecie, że jestem tylko biedną, zapracowaną dziewczyną. Mam do uregulowania wygórowane honorarium - dodała, spoglądając znacząco na Tracey - i jeszcze jakąś horrendalną prowizję dla agenta. - Stalowe oczy spoczęły teraz na Marku.

- Będziemy w kontakcie, Uranio - odezwała się Tracey. - Gorąco wierzę, że się jeszcze spotkamy.

Stalowe oczy gwiazdy złagodniały. Wyciągnęła ramiona i zamknęła Tracey w ich uścisku. Mocno ucałowała ją w oba policzki, a potem lekko odsunęła od siebie.

- Jestem taka wzruszona, że na powrót pojawiłaś się w moim życiu - zaczęła drżącym głosem. - Mówię szczerze, chciałabym, żebyśmy się zaprzyjaźniły, stworzyły prawdziwą rodzinę.

- Na pewno - odrzekła Tracey. - Ja też bardzo tego pragnę.

- Cóż, lepiej już się zbierajcie - zakończyła aktorka. - Mam nadzieję, że ten młody człowiek zaopiekuje się tobą, choć oznacza to, że zostanę tu sama, opuszczona.

Mark roześmiał się lekko.

- Nigdy cię nie opuścimy, Uranio. Zobaczymy się wkrótce. Po prostu pracuj i ilekroć będziesz czegoś potrzebowała, dzwoń do nas. - Pochylił się i pocałował ją po przyjacielsku w policzek.

- Zadzwoń. Jakoś postaram się znaleźć czas. Dziś wieczorem przychodzi sir Hugh, a jutro wyjeżdżamy razem na kilka dni do jego posiadłości na Patmos.

Stavros otworzył wrota i ruszył schodami pod górę, a Mark i Tracey za nim. W połowie drogi przystanęli i spojrzeli za siebie. Gwiazda przesłała im w powietrzu pocałunek, po czym zniknęła za bramą.

- Nie okazało się to aż takie trudne - zauważyła Tracey łagodnie. - Mam nadzieję, że po naszym wyjeździe nie będzie się czuła opuszczona.

- Tym bym się nie przejmował - uspokoił ją Mark. - Ma nową autobiografię do napisania, o ile wystarczy jej cierpliwości. Poza tym coś mi mówi, że zarzuca sieci na sir Hugh Apostle'a.

- Naprawdę tak sądzisz? - zapytała Tracey. Mark skinął głową.

- Dziś kolacja, jutro wspólny wyjazd na Patmos. On jest od niej o wiele młodszy, przystojny, a do tego bogaty niczym Krezus. Świetne połączenie.

- To wspaniale - ucieszyła się Tracey. - Od razu czuję się mniej winna, że nie powiedzieliśmy jej nic o naszych planach.

- Gdybyśmy pisnęli choć słówko, że mamy zamiar się pobrać, nic by jej nie powstrzymało od zaplanowania za nas wszystkiego od początku do końca - odparł Mark, przystając i odwracając się do niej.

Cmoknęła go w czubek nosa.

- Kiedy już pozalutujemy wszystko w Miami, najbardziej odpowiadałaby mi ucieczka do Las Vegas i szybki ślub w tajemnicy.

- Widzę, że masz w sobie coś z ciotuni - odrzekł Mark, śmiejąc się. - Zrobiła to co najmniej dwa razy.

Na szczycie wzgórza zatrzymali się, żeby popatrzeć wokół ostatni raz. Stavros poszedł już do samochodu. Na lewo mieli minimarket, z którego nagle dobiegł ich prawdziwy potok greckich słów, tnących powietrze niczym nóż. Odwrócili się oboje.

Staruszka w brudnej, czarnej sukni okupowała swoje zwykłe miejsce przed sklepem. Spoglądała na nich zasnutymi mgłą oczami, wymachując sękatymi, powykrzywianymi dłońmi. Ze środka wynurzyła się Kathy, z uśmiechem na twarzy przysłuchując się jej tyradzie.

- Co ona mówi? - zapytała Tracey.

- Chce z powrotem swój amulet - wyjaśniła młoda kobieta, przewracając oczami. - Mówi, że może go potrzebować ktoś inny, a ciebie już uchronił przed zakusami diabelskiego oka i spełnił swoje zadanie. - Poblążliwie wzruszyła ramionami.

Choć żądanie staruszki brzmiało tak dziwnie - a może właśnie dlatego - Tracey poczuła zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

- Rozepnij mi łańcuszek, dobrze? - zwróciła się do Marka.

- Oczywiście.

Zebrała włosy do góry, a Mark odpiął zameczek i podał jej łańcuszek. Tracey zsunęła z niego amulet.

- A teraz zapnij z powrotem. Ten łańcuszek dostałam od Prometeusza i nigdy się z nim nie rozstanę.

Mark włożył go jej z powrotem na szyję i zapiął zameczek.

- Gotowe.

- Dziękuję - odrzekła Tracey. Podeszła do staruszki, pochyliła się, uniosła jej rękę i z powagą umieściła amulet w otwartej dłoni.

Tamta zacisnęła na nim palce i kiwając głową w kierunku Tracey, zaczęła mamrotać coś po grecku. Tracey wyprostowała się i z uśmiechem popatrzyła w stronę Kathy.

- Ona ci dziękuje - wyjaśniła młoda kobieta. - Mówi, że pomagasz uratować życie komuś innemu.

- Dzięki, Kathy - powiedziała Tracey. - Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

Mamrotanie starej kobiety stało się teraz głośniejsze. Mówiła coraz szybciej, kołysząc się na krześle.

- Zobaczymy się wkrótce. - Kathy się roześmiała. - Ona mówi, że to pierwsza z twoich licznych wizyt tutaj, a obecnie czeka cię całkiem nowe życie.

- Mam nadzieję - ucieszyła się Tracey. Podeszła do Marka, razem pomachali Kathy na pożegnanie i skierowali się do czekającego na nich małego samochodu.

- Czy wierzysz w to, co mówiła ta stara? - zapytał Mark.

- Chciałabym.

- Ja też - odpowiedział. Przystanął, objął Tracey i pocałował ją mocno w usta. - Szczególnie podoba mi się ta część o nowym życiu!